

**Wilbur Smith**

**Pora umierania**

*(A Time To Die)*

*Mojej żonie Danielle Antoinette  
z wyrazami miłości na zawsze*

Siedziała nieruchomo od przeszło dwóch godzin. Potrzeba zmienienia pozycji stawała się wręcz nie do zniesienia. Każdy mięsień ciała zdawał się drżeć, dokuczliwie domagając się ruchu. Pośladki miała całkowicie zdrętwiałe i mimo że doradzono jej, aby opróżniła pęcherz, nie zrobiła tego przed staniem na czatach, ponieważ czuła się zażenowana obecnością mężczyzn i zbyt wystraszona afrykańskim buszem, żeby udać się na stronę. Teraz nie mogła sobie darować tego nadmiaru wstydlivosti.

Patrzyła przez wąską szczelinę w trawiastej konstrukcji kryjówki – długim tunelu, który naganiacze zbudowali w gęstym buszu z wielką starannością, gdyż nawet najmniejsza gałązka mogła zmienić tor lecącego z szybkością 900 metrów na sekundę pocisku. Tunel miał długość pięćdziesięciu metrów i został wymierzony bardzo dokładnie, aby można było precyzyjnie ustawić teleskopową lunetę strzelby.

Nie poruszając głową Claudia spojrzała kątem oka na siedzącego obok niej ojca. Jego strzelba była oparta o rozwidlenie znajdującej się przed nim gałęzi, a prawa ręka spoczywała lekko na kolbie. W tej pozycji wystarczyło jedynie unieść broń kilka centymetrów do policzka, żeby być gotowym do strzału.

Przy całym zmęczeniu fizycznym myśl o ojcu strzelającym z tej złowieszczo błyszczącej broni jeszcze bardziej ją rozdrażniła. Ojciec zawsze wywoływał w niej gwałtowne, krańcowo sprzeczne uczucia. Na nic, co robił lub mówił, nie umiała pozostać obojętna. Otwarcie zdominował jej życie, za co Claudia jednocześnie kochała go i nienawidziła. Odkąd pamiętała, zawsze próbowała od niego uciec, jemu zaś zawsze udawało się ją łatwo przyciągnąć do siebie z powrotem. Wiedziała dobrze, że głównym powodem, dla którego w wieku dwudziestu sześciu lat była niezamężna – mimo swojej urody, mimo własnych osiągnięć, mimo niezliczonych propozycji, z których dwie wyszły od mężczyzn obdarzonych przez nią prawdziwym uczuciem – był człowiek siedzący obok niej. Nigdy nie spotkała drugiego mężczyzny, który mógłby się równać z ojcem.

Pułkownik Riccardo Monterro, żołnierz, inżynier, uczony, smakosz, bajecznie bogaty przedsiębiorca, atleta, bonvivant, zdobywca kobiecych serc, sportowiec – mogła go nazwać wieloma innymi określeniami, a choć każde z nich pasowało do niego jak ulał, nie ujmowały go takim, jakiego znała. Żadne słowa nie oddawały jego czułości i siły, za które go kochała, ani okrucieństwa i szorstkości, które wzbudzały w niej odrazę. Nie sposób było wyrazić tego, co zrobił jej matce, która teraz była porzuconą, nie oczekującą niczego od życia alkoholiczką. Claudia zdawała sobie sprawę, że mógł równie łatwo zniszczyć i ją, jeśli kiedykolwiek pozwoliłaby mu sobą pokierować. W jego obecności czuła się niczym byk patrzący na uzbrojonego matadora. Ojciec był niebezpiecznym człowiekiem i właśnie dlatego tak pociągającym.

Ktoś jej kiedyś powiedział: „Niektóre kobiety potrafią się zakochać jedynie w prawdziwym draniu”. Wtedy bez namysłu odrzuciła tę myśl, ale później zastanowiwszy się częściowo w nią uwierzyła. Cokolwiek by powiedzieć, ojciec był właśnie człowiekiem tego

pokroju. Potężnym, rubasznym draniem, który z właściwym mu wielkim urokiem osobistym, z promiennymi, złocistobrazowymi oczami i lśniącymi zębami, potrafił śpiewać jak Caruso i zjeść nawet największą porcję spaghetti, jaką nałożyła mu na talerz. Mimo że urodził się w Mediolanie, jego osobowość została ukształtowana w Ameryce, do której dziadkowie Claudii wyemigrowali z Włoch Mussoliniego, kiedy Riccardo był jeszcze dzieckiem.

Claudia odziedziczyła po nim wiele cech fizycznych: oczy, zęby i oliwkowy kolor skóry, ale tym bardziej usiłowała odrzucić te cechy, które ją w nim raziły i wybrać odmienną od jego drogę życia. Zdecydowała się, na przykład, na studia prawnicze, ponieważ ojciec miał skłonności do omijania prawa. Na długo zanim zrozumiała, czego dotyczy polityka, postanowiła zostać zwolenniczką demokratów, na złość ojcu, który był republikaninem. Ojciec dorobił się olbrzymiego majątku, więc Claudia po ukończeniu studiów z piątą lokatą na swoim roku odrzuciła ofertę pracy z rocznym wynagrodzeniem w wysokości 200 000 dolarów i zatrudniła się w agencji praw obywatelskich, która płaciła jej 40000 rocznie. Ponieważ ojciec dowodził w Wietnamie batalionem saperów i jeszcze teraz nazywał wrogów „ciemniakami”, jej praca z tubylczym plemieniem Inuit dawała satysfakcję tym większą, że spotykała się z jego dezaprobatą. Riccardo także w stosunku do Eskimosów używał słowa „ciemniaki”. Mimo to przyjechała na jego zaproszenie do Afryki, a już prawdziwym horrorem było dla niej to, że ojciec miał zabijać dzikie zwierzęta, przeciw czemu nawet nie zaprotestowała.

W domu Claudia cały wolny czas poświęcała pracy społecznej dla Towarzystwa Ochrony Środowiska Naturalnego Alaski. Towarzystwo koncentrowało swoje wysiłki i środki na walkę z kompaniami naftowymi, które rabunkowo eksploatowały złoża, ze szkodą dla otoczenia. Przedsiębiorstwo jej ojca, Systemy Kotwiczne i Inżynieryjne, było zaś głównym dostawcą sprzętu dla spółek wiertniczych. Każdy wybór w jej życiu był dokładnie rozważony i miał wyraźnie sprecyzowany cel.

A jednak przybyła do tego obcego kraju i czekała posłusznie, aż ojciec zabije jakieś piękne, dzikie zwierzę. Własna dwulicowość przyprawiała ją o mdłości. Wyprawa, na którą została zaproszona, nazywała się safari. Nigdy w życiu nie zgodziłaby się na udział w tak ohydny przedsięwzięciu – zawsze wcześniej odmawiała z oburzeniem, gdy ojciec składał jej taką propozycję – gdyby nie sekret, jaki odkryła na kilka dni przed zaproszeniem. To mógł być ostatni raz, niemal na pewno ostatni raz, kiedy miała okazję przebywać z nim sam na sam. Ta myśl poruszała ją jeszcze bardziej niż świadomość uczestniczenia w polowaniu.

„O Boże”, przeraziła się. „Co ja zrobię bez niego? Jak będzie wyglądało moje życie, gdy zabraknie go przy mnie?”

Poraziło ją to z taką siłą, że odwróciła gwałtownie głowę, wykonując pierwszy ruch od dwóch godzin, i spojrzała za siebie przez ramię. Tuż za nią siedział obcy mężczyzna. Był zawodowym myśliwym. Mimo że ojciec polował z nim na kilkunastu poprzednich safari, Claudia poznała go zaledwie cztery dni temu, gdy wysiadła z ojcem z samolotu

Południowoafrykańskich Linii Lotniczych w Harare, stolicy Zimbabwe. Dalej myśliwy przewiózł ich dwusilnikowym samolotem Beechcraft Baron do rozległego terenu łowieckiego niedaleko granicy z Mozambikiem. Obszar ten został wydzierżawiony od rządu Zimbabwe.

Myśliwy nazywał się Sean Courteney. Fakt, że poznała go zaledwie cztery dni wcześniej, nie przeszkodził Claudii obdarzyć go nienawiścią tak silną, jakby znali się całe życie. Nic dziwnego, że myśl o ojcu instynktownie zmusiła ją do spojrzenia na tego człowieka. Jeszcze jeden niebezpieczny mężczyzna w jej życiu. Twardy, bezlitosny i tak diabelnie przystojny, że instynkt ostrzegł ją przed nim bezgłośnym krzykiem.

Myśliwy zmarszczył brwi i spojrzał na nią jasnymi, zielonymi oczami, które zdawały się lśnić na mocno opalanej twarzy. W kącikach rozgniewanych oczu pojawiły się kurze łapki i mężczyzna dotknął wskazującym palcem jej biodra, nakazując Claudii pozostanie w bezruchu. Dotknięcie było lekkie, ale poczuła w tym pojedynczym palcu całą jego męską siłę. Już wcześniej zwróciła uwagę na jego dłonie, usiłując odpędzić od siebie wrażenie, jakie wywołał w niej ich zgrabny kształt. „To są ręce artysty, chirurga albo mordercy”, pomyślała wtedy, a teraz dotknięcie niemal ją zmroziło. Poczowała się, jakby zaatakował ją seksualnie. Patrzyła nieruchomo przez szczelinę w trawie czując, jak gotuje się z oburzenia. Jak on śmie jej dotykać! Miejsce na biodrze, gdzie spoczął jego palec, paliło, jakby ją naznaczył rozpalonym żelazem.

Tego popołudnia, zanim opuścili obóz, Sean nalegał, aby każde z nich wzięło prysznic i umyło się specjalnym bezwonnym mydłem, które im wręczył. Przestrzegł także Claudię, żeby nie używała perfum, a jeden z obozowych służących położył czystą, wyprasowaną koszulę w kolorze khaki i takie same spodnie na jej łóżku.

– Przy sprzyjającym wietrze te wielkie koty potrafią zwietrzyć panią z odległości trzech kilometrów – powiedział Sean przed prysznicem. Lecz teraz, po dwóch godzinach spędzonych w nieznośnym upale wypełniającym dolinę Zambezi, czuła za sobą lekki zapach świeżego, męskiego potu. Mężczyzna siedział tak blisko, że niemal jej dotykał i Claudia przeżywała wręcz katusze opanowując pragnienie poruszenia się; zmienienia pozycji na składanym, płóciennym krzeselku. Bliskość mężczyzny drażniła ją i niepokoiła, mimo to zmusiła się do pozostania w bezruchu. Przyłapała się na tym, że wdycha głęboko powietrze, starając się lepiej uchwycić jego zwodniczy zapach, więc pohamowała się ze złością, uświadomiwszy sobie, co robi.

Kilka centymetrów przed jej oczyma zawirował zielony liść wiszący czubkiem do dołu w szczelinie trawiastej ściany i w tej samej chwili poczuła lekki, wieczorny wiatr.

Sean na kryjówkę wybrał miejsce poniżej poziomu wiatru, toteż powiew powietrza na ich wysokości przyniósł ze sobą nowy zapach: stęchły smród mięsa. Przynętą była stara krowa, którą Sean wypatrzył w stadzie ponad dwustu potężnych, czarnych bawołów. – Ta stara panna przestała się cielić już dawno temu – powiedział, wskazując krowę palcem. – Namierz ją poniżej łopatki, w samo serce – rozkazał Riccardowi.

Było to pierwsze zwierzę, które zostało zabite z zimną krwią na jej oczach. Wystrzał z ciężkiej strzelby oszołomił ją w pierwszej chwili, ale nie tak bardzo, jak purpurowy strumień krwi, błyszczący w jasnym afrykańskim słońcu, i żałosny, śmiertelny ryk starej krowy. Claudia sama wróciła do półciężarowej toyoty i siedziała na przednim siedzeniu pokryta zimnym potem mdłości, podczas gdy Sean i jego ludzie ćwiartowali bawołu.

Mężczyźni wywindowali cielsko zwierzęcia na niższe gałęzie potężnego drzewa figowego za pomocą małego dźwigu umocowanego na toyocie. Po dłuższej debacie przynęta została ułożona na wysokości, która pozwalała dorosłemu lwu stojącemu na tylnych łapach na częściowe zaspokojenie głodu, uniemożliwiając jednocześnie zjedzenie całego mięsa w czasie jednego posiedzenia i przeniesienie się gdzie indziej w poszukiwaniu nowej padliny.

To było cztery dni wcześniej, ale nawet kiedy układali przynętę, metalicznie zielone muchy zlatywały się chmarami zwabione zapachem świeżej krwi. Teraz, gdy upał i muchy dokonały swojego dzieła, Claudia musiała zaciskać nozdrza i krzywiła się ze wstrętem, gdy wiatr owiewał ją smrodem padliny. Zapach zdawał się pokrywać jej język i przełyk śliskim mułem. Patrząc na wiszące na drzewie resztki wyobrażała sobie, że może dostrzec, jak lekko się poruszają, gdy robaki zagłębiały się w zepsute mięso.

– Cudowne. – Sean wciągnął głęboko zapach, zanim weszli do kryjówki. – Zupełnie jak dojrzały camembert. Żaden kot w odległości piętnastu kilometrów nie będzie mógł się temu oprzeć.

Kiedy czekali, słońce powoli zniżało się po niebie, nadając kolorom buszu żywości, która kontrastowała z rozmazanymi barwami zalanego rażącym blaskiem południa.

Lekki chłód przyniesiony przez wiatr rozbudził otepiałe od upału ptaki. W poszyciu trawy na brzegu strumienia odezwał się jeden śpiewając ochryple swoje „Kok! Kok! Kok!” – niczym papuga. W gałęziach bezpośrednio nad jej głową ożywiła się para lśniących metalicznie rajskich ptaków, trzepoczących szybko skrzydełkami i zawisających w powietrzu, żeby napić się nektaru z nabrzmiałych kwiatów. Claudia wolno podniosła głowę i obserwowała je z prawdziwą przyjemnością. Choć była tak blisko, że mogła dostrzec, jak ich cienkie, długie języczki wślizgują się do otwartych kielichów żółtych kwiatów, ptaszki zupełnie ją ignorowały, jakby była częścią drzewa.

Kiedy tak obserwowała ptaki, zdała sobie sprawę, że w kryjówce zapanowało nagle podniecenie. Jej ojciec siedział skupiony z ręką zaciśniętą mocniej na kolbie strzelby. Niemal czuła ogarniające go napięcie. Riccardo patrzył przez szczelinę w ścianie, ale mimo że wyteżyła wzrok patrząc w tym samym kierunku, nie potrafiła dostrzec przyczyny tej zmiany nastroju. Kątem oka zobaczyła, jak ręka Seana Courteneya wsuwa się pomiędzy nich, poruszając się delikatnie, żeby wreszcie ostrzegawczo chwycić za łokieć jej ojca.

Usłyszała jego szept, delikatniejszy od powiewu wiatru:

– Czeka!

Wszyscy zamarli, wciąż nieruchomi, czas zaś mijał wolno; dziesięć minut, potem

dwadzieścia.

– Po lewej – szepnął Sean i było to tak nieoczekiwane, że Claudia cała drgnęła, poruszona ledwo dosłyszalnym szeptem. Spojrzała w lewo. Nie widziała nic szczególnego poza trawą, drzewami i cieniami. Wy tężała wzrok, aż oczy jej zaszyły łzami i musiała zamrugać powiekami. Kiedy zerknęła ponownie, zobaczyła coś przypominającego mgiełkę czy może dym – brązową smugę poruszającą się w wysokiej, spalonej słońcem trawie.

Nagle, zupełnie niespodziewanie, na otwarty teren pod obciążonym padliną drzewem figowym wyszło duże zwierzę.

Claudia nie potrafiła się powstrzymać i sapnęła, a oddech ugrzązł jej w gardle. Było to najpiękniejsze zwierzę, jakie kiedykolwiek widziała. Olbrzymi kot, o wiele większy, niż oczekiwała, smukły, błyszczący i złoty. Zwierzę obróciło głowę i spojrzało prosto na nią. Zobaczyła, że jego gardło przypomina miękki krem, a od długich, białych wąsów odbił się promień słońca. Uszy były owalne i ozdobione na końcach czarnymi plamami, podniesione, nasłuchujące. Oczy – żółte, równie nieprzeniknione i świecące, jak kamienie księżycowe, a tęczęwki zmniejszone niczym czarne strzałki, kiedy zwierzę spojrzało przez polanę na ścianę kryjówki.

Claudia wciąż nie mogła złapać tchu. Ogarnęło ją nagle podniecenie i strach, gdy uświadomiła sobie, że zwierzę się jej przygląda. Dopiero kiedy kot odwrócił głowę i spojrzał na wiszącą na gałęzi przynętę, Claudia powoli wypuściła powietrze z płuc.

„Nie zabijaj go. Proszę, nie zabijaj go”, błagała w myślach intensywnie, aż odniosła wrażenie, iż ojciec musi usłyszeć jej słowa. Z ulgą spostrzegła, że ojciec nawet nie drgnął, a dłoń Seana nadal spoczywała na jego łokciu, powstrzymując go od ruchu.

Dopiero w tej chwili uprzytomniła sobie, że lew nie ma grzywy i że jest to samica. Claudia nasłuchiwała się obozowych rozmów i wiedziała, że polują na dorosłego lwa, za zabicie lwicy zaś są przewidziane ciężkie kary: wysokie grzywny, a nawet więzienie. Rozluźniła się trochę i oddała całkowicie kontemplacji oszałamiającego piękna zwierzęcia. Lwica rozejrzawszy się wokół siebie i upewniwszy, że miejsce jest bezpieczne, otworzyła pysk i wydała lekki, miaukliwy pomruk.

Niemal natychmiast z krzaków wybiegły trzy lwiątko, kłębiąc się wokół matki. Wyglądały niczym dziecinne zabawki miękkie i ozdobione ciemnymi plamkami. Przewracały się przez łapy lwicy, które były dla nich zbyt wysoką przeszkodą, a po kilku chwilach wahania, kiedy matka wydawała się nie zwracać na nie uwagi, zaczęły dziko baraszkować, siłując się i przewracając wzajemnie z groźnymi, kocimi pomrukami.

Lwica zignorowała je i podniosła się na tylne nogi ku zwisającej z drzewa padlinie. Wsadziła głowę w rozpruty brzuch, z którego zwiślały wnętrzności, i zaczęła się pożywiać. Rząd ciemnych sutek na jej brzuchu był napęczniały od pokarmu, a futro naokoło nich lśniąco od śliny lwiątek. Lwica nie odstawiła ich jeszcze od piersi, więc zajęte zabawą kociaki nie zwracały uwagi na pochłanianie przez nią mięso.

Po chwili na polankę wyszła druga lwica, a za nią podążały dwa podrośnięte lwiątko. Ta samica była znacznie ciemniejsza, niemal niebieska na grzbiecie, a jej skórę znaczyły stare blizny – świadectwa wielu polowań, ślady kopyt, rogów i kłów. Brakowało jej połowy jednego ucha, a przez poraną skórę wystawały żebra. Lwica była stara. Dwa na wpół wyrosnięte koty, które stały obok niej, były pewnie jej ostatnim miotem. Za rok, kiedy opuści ją potomstwo i będzie zbyt słaba, żeby nadażyć za stadem, padnie ofiarą hien, ale na razie utrzymywała się przy życiu dzięki olbrzymiemu doświadczeniu i sprytowi.

Pozwoliła młodej lwicy pierwszej wyjść do przynęty, bo wcześniej widziała już dwa lwy zabite w sytuacji, gdy zbliżyły się do soczystego mięsa zwisającego z drzewa, i weszła w tym jakiś podstęp. Nie zaczęła się od razu pożywiać, lecz krążyła wokół polanki, z ogonem nieustannie kołyszącym się ze strony na stronę, zatrzymując się co kilka kroków i spoglądając nieufnie w stronę trawiastej ściany na końcu polanki.

Jej małe spoglądały łakomie na padlinę, siedząc na ogonach i pomrukując z głodu i żalości, gdyż mięso było najwidoczniej poza ich zasięgiem. W końcu śmielszy z dwóch młodych lwów cofnął się o kilka kroków i wykonał skok na przynętę. Zaczepiwszy się przednimi łapami, gdy jego tylne nogi dyndały w powietrzu, usiłował oderwać zębami jak największy kawałek, ale młoda lwica zwróciła się z wściekłością przeciw niemu, warcząc i spychając go łapami, aż opadł na ziemię na plecy. Lwiątko podniosło się zgrabnie na nogi i niechętnie wycofało.

Stara lwica nie stanęła w obronie swoich małych. W stadzie obowiązywały żelazne reguły: dorośli myśliwi, najbardziej wartościowi członkowie stada, muszą się pożywić pierwsi. Stado mogło przetrwać tylko dzięki ich sile. Dopiero gdy dorosłe lwy się nasyciły, młode mogły się zbliżyć do upolowanej zdobyczy. Kiedy zaś nastawały trudne czasy i brakowało pożywienia lub gdy teren był zbyt trudny do polowania, młode i słabe osobniki pierwsze padały ofiarą głodu, a dorosłe samice stawały się okresowo bezpłodne, póki nie zmieniły się warunki i stado znowu miało pożywienie. Tylko w ten sposób miały szansę.

Odgonione lwiątko wycofało się do miejsca, gdzie siedział jego brat, i zaczęło z nim walczyć o kawałki mięsa, które lwica wyszarpała z brzucha bawołu i upuściła niechętnie na ziemię.

Kiedy wreszcie opadła na cztery łapy, widocznie zmęczona niewygodną pozycją, Claudia z obrzydzeniem zobaczyła, że cała jej głowa pokryta jest białymi robakami, które wypełzły z mięsa. Lwica potrząsnęła łbem, rozrzucając je niczym ziarna ryżu. Następnie zaczęła zawzięcie pocierać łapami futrzaste uszy, by je oczyścić z tłustych robaków, które usiłowały się tam dostać. Wreszcie wyciągnęła szyję i silnie wydmuchnęła pozostałe resztki z nosa.

Małe najwidoczniej przyjęły to jako zaproszenie do zabawy albo jedzenia. Dwa lwiątko podskoczyły, czepiając się jej uszu, podczas gdy trzecie pobiegło do brzucha i przyssało się do jednego z sutków, niczym olbrzymia, brązowa pijawka. Lwica nie zwracając na nie uwagi, ponownie wstała na tylne nogi, żeby kontynuować posiłek. Przyczepiony do sutka małe



wisiał przez dwie, trzy sekundy, aż wreszcie opadł na ziemię, a lwica zdeptała jego malczą dumę, przesuając się do tyłu i ciągnąc do siebie mięso. Malec wyczołgał się spomiędzy jej nóg, pobrudzony i potargany.

Claudia nie mogła się powstrzymać i zachichotała. Starła się jednocześnie zdusić śmiech, zasłaniając usta obiema dłońmi. Sean natychmiast dźgnął ją palcem w dolne żebra.

Tylko stara lwica zareagowała na cichy odgłos śmiechu. W czasie kiedy reszta stada była zbyt zajęta pożywianiem się, ona przycupnęła, kładąc uszy po sobie i spoglądając z natężeniem na wejście do kryjówki. Patrząc na nią Claudia straciła ochotę do śmiechu i wstrzymała oddech.

„Nie może mnie widzieć”, powiedziała sobie bez przekonania. „Chyba nie może mnie zobaczyć?” Jednak przez długie sekundy oczy lwicy paliły nieruchomym spojrzeniem jej własne źrenice.

Po chwili lwica wstała i bezszelestnie znikła w wysokim poszyciu za drzewem z przynętą. Poruszała się niczym wąż, a jej gibkie ciało zdawało się płynąć pomiędzy gałęziami. Claudia wypuściła powietrze z płuc i odetchnęła głęboko z ulgą.

Podczas gdy pozostała część stada barszkwowała, siłowała się i ucztowała pod drzewem, słońce skryło się za koronami drzew i ogarnął ich krótki, afrykański zmierzch.

– Jeśli jest z nimi samiec, to teraz wyjdzie – wyszeptał Sean. Noc była porą dużych kotów, bo ciemność dodawała im odwagi i czyniła je nieustraszonymi. Światło gasło i coraz szybciej zapadały ciemności.

Claudia usłyszała coś za ścianą z trawy, jakby jakieś zwierzę lekko ocierało się o wysoką trawę, ale busz był pełen takich szmerów, więc nie odwróciła nawet głowy. Po chwili dotarł do niej o wiele wyraźniejszy dźwięk, odgłos stąpania jakiegoś dużego zwierzęcia, uważne i pewne kroki niedaleko od kryjówki i poczuła, jak skóra zaczyna jej cierpnąć ze strachu, a po plecach i karku rozchodzą się dreszcze. Szybko odwróciła głowę.

Opierała się lewym ramieniem o ścianę kryjówki, a na poziomie jej oczu była w trawie centymetrowa szczelina. Nagle dojrzała jakiś ruch. Przez chwilę nie rozpoznała, co to takiego, ale zaraz zrozumiała, że patrzy na kawałek brązowej skóry, która wypełnia szczelinę. Jej oczy rozszerzyły się z przerażenia. Płowa sierść przesunęła się w otworze i Claudia usłyszała nowy odgłos, głośny oddech zwierzęcia, które obwąchiwało kryjówkę zaledwie kilka centymetrów od niej po drugiej stronie ściany.

Claudia odruchowo sięgnęła za siebie, nie odrywając oczu od szczeliny. Jej ręka została szybko uwięziona w mocnym, chłodnym uścisku. Dotyk, który jakiś czas temu ją uraził, przyniósł teraz nieoczekiwaną ulgę. Nie przyszło jej nawet do głowy, że instynktownie sięgnęła po rękę Seana, a nie ojca.

Patrzyła w otwór i nagle pojawiło się w nim oko, olbrzymie, okrągłe i błyszczące jak żółty agat, przerażające, nieludzkie oko, nieruchome i palące ją spojrzeniem nie więcej niż kilka centymetrów od jej twarzy.

Chciała krzyknąć, ale gardło miała kurczowo ściśnięte. Pragnęła zerwać się na równe nogi, lecz czuła, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Przepelniony pęcherz przypominał ciężki kamień w jej podbrzuszu i zanim zdążyła się powstrzymać, kilka gorących kropeł spłynęło jej po nogach. To przywróciło jej przytomność, wstyd był silniejszy niż przeraźliwy strach, więc zacisnęła mocno pośladki i uda, nadal kurczowo trzymając za rękę Seana i patrząc na okropne żółte oko.

Lwica wciągnęła głośno powietrze i Claudia zadrżała, ale natychmiast się opanowała.

„Nie będę krzyczała”, powiedziała sobie.

Lwica ponownie obwąchała trawę, a kiedy jej nozdrza wypełniły się zapachem ludzi, wydała z siebie potężny pomruk, który zdawał się wstrząsać lekką konstrukcją ściany. Claudii krzyk uwiązł w gardle, lecz powstrzymała go, zanim zdołał wydostać się na zewnątrz. Żółte oko zniknęło ze szczeliny i rozległ się odgłos potężnych łap, kiedy Lwica okrążyła kryjówkę.

Claudia obróciła głowę podążając za dźwiękiem i naraz jej wzrok padł na twarz Seana. Uśmiechał się. To był szok. Jego usta były wykrzywione w wesołej pogardzie, a w zielonych oczach błyskały złośliwe ogniki. Śmiał się z niej. Jej przerażenie ulotniło się, zastąpione wściekłością.

„Świnia jedna”, pomyślała. „Arogancka, chamska świnia”. Wiedziała, że jej twarz jest zupełnie biała, a oczy ciemne i rozszerzone ze strachu. Nienawidziła samej siebie i nienawidziła Seana za to, że jest świadkiem jej strachu.

Chciała wyrwać rękę z krępującego uścisku, ale wciąż słyszała kroki wielkiego kota, który krążył w pobliżu, i mimo że przepelniona była nienawiścią do trzymającego ją mężczyzny, wiedziała także, że bez jego dotyku straci nad sobą kontrolę. Ścisnęła więc nadal silną dłoń odwracając głowę i podążając za odgłosami wydawanymi przez zwierzę, tak żeby Sean nie mógł widzieć jej twarzy.

Lwica przeszła przed wejściem do kryjówki. Claudia zobaczyła przez otwór jej złote ciało, które szybko skryło się w trawie. Spozregła także, że lwiatka i druga lwica znikły z polanki, zaalarmowane pomrukiem starej samicy. Pole ostrzału pod drzewem było puste.

Światło dnia gasło z każdą chwilą. Za kilka minut zrobi się zupełnie ciemno, a myśl o dzikim zwierzęciu schowanym w pobliskim mroku była dla niej zbyt przerażająca. Sean sięgnął ponad jej ramieniem i przycisnął coś małego i twardego do jej warg. Przez chwilę zaciskała uporczywie wargi, ale wreszcie je otworzyła i pozwoliła mu włożyć to coś sobie do ust. Była to guma do żucia.

„Ten człowiek oszalał”. Była zupełnie oszołomiona. „Guma do żucia w takiej chwili?”

Kiedy jednak zaczęła żuć małą kostkę, uświadomiła sobie, że brakowało jej śliny i że przelyk ma wyschnięty tak, jakby zjadła niedojrzałą śliwę daktylową. Na smak mięty ślina zaczęła napływać do ust, ale Claudia była tak rozeźlona, że nie poczuła dla Seana żadnej wdzięczności. Fakt, iż wiedział, że jej usta są spierzchnięte z przerażenia, wzbudzał w niej jeszcze większą wściekłość.

Lwica pomrukiwała w półmroku, który panował na zewnątrz kryjówki, i Claudia z tęsknotą pomyślała o toyocie, która była zaparkowana kilometr dalej. Jakby czytając w jej myślach, ojciec cicho spytał:

– Kiedy naganiacze mają przyprowadzić wóz?

– Gdy nie będzie już światła nadającego się do strzelania – odparł Sean. – Za jakieś piętnaście, dwadzieścia minut. Lwica usłyszała ich głosy i zawarczała groźnie.

– Odważna suka – stwierdził pogodnie Sean. – Warkliwa Sue we własnej osobie.

– Zamknij się! – syknęła na niego Claudia. – Znajdzie nas przez ciebie.

– Och, wie dobrze, że tu jesteśmy – odparł Sean i podnosząc głos zawołał: – Zjeżdżaj stąd, ty głupia, stara dziwko. Wracaj do swoich małych.

Claudia wyrwała rękę z jego uścisku.

– Niech cię diabli! Pozabijasz nas wszystkich.

Jednak głośny ludzki głos wystraszył lwy i przez kilka minut panowała cisza. Sean wziął do ręki krótką, brzydką strzelbę o podwójnej lufie, która stała oparta o ścianę kryjówki, i położył ją sobie na kolanach. Otworzył zamek strzelby kalibru 577 nitro express i wyłuskał grube naboje z komór, a na ich miejsce włożył dwa nowe, które wyjął z pętelek przyszytych do lewej kieszeni koszuli. Wymiana naboji to był jego przesąd i powtarzał tę czynność zawsze przed rozpoczęciem polowania.

– Słuchaj mnie, Szefie – zwrócił się do Riccarda. – Jeśli zabijemy tę starą kurwę bez dostatecznego powodu, zarząd polowań odbierze mi licencję. „Dostateczny powód” to wtedy, gdy już odgryzie komuś rękę, ale nie wcześniej. Zrozumiałeś mnie?

– Zrozumiałem. – Riccardo skinął głową.

– Dobra, nie strzelaj, póki ci nie powiem albo, na Boga, sam cię zastrzelę.

Uśmiechnęli się do siebie w półmroku i Claudia uświadomiła sobie z niedowierzaniem, że obaj świetnie się bawią. Ci dwaj szaleńcy pozwalali sobie na dowcipy.

– Jak Job przyjedzie dżipem, będzie już zupełnie ciemno, a Job nie może przyprowadzić wozu do samej kryjówki. Będziemy musieli podejść do niego, do strumienia. Idziesz pierwszy, Szefie, następnie Claudia pomiędzy nami. Trzymajcie się razem i bez względu na to, co się będzie działo, nie biegnijcie! Niech, na miłość boską, nikt nie ucieka!

Usłyszeli ponownie starą samicę zbliżającą się do nich cicho. Warknęła głośno, a druga odpowiedziała jej z przeciwnej strony kryjówki. Młoda lwica przyłączyła się do polowania.

– Cała banda jest w pobliżu – skomentował Sean. Odgłos ich rozmów i pomruki starej lwicy zaalarmowały stado i myśliwi stali się zwierzyną łowną. Byli uwięzieni w kryjówce. Wokół panowały zupełne ciemności. Zachód słońca na horyzoncie przypominał przygasający czerwony żar ogniska.

– Gdzie jest wóz? – wyszeptła Claudia.

– Już najeżdża – odpowiedział Sean. Nagle jego głos się zmienił. – Padnijcie! – powiedział ostro. – Na ziemię! – Mimo że nie słyszała niczego, Claudia zsunęła się

z brezentowego stołeczka i przykucnęła na ziemi.

Lwica podkrađła się niemal bezszelestnie do samej ściany i teraz rzuciła się na nią z przeraźliwym rykiem rozszarpując łapami delikatną konstrukcję. Claudia ze zgrozą zauważyła, że wszystko leci prosto na nią.

– Głowy przy ziemi! – krzyknął Sean i gdy ściana się już waliła, podniósł strzelbę.

Wystrzelił. Ogłuszający wybuch przetoczył się przez kryjówkę, a jej wnętrze zostało na chwilę rozjaśnione blaskiem, jasnym niczym światło żarówki.

„Zabił ją”, pomyślała Claudia i mimo swojej nienawiści do polowania, poczuła ulgę. Nie trwała ona długo. Strzał jedynie wystraszył zwierzę i przepędził je na chwilę od kryjówki. Claudia usłyszała, jak lwica biegnie warcząc z wściekłością.

– Spudłowałeś – oskarżyła go, czując smród prochu w nosie.

– Nie zamierzałem jej trafić. – Sean otworzył strzelbę i ponownie ją załadował. – To tylko strzał ostrzegawczy nad głową.

– Nadjeżdża dżip. – Głos Riccarda był spokojny i obojętny. Uszy Claudii były wypełnione hukem wystrzału, ale także słyszała warkot silnika toyoty.

– Job usłyszał strzał. – Sean wstał. – Przyjechał wcześniej. W porządku, szykujemy się do wyjścia.

Claudia ochoczo wstała na nogi i spojrzała przez niską, pozbawioną dachu ścianę na otaczający ją ciemny las. Przypomniała sobie, że dróżka prowadziła do wyschniętego łożyska rzeki, które służyło za drogę. Będą musieli przejść z pół kilometra, zanim dotrą do wozu. Poczwała, że opuszcza ją odwaga.

Pięćdziesiąt metrów dalej zaryczała lwica.

– Hałaśliwa bestia – zachichotał Sean i wziął Claudię za łokieć, prowadząc ją do wyjścia. Tym razem nie próbowała się uwolnić z uścisku, a tylko mocniej przywarła do jego ramienia.

– Złap się paska Szefa. – Delikatnie wyswobodził się z jej uchwytu i nakierował jej „rękę na pasek ojca. – Trzymaj się – rozkazał. – I pamiętaj, cokolwiek się stanie, nie biegnij. Od razu rzuciłyby się na ciebie. Zupełnie jak kot z myszką. Nie mogą się oprzeć takiej pokusie.

Sean zapalił latarkę. Była to wielka, czarna maglite, ale nawet jej silne światło wydawało się nikłe i niewyraźne w bezmiarze lasu, kiedy zatoczył nią koło. W strumieniu światła rozbłyskiwały oczy, jarząc się złowieszczo niczym okrutne gwiazdy. W ciemnym buszu widziała wiele oczu, nie można było rozróżnić dorosłych lwów od wyrosniętych szczeniaków.

– Idziemy – zakomenderował cicho Sean i Riccardo ruszył wzdłuż wąskiej dróżki, ciągnąc za sobą Claudię.

Szli bardzo wolno, blisko siebie. Riccardo osłaniał ich od przodu ze swoją lżejszą strzelbą, a Sean pilnował tyłów ze swoją ciężką bronią i latarką.

Za każdym razem, gdy snop światła wylawiał z ciemności oczy lwów, wydawały się coraz bliższe, aż wreszcie Claudia mogła rozpoznać kształty ich ciał. Ślepią zwierząt były wyblakłe, niczym schwytane w krąg światła ćmy, nieruchome, zwinne i niestrudzone. Obie

Lwice zbliżały się do nich nieustannie, krążąc w miękkim poszyciu, obserwując ich uważnie, ale odwracając łby, gdy potężne światło latarki raziło je w oczy.

Ścieżka była stroma, wyboista i nieskończenie długa. Dla Claudii każdy krok był agonią z niecierpliwości. Szła za swoim ojcem nie patrząc pod nogi i potykając się, ale cały czas trzymając się wzrokiem niewyraźnych kształtów samic, krążących wokół nich.

– Zbliża się Warkliwa Sue – ostrzegł ich szeptem Sean, gdy stara lwica zebrała się na odwagę i rzuciła do nich. Sapała jak parowa lokomotywa, wydając ogłuszający potok dźwięków rodzących się w jej gardle i wydobywających przez otwarty pysk, a jej długi ogon bił o boki niczym potężny bicz. Zatrzymali się. Sean zamachnął się latarką i strzelbą na atakujące zwierzę.

– Zjeżdżaj stąd! – krzyknął na lwicę. – Zmykaj, stara! – Lwica gnała prosto na nich z uszami rozplaszczonymi na głowie, wysuwając długie, żółte kły i różowy język z otwartego pyska.

– Hej! Warkliwa Sue! – zawołał na nią Sean. – Rozwałę ci ten głupi łeb!

W ostatniej możliwej chwili lwica przerwała atak wyhamowując na wyprostowanych nogach. W promieniu światła latarki widać było otaczający ją tuman kurzu.

– Spływaj! – zakomenderował ostrym głosem Sean. Lwica nastawiła uszu, odwróciła się i posłusznie wycofała do lasu. – Chciała nas tylko nastraszyć – zachichotał Sean. – Myślała, że damy się nabrać.

– Skąd wiesz? – Claudia usłyszała, jak bardzo chropawy jest jej głos.

– Po jej ogonie. Tak długo jak nim merda na boki, to tylko żartuje. Kiedy trzyma wyprostowany, wtedy trzeba mieć się na baczności!

– Nadjeżdża wóz – zauważył Riccardo i wszyscy dostrzegli przez drzewa przednie światła toyoty, która podskakiwała na wybojach w wyschniętym korycie rzeki.

– Dzięki Bogu – szepnęła Claudia.

– Jeszcze nie jest po wszystkim – ostrzegł ją Sean, kiedy ruszyli ścieżką w dół. – Została Burkliwa Gerta.

Claudia zapomniała już o młodej lwicy i teraz rozejrzała się bojaźliwie wokoło idąc krok w krok za ojcem, którego paska nie puściła ani na chwilę.

Wreszcie wyszli na brzeg koryta rzeki, w pełni oświetleni reflektorami samochodu stojącego z włączonym silnikiem jakieś trzydzieści metrów przed nimi. Claudia rozpoznała przez potok światła zarys głów naganiaczy, którzy siedzieli na przednich siedzeniach wozu. Wydawali się tak blisko, tak bardzo blisko. Nerwy ją zawiodły. Puściła pasek ojca i rzuciła się pędem ku półciązarówce potykając się na suchym, głębokim piachu wypełniającym koryto rzeki.

Usłyszała za sobą krzyk Seana:

– Ty cholerna kretynko! – I w tej samej chwili dobiegł ją mrozący krew w żyłach ryk atakującej lwicy. Claudia rzuciła spojrzenie w bok i zobaczyła, że potężna bestia wybiega pod

kątem z wysokich trzcin znaczących linię brzegu i szybko się do niej zbliża. W świetle reflektorów toyoty zwierzę wydawało się olbrzymie i niesamowicie blade, szybkie niczym uderzający wąż, a jego ryk ścisnął serce Claudii i sparaliżował potykające się w białym piachu nogi.

Claudia widziała, że lwica atakuje z ogonem podniesionym i wyprostowanym niczym stalowy wycior. Poprzez paniczny lęk przedarła się do jej świadomości przestroga Seana. „Tym razem nie zatrzyma się. Dopadnie mnie”.

W decydującej chwili Sean nie zorientował się, że dziewczyna rzuciła się do ucieczki. Schodził stromą ścieżką odwrócony tyłem z latarką w lewym ręku i strzelbą w prawym. Broń trzymał za kolbę, opierając podwójną lufę o ramię, a bezpiecznik przyciskał kciukiem. Idąc nie spuszczał wzroku ze starej lwicy, która przypadła do ziemi na wysokości trzcin i czołgała się za grupą ludzi. Wiedział, że to czołganie się jest tylko na pokaz i lwica nie podejmie ataku po pierwszej nieudanej próbie. W trawie za nią przysiadły dwa podrośnięte lwiatka przyglądając się zafascynowanym wzrokiem temu pokazowi siły, ale zbyt wystraszone, żeby przyłączyć się do matki. W gęstych, wysokich trzcinach Sean stracił z oczu młodszą lwicę, która stanowiła teraz największe zagrożenie.

Sean poczuł, jak Claudia odpycha się od jego biodra, ale był przekonany, że potknęła się na stromej ścieżce. Nie zdawał sobie sprawy, co się właściwie dzieje. Nadal wypatrywał młodej lwicy, gdy usłyszał kroki Claudii na suchym piasku i kiedy obrócił się na pięcie, zobaczył ją biegnącą przez wyschnięte koryto rzeki.

– Ty cholerna kretynko! – wrzasnął z wściekłości. Dziewczyna od początku go irytowała, sprzeciwiając się mu nieustannie. Teraz bezmyślnie zlekceważyła jego rozkaz i Sean zorientował się w jednej chwili, że może już być stracona. Śmierć lub tylko zranienie klienta na safari było uznawane za największą hańbę, jaka mogła spotkać zawodowego myśliwego. To by oznaczało koniec całej jego kariery, zmarnowanie dwudziestu lat ciężkiej pracy i wyrzeczeń.

– Ty cholerna kretynko! – Sean wyładował rozgoryczenie na biegnącej dziewczynie. Odepchnął Riccarda, który stał sparaliżowany przerażeniem na ścieżce przed nim i w tej samej chwili lwica wystrzeliła z przybrzeżnych trzcin, gdzie przyczała się w kryjówce.

Brzeg rzeki był doskonale oświetlony przez toyotę, więc Sean rzucił na ziemię latarkę i wycelował strzelbę. Ale nie mógł strzelać. Kąt strzału był zupełnie nieodpowiedni; Claudia znajdowała się pomiędzy nim a lwicą. Dziewczyna biegła niezdarnie w grząskim piachu, z wykręconą głową, żeby móc widzieć atakującą lwicę, i ramionami starającymi się nadać jakiś rytm nogom.

– Padnij! – ryknął Sean. – Na ziemię! – Jednak dziewczyna biegła dalej zasłaniając cel swoim ciałem. Lwica zbliżała się szybko w tumanie piachu wyrzucanego przez potężne łapy, z których wysunęły się już żółte pazury. Zwierzę wydawało z siebie okropne pomruki przy każdym skoku, a długi, płowy ogon trzymało wyprostowany i sztywny.

W świetle lamp czarne cienie dziewczyny i lwicy na jasnej łasze żwiru wydawały się dziwnie zniekształcone. Cienie zbliżały się do siebie i Sean widział przez celownik strzelby, jak lwica zbiera się do skoku, a on nadal nie mógł strzelić nie raniąc przy tym dziewczyny.

W ostatniej chwili Claudia potknęła się, jej spętane panicznym strachem nogi ugięły się pod nią i z rozpaczliwym jękiem dziewczyna poleciała na ziemię.

Sean błyskawicznie wycelował strzelbę na kremową pierś zwierzęcia. Z tej właśnie strzelby Sean mógł trafić dwie jednopensowe monety wyrzucone w powietrze z odległości trzydziestu kroków. Zabił już z jej pomocą setki leopardów, lwów, nosorożców, byków i słoni, a także ludzi – może nawet więcej ludzi niż zwierząt, w czasie wojny rodezyjskiej. Nigdy też nie potrzebował drugiego strzału. Teraz miał przed sobą łatwy cel i wiedział, że wystrzelona przez niego 48-gramowa kula grzybująca o lekko spłaszczonym wierzchołku przeorałaby lwicę od piersi do końca ogona. W ten sposób byłoby po zwierzęciu, ale także po safari i prawdopodobnie po jego licencji. Gdyby zabił lwicę, nic nie potrafiłoby go uchronić przed gniewem rządu i departamentu łowieckiego.

Lwica już dopadała leżącą na ziemi dziewczyny, dzieliło je jeszcze od siebie tylko kilka metrów białego piachu. Sean w ostatniej chwili znalazł nowy cel. Wiedział, że okropnie ryzykuje, ale nie bał się ryzyka. To prawda, że narażał dziewczynę na śmierć, ale doprowadziła go do takiej wściekłości, zasługiwała na szafowanie jej życiem.

Strzelił w ziemię pół metra przed otwartym pyskiem zwierzęcia. Ciężki pocisk przeorał ziemię wyrzucając w powietrze fontannę suchego piasku, który na chwilę kompletnie przesłonił bestię. Syпки miał wypełnić pysk zwierzęcia i dostał się głęboko do gardła. Ziarenka piasku wdarły się także do nozdrzy zatykając je kompletnie i smagneły po żółtych oczach, dostając się pod powieki. Oślepiona, zdezorientowana lwica, natychmiast przerwała atak.

Sean pobiegł ku dziewczynie trzymając palec na spuście i drugi nabój w lufie, ale następny strzał nie był już potrzebny. Lwica wycofała się. Skierowała się ku wysokim trzcinom, usiłując oczyścić łapami zapiaszczone oczy, przewracając się i podskakując gwałtownie w górę wśród dzikich pomruków, kiedy tarzała się po ziemi na brzegu i podrywała na nogi, by uciec dalej. Wkrótce przepelnione gniewnymi rykami odgłosy zmagania się z piachem ucichły.

Sean dopadł Claudii i podniósł ją z ziemi. Dziewczyna nie mogła ustać na miękkich nogach, więc musiał ją na wpół zanieść, a na wpół zaciągnąć do toyoty, gdzie bezceremonialnie wrzucił ją na przednie siedzenie.

– Ruszaj! – krzyknął do Joba. Kierowca z plemienia Matabele wrzucił bieg i po chwili toczyli się szybko w stronę obozu, podskakując na wybojach.

Przez minutę nikt się nie odzywał i dopiero gdy wyjechali z koryta rzeki na brzeg, gdzie rozpościerała się ścieżka, Claudia powiedziała zduszonym głosem:

– Jeśli natychmiast się nie załatwię, to pęknie mi pęcherz.

– Zawsze możemy cię użyć zamiast gaśnicy, żeby spłoszyć Warkliwą Sue – stwierdził chłodno Sean i siedzący na tylnym siedzeniu Riccardo parsknął rubasznym śmiechem. Claudia rozpoznała ulgę w głosie ojca, ale wcale nie poprawiło to jej samopoczucia. Czuła się okropnie poniżona i śmiech ojca dotknął ją do żywego.

Droga do obozu zajęła im ponad godzinę. Kiedy przybyli na miejsce, Moses, obozowy służący Claudii, przygotował już dla niej prysznic z gorącą wodą. Prysznic składał się z dziewięćdziesięciolitrowej beczki po ropie zawieszanej pomiędzy gałęziami drzewa, uplecionej z trawy kolistej ściany otwartej u góry i wylanej betonem podłogi.

Claudia stała pod strumieniem gorącej wody i w miarę gdy jej ciało stawało się coraz bardziej różowe, opuszczało ją uczucie wstydu i mdłości wywołanych nadmiarem adrenaliny, a ich miejsce wypełniło wyjątkowo dobre samopoczucie, jakie ogarnia ludzi, którym udało się wyjść z wyjątkowo groźnej sytuacji.

Rozprowadzając delikatną mydlaną pianę na rozgrzanym ciele Claudia nasłuchiwała jednocześnie odgłosów wydawanych przez Seana. Znajdował się jakieś pięćdziesiąt metrów dalej w urządzonych w namiocie przenośnej sali gimnastycznej, a dziewczynę dochodziły jego regularne głębokie oddechy, gdy ćwiczył ciężarkami. Claudia zauważyła, że w ciągu czterech dni, jakie spędziła w obozie, ani razu nie zaniedbał wieczornych treningów bez względu na to, jak trudne i męczące było polowanie tego dnia.

„Rambo!” Uśmiechnęła się pogardliwie na myśl o jego męskiej próżności. Nie potrafiła jednak ukryć przed sobą, że w ciągu tych czterech dni kilka razy przyłapała się na tym, jak przygląda się uważnie jego muskularnym ramionom, płaskiemu brzuchowi czy nawet okrągłym i twardym pośladkom, które przypominały jej parę strusich jaj złożonych w szortach koloru khaki.

Ubrana w jedwabny szlafroczek i ręcznik zawiązany niczym turban na głowie, Claudia wróciła do namiotu odprowadzona przez Mosesa, który siedział przed nią z latarnią. Na łóżku leżało już jej ubranie: spodnie w kolorze khaki, koszulka z krótkim rękawem firmy Gucci i buty przeciw moskitom ze skóry strusia. Claudia sama nie mogłaby wybrać niczego lepszego. Moses codziennie prał i prasował jej brudne rzeczy. Wciągając spodnie słyszała, jak trzeszcza delikatnie ze świeżości, co jeszcze bardziej poprawiło jej wysmienite samopoczucie.

Nie spieszyła się z wysuszeniem i wyszczotkowaniem włosów. Nałożyła delikatnie tusz na rzęsy, uszmkowała usta i kiedy przyjrzała się w lustrze odbiciu swojej twarzy, była już zupełnie z siebie zadowolona.

„No proszę, kto tu jest próżny?” Uśmiechnęła się i wyszła do siedzących przy ognisku mężczyzn. Z satysfakcją zauważyła, że przerwali rozmowę i patrzyli, jak się do nich zbliża. Sean poderwał się z płóciennego krzesła, żeby jej usłużyć, i Claudia stwierdziła, że jego grzeczne gesty wybitnie ją denerwują.

– Siadaj! – Postarała się nadać swojemu głosowi szorstkie brzmienie. – Nie musisz



skakać na mój widok jak marionetka.

Sean uśmiechnął się swobodnie.

„Nie daj jej tylko poznać, jak bardzo działa ci na nerwy”, przestrzegł sam siebie i przysunął jej krzesło czekając, aż usiądzie wyciągając nogi ku ognisku.

– Przynieś donnie drinka – polecił kelnerowi. – Pamiętasz, jak ma być przyrządzony?

Kelner podał jej kieliszek na srebrnej tacy. Drink był wyśmienity. Odrobina whisky Chivas w kryształowej szklaneczce wypełnionej lodem zaledwie zabarwiła wodę Perrier. Kelner był ubrany w śnieżnobiałą szatę kanza, której koniec sięgał mu poniżej kolan, przepasaną szkarłatną szarfą – znak, że jest głównym kelnerem. Na głowie zaś nosił szkarłatny fez w kształcie okrągłej, sztywnej czapeczki bez daszka. Jego dwóch pomocników ubranych w białe szaty i purpurowe fezy stało z szacunkiem z tyłu. Claudia od początku pobytu w obozie czuła się lekko zaambarasowana liczbą służby – dwudziestu ludzi do obsługi ich trojga – i uważała to za sybarytyzm, kolonializm i w ogóle wyzysk. Mieli, na Boga, rok 1987 i Imperium Brytyjskie dawno temu się rozpadło – ale whisky była wspianała.

– Przypuszczam, że spodziewasz się podziękowań za uratowanie mi życia – powiedziała sącząc wolno drinka.

– Nic podobnego, kotku. – Sean szybko wyczuł, że Claudia nienawidzi tego zwrotu. – Nie oczekuję nawet, że przeprosisz za swoją monstrualną głupotę. Żeby być z tobą zupełnie szczerzy, to najbardziej się bałem, że będę musiał zabić lwicę. To by dopiero była prawdziwa tragedia.

Rozpoczęli słowny pojedynek, który szybko przypadł Claudii do gustu. Każdy jej cios, który przeszedł przez gardę Seana, napawał ją satysfakcją, nawet większą niż wygrana w sądzie. Poczula więc lekkie rozczarowanie, gdy kelner oznajmił:

– Mambo, kucharz mówi, że obiad już gotowy. – Sean poprowadził ich do namiotu stołowego oświetlonego świecami powkładanymi do świeczników z miśnieńskiej porcelany. Na stole leżały sztuczne z czystego srebra – Claudia sprawdziła poprzednio ukradkiem stemple probiercze. Na koronkowym obrusie z Madery lśniły kryształowe kieliszki od Waterforda, a za każdym składanym krzesłem stał ubrany w białą szatę kelner, obsługujący jednego gościa.

– Szefie, masz jakieś specjalne życzenia na dzisiejszy wieczór? – spytał Sean.

– Może Wolfgang Amadeusz? – zasugerował Riccardo, więc Sean, zanim zasiadł do stołu, włączył magnetofon. Z głośników popłynęły pierwsze nuty XVII Koncertu fortepianowego ożywiając migające światło świec.

Na pierwsze danie była zupa z zielonego groszku, kaszy perłowej i szpiku kostnego upolowanego bawołu, przyprawiona przeraźliwie ostrym sosem chili, który Sean nazywał Peli Peli Ho Ho.

Claudia odziedziczyła po ojcu upodobanie do chili, czosnku i czerwonego wina, ale nawet dla jej wyrobionego podniebienia drugie danie składające się z flaczków bawołu

w białym sosie było niezjadliwe. Obaj mężczyźni lubili flaki w kolorze zielonym, co było zwykłym eufemizmem dla wnętrzości niedokładnie oczyszczonych z pierwotnej zawartości.

– To tylko przeżuta trawa – zauważył jej ojciec, co omal nie odebrało jej apetytu. Po chwili Claudia poczuła zapach dania, które kucharz przygotował specjalnie dla niej. Spod upieczonej na złocisty kolor skórki doszedł ją wspaniały zapach polędwicy z nerkami antylopy. Kiedy w czasie przygotowywania obiadu Claudia zasugerowała dodanie dziesięciu ząbków czosnku, wysoka biała czapa aż zatrzęsała się na głowie kucharza.

– Książka kucharska mówi bez czosnku, donna.

– Moja książka mówi dużo czosnku, ona mówi bardzo głośno dziesięć ząbków czosnku, w porządku, mistrzu? – Kucharz wiedział, że został pokonany i uśmiechnął się do niej szeroko. Claudia bardzo szybko podbiła cały obóz swoją swobodą i naturalnym wdziękiem.

Do obiadu podano południowoafrykański cabernet o bogatym bukacie, który smakował Claudii niemal tak samo, jak jej ulubione chianti. Z apetytem zabrała się do polędwicy i wina. Trudy dnia, silne słońce i świeże powietrze zaostriły jej apetyt, a Claudia, podobnie jak jej ojciec, potrafiła zjeść każdą ilość jedzenia nie zwiększając ani o centymetr obwodu w biodrach. Jedyne prowadzona przy stole rozmowa szybko ją rozczarowała. Jak podczas wszystkich poprzednich wieczorów mężczyźni rozmawiali o strzelbach, polowaniu i zabijaniu dzikich zwierząt. Kiedy schodzili na temat broni, rozmowa wydawała się jej zwykłym bełkotem.

Jej ojciec, na przykład, mówił coś w następującym stylu:

– Kaliber 300 weatherby może wystrzelić 12-gramowy pocisk z szybkością 960 metrów na sekundę, co daje ci siłę wystrzału przekraczającą 2600 metrów na kilogram i niesamowitą siłę uderzenia.

Na co Sean odpowiadał:

– Wy, jankesi, jesteście zafascynowani szybkością. Roy Weatherby odpalił więcej pocisków na safari niż ty, Szefie, zjadłeś w swoim życiu spaghetti. Dla mnie wystarczy konstrukcja Nosiera i przeciętna szybkość...

Żadna normalna osoba nie mogła prowadzić takiej rozmowy całymi godzinami, powiedziała sobie Claudia, a jednak każdego wieczoru wracała do swojego namiotu zostawiając obu mężczyzn siedzących przy ognisku z koniakiem i cygarami, zatopionych w technicznych dyskusjach.

Kiedy podejmowali temat zwierząt, Claudia mogła zrozumieć znacznie więcej, a nawet wziąć w niej udział, zazwyczaj wyrażając swój brak aprobaty dla wszystkiego. Mężczyźni najczęściej mówili o indywidualnych zwierzętach, legendarnych samcach, dla których Sean wymyślał pieszczotliwe nazwy, które irytowały Claudię tak samo jak przydomek „Szefer” nadane jej ojcu, jakby ten był jakimś przywódcą mafii. Lew, na którego obecnie polowali i dla którego zawiesili na drzewie upolowanego bawołu, otrzymał przydomek „Fryderyk Wielki” lub, po prostu, „Fred”.

– Widziałem go dwa razy w tym sezonie, a jeden z moich klientów nawet do niego strzelał. Facet tak się trząsał z podniecenia, że spudłował o całe boisko piłkarskie.

– Opowiedz mi o tym lwie. – Riccardo pochylił się lekko do przodu.

– Tato, opowiadał ci o nim zeszłego wieczoru – przypomniała mu słodkim głosem Claudia – i poprzedniego, i trzy dni temu...

– Małe dziewczynki nie mają głosu – zachichotał Riccardo. – Myślałem, że nauczyłem cię nieco dobrych manier. Powiedz mi o Fredzie.

– Ma chyba ze trzy metry długości, łeb olbrzymi jak u hipopotama i grzywę jak czarny stóg siana. Kiedy kroczy, grzywa faluje niczym gałęzie drzewa msasa na wietrze. – Sean rozpoczął pieśń pochwalną. – Spryt? Przebiegłość? Fred zna wszystkie sztuczki. Z tego, co wiem, strzelano do niego trzy razy. Trzy sezony temu ranił go hiszpański myśliwy na koncesji Iana Piercy’ego, ale Fred wyzdrowiał. Nie wyrósłby na tak dużego lwa, gdyby był głupi.

– Jak go dostaniemy? – spytał Riccardo.

– Myślę, że jesteście okropni – wtrąciła się Claudia, zanim Sean zdążył odpowiedzieć. – Nie mogę zrozumieć, jak możecie zabijać te piękne zwierzęta po tym, jak dzisiaj widzieliśmy te cudowne malutkie lwiątko.

– Nie widziałem, żeby ktoś z nas strzelał do lwiątek – sprzeciwił się Riccardo kiwając głową na kelnera, by podał mu dolewkę flaków. – Tak naprawdę, to poszliśmy na duże ryzyko, żeby zapewnić im bezpieczeństwo.

– Poświęcasz czterdzieści pięć dni swojego życia tylko po to, żeby móc zabijać lwy i słonie! – odcięła się Claudia. – Nie próbuj ze mną tego szlachetnego tonu, Riccardo Monterro.

– Zawsze mnie fascynowały pogmatwane procesy myślowe przeciętnego liberalnego krzykacza – wtrącił się Sean i Claudia zwróciła się ochoczo przeciw niemu.

– W moim umyśle nie ma żadnych pogmatwanych procesów. Jesteście tu po to, żeby zabijać zwierzęta.

– W ten sam sposób, w jaki robi to farmer – zgodził się z nią Sean. – Zabijam po to, żeby zapewnić stadu jak najlepszy rozwój i stworzyć miejsce, gdzie mogłoby żyć.

– Nie jesteś farmerem.

– Właśnie, że jestem – sprzeciwił się Sean. – Różnica polega na tym, że ja zabijam zwierzęta na otwartej przestrzeni, a nie w rzeźni. Poza tym chodzi nam dokładnie o to samo: o przetrwanie hodowanego stada.

– To nie są zwierzęta domowe – upierała się Claudia. – Są piękne i dzikie.

– Piękne i dzikie? A co, do cholery, jedno z drugim ma wspólnego?

Jak wszystko inne we współczesnym świecie, dzikie zwierzęta Afryki muszą opłacić swoje istnienie, jeśli chcą przeżyć. Nasz Szeft płaci kilkadziesiąt tysięcy dolarów, żeby móc zapolować na lwy i słonie. Nadaje im w ten sposób o wiele większą wartość, niż ma ją zwykle bydło czy trzoda i dlatego rząd Zimbabwe zgadza się na wydzielenie milionów akrów ziemi

na koncesje, w których żyją dzikie zwierzęta. Dostałem jedną z tych koncesji i mam zamiar uchronić swój teren przed kłusownikami i hodowcami bydła, a także sprawić, żeby było tu pełno zwierzyny, która przyciągnie myśliwych. Nie, kotku, legalne safari jest jednym z najlepszych sposobów na zachowanie dzikiego życia w Afryce.

– Więc zamierzasz zachować te zwierzęta zabijając je z najskuteczniejszych strzelb? – spytała z pogardą Claudia.

– Najskuteczniejsze strzelby? – roześmiał się Sean. – Kolejny bezsensowny zwrot powtarzany przez liberalne papugi. Wolałabyś, żebym używał kiepskich strzelb? Przecież to by było to samo, co domagać się, żeby rzeźnik podrzywał krowom gardła tęnym nożem. Jesteś inteligentną dziewczyną, spróbuj więc myśleć głową, a nie sercem. Indywidualne zwierzę nie ma najmniejszego znaczenia. Jego całe życie zamyka się w kilku krótkich latach. W przypadku lwa, na którego polujemy, jest to jakieś dwanaście lat, nie więcej. To co jest bezcenne, to zachowanie przy życiu gatunku. Nie pojedynczego zwierzęcia, ale całego gatunku. Nasz lew jest już starym zwierzęciem, którego życie i tak dobiega końca. Wcześniej zapewniał bezpieczeństwo samicom i młodym oraz przekazywał swoje geny następnym pokoleniom. Za rok czy dwa i tak musi umrzeć. O wiele lepiej będzie, jeśli jego śmierć przyniesie dziesięć tysięcy dolarów, które zostaną spożytkowane na stworzenie jego potomkom bezpiecznego miejsca do życia, niż pozwolić, żeby to miejsce zapełniło się czarną tłuszczą ze swoimi chudymi kozami.

– Mój Boże, co ja słyszę? – Claudia pokiwała ze smutkiem głową. – „Czarna tłuszczą” to są słowa rasisty i fanatyka. To przecież ich ziemia, – czemu nie mogą sami wybrać, gdzie chcą mieszkać?

– A oto logika pomyłonego liberała – roześmiał się Sean. – Zdecyduj się, po czyjej stronie stoisz: pięknych i dzikich zwierząt, czy pięknych i dzikich Murzynów? Nie możesz mieć jednego i drugiego; kiedy rozpoczyna się współzawodnictwo o miejsce do życia, dzikie zwierzęta zawsze je przegrywają z Murzynami, chyba że my, myśliwi, zapłacimy za nie rachunek.

„To nie jest człowiek, z którym można bezpiecznie się spierać”, pomyślała Claudia i poczuła ulgę, gdy ojciec wtrącił się do rozmowy pozwalając jej zebrać myśli.

– Nie ma żadnej wątpliwości, po której stronie stoi moja kochana córeczka. Musisz pamiętać, Sean, że mówisz do członka komisji zajmującej się przesiedlaniem ludzi Inuit na ich tradycyjne tereny.

Claudia uśmiechnęła się słodko do ojca.

– Nie Inuit, tatusiu. Jeszcze ludzie pomyślą, że zupełnie zmiękleś. Nawet nie Eskimosi – zazwyczaj nazywasz ich ciemniakami, nieprawdaż?

Riccardo przyglądał siwe włosy na skroniach.

– Sean, opowiedzieć ci, jak moja córeczka i jej komisja ustalają, która część Alaski należy do Eskimosów? – zapytał.

– I tak ci opowie. – Claudia nachyliła się, żeby pogłaskać ojca po rękę. – To jego najlepsza historia. Bardzo śmieszna, na pewno ci się spodoba.

Riccardo mówił dalej, jakby jego córka zupełnie się nie odezwała.

– Udają się na ulicę Fourth w Anchorage, gdzie znajdują się wszystkie najgorsze knajpy, i zbierają kilku Eskimosów, którzy jeszcze trzymają się na nogach. Pakują ich do samolotów i lecąc nad półwyspem pytają: „Powiedz nam, gdzie twoi przodkowie żyli. Pokaż wasze tradycyjne tereny łowieckie. Na przykład tamto jezioro, czy twoi przodkowie łowili w nim kiedyś ryby?” – Riccardo, który był świetnym aktorem, zmienił głos. – „Oczywiście!!”, krzyczy Eskimos z tylnego siedzenia, a oczy mu wychodzą z orbit od Jacka Danielsa. „Mój dziadzius łowił tam ryby”.

Zmienił głos, naśladując teraz Claudię.

– „A co z tamtymi górami na horyzoncie, które my, źli biali ludzie, ukradliśmy wam i nazywamy Brooks Range? Czy twój dziadek polował kiedyś w tych górach?” – Riccardo znowu przybrał głos pijanego Eskimosa. – „Jasne, człowieku. Zastrzelił tam od cholery niedźwiedzi. Pamiętam, że babcia mi o tym opowiadała”.

– Nie przerywaj, tatusiu. Masz dziś wspaniałą publiczność. Pan Courteney z pewnością docenia twój dowcip – zachęciła go Claudia.

– Powiedzieć ci coś? – spytał Seana Riccardo. – Jeszcze się nie zdarzyło, żeby jakiś Eskimos odmówił przyjęcia góry czy jeziora, które mu proponowała Claudia. Czy to nie prawdziwy sukces? Moja córeczka ma wspaniałe osiągnięcia: ani jednej przegranej sprawy.

– No to masz niesamowitego farta, Szefie – powiedział mu Sean. – Przynajmniej coś ci może zostawią, tutaj zabrali wszystko.

Claudia obudziła się na dźwięk lekkiego stukotu porcelanowej zastawy, dochodzącego sprzed namiotu i grzecznego kasznięcia Mosesa. Nikt jej jeszcze nie podawał herbaty do łóżka. Był to luksus, który zapewniał jej wyjątkowo przyjemne poczucie dekadencji. W namiocie było jeszcze zupełnie ciemno i okropnie zimno. Kiedy Moses podniósł klapę wejściową, Claudia usłyszała chrzęst szronu. Nigdy nie przypuszczała, że w Afryce może być tak chłodno.

Usiadła na łóżku z kołdrą zarzuconą na ramiona i objąwszy obiema dłońmi gorącą filiżankę patrzyła, jak Moses krząta się po namiocie. Nalał dzban gorącej wody do miednicy i powiesił czysty ręcznik na krześle. Następnie napełnił kubeczek ciepłą wodą i nawet wycisnął pastę z tubki na szczotkę. Wreszcie przyniósł rozgrzany koksownik i ustawił go na środku namiotu.

– Dzisiaj zimno, donna.

– I zbyt wcześnie – zgodziła się z nim sennym głosem Claudia.

– Donna, czy słyszałaś, jak lwy ryczały w nocy?

– Nic nie słyszałam. – Ziewnęła. Nawet gdyby przy jej łóżku orkiestra dęta grała

„Najpiękniejszą Amerykę”, to i tak by to jej nie obudziło.

Moses ułożył na zapasowym łóżku jej ubranie. Claudia zauważyła, że buty są wypolerowane do połysku.

– Donna, jeśli czegoś potrzebujesz, to mnie zawołaj – powiedział przed wyjściem z namiotu.

Wyskoczyła z łóżka i stała przez chwilę przy koksowniku ogrzewając nad żarem spodnie, zanim je wciągnęła na siebie.

Kiedy wyszła na dwór, zobaczyła na niebie gwiazdy. Zatrzymała się z podniesioną głową i stwierdziła, że nadal ją zdumiewa, jak bardzo rozgwieżdżony firmament przypomina jubilerską robotę. Z pewną dumą znalazła Krzyż Południa, a potem podeszła do ogniska, przy którym czekali już na nią mężczyźni. Wyciągnęła ręce ku jasnym płomieniom.

– Nic się nie zmieniłaś od dziecka. – Ojciec uśmiechnął się do niej. – Pamiętasz, jak każdego ranka musiałem się namęczyć, żeby zwlec cię z łóżka i wysłać do szkoły? – Kelner podał jej drugą filiżankę herbaty.

Sean gwizdnął i Claudia usłyszała, jak Job zapuszcza silnik toyoty i podjeżdża do przedniej bramy obozowiska. Zaczęli wkładać na siebie ciepłe ubrania: golfy i anoraki, czapki i wełniane szaliki.

Kiedy podeszli do wozu, strzelby były już poukładane na stojakach, a Job i Shadrach, dwóch Matabelczyków, stało z tyłu wozu. Pomiędzy nimi stał malutki naganiacz z plemienia Ndorobo, który sięgał Claudii zaledwie do pachy, ale miał wyjątkowo ujmujący uśmiech i jasne, złośliwe oczy. Claudia lubiła całą murzyńską załogę obozu, ale Matatu był jej faworytem. Przypominał jednego z krasnali z „Królowy Śnieżki”. Trzej Murzyni byli ubrani w długie wojskowe kurtki i zrobione na drutach czapki balaclava i wszyscy odpowiedzieli śnieżnobiałymi uśmiechami na przywitanie Claudii. W obozie nie było osoby, która by jej nie polubiła od pierwszego wejrzenia.

Sean zajął miejsce za kierownicą. Claudia usiadła również na przednim siedzeniu pomiędzy nim a ojcem. Skuliła się na swoim miejscu i przytuliła mocno do ojca. W ciągu tych kilku dni jej pierwszego safari szybko polubiła taki początek dnia.

Jechali wolno po nierównej ścieżce, a kiedy noc zaczęła ustępować przed świtem, Sean zgasił światła.

Claudia spoglądała na gęsty las i zarośniętą trawą przecinki, które Sean nazywał „vleis” i usiłowała pierwsza dostrzec jakieś nie znane sobie, piękne zwierzę. Zawsze jednak to Sean lub ojciec szeptali jej: „Kudu po lewej” czy „To jest antylopa trzciniowa”, czy też Matatu nachylał się z tylnego siedzenia i dotykając delikatnie jej ramienia wskazywał malutką, różową dłońią jakiś rzadki widok.

Zakurzona droga była pokryta śladami zwierząt, które przechodziły tędy w nocy. W pewnej chwili natrafili na świeże odchody słonia, które jeszcze parowały w chłodzie poranka i wszyscy wysiedli z wozu, żeby przyjrzeć się sięgającej kolan kupie. Z początku

Claudia miała pewne wątpliwości co do tego nieustannego zainteresowania odchodami, ale szybko się do tego przyzwyczaiła.

– Staruszek – powiedział Sean. – To już jego ostatnie zęby.

– Skąd wiesz? – zapytała Claudia.

– Nie może przeżuć pokarmu – odparł. – Spójrz na te gałązki i liście, są niemal nienaruszone.

Matatu uklęknął przy tropie przyglądając się uważnie okrągłym śladom nóg, wielkim jak pokrywy od pojemników na śmieci.

– Zobacz, jak gładkie są podeszwy stóp – pokazał jej Sean. – Wytarte jak zużyte opony. Jest stary i wielki.

– Czy to on? – spytał Riccardo i rzucił wzrokiem na swojego 416 rigby, który stał w stojaku za przednim siedzeniem.

– Matatu nam powie. – Sean wzruszył lekko ramionami, a mały Ndorobczyk splunął na ziemię i wstając potrząsnął niechętnie głową. Następnie powiedział coś do Seana śpiewnym i cienkim swahili.

– To nie ten, którego szukamy. Matatu zna tego byka – przetłumaczył Sean. – Widzieliśmy go w zeszłym roku nad rzeką. Jeden z kłów ma złamany u nasady, a drugi jest starty do połowy. Kiedyś musiały być wspaniałe, ale jest już daleko po drugiej stronie wzgórza.

– Chcesz powiedzieć, że Matatu może rozpoznać poszczególnego słonia po śladach stóp? – spytała z niedowierzaniem Claudia.

– Matatu może rozpoznać poszczególnego bawołu w stadzie złożonym z pięciuset zwierząt i dwa lata później pozna go po śladach kopyt. – Sean trochę przesadzał na jej użytek. – Matatu nie jest naganiaczem, ale czarownikiem.

Ruszyli dalej, a wokół nich zdarzały się różne cudowne rzeczy: byk kudu, szary niczym duch i poznaczony białymi kredowymi prążkami, o gęstej grzywie i garbatym grzbiecie, z poskręcanyimi rogami błyszczącymi w porannym półmroku, schował się przed samochodem do lasu; w światła samochodu została schwytana żeneta wracająca z nocnego polowania, nakrapiana i złocista niczym miniaturowy leopard wyglądała na nich ze zdziwieniem z brązowej trawy na krawędzi lasu. Stado krzyczących perliczek z woskowatymi hełmami na głowach przebiegło przez trawę przy trakcie i Claudia nie musiała już ciągle pytać: „Co to za ptak?” czy „Jak się nazywa to zwierzę?” Zaczynała już rozpoznawać niektóre z nich, co zwiększało przyjemność porannej wyprawy.

Przed samym wschodem słońca Sean zaparkował toyotę u stóp skalistego wzgórza, które wyrastało nieoczekiwanie z lasu. Wysiedli zdrętwiali z wozu i pozdejmowali z siebie ciężkie kurtki. Zaczęli wspinać się na wzgórek stromą, nierówną ścieżką długości jakichś stu metrów. Zbliżając się do szczytu Claudia musiała ukrywać urywany oddech. Okazało się, że Sean doskonale wymierzył czas, gdyż w chwili, kiedy osiągnęli wierzchołek, zza odległego lasu

wyłoniło się słońce i oświetliło ziemię malując ją jasnymi, czystymi kolorami.

Rozejrzeli się po otaczającym ich lesie i polankach porośniętych złocistą trawą, które prowadziły ku następnym wzgórzom przywodzącym na myśl baśniowe lasy ozdobione wieżyczkami i basztami. Niektóre pagórki były zasłane czarnymi skałami i wyglądały jak pozostałości z dnia stworzenia.

Wspinaczka rozgrzała wszystkich. Zrzucili z siebie grube swetry. Pierwsze promienie słońca zapowiadały upalny dzień. Sean, Riccardo i Claudia usiedli na krawędzi wzgórza oglądając przez lornetki rozciągającą się przed nimi panoramę. Za nimi Job rozłożył pudełko z prowiantem i w ciągu dziesięciu minut rozpałił ognisko. Kiedy wyruszali z obozu, było jeszcze za wcześnie na posiłek, ale teraz, czując zapach bekonu i jajek, Claudii napłynęła ślina do ust.

W oczekiwaniu na śniadanie Sean objaśniał im teren.

– Tam jest granica z Mozambikiem, zaraz za tym drugim wzgórzem; nie więcej niż dziesięć, dwanaście kilometrów stąd.

– Mozambik – wymruczała Claudia przyglądając się lasowi przez lornetkę. – Ta nazwa ma w sobie coś romantycznego.

– Nie za bardzo. To kolejny tryumf afrykańskiego socjalizmu – starannie wypracowanej polityki ekonomicznego chaosu i zniszczenia – burknął Sean.

– Mój żołądek nie znosi rasizmu przed śniadaniem – odpowiedziała chłodno Claudia.

– W porządku. – Sean wyszczerzył wesoło zęby. – Wystarczy powiedzieć, że za tą granicą jest dwanaście lat marksizmu, korupcji, chciwości i niekompetencji, które właśnie przynoszą pierwsze owoce. Trwa tam wojna domowa, nad którą nikt nie panuje, głód, który najpewniej zabije milion ludzi, i epidemie, w tym AIDS, które zabiją jakiś następny milion w ciągu najbliższych pięciu lat.

– Wygląda na wspaniałe miejsce na wakacje – zażartował Riccardo. – Job, co ze śniadaniem?

Job podał im talerze z jajecznicą na bekonie i tostami oraz po kubku mocnej kawy. Śniadanie jedli trzymając talerze na kolanach i przyglądając się przez lornetki lasom.

– Job, jesteś świetnym kucharzem – pochwaliła go Claudia.

– Dziękuję, pani – odparł cicho Job. Murzyn mówił po angielsku tylko z ledwo wyczuwalnym akcentem. Był to trzydziestokilkuletni wysoki i dobrze zbudowany mężczyzna z szeroko rozstawionymi, inteligentnymi oczami i przystojną, okrągłą twarzą świadczącą o zuluskim pochodzeniu plemienia Matabele.

– Gdzie się nauczyłeś gotować? – spytała Claudia. Matabelczyk zawahał się przez chwilę i rzucił spojrzenie Seanowi, zanim odpowiedział głębokim i miękkim głosem:

– W armii, proszę pani.

– Job był kapitanem w oddziale Ballantyńskich Skautów. Służył razem ze mną.

– Kapitanem! – zdziwiła się głośno Claudia. – Nie wiedziałam, że... – umilkła szybko,



rzucając na Joba zawstydzone spojrzenie.

– Nie wiedziałaś, że w rodezyjskiej armii służyli czarni oficerowie – dokończył za nią Sean. – Afryka jest trochę inna, niż to pokazują w stacji CBS.

Shadrach, drugi naganiacz, siedział pięćdziesiąt metrów dalej na krawędzi wzgórza, skąd miał lepszy widok na północ i teraz zagwizdał cicho i wskazał w tamtą stronę. Sean wytarł chlebem resztki jajka z talerza, włożył do ust, a talerz oddał Jobowi.

– Dzięki, Job, to było wspaniałe. – Następnie podszedł do Shadracha. Przez chwilę przyglądali się lasowi.

– O co chodzi? – spytał niecierpliwie Riccardo.

– Słoń – odpowiedział Sean. Riccardo i Claudia poderwali się na nogi i podbiegli do krawędzi.

– Gdzie? Gdzie? – dopytywała się Claudia.

– Duży? – spytał Riccardo. – Możesz dostrzec jego kły? Czy to on?

– Za daleko, żeby mieć pewność. Ponad trzy kilometry. – Sean wskazał niewyraźny szary kształt pomiędzy drzewami. Claudia była zdziwiona, że tak trudno dostrzec tak duże zwierzę. Słoń poruszył się lekko po kilku minutach i dopiero wtedy Claudia go spostrzegła.

– Jak myślisz? – zapytał Riccardo. – Czy to może być Tukutela?

– To może być on. – Sean skinął głową. – Ale stawiam tysiąc do jednego, że to inny słoń.

Tukutela. Claudia słyszała, jak mężczyźni rozmawiali o tym słoniu przy ognisku. Tukutela, Rozzłoszczony Słoń, był jednym z tych legendarnych zwierząt, których niewiele zostało już w całej Afryce. Był to olbrzymi samiec z wielkimi kłami, z których każdy ważył prawie pięćdziesiąt kilogramów. To właśnie dla Tukuteli ojciec Claudii po raz ostatni przyjechał do Afryki. Riccardo widział już kiedyś tego słonia. Trzy lata wcześniej był na safari z Seanem Courteneyem i obaj podążali przez pięć dni za wspaniałym okazem, prowadzeni przez Matatu, który znalazł i upilnował trop zwierzęcia przez ponad sto pięćdziesiąt kilometrów, aż wreszcie zaprowadził ich do słonia. Udało im się podkraść na odległość dwudziestu kroków do Tukuteli zajętego zjadaniem owoców z drzewa marula. Z tej odległości mogli zobaczyć każdą zmarszczkę i załamanie na jego starej skórze. Byli tak blisko, że mogli policzyć kilka pozostałych w ogonie włosów, ale ich uwagę przyciągnęły niewiarygodnie duże kły zwierzęcia.

Riccardo Monterro czuł, że zapłaciłby każdą cenę, żeby posiadać te kły jako trofeum. Zapytał Seana szeptem:

– Czy nie ma sposobu, żebym mógł na niego zapolować? – I zobaczył, jak ten się przez chwilę waha, zanim potrząsnął przecząco głową.

– Nie, Szefie. Nie możemy go nawet tknąć. To by nas kosztowało więcej niż tylko moją licencję i koncesję. – Z szyi Tukuteli zwisał kołnierz z nylonu, twardy i gruby jak opona, na którego końcu zawieszono nadajnik.

Kilka lat wcześniej członkowie rządowego programu badań nad słoniami postrzelili

i uśpili słonia z helikoptera, a kiedy leżał nieprzytomny na ziemi, zawiesili mu na szyi kołnierz z nadajnikiem. W ten sposób Tukatela stał się oznakowanym zwierzęciem badawczym, co uczyniło go nietykalnym dla legalnych myśliwych na safari, choć oczywiście nadal mógł zginąć z rąk kłusowników.

Podczas gdy zwierzę znajdowało się pod wpływem środków usypiających, doktor Glynn Jones, kierujący badaniami rządowy weterynarz, zmierzył kły słonia. Raport doktora nie był przeznaczony dla szerszej publiczności, ale sekretarka weterynarza, piękna i młoda blondynka, uznała, że Sean Courteney jest najwspanialszym mężczyzną, jakiego spotkała w życiu. Przeczytała więc mu cały raport.

– Z pomiarów Jonesa wynika, że jeden kieł waży 58 kilogramów, a drugi jest o kilka kilo lżejszy – wyszeptał Sean Riccardowi do ucha, gdy leżeli kilkanaście kroków od słonia i obaj z pożądaniem szacowali wartość kłów.

U nasady były równie grube jak udo Seana i dopiero daleko dalej zaczynały zwężać się ku końcowi. Były niemal czarne od soków rozgniatanych roślin, a ich końce lekko stępione. Według doktora Jonesa lewy kieł miał 255 centymetrów, a prawy 260 centymetrów długości, mierząc od nasady.

Wreszcie obaj mężczyźni wycofali się i zostawili słonia jego samotnym wędrownikom. Pół roku temu sekretarka doktora, która właśnie przygotowywała śniadanie dla Seana w swoim małym mieszkaniu na Avenues w Harare, powiedziała zdawkowo:

– Wiesz, że Tukatela zrzucił kołnierz?

Sean, który leżał zupełnie nagi na jej łóżku, poderwał się na nogi.

– Co powiedziałaś?

– Jones strasznie się wściekł. Namierzyli go kierunkowym poszukiwaczem radiowym, ale znaleźli jedynie sam kołnierz. Tukatela zerwał jakoś tę obrozę i zarzucił na czubek drzewa msasa.

– Moja ty przebiegła, mała ślicznotko – powiedział do niej Sean szczęśliwym głosem. – Chodź do mnie odebrać swoją nagrodę. – Dziewczyna zsunęła z siebie szlafroczek i podbiegła do łóżka.

Od kiedy Tukatela pozbył się kołnierza, przestał być zwierzęciem wyznaczonym do celów badawczych i stał się legalnym celem dla myśliwych. Tego samego dnia Sean wysłał teleks do Riccarda na Alaskę, a już następnego popołudnia otrzymał odpowiedź:

**PRZYJEŹDŹAM STOP ZAREZERWUJ MI PEŁNE SAFARI OD 1 LIPCA DO 15 SIERPNI STOP CHCĘ TEGO JUMBO STOP SZEŃ.**

Teraz Riccardo stał na krawędzi wzgórza i patrząc na niewyraźną szarą smugę pomiędzy drzewami, drżał z podniecenia.

Stojąca trochę z tyłu Claudia przyglądała mu się z nie ukrywanym zdziwieniem. Przecież to jej ojciec, którego znała jako najbardziej przebiegłego człowieka interesu i prawdziwego znawcę *savoir faire*. Widziała, jak bez żadnych emocji negocjował warunki

dziesięciomilionowego kontraktu czy rzucał książęce stawki na stół w Vegas. Teraz jednak drżał jak uczeń na pierwszej randce. Poczła do niego nagły przypływ tkliwości.

„Nie rozumiałam, ile to dla niego znaczy”, pomyślała. „Może jestem dla niego zbyt ostra? To przecież ostatnia rzecz, jakiej może jeszcze pożądać w życiu”. Poczła potrzebę objęcia ojca ramieniem i powiedzenia mu: „Przepraszam, tatusiu. Tak mi przykro, że usiłowałam cię pozbawić tej ostatniej przyjemności”. Riccardo nie był nawet świadom jej obecności.

– To może być Tukutela – powtórzył cichym głosem, mówiąc do siebie, jakby chciał sprawić siłą woli, żeby to był jego wymarzony słoń. Sean potrząsnął przecząco głową.

– Ustawiłem czterech dobrych tropicieli nad rzeką. Tukutela nie mógłby jej przekroczyć bez ich wiedzy. Poza tym jest jeszcze za wcześnie na niego. Nie przypuszczam, żeby opuścił dolinę, zanim wyschną ostatnie sadzawki wzdłuż skarpy; najwcześniej za jakiś tydzień czy dziesięć dni.

– Mógł się jakoś prześliznąć. – Riccardo zignorował jego rozumowanie. – To nie jest niemożliwe, że to właśnie on.

– Oczywiście zejdziemy tam i przyjrzymy mu się z bliska. – Sean skinął zgodnie głową. Podniecenie Riccarda nie dziwiło go tak, jak zaskoczyło Claudię. Sean potrafił zrozumieć jego emocje, widział je już u pięćdziesięciu innych swoich klientów podobnych do Riccarda – silnych, agresywnych mężczyzn, którzy odnieśli sukces i nie usiłowali nawet ukrywać czy kontrolować swoich instynktów. Żyłka do polowania była częścią natury każdego mężczyzny; niektórzy się jej opierali czy zagłuszali w sobie, inni zamieniali ją na mniej gwałtowne środki wyrazu, jak golf czy tenis, gdzie biała piłka zastępowała żywą ofiarę, ale mężczyźni w typie Riccarda Monterro oddawali się swojej pasji bez reszty i nic ich nie potrafiło usatysfakcjonować poza dreszczem emocji podczas pościgu i śmiertelnego strzału.

– Shadrach, przynieś banduki Bwany! – zawołał Sean. – Job, nie zapomnij o manierkach z wodą. Matatu, akwendi, ruszamy.

Ruszyli w dół z boczka skacząc z kamienia na kamień. Dopiero na dole ustawili się w ustalonym już szyku: z Matatu na czele szeregu, za nim Job i Sean, doświadczonym wzrokiem wyszukujący w lesie przed nimi niebezpieczeństwa, w środku klienci, a na końcu Shadrach ze strzelbą, którą w razie potrzeby mógł szybko podać Riccardowi. Biegli szybko, ale minęła prawie godzina, zanim Matatu znalazł ślady wielkich, okrągłych wgłębień w miękkiej ziemi i rozrzucone wokół, objedzone z liści gałązki, które – już bezużyteczne – słoń rzucał za siebie. Matatu zatrzymał się gwałtownie i odwrócił do reszty grupy wydając przenikliwe okrzyki zawodu.

– To nie Tukutela. To stary słoń z jednym kłem – przetłumaczył pozostałym Sean. – Ten sam, którego ślad widzieliśmy dziś rano na drodze. Zatoczył koło.

Claudia przyglądała się ukradkiem ojcu i kiedy spostrzegła, jak bardzo rozczarowała go ta wiadomość, poczuła bolesne ukłucie w sercu.

Nikt się nie odzywał w czasie drogi powrotnej do toyoty, ale gdy dotarli do wozu, Sean

zauważył cicho:

– Szefie, wiedziałeś, że nie pójdzie tak łatwo, co nie? – Uśmiechnęli się do siebie.

– Oczywiście, masz rację. Polowanie jest właśnie tym, co się naprawdę liczy. Jak już zabijesz zwierzę, to jest to tylko martwe mięso.

– Tukutela przyjdzie – obiecał mu Sean. – To jego normalny szlak. Przyrzekam ci, że będzie tu przed nową fazą księżyca, a tymczasem mamy jeszcze lwa. Pojedziemy sprawdzić przynętę i zobaczymy, czy Fryderyk Wielki zaszczycił nas swoją obecnością.

Potrzebowali dwudziestu minut, żeby dotrzeć do koryta wyschniętej rzeki i wiszącej na drzewie przynęty. Zostawili toyotę zaparkowaną na łasze piachu. Na widok śladów łap lwicy przy kryjówce Claudia przypomniała sobie z biciem serca swój lęk doznany poprzedniego wieczoru. Sean rozmawiał podnieconym głosem z naganiaczami, a Matatu wydawał krótkie okrzyki jak wystraszona perliczka.

– Co się dzieje? – spytała Claudia, ale nikt jej nie dał odpowiedzi. Musiała bez słowa podążać za nimi przez tunel z trawy do zawieszonych na dzikiej fidze resztek bawołu.

– Może ktoś mi powie, co się dzieje – zniecierpliwiła się wreszcie, ale nie zbliżyła się do przynęty. Z tej odległości smród wydawał się jej niemożliwy do zniesienia. Jednak mężczyźni nie okazywali wstrętu, gdy oglądali z bliska gnijące ścierwo. Teraz nawet ona potrafiła dostrzec, jak bardzo bawół zmienił się od zeszłego wieczoru.

Poprzedniego dnia na drzewie wisiała prawie nie naruszona tusza, ale w ciągu nocy niemal połowa została pożarta. Z bawołu ostała się jedynie głowa i grzbiet. Sean musiał wręcz stanąć na palcach, żeby dosięgnąć przynęty. Kręgosłup i żebra zostały zgniecione potężnymi zębami na miazgę, a czarna skóra, rozdarta pazurami, zwisała jak porwana flaga żałobna.

Podczas gdy Sean i naganiacze oglądali resztki przynęty, Matatu badał ziemię wokół drzewa wydając przy tym dźwięki jak pies gończy, który szuka śladu. Sean wyjął coś z rozprutego cielska i kiedy pokazał znalezisko Riccardowi, obaj mężczyźni roześmiali się z radości, podając to coś naganiaczom.

– Czy ktoś mi łaskawie wyjaśni sytuację? – spytała rozeźlonym głosem Claudia, na co Sean odwrócił się do niej.

– Musisz podejść bliżej.

Niechętnie, zatykając nos palcami zbliżyła się do grupy. Sean wyciągnął do niej rękę. Na różowej dłoni leżał czarny, gruby włos niemal tak długi, jak jej własne.

– Co to jest?

Riccardo ujął włos w dwa palce. Claudia kątem oka zauważyła, że przedramiona ojca są pokryte gęsią skórą, a jego ciemne oczy błyszczą się jak rzadko kiedy.

– To włos z grzywy samca.

Wziął ją za rękę i podprowadził do pnia drzewa.

– Spójrz na to. Zobacz, co znalazł Matatu.

Wskazując na zdeptaną ziemię mały naganiacz uśmiechał się z dumą ze swojego odkrycia. Pięć lwiątek i dwie lwice stratowały dokładnie miękką ziemię pod drzewem, ale w płataninie śladów jeden był bardzo wyraźny. Był dwa razy większy od pozostałych, niemal tak duży jak talerz do zupy. Przyglądając mu się Claudia poczuła, jak ogarnia ją ponownie strach. Zwierzę, które zostawiło ten odcisk, musiało być monstrualnie olbrzymie.

– Przyszedł zeszłej nocy, gdy lwice nas odpędziły. Czekał, aż księżyc się schowa, i wyszedł w najciemniejszej godzinie – wyjaśnił Sean. – Zniknął przed świtem. Zjadł w krótkim czasie prawie połowę cholernego bawołu i uciekł, zanim zrobiło się jasno. Mówiłem ci, że to stary chytrus.

– To był lew? – spytała Claudia.

– Nie jakiś tam zwykły lew. – Riccardo potrząsnął przecząco głową. – Sam Fryderyk Wielki przyszedł tu w nocy.

Sean odwrócił się i skinął na swoich ludzi, żeby podeszli do niego. Job, Shadrach i Matatu przykucnęli obok niego w kółku i zaczęli planować polowanie, omawiając taktyki i rozpracowując szczegóły. Minęła godzina, zanim Sean podniósł się z ziemi i podeszedł do miejsca, gdzie Claudia i Riccardo zostawieni samym sobie przykucnęli w cieniu.

– Cały dowcip polega na tym, żeby go tu zwabić przed zachodem słońca – powiedział im Sean. – Zgodziliśmy się wszyscy, że jedyny sposób, w jaki można to zrobić, to powieszenie następnej przynęty i zbudowanie nowej kryjówki. Lwice zwąchały już tu niebezpieczeństwo, więc stary Fred będzie podejrzliwy jak jasna cholera. Jeśli nie uda nam się go jakoś zwabić, to nigdy nie wyjdzie przed wieczorem.

Sean usiadł pomiędzy ojcem a córką i przez chwilę milczał.

– Szefie, czasami dla dobrego przyjaciela, kogoś, komu ufam, jestem gotów nagiąć nieco przepisy – odezwał się powoli, rysując końcem patyka w piasku pomiędzy nogami. Nie patrzył na Riccarda.

– Co masz na myśli? – spytał Riccardo.

– Możliwe, że jest tylko jeden sposób, żeby dostać tego lwa – powiedział cicho Sean. – Oślepić go.

Przez chwilę panowała cisza. Claudia nie wiedziała, co to znaczy „oślepić lwa”, ale zdawała sobie sprawę, że Sean zaproponował coś nieuczciwego, a nawet nieprzyzwoitego, i że jej ojciec walczy właśnie z pokusą przyjęcia tej propozycji. Poczowała złość na Seana, że kusi jej ojca, ale wiedziała, że nie powinna się wtrącać. Siedziała więc w milczeniu i w myślach starała się nakłonić ojca, żeby odmówił.

Riccardo wreszcie potrząsnął przecząco głową.

– Nie, zrobmy to jak trzeba.

– Możemy spróbować. – Sean wzruszył ramionami. – Ale strzelano już kiedyś do niego przy przynęcie i był ranny. To nie będzie łatwe.

Milczał przez pełną minutę. W końcu dodał:

– Lew jest zwierzęciem nocnym. Noc jest jego porą. Jeśli naprawdę chcesz dostać tego lwa, to chyba musisz wziąć go w ciemności. Riccardo westchnął ciężko i znowu potrząsnął głową.

– Chcę go i to bardzo, ale nie aż tak, żeby zabić go bez szacunku. Sean wstał.

– Szefie, to twoje safari – zgodził się cichym głosem. – Chcę tylko, żebyś wiedział, że nie ma wielu ludzi, którym złożyłbym taką propozycję. Tak naprawdę, to nie znam nikogo innego, dla kogo bym to zrobił.

– Wiem – odparł Riccardo. – I dziękuję ci, Sean. – Sean podszedł do drzewa, żeby zniżyć padlinę tak, aby mogły jej dosięgnąć lwice.

Gdy tylko Sean znalazł się poza zasięgiem głosu, Claudia spytała ojca:

– Oślepić? Co to znaczy?

– To polega na oślepieniu zwierzęcia snopem światła w głębokich ciemnościach i zastrzeleniu go. To jest nielegalne, nawet bardzo nielegalne.

– A to drań – powiedziała z goryczą Claudia. Riccardo nie zareagował na słowa potępiające przyjaciela, mówił dalej tym samym spokojnym głosem:

– Sean był gotów zaryzykować dla mnie swoją karierę. To jedna z najlepszych rzeczy, jaką ktokolwiek dla mnie w życiu zrobił.

– Jestem dumna z ciebie, że odmówiłeś, a Sean to ostatni drań.

– Nic nie rozumiesz – odparł ojciec. – Nawet nie chcesz zrozumieć. – Kiedy wstał i odszedł, Claudia poczuła wyrzuty sumienia. Właśnie, że zrozumiała. Zrozumiała, że to jego ostatni lew i że ona psuje mu przyjemność polowania na niego. Czowała się rozdarta pomiędzy miłością do ojca a przekonaniem, że powinna go bronić tego pięknego zwierzęcia.

„Przecież właściwe postępowanie powinno przychodzić z łatwością”, pomyślała. „A tak rzadko się to zdarza”.

Przez następne dni polowali na lwa z zachowaniem etyki myśliwskiej. Musieli zdobyć mięso na przynętę dla samca i lwic, więc Riccardo zastrzelił następnego bawołu, którego wskazał mu Sean. Była to najpierw kolejna stara, bezpłodna krowa, a dwa dni później zniedołężniały byk z rogami, które starły się niemal do samych nasad, i z żebrami, które można było policzyć przez upapraną zaschniętym mułem skórę.

Każdego dnia Sean prznosił przynętę lub przesuwiał wykonaną z trawy kryjówkę na nowe miejsce, starając się znaleźć takie, na które samiec odważyłby się wyjść w biały dzień. Wieczór w wieczór siedzieli w kryjówce aż do zapadnięcia zmroku, by odjechać do obozu w nastroju zrezygnowania i przygnębienia. Kiedy wracali rano, znajdowali ślady wielkiego lwa, który pożarłszy w nocy część przynęty, zniknął przed świtem.

Klnąc zwierzę w żywy kamień, Sean zmienił taktykę. Zniżył zawieszony na łańcuchu resztki bawołu, tak żeby mogły go dosięgnąć lwice i wyrosnięte lwiątko. Ze zwierzęcia została już prawie tylko skóra i kości. Pół kilometra dalej w górę biegu rzeki powiesił świeżą

padlinę na samotnym drzewie, które stało na małej polance otoczonej, sięgającą ramion, suchą trawą. Ta przynęta wisiała na takiej wysokości, że mógł jej dosięgnąć jedynie dorosły samiec. Sean miał nadzieję, że nie niepokojony przez resztę stada, lew odważy się wyjść na polankę w ciągu dnia.

By zmylić i uspokoić podejrzliwe zwierzę, Sean wybrał na kryjówkę miejsce na rozwidlonych konarach drzewa tekowego rosnącego po drugiej stronie koryta rzeki. Pięć metrów nad ziemią umieszczono zakrytą ścianami z trawy platformę, z której polujący mieli dobry widok przez piaszczyste koryto na drzewo.

Sean nie wyciął tym razem całej trawy rosnącej dookoła drzewa z powieszonym bawołem. Miał nadzieję, że lew będzie w ten sposób czuł się dobrze osłonięty wychodząc na żer. Na polecenie Seana wytyczono w trawie jedynie wąską ścieżkę, nie szerszą niż sam lew, która otwierała się na platformę po drugiej stronie rzeki.

– Szefie, jeśli Fred przyjdzie, to będziesz musiał poczekać, aż stanie na tylnych łapach i dobierze się do mięsa – wyjaśnił Sean, gdy o pierwszej po południu wspięli się na platformę. Było gorące i leniwe popołudnie.

Sean pozwolił Claudii zabrać ze sobą „Pożegnanie z Afryką” Karen Blixen.

– Pod warunkiem, że nie będziesz szeleścić kartkami – przestrzegł ją.

Lwice z małymi przyszły tego dnia wcześniej. Do tego stopnia przyzwyczyły się już pożywiać podsuniętą im padliną, że nie okazywały żadnego strachu. Najpierw podeszły do świeżego mięsa zawieszono wysoko nad trawiastą przecinką i przez długą chwilę przyglądały się mu z tęsknotą. Obie lwice spróbowały dobrać się do niego, ale było o kilka centymetrów poza ich zasięgiem.

Oczy młodej lwicy były zainfekowane i czerwone od piachu, po strzale Seana nad rzeką. Po policzkach ściekały jej łzy, a powieki miała opuchnięte i zaczerwienione. Ale dosyć szybko się zagoiły, opuchlizna ustąpiła i jedynie w kącikach oczu pozostały ślady żółtego śluzu.

Po kilku próbach lwice się poddały i zaprowadziły młode do śmierdzącej już padliny.

Z platformy słyszeli pomruki, jakie wydawało stado przy rozdieraniu resztek pięćset metrów dalej. Potem w miarę jak popołudnie zaczęło przechodzić w wieczór, odgłosy te ucichły. Lwice nasyciły się i udały na spoczynek w cieniu.

Pół godziny przed zachodem słońca ustał nagle delikatny, ciepły wiatr, który wiał przez całe popołudnie, i zapadła dziwna cisza tak charakterystyczna dla zapadającej nad równiną afrykańską nocy. Rzadkie, zimowe liście wisiały zupełnie nieruchomo, żadne źdźbło pozołkłej trawy na brzegu po drugiej stronie nie poruszyło się. Nawet postrzępione papirusy przestały się kiwać i stały bez ruchu jakby czegoś nasłuchując. Zrobiło się tak cicho, że Claudia podniosła wzrok znad książki. Zamknęła ją i siedziała wsłuchując się w ciszę.

W pewnej chwili dobiegło ją zza rzeki kaszlnięcie antylopy leśnej, tak wyraźne i głośne, że mimo woli podskoczyła. Natychmiast poczuła na biodrze ostrzegawcze dotknięcie ręki

Seana. Jednocześnie usłyszała, że ojciec oddycha bardzo szybko i płytko, jakby przebiegł długi dystans.

Cisza nabrała teraz złowieszczonego wymiaru, jakby cały świat wstrzymał oddech. Ojciec wypuścił lekko powietrze z płuc i Claudia spojrzała na niego kątem oka. Na jego twarzy rysował się wyraz niemego uniesienia przypominający zachwyty wiernego chrześcijanina klękającego, żeby przyjąć komunię. „O Boże, jaki on jest przystojny”, pomyślała. Był tak ładnie opalony, szczupły i silny, że gdyby nie siwe włosy na skroniach, wcale nie wyglądałby na swoje lata. Zdradziecka choroba, która toczyła jego ciało, nie ujawniała się na zewnątrz. Podniecenie okazało się zaraźliwe. Claudia poczuła, że i w jej żyłach krew szybciej krąży. Słyszała wręcz bicie własnego serca. Odwróciła głowę w stronę, w którą patrzył ojciec. Wzrok Riccarda skierowany był lekko na prawo, na linię, gdzie las stykał się z wysoką trawą porastającą polankę.

Jedyną żywą istotą, jaką dostrzegła, był szary ptak podobny do papugi siedzący na górnej gałęzi wierzby leśnej. Sean powiedział jej, że jest on znany jako „ptak uciekaj” z racji swojego ostrzegawczego krzyku, którym prześladował myśliwych. Ptak krzyknął przeraźliwie „G’way! G’way!” i zaczął się wiercić na gałęzi. Wykręcał szyję, żeby dostrzec coś przez gęstą, wysoką trawę, wśród której stała wierzba leśna.

– Nadchodzi. Ptak go dostrzegł – szepnął do jej ucha Sean i Claudia wyteżyła wzrok, żeby to coś zobaczyć.

– Patrz na trawę. – Sean wskazał jej kierunek. Wtedy nagle dostrzegła ruch. Koniuszki trawy drżały rozpychane na boki przez poruszające się ostrożnie zwierzę, które kierowało się w stronę brzegu. Wyglądało to jak ślad pstrąga płynącego w mętnej wodzie, gdy ryba jest niewidoczna i jedynie drobne fale na powierzchni pokazują jej drogę.

Co jakiś czas ruch zamierał na długie minuty.

– Teraz nasłuchuje i węszy – wyjaśnił Sean. Claudia nigdy nie przypuszczała, że może on okazywać takie emocje, ale jego głos stał się nierówny i chrapliwy.

Czubki traw ponownie poruszyła fala, kierująca się ku drzewu z przynętą. Nagle jej ojciec wciągnął głęboko powietrze. W tej samej chwili Sean znowu ostrzegł Claudię. Zapewne chciał dotknąć jej biodra jak poprzednio, ale jego palce zacisnęły się na jej udzie.

Dotyk męskiej dłoni kompletnie ją sparaliżował, a uczucie to wzmoгло się, gdy w tej samej chwili zobaczyła olbrzymie zwierzę. Lew przeszedł przez wycinkę w trawie stratowanej przez lwice i Claudia dojrzała czubek jego głowy. Gęsta, czarna i pogmatwana grzywa chwiała się przy każdym dumnym kroku bestii. Przez ułamek sekundy Claudia widziała nawet skryte pod nią żółte oko.

Nigdy jeszcze nie spotkała tak groźnego i jednocześnie majestatycznego zwierzęcia. Mogła przyglądać mu się tylko przez krótką chwilę, zanim lew zniknął w gęstwinie trawy, ale widok ten poruszył ją do głębi, tym bardziej że ręka Seana nadal spoczywała na jej udzie.

W tej samej chwili uświadomiła sobie, że jest bardzo podniecona. Ucisk w dolnej części



brzucha, napór pęczniejących sutków na koszulę i wilgoć, jaką czuła pomiędzy nogami zaskoczyły ją kompletnie. Wezbrało w niej dzikie pragnienie rozchylenia ud tak, by ręka Seana mogła wśliznąć się głębiej. Zdawała sobie jednocześnie sprawę, że byłoby to okropne głupstwo. Gdyby miała scharakteryzować człowieka, który denerwował ją i urażał jej uczucia bardziej niż ktokolwiek inny, opis ten musiałby pasować jak ulał właśnie do Seana. Wiedziała, że jeśli okaże najmniejszą słabość, mężczyzna ten wykorzysta ją bez skrępowań. „Nawet go nie lubię”, przekonywała sama siebie. Jej nogi drżały coraz silniej i Sean musiał to wyczuć, a ona nie miała siły się poruszyć.

Wreszcie zabrał rękę, ale sposób, w jaki to zrobił, odczuła jako obrazę. Nie cofnął zwyczajnie dłoni, tylko uczynił z tego gestu pieszczotę, przy której jego palce prześliznęły się po udzie i biodrach. Claudia nie była przygotowana na tak silne wrażenie. Poczowała, jak policzki i szyja palą ją z gniewu, ale nie odrywała wzroku od przebiegającej trawę fali. Wreszcie zwierzę zatrzymało się przed drzewem.

W zapadłej ciszy Claudia usiłowała opanować wzburzone emocje.

„To wcale nie z jego powodu”, przekonywała siebie. „Nie zareagowałam na jego dotknięcie. Ten mężczyzna nic dla mnie nie znaczy. Byłam podekscytowana z powodu dramatycznej chwili. To nie miało z nim nic wspólnego. Nawet nie jest atrakcyjny. Zawsze ceniłam delikatność i subtelność, a on jest brutalny i lubi dominować”.

Trawa po drugiej stronie rzeki zakołysała się gwałtownie. Dobiegł ich odgłos potężnego ciała układającego się ciężko na ziemi.

Siedzący za Claudią Sean trząśł się z bezgłośnego śmiechu i przez jedną sekundę pomyślała nawet, że śmieje się z niej. Po chwili Sean wyszeptał:

– Położył się. To nie do wiary, odpoczywa sobie przy takiej przynęcie. A to beczelna bestia.

Sean miał na myśli w równej mierze dziewczynę, co lwa. W pełni odwzajemniał antypatię, z którą dziewczyna się nawet nie kryła. To zaś nadawało pewnego smaczku docinkom i dowcipom, którymi ją prześladował. Oczywiście czata, w której myśliwi czekali na lwa, zawsze była idealnym miejscem, by zaskoczyć kobietę. Właśnie w takich okolicznościach rozpoczął kilka bardzo ciekawych romansów. Tutaj jak nauczyciel pilnujący klasy miał możliwość panowania nad uczuciami swoich klientów. Był panem i wszyscy byli skłonni okazywać mu posłuszeństwo. Napięcie i nerwowa atmosfera czyniły kobiety bardziej bezbronnymi i posłusznymi, a zapowiedź niebezpieczeństwa i rozlewu krwi budziła ich najskrytsze instynkty. Sean z satysfakcją stwierdził, że ta zarozumiała, zepsuta i obłudna amerykańska dziewczyna w niczym nie różni się od innych kobiet.

Pewnie w tej chwili nienawidziła siebie i jego za tę chwilę słabości. Uśmiechnął się leciutko i przysunął jeszcze bardziej do niej. Z wprawą doświadczonego znawcy kobiet oceniał skutki swojego ataku. Wiedział, że jego zdolności są darem natury. Przeczytał uważnie pamiętniki Casanovy, w których stary zboreznik opisał dokładnie własne podboje.

Kiedy kobieta jest gotowa na przyjęcie mężczyzny, wysyła ku niemu subtelne znaki, jak: zmiana oddechu, zaróżowienie się skóry, zmiana dotychczasowej pozycji, nieznaczące ruchy ciała, nawet inny zapach, które jedynie niewielu mężczyzn potrafi odebrać, a jeszcze mniej zrozumieć. Tylko bardzo wytrawni kochankowie posiadają ten dar. Sukces zależał od tego, że trzeba było wiedzieć, kiedy działać i jak daleko posunąć się za każdym razem.

Mimo iż Claudia celowo odwracała od niego głowę, Sean ze swojego miejsca widział jej prawy policzek i długie rzęsy.

Jej kruczoczarne włosy były splecione w gruby warkocz, który opadał na plecy, odsłaniając szyję podobną do eleganckiej kolumny zwieńczonej niedużą i kształtną głową. Kark i policzki dziewczyny, nadal zaróżowione od silnego wzruszenia, były wyłoczone afrykańskim słońcem. Bez trudu mogłaby reklamować w magazynach dla kobiet najdroższe kremy opalające.

Przyglądając się uważnie dziewczynie Sean zobaczył, jak z wolna zarumienienie ustępuje, ale przez cienką, bawełnianą koszulkę wyraźnie widział sterczący sutek jej niemal dziewczęcej piersi. Sutek, który wielkością i kolorem przypominał dojrzalą, ciemnofioletową morwę, wypychał bluzkę i dopiero po dłuższej chwili zaczął kurczyć się i cofać. Ten widok tak zaintrygował Seana, że roześmiał się bezgłośnie.

„Napaliłeś się na nią jak nie wiem co”, zachichotał w myślach, „a przecież nawet nie możesz znieść tej małej czarownicy”. Postanowił skoncentrować się na ukrytym w trawie lwie.

Było niemal zupełnie ciemno, gdy ponownie ujrzeni zwierzę. Na niebie pozostało już tylko wspomnienie zachodu słońca, ale Sean umieścił kryjówkę tak, żeby drzewo z przynętą znalazło się pomiędzy nią a słońcem. Usłyszeli ostry szelest trawy, gdy lew podniósł się z ziemi i wszyscy pochylili się do przodu wypatrując zwierzęcia. Riccardo przyłożył kolbę strzelby do ramienia i oko do lunety.

Nagle lew wyskoczył z gęstwiny: wielki, ciemny i ledwo widoczny na tle szarzejącego nieba, po czym dobiegło ich dźwięczenie łańcucha, na którym powiesili bawołu. Potężny samiec rzucił się całym ciężarem na padlinę, rozrywając mięso na strzępy.

– Możesz go dostrzec? – Sean spytał Riccarda. Lew robił tyle hałasu, że mógł mówić normalnym głosem, ale Riccardo nic nie odpowiedział. Zataczał wolno nieduże kółka długą lufą, usiłując naprowadzić celownik na znikające w ciemnościach ciało drapieżnika.

– Nie! – przyznał się w końcu do porażki. – Jest za ciemno. Claudia poczuła ulgę, że nie będzie świadkiem mordu tak wspaniałego zwierzęcia, ale Sean szepnął:

– W porządku, przeczekamy tutaj noc i spróbujemy dostać go o świcie.

– Całą noc! – jęknęła głośno Claudia, która była tak przerażona perspektywą spędzenia nocy w kryjówce, że zapomniała o zakazie rozmowy.

– Zgodziłaś się nie narzekać, prawda? – Sean skomentował ironicznie jej przestraszoną minę.

– Ale, ale... czy Job nie przyjedzie po nas? – Szukała z rozpaczą jakiegoś wyjścia z sytuacji.

– Nie wcześniej, niż usłyszysz strzał. – Claudia skurczyła się żałośnie na krzeselku.

Noc wydawała się nieskończenie długa i mroźna, a znad błotnistej, zielonej wody, która ostała się na dnie rzeki, nadleciały moskity i bzyczały nad ich głowami ignorując specjalny płyn przeciw insektom, którym Claudia posmarowała twarz i ręce.

Po drugiej stronie koryta rzeki lew pożywiał się padliną często odpoczywając. Niedługo po północy zaczął ryczeć. Przerażliwe, chrapliwe dźwięki obudziły Claudię z niespokojnej drzemki. Czowała, jak serce wali jej mocno w piersiach. Ryk zakończył się ciągiem gardłowych chrząknięć.

– Czemu on tak hałasuje? – spytała stłumionym głosem Claudia.

– Żeby wszyscy wiedzieli, kto tu jest panem.

Niedługo później nadciągnęły hieny. Oszołomione zapachem krwi piszczwały i wyły niczym potępione duchy. Lew odegnał je od padliny goniąc stado z głuchym łoskotem wśród gęstej trawy. Warczał na nie i ryczał, ale hieny wróciły, gdy tylko zajął się rozrywaniem bawołu, chichocząc, odkrzykując mu i krążąc nieustannie wokół drzewa.

Godzinę przed świtem, skulona na krzeselku i z głową przechyloną pod dziwnym kątem, Claudia zapadła w mocny sen. Kiedy obudziła się gwałtownie, zobaczyła, że jest dostatecznie jasno, by dostrzec łańcuch, na którym wisiały resztki bawołu.

W pobliżu drzewa para nosorogów, groteskowych, czarnych ptaków rozmiarów dzikich indyków z łysymi, czerwonymi głowami, witała rytualnym krzykiem świt. Siedzący obok Claudii ojciec właśnie się przeciągał, ziewając okropnie. Sean wstał z krzeselka, aż cała platforma zakołysała się.

– Co się stało? – wymamrotała Claudia. – Gdzie jest lew?

– Uciekł godzinę temu – wyjaśnił jej ojciec. – Na długo, zanim miałem światło do strzału.

– Szefie, jest tylko jeden sposób, żeby go dostać: musimy go oślepić. Chyba że masz cholerne szczęście.

– Zawsze byłem szczęściarzem. – Riccardo uśmiechnął się do niego i w tej samej chwili usłyszeli pomruk silnika toyoty, którą nadjeżdżał Job.

Większą część dnia spędzili w obozie odsypiając ciężką noc.

A kiedy wieczorem wrócili do kryjówki, lew zniknął. Nie wrócił do przynęty także następnej nocy i w planie safari zapanowała nieoczekiwana luka. Sean ze swoimi tropicielami szukał go, ale bez powodzenia. Od straży rozstawionych nad rzeką Chiwewe, która od północy ograniczała koncesję Seana, nie było żadnych wiadomości o słońiu. Riccardo Monterro nie interesowało polowanie na inną zwierzyńcę, jak czarne antylopy, kudu czy elandy, które mogłoby wypełnić wolny czas na innym safari.

Tylko dwie lwice z młodymi przychodziły codziennie na brzeg koryta wyschniętej rzeki pożywiając się upolowanymi przez ludzi bawołami.

– To prawdziwy pięciogwiazdkowy hotel Courteneya – narzekał Sean. – Specjalność zakładu: bawół.

Stado do tego stopnia przywykło do wizyt ludzi, że lvice wycofywały się na ich widok tylko na jakieś sto metrów w głąb lasu i wydawszy z siebie kilka ostrzegawczych chrząknięć, z zainteresowaniem obserwowały, jak nowy bawół zostaje wywindowany na gałąź. Zwierzęta niecierpliwie czekały, aż samochód odjedzie. Potem podbiegały obejrzeć nowe danie, zanim toyota jeszcze znikła za drzewami.

Jednak Fryderyk Wielki nie pokazywał się na polance. Nie znaleziono wielkich śladów jego łap ani przy przynęcie, ani na żadnej ze ścieżek w promieniu czterdziestu kilometrów od obozu, które Sean codziennie objeżdżał.

– Dlaczego zniknął w ten sposób? – nie mógł zrozumieć Riccardo. – Ponieważ jest kotem, a kto wie, jak kot myśli!

Od czasu przelotnego, lecz burzliwego epizodu, jaki rozegrał się na platformie, wzajemny stosunek Seana i Claudii uległ pewnej zmianie. Ich kłótnie stały się bardziej zaciekłe, nie skrywana niechęć coraz bardziej oczywista i coraz częściej starali się popsuć sobie wzajemnie dobry nastrój.

Kiedy Claudia nazwała Seana rasistą, uśmiechnął się do niej złośliwie.

– W Ameryce to słowo jest uznawane za najgorszą obelgę, która może zniszczyć komuś karierę polityczną, popsuć interesy i wykluczyć go ze społeczeństwa. Wszyscy boicie się tego określenia, więc Murzyni, którzy zdają sobie z tego sprawę, używają sobie na was do woli. Nawet najtwardszy biznesmen czy polityk wije się jak rozdeptana glista, kiedy ktoś go nazwie rasistą – odparł wesoło Sean. – Tu nie jest Ameryka, kotku. My nie boimy się tego słowa. W Afryce rasizm jest tym samym co organizacja szczepowa i my wszyscy zgadzamy się na taki podział. Zwłaszcza Murzyni. Jeśli chcesz się przekonać, co znaczy organizacja plemienna i rasizm, to musisz zamieszkać w jednym z niepodległych państw afrykańskich. Jeśli nazwiesz przeciętnego polityka murzyńskiego rasistą, to uzna to za komplement. To tak samo, jakbyś go nazwała patriotą.

Jej obrażone protesty były najlepszą nagrodą za jego wysiłek i Sean poszukał nowego sposobu, żeby ją sprowokować.

– Czy wiedziałaś, że jestem Południowoafrykańczykiem? – zapytał. Claudia otworzyła szeroko oczy.

– Myślałam, że jesteś Anglikiem.

Sean potrząsnął przecząco głową i uśmiechnął się w swój irytujący sposób.

– Przypuszczam, że popierasz sankcje, jaki twój rząd wprowadził przeciwko mojemu krajowi.

– Oczywiście, każdy uczciwy człowiek je popiera.

– Nawet jeśli oznacza to, że milion Murzynów głoduje z ich powodu? – Nie czekał nawet na jej odpowiedź. – A co z wycofaniem amerykańskich interesów z naszego kraju, czy to

także popierasz?

– Walczyłam o to jeszcze w czasie studiów – odparła z dumą. – Nie opuściłam ani jednego pochodu czy demonstracji.

– Więc wasz plan polega na tym, żeby nawrócić kraj wycofując misjonarzy i pałac katedry, czy tak?

– Wszystko przekrećasz!

– Powinniśmy być wam wdzięczni za te wysiłki, które zmusiły waszych własnych obywateli do sprzedania nam naszego majątku za jedną dwudziestą rzeczywistej ceny. W ciągu jednego dnia udało wam się stworzyć dwustu multimilionerów w Afryce Południowej i każdy z nich jest biały. Gratulacje i nasze szczerze podziękowania, kotku.

Kiedy się tak kłócili, byli szczególnie wyczuleni na siebie, a ich słowne potyczki okazywały się zarazem niebezpieczne i podniecające.

Claudia była sama od dwóch lat, kiedy to rozeszła się z pewnym lekarzem, z którym żyła przez krótki czas, aż naciski z jego strony, by się pobrać, zaczęły działać jej na nerwy. Celibat nie służył jej latyńskiej naturze, ale była bardzo wybredna.

Leżała w nocy w swoim namiocie słuchając głosów Seana i ojca, którzy rozmawiali przy ognisku. Wsłuchiwała się w spokojne męskie głosy, zbyt ciche, żeby mogła rozróżnić słowa. Raz miała wrażenie, że usłyszała własne imię. Usiadła na łóżku wyęzając słuch i czując zawód, że nie może dowiedzieć się, co o niej mówią.

W końcu Sean pożegnał się z Riccardem, a wracając do swojego namiotu musiał minąć namiot Claudii. Leżała niecierpliwie w łóżku nasłuchując jego kroków, patrząc na promień latarki i przygotowując ostrą odprawę, gdyby chciał jej życzyć dobrej nocy. Poczula lekkie rozczarowanie, gdy minął jej namiot nie zwalniając nawet kroku.

Kiedy dziewiątego poranka safari dotarli do drzewa z przynętą na brzegu rzeki, młoda lwica znowu zachowywała się agresywnie. Mimo iż jej oczy były już zupełnie zdrowe, warczała na Seana i gdy ten wysiadł z toyoty, zaszarżowała na niego z odległości stu metrów, chłoscząc przy tym boki ogonem. Kiedy zatrzymała się i obróciła, żeby wrócić do lasu, zobaczyli czerwoną plamę krwi na jasnej sierści pod ogonem.

– Burkliwa Gerta ma okres – powiedział z ożywieniem Sean. – Mamy znakomitą przynętę, która może tu ściągnąć Fryderyka Wielkiego. Szeffie, mówiłeś, że jesteś szczęściarzem. Teraz przekonamy się jak dużym.

Sean zamierzał dostać lwa, zanim minie tak sprzyjający moment. Nie było już czasu, żeby wyszukiwać pasące się nad rzeką Chiwewe stada bawołów. Riccardo zastrzelił młodego kudu z grupy kawalerów, która kręciła się niedaleko obozu. Tuszę powieszono na samotnym drzewie rosnącym na polance, gdzie ostatni raz widzieli lwa, i wczesnym popołudniem weszli na platformę po drugiej stronie koryta rzeki. Tym razem byk wisiał dostatecznie nisko, żeby lwice mogły go łatwo dosięgnąć. Po godzinie wyczuły zapach krwi i nadbiegły wyschniętym korytem, a za nimi podążyły bawiące się nieustannie lwiątko. Podczas gdy starsza lwica od

razu zabrała się do jedzenia, młodsza jadła niewiele i sporadycznie. W przerwach biegała po oczyszczonym z trawy terenie, warcząc na małe, tarzając się na grzbiecie czy też siedząc na ziemi i liżąc ciekącą spod ogona krew. Od czasu do czasu stawała też nieruchomo patrząc na las i wyciągając głowę wydawała z siebie długie, smutne jęki. Dźwięk ten był tak pełen pożądania, że poruszył Claudię do głębi.

– Masz rację, Gerta – szepnął Sean siedzący za Claudią. – Zawołaj swojego pana i powiedz mu, jakie masz dla niego smakołyki.

„To nieuczciwe”, pomyślała zaciekle Claudia. „To nieuczciwe wykorzystywać ją w ten sposób”.

W pewnej chwili obie lwice poderwały się na nogi i zwróciły się w stronę lasu. Starsza chrząknęła cicho, a zaalarmowane lwiątko przerwało zabawę i schowało się za matką. Po chwili młoda lwica ruszyła przez trawę kołyszącym się, zmysłowym krokiem wydając z siebie powitalne pomruki.

– Spokojnie, Szefie. – Sean położył rękę na ramieniu Riccarda powstrzymując go od strzału. – Nie spiesz się.

Z lasu wyszedł lew. Z początku widzieli jedynie czarną grzywę, która poruszała się nad trawą, gdy samiec biegł truchtem na spotkanie lwicy. Samica rzuciła się bezwstydnie ku niemu i zwierzęta spotkały się na wydeptanej polance.

– Poczekaj, Szefie – szepnął Sean. Chciał, żeby dziewczyna obejrzała cały spektakl.

Lwica zaczęła ocierać się ciałem o samca, w przód i w tył, głaszcząc go całą powierzchnią jedwabistych boków. W odpowiedzi na jej zaloty lew nastroszył grzywę, która powiększyła się niemal dwukrotnie, i polizał ją po pysku, gdy wtuliła się w gęstwinę czarnych włosów.

Lwica obróciła się i podsunęła mu pod nos tylną część ciała, podnosząc wysoko ogon i puszczając mu przed pyskiem cienki strumyczek zabarwionego na czerwono moczu. Samiec mruknął przejmująco i unióśł górną wargę odsłaniając długie, żółte zęby; jego grzbiet wygiął się od pożądania. Claudia zaczęła się wiercić na krzeselku, gdy lew wyciągnął szyję i długim, różowym językiem polizał lwicę pod ogonem.

Samica poddawała się tym czułościom przez minutę, by wreszcie obrócić się zalotnie, z głębokimi pomrukami zaproszenia. Sean położył delikatnie dłoń na udzie Claudii. Jego rękę przed wzrokiem Riccarda zasłaniał bok krzeselka. Claudia nie poruszyła się.

Lwica odwróciła się od samca, odbiegła kilka kroków do przodu i przywarłszy do ziemi obejrzała się na niego przez bark. Lew ruszył do niej na sztywnych nogach, a potem stanął nad nią i zakrył jej ciało swoim. Gdy zniżył tylną część ciała, z woreczka wysunął się różowy, błyszczący penis i samica położyła ogon po sobie.

Sean przesunął koniuszki palców do miejsca, gdzie spotykały się uda dziewczyny, i poczuł przez materiał spodni sprężyste włosy łonowe. Jej nogi rozchyliły się nieznacznie pod dotykiem jego dłoni.

Lew wygiął grzbiet wykonując serię spazmatycznych ruchów, a następnie podniósł wielki, czarny łeb i wydał z siebie potężny ryk. Samica mu zawtórowała, a jej pan ugryzł ją delikatnie w kark w geście posiadania.

Przez długą chwilę zwierzęta pozostawały złączone ze sobą i nieruchome. Wreszcie lew odskoczył od samicy. W tej samej chwili Claudia położyła dłoń na ręce Seana. Schwyciła go za mały palec i wygięła go tak silnie do tyłu, że omal go nie złamała. Przez jego ramię przemknęła gorąca fala sięgając barku.

Niemal zawył z bólu, ale Riccardo siedział tuż obok i mimo że płócienne krzesło zasłaniało mu nogi córki, z łatwością by się domyślił, za co przyjaciel został ukarany. Tylko dzięki sile woli Seanowi udało się zachować ciszę. Masując ukradkiem palec widział, jak kąciki ust Claudii wykrzywają się w złośliwym uśmiechu.

Po drugiej stronie rzeki lwica wstała i otrząsnęła się. Następnie podeszła wolnym, usatysfakcjonowanym krokiem do brzegu i obejrzała się na siedzącego na ziemi lwa.

– Przygotuj się, Szefie. – Sean wciąż rozmasowywał palec.

Była już piąta po południu i słońce oświetlało brzeg rzeki jak scenę w teatrze. Sean wymierzył odległość od platformy do drzewa z przynętą. Wynosiła dokładnie osiemdziesiąt osiem metrów. Riccardo Monterro był najlepszym strzelcem, jakiego Sean prowadził na safari. Z tej odległości potrafił wsadzić trzy kule w ten sam punkt.

Lwica miauknęła zachęcająco. Lew wstał i podążył za nią nad rzekę. Zatrzymał się obok niej, zwracając się bokiem do platformy, oświetlony złotym światłem słońca.

– Szefie, to dar niebios – szepnął Sean i dotknął ramienia Riccarda. – Strzelaj!

Riccardo podniósł wolnym ruchem strzelbę do ramienia. Był to kaliber 300 weatherby magnum. Masywny pocisk spoczywający pod iglicą był załadowany trzema gramami prochu i 12-gramową kulą typu Nosler. Kula przeleci nad korytem rzeki z prędkością ponad 900 metrów na sekundę. Zanim dotknie ciała, poprzedzająca ją fala uderzeniowa rozerwie na strzępy wewnętrzne organa: płuca i serce, i wysysie je przez dziurę wylotową rozpryskując w krwawej masie na trawie za zwierzęciem.

– Strzelaj! – ponaglił Sean. Riccardo Monterro spojrział przez celownik optyczny. Ciało lwa wypełniło całe pole widzenia.

Riccardo widział każdy włos w gęstwinie grzywy i każdy mięsień pod gładką skórą. Dwa centymetry za obojczykiem, na bocznej osi ciała widniała mała blizna. Miała kształt podkowy i świetnie nadawała się na cel. Riccardo naprowadził krzyżyk celownika na bliznę i zobaczył, jak celownik lekko unosi się przy każdym uderzeniu jego serca. Ściągnął cyngiel czując ostateczny opór, kiedy zaczep spustowy ma już puścić, a strzelba zaraz odpalić.

Siedząca za ojcem Claudia zeszywniała z przerażenia. Lew odwrócił głowę i wydało się jej, że spojrział właśnie na nią. Czowała, jak bardzo poruszyła ją scena zalotów i parzenia się zwierząt, „Jest zbyt wspaniała, żeby zginać”, pomyślała i nie zastanawiając się nawet nad tym, co robi, krzyknęła na całe gardło:

– Uciekaj, do cholery! Uciekaj!

Efekt przekroczył jej najśmielsze wyobrażenia. Nigdy by nie uwierzyła, że jakiegokolwiek żywe stworzenie może tak szybko zareagować. Stojące leniwie zwierzęta w jednej chwili eksplodowały ucieczką zmieniając się w złote smugi ruchu.

Stara lwica momentalnie zniknęła w wysokiej trawie, a lwiątko szybko poszły za jej przykładem. Młodsza rzuciła się do ucieczki wzdłuż brzegu rzeki. Biegła tak szybko, że zdawała się nie dotykać ziemi, a lew podążał tuż za nią. Mimo potężnego cielska i olbrzymiej grzywy poruszał się równie szybko jak jego partnerka, wyciągając muskularne łapy w pełnym galopie.

Riccardo Monterro obrócił się na krześle ze strzelbą przy ramieniu, patrząc cały czas przez celownik i podążając lufą za lwem. Lwica wpadła w trawę i znikła. Samiec tuż za nią, ale w chwilę przed tym, zanim dopadł gęstwiny, Claudię ogłuszył huk strzelby i mimo jasnego słońca dostrzegła przemykający nad korytem rzeki płomień wystrzału.

Lew potknął się w biegu i wydawszy z siebie jedno głośnie kasznięcie schował się w trawie. W ciszy, jaka zapadła, w ich uszach huczało jeszcze echo wystrzału. Przytłumieni i zaszokowani patrzyli na pustą polankę.

– Niezła robota, kotku! – pogratulował jej cichym głosem Sean.

– Wcale nie żałuję – odparła wyzywająco, a jej ojciec przeładował strzelbę jednym ruchem, przy którym z komory wypadła pusta łuska i migocząc w słońcu poleciała na ziemię. Riccardo wstał, kołyszając chyboczącą platformą i nie spojrzawszy na córkę zaczął schodzić po plecionej drabinie.

Sean podniósł swoją dwururkę kalibru 577 i ruszył za nim. Stanęli pod drzewem. Riccardo odpiął kieszeń na piersi i poczęstował go cygarem Wilde Havana. Żaden z nich nie palił na polowaniu, ale teraz Sean wziął cygaro i odgryzł koniuszek.

Zapalił i przez chwilę stali w milczeniu zaciągając się dymem. Wreszcie Sean odezwał się cicho.

– Gdzie trafiłeś, Szefie?

Riccardo był wyborowym strzelcem. Tuż po wystrzale potrafił powiedzieć dokładnie, gdzie kula trafiła. Teraz jednak zawahał się i w końcu odpowiedział niechętnie.

– Lew już biegł. Miałem zbyt mało czasu, żeby naprowadzić strzelbę.

– Strzał w brzuch? – spytał Sean.

– Tak. – Riccardo skinął głową. – Strzał w brzuch.

– Cholera – zaklął Sean. – Niech to jasna cholera.

Obaj spojrzeli na gęstą, wysoką trawę i poplątane cierniste krzaki na drugim brzegu.

Wezwana pojedynczym strzałem toyota nadjechała po dziesięciu minutach. Job, Matatu i Shadrach, którzy polowali z Riccardem na sześciu safari i nigdy nie widzieli, żeby chybił, uśmiechali się radośnie. Wskoczyli z wozu rozglądając się po przeciwległym brzegu. Ich uśmiechy znikły, a po chwili ich miejsce zajął wyraz prawdziwego przygnębienia, gdy Sean



oznajmił:

– Intumbu! W brzuch!

Wszyscy trzej Murzyni wrócili do wozu i zaczęli się w milczeniu przygotowywać do pościgu.

Sean przykucnął w pełnym słońcu.

– Za godzinę zrobi się ciemno – powiedział. – Nie możemy pozwolić, żeby rana stężała.

– Moglibyśmy go zostawić do świtu – zasugerował Riccardo. – Jutro będzie już nieprzytomny. Sean potrząsnął głową.

– Jeśli umrze, to zjedzą go hieny. Nie będzie trofeum. Zresztą nie możemy zostawić biednego drania, żeby tak cierpiał przez całą noc.

Zamilkli, gdy Claudia zeszła po drabinie z platformy. Kiedy stanęła na ziemi, nie spojrzała na nich i tylko dumnym ruchem głowy odrzuciła włosy na plecy i podeszła do toyoty. Usiadła na przednim siedzeniu, założyła ręce na piersiach i patrzyła przed siebie nieruchomym wzrokiem.

– Przepraszam – powiedział Riccardo. – Znam ją od dwudziestu sześciu lat. Powinienem domyślić się, że wykręci taki numer.

– Szefie, nie musisz iść z nami. – Sean nie odpowiedział na przeprosiny. – Zostań z Claudią. Pójdę sam i dokończę robotę. Za to mi przecież płacisz.

Tym razem Riccardo zignorował uwagę.

– Wezmę rigby – powiedział tylko.

– Sprawdź, czy jest załadowana pociskami z miękkimi noskami – doradził mu Sean.

– Jasne. – Podeszli do toyoty i Riccardo zamienił lżejszy weatherby na ciężką rigby. Otworzył komorę i upewnił się, że w magazynku są właściwe pociski. Następnie uzupełnił pętelki na pasie nowymi pociskami z pudełka.

Sean oparł się o wóz i zmienił naboje ze strzelby na dwa nowe wyjęte z pętelek u kieszeni na piersi.

– Biedne zwierzę – powiedział. Mimo iż patrzył na Riccarda, mówił do Claudii. – To byłby dobry czysty strzał, a tak leży w trawie z połową wnętrzości wyrwanych przez kulę. To najbardziej bolesna rana ze wszystkich. – Spostrzegł, że dziewczyna wzdrygnęła się lekko, a jej policzki zbladły.

– Będziemy mogli mówić o szczęściu, jeśli nikt nie zostanie przy tym zabity – mówił dalej Sean z nienawistną satysfakcją. – To pewnie będzie Matatu. Zawsze idzie pierwszy po śladach i mały drań nigdy nie ucieka. Jeśli komukolwiek z nas coś się dostanie, to będzie Matatu.

Claudia nie mogła się powstrzymać przed rzuceniem żalospojrzenia na małego Ndorobczyka.

– Daj spokój, Sean – wtrącił się Riccardo. – Ona wie dobrze, jakie głupstwo palnęła.

– Naprawdę? – zapytał Sean. – Nie jestem pewien. – Zatrzasnął strzelbę. – W porządku,

Szefie. Załóż swoją skórzaną kurtkę. Jeśli lew cię dopadnie, to może cię to trochę ochronić. Nie za wiele, ale zawsze trochę.

Trzech Murzynów stało już na brzegu rzeki gotowych do drogi. Job miał ze sobą strzelbę kalibru 8 mm załadowaną pociskiem na bawołu, ale dwóch pozostałych było bez broni. Pójście bez broni za rannym lwem do jego kryjówki wymagało szczególnej odwagi.

Mimo wzburzenia Claudia nie przeoczyła zaufania, z jakim trzej mężczyźni patrzyli na Seana Courteneya. Wyczuła instynktownie, że wielokroć musieli się znaleźć w śmiertelnym niebezpieczeństwie, zanim związały ich owe szczególne więzy. Tych czterech mężczyzn było sobie bliższymi niż bracia czy nawet kochankowie i Claudia poczuła ukłucie zazdrości. Nigdy jeszcze nie była związana w taki sposób z żadnym człowiekiem.

Sean klepnął lekko w ramię każdego z nich pozbawionym sentymentów gestem i powiedział coś Jobowi. Przez przystojną twarz Matabelczyka przemknął cień. Wyglądało to tak, jakby chciał zaprotestować, ale szybko skinął głową i wrócił do toyoty stając na straży Claudii.

Sean trzymając dwururkę przełożoną przez ramię odgarnął palcami z oczu długie i gęste włosy, a następnie przewiązał je na czole cienkim skórzanym paskiem.

Mimo iż Claudia nienawidziła go z całej siły, nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, jakie robiła na niej jego heroiczna postać szykująca się na spotkanie śmiertelnego niebezpieczeństwa i okropnej śmierci, które, w dużej mierze, ona dla niego zgotowała. Skórzana kurtka Seana nie miała rękawów, spodnie koloru khaki sięgały mu do kolan i Claudia widziała, jak bardzo jest opalone jego ciało. Sean był nawet wyższy od jej ojca, ale szczuplejszy w pasie i miał szersze ramiona. Z łatwością trzymał ciężką strzelbę w jednym ręku.

Przed odejściem zerknął jeszcze na nią i w jego zielonych, spokojnych oczach dostrzegła pogardę. Nagle przeszło ją przecucie zbliżającej się tragedii i chciała go błagać, żeby nie przekraczał rzeki, lecz Sean odwrócił się od niej, zanim zdążyła otworzyć usta.

– Gotów, Szefie? – zapytał. Riccardo skinął w odpowiedzi głową, trzymając rigby przed sobą na wysokości piersi. Twarz ojca była bardzo poważna.

– W porządku, ruszamy. – Sean kiwnął głową na Matatu i malutki Ndorobczyk poprowadził ich w dół zbocza.

Gdy tylko znaleźli się na dnie koryta rzeki, ustawili się w szyku myśliwskim z tropicielem idącym na czele szeregu. Sean szedł tuż za nim, oglądając cały czas porośnięty trzcinami przeciwległy brzeg. Dziesięć kroków za nim podążał Riccardo, utrzymując odstęp, żeby zminimalizować niebezpieczeństwo, jakie powstałoby w nagłym zamęcie. Pochód zamykał Shadrach.

Po drodze wypełnili sobie kieszenie wygładzonymi przez wodę kamykami. Zatrzymali się przed krawędzią wyschniętego brzegu, nasłuchując uważnie. Sean minął Matatu i wszedł pierwszy na zbocze. Zatrzymał się na wydeptanej polance pod drzewem. Stał przez pięć

minut nieruchomo nasłuchując i wypatrując ruchu w wysokiej trawie.

Następnie zaczął rzucać kamienie celując w okolice miejsca, gdzie schował się lew. Kamyki odbijały się ze stukotem od innych kamieni lub uderzały głucho w gałęzie zarośli, ale nie dobiegło go ostrzegawcze warknięcie. Sean gwizdnął cicho. Pozostali mężczyźni wdrapali się na brzeg i zajęli swoje pozycje. Sean skinął na Matatu.

Ruszyli wolno naprzód. W Afryce jest wiele przysypanych kamieniami grobów, w których spoczywają szczątki ludzi, którzy nieuważnie pośpieszyli za rannym lwem. Matatu skoncentrował się na szukaniu śladów na ziemi. Ani razu nie spojrzął na ścianę zarośli przed sobą. Złożył swój los w rękach Seana. Na granicy wysokiej trawy syknął cicho i dał mu znak ręką.

– Krew. – Sean wyjaśnił szeptem Riccardowi nie odwracając się do niego. – Także włosy z brzucha. Miałeś rację, Szefie. To strzał w brzuch. Na łądkach trawy widać było lśniącą, czerwoną smugę.

– Akwendi! – powiedział do Matatu i wciągnął głęboko powietrze jak nurek mający skoczyć ze skały do głębokiej wody. Wstrzymał oddech, nim zrobił pierwszy krok, a wysoka trawa zamknęła się za nim, ograniczając zasięg wzroku niczym mętna woda, w której czai się niebezpieczeństwo. Potężne uderzenie pocisku zarzuciło lwem i spowodowało, że całe ciało od żeber w dół zupełnie zdrętwiało.

Biegł jednak dalej. Gęsta trawa zamknęła się wokół niego zapewniając mu poczucie bezpieczeństwa i pewności siebie. Po dwudziestu krokach zatrzymał się i stał zerkając za siebie, wciągając powietrze głęboko w nozdrza i wściekle chłoszcząc boki ogonem.

Nie czuł bólu, jedynie dziwne odrętwienie i ciężar w brzuchu, jakby połknął jakiś głaz. Wyczuł zapach krwi i obrócił głowę, żeby obwąchać własny bok. Otwór wyjściowy, jaki wyrwała kula, miał wielkość małego talerzyka i z rany ciekła niemal czarna posoka zmieszana z zawartością jelit. Jej krople skapywały strumykiem na wyschniętą ziemię. Lew polizał ranę i krew zakleiła mu pysk.

Po chwili podniósł łeb i znowu zaczął nasłuchiwać. Zza rzeki dobiegły go ludzkie głosy. Lew mruknął cicho czując, jak wzbiera w nim gniew. Krew i niezwykły ciężar w brzuchu wiązały się z obecnością człowieka.

Z niedalekiej odległości niskim przeciągłym miauknięciem zawołała go lwica. Lew odwrócił się i podążył za nią. Nie biegł już teraz z powodu tego brzemienia w brzuchu, który spowalniał ociążałe i zdrętwiałe nogi. Lwica czekała na niego nie opodal. Otarła się o niego ochoczo i spróbowała go poprowadzić biegnąc przed nim lekkim truchtem. Lew szedł za nią powoli, zatrzymując się często, by polizać ranę. Samica zawróciła po niego niecierpliwie z głębokim pomrukiem. Zdziwiona i zaniepokojona jego zachowaniem podeszła, by polizać go po pysku i obwąchać ranę.

Łapy miał ciężkie niczym pnie drzew, a przed nim rozpościerał się gąszcz dzikich hebanów. Skręcił w bok i wszedł w gęste leśne poszycie. Kładąc się na ziemi westchnął

ciężko i podwinął pod siebie długi ogon zakończony czarnym pędzlem.

Lwica krążyła zaniepokojona na skraju leśnych zarośli, nawołując samca cichymi miauknięciami. Kiedy nie uzyskała żadnej odpowiedzi, podążyła za nim w zarośla i położyła się tuż obok niego. Zaczęła mu lizać ranę, a lew zamknął ślepią dysząc ciężko, gdy nadszedł ból.

Narastał w ciele, wypełniając je dławiącym ciężarem, który potęgował się cały czas zdając się rozsadzać brzuch. Lew jęknął i ugryzł ranę chcąc zabić ten morderczy ból, który żywił się jego wnętrznościami.

Lwica starała się odwrócić jego uwagę. Była coraz bardziej niespokojna i wystraszona. Krążyła przed nim podsuwając mu obrzmiałe genitalia pod nos, ale lew zamknął oczy i odwrócił łeb, a każdy oddech zdawał się rozszarpać mu gardło.

Raptem dobiegły go głosy, szepty zbliżających się ludzi i lew podniósł łeb, a jego ślepią rozzarzyły się żółto. Ból w brzuchu rodził okropną nienawiść. Zalała go ciemna fala wściekłości.

Jakiś przedmiot uderzył o gałęzie dzikiego hebanu nad jego głową. Lew warknął, wypuszczając powietrze z umęczonych płuc.

Szli wolno przez trawę, która sięgała im ponad głowy i otaczała tak dokładnie, że na trzy kroki nie widzieli nic przed sobą. Na żdźbłach widać było świeżą krew zwierzęcia, a łodygi zostały odepchnięte na boki, tak więc trop nie był trudny do znalezienia. Krew na łodygach pozwoliła Seanowi i Matatu stwierdzić, na jakiej wysokości jest rana, a zmieszana z nią zawartość jelit wskazywała na to, że wnętrzności zostały naruszone. Rana była śmiertelna, ale śmierć byłaby powolna i straszna. Po przejściu dwudziestu metrów Matatu zatrzymał się, by wskazać na kałużę czarnej i gęstej posoki.

– Przystanął tutaj – szepnął, a Sean skinął głową.

– Nie odszedł daleko – odgadł Sean. – Matatu, on czeka na nas. Kiedy zaszarżuje, masz uciekać do mnie. Rozumiesz?

Matatu wyszczerzył do niego zęby w uśmiechu. Obaj wiedzieli, że Matatu nie posłucha rozkazu. Mały Ndorobczyk nigdy nie uciekał i tym razem także będzie stał nieruchomo.

– W porządku, ty mały, głupi gnojku – powiedział po angielsku Sean. Jego głos był napięty. – Ruszamy.

– Mały, głupi gnojek – powtórzył szczęśliwym głosem Matatu. Wiedział, że Sean nazywa go tak jedynie wtedy, gdy jest z niego szczególnie dumny czy zadowolony.

Podjęli krwawy trop zatrzymując się co trzy, cztery kroki. Wówczas Sean rzucał kamyki w trawę i kiedy nie słyszeli w odpowiedzi żadnego głosu, ruszali ostrożnie dalej.

Za plecami Sean słyszał delikatny stukot bezpiecznika strzelby. Riccardo odwoził i spuszczał nerwowo bezpiecznik zdradzając swoje podniecenie. Mimo iż dźwięk działał Seanowi na nerwy, nic nie powiedział, bo czuł podziw dla tego człowieka. Trudno było sobie wyobrazić coś bardziej niebezpiecznego niż podchodzenie rannego lwa w gąszczu. Dla

myśliwego była to jego robota, ale dla Riccarda sprawdzian odwagi i jak dotąd zdawał go na piątkę.

Sean rzucił następny kamyk i słuchał, jak trafia w gałąź niskiego drzewa.

Idąc dalej pomyślał o strachu. Dla wielu ludzi był niszczącym i paraliżującym uczuciem, ale dla takich jak on stał się po prostu czymś upajającym. Sean uwielbiał doznanie lęku, które płynęło przez jego żyły jak silny narkotyk, wyostrażając zmysły tak, iż czuł pod palcami szorstkość powierzchni kolby i dotyk każdego źdźbła trawy na łydkach. Ostrość wzroku poprawiała się, aż miał wrażenie, iż patrzy przez kryształową soczewkę, która powiększała i nadawała dramatycznego wymiaru każdemu szczegółowi. Czuł także smak powietrza, zapach rozgniatanej trawy i krew lwa, którego szukali. Życie wibrowało wręcz w jego żyłach i Sean oddał się lękowi, jak narkoman oddaje się porcji heroiny.

Rzucił kolejny kamyk w gąszcz dzikich hebanów, które wyrastały z trawy przed nimi niczym wyspa na morzu. Kamyk spadł obijając się ze stukotem o gałęzie. Z gęstwiny dobiegł ich pomruk lwa.

Lęk przed śmiercią stał się tak przyjemną podniętą, że aż trudną do zniesienia, oszałamiającą ekstazą, silniejszą niż jakakolwiek kobieta mogła mu ofiarować. Sean odbezpieczył broń i zawołał:

– Matatu, lew się zbliża. Uciekaj! – W jego głosie słychać było podniecenie. Sean poczuł, jak czas zwalnia swój bieg, co było następnym dziwnym fenomenem, jaki niósł ze sobą strach.

Kątem oka dostrzegł, że Riccardo Monterro zajmuje miejsce obok niego i zdał sobie sprawę, ile go to musi kosztować.

– Dobrze! – powiedział głośno. Na dźwięk jego głosu zatrzęsły się chaszcze dzikich hebanów rozpychane potężnym ciałem, które poprzedzał przerażający, gardłowy pomruk.

Matatu stał nieruchomo, jak strażnik na paradzie. Matatu nigdy, nie uciekał. Sean stanął po jego jednej stronie, a Riccardo po drugiej i razem wycelowali strzelby w gęstwinę przed nimi. Potężne zwierzę gnało prosto na nich rozplaszczając wysokie łodygi i rycząc okropnie. Wybuchy ogłuszającego dźwięku przygniatały i paraliżowały obu mężczyzn.

Trawa rozchyliła się tuż przed nimi i olbrzymie, płowe ciało wypadło prosto na grupkę mężczyzn.

Strzelili w tej samej chwili, a huk wystrzału zagłuszył ryk wściekłości. Sean wypalił z drugiej lufy tak szybko, że oba strzały zlały się w jeden. Ciężka 48-gramowa kula trafiła szarżujące zwierzę i zatrzymała je równie skutecznie, jakby wpadło na ścianę. Riccardo ładował ponownie strzelbę, gdy w powietrzu nad nimi toczyło się jeszcze echo wystrzałów.

Martwe zwierzę leżało u ich stóp, a oni stali z podniesioną bronią, patrząc na zakrwawione zwłoki, oszołomieni szybkością wydarzeń i łoskotem broni.

Shadrach podszedł w ciszy do ciała. Podobnie jak Matatu nie ruszył się z miejsca w czasie ataku. Teraz ostrożnie schylił się nad martwym zwierzęciem. Szybko poderwał się

i krzyknął głośno to, z czego nie od razu w pełni zdali sobie sprawę, – To nie lew!

W tej samej chwili lew zaszarżował. Wpadł prosto na nich z gęstych chaszczy. Jeszcze szybciej niż jego partnerka, bo smagany śmiertelnym bólem w brzuchu i ciemną nienawiścią. Gnał rycząc niczym rozpedzona lokomotywa, a oni byli nie przygotowani, z nie załadowanymi strzelbami, zbytnio zbici w grupę wokół ciała lwicy, a Shadrach stał pomiędzy nimi i bestią.

Szybki jak pocisk wypadł z wysokiej trawy i schwycił Shadracha w potężne kły, wgryzając się w jego biodro. Siła uderzenia poniosła ich na stojących razem mężczyzn.

Sean przewrócił się na plecy waląc z dużym impetem o ziemię plecami i tyłem głowy. Cały czas trzymał strzelbę przed sobą, starając się jej nie wypuścić z rąk i grawerowana kolba trafiła go z całej siły w mostek. Przez jego pierś przemknął płomień bólu, ale nie puścił broni i szybko przetoczył się na bok.

Trzy metry od niego lew szarpał Shadracha. Przygwoździwszy go do ziemi ciężkimi łapami, rozrywał zębami biodro i nogę.

„Dzięki Bogu, że to nie leopard”, pomyślał Sean, łamiąc strzelbę. Atakujący grupę ludzi leopard nie zadowoliliby się powaleniem jednej osoby. Przerzucałby się w oszalamiającym tempie z jednego człowieka na drugiego, zabijając ich po kolei. Co więcej, leopard poluje głównie na pawiany i wie dokładnie, jak zabić zwierzę z gatunku naczelnych. Atakuje głowę, zdzierając zębami skalp, podczas gdy jego tylne nogi rozrywają potężnymi pazurami brzuch ofiary, czyniąc to bardzo szybko i sprawnie.

„Dzięki Bogu, że to nie leopard”, powtórzył w myślach Sean.

Lew nie puszczał Shadracha, przygniatając go do ziemi łapą i rozszarpując udo, a przy każdym jego warknięciu spod kłów tryskał strumyk krwi. Murzyn wrzeszczał przeraźliwie i walił zaciśniętymi pięściami w wielki, włochaty łeb.

Sean dostrzegł, jak Riccardo klęka w trawie, szukając strzelby.

– Szefie, nie strzelaj! – krzyknął do niego Sean. W zamęcie takim jak ten niedoświadczony człowiek z bronią w ręku był sto razy niebezpieczniejszy od atakującego zwierzęcia. Kula wystrzelona z rigby przebiłaby ciało lwa i trafiła znajdującą się za nim osobę.

Sean trzymał pomiędzy palcami lewej ręki dwa naboje. Była to stara sztuczka myśliwych umożliwiająca szybkie załadowanie broni. Sean włożył pociski i szybko zatrzasnął strzelbę.

Lew wgryzał się w ciało Shadracha. Sean słyszał, jak pod silnymi zębami kości pękają niczym kruche tosty. W nosie wiercił go nieprzyjemny smród zwierzęcia, kurzu, krwi drapieżnika i człowieka.

Riccardo trzymał już w rękach strzelbę. Klęczał na kolanach i z pobladłą ze strachu twarzą ładował broń.

– Nie strzelaj! – krzyknął jeszcze raz Sean. Lew był dokładnie pomiędzy nim i Riccardem. Kula, która by trafiła zwierzę, zraniłaby także Seana.

Do zabicia zwierzęcia atakującego leżącego człowieka jest niezbędna specjalna technika. Nie można podbiec i strzelić do niego z góry, gdyż kula zabiłaby także ofiarę napaści.

Sean nie usiłował nawet wstać na nogi. Osłaniając broń przetoczył się trzy razy jak kłoda. Nauczył się tego manewru jeszcze w Skautach i teraz stał się jego drugą naturą. Zatrzymał się przy lwie, niemal go dotykając, włożył lufę pod jego ostatnie żebra i celując do góry pociągnął za spust. Wystarczyła jedna kula.

Pocisk poderwał płowe ciało do góry i odrzucił lekko na bok wyrwijąc pomiędzy łopatkami olbrzymią dziurę.

Sean rzucił broń i przyklęknął przy rannym, podnosząc go za ramiona. Spojrzał na nogę. Kły lwa rozorały w ciele Shadracha głębokie rany. Od biodra do kolana widniały porozrywane mięśnie.

– Matatu! – krzyknął Sean. – W toyocie jest apteczka. Przynieś ją. – Malutki tropiciel natychmiast zniknął w trawie. Riccardo podpełzł do Seana i spojrzał na nogę.

– Święta Panienko – jęknął cicho. – To arteria udowa. – Z głębi rany tryskała regularnymi strzyknięciami jasna krew tętnicza. Sean wsadził palce do rozdartego ciała.

Udało mu się namacać śliską, pulsującą tętnicę i ścisnął ją z całej siły palcem wskazującym i kciukiem.

– Pospiesz się, Matatu! Pędem, ty cholerny dupku! – wrzasnął na całe gardło.

Od wozu dzieliło ich jedynie dwieście pięćdziesiąt metrów. Matatu biegł jak wystraszony jeleń. Po kilku minutach wrócił z Jobem, który przyniósł białą skrzyneczkę z czerwonym krzyżem na wieczku i zaraz ją otworzył.

– W przegrodce z narzędziami są hemostaty – powiedział Sean.

Job podał mu klamrę z nierdzewnej stali. Sean umocował ją na przerwanej arterii i przymocował przylepcem do ciała. Ręce miał czerwone i śliskie od krwi, ale razem z Jobem wykonywał nieraz podobną robotę w czasie wojny i każdy sprawny ruch świadczył o pewności siebie.

– Zmontuj kroplówkę – polecił Jobowi Sean. – Damy mu na początek pełną torebkę glukozy i elektrolitów. Przygotuj ją.

Mówiąc odkręcał jednocześnie korek z tubki betadyny, włożył jej koniec głęboko w ranę i wycisnął tłustą jodynową pastę, aż ta zaczęła się wydobywać na powierzchnię. Shadrach leżał nieruchomo nie protestując ani nie wydając żadnych odgłosów mogących świadczyć o bólu. Przyglądał się ich pracy i odpowiadał monosylabami na pytania Joba.

– Kroplówka gotowa.

Nie odzywając się Sean wziął strzykawkę z rąk Joba. Shadrach był jego człowiekiem i on za niego odpowiadał. Nikt tego nie mógł zrobić za niego, nawet Job. Wykręcił lekko ramię Shadracha odsłaniając żyłę w zagłębieniu łokcia i zaczął ją masować wprawnymi ruchami. Wbił w nią igłę za pierwszym podejściem i skinął do Joba, żeby puścił płyn infuzyjny.

– Hej, Shadrach. – Sean postarał się o swój najbardziej przekonujący uśmiech, gdy na

chwile przyłożył zakrwawioną dłoń do czoła rannego. – Chyba otrułeś tego starego drania. Lew ugryzł cię w nogę i zdechł. – Shadrach zachichotał. Riccardo był zdumiony słysząc ten śmiech, choć już pracował i walczył z silnymi mężczyznami. – Szefie, daj Shadrachowi jedno ze swoich cygar – zasugerował Sean i zaczął zakładać na nogę białą opaskę uciskową, żeby zatamować miejscowe krwawienie.

Kiedy skończył z nogą, zajął się resztą obrażeń. Posmarował pastą jodynową wszystkie rany i zadrapania zostawione przez pazury lwa.

– Nie możemy pominąć najmniejszego zadraśnięcia – mruknął pod nosem. – Ten stary drań żywił się padliną. Jego zęby i cały pysk są pełne zarazków, a pod pazurami mogło zostać zepsute mięso. Gangrena zabija najwięcej ofiar pogryzienia.

Wciąż jeszcze niezadowolony ze swojej pracy Sean wstrzyknął pełną ampułkę penicyliny do kroplówki. Bezpieczniej będzie, jeśli organizm będzie przesączony antybiotykiem. Cała robota zajęła mu mniej niż pół godziny. Przyglądając się bandażom i trzymanej przez Joba kroplówce Riccardo nie wątpił, że żaden lekarz nie zrobiłby tego sprawniej czy dokładniej.

– Przyprowadzę toyotę – powiedział Sean. – Muszę jednak przyjechać od strony brodu. To może zająć trochę czasu i będzie już ciemno, gdy wrócę. – Mógł posłać Joba po wóz, ale chciał dostać dziewczynę w swoje ręce. – W apteczce jest koc, przykryjcie nim Shadracha. – Spojrzał na rannego towarzysza. – To jedynie małe zadrapanie. Chcę, żebyś jak najszybciej wrócił do pracy, albo potrączę ci to z twojej pensji.

Wziął strzelbę kalibru 577 i skierował się przez trawę ku brzegowi. Idąc przez grząski rzeczny piasek poczuł, jak ogarnia go gniew tym silniejszy, że tak długo powstrzymywany.

Kiedy wyszedł na drugi brzeg, Claudia siedziała na przednim siedzeniu toyoty. Wyglądała na opuszczoną i zagubioną, ale Sean nie czuł dla niej żadnej litości. Spojrzała z przerażeniem na jego poplamione krwią ręce.

Sean ustawił strzelbę w stojaku na broń i nie patrząc na nią polał sobie dłonie wodą z manierki, wycierając je dokładnie. Udało mu się zmyć większość krwi. Usiadł za kierownicą, włączył silnik, zatoczył koło i skierował samochód ścieżką biegnącą wzdłuż rzeki.

– Nie powiesz mi, co się stało? – spytała w końcu Claudia. Zamierzała to powiedzieć pewnym siebie tonem, ale jej głos był zduszony i pełen lęku.

– W porządku – zgodził się Sean. – Powiem ci. Zamiast prostego strzału, który szybko by zakończył sprawę, zrobił się dokładny chaos i zamieszanie. Najpierw zaatakowała nas lwica. Zastrzeliliśmy ją w gęstej trawie przez pomyłkę. Zresztą i tak nie mielibyśmy wyboru, gdyż szarżowała na nas pełnym pędem. – Słońce właśnie zaszło za horyzontem i nad lasem zapadał zmrok. Sean włączył przednie światła. – Tak więc lwica jest martwa. Jej trzy małe nie zostały jeszcze odstawione od piersi i jest już po nich. Lwiątko zdechnęło z głodu w ciągu najbliższego tygodnia.

– Och nie! – jęknęła Claudia.



– Następnie zaatakował lew. Złapał nas ze spuszczonej majtkami. Nie byliśmy przygotowani i lew dopadł Shadracha. Niemal odgryzł mu nogę. Kość udowa jest cała pogruchotana od biodra do kolana. Może stracić ją całą. Jeśli będzie miał szczęście, to skończy się jedynie na niedowładzie. Jakkolwiek by patrzeć, nigdy już nie będzie tropicielem. Znajdę mu jakąś pracę jako służącemu, ale Shadrach jest wojownikiem z plemienia Matabele i taka praca złamie mu serce.

– Tak mi przykro.

– Tobie jest przykro? – zapytał z wściekłością Sean. – Shadrach jest moim przyjacielem i towarzyszem. Ocalił mi życie więcej razy, niż mógłbym zliczyć i ja zrobiłem to samo dla niego. Walczyliśmy razem na wojnie, spaliliśmy pod jednym kocem, jedliśmy z jednego talerza, przewędrowaliśmy dziesięć tysięcy kilometrów w słońcu, kurzu i deszczu. Jest kimś więcej niż przyjacielem. Mam dwóch braci, matkę i ojca, ale Shadrach znaczy dla mnie więcej niż oni. A teraz mówisz mi, że jest ci przykro. Śliczne dzięki, kotku. To wielka ulga dla mnie.

– Masz prawo być na mnie zły. Potrafię to zrozumieć!

– Ty potrafisz to zrozumieć? – zapytał. – Nic nie rozumiesz. Jesteś bezmyślną ignorantką z drugiej półkuli. Pochodzisz z kraju, gdzie wszystko można łatwo naprawić. Przyjeżdżasz tutaj i próbujesz narzucić swoje prostackie rozumowanie w Afryce. Starasz się ocalić pojedyncze zwierzę od jego przeznaczenia, a kończy się to na tym, że ginie samica, zdychają z głodu trzy lwiątko, a jeden z najlepszych ludzi, jakich znam, zostaje kaleką na całe życie.

– Co jeszcze mam ci powiedzieć? – spytała. – Pomyliłam się.

– Twoja skrucha jest wyjątkowo wzruszająca. – Jego głos chłostał ją z nienawiścią. – Jasne, że się pomyliłaś. Tak samo jak ty i twoi ziomkowie mylicie się usiłując zmusić głodem trzydziestomilionowy naród do przyjęcia waszych naiwnych rozwiązań. Kiedy zniszczenia, jakie spowodujecie, okażą się nie do naprawienia, to też powiecie: „Przepraszamy, myliliśmy się” i odejdziecie zostawiając mój kraj na pastwę cierpienia i łez?

– Co jeszcze mogę zrobić?

– Zostało nam trzydzieści dni safari – odparł z goryczą. – Chcę, żebyś przez ten czas nie wchodziła mi w drogę. Nie przerywam teraz safari i nie wysyłam cię do twoich Eskimosów i ich praw, bo tak się składa, że uważam twojego ojca za wyjątkowo wspaniałego człowieka. Od tej chwili jesteś tu jedynie tolerowana. Jeśli jeszcze z czymś się wyrwiesz, to wsadzę cię do następnego samolotu do Anchorage. Czy wyrażam się jasno?

– Jak najbardziej. – W jej głosie zabrzmiała bardziej energiczna nuta. Żadne z nich już się nie odezwało w czasie jazdy przez bród ani kiedy wspinali się na drugi brzeg, gdzie na polance stało drzewo z przynętą.

Kiedy dojechali na miejsce, Job i Matatu rozpalili już ognisko. Sean podprowadził samochód jak najbliżej Shadracha i wyskoczył z toyoty.

– Jak ból? – spytał kucając przy nim.

– Ból się nie liczy – odparł Shadrach, ale Sean rozpoznał kłamstwo po szarym kolorze skóry i zapadniętych gałkach ocznych Murzyna. Napełnił jednorazową strzykawkę morfiną z ampułki. Odczekał, aż narkotyk zacznie działać, i dopiero wtedy przenieśli Shadracha na tył półciężarówki.

Job i Matatu zdążyli już zdjąć skórę z obu zwierząt i teraz załadowali nasolone skóry na maskę, żeby przeszły na wieczornym wietrze.

– To wspaniały lew – powiedział Sean do Riccarda. – Masz wyborne trofeum.

Riccardo potrząsnął głową i odpowiedział:

– Zawieźmy Shadracha jak najprędzej do obozu.

Sean prowadził bardzo ostrożnie, przetaczając wóz przez większe przeszkody i cały czas starając się uchronić Shadracha przed podrzutami.

Claudia nalegała, żeby pozwolono jej usiąść z tyłu. Wzięła głowę Shadracha na kolana. Riccardo, który siedział obok Seana, spytał cicho:

– Co zamierzasz zrobić?

– Połączę się drogą radiową z Harare, jak tylko wrócimy do obozu. Przyślą po nas na lotnisko prywatny ambulans. Nie będzie mnie kilka dni. Postaram się, żeby Shadrach dostał dobrą opiekę i złożę raport do departamentu łowiectwa. Muszę z nimi jakoś załatwić tę sprawę.

– Nie pomyślałem o tym – odparł Riccardo. – Zastrzeliliśmy lwicę z małymi i mamy rannego człowieka. Co rząd z tym zrobi? Sean wzruszył w ciemnościach ramionami.

– Jest duża szansa, że zabiorą mi i licencję, i koncesję.

– Cholera, Sean. Nie wiedziałem, że to może tak wyglądać. Czy mogę ci jakoś pomóc?

– Nic a nic, Szeffie, ale dzięki za dobre chęci. Jesteś poza sprawą. To jest pomiędzy mną a departamentem.

– Mógłbym wziąć winę na siebie. Mogę powiedzieć, że to ja zastrzeliłem lwicę.

– Nic z tego. – Sean potrząsnął głową. – Nie można zwać winy na klienta. To jedna z zasad departamentu. Cokolwiek zrobisz, ja jestem za to odpowiedzialny.

– Jeśli zabiorą ci licencję... – Riccardo zawahał się i Sean znowu potrząsnął przecząco głową.

– Nie, Szeffie, nie przerwą nam safari. To także żelazna zasada departamentu. Nie wolno obrażać płacącego klienta. Rząd potrzebuje pieniędzy. Dopiero jak wyjedziesz, dobiorą mi się do tyłka. Ty jesteś poza sprawą. Wrócę za dwa dni i zapolujemy na tego wielkiego słonia. Nie martw się o nic.

– Czuję się przy tobie jak samolubny drań. Martwię się o ciebie i twoją licencję i wcale nie zamierzam się dobrze bawić.

– Jeszcze będziemy się dobrze bawić, Szeffie. Jeśli stracę tę licencję, to będzie to nasze ostatnie polowanie.

Claudia słyszała ich rozmowę ze swojego miejsca i wiedziała, dlaczego jej ojciec nic nie

odpowiedział. Riccardo zdawał sobie sprawę, że to jego ostatnie polowanie, z licencją czy bez. W ciągu ostatnich kilku godzin Claudia była pod wpływem silnych emocji i kiedy pomyślała o ojcu, do jej oczu napłynęły łzy. Przez chwilę usiłowała z nimi walczyć, ale poczuła, że nie warto. Płakała za nimi wszystkimi, za ojcem, lwicą z małymi, za pięknym lwem i Shadrachem ze zgruchotaną nogą.

Jedna z łez spadła na twarz Shadracha i mężczyzna spojrział na nią ze zdziwieniem. Otarła kciukiem kropelkę z jego policzka. Jej głos był stłumiony i pełen bólu, gdy szepnęła do niego:

– Wszystko będzie w porządku, Shadrach. – Nawet ona wiedziała, że to zwykłe kłamstwo.

Sean miał ustalony czas kontaktu radiowego ze swoim biurem w Harare, na dziesiątą wieczór każdego dnia. Podróż do obozu zajęła im tyle czasu, że mieli ledwie kilka minut na zmontowanie anteny i podłączenie radia do akumulatorów toyoty przed wyznaczoną godziną.

Połączenie było dobre; jednym z powodów tak późnej pory kontaktu był fakt, że w chłodnym, wieczornym powietrzu fale się lepiej rozchodziły. Sean słyszał wyraźny głos Reemy z jej intonacją gujurati. Reema była śliczną hinduską dziewczyną, która prowadziła biuro Seana w Harare z wyjątkową sprawnością.

– Mamy wypadek. – Sean użył zwrotu wojskowego z czasu wojny oznaczającego transport rannego. – Chcę, żeby na lotnisku czekał na mnie ambulans.

– W porządku, Sean.

– Umów mnie na rozmowę telefoniczną z moim bratem, Garrickiem, w Johannesburgu na jutro, na dziesiątą rano.

– Załatwione, Sean.

– Zorganizuj mi także spotkanie z dyrektorem departamentu łowiectwa na jutro po południu.

– Sean, dyrektor jest w Nowym Jorku na konferencji na temat ochrony dzikich zwierząt. Zarządem kieruje jego zastępca.

Sean wyłączył mikrofon i zaklął ciężko. Zupełnie zapomniał o tej konferencji. Nacisnął przycisk nadawania.

– W porządku, Reema, umów mnie na spotkanie z Geoffreyem Manguzą.

– Sean, to brzmi poważnie.

– Właśnie odkryliśmy to słowo.

– Jaki jest twój OCP? Przygotuję dla ciebie plan lotu.

Siły bezpieczeństwa tak bardzo się obawiały pościgów sił południowoafrykańskich za terrorystami na terytorium Zimbabwe i nalotów na bazy terrorystów w Harare, że kazały pilotom wypełniać plany lotu, podając oczekiwany czas przylotu na czterdzieści osiem godzin przed samym lotem.

– Wylatuję za pięćdziesiąt minut. OCP Harare 23:00. Pilot i dwóch pasażerów –

powiedział Sean.

Droga z obozu do lotniska zajęła im pół godziny. Riccardo i Claudia pojechali również.

Sean wyjął tylne siedzenia z samolotu Beechcraft i ułożył na podłodze materace. Ranny miał gorączkę i był niespokojny. Temperatura sięgnęła 40 stopni, a pachwinowe wężły chłonne były opuchnięte i twarde. Sean nie chciał spoglądać pod bandażę na nodze, ale jedno z zadrapań na brzuchu Shadracha zdradzało symptomy infekcji. Wydobywała się z niego ropa i delikatny zapach zgnilizny.

Sean wstrzyknął jeszcze jedną ampułkę penicyliny do kroplówki. Potem razem z Jobem i dwoma obozowymi oprawiaczami skór przenieśli ostrożnie rannego do samolotu i ułożyli na materacach.

Żona Shadracha była silną dziewczyną z plemienia Matabele. Do jej pleców było przytrzone paskiem materiału niemowlę. Mężczyźni załadowali jej całkiem spory dobytek na pokład i kobieta wspięła się do samolotu, usiadła koło męża, posadziła dziecko na kolanach i rozpiąwszy bluzkę zaczęła je karmić piersią. Job napełnił jeszcze pusty przedział bagażowy samolotu workami z suszonym mięsem, które było najlepszym środkiem płatniczym w Afryce. Następnie podjechał samochodem do końca pasa startowego, żeby oświetlić Seanowi miejsce, w którym musi oderwać się od ziemi.

– Szefie, Job zajmie się tobą pod moją nieobecność. Może weźmiesz strzelbę i zapolujesz na gołębie i pardwy nad jeziorami? To najlepsze zimowe strzelanie do pióra, jakie można sobie wyobrazić. O wiele lepsze niż polowanie na białe gołębie w Meksyku.

– Nie martw się o nas. Damy sobie radę.

– Wrócę tak szybko, jak tylko będę mógł. Tukutela i tak nie przyjdzie przed nową fazą księżyca. Wtedy będę już z powrotem. Obiecuję ci to, Szefie.

Sean wyciągnął rękę i kiedy Riccardo ją uściskał, dodał jeszcze:

– Nieźle się spisałeś z lwami, Szefie, ale nigdy nie brakowało ci charakteru.

– Co to za slang? – spytał Riccardo. – „Charakter”?

– W porządku, odpowiada ci jankeski zwrot: „Jaja”?

– Może być. – Riccardo wyszczerzył do niego wesoło zęby.

Claudia, która stała obok ojca, uśmiechnęła się niepewnie i zrobiła krok do przodu, żeby podać Seanowi rękę.

Rozplotła wcześniej warkocz i jej włosy rozsypały się gęsto wokół głowy. Wyraz jej twarzy był łagodny, a oczy duże, ciemne i błyszczące. W świetle lamp toyoty jej klasyczne rysy były więcej niż tylko przystojne i Sean po raz pierwszy uświadomił sobie, że jest piękna. Mimo jej oszałamiającej urody i pokornej postawy pozostał chłodny i odległy. Skinął do niej głową, ignorując wyciągniętą rękę, wdrapał się po skrzydle do samolotu i zanurkował w kabinie.

Sean własnoręcznie wyciął pas startowy w gąszczu krzaków i wyrównał ziemię ciągnąc na łańcuchu za toyotą stare opony od ciężarówek. Pas był wąski, nierówny, krótki i lekko

pochylony ku rzece. Ustawił beechcrafta z ogonem wbitym w zarośla i mocno wcisnął hamulce patrząc w dół stoku. Nakierował dziób samolotu na światła wozu na końcu pasa, zwiększając jednocześnie obroty obu silników i w końcu zdjął nogę z hamulców. Tuż przed drzewami okalającymi pas startowy przyciągnął silnie drążek sterowniczy do siebie i poderwał samolot w górę. Jak zawsze przeżegnał się z kpiącym uśmiechem czując ulgę, że udało mu się minąć drzewa. Nakierował samolot na kurs do Harare.

Podczas lotu zaczął planować strategię postępowania. Dyrektor departamentu łowieckiego był jego starym przyjacielem i pomógł mu już w równie niebezpiecznych sytuacjach. Jednak jego zastępca, Geoffrey Manguza, to zupełnie inna para butów. Dyrektor był jednym z niewielu białych urzędników, jacy ostali się w rządzie. Manguza miał go niedługo zastąpić. Byłby to pierwszy murzyński dyrektor w tym departamencie.

Manguza i Sean walczyli w czasie wojny po przeciwnych stronach. Obecny zastępca dyrektora okazał się zdolnym przywódcą partyzantów i nieprzejednanym politykiem. Chodziły pogłoski, że nie lubi właścicieli koncesji na safari, których większość stanowili biali. Prywatna własność urażała jego marksistowskie przekonania, a ponadto zastrzelił zbyt wielu białych w czasie wojny, żeby ich lubić czy choćby czuć przed nimi respekt.

Zapowiadała się trudna rozmowa, westchnął Sean.

Kiedy wylądował na lotnisku, Reema już na niego czekała. Jako nowoczesna hinduska kobieta zamieniła sari na dżinsowe spodnie i koszulkę. Nie była jednak aż tak wyzwolona, żeby samej sobie znaleźć męża. Jej ojciec i wujowie pracowali właśnie nad tym i zaproponowali już pewnego kandydata z Kanady. Profesora religii orientalnych na Uniwersytecie w Toronto. Sean nie cierpiał ich za to. Reema była jedną z ważniejszych ozdób jego firmy – Courtney Safari. Wiedział dobrze, że nigdy nie uda mu się jej zastąpić.

Na pasie postojowym za oświetlonym hangarem stał już ambulans. Reema była przyzwyczajona do przekupywania strażników przy bramie wjazdowej suszonym mięsem z upolowanej na safari zwierzyny. W Afryce suszone mięso otwierało wszystkie drzwi.

Pojechali samochodem za karetką do szpitala w Kombi. Podczas gdy Sean przeglądał korespondencję, prowadząca samochód Reema zdała mu sprawozdanie z najważniejszych zmian, jakie zaszły pod jego nieobecność.

– Carter, ten chirurg z Atlanty, zrezygnował... – To było dwudziestojednodniowe safari, więc Sean szybko podniósł wzrok znad listu, ale Reema go uspokoiła. – Zadzwoiłam do niemieckiego producenta mydła z Monachium, Herr Buchnera, któremu odmówiliśmy w grudniu. Wskoczył na miejsce chirurga. Mamy komplet do końca sezonu.

– Co z moim bratem? – przerwał jej Sean. Nie powiedział jej, że istnieje możliwość, iż sezon właśnie się skończył.

– Twój brat oczekuje telefonu i dziś o szóstej linia jeszcze była w porządku. – W Zimbabwie nigdy nie można było mieć pewności, czy uzyska się połączenie.

W szpitalu było co najmniej pięćdziesięciu chorych, którzy czekali w kolejce przed nimi.

Długie ławki były pełne skulonych, cierpiących ludzi, a nosze blokowały korytarz i klatki schodowe. W rejestracji nikomu się nie spieszyło i nosze z Shadrachem zostały ustawione na szarym końcu kolejki.

– Zostaw to mnie – szepnęła Reema. Wzięła za łokieć starszego administratora szpitala i z anielskim uśmiechem zaczęła mu coś wyjaśniać.

Pięć minut później Sean otrzymał papiery Shadracha, którego przebadał już wschodnioniemiecki lekarz.

– Ile to kosztowało? – spytał Sean.

– Tanio – odparła Reema. – Worek suszonego mięsa.

Sean nauczył się trochę niemieckiego od swoich klientów z safari i mógł przedyskutować sprawę Shadracha z lekarzem. Doktor był pełen nadziei. Sean pożegnał się z rannym przyjacielem.

– Reema ma twoje pieniądze. Będzie przychodzić każdego dnia, żeby zobaczyć, jak się tobą opiekują. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, to jej powiedz.

– Będę z tobą duchem, gdy zapolujecie na Tukutele – szepnął Shadrach i Sean musiał odchrząknąć, zanim mógł odpowiedzieć.

– Będziemy jeszcze polowali na wiele słoni, stary przyjacielu. – Odszedł szybko od łóżka.

Następnego dnia, gdy udało mu się uzyskać połączenie z Johannesburgiem, w słuchawce było słycać mocne trzaski.

– Pan Garrick Courteney jest na zebraniu zarządu – oznajmiła telefonistka w Centaine House, głównym biurze Courteney Group. – Poleciał mi jednak, żeby pana połączyć.

Oczami wyobraźni Sean ujrzał olbrzymią salę wyłożoną boazerią z orzecha, z zawieszonymi na ścianach wielkimi płótnami Piernnefa ozdobionymi bogatymi, złotymi ramami i Garry’ego, który siedział na fotelu przewodniczącego na szczycie długiego stołu pod kryształowym żyrandolem, który ich babka ściągnęła z Murano we Włoszech.

– Sean! – Pewny siebie głos Garry’ego przebił się przez szumy. Jak bardzo się zmienił ten mały szczeniak, który moczył się w nocy.

Jego pozycja przysługiwała Seanowi, gdyby tylko jej chciał i był przygotowany, by ją sprawować. Sean był pierworodnym, ale odrzucił swoją szansę. W tej chwili poczuł ukłucie zawiści, gdy pomyślał o rollsach Garry’ego, odrzutowcu Lear i wakacjach we własnym domu na południu Francji.

– Cześć, Garry. Jak leci?

– Wszystko w porządku – odpowiedział Garrick. – Jakieś problemy? – Ich kontakty opierały się na zasadzie, że istnieje jakiś problem do rozwiązania.

– Może będę musiał nieco posmarować – powiedział dyplomatycznie Sean. Było to hasło, że należy wysłać pieniądze do banku w Szwajcarii i że Sean musi kogoś przekupić. Nie było to takie rzadkie.

– W porządku, Sean. Podaj mi tylko wysokość sumy i numer konta. – Garry był współnikiem Seana w safari. Miał czterdzieści procent akcji przedsiębiorstwa.

– Dzięki, Garry. Zadzwoń do ciebie jutro. Co w domu? – Porozmawiali o rodzinie przez kilka minut. Kiedy Sean odwiesił słuchawkę, do jego gabinetu weszła Reema.

– Udało mi się dostać w końcu połączenie z departamentem – Reema próbowała się dodzwonić od samego rana. – Towarzysz Manguza przyjmie cię dziś o wpół do piątej.

Geoffrey Manguza był wysokim Murzynem z plemienia Shona o bardzo ciemnej skórze i krótko przystrzyżonych włosach. Nosił okulary w srebrnych oprawkach i ciemnoniebieski garnitur. Na szyi miał krawat firmy Hermes; Seanowi udało się rozpoznać firmowy znak końskiego zaprzęgu. Na rękę zaś nosił zegarek Patek Philippe na pasku z krokodylej skóry. Nie były to raczej akcesoria przeciętnego marksisty i Sean poczuł przypływ nadziei. Zastępca dyrektora nie podniósł się z krzesła, żeby go przywitać.

– Pułkownik Courteney – powiedział bez uśmiechu. Specjalnie użył nazwy rangi Seana, żeby dać mu do zrozumienia, iż wie o fakcie dowodzenia przez niego oddziałem Ballantyne Scouts, elitarnej jednostki wojsk rodezyjskich. Sean objął dowództwo po tym, jak Ballantyne, założyciel regimentu, został zabity w akcji. Przypominało to także, że byli wrogami i może nadal nimi pozostają.

– Wolę, żeby mówił pan po prostu: pan Courteney, – Sean uśmiechnął się do niego. – Tamte sprawy są już za nami, towarzyszu Manguza.

Zastępca dyrektora skłonił lekko głowę, nie wyrażając sprzeciwu, ale i nie zgadzając się z Seanem.

– Co mogę dla pana zrobić?

– Niestety, muszę złożyć raport o przekroczeniu zarządzeń departamentu... – Wyraz twarzy Geoffreya Manguzy stwardniał i nie zmienił się przez cały czas, gdy Sean opisywał omyłkowe zastrzelenie lwicy i wypadek Shadracha. Kiedy skończył i położył na biurku sprawozdanie, które napisała mu na maszynie Reema, zastępca dyrektora nie tknął kartek, ale zamiast tego zadał kilka pytań:

– Zdaje pan sobie sprawę, pułkowniku Courteney – ponownie użył określenia rangi Seana – że jestem zmuszony spojrzeć krytycznym okiem na całą sprawę. Wygląda na to, że miało miejsce poważne zaniedbanie i zlekceważenie bezpieczeństwa gościa i pańskich własnych ludzi. Zimbabwe nie jest już kolonią i nie może pan traktować naszych obywateli tak jak kiedyś.

– Zanim przedstawi pan swój punkt widzenia dyrektorowi, chciałbym wyjaśnić kilka punktów – powiedział mu Sean.

– Proszę mówić, pułkowniku.

– Jest już prawie piąta. – Sean spojrzął na zegarek. – Czy mogę panu postawić drinka w klubie golfowym? Moglibyśmy tam swobodnie porozmawiać.

Wyraz twarzy Manguzy był nie do przeniknięcia, ale po kilku sekundach skinął lekko głową.

– Jak pan sobie życzy. Zanim wyjdę, mam jeszcze kilka spraw do załatwienia, ale możemy spotkać się za pół godziny.

Sean musiał czekać czterdzieści minut na werandzie klubu, zanim pojawił się Manguza. Klub kiedyś nazywał się: Królewski Klub Golfowy Salisbury, ale pierwszy i ostatni człon nazwy wypadły z użycia, gdyż nazbyt oczywiście przypominały minioną erę kolonializmu. Niemniej pierwsze słowa, jakie Geoffrey Manguza wypowiedział po zamówieniu ginu z tonikiem, brzmiały:

– Jakie to dziwne... Jeszcze kilka lat temu jedyny sposób, w jaki Murzyn mógł się tu dostać, to jako służący. Teraz jednak należę do komitetu zarządzającego i dostaję pięć punktów forów przy grze.

Sean puścił uwagę mimo uszu i zmienił temat na kłusownicze zabijanie nosorożców po drugiej stronie granicy z Zambią. Tym razem Manguza nie podjął tematu. Przyglądał się Seanowi przez okulary w srebrnych oprawkach i kiedy tylko ten skończył mówić, zabrał głos:

– Chciał mi pan wyjaśnić kilka punktów – powiedział. – Obaj nie mamy zbyt wiele czasu, pułkowniku.

Ta bezpośredniość nie była przyjemna. Sean był przygotowany na typowe dla Afryki dotarcie do sedna sprawy okrężną drogą, ale dostosował się do rozmówcy.

– Przede wszystkim, panie Manguza, chciałem panu powiedzieć, jak dużą cenę ma dla mnie i moich wspólników koncesja Chiwewe. – Sean celowo użył słowa „cena”. – Dzwoniłem dziś rano do moich partnerów, żeby wyjaśnić im ten pożałowania godny incydent i są zdecydowani załatwić sprawę za każdą cenę. – Ponownie użył tego słowa i znacząco zawiesił głos.

W tego typu negocjacjach należało przestrzegać pewnej etykiety. Dla zachodniego sposobu myślenia chodziło o zwykłą łapówkę, ale w Afryce był to powszechnie zaakceptowany sposób załatwiania interesów. Rząd mógł sobie do woli wywieszać plakaty, przedstawiające but rozgniatający żmiję, z napisem „Wyplenić korupcję”, ale nikt nie brał tego poważnie. W pewien dziwny sposób takie plakaty wyrażały uznanie rządu dla tego typu praktyk.

W tym stadium rozmowy Geoffrey Manguza powinien zgodzić się z Seanem, że należy się pewne zadośćuczynienie, czy w jakiś inny sposób wyjawić swoje zainteresowanie. Nie odezwał się jednak ani słowem i tylko przyglądał się Seanowi zza błyszczących okularów, aż Sean czuł się zmuszony podjąć temat.

– Jeśli wypił pan drinka, to może przejdziemy się wzdłuż osiemnastego toru? – O tej godzinie weranda była już zatłoczona i należało się strzec zbyt ciekawskich uszu. Manguza dopił ginu z tonikiem i bez słowa poprowadził po schodach na trawnik.

Na torze znajdowało się jeszcze czterech graczy, ale Sean trzymał się krawędzi trawnika.



Kiedy gracze wraz z nosicielami minęli ich, Sean odezwał się:

– Powiedziałem moim wspólnikom w interesach, że jest pan najpotężniejszym człowiekiem w departamencie i że biały dyrektor jest pańską pieczętą firmową. Wyjaśniłem im także, że w pańskiej mocy leży skierowanie oficjalnego śledztwa w tej niefortunnej sprawie na boczne tory. Byłem tak pewien pańskiej władzy, że założyłem się z nimi o dziesięć tysięcy dolarów amerykańskich. Jeśli wygram ten zakład, to pieniądze są pańskie i mogą zostać wpłacone na podane przez pana konto w którymkolwiek z banków na świecie.

Manguza zatrzymał się i spojrzał na niego. Seana zatkało na widok wyrazu jego twarzy. Głos Manguzy drżał z ledwie tłumionej wściekłości.

– Pańskie przypuszczenie, że jestem otwarty na takie propozycje, jest dla mnie obrazą. To mógłbym jeszcze znieść, ale jest to także policzek wymierzony w twarz rewolucji i rewolucyjnych bohaterów, którzy zginęli w walce o wyzwolenie tego kraju z kolonialnego jarzma. Jest to obraza dla partii i jej przywódców, a także dla idei marksizmu i wszystkich czarnych mieszkańców Afryki.

– Zaproponowałem panu jedynie głupich dziesięć kawałków, a nie przywrócenie monarchii, w imię Allacha.

– Może się pan uśmiechać szyderczo, pułkowniku Courteney, ale znamy pana dobrze. Wiemy o pana południowoafrykańskich powiązaniach i o tej bandzie matabskich bandytów, jakich pan zebrał wokół siebie. Wiemy, że wszyscy oni walczyli u pana boku przeciwko siłom rewolucyjnym. To są kontrrewolucjoniści i zwolennicy kapitalizmu, a pan jest ich przywódcą.

– Zastrzeliłem przez pomyłkę lwicę, a jeden z moich kapitalistów został ranny, to cała moja kontrrewolucyjna działalność.

– Mamy pana na oku, pułkowniku – oznajmił złowieszczym tonem Manguza. – Może być pan pewien, że złożę odpowiedni raport z należyтыми sugestiami w pańskiej sprawie i że obraza mojego ludu nie zostanie pominięta.

Manguza odwrócił się od niego i wrócił do budynku klubu. Sean stał na trawniku potrząsając głową.

– Żegnaj, piękna koncesjo Chiwewe – mruknął. – Tym razem spieprzyłem sprawę! – Mimo dziwnej lekkości czuł ściskającą mu żołądek zapowiedź katastrofy.

Biura Courteneyowskich Safari znajdowały się na Avenues, pomiędzy urzędem rady ministrów a klubem golfowym. Reema czekała na niego w sekretariacie, którego ściany zostały ozdobione plakatami przedstawiającymi zwierzęta i powiększonymi zdjęciami zadowolonych klientów stojących nad swoimi trofeami. Na widok Seana poderwała się z krzesła.

– Sean, godzinę temu dzwonili ze szpitala. Amputowali Shadrachowi nogę.

Przez długą chwilę Sean nie mógł się poruszyć ani nic powiedzieć. Następnie podszedł do

szafki i z górnej szuflady wyjął szklaneczkę oraz na wpół opróżnioną butelkę chivas. Opadł na sofę i napełnił szklaneczkę do połowy.

– Wspaniałe zakończenie cudownego dnia – powiedział i wypił alkohol jednym haustem.

Reema zostawiła go siedzącego na sofie z dwoma drinkami w butelce. Kiedy opróżnił butelkę do dna, poszedł do hotelu Monomatapa. Hotel był pełen turystów, a pomiędzy nimi dostrzegł blondynę w typie germańskiej Walkirii w kostiumie żywcem wyjętym z „Pożegnania z Afryką”. Dziewczyna spojrzała na niego, gdy tylko wszedł do hallu, i uśmiechnęła się.

„Niech będzie”, powiedział sobie Sean. „To tańsze od whisky i nie ma potem kaca”.

Dziewczyna śmiała się serdecznie ze słabej niemczyzny Seana i niedługo potem okazało się, że sama zajmuje cały apartament na czternastym piętrze. Zamówiła do pokoju butelkę rumu, którą wypili w łóżku.

Rankiem, podczas gdy Reema wypełniała Seanowi plan lotu i zawiozła worek suszonego mięsa dla kontrolerów lotów, Sean pojechał do szpitala.

Lekarze ucięli nogę Shadracha dwa centymetry za biodrem. Doktor ze wschodnich Niemiec pokazał Seanowi zdjęcia rentgenowskie.

– Beznadziejne! – Wskazał na kawałki kości. – Zupełnie jak confetti!

W sali nie było miejsca, gdzie można by spocząć, więc Sean stał przez chwilę przy łóżku przyjaciela. Rozmawiali trochę o wspólnych walkach i polowaniach. Nie wspominali nogi, a kiedy wyczerpały się wspomnienia, Sean dał sto dolarów siostrze przełożonej, żeby opiekowała się Shadrachem, i pojechał na lotnisko.

Reema oddała wypełniony plan lotu. Beechcraft był już zatankowany i wypełniony artykułami niezbędnymi w obozie: od świeżych owoców i warzyw aż po papier toaletowy.

– Jesteś wspaniałą dziewczyną, Reema – powiedział Sean i stojąc przy samolocie opisał jej spotkanie z Geoffreyem Manguzą. – Nie wygląda to najlepiej – zakończył. – Lepiej poszukaj sobie nowej pracy.

– Tak mi przykro z powodu safari, Sean – odparła. – Nie musisz się o mnie martwić. Sama zastanawiałam się, jak ci to powiedzieć. Wylatuję do Kanady szesnastego września. Wszystko zostało już uzgodnione. Będę żoną profesora.

– Masz być szczęśliwa – rozkazał jej Sean i pierwszy raz w historii ich znajomości pocałował ją. Reema zarumieniła się pod smagłą skórą i wyglądała jeszcze śliczniej niż zwykle.

Sean wykonał trzy niskie okrążenia nad obozem, aż wreszcie dostrzegł dżipa z Jobem za kierownicą i Matatu z tyłu wyjeżdżającego w stronę lądowiska. Wylądował i zaparkował beechcrafta w specjalnej klatce z galwanizowanego drutu, która miała odstraszyć słonie, gdyby chciały urwać skrzydła, i lwy, gdyby dobierały się do opon.

Kiedy Job i Matatu nadjechali toyotą i już załadowali na nią artykuły z samolotu, Sean im

powiedział o nodze Shadracha.

Walczyli razem na wojnie i nauczyli się patrzeć twardo na życie, ale teraz Sean dostrzegł ból i żal w ich oczach. Job mruknął:

– Będziemy potrzebowali drugiego tropiciela. Pumula, oprawiacz skór, jest całkiem niezły.

– Dobra, weźmiemy go – zgodził się Sean.

Przez chwilę stali w milczeniu w hołdzie złożonym okaleczonemu towarzyszowi. Następnie wdrapali się bez słowa do samochodu i wrócili do obozu.

Claudia Monterro założyła na siebie tego wieczoru białą suknię z jedwabnego szyfonu ozdobioną srebrną biżuterią z turkusami. Przy jej opalonej skórze i kruczoczarnych włosach efekt był piorunujący. Sean jednak dołożył wysiłków, żeby nie okazać zachwytu i skoncentrował się na rozmowie z jej ojcem.

Kiedy opowiedział Riccardowi o Shadrachu i spotkaniu z Manguzą, przy stole zapanował nastrój przygnębienia. Claudia zostawiła mężczyznę przy ognisku, ale nie siedzieli tam długo. Riccardo pożegnał się szybko i poszedł do namiotu. Sean wziął ze sobą butelkę whisky z namiotu stołowego i poszedł do służących.

Namiot Joba i jego dwóch żon stał trochę dalej od pozostałych, nad, brzegiem rzeki. W głębokim bajorze hipopotamy wyglądały niczym wystające z wody skały.

Kiedy Sean usadowił się na rzeźbionym drewnianym stołku naprzeciw małego ogniska, jedna z żon Joba przyniosła dwie szklanki i naleła do nich alkohol. Ładna dziewczyna z plemienia Matabele, z niemowlęciem na plecach, podała mężowi szklankę, a Job podniósł ją do góry nad migającymi płomykami ku Seanowi.

Pili w milczeniu. Sean przyglądał się oświetlonej ogniem twarzy przyjaciela, który patrzył na rzekę. Cisza miała w sobie coś pocieszającego, a czując na języku dymny smak whisky Sean pozwolił myślom cofnąć się przez lata.

Przypomniawszy sobie dzień, kiedy poznał Joba Bhekani. Było to na skalistym wzgórzu, które nie miało nazwy, a jedynie numer, Wzgórze 31. Wśród gęstych zarośli dzikich drzewek hebanowych krył się nieprzyjaciel. Job siedział na górze od dwóch dni. Jego oczy były nieprzytomne i nabiegłe krwią. Sean zeskoczył na spadochronie o świcie z pięcioma innymi Skautami. Przez resztę dnia walczyli ramię w ramię. O zmierzchu, kiedy teren został oczyszczony, a niedobitki wroga uciekły w popłochu i znikły w lesie, Sean i Job pomagali sobie wejść do helikoptera. Schodzili ze wzgórza wolnym, znużonym krokiem, ciągnąc za sobą broń, wspierając się ramionami, tak iż krew z ich ran mieszała się ze sobą.

– Czy ci się to podoba czy nie, ale złączyło nas teraz braterstwo krwi – jęknął Sean, uśmiechając się do Joba spod kremu kamuflującego, pyłu i kurzu. Kiedy tydzień później Job został wypuszczony ze szpitala polowego, Sean czekał na niego z papierami stwierdzającymi przeniesienie do nowej jednostki.

– Kapitanie, został pan przydzielony do oddziału Ballantyne Scouts.

Job wyszczerzył do niego zęby w swoim specjalnym szerokim uśmiechu i odpowiedział:

– No to w drogę, pułkowniku.

Z jego teczki Sean się dowiedział, że Job urodził się nad rzeką Gwai i uczęszczał do miejscowej szkoły misyjnej, gdzie otrzymał stypendium na studia na Uniwersytecie Rodezyjskim i Nyasaland, na którym uzyskał tytuł magistra z polityki, a następnie ukończył drugi fakultet z historii i antropologii kulturowej. Później przyznano mu stypendium w College'u Browna w Chicago, gdzie otrzymał drugi tytuł naukowy w tym samym roku, kiedy Jan Smith ogłosił niepodległość kraju.

Dopiero znacznie później, kiedy wypróbowali już swoją przyjaźń, Sean usłyszał od Joba, jak pasał bydło ojca nad rzeką i jeszcze jako dziecko pokochał dziką naturę. Ojciec Joba był jednym z wnuków króla Lobenguly, syna potężnego króla Mzilikazi. Job był w prostej linii potomkiem królewskiego rodu Zulusów, co można było rozpoznać w jego postawie i rysach twarzy. Miał silnie rozwinięte szczęki i wysokie czoło, ciemne i inteligentne oczy i pięknie sklepioną czaszkę pod krótko obciętyimi, kędzierzawymi włosami.

Podczas studiów i w czasie pobytu w Ameryce Job nauczył się nienawidzić komunizmu i jego osiągnięć. Kiedy wrócił do rodzinnego kraju, było zupełnie naturalne, że zaciągnął się do Rhodesian African Rifles i w ciągu roku uzyskał awans.

Po wojnie, kiedy na mocy porozumienia z Lancaster House kraj został przyznany Robertowi Mugabe i ludowej demokracji, Job zdał z wyróżnieniem egzamin na urzędnika państwowego, gdyż praca dla rządu była najkrótszą drogą do osiągnięcia zamożności i władzy.

Job został jednak napiętnowany jako „sprzedawczyk”, który brał udział w wojnie po złej stronie. Na dodatek pochodził z plemienia Matabele, podczas gdy władza dostała się w ręce członków plemienia Shona. Przed Jobem zamknęły się wszelkie drzwi do awansu. Rozzłoszczony i odarty ze złudzeń wrócił do Seana.

– Cholera, Job, jesteś za dobry na jakąkolwiek pracę, którą mógłbym ci zaproponować na safari – powiedział mu Sean.

– Tropiciel, oprawiacz skór, naganiacz, wezmę, cokolwiek mi zaoferujesz – nalegał Job.

Tak więc, polowali razem w ten sam sposób, jak walczyli, ramię w ramię, i w ciągu roku Sean mianował Joba jednym z zarządzających Courteneyowskimi Safari. Ich wieczorne rozmowy przy ognisku i szklaneczce whisky nazywały się posiedzeniami dyrektorów.

Job z dziwną przyjemnością grał różne role w różnych okolicznościach. W obecności klientów safari grał rolę, którą nazywał „Murzyn z plantacji”, kiedy to nazywał Seana Bwana lub Nkosi i zachowywał się jak posłuszny niewolnik.

– Nie bądź głupim fiutem, Job. Poniżasz się – protestował z początku Sean.

– Ależ właśnie tego oczekuje klient – przekonywał go Job. – Stary, sprzedajemy im iluzję. Oni sobie wyobrażają, że są Ernestami Hemingwayami. Gdyby wiedzieli, że mam tytuł naukowy z historii i polityki, to narobili by ze strachu w portki. – Chociaż niechętnie, Sean nie

mógł się z tym nie zgodzić.

Kiedy byli sami, Job grał rolę „Homo sapiens” i stawał się inteligentnym i wykształconym człowiekiem, którym był w rzeczywistości. W rozmowie z łatwością obaj przechodzili z sindebele na angielski i każdy z nich czuł się równie swobodnie używając języka przyjaciela, jak czuli się w swoim towarzystwie.

– Słuchaj, Sean, nie musisz się na zapas przejmować utratą koncesji. Jak na razie jeszcze ci jej nie odebrali, a nawet jeśli to się stanie, to damy sobie radę.

– Pociesz mnie. Potrzebuję tego.

– Możemy wystąpić o koncesję gdzieś na Matabeleland, gdzie moja rodzina ma jeszcze pewne wpływy. Na przykład w Matetsi czy nawet nad rzeką Gwai. Znam tam każdy kamień.

– Nie da rady. – Sean potrząsnął głową. – Jak raz dałem tyłka, to na zawsze będę napiętnowany jako pechowiec.

– Złożymy podanie w moim imieniu – zasugerował Job i uśmiechnął się złośliwie. – Zrobię cię swoim dyrektorem i będziesz mnie nazywał Bwana!

Roześmieli się i atmosfera się rozluźniła. Kiedy Sean zostawił Joba przy ognisku i wracał do namiotu, był już w pogodnym, a nawet wesołym humorze. Job zawsze miał siłę odmienić jego złe nastroje.

Zbliżając się do swojego namiotu zobaczył, że coś jasnego przesunęło się w cieniu księżyca pod drzewem i zatrzymał się gwałtownie. Gdy dobiegł go cichy brzęk srebrnej biżuterii, wiedział już, kto na niego czeka.

– Mogę porozmawiać z tobą? – spytała cicho Claudia.

– Słucham – odparł. Zastanowił się, dlaczego amerykański zwrot „porozmawiać z tobą” zamiast „możemy porozmawiać” tak go irytował.

– Nie mam w tym wielkiej wprawy – przyznała się, ale Sean nie chciał jej pomóc. – Chciałam przeprosić.

– No to się zwracasz do nieodpowiedniej osoby. Ja mam jeszcze obie nogi.

Cofnęła się lekko. Jej głos drżał silnie, gdy się odezwała ponownie.

– Nie znasz litości, prawda? – Podniosła wyżej głowę. – W porządku, chyba na to zasłużyłam. Zachowałam się jak idiotka. Byłam przekonana, że znam to wszystko na wylot, ale okazało się, że wiem jeszcze bardzo mało i w mojej ignorancji wyrządziłam ci wielką szkodę. Jeśli to coś pomoże, to chcę ci powiedzieć, że jest mi bardzo przykro.

– Pochodzimy z zupełnie innych światów i nie ma żadnej myśli czy uczucia, które by nas łączyło. Nie ma nadziei, żeby udało nam się kiedykolwiek porozumieć, a co dopiero mówić o przyjaźni, ale wiem, ile cię to kosztowało.

– A więc rozejm? – spytała.

– W porządku, zgadzam się na zawieszenie broni. – Wyciągnął rękę i dziewczyna ją uścisnęła. Jej skóra była delikatna jak płatek kwiatu, a ręka szczupła i chłodna, ale uścisk miała silny niczym mężczyzna.

– Dobranoc – powiedziała, puściła jego rękę i odwróciła się.

Patrzył, jak odchodzi do namiotu. Brakowało dwóch dni, żeby księżyc znalazł się w pełni. W srebrnym świetle biała suknia wydawała się ulotna niczym mgła. Przez cienki materiał widział szczupłe ciało i długie zgrabne nogi.

W tej chwili podziwiał jej charakter i czuł do niej bardziej przyjazne uczucia niż w ciągu całej ich krótkiej znajomości.

Jako myśliwy i były żołnierz, Sean spał bardzo lekko. Naturalne odgłosy dżungli nie budziły go. Mógł spać spokojnie przy krzyku hien, kłębiących się wokół ufortyfikowanego miejsca, gdzie suszyły się skóry lwów.

Wystarczyło jednak delikatne skrobanie w płótno namiotu, żeby Sean schwycił latarkę i sięgnął po stojącą u wezglowia łóżka strzelbę.

– Kto tam? – spytał cicho.

– To ja, Job.

Sean spojrział na tarczę rolexa. Fosforyzujące wskazówki pokazywały trzecią rano.

– Wejdz. Co się dzieje?

– Jeden z tropicieli, których ustawiliśmy nad rzeką, przybiegł do obozu. Biegł przez trzydzieści kilometrów.

Sean poczuł mrówki na karku i usiadł na łóżku.

– Tak? – spytał podekscytowanym głosem.

– Dziś o zachodzie słońca Tukutela przekroczył rzekę.

– Czy to pewna wiadomość?

– Tak. Widzieli go z bliska. To Tukutela, Rozzłoszczony Słoń, i nie ma obroży na szyi.

– Gdzie jest Matatu? – Sean zerwał się z łóżka i sięgnął po spodnie. Mały Ndorobczyk zawołał przy wejściu do namiotu.

– Jestem gotowy, Bwana.

– Dobrze. Wyruszamy za dwadzieścia minut. Plecaki ze sprzętem i manierki. Weźmiemy Pumulę na miejsce Shadracha. Chcę znaleźć się na tropie Tukuteli przed świtem.

Na wpół ubrany Sean podszedł do namiotu Riccarda stojącego obok i usłyszał równomierne chrapanie.

– Szefie! – Chrapanie ustało. – Nie śpisz? Mam dla ciebie słonia. Podnieś tyłek z łóżka. Tukutela przekroczył rzekę. Wyruszamy za dwadzieścia minut.

– Cholera! – Po głosie Riccarda poznał, że jeszcze na wpół śpi. Z namiotu dobiegł go odgłos potknięcia się. – Gdzie, do diabła, są moje spodnie? Sean, bądź tak dobry i obudź Claudię.

W namiocie dziewczyny paliła się lampa. Dziewczyna musiała usłyszeć ich głosy.

– Obudziłaś się? – zapytał Sean zatrzymując się przy klapie namiotu. Claudia otworzyła ją i stanęła w świetle latarni. Nocna koszula sięgała jej do kostek, a koronka zakrywała szyję, ale materiał był tak cienki, że światło lampy wydobywało zarys jej ciała.

– Słyszałam, jak rozmawiałeś z ojcem – powiedziała. – Zaraz będę gotowa. Czy będziemy musieli dużo chodzić? Jakie buty mam włożyć: do chodzenia po górach czy mokasyny?

Sean był przekonany, że specjalnie urządziła to przedstawienie i poczuł pruderyjną niechęć tak obcą jego naturze.

– Dziś będziesz chodzić więcej i szybciej niż kiedykolwiek dotąd – powiedział szorstkim głosem. „Obnaża się jak jakaś dziewczyna lekkich obyczajów”, pomyślał zapominając, że jego gust skłaniał się właśnie ku takim kobietom, „i to wtedy, gdy zacząłem nabierać dla niej szacunku”. Na usta cisnęła mu się jakaś ostra uwaga. Udało mu się zdusić ją w sobie, ale miał większe kłopoty z powstrzymaniem się od patrzenia na śmiałą linię jej bioder, delikatną niczym kształt chińskiej wazy wykonanej przez bezimiennego mistrza za czasów dynastii Iang. Najchętniej odwróciłby się na pięcie, żeby okazać swą obojętność, ale stał nieruchomo przed namiotem długo po tym, gdy zasłona opadła.

– Rozejm, niech mnie diabli – mruknął pod nosem wracając do swojego namiotu. – Ona wcale nie zeszła z ringu i nadal rozdaje prawe sierpowe. – Własny gniew zdziwił go. Gdyby inna kobieta, nawet w połowie nie tak piękna jak Claudia, urządziła dla niego taki pokaz, Sean byłby zachwycony.

„Ona ma więcej klasy”, starał się sam siebie przekonać i wspominał, jak bardzo dziewczyna działa mu na nerwy i jak jej nie lubi. „Rany, ta smarkata zapędzi cię do czubków”, przestrzegł siebie i wybuchnął śmiechem. Przygnębienie wywołane amputacją nogi Shadracha i możliwością utraty licencji znikło jak zdmuchnięte.

Udawał się na polowanie legendarnego zwierzęcia i w jakiś trudno wytłumaczalny sposób obecność tej kobiety dodawała jedynie smaku całemu polowaniu.

Na trawie w płytkim jarze leżał szron. Lśnił w mocnym świetle lamp toyoty, a wyrwane z ciemności zwierzęta były nieruchawe z zimna i niechętnie schodziły z drogi przed jadącym samochodem. Na godzinę przed świtem dojechali do brodu nad Chiwewe. W bladym świetle zachodzącego księżyca woda wydawała się czarna i błyszcząca niczym antracytowe skały. Wysokie drzewa porastające oba brzegi były skąpane w srebrzystej poświacie jak dwie armie mitycznych olbrzymów.

Sean zaparkował wóz z dala od ścieżki i zostawił jednego z ludzi, żeby go pilnował. Wszyscy naturalnie zajęli swoje miejsca w szeregu myśliwskim, w którym klienci zawsze znajdowali się pośrodku. Na jego końcu miejsce Shadracha zajął Pumula: muskularny i małowówny mężczyzna z gęstą, kręconą brodą. Pumula niósł rigby Riccarda.

Wszyscy mężczyźni, nie wyłączając Monterra, nieśli plecaki i nawet Claudia musiała wziąć manierki z wodą. Job miał drugą strzelbę Riccarda, weatherby magnum, a Sean, jak zawsze, wziął swój nitro express, którego na polowaniu nigdy nie wypuszczał z rąk. Szli gęsiego w górę biegu rzeki. Po przejściu jednego kilometra wszyscy się rozgrzali i mogli przyspieszyć kroku. Sean zauważył, że Claudia potrafi poruszać się bardzo szybko na swoich

długich nogach i nie ma kłopotu z utrzymaniem tempa. Dziewczyna uśmiechnęła się do Seana zuchwale, gdy dostrzegła jego taksujący wzrok.

Świt wstawał już nad drzewami, gdy tropiciel, który przybiegł z wiadomością o Tukuteli, wykrzyknął i wskazał ręką na jakiś kształt przed nimi. W świetle poranka pień mahoni, rosnącego nad obniżającym się w tym miejscu brzegiem, wydawał się cały w ogniu.

– Tam! – powiedział tropiciel. – Oznaczyłem ślad.

Na pierwszy rzut oka widać było, że znajdują się przy naturalnym miejscu przepraw dużych zwierząt. Hipopotamy wydeptały tutaj ścieżkę przez nadbrzeżne trzciny i wysoki na trzy metry brzeg. Stada bawołów i słoni wytyczyły szlak i wyrobiły miejsce przeprawy. Afrykański step jest pokryty siatką dróg dzikich zwierząt. W tym miejscu nad rzeką schodziło się kilkanaście ścieżek różnych gatunków zwierząt przeprawiających się przez las do wodopoju. Na okrzyk tropiciela wszyscy przyspieszyli kroku, ale Matatu pierwszy dopadł tropu i wykrzywiając głowę, żeby wykorzystać słabe światło, grzebał w ziemi gałązką z dzikiej wierzby.

Po kilku krokach podniósł się z ziemi i spojrzał na Seana, a jego twarz cała się pomarszczyła w szczęśliwym uśmiechu.

– To on! – zawołał z radością. – To są ślady stóp ojca wszystkich słoni. To Tukutela! Rozzłoszczony Słoń!

Sean spojrzał na wielkie odciski stóp na pokrytej pyłem ścieżce i poczuł się, jakby jego żyłami popłynął wiosenny potok.

Po chwili entuzjazm został zastąpiony odczuciem przeznaczenia i niemal religijnym uniesieniem.

– Matatu – powiedział. – Prowadzisz po śladzie – ogłosił formalne rozpoczęcie polowania.

Siad był wyraźny niczym droga i prowadził wydeptaną przez zwierzęta ścieżką w głąb lasu.

Stary słoń poruszał się szybkim krokiem, jakby był świadom, że miejsce przeprawy jest zdradliwym punktem. Może właśnie dlatego przeprowił się przez rzekę w nocy, kiedy chroniły go ciemności.

Przez osiem kilometrów szedł nie zatrzymując się ani razu, a potem niespodziewanie zszedł ze szlaku i skręcił w gąszcz ciernistych krzaków, które wypuszczały nowe gałązki i pączki. Teraz często skręcał, żywiąc się zawiązkami liści i pędami. W wydeptanym gąszczu ślad stał się pogmatwany.

Job i Matatu weszli pomiędzy zarośla, żeby zorientować się, w którą stronę Tukutela się kieruje, a reszta grupy została na ścieżce, żeby nie przeszkadzać im w pracy.

– Chce mi się pić! – Claudia odpięła od paska manierkę z wodą.

– Nie! – powstrzymał ją Sean. – Jeśli napijesz się teraz, to będziesz czuła pragnienie cały dzień, a dopiero rozpoczęliśmy polowanie.



Zawahała się na moment, jakby chciała mu się sprzeciwić, ale przywiesiła manierkę z powrotem do paska.

– Jesteś wyjątkowo nieużyty – poskarżyła się. Matatu gwizdnął cicho zza krzaków.

– Odnalazł trop – wyjaśnił Sean i poprowadził ich przez zarośla.

– Ile zyskaliśmy? – Sean spytał Matatu. Zaczęli polowanie ze stratą dziesięciu godzin do słonia, ale za każdym razem, gdy Tukutela robił postój na posiłek, dystans się zmniejszał.

– Nie zatrzymał się na długo. – Matatu wzruszył ramionami. – Potem znowu ruszył szybkim krokiem.

Słoń oddalał się teraz od ścieżki podążając wzdłuż skalistego grzbietu, jakby chciał zatrzeć za sobą ślady. Dla przeciętnego ludzkiego oka słoń nie zostawiał żadnych śladów, ale Matatu podążał tropem bez najmniejszych trudności.

– Jesteś pewien, że go nie zgubiliśmy? – spytał niespokojnie Riccardo.

– Szefie, polowałeś tyle razy z Matatu, że nie powinienes zadawać takich pytań – skarcił go Sean.

– Ale co on tu może znaleźć? – dopytywała się Claudia. – Przecież to same skały i żwir.

– Stopy słonia zostawiają ślady otarcia na skałach, ścierają mech i kurz. Pomiedzy kamieniami rośnie delikatna trawa, którą słoń rozdeptał, przygniatając łodyżki w stronę, w którą się kieruje. Przygnieciona trawa inaczej odbija światło.

– Ciekawa jestem, czy ty także mógłbyś podążać tym tropem? – zapytała Claudia. Sean potrząsnął przecząco głową.

– Nie jestem magikiem. – Rozmawiali zniżonymi głosami, ale Sean szepnął: – Dosyc tych pogaduszek. Od tej chwili ograniczamy wszelkie rozmowy.

Szli dalej w milczeniu, a las wokół nich nieustannie się zmieniał.

W lesie było czterdzieści gatunków drzew z rodziny combretum, które i tak nie wyczerpywały bogactwa buszu, wypełnionego innymi rodzajami drzew o najprzeróżniejszych kształtach pni i konarów. Niektóre miały gałęzie оголоcone przez zimę z liści, inne mieniły się najdziwniejszymi odcieniami zieleni, złota, oranżu i cynobru.

Czasami las otaczał ich niczym palisada, by po chwili rozchylić się i ukazać odległe wzgórza, kopce o dziwacznych kształtach, polanki i parowy z wypaloną trawą i zielonym dywanem młodych pędów wyłaniających się z czarnych popiołów.

Świeża trawa przyciągała na polany stada antylop. Czarne antylopy z długimi rogami w kształcie zakrzywionych szabel stały wśród wysokiej trawy z wyciągniętymi dumnie szyjami, grzbietami pokrytymi popiołem z jaru i białymi brzuchami.

Leśne antylopy z nastawionymi rogami i ogonami niczym poduszcзки do pudru, zebry, które z odległości wydawały się jednolicie szare, i gnu z rzymskimi nosami i rzadkimi brodami ściagały się po całym wężozie wzniecając tumany czarnych popiołów.

Kiedy lew nie jest na polowaniu, zwierzęta są wyjątkowo ufne i potrafią przyglądać mu się spokojnie, gdy przechodzi pięćdziesiąt metrów od nich. Tak samo teraz zdawały się

wyczuwać, że grupa ludzi nie stanowi dla nich zagrożenia. Pozwalały im się zbliżyć, po czym leniwie odsuwały się na bok. Claudia była tak zachwycona tym widokiem, że zapomniała nawet o własnym zmęczeniu po czterech godzinach marszu.

W wąskiej kamiennej sadzawce, w wąwozie pomiędzy dwoma wzniesieniami, pozostało trochę wody. Stojąca woda była zielona i na powierzchnię wydobywały się bańki z gnijącej roślinności, ale słoń zatrzymał się, żeby się napić, a następnie załatwił naturalną potrzebę tuż przy zbiorniku.

– Dziesięć minut odpoczynku – oznajmił Sean. – Możecie się teraz napić. – Spojrzał na Claudię. – Postaraj się jednak ograniczyć do dwóch łyków, chyba że chcesz później pić coś takiego. – Wskazał na bajoro i Claudia skrzywiła się.

Zostawił ją siedzącą obok ojca i podszedł do Matatu stojącego przed sadzawką.

– O co chodzi? – spytał. Po dwudziestu latach potrafił rozpoznać nastroje malutkiego człowieczka. Matatu potrząsnął niechętnie głową i na twarzy utworzyły się zmarszczki niepewności.

– Coś nie jest w porządku – powiedział Seanowi. – Słoń nie jest zadowolony. Najpierw idzie w jedną stronę, a potem nagle skręca. Idzie szybko, ale bez celu. Nie zatrzymuje się, żeby coś zjeść, i zachowuje się, jakby grunt palił mu się pod nogami.

– Dlaczego, Matatu?

– Nie wiem – przyznał się niechętnie. – Ale nie podoba mi się to, Bwana.

Sean zostawił go i wrócił do Claudii.

– Pozwól, że spojrzę na twoje stopy. – Sean zauważył, że w ciągu ostatniej godziny marszu dziewczyna zaczęła lekko kuleć.

– Mówisz poważnie?

Zacząła się uśmiechać, ale Sean wziął jej nogę, położył ją sobie na kolanach, rozsznurował but i zdjął go razem ze skarpetą. Stopy miała długie i wąskie tak jak i dłonie. Na delikatnej skórze pod dużym palcem widać było zaczerwienienie i drugie na pięcie. Sean oczyścił otarte miejsca watką i spirytusem. Czuł zmysłową przyjemność trzymając w dłoniach jej kształtną stopę, ale powiedział jej szorstkim tonem:

– To musiało cię boleć. Nie staraj się być niepotrzebnie dzielna, jeszcze kilka kilometrów i miałabyś bąble wielkości winogron, a my zostalibyśmy z kaleką.

Zakleił otarcia przyklepcem.

– Zmień skarpety – polecił jej. – Następnym razem powiedz mi, jak tylko zacnie boleć.

Posłusznie spełniła jego polecenie i wyruszyli w dalszą drogę.

Niedługo przed południem trop znowu zmienił kierunek i skierował się prosto na wschód.

– Zyskaliśmy jakąś godzinę czy dwie – Sean powiedział Riccardovi – ale Matatu sądzi, że coś nie jest w porządku. Mnie też się to nie podoba. Słonia coś martwi i jest spięty, a teraz kieruje się prosto ku granicy z Mozambikiem.

– Myślisz, że mógł nas wyczuć? – Riccardo był widocznie przejęty, ale Sean potrząsnął

przecząco głową.

– Niemożliwe, jesteście kilka godzin za nim.

W południe zrobili następny postój, żeby się posilić i odpocząć. Kiedy podjęli pościg, nie przeszli nawet kilometra, gdy otworzył się przed nimi zagajnik drzew marula. Na ziemi leżały dojrzałe, żółte owoce i Tukutela nie mógł się oprzeć, żeby ich nie skosztować. Słoń spędził co najmniej trzy godziny w zagajniku, otrząsając gałęzie ze świeżych owoców. Następnie, zupełnie nagle, ruszył na wschód, jakby przypomniał sobie o umówionym spotkaniu.

– Przynajmniej zyskaliśmy kolejne trzy godziny – oznajmił Sean, ale na jego twarzy nie było uśmiechu. – Jesteśmy jakieś szesnaście kilometrów od granicy z Mozambikiem. Jeśli ją przekroczy, to go straciliśmy.

Sean zastanawiał się przez chwilę, czy ruszyć biegiem po śladzie. W czasie wojny on, Job i Shadrach zawsze biegli za ściganym wrogiem i potrafili pokonać dziewięćdziesiąt, sto kilometrów w ciągu dnia. Sean spojrzał na Claudię; dziewczyna poruszała się jak atleta i mimo otarcia na stopach jej krok był sprężysty. Powinna dotrzymać im kroku. Przeniósł wzrok na Riccardo i od razu zrezygnował z pomysłu. Riccardo dosłownie roztapiał się w upale, który sięgał w kotlinie czterdziestu stopni. Sean często zapominał, że Riccardo miał pięćdziesiąt osiem lat. Jak na swój wiek był zawsze w wybornej formie, ale teraz widać było po nim pierwsze oznaki zmęczenia: pod oczami miał ciemne obwódki, a skóra nabrała szarej barwy.

„Biedak wygląda, jakby był chory”, pomyślał Sean. „Nie mogę go przyciskać”.

Sean tak się zamyślił, że niemal wpadł na Matatu, gdy ten zatrzymał się nagle schylony nad tropem.

– Co się stało? – spytał Sean. Mały tropiciel był zdenerwowany. Potrząsał głową i mamrotał coś pod nosem w dialekcie ndorobo, z którego nikt nic nie mógł zrozumieć.

– Co jest...? – zaczął Sean i umilkł, gdy zorientował się, co się dzieje. – O kurwa! – Z boku biegły ślady stóp dwóch ludzi i nakładały się na trop słonia. Ziemia była w tym miejscu piaszczysta, więc odciski były wyraźne.

Dwóch ludzi noszących buty z gumowymi podeszwami. Sean rozpoznał wzór na podeszwach popularnych tenisówek firmy Bata wyrabianych w miejscowych zakładach i sprzedawanych w każdym sklepie w okolicy.

Nawet Riccardo rozpoznał odciski butów.

– Kto to, u diabła, może być? – zapytał, ale Sean zignorował pytanie i razem z Jobem stanął z boku obserwując gorączkowe poszukiwania Matatu.

Matatu biegał w tę i z powrotem przyglądając się uważnie śladom niczym stara kura. Wreszcie do nich podszedł. Przykucnęli na ziemi – Job obok Seana i Matatu naprzeciwko – tworząc radę wojenną, w której brakowało Shadracha.

– Dwóch mężczyzn. Jeden młody, wysoki i chudy, chodzi z palców. Drugi jest starszy, niski i gruby. Obaj niosą plecaki i banduki. – Sean wiedział, że Matatu wydedukował to

wszystko z długości kroku mężczyzn, sposobu, w jaki stawiali stopy, i lekkiego przechylenia ciała pod ciężarem niesionej w rękę broni. – To nie są miejscowi. Ludzie mieszkający w dolinie nie noszą butów, a ci przyszedli z północy.

– Kłusownicy zambijscy – mruknął Job. – Polują na nosorożce, ale znaleźli trop słonia. Jest zbyt duży, żeby mogli go przepuścić.

– Dranie! – powiedział z goryczą Sean. W 1970 roku w Zambii nad rzeką Zambezi żyło około dwunastu tysięcy nosorożców. Teraz nie został przy życiu ani jeden. Szlachcic jemeński potrafił zapłacić pięćdziesiąt tysięcy dolarów za sztylet z rękojeścią z rogu nosorożca. Polujący na zwierzęta kłusownicy byli zorganizowani na wzór wojskowy. W południowej części doliny rzeki Zambezi pozostało jeszcze kilkaset nosorożców, więc kłusownicy zambijscy przekradali się w nocy przez rzekę, omijając rządowe patrole. Wielu z nich walczyło w szeregach partyzantów w czasie wojny. Byli to twardzi ludzie, którzy równie łatwo mogli zabić człowieka jak nosorożca czy słonia.

– Mają pewnie karabiny AK. – Job spojrział na Seana. – Jest ich pewnie więcej niż dwóch, gdyż ktoś idzie na flankach. Sean, mają przewagę liczebną i ogniową. Co robimy?

– To moja koncesja – odparł Sean. – A Tukutela jest moim słoniem.

– Więc będziesz musiał walczyć o jedno i drugie. – Rysy twarzy Joba nie zmieniły się, zachowując spokój, ale jego oczy błyszczały. Job nie potrafił ukryć ochoty do walki.

Sean wstał.

– Masz cholerną rację. Jeśli ich tylko dorwiemy, to będziemy walczyć.

– No to musimy się pospieszyć. – Matatu stanął przy nim. – Mają dwie godziny przewagi nad nami, a Tukutela musi się niedługo zatrzymać i posilić. Dostaną go, zanim ich złapiemy.

Sean podszedł do miejsca, gdzie Riccardo i Claudia siedzieli w cieniu.

– Kłusownicy! – wyjaśnił im. – Prawdopodobnie uzbrojeni w automatyczne karabinki. Znaleźliśmy ślady dwóch ludzi, ale jest ich pewnie więcej. Wszyscy to bezlitośni mordercy.

Patrzyli na niego w milczeniu, gdy Sean kontynuował:

– Będziemy musieli poruszać się znacznie szybciej, żeby uniemożliwić im dostanie Tukuteli przed nami. Zostawię z wami Pumulę, żebyście szli własnym tempem. Job, Matatu i ja pobiegniemy tropem i przetniemy im drogę. Szefie, zatrzymaj sobie rigby, a Job weźmie weatherby.

Kiedy zrobił ruch, żeby się odwrócić, Riccardo złapał go za ramię.

– Sean, chcę mieć tego słonia. Bardziej niż czegokolwiek w życiu, chcę tego słonia.

– Postaram się ocalić go dla ciebie. – Sean skinął głową. Rozumiał pragnienie przyjaciela, bo czuł dokładnie to samo.

– Dzięki. – Riccardo opuścił rękę. Sean podszedł do Joba i Matatu. Oddali swoje plecaki Pumuli, zostawiając sobie jedynie manierki. Sean rzucił okiem na rolexa. Cztery minuty od chwili, gdy natrafili na trop kłusowników, cztery minuty zmarnowane, – Ruszamy w pościg! – rozkazał Sean. – Możliwość zasadzki! Job uśmiechnął się do niego.

– Jak za starych czasów – powiedział. – Znowu czuję się młody.

Matatu podciągnął opaskę biodrową, wsunął koniec koszuli za pasek, obrócił się i puścił susami po tropie. Sean widział już, jak Matatu biegnie w tym tempie od wschodu do zachodu słońca. Sam zajął pozycję na prawej flance, a Job, który był mańkutem, po lewej stronie. Sean zmienił naboje w strzelbie i ruszył za Matatu. Po kilku sekundach grupa Riccarda znikła im z oczu. Sean skoncentrował się całkowicie na drodze przed nimi.

Utrzymanie szyku pościgowego na tego typu zmiennym terenie wymagało specjalnych zdolności i dużego doświadczenia. Biegący na flance musieli nieco wyprzedzać tropiciela, przewidując, w którą stronę kieruje się trop, badając obszar przed sobą w poszukiwaniu zasadzki, osłaniając biegnącego w środku Matatu i zachowując odstęp pięćdziesięciu kroków pomiędzy sobą jednocześnie utrzymywać kontakt z drugim flankierem, choć często tracili się z oczu. Wszystko to odbywało się w szaleńczym tempie nadawanym przez Matatu.

Kiedy trop skręcał, biegnący na zewnętrznej flance mężczyzna musiał zawracać i przebiec szybszym krokiem większy dystans niż jego kolega. Gdy ślad wybiegał na otwarty teren, obaj flankierzy przyspieszali kroku, tworząc formację w kształcie odwróconej strzały, nieustannie osłaniając tropiciela. Porozumiewali się ze sobą za pomocą naśladowania głosów ptaków: krzyku leśnego gołębia, gwizdu ptaka bul-bul, szczebiotu dzieźby, pisku czarnej kani. Żaden sygnał: rozkaz czy ostrzeżenie, nie mógł zostać przeoczony.

Oprócz tego wszystkiego musieli jeszcze zachować ciszę i utrzymać dobre tempo. Job i Sean biegli niczym para byków kudu, lekko i niemal bezgłośnie, przemykając pod konarami i klucząc pomiędzy chaszczami ciernistych krzaków.

Po godzinie biegu Matatu dał im znak ręką, gdy przemykali przez przecinkę w lesie. „Dwóch następnych”, Sean odczytał sygnał.

Kolejnych dwóch kłusowników przyłączyło się do ściganej pary i teraz już czterech ludzi podążało za słońcem.

Biegli przez następną godzinę, nie zwalniając ani na chwilę kroku, kiedy Matatu przekazał następne ostrzeżenie.

„Bardzo blisko”. Kolejny ruch dłonią. „Strzeż się. Niebezpieczeństwo”. – Sean zagwizdał jak pardwa, ostrzegając Joba o bliskim kontakcie i wszyscy trzej zwolnili bieg do lekkiego truchtu.

Ślad biegnący wzdłuż starego szlaku słoń, porządnie ubitego w twardej ziemi, zaprowadził ich na niski płaskowyż. Kiedy wspięli się nań, poczuli delikatny, chłodny, wiejący ze wschodu wieczorny wiatr i Sean z ulgą wystawił ku niemu spoconą twarz.

Płaskowzgórze miało niecałe dwa kilometry szerokości, więc grupka mężczyzn szybko je przebiegła. Gdy dotarli do krawędzi, położyli się płasko na brzuchach i ześliznęli w dół tak, żeby ani na chwilę ich sylwetki nie były widoczne na tle nieba. Następnie przykucnęli pod nawisem, by spenetrować wzrokiem rozciągającą się pod nimi płytką dolinę, za którą ciągnął się następny zalesiony płaskowyż. Przez środek niecki płynęła zakolami rzeka, jej bieg zaś

znaczył wąski pas nadrzecznej roślinności. Pozostała część doliny była pusta. W słońcu błyszczała blada, zimowa trawa, gdzieś widać było kopce mrówek, każdy wielkości małego domku oraz kilka rozłożystych akacji o płaskich koronach i żółtych pniach. Sean szybko przeczesał całą dolinę wzrokiem.

Z lewej strony dobiegł go sygnał od Joba przypominający świst leśnej antylopy, jeden z bardziej naglących znaków z ich repertuaru. Job wskazywał na coś w dolinie, na lewo od Seana. Sean spojrział w tym kierunku. Przez chwilę nie dostrzegł niczego. Nagle zobaczył Tukutelę, Rozzłoszczonego Słonia.

Zwierzę było ukryte przed jego wzrokiem za olbrzymim kopcem, ale teraz wyszło na otwartą łąkę i Sean wciągnął głośno powietrze do płuc. Nawet z odległości półtora kilometra zdał sobie sprawę, że nie zapamiętał dokładnie wielkości zwierzęcia.

Tukutela miał ciemny kolor wulkanicznych skał, był wielki i chudy. Można było dostrzec fałdy i bruzdy na skórze, a także wyraźną linię kręgosłupa. Wachlował uszami przy każdym kroku, a ich końce były postrzępione jak para wojskowych porpców porwanych przez kule i osmalonych ogniem z dział.

Kły także były niemal czarne, pociemniałe ze starości i poplamione żywicą rozgniecionych drzew. Spod otwartej dolnej szczęki rozchodziły się na zewnątrz i ponownie zakrzywiały do środka niemal stykając się na końcach. Prawie w ogóle nie zwały się ku końcom, a w najniższym punkcie sięgały tak nisko, że kryły się w wysokiej trawie. Były ogromne, zdawały się zbyt ciężkie nawet dla olbrzymiej postury zwierzęcia. Sean pomyślał, że pewnie już nigdy nie będzie drugiej takiej pary kłów. Słoń był nie tylko olbrzymem, ale legendą i historią.

Sean poczuł wyrzuty sumienia. Bez względu na legalność takiego czynu, zabicie Tukuteli będzie zbrodnią przeciw Afryce, obrazą dla bogów tego kraju i najgłębszej ludzkiej natury. Wiedział jednak, że się nie zawaha przed tym czynem i ta świadomość potęgowała wyrzuty sumienia. Dla myśliwego im szlachetniejsze jest zwierzę, tym większa staje się pokusa zdobycia go jako trofeum. Job wydał kolejny sygnał, odwracając uwagę Seana od Tukuteli. Przeniósł więc wzrok w stronę, w którą wskazywał naganiec, i zobaczył kłusowników.

Zbliżali się do słonia. Widział wszystkich czterech. Wyszli właśnie spomiędzy drzew u podnóża płaskowyżu i w szeregu weszli w sięgającą im ramion trawę. Ich ramiona i głowy posuwały się do przodu niczym szałwiarz na żyłce zarzuconej w spokojne morze trawy. Wszyscy mieli karabinki AK-47 przewieszane przez ramiona.

Lekkie pociski wystrzeliwane z tej broni nie nadawały się do polowania na tak duże zwierzę, ale Sean znał ich taktykę. Kłusownicy zamierzali podkraść się jak najbliżej celu i otworzyć ogień z czterech karabinów, zasypując zwierzę setkami pocisków, dziurawiąc płuca i mordując go olbrzymią siłą ogniową broni automatycznej.

Kłusownicy skręcili w bok, nie kierując się prosto na słonia, żeby powiew wiatru nie doniósł do niego ich zapachu. Mimo iż musieli pokonać dłuższą drogę, biegli w ostrym

tempie i szybko się zbliżali do Tukuteli. Słoń nadal nie zdawał sobie sprawy z ich obecności i szedł wyciągniętym krokiem ku rzece. Sean wiedział już, że w tym tempie kłusownicy przetną mu drogę, zanim do niej dotrze.

Departament łowiectwa przekazał właścicielom koncesji zalecenia rządowe bez ogródek. Ludzie, którzy bez zezwolenia wkraczali na teren koncesji i zostali przyłapani w czasie polowania, mieli być uznani za kłusowników. W czasie ostatnich czterech lat zginęło czterech strażników departamentu i jeden właściciel koncesji, więc rząd zezwalał na otwarcie ognia do nieproszonych gości bez ostrzeżenia. Premier Robert Mugabe powiedział to jeszcze wyraźniej: „Strzelać tak, żeby zabić”.

Strzelba Nitro Express kalibru 577 była potężną bronią z bliskiej odległości, ale po pokonaniu stu metrów ciężki pocisk szybko opadał. Grupa kłusowników była oddalona o pięćset metrów. Sean prześliznął się szybko pod krawędzią skarpy do miejsca, gdzie Job leżał za zwalonym pniem drzewa.

Przypadł do ziemi obok niego.

– Daj mi weatherby – powiedział i wyrwał mu z ręki lżejszą broń. Job był wyborowym strzelcem, ale ten strzał wymagał celności Wilhelma Tella.

Sean otworzył zamek i sprawdził, czy w komorze znajduje się nabój. Była to 12-gramowa kula Nosler i Sean zastanawiał się, o ile kula opadnie przy odległości pięciuset metrów, przy strzale w dół i z lekkim wiatrem wiejącym z lewej strony. Przypomniawszy sobie tablice balistyczne, z których wynikało, że przy odległości trzystu metrów zniży lot o piętnaście centymetrów, czyli przy odległości pięciuset metrów to powinno być około stu dwudziestu centymetrów, albo i więcej.

Obliczając odległość zdjął koszulę, zwinął ją w wałek i położył na pniu zwalonego drzewa, za którym przykucnął.

– Strzelaj razem ze mną z banduki. Mierz wysoko – polecił Jobowi i ułożył się na ziemi za pniem, opierając lufę strzelby na wałku z koszuli. Nastawił celownik optyczny i spojrzął przez niego na kłusowników.

Przy tym powiększeniu z łatwością mógł rozpoznać obu intruzów opisanych przez Matatu po śladach stóp. Wysoki i szczupły mężczyzna, który prowadził grupę, miał na sobie kurtkę z niebieskiego drelichu, tradycyjny ubiór partyzantów z czasów wojny. Za nim biegł niższy i grubszy mężczyzna w koszuli koloru khaki i z czapką pokrytą kamuflującymi barwami.

Przed nimi Sean widział słonia. Powiększenie, jakie zapewniał celownik, dawało wrażenie, że kłusownicy są bardzo blisko swojej ofiary. Kiedy Sean się im przyglądał, przywódca grupy zdjął z ramienia karabinek i dał znak ręką swoim ludziom. Trzej kłusownicy rozbiegli się na strony przygotowując broń do strzału.

Sean ułożył się wygodnie, wbijając mocniej buty w ziemię, regulując oddech i kładąc palec wskazujący na spuście. Wybrał przywódcę grupy i nakierował na jego głowę krzyżyk w celowniku.

Obraz drżał w unoszącym się znad ziemi gorącym powietrzu. Sean przyglądał się uważnie falistym liniom mirażu, które wskazywały mu siłę wiatru; kiedy rozplywały się na boki, wiatr był porywisty, ale tutaj wznosił się prosto do góry jak wstęga dymu.

Sean wziął głęboki oddech, wypuścił połowę, a resztę wstrzymał. Fatamorgana zastygła. Nacelował strzelbę na wysokość człowieka ponad głową przywódcy kłusowników. Obraz był wyraźny, ale Sean nie pociągnął za spust. Zamiast tego ścisnął prawą ręką kolbę, jakby ugniatał kulę gliny.

Kolba kopnęła go mocno w ramię, a lufa podskoczyła wysoko do góry w typowym dla weatherby odrzucie. Sean stracił z oczu kłusownika.

Zanim zdążył go namierzyć, Job krzyknął radośnie:

– Shayile! Trafiony!

Kiedy Sean naprowadził celownik na to miejsce, w trawie widać było jedynie głowy trzech ludzi.

Kłusownicy zwrócili się natychmiast przeciw nim i zaczęli strzelać w kierunku szczytu zbocza ciągłymi seriami. Karabinki AK wypełniły dolinę stukotem przypominającym walenie w kotły.

Sean zobaczył, jak Tukutela ucieka w pełnym galopie. Położywszy uszy po sobie i wzniosłszy kły wysoko nad trawę słoń wpadł w wąski pas nadrzecznych zarośli i wypadł po drugiej stronie.

– Uciekaj – szepnął Sean. – Jeśli nie możesz być mój, to nikt cię nie dostanie. – Zajął się kłusownikami.

Już na pierwszy rzut oka widać było, że jest to zdyscyplinowany oddział. Dwóch z nich osłaniało ogniem trzeciego, który podbiegł do przywódcy i podniósł go na nogi. Wysoki mężczyzna w niebieskiej kurtce stracił karabin. Stał zgięty w pół, ręką ściskając bok.

– Lekki postrzał – mruknął Sean i ponownie wystrzelił. Zobaczył pył unoszący się nad trawą. Pocisk trafił w ziemię bardzo blisko dwóch mężczyzn. Kłusownicy zaczęli się wycofywać, ciągnąc ze sobą przywódcę i kierując się za wysoki kopiec mrowiska. Sean i Job uważnie wybierali cel, ale z każdą chwilą odległość się zwiększała. Mimo że Sean widział kurz podnoszący się z ziemi blisko uciekających, nie udało im się nikogo więcej trafić. Niedługo grupa zniknęła w wysokiej trawie, a terkot broni automatycznej ucichł.

Sean i Job odczekali jeszcze piętnaście minut rozglądając się po dolinie, ale nie zobaczyli więcej kłusowników. Sean podniósł się z ziemi.

– Idziemy się rozejrzeć.

– Tylko ostrożnie – ostrzegł Job. – Mogli zawrócić i zasadzić się na nas. – Była to stara sztuczka partyzantów, więc grupa Seana ostrożnie zeszła ze wzgórza.

Matatu zaprowadził ich do miejsca, gdzie kula trafiła przywódcę kłusowników. Trawa w tym miejscu była porządnie wygnieciona. Jego broń znikła; musiał ją zabrać jeden z mężczyzn. Matatu znalazł łodygę trawy i pokazał ją Seanowi. Krew zdążyła już na niej



zaschnąć, ale krwawienie nie było obfite, znaleźli zaledwie kilkanaście kropel na trawie i suchej ziemi.

– Rana powierzchowna – mruknął Sean. Powiew wiatru musiał znieść kulę z jej toru. Nie zostały naruszone żadne wewnętrzne organy.

– Za kim podążamy, za Tukutelą czy kłusownikami? – spytał Job.

– Kłusownicy są już w połowie drogi do Lusaki. – Sean uśmiechnął się do niego. – Ruszamy za słoniem!

Pobiegli tropem słonia przez rzekę i drugą połowę doliny. Po początkowym panicznym galopie stary byk przeszedł w kłus, który mógł utrzymywać przez kilka dni z rzędu. Gnał prosto w stronę granicy z Mozambikiem, zbaczając z kursu jedynie wtedy, gdy wybierał przejście pomiędzy wzgórzami czy wspinał się na łagodniejszy stok.

Mężczyźni biegli szybko po śladach. Nie musieli już się obawiać zasadzki i gnali co sił w nogach, ale słoń oddalał się od nich. Słońce rzucało długie cienie za biegnącymi. Dzień szybko zbliżał się ku końcowi.

Mimo że nie istnieje dokładnie wytyczona granica z Mozambikiem, szósty zmysł odpowiedział Seanowi, że już ją przekroczyli.

Właśnie miał dać znak, żeby przerwali pościg, gdy Job gwizdnął i przesłał mu sygnał podniesioną dłonią. Matatu zatrzymał się i pokiwał zgodnie głową. Mężczyźni stanęli obok siebie. Przez chwilę patrzyli w milczeniu na niewyraźny ślad, który znikał w pochłanianym przez ciemności lesie.

– Mozambik – powiedział Job. – Straciliśmy go.

– Nadal biegnie szybko. – Matatu splunął na ścieżkę. – Szybciej niż jakikolwiek człowiek. Nie zobaczymy już Tukuteli w tym roku.

– Będzie następny sezon – powiedział Sean. – Za rok wróci do parku narodowego i przejdzie przez Chiwewe w czasie nowiu. Za rok jeszcze raz zaczaimy się na niego.

– Może. – Matatu wziął odrobinę tabaki z tabakierki zrobionej z rogu małej antylopy. – A może dopadną go kłusownicy albo wejdzie na minę na starym polu bitwy w Mozambiku, albo umrze ze starości.

Ta myśl wprowadziła Seana w melancholijny nastrój. Tukutela był częścią starej Afryki. Sean urodził się zbyt późno, żeby ją poznać w całej krasie. Widział jedynie nieliczne pamiątki zachowane z dawnych czasów, ale żywił głęboki, nostalgiczny szacunek dla historii swojego kontynentu. Wszystko to zniknęło szybko na jego oczach, niszczone przez pęd ku władzy bezmyślnych hord nowo powstających narodów, przez krwawe walki plemienne i bezprawie nowych czasów. Cały kontynent ogarniały ciemności wieków średnich, ale tym razem był już pozbawiony naturalnych skarbów. Dzikie zwierzęta zostały zdziesiątkowane, lasy wycięte, ziemia wyjałowiona przez prymitywne rolnictwo, a Sahara co roku posuwała się dalej na południe. Tukutela był jednym z ostatnich skarbów Afryki.

Sean odwrócił się. Tak bardzo chciał zdobyć tego słonia. Pragnął go bardziej niż

czegokolwiek innego w swoim życiu. Teraz stał zwrócony na zachód, a olbrzymi żal ścisnął mu serce. Ciężko ruszył przed siebie.

Niedługo przed północą natrafili na Riccarda i Claudię śpiących przy dogasającym ognisku na materacach zrobionych ze ściętej trawy. Nie opodal przy drugim ognisku siedział Pumula.

Riccardo obudził się w tej samej chwili, gdy Sean dotknął jego ramienia. Poderwał się z ziemi.

– Znalazłeś go? Co się stało? Co z kłusownikami?

– Tukutela uciekł. Przeszedł granicę. Odegnaliśmy kłusowników, ale Tukutela nam się wymknął – odpowiedział mu Sean. Riccardo opadł na suchą trawę. Słuchał w milczeniu opisu pościgu i walki z kłusownikami.

Claudia usiadła obok ojca. Kiedy Sean opowiedział im o tym, jak Tukutela przekroczył granicę z Mozambikiem, objęła ramieniem Riccarda, starając się go nieco pocieszyć.

– W porządku. – Sean wstał z ziemi, – Jakies osiem kilometrów na południe stąd biegnie jedna z moich myśliwskich ścieżek. Matatu i ja wrócimy po wóz, a Job was zaprowadzi na miejsce spotkania. Powinniśmy wrócić za jakieś cztery, pięć godzin.

Kierując się jedynie gwiazdami Matatu prowadził przez cztery godziny Seana przez las i gęste zarośla, by w końcu bezbłędnie trafić na zaparkowaną nad rzeką toyotę.

Potrzebowali godziny, żeby dojechać na miejsce spotkania. Claudia, Riccardo i pozostali siedzieli przy ognisku rozpalonym przy ubitej ścieżce. Wsiedli w milczeniu do samochodu i Sean ruszył w stronę obozu. Była już czwarta rano. Minęła cała doba od chwili, gdy pełni nadziei wyruszyli na polowanie.

Jechali w milczeniu. Wkrótce Claudia zasnęła z głową na ramieniu ojca. Riccardo odezwał się zamyślnym głosem:

– Wiesz, dokąd się udał Tukutela?

– Jest poza naszym zasięgiem, Szefie – odpowiedział ponurym tonem Sean.

– Mówię poważnie. – Riccardo był wyraźnie niecierpliwy. – Czy ma jakąś stałą kryjówkę, do której teraz się udaje?

– To jest bardzo niebezpieczny teren – mruknął Sean. – Jeden wielki chaos i zamieszanie. Wioski są spalone i opuszczone, dwie armie walczące ze sobą i do tego jeszcze chłopcy Mugabego.

– Dokąd poszedł Tukutela? – nalegał Riccardo. – Musi mieć jakąś kryjówkę.

Sean skinął głową.

– Job, Matatu i ja rozpracowaliśmy go kiedyś. Sądzymy, że od czerwca do września przebywa na bagnach za zaporą Cabora Bassa. Pod koniec września lub na początku października przekracza Zambezi i kieruje się na północ do Malawi, do lasów tropikalnych wokół co Mlanje. Siedzi tam aż do początku pory deszczowej. Potem wraca na południe, przechodząc Zambezi w okolicy Tete i wkraczając na teren Narodowego Parku Chiwewe.

– Więc teraz udaje się na bagna? – spytał Riccardo.

– Najpewniej tak. – Sean skinął głową. – Dostaniemy go za rok, Szeffie.

Do obozu dojechali o świcie, gdzie czekały już na nich gorące prysznice, czyste ubrania i obfite śniadanie. Sean nałożył każdemu na talerz porcję jajek na bekonie.

– Po śniadaniu odeśpimy nieco dzisiejszą noc. Pobudka w południe.

– Mnie pasuje – zgodziła się chętnie Claudia.

– Następnie zrobimy sobie małe zebranie. Musimy rozplanować pozostałą część safari. Zostały nam jeszcze trzy tygodnie. Możemy spróbować znaleźć innego. Nie mogę ci zaofiarować nic nawet w przybliżeniu podobnego do Tukuteli, ale mamy szansę trafić na trzydziestokilogramowego.

– Nie interesują mnie trzydziestokilogramowe kły – odparł Riccardo. – Chcę Tukutelę.

– Ja też, ale lepiej zostawmy ten temat. – Sean nie krył irytacji. – Nie możemy nic na to poradzić, więc dajmy sobie spokój.

– A gdybyśmy przekroczyli granicę i podążyli za nim na bagna? – Riccardo nie podniósł wzroku znad talerza. Sean przyglądał się uważnie jego twarzy, zanim się roześmiał.

– Przez chwilę napędziłeś mi strachu. Już myślałem, że mówisz poważnie. Dostaniemy Tukutelę w przyszłym sezonie.

– Nie będzie żadnego przyszłego sezonu – sprzeciwił się Riccardo. – Obaj wiemy, że Geoffrey Manguza odbierze ci licencję i koncesję.

– Dzięki, Szeffie. Zawsze wiesz, jak mnie pocieszyć.

– Nie ma co się oszukiwać. To nasza ostatnia szansa dostania Tukuteli.

– Niezupełnie. – Sean pokręcił głową. – Już po sezonie. Mieliśmy szansę, ale ją zmarnowaliśmy.

– Nie, jeśli podążymy za nim do Mozambiku – powiedział Riccardo. – Pójdziemy za nim na bagna. Sean przyjrzał mu się uważnie.

– Dobry Boże, ty mówisz poważnie!

– Powiedziałem ci już. Nie ma niczego w moim życiu, czego pragnąłbym bardziej niż tego słonia.

– Więc sądzisz, że Job, Matatu i ja popełnimy samobójstwo dla twojej zachcianki?

– Nie. Nie oczekuję, że zrobicie to dla zachcianki – powiedzmy dla pół miliona dolarów.

Sean potrząsnął głową, ale nie mógł wykrztusić z siebie ani słowa. Riccardo mówił dalej:

– Czuję się odpowiedzialny za to, że stracisz licencję. Za pół miliona dolarów będziesz mógł sobie kupić dobrą koncesję w Zambii czy w Botswanie albo pięćdziesiąt tysięcy akrów rancza w Afryce Południowej. Pół miliona. Pomyśl o tym.

Sean zerwał się od stołu tak gwałtownie, że stracił na ziemię swój talerz. Odszedł nie oglądając się za siebie.

Stał samotnie na końcu obozu przyglądając się rzece w miejscu, gdzie małe stado impali piło wodę. Białogłowy rybołów usiadł na gałęzi suchego drzewa nad zieloną wodą.

Sean ich jednak nie dostrzegał.

Myślał o tym, jak będzie wyglądało jego życie za rok, gdy straci koncesję. Miał długi u brata, Garricka, sięgające pięćdziesięciu tysięcy i przekroczył stan konta w banku w Harare o prawie dziesięć tysięcy. Reema przekazała mu, że zarządca banku chciał koniecznie z nim rozmawiać, ale Sean unikał spotkania w czasie ostatniej wizyty w mieście.

Miał już ponad czterdzieści lat i nic jeszcze nie osiągnął. Jego ojciec byłby pewnie zachwycony, gdyby podjął pracę w rodzinnej firmie, ale jej przewodniczącym był Garrick, który nie okazałby wielkiego entuzjazmu.

Pomyślał o biurach z klimatyzacją, krawatach i garniturach, nie kończących się spotkaniach z prawnikami i inżynierami, korkach na ulicach i zapachu miasta.

Myślał także o zasadach ojca, popieranych bez zastrzeżeń przez jego brata, według których człowiek powinien zaczynać od samych podstaw w firmie i „piąć się do góry”. Garry miał więcej niż dwadzieścia lat przewagi nad nim; Garry uwielbiał taką pracę, a Sean jej nienawidził.

Pół miliona dolarów. Z takimi pieniędzmi w kieszeni mógł wypiąć się na bank, Geoffreya Manguzę, Garricka Courteneya i cały świat.

Odwrócił się od rzeki i ruszył w stronę namiotu Joba. Job siedział przy ognisku, a jego najmłodsza żona podawała mu śniadanie. Kiedy zobaczył zbliżającego się Seana, dał jej dyskretny znak, żeby się oddaliła. Zdjął czajnik z kawą znad ogniska, nalał smolistego płynu do kubka, a potem uzupełnił go skondensowanym mlekiem.

Sean usiadł na drewnianym stołku obok przyjaciela i wziął od niego kubek. Rozmawiali w sindebele.

– Co byś powiedział o człowieku, który podążyłby za Tukutelą do jego kryjówki na bagnach nad Zambezi?

– Taki głupiec nie zasługuje na to, żeby o nim mówić. – Job dmuchał na kawę, żeby ją ostudzić. Przez długą chwilę siedzieli w milczeniu.

Matatu, który spał w szałasie obok, wyczuł obecność swojego pana. Wszedł na zewnątrz, mrugając oczami w porannym słońcu i mocno ziewając przykucnął obok niego. Sean położył na chwilę rękę na ramieniu małego mężczyzny. Poczował, jak Matatu wierci się pod jego dłońią wdzięczny za ten dotyk. Nie musiał go o nic pytać. Matatu podąży za nim bez żadnych pytań, bez najmniejszego wahania. Sean zwrócił się znowu do Joba.

– Job, stary przyjacielu, chciałbym, żebyś jeszcze o czymś pomyślał. Monterro chce, żebyśmy poszli za słoniem i płaci za to pół miliona dolarów. Co myślisz o pół milionie dolarów?

Job westchnął.

– Nie muszę się nawet nad tym zastanawiać. Kiedy ruszamy?

Sean ścisnął mocno jego ramię i wstał.

Riccardo siedział jeszcze przy stole z kubkiem w ręku i cygarem w ustach. Claudia

przesiadła się obok niego. Widać było, że się kłócili. Twarz dziewczyny była zaczerwieniona, a jej oczy rzucały skry, ale nie odezwała się, kiedy Sean wszedł do namiotu.

– Szefie – powiedział Sean. – Czy masz przynajmniej wyobrażenie, jak to będzie wyglądało w Mozambiku? To będzie jak w Wietnamie, ale tym razem bez wsparcia amerykańskiej armii. Czy zdajesz sobie z tego sprawę?

– Idę – stwierdził Riccardo.

– W porządku. To są moje warunki: podpiszesz oświadczenie, w którym będzie stwierdzenie, że cokolwiek się z tobą stanie, ja nie jestem za to odpowiedzialny.

– Zgoda.

– Chcę także dostać potwierdzenie długu w wysokości pełnej sumy z zabezpieczeniem majątkowym na wypadek twojej śmierci.

– Daj mi papier.

– Szefie, jesteś szalony, wiesz o tym?

– Jasne. – Riccardo uśmiechnął się. – A co z tobą?

– Och, ja już się urodziłem szalony. – Roześmieli się obaj, ściskając sobie dłonie. Po chwili Sean uspokoił się. – Muszę wykonać lot zwiadowczy nad granicą, żeby przekonać się, czy nie ma tam dla nas jakichś niespodzianek. Jeśli wszystko będzie w porządku, wyruszmy dziś w nocy. Chcę załatwić całą sprawę w ciągu dziesięciu dni. A to oznacza, że będziemy musieli się szybko poruszać.

Riccardo skinął głową.

– Prześpij się teraz. Powinieneś wypocząć – poradził mu Sean.

Miał się już odwrócić, gdy zauważył rozwścieczony wzrok Claudii.

– Porozumiem się przez radio z Reemą, żeby przysłała po ciebie samolot jutro rano. Zarezerwuj ci miejsce w samolocie do Anchorage.

Claudia miała już coś odpowiedzieć, gdy Riccardo położył rękę na jej dłoni.

– Dobrze – powiedział. – Claudia wróci do domu. Przypilnuję tego.

– Masz cholerną rację – odparł Sean. – Z pewnością nie pójdzie z nami do Mozambiku.

Sean zakleił znaki identyfikacyjne na skrzydłach i kadłubie beech-crafta tak, żeby samolot nie został rozpoznany z ziemi. Upewnił się jeszcze, że taśma ściśle przylega do metalu i nie oderwie jej pęd powietrza. W tym czasie Job sprawdzał zapasy znajdujące się na pokładzie samolotu na wypadek, gdyby mieli przymusowe lądowanie. Sean zostawił ciężką strzelbę z podwójną lufą i wziął lżejszą 30/06 z kolbą z włókna szklanego.

Kiedy wystartowali, Sean skierował samolot na wschód, utrzymując go zaledwie piętnaście metrów nad koronami drzew. Pilotował samolot z mapą na kolanach sprawdzając każdy punkt orientacyjny przed nimi. Job siedział obok na fotelu pasażera, a Matatu zaraz za Jobem. Mimo tylu lat spędzonych razem Matatu wciąż obawiał się latania i czasami miewał torsje. Sean nie pozwalał mu siadać za sobą.

– Mały głupi dupek znowu zarzyga mi plecy. – Tym razem Job musiał podjąć ryzyko.

Dolecieli do granicy i skręcili na północ, szukając jakichś śladów wojska czy w ogóle ludzi. Nie znaleźli nic. Pół godziny później dostrzegli na horyzoncie odbłask wody. Było to olbrzymie sztuczne jezioro zapory na rzece Zambezi.

– Cabora Bassa – mruknął pod nosem Sean. Był to jeden z największych i najdroższych projektów zrealizowanych w Afryce, jeszcze przez Portugalczyków, zanim przekazali dawną kolonię nowemu rządowi.

Mimo iż Afryka Południowa kupiłaby całą energię, jaką można by tu wyprodukować, przesyłając ją do kopalni w Palaborze w Transwalu, a zarobione pieniądze poważnie ulżyłyby zadłużonemu Mozambikowi, elektrownia nie produkowała ani kilowata prądu. Biegące na południe linie elektryczne były nieustannie niszczone przez partyzantów, a wojska rządowe były tak zdemoralizowane, że nie zapewniały żadnej ochrony ekipom naprawczym. Minęło już wiele lat od czasu, gdy dokonywano tu jakichkolwiek napraw.

– W tej chwili turbiny są już tylko zardzewiałą kupą złomu. Kolejny oszałamiający tryumf afrykańskiego komunizmu – zachichotał Sean i położył samolot na skrzydle, żeby wykonać skręt o 180 stopni. Lecieli ponownie na południe wchodząc głębiej nad terytorium Mozambiku. Znowu rozglądali się za zamieszkanymi wioskami czy oddziałami wojsk.

Znaleźli jedynie regularne wzory pól uprawnych, które porosły już chwastami i krzakami, spalone wioski bez jakichkolwiek śladów życia wokół poniszczonych szałasów.

Sean przeciął drogę łączącą Vila de Manica z Cabora Bassa i prowadził samolot wzdłuż niej przez następne kilkanaście kilometrów. Lecieli tak nisko, że mogli dojrzeć wyrwy w drodze i chwasty wyrastające w pozostawionych przez koła zagłębieniach. Od miesięcy, a może nawet lat nie przejeżdżał tędy żaden samochód. Mosty zostały zniszczone przez bomby. Rozwalone minami pojazdy, wypalone i zardzewiałe, zaśmiecały pobocza drogi.

Sean skierował samolot na zachód w stronę granicy szukając po drodze miejsca, które wszyscy trzej tak dobrze pamiętali. Wreszcie dojrzał dwa symetryczne wzgórza, które nazwali Inhlozane, „Dziewczęce Piersi”, a na południe za nimi zlewisko dwóch rzeczek, z których pozostały jedynie piaszczyste koryta poprzecinane bajorami zielonej wody.

– Tam. – Job wskazał palcem.

Nawet siedzący na tylnym siedzeniu Matatu zapomniał o strachu i łapiąc Seana za ramię zachichotał wesoło.

– Inhlozane. Pamiętasz, Bwana!

Sean przechylił ostro samolot zataczając koło nad miejscem, gdzie zbiegały się rzeki i wszyscy wyjrzeni przez okna. Nie było widać żadnych śladów dawnego obozu partyzanckiego. Ostatnim razem byli tutaj na wiosnę 1976 roku jako żołnierze Ballantyne Scouts.

Na przesłuchaniu pojmany partyzant ujawnił istnienie dużego obozu treningowego partyzantów w tym rejonie, więc dowództwo rodezyjskiej armii wysłało samolot Vampire z misją zwiadowczą. Obóz był dokładnie ukryty i zamaskowany za pomocą wszelkich

znanych środków. Jednak rodezyjscy analitycy zdjęć, z których większość służyła kiedyś w RAF-ie, okazali się bardzo spostrzegawczy. Mimo że możliwe jest osłonięcie okopów i szafasów, z których korzystają setki ludzi, nie sposób zamaskować ścieżek przecinających obóz. Tysiące stóp maszerujących z baraków do sal ćwiczebnych, z mesy do latryn, wychodzących w las po drzewo na opał czy wodę z rzeki wydeptało drogi przypominające żyłki na liściu.

– Pomędzy dwa a dwa i pół tysiąca ludzi – oznajmił na odprawie oficer dowodzący eskadrą samolotów zwiadowczych. – Siedzą tam od jakichś sześciu miesięcy, więc szkolenie jest prawie zakończone. Czekają pewnie na rozpoczęcie pory deszczowej, żeby zorganizować jakąś większą ofensywę.

Równoczesne ataki dwóch tysięcy wyszkolonych terrorystów poważnie zagroziłyby rodezyjskim siłom bezpieczeństwa.

– Atakujemy – zdecydował generał Peter Walls, głównodowodzący rodezyjską armią. – Chcę, żeby plan bitwy został przygotowany w ciągu dwudziestu czterech godzin. – Operacji nadano kryptonim „Wytrzeszcz”.

Pomędzy Skautami Selous i Ballantyne istniała nieustająca rywalizacja i Sean ucieszył się ogromnie, gdy to jego wyznaczono do ataku naziemnego.

Polecieli na miejsce akcji starymi dakotami, zatłoczonymi po brzegi tak, że pięćdziesięciu mężczyzn w każdym samolocie musiało siedzieć na własnych spadochronach. Oddział składał się niemal z takiej samej liczby białych i Murzynów, ubranych w jednakowe, pokryte kamuflującymi kolorami mundury. Skakali z wysokości stu metrów, która ledwie pozwalała na otworzenie spadochronu, zanim żołnierz opadł na ziemię. Skok z takiej wysokości był nazywany żartobliwie „zrzucaniem mięsa”.

Miejsce zgrupowania zostało wyznaczone dwadzieścia kilometrów od obozu partyzantów, a sto pięćdziesiąt od granicy mozambickiej. Wszyscy Skauci znaleźli się na ziemi na godzinę przed zachodem słońca i po zapadnięciu zmroku trzystu żołnierzy wyruszyło na akcję.

Przekradali się przy świetle księżyca. Każdy z nich niósł prawie czterdziestokilowy plecak w większości wypełniony amunicją do karabinów maszynowych. Do rozwidlenia rzek dotarli po północy i przygotowali zasadzkę na południowym brzegu rzeki. Po drugiej stronie piaszczystego koryta z kilkoma zielonymi bajorami rozciągał się obóz treningowy.

Sean i Job przeszli wzdłuż całej pozycji rozmawiając szeptem z każdym z żołnierzy. Przez resztę nocy leżeli schowani za karabinami maszynowymi, a chłodny wiatr przynosił zapach palonego drzewa i gotowanych potraw po drugiej stronie rzeki.

O świcie w obozie treningowym trąbka oznajmiła pobudkę. W cieniu pod drzewami dojrzeliby setki poruszających się postaci.

Dwadzieścia minut później, gdy żołnierze mieli dostatecznie dużo światła, by dostrzec cel, z zachodu nadleciały ze świstem vampire’y i zrzuciły napalm. Pomarańczowe kule ognia

wybuchały w kłębach czarnego dymu, który szybko zasłonił słońce. Do leżących w zasadzce żołnierzy dobiegł smród gazu bojowego i fale gorąca. Rodezyjskie CK-li samoloty specjalnie zrzucały bomby wzdłuż północnej granicy obozu, odcinając w ten sposób drogę ucieczki ścianą ognia.

Dwadzieścia sekund po vampire'ach nadleciały bombowce Canberra i rzuciły na wroga pociski odłamkowe. Bomby spadły z przeraźliwym hukiem w sam środek zgrupowania wyrzucając w powietrze fontanny pyłu i szczątków. Partyzanci, którzy przeżyli pierwszy nalot, wypadli z lasu ogarnięci panicznym strachem i gnali w popłochu przed siebie.

Napalm zagroził im drogę na północ, więc biegli prosto na czekające w ukryciu karabiny maszynowe. Sean chciał, żeby jak najbardziej zbliżyli się do stanowisk karabinów. Przyglądał się obojętnie spanikowanemu tłumowi. Wśród partyzantów było niemal tyle samo kobiet co mężczyzn, ale trudno ich było od siebie odróżnić. Nie nosili mundurów. Większość z nich była poubierana w spodnie koloru khaki i koszulki z nadrukami portretów politycznych przywódców i sloganami partyjnymi. Inni mieli na sobie niebieskie drelichowe kurtki, a niektórzy biegli w samych majtkach. Prawie wszyscy byli bardzo młodzi, nie więcej niż dwudziestoletni, i zupełnie ogłupiali. Uciekali co sił w nogach starając się umknąć przed napalmem i odłamkami bomb.

Wpadli do koryta rzeki, a grząski piasek i woda spowolniły ich kroki. Zerkali za siebie na pochłonięty przez ogień, zasłonięty dymem obóz i nie dostrzegli schowanych na drugim brzegu karabinów.

Koryto rzeki było wypełnione tratującymi się w panice ludźmi. Kiedy pierwsi z nich zaczęli wspinać się na stromy brzeg, Sean dał znak gwizdkiem. Jego przenikliwy dźwięk utonął w łoskocie trzystu karabinów, które w tej samej chwili otworzyły ogień.

Lata brutalnej walki zahartowały Seana, ale nawet on był zaszokowany masakrą. Z bliskiej odległości pociski z broni automatycznej rozrywały ciała na strzępy i trafiały w następną linię partyzantów. Kule wzbijały z ziemi tumany piasku i w sięgającej pasa zasłonie biegnący ludzie wyglądali jak zjawy, które znikwały padając na ziemię lub wlatywały w powietrze podrywane wieloma strzałami oddawanymi z krótkiego dystansu.

Całe to piekło trwało dokładnie cztery minuty, a kiedy zabrakło celu, karabiny umilkły. Żołnierze wystrzelili pięćdziesiąt tysięcy pocisków. Lufy karabinków były tak rozpalone, że stygnąc skwierczały jak rozgrzane płyty kuchenne. Mimo że uszy żołnierzy były zatkane od łoskotu broni automatycznej, z koryta rzeki dobiegały ich jęki rannych.

Sean odgwizdał kolejną komendę. Żołnierze zbiegli na dno wyschniętej rzeki i ruszyli naprzód, uformowani w linię szturmową.

Według jego rozkazu jedynie oficerowie i komisarze polityczni mieli zostać wzięci do niewoli. Przechodząc rzekę żołnierze dobijali pozostałych przy życiu terrorystów, przystawiając im karabin do potylicy i zabijając ich jedną kulą. Żaden z nich nie miał więcej napadać na rodezyjskie farmy ani odrąbywać kończyn Murzynom, którzy odmawiali



zaopatrywania partyzantów w jedzenie i kobiety. W korycie rzeki nie został ani jeden żywy człowiek. Żołnierze weszli do obozu, wrzucając granaty do okopów, przeglądając szafasy w poszukiwaniu oficerów oraz map i dokumentów. Jak wszyscy marksiści, partyzanci nigdy nie niszczyli żadnych dokumentów. Zdobycie archiwum obozowego było jednym z głównych celów operacji.

Biegący na czele oddziału Sean pierwszy dopadł znajdującej się w środku obozu kwatery głównej. Rozpoznał ją po kolorowej fladze zwisającej z wysokiego masztu.

Przy wejściu do obcego budynku najniebezpieczniejsze są drzwi. Sean puścił serię przez słomianą ścianę i wskoczył przez okno. W środku pomieszczenia znajdował się wysoki mężczyzna. Był ubrany w niebieski drelich i właśnie wyrzucał z szafek na ziemię dokumenty, zamierzając je najwidoczniej spalić. Mężczyzna upuścił stertę papierów, które trzymał w rękach, i sięgnął do kabury po pistolet.

Sean kopnięciem nogi poderwał mu do góry dłoń i kiedy Murzyn upadł na ziemię, rąbnął go kolbą karabinu w szyję tuż za uchem. Gdy Sean podnosił się, do szafasu wparował Matatu i z radosnym uśmiechem pochylił się nad nieprzytomnym partyzantem, chcąc poderżnąć mu gardło.

– Nie – powstrzymał go Sean. – Tego potrzebujemy. – Po chwili do kwatery wpadł Job z ciężkim karabinem RPD na biodrze.

– W porządku, kapitanie – rozkazał Sean. – Weźcie ludzi, żeby pozbierali te papierzyska. – Spojrzał na zegarek. – Śmigłowce przylecą za dwadzieścia minut.

Siłom powietrznym Rodezji brakowało helikopterów. Sankcje na dostawy broni wprowadziły wszystkie kraje poza Afryką Południową, a brytyjski pancernik blokował mozambijskie porty uniemożliwiając przejęcie jakichkolwiek dostaw.

Na tę akcję armia mogła wysłać jedynie dwa śmigłowce i jeden z nich załadowano zdobytymi dokumentami. Było to niemal pięć ton papierów zawierających nazwiska partyzantów, dane dotyczące organizacji, cele ataków, informacje o dostawach, opisy używanej broni, podręczniki szkoleniowe, oceny rodezyjskich sił obronnych, materiały propagandowe, mapy z zaznaczonymi drogami ucieczki po ataku, jednym słowem cały opis taktyki walki partyzanckiej. Dla rodezyjskiego wywiadu był to prawdziwy skarbiec, którego utrata była o wiele cięższym ciosem niż kilkaset ciał leżących w korycie rzeki.

Drugi śmigłowiec Alouette Sean przeznaczył do transportu rannych, i ważniejszych jeńców. Skauci mieli więcej rannych niż się tego spodziewali. Trzech żołnierzy miało wypadki przy skoku na spadochronach, zwichnięte kostki i naciągnięte ścięgna, a pięciu zostało rannych w czasie wymiany ognia z kilkoma bitnymi partyzantami. Na dodatek jeden z terrorystów udał, że jest martwy, i rzucił w zbliżających się wrogów granatem zabijając jednego i raniąc dwóch innych. Skauci zawsze zabierali swoich zmarłych na przywoity pochówek i ciało czarnego żołnierza było już zapakowane w plastikowy worek.

Oprócz własnych rannych, żołnierze wzięli do niewoli ośmiu oficerów i komisarzy

politycznych. Partyzanci oficerowie nie nosili insygniów, ale można ich było rozpoznać po lepszej jakości ubrania, okularach przeciwsłonecznych, zegarkach na rękę i kilku długopisach w kieszeniach.

Wszyscy pojmani nie mieścili się do jednego helikoptera, więc Sean musiał zatrzymać pięciu jeńców, którzy mieli wrócić z nimi do Rodezji na piechotę. Wybrał mężczyzn, którzy mogli znieść długi marsz. Jednym z nich był człowiek złapany w kwaterze głównej.

Czterdzieści pięć minut od rozpoczęcia akcji ostatni helikopter oderwał się od ziemi, a Skauci Seana byli gotowi do drogi. Ewentualny kontratak Frelimo nie mógł być zbyt entuzjastyczny i groźny, ale Sean wolał nie ryzykować. Przed wymarszem stanął jeszcze na brzegu rzeki i przyjrzał się miejscu masakry. Nie mieli czasu, żeby policzyć zwłoki, ale samolot zwiadowczy powinien zrobić dobre zdjęcia tego miejsca. Na podstawie fotografii będzie można uzyskać dokładniejsze dane.

„Co najmniej tysiąc pięciuset ludzi”, zdecydował w myślach Sean. Miejscami ciała leżały stertami jak ścięte żyto. Nad nimi unosiły się chmary much.

Odwrócił się od okropnego widoku.

– W porządku! – zawołał. – Wyruszamy!

Pierwsza grupa pięćdziesięciu ludzi ruszyła truchtem. Ciężarówki wojskowe przejeżdżały właśnie granicę spiesząc na spotkanie Skautów. Jednak żołnierze musieli pokonać co najmniej pięćdziesiąt kilometrów, może więcej. Na szczęście amunicja została wystrzelana i plecaki były prawie puste.

Job podbiegł do Seana.

– Pułkowniku, więzień, którego pan pojmał. Udało mi się go rozpoznać. To sam towarzysz China.

– Jesteś tego pewien? – Sean nie czekał na odpowiedź. – Cholera, gdybym wiedział wcześniej, wysłałbym go helikopterem.

Towarzysz China znajdował się na czele listy najbardziej poszukiwanych terrorystów. Był dowódcą całego północno-wschodniego sektora i pełnił funkcję odpowiadającą w wojsku pozycji generała. China był jednym z najzdolniejszych przywódców partyzanckich i rodezyjski wywiad wojskowy chciał mu zadać kilka pytań.

– Kapitanie, upewnijcie się, że dotrze bezpiecznie na miejsce – polecił Sean. – Traktuj go jak swoją nową żonę – dodał.

– China nie chce nigdzie iść – powiedział Job. – Wie, że nie możemy go zastrzelić, ale też nie możemy go nieść.

Sean podszedł do miejsca, gdzie więzień przykucnął na ziemi z rękami na głowie, otoczony strażą.

– Wstań i w drogę – rozkazał Sean. China splunął mu na but. Sean odpiął kaburę i wyjął rewolwer Magnum kalibru 357. Przyłożył go do skroni Murzyna.

– Wstawaj – powtórzył. – Twoja ostatnia szansa.

Sean strzelił. Wepchnięta w ucho lufa była skierowana nad ramieniem więźnia.

China wrzasnął z bólu i złapał się obiema rękami za ucho. Z rozerwanej małżowiny ciekła strumykiem krew.

– Wstawaj! – krzyknął Sean. Trzymając się za głowę China znowu splunął mu na but. Sean przystawił lufę rewolweru do drugiego ucha. – Po uszach wydlubiemy ci ostrym patykiem oczy. – Towarzysz China podniósł się z ziemi.

– Biegiem marsz! – ryknął na niego Job. Położył dłoń na plecach mężczyzny i popchnął go do szeregu.

Sean rzucił ostatnie spojrzenie na pole bitwy. Wykonali niezłą robotę, która w gwarze Skautów nazywała się „czystą robotą”.

– W porządku, Matatu – powiedział cicho Sean. – Wracamy do domu. – Mały Ndorobczyk ruszył za nim biegiem.

Kiedy China zasłabł z bólu, ugięły się pod nim nogi i upadł na ziemię, Sean zaaplikował mu ampulkę morfiny w zastrzyku i podał manierkę z wodą.

– Jak na żołnierza rewolucji, który strzela do dzieci i odrąbuje nogi starym kobietom, to będzie mały spacer – zapewnił go Sean. – Weź się w garść, China, albo rozwalę ci drugie ucho. – Wziął go pod ramię, Job pod drugie, podnieśli go na nogi i do czasu, gdy narkotyk zaczął działać, na wpół nieśli go pomiędzy sobą. Cały czas utrzymywali ostre tempo, biegnąc przez gęsty las i pokonując skaliste wzgórza.

– Udało wam się dzisiaj zabić nieco naszych ludzi. – Po jakichś dwóch kilometrach morfina zrobiła swoje i China stał się bardziej rozmowny. – Pułkownik Courtney, dzisiaj udało wam się wygrać małą potyczkę, ale jutro my wygramy całą wojnę. – Głos Chiny był chropowaty i pewny własnej racji.

– Skąd wiesz, jak się nazywam? – spytał rozbawiony Sean.

– Jest pan sławny, pułkowniku, czy raczej powinienem rzec niesławny. Pod pańskim dowództwem ta sfera dzikich psów jest bardziej niebezpieczna niż wtedy, gdy dowodził nimi sam Ballantyne.

– Dziękuję za taki piękny komplement, China, ale czy nie za wcześnie przypisujesz sobie zwycięstwo?

– Strona, która kontroluje kraj w nocy, wygrywa wojnę.

– Mao Tse-tung. – Sean uśmiechnął się. – Bardzo dobry cytat jednego z waszych.

– To my kontrolujemy kraj. Udało nam się zamknąć was w miastach i wioskach. Wasi biali farmerzy nie mają już ochoty do walki, a ich żony są zmęczone wojną. Czarni wieśniacy otwarcie sprzyjają naszej sprawie. Wielka Brytania i cały świat są przeciwko wam i nawet wasz największy sprzymierzeniec, Afryka Południowa, ma dosyć tej wojny. Niedługo, nawet bardzo niedługo...

Kłócili się ze sobą w czasie biegu. Sean z niechęcią musiał się przyznać, że zaczyna podziwiać swojego jeńca. China był bystry, doskonale władał angielskim. Świetnie znał się

na polityce i taktyce wojskowej. Był silnie zbudowany i sprawny. Sean czuł pod jego skórą twarde mięśnie. Zresztą mało który człowiek potrafiłby biec w tym tempie z przestrzelonym uchem.

„Byłby wspinałym Skautem”, pomyślał Sean. „Gdyby udało się go nawrócić...” Wielu jego ludzi było kiedyś partyzantami, pojmanymi i nawróconymi na właściwą drogę przez rodezyjskie służby wywiadowcze.

Sean z ciekawością przyglądał się towarzyszowi Chinie. Był o kilka lat od niego młodszy. Jego delikatne rysy wskazywały raczej na pochodzenie etiopskie niż na Shona. Miał wąski, prosty nos, wyczelowane wargi w niczym nie przypominające szerokich ust negroidów. Nawet silna dawka morfiny nie potrafiła stępić błyszczącej w dużych, ciemnych oczach inteligencji. Był przystojnym mężczyzną i z pewnością bezwzględny i okrutny. Gdyby nie miał w sobie dozy okrucieństwa, nigdy nie osiągnąłby takiej pozycji.

„Chcę go dostać”, zdecydował Sean. „Mój Boże, byłby więcej wart niż cały regiment”. Zacisnął palce na ramieniu Murzyna w geście przynależności. „Ten mały pieszczołek będzie potraktowany ze szczególnymi względami”.

Wczesnym rankiem przednia straż wpadła na oddział Frelimo i pozabijała prawie wszystkich nie zwalniając kroku. Przy drodze spoczywały nieruchome ciała w ubraniach w kolorach maskujących, na które Sean nie zwrócił większej uwagi.

Okolo południa natrafili na wojskowe ciężarówki. Konwój był chroniony przez opancerzone wozy Eland. Załogi wozów przywoziły ze sobą schłodzone piwo w puszkach. Skauci pokonali sześćdziesiąt siedem kilometrów w niecałe siedem godzin – chłodne piwo smakowało im jak nektar.

Sean podał puszkę piwa Chinie.

– Przykro mi z powodu twojego ucha – powiedział i pozdrowił go podniesioną puszką piwa.

– Postąpiłbym tak samo, gdybym był na twoim miejscu. – China uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały nieprzeniknione. – Do naszego następnego spotkania? – zaproponował toast.

– Do następnego spotkania – zgodził się Sean i przekazał go dowodzonej przez białego sierżanta straży. Następnie wspiał się do prowadzącego elanda i ruszyli w ostatni etap drogi.

Sean wyprowadził konwój z Mozambiku i przejechał granicę dokładnie w dziesięć i pół godziny po rozpoczęciu akcji, Jan Smith, premier Rodezji, połączył się z nim drogą radiową, żeby osobiście mu pogratulować i powiadomić o czekającym go awansie.

Sean dowiedział się o ucieczce Chinie dopiero po dotarciu do koszar. Więzień musiał przeciąć płótno z boku ciężarówki i wysunął się przez otwór, kiedy straż drzemała. Nie skrępowany więzami wyskoczył z pędzącego wozu. Zasłonięty przez wzbijany pył w powietrze przez tylne koła wpadł w wysoką trawę przy drodze.

Dwa miesiące później Sean przeczytał raport wywiadu, według którego China poprowadził atak na konwój z zapasami na drodze Mount Darwin.

– Tak, Matatu, pamiętam to doskonale – Sean odpowiedział na pytanie siedzącego za Jobem w samolocie małego tropiciela. Wykonał jeszcze jedno koło nad dawną bazą terrorystów i skierował samolot na południe.

Nie zdecydował się jednak lecieć aż do linii kolejowej łączącej port Beira z granicą z Zimbabwe. Było to centrum działań wojskowych i partyzanckich i mogli łatwo natknąć się na patrol Frelimo czy żołnierzy zimbabwjskich uzbrojonych w rakiety RPG i aż palących się, żeby zestrzelić lecący nisko, nie oznakowany samolot.

– Wydaje się, że mamy szansę – Sean zwrócił się do Joba.

– Granica przy naszym obozie jest chyba zupełnie opuszczona – zgodził się z nim Job.

– Myślisz, że warto spróbować za pół miliona? – zapytał Sean i w odpowiedzi Job uśmiechnął się do niego.

– Załatwimy jeszcze jedną sprawę i wracamy do domu – zapowiedział Sean.

Zawrócił nad terytorium Zimbabwe. Lecąc nisko nad ziemią szukał miejsca, gdzie poprzedniego dnia natrafili na ślad kłusowników.

Wymagało to precyzyjnej nawigacji i dobrego rozeznania w terenie. Od tego miejsca, z Matatu siedzącym z twarzą przylepioną do szyby i wskazującym im kierunek, dolecieli do płaskowyżu i doliny, gdzie pogonili bandę. Z powietrza odległości wydawały się znacznie mniejsze niż na ziemi.

Matatu kierował ich dalej wzdłuż drogi, jaką słoń dotarł do granicy. Wydawało się, że jego zdolność odczytywania śladów nie była zależna od wysokości. Sean leciał według jego wskazówek, trzymając mapę na kolanach.

– Przelatujemy granicę z Mozambikiem – rzekł, robiąc szybkie notatki na brzegu mapy.

– W tę stronę. – Matatu przechylił się przez siedzenie i wskazał bardziej na północ. Sean nauczył się w tych sprawach nie kłócić się z małym tropicielem i skręcił kilka stopni w lewo.

Kilka minut później Matatu kazał mu skierować się trochę bardziej na południe.

– Mały głupi dupek czuje ślad starego byka. Musi myśleć jak słoń. – Sean zastanawiał się nad tym, gdy Matatu krzyknął piskliwie z podniecenia i wskazał na coś przez boczne okno.

Przelatywali właśnie nad korytem wyschniętej rzeki. Sean dojrzał ślady stóp słonia odbite na miękkim piasku. Były tak głębokie, że widział cień rzucany przez ich brzegi; przypominały sznurek paciorków ułożonych na jasnym tle. Nawet on, który przez dwadzieścia lat przyglądał się pracy Matatu, nie mógł wyjść z podziwu. Wiedziony jedynie instynktem Murzyn zaprowadził ich do miejsca, w którym słoń przeprawił się przez rzekę. Wydawało się to nieprawdopodobne.

Sean zatoczył koło nad śladami. Skręt był tak ostry, że leciał z jednym skrzydłem skierowanym pionowo ku ziemi.

– Którędy teraz?! – zawołał do tyłu. Matatu poklepał go po ramieniu, wskazując w kierunku biegu rzeki. Sean bez wahania skręcił w tamtą stronę.

– Tam jest! – wrzasnął nagle Job. Matatu roześmiał się z radości, klaszcząc w ręce i podskakując na siedzeniu jak dziecko w teatryku z kukiełkami.

Dwa kilometry przed nimi rzeka wpadała do głębokiego jaru, w którym zachowało się nieco wody z ostatniej pory deszczowej. Z gęstwiny wysokich trzciny okalających jezioro wystawał szary grzbiet słońca.

Zbliżyli się do niego szybko. Tukutela usłyszał silnik samolotu. Podniósł głowę, rozkładając szeroko uszy i odwrócił się do nich przodem, pokazując olbrzymie, legendarne kły. Sean znowu poczuł zachwyty widząc ich symetryczne piękno.

Czarne kły mignęły mu tylko przed oczyma, ale dobrze zakodowały się w pamięci. Pół miliona dolarów i te kły, setki razy ryzykował już życie dla o wiele mniejszych stawek.

– Przyjrzymy mu się jeszcze raz? – spytał Job, obracając się na siedzeniu, żeby spojrzeć na słońca przez tylne okienko.

– Nie. – Sean potrząsnął przecząco głową. – Nie ma co niepotrzebnie go denerwować. Wiemy, gdzie go znaleźć. Wracamy do domu.

- Te pół miliona dolarów, które tak beztrąsko teraz chcesz wyrzucić na śmieci, jest moje – Claudia powiedziała ojcu.

– Jak to sobie wyliczyłeś? – spytał Riccardo. Leżał na połowym łóżku w samych spodniach od pidżamy, z gołym torsem i stopami. Claudia spostrzegła, że włosy na jego ciele są nadal sprężyste i czarne, poza odrobiną siwizny na środku piersi.

– Mój spadek – wyjaśniła mu słodkim głosem. – Właśnie roztrwaniasz mój spadek, tatusiu.

Riccardo zachichotał. Claudia miała temperament prawnika od rozwodów. Wpadła do jego namiotu, żeby podjąć od nowa dyskusję, którą miał nadzieję, że zakończyli w namiocie stołowym.

– Jeśli nie dostanę tych pieniędzy w testamencie, to przynajmniej powinieneś pozwolić mi nacieszyć się ich wydawaniem razem z tobą.

– Według ostatniej rewizji ksiąg, moja młoda damo, odziedziczysz po mnie ponad trzydzieści sześć milionów dolarów, po odliczeniu podatku i tej małej ekstrawagancji. Spieszę dodać, że wszystkie pieniądze do ostatniego centa są zablokowane na koncie trustu i że nawet najzdolniejszy prawnik nie będzie potrafił ich z niego wydobyć. Nie chcę, żebyś rozdała moje ciężko zarobione pieniądze na cele dobroczynne.

– Tatusiu, wiesz dobrze, że pieniądze nigdy mnie nie interesowały. Chodzi mi tylko o to, żebym mogła pójść z tobą na tę wyprawę. Przyjechałam do Afryki, ponieważ rozumiałam, że mam uczestniczyć we wszystkim, tak jak i ty. To był nasz układ.

– Powtórzę ci to jeszcze raz, tesoro, mój skarbie. – Ojciec nazywał ją w ten sposób tylko wtedy, gdy chciał być bardzo czuły albo był zdesperowany. – Nie pójdziesz ze mną do Mozambiku.

– Więc złamałbyś nawet dane mi słowo – oskarżyła go.

– Bez wahania – zapewnił ją. – Jeśli byłoby zagrożone twoje bezpieczeństwo czy szczęście.

Zerwała się z krzesła i zaczęła chodzić po namiocie. Riccardo przyglądał się jej z prawdziwą przyjemnością. Założyła ręce na małych piersiach i zmrużyła oczy, ale na jej elastycznej skórze nie pojawiły się żadne zmarszczki. Córka przypominała mu młodą Sophie Loren, która była ulubioną aktorką Riccarda. Przystanęła przed łóżkiem i spojrzała na niego ze złością.

– Wiesz dobrze, że zawsze dostaję to, co chcę – powiedziała. – Dlaczego nie ułatwisz nam tej rozmowy i nie powiesz, że mogę iść z tobą?

– Przykro mi, tesoro. Nie idziesz.

– Dobrze. – Wzięła głęboki oddech. – Nie chcę tego robić, ale nie pozostawiasz mi żadnego wyboru. Rozumiem, ile to dla ciebie znaczy i dlaczego chcesz zapłacić tyle pieniędzy za możliwość realizacji tego marzenia. Jeśli jednak nie będę mogła pójść z tobą, co jest moim prawem i powinnością, to i ty nie pójdziesz.

Znowu się roześmiał bez troski.

– Mówię poważnie tatusiu. Proszę, nie zmuszaj mnie do tego.

– Tak, a jak moja mała dziewczynka chce mnie powstrzymać? – zapytał.

– Powiem Seanowi, co doktor Andrews mi powiedział. Riccardo Monterro poderwał się w ułamku sekundy na nogi i złapał ją za ramiona.

– Co Andrews ci powiedział? – zapytał głosem tak ostrym, że przypominał cięcie brzytwą.

– Powiedział mi, że w listopadzie miałeś małą, ciemną plamkę na prawym ramieniu – odparła. Riccardo instynktownie schował rękę za siebie. – To ma taką ładną nazwę, melanoma, jak imię dziewczyny, ale to nie jest wcale ładna choroba i zbyt późno poszedłeś z tym do lekarza. Andrews wyciął to, ale patolog ocenia, że to jest Clarke 5. To daje od sześciu miesięcy do roku, tatusiu. To właśnie mi powiedział.

Riccardo opadł na łóżko. Jego głos był teraz bardzo zmęczony.

– Kiedy się o tym dowiedziałeś?

– Półtora miesiąca temu. – Przysiadła się do niego. – Właśnie dlatego przyleciałam z tobą do Afryki. Nie chcę być z dala od ciebie choćby przez jeden dzień w czasie, jaki nam został. Właśnie dlatego pójde z tobą na tę wyprawę do Mozambiku.

– Nie. – Potrząsnął głową. – Nie mogę na to pozwolić.

– Więc powiem Seanowi, że to w każdej chwili może dotrzeć do mózgu.

Nie musiała nic dodawać. Andrews bardzo obrazowo opisał, jakimi drogami może się posuwać choroba. Jeśli dosięgnie płuc, to nastąpi śmierć przez uduszenie, ale jeśli zaatakuje mózg czy system nerwowy, to może nastąpić całkowity paraliż albo kompletne skretynienie.

– Nie zrobisz tego – powiedział potrząsając głową. – To ostatnia rzecz w moim życiu,

jakiej naprawdę pragnę. Nie odmówisz mi jej, prawda?

– Bez wahania – odpowiedziała mu jego własnymi słowami. – Jeśli odbierzesz mi prawo przebywania z tobą każdego dnia aż do samego końca, co jest powinnością kochającej córki.

– Nie mogę pozwolić, żebyś tam poszła. – Zasłonił twarz dłońmi. Był to gest człowieka pokonanego. Claudia z całych sił starała się, żeby nadać swojemu głosowi zdecydowane brzmienie.

– A ja nie mogę pozwolić, żebyś tam dotarł samotnie.

– Nie rozumiesz nawet, jak bardzo mi na tym zależy. To przecież ostatnia rzecz w moim życiu. Ten stary słoń i ja odejdziemy razem z tego świata. Nic nie rozumiesz, gdybyś chciała choć trochę zrozumieć, to nie powstrzymywałabyś mnie teraz.

– Nie powstrzymuję cię – odparła delikatnie. – Chcę, żebyś go dostał, ale chcę także być cały czas z tobą. – W tej samej chwili usłyszeli cichy warkot w powietrzu nad ich głowami. Oboje spojrzeli na sufit namiotu.

– Beechcraft – mruknął Riccardo. – Sean wraca. – Spojrzał na zegarek. – Powinien tu pojawić się za godzinę.

– I co mu powiesz, jak przyjedzie? – spytała Claudia. – Powiesz mu, że idę z wami?

- Nie! – ryknął Sean. – Nie ma, cholera, nawet mowy! Zapomnij o tym, Szefie. Nie idzie z nami i to moje ostatnie słowo!

– Za pół melona mogę chyba stawiać jakieś warunki? – spytał cicho Riccardo. – Mówię, że Claudia idzie z nami, więc pójdzie.

Stali obok toyoty. Riccardo i Claudia podeszli do Seana, gdy tylko wjechał do obozu. Teraz wziął głęboki oddech i spojrzął na stojących obok siebie ojca i córkę. Ich twarze były zdecydowane.

Sean znowu miał ryknąć, ale udało mu się powstrzymać.

– Szefie, bądź rozsądny. – Jeszcze bardziej zniżył ton. – Wiesz, że to niemożliwe.

Nie odpowiedział ani słowem, zamknięty na wszelkie argumenty.

– Tam toczy się wojna. Nie mogę jej w to wciągać.

– Claudia idzie z nami.

– A cholera tam!

– O co się tak wściekasz, że jestem kobietą? – Claudia odezwała się po raz pierwszy. – Mogę robić wszystko, co potrafi zrobić mężczyzna.

– Możesz siusiać na stojąco? – Sean chciał ją urazić, żeby straciła panowanie nad sobą, ale Claudia zignorowała jego atak i mówiła dalej:

– Widziałeś, że potrafię maszerować. Mogę znieść upał i muchy tse-tse równie dobrze jak mój ojciec.

Sean odwrócił się od niej i odezwał do Riccarda.

– Jako jej ojciec nie możesz na to zezwolić. Czy wyobrażasz sobie, co będzie, jak



wpadnie w ręce morderców z Renamo?

Riccardo wzdrygnął się, ale Claudia też to spostrzegła i zanim ojciec zdążył zmienić zdanie, wzięła go za rękę i powiedziała ostro.

– Albo ja idę z wami, albo nici z wyprawy i może się pan pożegnać ze swoim pół milionem dolarów, pułkownik Courteney.

Pół miliona to był haczyk w tej całej sprawie. Przyparła go do muru. Oboje o tym wiedzieli. Sean nie mógł przepuścić takiej okazji, ale spróbował jeszcze raz.

– Szefie, czy to ona teraz rozkazuje? Od kogo mam przyjmować polecenia: od ciebie czy od niej?

– To także na nic się nie zda. – Claudia zachowywała pojednawczy ton, mimo że za jego docinki najchętniej rozdarłaby Seana na strzępy. – Mój ojciec i ja już postanowiliśmy w tej sprawie. Albo idziemy oboje, albo wycofujemy się z umowy. Zgadza się, tatusiu?

– Obawiam się, że tak, Sean. – Riccardo wyglądał na zmęczonego. – To nie podlega dyskusji. Jeśli chcesz dostać pieniądze, to musisz wziąć Claudię razem z nami.

Sean odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę swojego namiotu, ale po kilku krokach zatrzymał się. Stał w miejscu z rękami na biodrach.

Jego głośne przekleństwa zwabiły wszystkich służących, którzy stali przy namiocie stołowym i wyglądali z zaciekawieniem przez okna.

– Na co się, do cholery, gapicie?! – wrzasnął. – Nie macie nic do roboty? – Wszyscy przezornie zeszli mu z oczu.

Potem odwrócił się i podszedł wolno do stojącej przy toycie pary.

– W porządku – zgodził się, patrząc chłodno na Claudię. – Poderżnij sobie gardło, ale nie przychodź do mnie po bandaże.

– Nie przyjdę, obiecuję. – Jej głos wprost ociekał miodem i denerwował Seana bardziej, niż gdyby zaczęła się otwarcie wynosić nad niego. Oboje zdawali sobie sprawę, że ich zawieszenie broni zostało zerwane.

– Szefie, mamy do załatwienia pewne sprawy papierkowe. – Sean poprowadził ich do namiotu nie oglądając się za siebie.

Sean napisał dwoma palcami na starej maszynie do pisania Remington dwa oświadczenia, jedno w imieniu Riccarda, a drugie w imieniu Claudii. Każdy z nich zaczynał się od zwrotu: „Oświadczam, że zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństwa i nielegalności...” Następnie napisał zaświadczenie o zaciągniętym przez Riccarda długu i wezwał Joba i kucharza, żeby złożyli podpisy jako świadkowie. Schował kopie listów do koperty, zapieczętował ją, zaadresował do Reemy w Harare i schował do małego sejfu w kącie namiotu.

– W porządku, możemy zaczynać – powiedział.

W wyprawie mieli wziąć udział Claudia, Riccardo, Sean, Job, Matatu, Pumula i krępy, brodaty mężczyzna, który przybiegł do obozu z wiadomością o słoniu. Nazywał się Dedan.

– Jest nas za dużo, ale każdy z tych kłów waży ponad pięćdziesiąt kilo – wyjaśnił Sean. –

Matatu jest zbyt mały, jak na tragarza. Potrzebujemy czterech silnych mężczyzn, żeby wrócić do obozu.

Zanim sprzęt został załadowany na samochód, Sean kazał wyłożyć wszystkie bagaże i sprawdził każdy plecak. Claudia zaprotestowała, gdy otworzył jej rzeczy.

– To naruszenie mojej prywatności!

– No to postaw mnie za to przed sądem, kotku – sprowokował ją Sean i bezlitośnie przejrzał cały jej bagaż, wyrzucając większość tubek i buteleczek z kosmetykami. Zostawił jej trzy słoiczki kremu nawilżającego i przeciwsłonecznego.

– Tylko jedna zmiana gatek – powiedział kategorycznie, wywalając z pół tuzina koronkowych majteczek. – Będziesz za to potrzebowała jeszcze dwóch par grubych skarpet. Przynieś je.

Wyjął pudełko tampaxów.

– Wszystko, co mężczyzna może zrobić, a nawet trochę więcej – zauważył chłodno. – Nie potrzebujesz pudełka, zajmuje za dużo miejsca. Zapakuj je luzem. – Jej ledwo tłumiony gniew sprawił mu wyjątkową przyjemność.

Kiedy skończył, w plecakach pozostały jedynie najważniejsze rzeczy, które zostały dokładnie zważone i rozdzielone według siły i kondycji uczestników wyprawy. Sean, Job, Pumula i Dedan nieśli po trzydzieści kilo, Riccardo i Matatu po dwadzieścia, a Claudia dziesięć.

– Mogę wziąć więcej – zaprotestowała Claudia. – Daj mi dwadzieścia – tyle samo co Matatu. – Sean nie trudził się nawet, żeby jej odpowiedzieć. – A w dodatku jem tylko połowę tego, co każdy z was! – Sean odwrócił się już od niej i doglądał załadunku bagaży na samochód.

Kiedy wyruszyli z obozu Chiwewe, do zachodu słońca brakowało jeszcze czterech godzin. Pierwszą część drogi Sean prowadził tak szybko, że pasażerowie dosłownie skakali na siedzeniach. Chciał pewnie wyrazić w ten sposób swoją niechęć do obecności Claudii, ale przede wszystkim zależało mu, żeby znaleźć się przy granicy jeszcze przed zapadnięciem zmroku.

Jadąc mówił mocno napiętym głosem:

– Zanim rozpoczniemy naszą wycieczkę z przewodnikiem po mozambickim raju dla proletariatu, chciałbym wam przedstawić kilka faktów i danych. – Nikt nie zaprotestował, więc mówił dalej: – Do roku 1975 Mozambik był kolonią portugalską. Przez ponad pięćset lat znajdował się pod panowaniem Portugalii i stał się w miarę szczęśliwym i prosperującym krajem, zamieszkanym mniej więcej przez piętnaście milionów ludzi. Portugalczycy, w przeciwieństwie do Anglików i Niemców, mieli raczej spokojny stosunek do kwestii mieszania się ras, w wyniku czego rozwinęła się duża populacja Mulatów. Portugalczycy przyjęli oficjalną politykę assimilado, według której każdy, bez względu na kolor skóry, kto tylko spełniał pewne standardy cywilizacyjne, był uważany za białego i mógł otrzymać

obywatelstwo portugalskie. Wszystko to rozwijało się całkiem pomyślnie, jak zresztą w wypadku wszelkich kolonii, zwłaszcza zarządzanych przez Brytyjczyków.

– Gównu prawda – wtrąciła się Claudia. – To tylko angielska propaganda.

– Angielska? – Sean uśmiechnął się kwaśno. – Uważaj, twoje uprzedzenia dają znać o sobie. Nie możesz jednak zaprzeczyć, że przeciętny Afrykanin czy Hindus żyjący w byłej kolonii brytyjskiej jest w o wiele gorszej sytuacji niż kiedyś. W odniesieniu do Murzynów zamieszkujących Mozambik sprawa przedstawia się sto razy gorzej.

– Przynajmniej są wolni – odcięła się Claudia, na co Sean roześmiał się w głos.

– To ma być wolność? Gospodarka zarządzana według znanych socjalistycznych zasad chaosu i zniszczenia przyniosła ujemny bilans dochodu narodowego sięgający dziesięciu procent w każdym roku od czasu wycofania się z kraju Portugalczyków. Zagraniczne długi dwukrotnie przewyższają dochód narodowy, całkowicie załamał się system edukacyjny, jedynie pięć procent dzieci uczęszcza regularnie do szkół, jeden lekarz przypada na czterdzieści pięć tysięcy ludzi. Jedna osoba na dziesięć ma dostęp do czystej wody, śmiertelność niemowląt sięga 340 na 1000 urodzin. Jedyne kraje na świecie, gdzie jest jeszcze gorzej, to Afganistan i Angola, ale jak mówisz, przynajmniej są wolni. W Ameryce, gdzie każdy zjada trzy duże posiłki dziennie, wolność może coś znaczyć. W Afryce pełny brzuch jest o wiele więcej wart.

– Nie może być aż tak źle – zaprotestowała.

– Nie – zgodził się z nią. – Jest nawet jeszcze gorzej. Nie wspomniałem o dwóch ważnych czynnikach: wojnie domowej i AIDS. Kiedy Portugalczycy opuścili kraj, przekazali władzę dyktatorowi Samorze Machelowi i jego partii Frelimo. Machel był marksistą. Nie wierzył w takie nonsensy jak wolne wybory. Jego rządy są odpowiedzialne za obecną ruinę kraju i za powstanie Mozambickiego Ruchu Narodowego, czy jak go się potocznie nazywa Renamo. Nikt nie wie zbyt wiele o tej organizacji, celach czy przywódcach. Wiemy tylko, że kontroluje większą część kraju, zwłaszcza na północy, i że jej oddziały składają się z wyjątkowo bezwzględnych ludzi.

– Renamo jest organizacją południowoafrykańską, kierowaną i wyposażoną w broń przez Pretorię – pomogła mu Claudia. – Jest to organizacja dążąca do obalenia rządu w suwerennym kraju i destabilizacji południa Afryki.

– Bardzo dobrze, kotku. – Skinął z uznaniem głową. – Widzę, że studiowałaś mądrość i wiedzę Organizacji Jedności Afrykańskiej i państw nie stowarzyszonych. Opanowałaś nawet ich żargon. Gdyby tylko Afryka Południowa miała połowę potencjału wojskowego i technicznego do popełnienia wszelkich zbrodni, o jakie nas się oskarża, to nie tylko byłaby najpotężniejszym państwem w Afryce, ale rządziłaby całym światem.

– Ale ze mnie głuptas, zawsze zapominam, że jesteś jednym z nich. Nawet nie ukrywasz swojego fanatyzmu. Prawda jest jednak taka, że wasz rząd i apartheid są przekleństwem i zgubą Afryki.

– Oczywiście, jesteśmy odpowiedzialni za wszystko: epidemię AIDS, głód w Etiopii, Angoli i Mozambiku, załamanie się rządów w Ugandzie i Zambii, korupcję w Nigerii i Zairze, to wszystko brudny południowoafrykański spisek. Zabiliśmy nawet Samorę Machela. Upiliśmy wódką załogę jego odrzutowca Tupolew, a dzięki naszej niesłychanie wyrafinowanej technologii zwabiliśmy ich do naszego kraju. Machel wyrznął w jedną z naszych rasistowskich gór z taką siłą, że mózg i ważniejsze organy zwyczajnie wyleciały mu z ciała, ale i tak apartheidowscy lekarze utrzymywali go dostatecznie długo przy życiu, żeby torturami wydobyć z niego wszystkie tajemnice państwowe. Tak wygląda prawda według ONZ i OJA.

– Zamknij się – rozkazał Riccardo. – Dosyć tego. Oboje się zamknijcie.

– Przepraszam. – Sean uśmiechnął się do niego. – Poniosło mnie. Chciałem tylko, żebyście wiedzieli, czego oczekiwać po przekroczeniu granicy. Możemy mieć tylko nadzieję, że nie natkniemy się na chłopaków z Frelimo czy Renamo. Nie ma pomiędzy nimi większej różnicy. Jedni i drudzy najpierw strzelają, a później zadają pytania.

Ta myśl spowodowała, że po karku przebiegły mu dreszcze i wyraźnie poprawił mu się nastrój. Znowu wyruszał na śmiertelnie niebezpieczną akcję, co niezmiernie go ekscytowało. Nawet obecność dziewczyny nie drażniła go już tak bardzo, a raczej zwiększała przyjemność z tej wyprawy. Czuł, że niechęć do niej zaczyna gwałtownie słabnąć i cieszył się, że siedzi obok niego zamiast lecieć samolotem na Alaskę. Sean prowadził w milczeniu. Jego nastrój udzielił się pozostałym uczestnikom wyprawy. Im bardziej zbliżali się do granicy, tym głębsza stawała się cisza.

W końcu obrócił głowę i spojrzał na Joba. Ten skinął w odpowiedzi głową.

– W porządku, panie i panowie – powiedział cicho Sean. – Wysiadamy! – Zatrzymał toyotę w miejscu, gdzie ścieżka przechodziła w kamienistą perć.

– Gdzie jesteśmy? – spytał Riccardo.

– Tak blisko granicy, jak tylko możemy bezpiecznie podjechać. Jakies pięć kilometrów. Dalej musimy poruszać się o własnych siłach.

Riccardo wystawił już nogę z samochodu, gdy Sean go powstrzymał.

– Poczekaj, Szefie. Stań na tej skale. Nie możemy zostawić śladów.

Jedno po drugim wysiedli z samochodu stawiając stopę dokładnie w miejscu, gdzie wcześniej postawiła ją osoba idąca z przodu. Na końcu szedł tyłem Matatu i kępką suchej trawy zacierał tropy.

Sean zabrał ze sobą kucharza, żeby odprowadził toyotę do obozu.

– Idź w pokoju, Mambo! – zawołał na pożegnanie.

– Słaba szansa. – Sean roześmiał się i pożegnał go machnięciem ręki. Zwrócił się do Joba. – Zacieramy ślady. Ruszamy!

Riccardo i Claudia nigdy jeszcze nie widzieli techniki maszerowania z jednoczesnym zacieraniem śladów, gdyż w czasie polowania zawsze poruszali się swobodnie. Cała grupa

ustawiła się w szereg, na którego czele szedł Job, a pozostali stawiali stopy dokładnie w jego ślady. Na samym końcu szedł Matatu zacierając je, układając kamyczki mchem do góry, przywracając żdzbla trawy do normalnej pozycji, zamiatając ziemię kępką trawy i usuwając zerwane z niższych gałęzi liście.

Job unikał ścieżek wydeptanych przez zwierzęta i miękkiej gleby, wybierając najtrudniejsze przejścia, a jednocześnie szybko poruszając się do przodu. Po godzinie marszu Claudia poczuła pot na plecach.

Job zaprowadził ich na szczyt niskiego wzgórza. Sean dał im znak, żeby nie wychylali się za krawędź szczytu.

Przyglądając się sprawnej pracy całego zespołu, Riccardo zauważył:

– Pumula i Dedan dobrze wiedzą, co mają robić. – Obaj mężczyźni nie czekając na rozkazy rozeszli się na boki, żeby osłaniać flanki.

– Tak. – Sean usiadł obok niego i Claudii, chowając się za niski krzak. – Obaj byli podoficerami w Skautach i robili to wielokrotnie.

– Dlaczego się zatrzymaliśmy? – spytała Claudia.

– Siedzimy na granicy – wyjaśnił Sean. – Spędzimy tu resztę dnia obserwując teren przed nami. Jak tylko wszędzie księżyc, ruszamy dalej. Na razie możecie odpocząć.

Podniósł lornetkę Zeissa i obserwował teren przed nimi. Kilka kroków dalej leżący na ziemi Job patrzył także przez lornetkę w tym samym kierunku. Od czasu do czasu zniżali przyrządy, żeby zamrużyć powiekami czy zetrzeć ze szkła jakiś pyłek. Claudia zauważyła, jak bardzo dbali o swoje podstawowe narzędzia, ale poza tym całkowicie skoncentrowali się na badaniu rozciągającego się przed nimi lasu. Kiedy za wzgórzami schował się ostatni promyk słońca, Sean wstał, schował lornetkę do kieszeni i podszedł do Claudii.

– Pora na makijaż – powiedział. Przez chwilę nie zrozumiała, o czym mówi. Kiedy poczuła tłusty krem maskujący na twarzy, instynktownie cofnęła głowę – Nie ruszaj się – rozkazał Sean. – Twoja biała skóra odbija światło jak lustro. Zresztą krem jest dobry przeciwko owadom i promieniom słonecznym.

Wymazał jej całą twarz i wierzchy dłoni.

– Wstaje księżyc. – Szybko sam się nasmarował i zakręcił tubkę. – Możemy ruszać.

Teraz Sean zmienił formację, wysyłając bokiem flankierów. Tym razem on prowadził środek grupy. Matatu jak zawsze zacierał za nimi ślady.

W pewnej chwili Sean zatrzymał się, żeby sprawdzić plecak Claudii. Luźna sprzączka przy pasku obijała się rytmicznie przy każdym jej kroku. Dźwięk był tak cichy, że Claudia nie zwróciła na niego uwagi.

– Hałasujesz jak szarża lekkiej kawalerii – szepnął jej prosto w ucho i poprawił sprzączkę.

„Arogancki drań”, pomyślała Claudia. Przez następne dwie godziny szli w milczeniu. Claudia nie dowiedziała się, w którym momencie przekroczyli granicę. Przez gałęzie

przesączało się srebrne światło księżyca. Widziała cienie drzew migające na plecach Seana.

Po pewnym czasie cisza i światło miesiąca nadały marszowi charakter czegoś nierealnego i Claudia poczuła się zahipnotyzowana tą półjawą. Stawiała kroki jak lunatyk. Kiedy Sean zatrzymał się niespodziewanie, wpadła na niego i przewróciłaby się, gdyby nie otoczył jej silnym ramieniem i nie podtrzymał.

Stali nieruchomo, nasłuchując i starając się przeniknąć ciemności, w jakich nikał las przed nimi. Po pięciu minutach Claudia poruszyła się, jakby chciała się wyswobodzić. Natychmiast uścisk Seana się wzmocnił, a ona mu się poddała. Z prawej strony dobiegł ich wydany przez Joba ptasi krzyk i Sean bezszelestnie przypadł do ziemi pociągając ją za sobą. Claudia zamarła zdając sobie sprawę, że przed nimi czai się prawdziwe niebezpieczeństwo. Ramię Seana przestało ją drażnić. Rozluźniła się i przytuliła do niego mocniej. Poczowała znaczną ulgę.

Kolejny cichy krzyk ptaka i Sean przyłożył usta do jej ucha.

– Zostań – szepnął nie poruszając wargami. Claudia poczuła się nagle bardzo samotna i bezbronna, gdy wypuścił ją z objęć i niczym duch zniknął w lesie.

Sean poruszał się mocno skulony ze strzelbą w prawym ręku, lewą zaś dotykając ziemi, żeby usunąć z niej suche gałązki i liście, które mogłyby zaszeleścić pod jego nogami. Przypadł do ziemi niecałe trzy metry od Joba i spojrzał na jego ciemną sylwetkę. Job posłał mu znak dłonią i Sean skoncentrował uwagę na swojej lewej stronie.

Przez długie minuty nic nie widział ani nie słyszał, ale ufał Murzynowi bez granic, więc czekał cierpliwie. Nagle poczuł jakiś obcy zapach i wciągnął go głęboko w płuca. Cierpliwość została wynagrodzona. Rozpoznał ostry zapach palonego tytoniu, jednej z tanich, portugalskich cygaretek. Pamiętał dobrze ten zapach z czasów wojny. Najpewniej żołnierze Frelimo nadal dostawali swoje przydziały.

Dał znak Jobowi. Zaczęli bezszelestnie pełznąć do przodu, na koniuszkach butów i palców. Po czterdziestu krokach dostrzegli żar papierosa. Po chwili palący go mężczyzna zakasłał i splunął. Sean dojrzał w ciemności jego sylwetkę pod wielkim drzewem bezpośrednio przed sobą. Człowiek siedział na ziemi oparty plecami o pień.

„Kto to może być? Ktoś miejscowy? Kłusownik? Uchodźca?” Żadna z tych możliwości nie wydawała się prawdopodobna. Mężczyzna był czujny, niemal na pewno znajdował się na straży. Sean wyczuł jakiś ruch dalej i rozpląszczył się na ziemi.

Następny mężczyzna wyszedł z lasu i podszedł do drzewa. Wartownik poderwał się z ziemi. Sean dostrzegł karabin AK-47 zawieszony na jego plecach. Mężczyźni przez chwilę rozmawiali ze sobą szeptem.

„Zmiana warty”, pomyślał Sean, gdy drugi mężczyzna oparł się o drzewo, a pierwszy zniknął w lesie.

„Tam musi znajdować się ich obóz”, zgadywał.

Zaczął czołgać się do przodu, omijając szerokim łukiem wartownika, który na pewno był

bardziej czujny niż znużony służbą poprzednik. Kiedy znalazł się w bezpiecznej odległości, podniósł się z ziemi i szybko zaczął się prześlizgiwać w stronę obozu.

Obozowisko znajdowało się w małym parowie pomiędzy dwoma wzgórzami. Nie był to prawdziwy obóz, Sean nie dostrzegł żadnych namiotów czy Szałasów. Tylko dwa małe, dogasające już ogniska.

Naliczył jedenastu ludzi leżących wokół nich, wszyscy zakryci po głowy kocami. Pięciu lub sześciu mogło pełnić wartę, ale był to nieduży oddział.

Nawet bez broni automatycznej Sean i jego ludzie mogli się rozprawić z obcymi. Wszyscy mieli pętle z cienkiego drutu przypominającego fortepianowe struny, a Matatu zawsze nosił nóż do oprawiania zwierząt, który był tak naostrzony, że ścięty do połowy pierwotnej szerokości. Nikt w obozie nawet by się nie obudził.

Sean potrząsnął z żalem głową. Miał już pewność, że ci ludzie są oddziałem Frelimo lub Renamo. Nie szukał jednak z nimi zaczepki bez względu na to, kim byli. Jeśli tylko nie będą mu przeszkadzali w polowaniu, nic do nich nie ma. Wycofał się i znalazł czekającego na niego Joba.

– Jedenastu ludzi przy ognisku – szepnął mu na ucho.

– Znalazłem jeszcze dwóch strażników – odparł Job.

– Frelimo?

– Kto to wie? – Job wzruszył ramionami. Sean dotknął jego ramienia i odeszli na bezpieczną odległość od obozu, tak że mogli mówić swobodnie.

– Job, co o tym myślisz?

– Mała grupka i niewiele znacząca. Możemy ich obejść.

– Mogą stanowić przednią straż większej grupy – zasugerował Sean.

– To nie są wyszkoleni żołnierze – Job mruknął z pogardą. – Pałają na warcie, śpią przy ognisku. To grupa turystów. – Sean uśmiechnął się na ten złośliwy epitet. Wiedział, że jeśli chodzi o determinację, to Job był z natury bardziej Anglosasem niż Afrykańczykiem. Kiedy raz coś postanowił, trudno było go odwieść od tego pomysłu.

– Chcesz iść dalej? – zapytał Sean.

– Za pięćset kawałków – szepnął Job – możesz być pewny, że chcę!

Claudia bała się. Noc afrykańska była tajemnicza, wypełniona atmosferą niepewności i grozy. Czekanie potęgowało lęk. Seana nie było już od przeszło godziny. Mimo że jej ojciec siedział tuż obok niej, czuła się samotna i bezbronna.

Nagle Sean pojawił się przed nią. Na jego widok poczuła olbrzymią ulgę. Chciała wręcz przytulić się do niego, ale natychmiast zawstydzila ją własna słabość, Sean szeptał coś na ucho jej ojcu, więc Claudia przysunęła się do nich bliżej. Jej ramię dotknęło jego nagiej ręki. Claudia pozostała w tej pozycji ogarnięta poczuciem bezpieczeństwa.

– Przed nami rozbiła się obozem mała grupka uzbrojonych ludzi – wyjaśniał Sean. – Nie więcej niż dwudziestu. Nie mamy pojęcia, kim są, ale możemy ich obejść albo zawrócić.

Decyzja należy do ciebie, Szefie.

– Chcę dostać tego słonia!

– To prawdopodobnie ostatnia szansa, żeby się wycofać – ostrzegł go Sean.

– Marnujesz tylko czas – odparł Riccardo. Claudię zatrwożyła decyzja ojca. Byłoby prawdziwą ulgą wrócić teraz do obozu. Pierwszy haust prawdziwej Afryki był niepokojący. Kiedy ruszyli w dalszą drogę i Claudia maszerowała za Seanem, zrozumiała, że pierwszy raz w życiu znalazła się z dala od zdobyczy cywilizacji: pierwszy raz nie było wokół niej policji, która mogłaby ją ochronić, ani żadnej ucieczki do prawa, sprawiedliwości czy zwykłej litości. Była tak bezbronna jak antylopa wobec leoparda w lesie, w którym roiło się od drapieżników.

Przyśpieszyła kroku zbliżając się do Seana i odkryła, że w jakiś dziwny sposób czuje się podniecona i bardziej świadoma samej siebie niż kiedykolwiek w życiu. Jeszcze nigdy nie znalazła się na samym dnie egzystencji, na poziomie przeżycia. Uczucie było nowe i zupełnie ją oszołomiło. Teraz była zadowolona, że ojciec nie zdecydował się wrócić.

Dawno temu straciła orientację w terenie, gdyż Sean wybierał zupełnie nieoczekiwane kierunki marszu. Często skręcali, wydawało się jej, że zawracają, czasami poruszali się bardzo szybko, by innym razem wlec się krok za krokiem czy stać nieruchomo w oczekiwaniu na sygnał z flanki, którego ona nawet nie dostrzegła. Zauważyła, że Sean co kilka minut spogląda na niebo, i domyśliła się, że kieruje się w ciemnościach podług gwiazd, które dla niej były jedynie chaosem jak światła obcego miasta.

Po pewnym czasie stwierdziła, że wcale nie zboczyli z drogi i że znowu poruszają się szybko w linii prostej. Najwidoczniej zostawili niebezpieczeństwo za sobą. Dziwne podniecenie wywołane zagrożeniem minęło. Poczula, jak bardzo ciężą jej nogi i bolą mięśnie pleców. Plecak zdawał się czterokrotnie zwiększyć wagę. Spojrzała na zegarek. Fosforyzujące wskazówki pokazały, że od chwili ominięcia ukrytego w lesie obozu minęło pięć godzin.

„Kiedy odpoczniemy?“, zastanawiała się, ale postawiła sobie za punkt honoru, że nie zostanie nawet o krok za Seanem. W pewnej chwili temperatura spadła tak gwałtownie, jakby ktoś otworzył drzwi lodówki i kiedy wyszli na niedużą polankę, lodowata rosa na trawie przemoczyła nogawki jej spodni. Słyszała, jak chlupocze jej w butach. Zadygotała, przejęta nieprzyjemnym zimnem.

„Kiedy się zatrzyma?“, Patrzyła na plecy Seana, nie cierpiąc go i starając się go zmusić do zatrzymania siłą woli. Jednak on szedł dalej. Claudia odniosła wrażenie, że celowo stara się ją upokorzyć i zmusić, żeby prosiła o litość.

„Ja ci pokażę“. Nie zwalniając kroku sięgnęła do tyłu i odpięła od plecaka kurtkę narciarską z gortexu. Teraz było jej naprawdę zimno, pod stopami chrzęścił szron, a stopy zupełnie zdrętwiały. Nagle zauważyła, że może wyraźnie dostrzec każdy jasny włoszek na szyi Seana.

„Świt. Już myślałam, że nigdy nie nadejdzie“. Jakby słysząc jej myśli, Sean zatrzymał się w końcu. Claudia stanęła obok niego czując, jak drży jej każdy mięsień w nogach.



– Przepraszam, Szefie – powiedział cicho Sean. – Musiałem nadać takie tempo, żebyśmy przed świtem jak najdalej odsunęli się od tej bandy. Jak się czujesz?

– Swobodnie – mruknął Riccardo, ale w szarym świetle poranka jego twarz była blada i zmęczona. Ojciec był równie wykończony jak Claudia. Miała tylko nadzieję, że nie prezentuje się tak źle jak on. Riccardo odszedł kilka kroków i sztywno usiadł na ziemi.

Sean spojrzął na Claudię. Żadne z nich nie odezwało się, ale na twarzy Seana błąkał się enigmatyczny uśmiech.

„Nie pytaj tylko, jak się czuję”, pomyślała Claudia. „Raczej wypiłabym cykutek, niż powiedziała prawdę”.

Sean lekko schylił głowę. Nie była pewna, czy to wyraz protekcjonalności czy szacunku.

– Pierwszy i trzeci dzień są najgorsze – powiedział.

– Czuję się świetnie – odparła. – Mogę iść dalej.

– Jasne. – Uśmiechnął się szeroko. – Ale lepiej zajmij się ojcem.

Sean przyniósł im kubki z herbatą. Claudia siedziała obok ojca owinięta w śpiwór. Job przygotował śniadanie na ogniu z nie dymiących gałązek, które natychmiast zagasił, gdy tylko zagotowała się woda. Herbata była mocna i słodka. Claudia była pewna, że nigdy nie piła niczego lepszego. Sean podał jej także kilka placków kukurydzianych. Postarała się nie pochłonąć ich zbyt łapczywie.

– Wyruszamy za kilka minut – ostrzegł ją, a kiedy zobaczył wyraz niedowierzania w jej oczach, wyjaśnił: – Nigdy nie śpimy przy ognisku. To może przyciągnąć niebezpiecznych typków.

Przemaszerowali jeszcze osiem kilometrów i w połowie poranka znaleźli łatwe do pilnowania i obrony wzniesienie. Sean pokazał Claudii, jak wykopać sobie dołek na biodro i użyć plecaka w miejsce poduszki. Dziewczyna natychmiast zasnęła.

Nie mogła uwierzyć, kiedy Sean obudził ją zaledwie minutę później.

– Już czwarta. – Podał jej herbatę i kilka placków. – Spałaś bite sześć godzin. Wyruszamy za pięć minut.

Pospiesznie zwinęła plecak i przyjrzała się ukradkiem swojej twarzy w małym lusterku, które potajemnie zabrała ze sobą, choć Sean wyrzucił je z plecaka.

– O Boże! – szepnęła. Krem maskujący popękał na twarzy i widać w nim było bruzdy od potu. – Wyglądam jak Al Jolson na kacu. – Uporządkowała włosy, czesząc je w węzeł i przewiązując chustką.

Maszerowali przez całą noc z krótkimi przerwami na odpoczynek co dwie godziny. Z początku Claudia czuła, jakby jej nogi były w gipsie, ale wkrótce udało się jej rozchodzić i utrzymywała narzucone przez Seana tempo, które było równie ostre jak poprzedniej nocy.

O świcie napili się herbaty. Claudia nie mogła się wprost doczekać gorącego napoju. Zawsze wolała kawę od herbaty, ale w czasie drogi marzyła jedynie o następnym kubku gorącej herbaty.

– To jedyne, co mnie trzyma na nogach – zwierzyła się ojcu.

– Mówią, że Angole podbili pół świata dzięki herbacie. – Skinął głową, gdy Sean, który do tej pory był zatopiony w rozmowie z Jobem i Matatu, podszedł do nich.

– Jesteśmy tylko kilka godzin marszu od trzcin, w których widzieliśmy Tukutele z samolotu. – Spojrzał wymownie na Claudię. – Chciałbym, żebyśmy dotarli tam przed udaniem się na spoczynek, ale może niektórzy z nas są zbyt zmęczeni... – Zawiesił głos w wymownym oskarżeniu i wyzwaniu.

– Potrzebuję się przejść po śniadaniu – odparła Claudia, ale żałowała, że jej twarz jest pokryta kremem maskującym. Nie chciała mu dawać nawet najmniejszej przewagi.

Kiedy Sean odszedł, ojciec zawirował kubkiem i wylał z niego fusy.

– Nie zakochuj się w nim, tesoro. To za trudny przypadek nawet dla ciebie.

Spojrzała na niego zaskoczona i oburzona.

– Zakochać się w nim? Chyba oszalałeś, tatusiu. Nie mogę nawet znieść jego widoku.

– Właśnie to mam na myśli – zachichotał.

Poderwała się z ziemi i zarzuciła plecak z nadmierną energią.

– Mogłabym sobie poradzić z nim i pięcioma innymi, z zamkniętymi oczyma i jedną ręką zawiązaną na plecach. Na szczęście mam trochę lepszy gust.

– Tym lepiej dla ciebie – mruknął tak cicho, że nie była pewna, co powiedział.

Niedługo po południu Matatu doprowadził ich w gąszcz papirusów, które otaczały zielone jezioro. Matatu zawiódł ich wprost do śladów stóp słonia, które były wyraźnie odcisnięte w błocie i wszyscy zebrali się przy nich.

– Spójrzcie! – powiedział Matatu. – Tu stał Tukutela, gdy usłyszał nadlatujący indeki. Tu się obrócił, żeby spojrzeć w niebo i podnieść na nas trąbę. – Matatu naśladował starego słonia, unosząc głowę pod tym samym kątem, garbiąc się i składając dłonie przy uszach. Udało mu się to tak doskonale, że przez chwilę wyglądał jak stary byk. Wszyscy się roześmieli. Claudia zapomniała o zmęczeniu i z radością klaskała w ręce.

– Co następnie zrobił słoń? – spytał Sean. Matatu obrócił się i wskazał na trop.

– Pobiegł bardzo szybko i bardzo daleko.

– No cóż – powiedział Sean. – Jesteśmy dokładnie czterdzieści osiem godzin za nim, a kiedy się obudzimy, to będzie pięćdziesiąt dwie godziny.

Matka Tukuteli była przewodniczką stada składającego się z ponad stu zwierząt. Jej ostatnia ruja wypadła w wieku pięćdziesięciu dwóch lat i w czasie kilku dni jej trwania krowa została pokryta przez sześć młodych i silnych byków ze stada.

Jak się później okazało, był to idealny sposób na poczęcie wyjątkowego zwierzęcia: stara krowa i młode byki. Mimo że nie można było stwierdzić z pewnością, który z nich był ojcem cielaka, przywódczyni stada nosiła w swoim ciele geny wielkich słoni, o silnych cielskach i olbrzymich kłach, o naturalnej inteligencji i zdolności do panowania nad stadem. Właśnie te

geny uczyniły ją przewodniczką dużego stada i teraz przekazała je noszonemu w brzuchu zarodkowi.

Słonica nosiła ciężę przez dwadzieścia dwa miesiące i w roku 1915, kiedy niemiecki generał von Lettow-Yorbeck niszczył wschodnią Afrykę, krowa opuściła stado. Wraz ze starą i bezpłodną już towarzyszką udały się na olbrzymie mokradła rozciągające się na południe od rzeki Zambezi. Na wysepce porośniętej palmami kokosowymi, nad którą wesoło pokrzykiwały białogłowe rybołowy, otoczonej ciągnącymi się na kilometry papirusami, stara krowa oczyściła na poród spory kawałek piaszczystej ziemi. Kiedy nadszedł jej czas, rozstawiła tylne nogi i przykucnęła nad czystym piaskiem, porykując z bólu i zwijając trąbę na piersi.

Oczy słonia nie mają kanalików do odprowadzania łez, więc przy każdym skurczu wstrząsającym jej olbrzymią posturą łzy ciekły po policzkach, jakby krowa płakała.

Jej stara towarzyszka stała obok niej niczym położna, głaszcząc ją trąbą po grzbiecie i pomrukując ze współczuciem. Przewodniczka stada urodziła głowę słoniątka i odpoczywała przez pełną minutę, zanim ostatnim wysiłkiem wyrzuciła z siebie noworodka, który spadł na ziemię przerywając pępowinę, oraz czerwone łożysko. Tukutela natychmiast zaczął się szamotać usiłując wyswobodzić się z krępującej go błony. Stara krowa towarzyszka podeszła do niego i koniuszkiem trąby uwolniła go z więzów.

Następnie matka postawiła go delikatnie na nogi i podprowadziła pod swój brzuch wydając przy tym głębokie pomruki świadczące o zadowoleniu. Wilgotny, lśniący i jeszcze różowy, pokryty delikatnymi włoskami i niemal ślepy Tukutela podniósł małą trąbę nad głowę, gdzie instynktownie natrafił na piersi matki.

Podczas gdy malec po raz pierwszy w życiu próbował smaku gęstego mleka, matka wsadziła sobie do pyska łożysko i pożerając je, za pomocą trąby zasypała piaskiem krwawe ślady na ziemi.

Trójka zwierząt pozostała na wysepce przez następne dwa tygodnie. Malec uczył się chodzić i posługiwać trąbą. W tym czasie skóra słoniątka pociemniała, a jego oczy przyzwyczyły się do upalnego afrykańskiego słońca. Kiedy matka uznała, że jest już dostatecznie silny, ruszyli na poszukiwanie stada. Tukutela szedł na czele popychany przez matkę, która nadal musiała go przenosić przez trudniejsze miejsca.

Hałas, jaki robiła setka żerujących słoni, odgłosy łamanych gałęzi i porykiwania bawiących się słoniątek dały się słyszeć z dużej odległości. Matka Tukuteli ogłosiła trąbieniem swój powrót i jej pobratymcy przybiegli ją przywitać. Kiedy odkryli nowego członka stada, otoczyli go ściśle dotykając malca trąbami i wciągając głęboko jego zapach, żeby zawsze móc go rozpoznać.

Przerażony potężnymi cielskimi słoni Tukutela schował się pomiędzy tylnymi nogami matki i wydawał cienie piski, ale matka otoczyła go trąbą poklepując dla dodania odwagi. Już po kilku godzinach słoniątko uciekło od jej opiekuńczych gestów do innych malców

i zaczęło sobie zdobywać własne miejsce w grupie.

Stado było ze sobą ściśle spowinowacone więzami krwi i z powodu wzajemnej zależności jego członków opieka nad słońkami i ich wychowanie były sprawą każdego słonia.

Młode zawsze pozostawały w centrum stada, a ich zabawy nadzorowały stare, bezpłodne krowy, które pełniły rolę opiekunek. Opieka była bardzo czuła i delikatna, ale każde naruszenie niepisanych praw było natychmiast karane: bity grubą witką, jakiegoś małego dostawał przez plecy, wywoływały przerażone piski, ale szybko przywodziły go do posłuszeństwa.

Tukutela w krótkim czasie nauczył się, gdzie jest jego miejsce w każdej sytuacji: w centrum stada, gdy zwierzęta posilały się lub odpoczywały, pomiędzy nogami matki, kiedy maszerował lub stado znajdowało się w niebezpieczeństwie. Nauczył się też, jak rozpoznawać różnego rodzaju znaki, nawet jeśli dawał je stojący na skraju stada słoń, i jak na nie reagować.

Na sygnał w stadzie zapadała natychmiastowa cisza, szczególnie kontrastująca z normalnym hałaśliwym zachowaniem się słoni.

Rozwój Tukuteli w dużej mierze odpowiadał rozwojowi człowieka: okres niemowlęstwa trwał dwa lata, w czasie których słońka pozbyło się miniatury mlecznych kłów. Po nim nastąpił okres dzieciństwa, kiedy spod warg wyłoniły mu się zaczątki prawdziwego oręza. Z początku były całe białe, ale kiedy wreszcie matka odstawiła go od piersi i Tukutela musiał używać kłów do zdobywania pożywienia i żartobliwych walk ze starszymi słońkami, spod szklawa wyłoniła się prawdziwa kość słoniowa.

Kły miały rosnąć przez całe życie słonia, a dzięki genom matki osiągnęły tak niespotykane rozmiary. Także po niej Tukutela odziedziczył wzrost, siłę i inteligencję.

W wieku trzech lat opanował podstawowe formy okazywania pokory i grożenia innym słoniom. Żartobliwe techniki walki z pozorowanymi atakami, ryczeniem i falowaniem uszami jeszcze bardziej rozwinęły jego i tak olbrzymią sylwetkę.

Kiedy matka odstawiła go od piersi, przestała się o niego tak bardzo troszczyć. Tukutela miał więcej swobody, żeby poznać terytorium, na którym przebywało stado. Nadal jednak przybiegał pod osłonę matczynych kłów na pierwszy sygnał zwiastujący niebezpieczeństwo, a w czasie marszu kroczył tuż za nią.

Terytorium stada obejmowało olbrzymi obszar od wybrzeży jeziora Nyasa na północy aż po tropikalne lasy gór Chimanimani na północy, od głębokiego wąwozu na zachodzie, gdzie rzeka Zambezi przeciska się przez wysokie skały, aż po tereny rozlewiskowe wielkiej rzeki na wschodzie. Tam Zambezi rozpościera się na równinach tworząc nadmorskie mokradła, zanim wpadnie wieloma kanałami do Oceanu Indyjskiego.

Tukutela poznał górskie przełęcze i stare drogi wydeptane przez stado słoni, nauczył się wyszukiwać lasy porośnięte roślinami o soczystych owocach i przychodzić do nich w sezonie, kiedy dojrzewały. Matka zaprowadziła go na spalone słońcem sawanny, kiedy spod spalonej na popiół ziemi wyrastały pierwsze zielone pędy, i do solnych lizawek, do których słonie

przychodziły od tysięcy lat, żeby wydobywać kłami bogatą w minerały ziemię i zjadać ją z łakomstwem małych chłopców rozkoszujących się cukierkami.

Stado docierało do gór Mavuradonha na południu, kiedy drzewa msasa wypuszczały młode listki pełne soków; przebywało w lasach tropikalnych na górze Mlanje, kiedy afrykańskie równiny prażyły się w słońcu w czasie długotrwałej suszy. Przewodniczka zawsze potrafiła znaleźć dla stada wodę, od której zwierzęta były całkowicie uzależnione. Słonie muszą codziennie wypić dużą porcję, bo inaczej cierpią z pragnienia, potrzebują też olbrzymich ilości wody do pielęgnacji ciał, do oczyszczenia grzbietów, a także dla samej przyjemności płynącej z kąpieli. Wodopój jest miejscem, gdzie zbiera się stado, gdzie ustalane są związki pomiędzy zwierzętami i gdzie rozgrywa się wiele rytuałów stadnego zachowania. Nawet akt prokreacji najczęściej odbywa się w wodzie, a cielne krowy wybierają na poród miejsca blisko zbiorników wody.

Czasami stado miało jej pod dostatkiem, przebywając nad wielkimi, zielonymi rzekami, w górach, na które spadały obfite tropikalne deszcze, i wśród mokradeł, gdzie zanurzone po pas zwierzęta przedzierały się przez papirusy na wyspy. Kiedy indziej zwierzęta musiały wyszukiwać wodę w korytach wyschniętych rzek, czy czekać cierpliwie na swoją kolejkę przy podziemnych przeciekach, żeby wsadzić trąbę głęboko do ukrytej studni i pić łyk po łyku gorzką, zamuloną breję.

Mimo olbrzymiego terytorium, na jakim żyło stado, jego kontakt z człowiekiem był sporadyczny. W Afryce toczyła się wielka wojna, która przyciągnęła do siebie większość białych mieszkańców kontynentu. Ludzie, jakich napotykało stado, byli na wpół nadzy i prymitywni i uciekali na widok zwierząt. Tukatela bardzo wcześnie nauczył się, że z tymi bezwłosymi zwierzętami przypominającymi szympansy kojarzy się atmosfera szczególnego strachu. W wieku lat pięciu potrafił rozpoznać ich szczególny, kwaśny zapach z odległości wielu kilometrów. Nawet najmniejszy ślad obecności człowieka powodował, że stado zachowywało szczególną ostrożność.

Tukatela miał już jedenaście lat, gdy zdarzyło się pierwsze znaczące spotkanie z człowiekiem. Pewnej nocy zwierzęta podążały starym szlakiem wzdłuż południowego brzegu Zambezi, kiedy przywódczyni stada zatrzymała się nagle i podniosła trąbę do góry, żeby powąchać powietrze. Tukatela poszedł za przykładem matki i szybko wyczuł pociągający zapach. Napęłnił nim sobie pysk, aż po wargach ściekła mu obfita ślina. Pozostała część stada zbiła się w gromadę za nimi, oddając się przyjemności smakowania niesionej wiatrem słodkiej woni. Żadne ze zwierząt nie próbowało jeszcze nigdy trzciny cukrowej.

Stara krowa poprowadziła stado w kierunku, skąd wiał wiatr. Po kilku kilometrach natrafili na teren nad rzeką świeżo oczyszczony, nawodniony i obsadzony trzcina cukrową. W blasku księżyca lśniły długie, wąskie liście, a wokoło roznosił się słodki, silny i zupełnie obezwładniający zapach. Stado rzuciło się na plantację, wrywając całe rośliny i łapczywie

napychając sobie nimi pyski.

Zniszczenia były kolosalne. Zupełnie nieoczekiwanie zwierzęta otoczyły światła i ludzkie krzyki, bicie bębnow i blaszanych kotłów. Słonie ogarnęła panika. Kiedy stado rzuciło się na oślep do ucieczki, ogłuszyły je przeraźliwe huki, którym towarzyszyły jasne rozbłyski. Tukatela po raz pierwszy miał okazję powąchać prochu i zapamiętał ten zapach do końca życia, kojarząc go z rykiem śmiertelnie ranionych słońi.

Stado pędziło przed siebie co sił w nogach, by wkrótce przejść do równomiernego biegu, który nie ustępował szybkością galopującemu koniowi. Rankiem jedna z młodszych krów, która biegła ze swoim pierwotnym słońiątkiem, nie wytrzymała tempa i przewróciła się na kolana, a z rany w boku trysnęła ciemna krew.

Przewodniczka zawróciła, żeby pomóc rannej krowie, nawołując ją i zachęcając do dalszego wysiłku. Młoda matka nie miała jednak siły podnieść się z ziemi. Przewodniczka stanęła za nią, by posługując się trąbą oraz kłami podnieść słońicę i popchnąć ją do przodu. Nie zdało się to na nic, gdyż ranne zwierzę znowu zważyło się na ziemię, a ostry zapach tryskającej z rany krwi zwabił zaniepokojone stado, które otoczyło leżącą na ziemi towarzyszkę wymachując trąbami i porykując.

Jeden ze starszych byków pochylił się nad krową, jakby chciał ją pokryć i tym samym dodać jej sił, ale w tej samej chwili z rany trysnęła jasna tętnicza krew i zwierzę z jękiem przewróciło się na bok.

W przeciwieństwie do większości zwierząt, słonie rozpoznają śmierć, zwłaszcza we własnym stadzie. Nawet mały Tukatela wyczuł przygnębiającą melancholię, jaka ogarnęła stado po śmierci młodej krowy. Niektóre słonie zbliżyły się do niej, by po raz ostatni dotknąć jej trąbą i się z nią pożegnać, zanim ruszyły dalej przez cierniste krzaki.

Kiedy stado oddaliło się, przewodniczka została z martwą krową, a Tukatela nie śmiał odejść od matki. Przyglądał się, jak obdziera rosnące w pobliżu drzewa z gałęzi i przykrywa nimi zwłoki. Dopiero kiedy całe ciało zniknęło pod stertą zielonych gałęzi, matka zdawała się być usatysfakcjonowana.

Słońiątko, które nie zostało jeszcze odstawione od piersi, nie chciało opuścić pochowanej pod liśćmi matki i stara przewodniczka musiała popychać je przed sobą, kiedy ruszyli w końcu za stadem. Dwukrotnie malec usiłował zbiec do ciała matki i dwukrotnie stara słońica zastępowała mu drogę, zawracając go trąbą i popychając przed siebie.

Dwa kilometry dalej stado czekało w zagajniku złożonym z drzew o żółtawych pniach. Młode słonie posilały się spokojnie ssąc matki. Przewodniczka popchnęła przyprowadzone maleństwo w stronę krowy, której dziecko było już na tyle duże, że nie wykazywało większego zainteresowania pokarmem matki. Wprowadziła słońiątko pomiędzy tylne nogi krowy, a malec instynktownie sięgnął trąbą do piersi. Słońica nie wyraziła sprzeciwu, przyjmując ze spokojem rolę macochy. Przewodniczka stała obok pary pomrukując do nich zachęcająco, a kiedy stanęła na czele stada gotowa do dalszej drogi, niemowlak zastąpił

starsze słońiętko pomiędzy nogami nowej matki.

Od tej nocy, każdego sezonu kontakt z człowiekiem stawał się coraz częstszy. Stado najczęściej natykało się na ludzi, kiedy do samic dołączały samce.

Dojrzałe byki utrzymywały luźne związki ze stadem, denerwowane hałaśliwym zachowaniem młodszych byków i współzawodnictwem w zdobywaniu pokarmu. Gdy tylko starszy słoń strząsnął deszcz strąków z wysokiego drzewa, od razu kilkanaście młodych słońi rzucało się, żeby je pożreć. Dorosły samiec dzięki swojej sile mógł nagiąć czołem drzewo msasa łamiąc pień metrowej średnicy, żeby dostać się do soczystych różowych listków, co rzadko zdążył zrobić, gdyż zaraz kilka młodych samic otaczało szczelnie koronę drzewa.

Tak więc byki opuszczały stado pojedynczo lub w grupach liczących po trzy, cztery sztuki. Może także wyczuwały, że większa grupa łatwiej będzie przyciągała myśliwych i że lepiej jest zachować bezpieczną odległość. Czasami trzymały się całkiem blisko, czasami było to czterdzieści, pięćdziesiąt kilometrów, ale zawsze samce zdawały się wiedzieć, gdzie jest reszta stada i wracały do niego w czasie rui.

Nieoczekiwane strzały, ryki ranionych zwierząt i szaleńczy pęd przez zarośla zdarzały się najczęściej, gdy dorosłe byki były z samicami.

Kiedy Tukutela osiągnął dziesięć lat, ze stadem było związanych sześć wielkich byków o potężnych kłach, ale z upływem czasu wszystkie wyginęły. Każdego roku jeden czy dwa padały od kul, aż w końcu do samic przychodziły jedynie pozostałe słońie o zniszczonych lub startych kłach.

Z biegiem lat Tukutela wyrósł na wyjątkowo dużego młodego byka. Jego białe, czyste i ostre siekacze zaczęły się rozwijać w potężne kły, które pewnego dnia miały osiągnąć tak zdumiewające rozmiary. Wraz z jego wzrostem starzała się przewodniczka stada. Pod szarą pomarszczoną skórą zaczął pojawiać się zarys kości. Stara samica stawała się coraz bardziej chuda. Jej szóste i ostatnie zęby trzonowe były na wpół starte, więc miała coraz większe kłopoty z przeżuwaniem, aż w końcu starość przyniosła jej głód. Ustąpiła ze swojego miejsca na czele stada na rzecz młodszej, silniejszej samicy i z trudem dotrzymywała kroku pozostałym słońiom. Często zdarzało się, że Tukutela musiał czekać na matkę na bardziej stromych podejściach, zachęcając ją do wysiłku współczującym pomrukiem. W nocy znowu stał obok niej jak za czasów, kiedy był jeszcze cielakiem.

Pewnego razu przyszedł okres wyjątkowej suszy i odwiedzane przez stado studnie były tylko do połowy wypełnione wodą. Stada słońi, nosorożców i bawołów roztapiały błoto przy dojeździe do wodopoju i w jednym z takich miejsc stara krowa ugrzęzła po pas w mule.

Rzucając się w próbach wyrwania z błota, samica przewróciła się na bok, a muł wciągnął ją tak głęboko, że na powierzchnię wystawała jedynie jej głowa.

Stara krowa walczyła przez dwa dni. Tukutela starał się jej pomóc, ale nawet jego olbrzymia siła na nic się nie zdała. Muł trzymał mocno słońicę i nie dawał Tukuteli żadnego oparcia dla nóg. W końcu wysiłki krowy ustały, dzikie ryki straciły na sile i słońica zastygła

nieruchomo w milczeniu, ciężko dysząc ze zmęczenia.

Tukutela stał przy niej przez następne dwa dni. Stado dawno już się oddaliło, ale on został. Słonica nie dawała żadnych znaków życia poza oddychaniem. Kiedy w końcu i ono ustało, Tukutela natychmiast się zorientował, dając wyraz żalowi przenikliwym rykiem, który wypłoszył z wodopoju stado dzikich kaczek.

Potem udał się na brzeg lasu, by zerwać liściaste gałęzie, którymi zaczął przykrywać ubłocone cielsko matki. Gdy znikło pod zielonym kobiercem, Tukutela zostawił ją i poszedł przed siebie przez równinę.

Do stada zbliżył się dopiero po dwóch latach. Był już seksualnie dojrzały i nie mógł się oprzeć zapachowi rui, który wiatr przynosił od strony stada.

Kiedy odnalazł stado, znajdowało się na brzegu rzeki Kafue, piętnaście kilometrów od miejsca, gdzie rzeka wpada do Zambezi. Kilku członków stada wyszło mu na spotkanie witając go uściskami trąb i dotykiem głów, zanim pozwoliło mu dołączyć do pozostałych zwierząt.

W stadzie znajdowały się dwie samice, które miały ruję. Jedną z nich była krowa w wieku Tukuteli. Była to dojrzała samica o obfitych kształtach, które zawdzięczała bogatemu pożywieniu pory deszczowej. Jej kły były cienkie, białe i proste niczym dwa szydełka, a jej uszy nie zostały jeszcze postrzępione przez cierniste krzaki i ostre gałęzie. Słonica rozpostarła szeroko uszy na widok Tukuteli i podeszła wymienić uścisk trąby.

Stali złączeni głowami, wydając głębokie gardłowe pomruki zadowolenia. Kiedy rozłączyli się, ich trąby zaczęły pieścić się nawzajem wzdłuż całej długości ciała. Wreszcie Tukutela stanął za samicą.

Koniuszek trąby słonia jest równie czuły i zwinny jak palce u ręki człowieka. Teraz Tukutela wsunął go pomiędzy jej nogi szukając pochwy. Samica zaczęła kołysać się na boki wyrażając, jak bardzo jest zadowolona. W miarę jak jej podniecenie pod wpływem zabiegów Tukuteli rosło, z pochwy zaczęły wypływać naturalne soki, które zwilżyły mu koniuszek trąby wypełniając nozdrza oszałamiającym zapachem. Z cielistego worka wysunął się penis prawie tak długi jak cały człowiek i gruby niczym ludzkie udo, w stanie pobudzenia jego koniec dotykał ziemi. Członek był upstrzony różowymi i czarnymi plamami, a jego skóra była gładka i błyszcząca. Słonie należą do grupy Testiconda, ich jądra są schowane głęboko w ciele.

Kiedy oba zwierzęta były dostatecznie podniecone, Tukutela delikatnie pchnął samicę w stronę rzeki. Zeszły z brzegu i zielona woda zamknęła się nad nimi, zwiększając przyjemność płynącą z kontaktu dwojga ciał, które teraz były lżejsze i bardziej zwinne.

Słonie zanurzyły się tak głęboko, że tylko ich trąby wystawały na powierzchnię. Tuliły się do siebie i oddalały, a woda spływała po ich szarych, zakurzonych grzbietach zmieniając ich kolor na głęboko czarny, niczym węgiel.

Tukutela wspiął się na samicę, umieszczając przednie nogi na jej grzbiecie. W wodzie



słonica mogła z łatwością utrzymać jego olbrzymi ciężar. Jej pochwa była umieszczona daleko pomiędzy tylnymi nogami i Tukutela musiał wyteńczyć się, żeby jej dosięgnąć. Jego penis zdawał się ożyć, pchając, prostując się i nakierowując na jej pochwę. Jedyne jedna trzecia jego długości zdołała spenetrować ciało słonicy i olbrzymia postura Tukuteli zadrżała i zatrzęsała się. Oba zwierzęta zatrąbiły równocześnie ubijając wodę na białą pianę.

Tukutela został ze stadem przez trzy dni, a kiedy ruja samicy się skończyła, zaczął się robić niespokojny. Tukutela przejął po matce instynkt ostrzegawczy i wyczuwał niebezpieczeństwo grożące stadu. Trzeciego dnia zniknął w gąszczu ciernistych krzaków. Odszedł sam, unikając towarzystwa innych byków.

Każdego sezonu wracał do stada silniejszy, a jego kły stawały się coraz dłuższe i grubsze, ciemniejąc na kolor alabastru od soku owoców i żywicy drzew. Czasami do gromady przyłączały się inne byki, wtedy Tukutela musiał z nimi walczyć o samice.

Z początku Tukutela przegrywał walki ze starszymi, bardziej doświadczonymi samcami, ale w miarę jak rosły jego kły i przebiegłość, żaden z nich nie potrafił mu sprostać, więc zawsze zdobywał upragnione samice. Nigdy jednak nie zostawał ze stadem dłużej niż kilka dni.

Potem zawsze oddalał się szukając samotnie swobody, której umiłowanie przejął po matce. Znajdował ją w niedostępnych dla człowieka mokradłach, gąszczu ciernistych zarośli i wśród wysokiej trawy. Wydawało się, że słoń czuł grożące mu niebezpieczeństwo, jakie niosły za sobą jego wyjątkowe kły.

W wieku trzydziestu pięciu lat był już olbrzymim zwierzęciem ważącym siedem ton i mierzącym cztery metry wysokości. Jego kły, mimo że nie osiągnęły jeszcze maksymalnych rozmiarów, były doskonale symetryczne i bardzo ostre.

Tego roku przez kilka dni po opuszczeniu stada Tukutela był wyjątkowo niespokojny. Szedł przed siebie nigdzie się nie zatrzymując i cały czas wachając powietrze wzniesioną trąbą szukał zapachu, który mógł być przyczyną jego nerwowej reakcji. Raz czy dwa natrafił na kwaśną woń, ale był to słaby ślad przyniesiony przez wiatr z daleka i niczym cień przemknął przez jego świadomość.

Nie mógł jednak poruszać się bez przerwy. Jego olbrzymie ciało wymagało codziennie tony trawy, liści, owoców i kory, żeby zachować siły. Tukutela musiał się zatrzymywać na popas. Wczesnym rankiem przystanął w gęstym zagajniku, żeby zedrzeć z drzew kory. Ostрым końcem kła nacinał ją na drzewie, następnie chwycił koniec trąbą i potężnym szarpnięciem zrywał pas długości pięciu metrów z całego pnia. Zwijał całą porcję w kłębek i wpychał ją sobie do pyska.

Zajęty żerowaniem Tukutela nie był tak czujny jak normalnie. Słoń ma niezwykle słaby wzrok i kłopoty z rozpoznaniem przedmiotów oddalonych zaledwie o kilka metrów, choć z łatwością dostrzega ruch ze znacznie większej odległości. Co więcej, jego oczy są umieszczone głęboko w czaszce, ograniczając w ten sposób pole widzenia na wprost,

a szerokie uszy uniemożliwiają zobaczenie czegokolwiek z boku.

Wykorzystując sprzyjający słaby, poranny wiatr, poruszając się z niezmierną ostrożnością, myśliwi w absolutnej ciszy zbliżyli się do słonia od tyłu. Dwóch z nich podążało za Tukutela od chwili, kiedy opuścił stado. Wreszcie udało im się go podejść na odległość strzału.

Słoń, który właśnie miał się przenieść do następnego drzewa, obrócił się bokiem do myśliwych wystawiając na pokaz długie zakrzywione kły.

– Weź go! – szepnął jeden z mężczyzn do drugiego. Hiszpański producent sherry podniósł strzelbę o kolbie wykładanej złotem i wymierzył w mózg zwierzęcia.

W celowniku wyszukał ciemną, pionową szczelinę w uchu i naprowadził strzelbę na jej koniec tam, gdzie otwierało się wejście do czaszki. Następnie przesunął celownik o dziesięć centymetrów do przodu, wzdłuż wyimaginowanej linii łączącej ucho z okiem.

Hiszpański producent sherry był pierwszy raz w Afryce na safari. Polował wcześniej na gienzy, muflony i jelenie w Pirenejach, ale afrykański słoń nie jest tak potulnym zwierzęciem, więc serce waliło z całych sił w piersiach Hiszpana, okulary zaszyły mu parą, a ręce silnie drżały. Towarzyszący mu zawodowy myśliwy poinformował go, gdzie i jak ma mierzyć, ale on nie mógł utrzymać celu. Z każdą sekundą jego oddech stawał się coraz cięższy, a ręce drżały coraz silniej. W rozpaczy pociągnął za spust niemal na oślep.

Kula trafiła Tukutela trzydzieści centymetrów nad lewym okiem i czterdzieści od przedniego płata mózgu. Porowata, przypominająca plaster miodu, kość czaszki zamortyzowała uderzenie. Słoń przysiadł na zadzie, wyciągnął trąbę nad głowę i wydał z gardła potężny ryk.

Hiszpański myśliwy odwrócił się i rzucił do ucieczki. Tukutela obrócił głowę zwabiony ruchem, podrywając się jednocześnie na nogi. Zawodowy myśliwy, który znajdował się niemal pod wyciągniętą trąbą, podniósł strzelbę do góry mierząc w głowę słonia, pomiędzy kły wystające z otwartego pyska.

Iglica spadła na zepsutą spłonkę z głuchym traskiem. W chwilę później słoń spuścił trąbę niczym kat zamachujący się mieczem i przygniótł myśliwego do ziemi.

Zaraz potem Tukutela rzucił się za umykającym Hiszpanem, dościgając go bez kłopotu. Wyciągnął trąbę i owinał ją wokół pasa człowieka. Mężczyzna wrzasnął panicznie, gdy został podrzuty na dziesięć metrów do góry. Krzyczał cały czas spadając na ziemię, aż siła uderzenia pozbawiła go oddechu. Wówczas Tukutela schwycił go trąbą za kostkę i trzasnął ciałem o najbliższe drzewo z siłą, która porozrywała wszystkie organy w ciele człowieka.

Słoń szalał po lesie z ciałem Hiszpana w trąbie, waląc nim o pnie, podnosząc trupa do góry i uderzając o ziemię, aż w końcu ciało rozpadło się na części i w trąbie pozostała mu tylko noga. Odrzucił ją daleko od siebie i wrócił do zawodowego myśliwego.

Cios trąby strzaskał mężczyźnie obojczyk, połamał obie ręce i żebra, ale myśliwy żył

jeszcze i był przytomny. Zobaczył Tukutelę wracającego z wyciągniętą trąbą, rozstawionymi uszami i krwią z rany ściekającą po pysku i mieszającą się z krwią rozdartego na strzepy Hiszpana, która pochlapała słoniowi pierś i nogi.

Myśliwy próbował usunąć swoje połamane ciało na bok. Tukutela położył ostrożnie przednią nogę na plecach ofiary, przyciskając człowieka do ziemi i wyrwał mu za pomocą trąby wszystkie członki. Porozrywał nogi i ramiona w stawach i odrzucił na bok. W końcu owinał trąbę wokół szyi nieszczęśnika i wyszarpnął głowę z ramion. Głowa potoczyła się po trawie pod jego nogi, wówczas schwycił ją trąbą i cisnął daleko od siebie. Wściekłość zaczynała mu mijać w miarę, jak coraz silniej odzywał się ból w głowie. Stał nad zmasakrowanymi ciałami, przestępując z nogi na nogę, wydając głębokie pomruki cierpienia i melancholii, jaką sprowadzała na niego śmierć.

Mimo bólu przenikającego całe ciało i krwi ściekającej mu do oka z rany w czole Tukutela rozpoczął rytuał pogrzebu, którego wiele lat temu nauczyła go matka. Zebrał wszystkie porozrywane i pokrwawione członki swoich ofiar i ułożył je na jeden stos. Pozbierał także z trawy ich sprzęty: karabiny, kapelusze i manierki, i umieścił je na ciałach. Potem odarł pobliskie drzewo z gałęzi, kryjąc szczątki ludzi pod zieloną mogiłą.

Rana po kuli szybko się wygoiła, ale wkrótce do białej gwiazdy nad okiem dołączyły się inne blizny. Obciążona włócznia zawieszona w pułapce na słonie rozorała mu bok od barku do kolana i Tukutela o mały włos nie umarł od zakażenia. Jego olbrzymie uszy coraz częściej zaczepiały o ciernie i gałęzie, dziurawiąc się i strzępiąc na brzegach. Musiał walczyć każdego roku o dostęp do samicy i chociaż żaden z konkurentów nie mógł dać mu rady, ich kły zostawiały wyraźne ślady na jego skórze. Miał także inne spotkania z człowiekiem.

Mimo olbrzymiego niebezpieczeństwa nie zmniejszyło się jego zamiłowanie do słodkiego smaku trzciny cukrowej, z którą zapoznała go matka wiele lat temu. Tukutela stał się grabieżcą plantacji. Czasami przez kilka dni kręcił się w pobliżu uprawy zbierając się na odwagę. Kiedy nastawała bezksiężycowa noc, wdzierał się na plantację stąpając na swoich wielkich nogach po cichu jak kot. Uwielbiał proso, kukurydzę, papaje i ignamy, ale trzcinie cukrowej nie potrafił się oprzeć.

Z początku uciekał w popłochu na widok płonących pochodni, krzyków i bicia w bębny, ale z czasem nauczył się odpowiadać na wrzaski dzikim rykiem i szarżować na obrońców pól.

W ciągu dziesięciu lat zabił ośmiu ludzi w czasie napadów na plantacje, rozrywając ciała ofiar na strzepy niczym rosomak mordujący kurczaki. Stał się tak namiętym amatorem trzciny cukrowej, że ważył się wracać na tę samą działkę kolejnej nocy, mimo że wcześniej zawsze uciekał ponad sto kilometrów, by uniknąć zemsty rozsierdzonych właścicieli poletek.

Mieszkańcy wioski wysłali petycję do borny, kolonialnego rządowego pełnomocnika okręgu, prosząc o pomoc. Komisarz posłał im askarięgo uzbrojonego w karabin kalibru 404. Askari, który był policjantem, a nie wybitnym myśliwym ani nawet dobrym strzelcem, ukrył się w jamie na środku pola przekonany, że słoń nie wróci tej nocy na plantację. Na swoim

terytorium Tukutela dał się ludziom dobrze we znaki, znali jego nawyki: uważano, że dla zdobycia trzciny cukrowej poważy się nawet na atak na uzbrojonego człowieka, ale nigdy nie wraca drugi raz na miejsce zbrodni.

Askari obudzony w nocy na środku pola, zobaczył, że Tukutela stoi nad jego jamą i zajada trzcinę cukrową. Schwycił strzelbę i posłał kulę prosto w brzuch słonia. Rana nie była śmiertelna. Rozgniewany Tukutela zaczął szukać śladu człowieka. Szybko znalazł jego zapach na wietrze i podążył za nim do jamy w ziemi. Wcisnął trąbę do jamy i wyciągnął nieszczęsnego strzelca.

Rana wymagała sporo czasu, żeby się zagoić. Pałący wnętrzości ból spowodował, że słoń jeszcze bardziej znenawidził człowieka.

Mimo że zwierzę nie rozumiało przyczyn tych zmian, z biegiem lat kontakt Tukuteli z ludźmi stawał się coraz częstszy. Jego stare terytorium kurczyło się z każdym rokiem: przybywało ścieżek i dróg przecinających tajemne kryjówki słonia. Samochody i motory zakłócały ciszę równin, zostawiając w powietrzu ohydny zapach spalin. Wiekowe lasy padały pod ostrzem siekiery, a ziemia ulegała pługom. W nocy coraz częściej Tukutelę otaczały światła i odgłos ludzkich głosów. Świat słonia stawał się nieodwracalnie coraz mniejszy.

Jednocześnie rosły jego kły, wydłużając się i zwiększając ciężar. W wieku sześćdziesięciu lat Tukutela nosił dwie ciemne, symetryczne kolumny kości słoniowej.

W 1976 roku zabił kolejnego człowieka, Murzyna, który starał się bronić włócznią swoich kilku akrów prosa. Ułamane ostrze włóczni utkwiło w szyi słonia, tworząc jęczącą się ranę, z której cały czas wyciekała ropa.

Dawno temu przestał już szukać towarzystwa stada. Zapach rui przynoszony przez wiatr rozbudzał w nim nostalgiczny nastrój, ale popęd ku prokreacji ucichł w nim z wiekiem i słoń nie przerywał swoich samotnych wędrówek starymi szlakami.

Kilka rejonów, na jego terytorium pozostało nie zmienionych przez lata. Nauczył się rozpoznawać te miejsca, w których nic mu nie groziło ze strony człowieka. Nie zdawał sobie sprawy, że są to parki narodowe, gdzie jego życia strzegło prawo, ale spędzał na tych terenach coraz więcej czasu i przez lata poznał dokładnie granice chronionych obszarów. Coraz niechętniej je opuszczał dla niebezpiecznego świata na zewnątrz.

Nawet na terytorium tych sanktuariów nie czuł się w pełni bezpiecznie. Pchany nienawiścią i strachem zawsze był gotów do ataku na każdego natręta lub do ucieczki, gdy tylko wiatr przyniósł ze sobą nienawistny zapach człowieka. Jego wiara w bezpieczeństwo parków została wystawiona na próbę, kiedy i tutaj dopadli go myśliwi. Usłyszał odgłos strzału i poczuł ból w boku, nie potrafiąc odróżnić odgłosu strzelby od huku wiatrówki. Kiedy próbował odszukać i zniszczyć wroga, obezwładniła go nagła senność i dziwna słabość, która podcięła mu nogi. Tukutela zwałił się nieprzytomny na ziemię. Obudził się czując w powietrzu wokół siebie i na własnym ciele nienawistny smród człowieka, który go dotykał. Gdy podniósł się ciężko na nogi, znalazł zawieszoną na szyi dziwną obrożę, a stara rana po

włóczy piekła teraz ogniem środków antyseptycznych. Od początku starał się zerwać gruby kołnierz, na którym zawieszono nadajnik radiowy, ale obroza oparła się jego wysiłkom, więc rozdrażniony zaczął dewastować las, łamiąc wysokie drzewa i gałęzie.

Ludzie, którzy przyglądali mu się z bezpiecznej odległości, śmiali się do siebie mówiąc porozumiewawczo:

– Tukutela, Rozzłoszczony Słoń.

Tukutela potrzebował wielu lat, żeby pozbyć się znieawidzonej obrozy. Zarzucił ją wreszcie na szczyt najwyższego drzewa.

Mimo że doceniał bezpieczeństwo, jakie stwarzały mu parki narodowe, w których spędzał większą część roku, nie mógł oprzeć się swoim najgłębszym instynktom i wreszcie nadchodziła pora, kiedy stawał się niespokojny. Ulegał wtedy pokusie wędrowania, potrzebie przemierzenia jeszcze raz starego szlaku, którego nauczyła go matka, gdy był jeszcze malcem. Zbliżał się wtedy do granicy parku i przez kilka dni przechadzał się wzdłuż niej, zbierając się na odwagę, aż wreszcie nie mogąc się oprzeć pokusie, ruszał nerwowo, pełen strachu i nadziei, na wschód.

Mokradła wielkiej rzeki Zambezi były najbardziej ulubionym miejscem ucieczki. Nie pamiętał, że jest to miejsce jego narodzin, ale czuł wyraźnie, że woda tu jest chłodniejsza i słodsza, pożywienie bogatsze i bardziej soczyste, a spokój większy niż gdziekolwiek indziej. Kiedy tego roku przekraczał rzekę Chiwewe, potrzeba powrotu do domu zdawała się silniejsza niż kiedykolwiek wcześniej.

Tukutela był już stary i znużony, miał ponad siedemdziesiąt lat. Bolały go stawy i jego krok był sztywny. Odezwały się wszystkie stare rany, a zwłaszcza pierwsza od kuli, która utknęła w czaszce pod skórą nad prawym okiem. Kula zdążyła otorbić się przez te wszystkie lata. Tukutela dotykał często koniuszkiem trąby twardego miejsca, kiedy ból stawał się nie do zniesienia.

Porośnięty szczytną łeb ciążył mu pod brzemieniem olbrzymich kłów i słoń z coraz większym trudem wznosił go do góry. Czarne kły stały się jedynym świadectwem jego przemijającej potęgi. Stary byk niedołązniał ostatnio bardzo szybko. Szósty, ostatni rząd siekaczy był już zupełnie stępiony i Tukutela zaczynał doświadczać głodu. Każdego dnia słabł coraz bardziej, a jego pożywienie z wolna ograniczało się do miękkiej trawy i świeżych pędów. Nigdy jednak nie mógł ich zjeść tyle, żeby się nasycić.

Szybko wychudł, a wokół kolan i na szyi skóra zwisała pomarszczonymi workami. Zwierzęcia nie opuszczała nastrój dziwnej melancholii, której nieczęsto doświadczał w życiu. To samo uczucie, jakie zawałdło nim, gdy czekał na śmierć matki przy wodopoju. Nie rozpoznał w nim przeczucia własnej śmierci.

Tukutela miał wrażenie, że pościg rozpoczął się z chwilą, kiedy opuścił park, i czuł, że tym razem jest bardziej zdecydowany niż kiedykolwiek wcześniej. Miał wrażenie, że las jest pełen ludzi, którzy podążają za nim, czekają na niego za każdym zakrętem i zagradzają mu

drogę na wschód, tak że musiał kluczyć, aby uniknąć czyhających na niego prawdziwych i wyimaginowanych zagrożeń.

Kiedy tuż za nim rozpętała się burza strzałów, rzucił się na oślep przed siebie, by wreszcie skierować się prosto na wschód. Nie zdecydował się zawrócić do bezpiecznego parku. Droga do mokradeł liczyła prawie dwieście kilometrów i była pełna niebezpieczeństw, ale słoń nie mógł się już oprzeć wewnętrznemu instynktowi, który gnał go przed siebie.

Dziesięć godzin później zatrzymał się, żeby napić się wody, obmyć ciało i posilić w odizolowanym bagnistym terenie. Do prawdziwych mokradeł czekała go jeszcze długa droga.

Nie odpoczywał więcej niż kilka godzin, gdy nisko nad głową przemknął mu samolot, płosząc go z kryjówki. W jakiś tylko sobie znany sposób skojarzył maszynę ze ścigającymi go ludźmi. Zostawił w powietrzu ten sam wstrętny smród, co samochody, z których myśliwi polowali na zwierzęta, i Tukutela wiedział, że nie może dłużej pozostać w tym miejscu. Prześladowcy zbliżali się do niego.

Wielkie mokradła były jego najlepszym schronieniem i słoń ruszył biegiem w ich kierunku.

- Teraz już się nie zatrzyma, dopóki nie dotrze do moczarów. – Sean Courteney przykucnął obok tropu słonia. – Wygląda na to, że jest czymś zaalarmowany i mamy słabe szanse dostania go przed mokradłami.

- Jak to daleko? – zapytał Riccardo. Sean wstał i przyjrzał mu się uważnie, zanim odpowiedział.

- Jakieś sto trzydzieści, sto czterdzieści kilometrów, Szeffie. Mała przechadzka. – Riccardo nie wyglądał najlepiej. Na koszuli znaczyły się ciemne plamy potu. Wyglądał, jakby postarzał się o dziesięć lat w ciągu czterech dni.

„Ciekawe, co zrobimy, jeśli biedak rozłoży nam się po drodze?”, zastanawiał się w myślach Sean. Odsunął od siebie ponure myśli.

- W porządku, teraz zjemy i położymy się spać. Wyruszamy za cztery godziny.

Podprowadził ich ku brzegowi bagna i wyprowadził na twardej teren. Zmęczenie i upał odebrały wszystkim apetyty. Uczestnicy wyprawy pokładli się w cieniu drzew niczym martwi.

Sean obudził się z uczuciem, że coś jest nie w porządku; usiadł szybko z ręką na strzelbie i rozejrzał się wokół.

„Claudia”. Zerwał się na nogi. Dziewczyna zniknęła. Jej plecak leżał dziesięć kroków od miejsca, w którym położyła się spać. Sean był tak zdenerwowany, że chciał już złamać własny zakaz i zawołać ją.

Podszedł do końca obozu i wezwał gwizdnięciem wartownika. Pumula natychmiast wyłonił się z zarośli.

– Gdzie jest panienka? – Sean zapytał w sindebele.

– Tam poszła. – Pumula wskazał na rzekę.

– Pozwoliłeś jej odejść? – zapytał ostro Sean.

– Myślałem, że chce odejść w krzaki... – Pumula zawahał się – ...żeby się załatwić. Nie mogłem jej zatrzymać.

Sean rzucił się biegiem, ścieżką wydeptaną przez hipopotamy, która prowadziła przez trzciny do największego jeziora.

Sadzawka miała jakieś sto metrów średnicy, a stojąca woda była głęboka i zielona. Mimo swojego komicznego wyglądu hipopotam jest jednym z najgroźniejszych zwierząt afrykańskich. Na ich karb można złożyć śmierć niemal tylu ludzi, ile zabiły wszystkie pozostałe gatunki. Stare byki mają kłótlive usposobienie i są agresywne, a krowy z małymi potrafią zaatakować nawet nie sprowokowane. Jedno kłapnięcie potężnej paszczy, której olbrzymie zęby są przystosowane do ścinania trzciny, potrafi przeciąć człowieka na pół. W porównaniu z nimi krokodyl jest powolnym, choć nie mniej skutecznym zabójcą. Jezioro było idealnym terenem polowań dla krokodyli i hipopotamów, a Claudia Monterro siedziała w nim zanurzona po pas.

Jej mokre ubranie, koszula, spodnie i skarpety, wisiało uprane na trzcinie, a Claudia stała odwrócona do niego tyłem i pochylona myła włosy mydłem.

Jej skóra była równomiernie opalona poza białym paskiem od stanika. Plecy były szczupłe i łagodnie rozchyłały się ku biodrom, a przez ich środek biegły paciorki kręgosłupa.

– Co ty, do jasnej cholery, wyrabiasz? – warknął Sean. Dziewczyna odwróciła się do niego z rękami w namydlonych włosach i przekrzywiając głowę, żeby mu się przyjrzeć przez pianę na twarzy.

– To w ten sposób się zabawiasz? – zapytała ostrym tonem, nie starając się jednak zakryć piersi. – Ty zboczeńcu, przyszedłeś tu podglądać?

– Zabierz tylek z wody, zanim odgryzą ci go krokodyle. – Jej kąśliwa uwaga zabolęła go, ale nawet w zdenerwowaniu zauważył, że dziewczyna ma lepsze piersi niż przypuszczał. Zimna woda spowodowała, że sterczące sutki wydawały się sztywne.

– Przestań się gapić – krzyknęła na niego – i zjeżdżaj stąd! – Zanurzyła się pod wodę i wyprostowała się ociekając pianą. Jej długie, lśniące włosy spłynęły na plecy.

– Wylaż z wody, do diabła. Nie będę tu stał i się z tobą użerał – rozkazał.

– Wyjdę, jak będę gotowa.

Sean wskoczył do sadzawki i złapał ją, zanim zdążyła mu się wymknąć. Chwycił za ramię i mimo że było śliskie od mydła, a dziewczyna kopała go i biła wolną ręką, wyciągnął ją na brzeg.

– Ty draniu. Nienawidzę cię. Zostaw mnie w spokoju.

Sean z łatwością poskromił ją jedną ręką. W drugiej trzymał strzelbę. Kiedy wyszedł na

brzeg, z szortów koloru khaki ciekła woda, a w butach mu chlupotało. Porwał wiszącą na zaroślach mokrą koszulę i rzucił ją dziewczynie.

– Ubieraj się!

– Nie masz prawa. Nie pozwolę na to, ty brutalny chamie... zobacz moją rękę! – Pokazała mu ramię, na którym widniały czerwone odciski palców. W drugiej ręce ścisnęła koszulę, trzęsąc się z wściekłości i oburzenia.

Z jakichś niezrozumiałych powodów jego uwagę przyciągnął jej pępek. Idealnie ukształtowany na płaskim brzuchu, niczym oko cyklopa, wydawał się bardziej podniecający niż kępka czarnych, mokrych włosów pomiędzy nogami. Sean odwrócił wzrok z poczuciem winy. Dziewczyna była tak rozwścieczona, że zapomniała o własnej nagości. Miał wrażenie, że rzuci się na niego z pięściami. Cofnął się o krok i kiedy spojrzał za nią, dojrzał na powierzchni zielonej wody wąską strzałkę fal, która się szybko zbliżała. Na jej końcu nad wodę wystawały dwa czarne guzy, nie większe niż orzechy włoskie. Posuwały się do przodu z zadziwiającą szybkością.

Sean chwycił Claudię za ramię i odrzucił ją za siebie tak gwałtownie, że dziewczyna wylądowała na kolanach i rękach w błocie.

Poderwał strzelbę, Express kalibru 577 i wymierzył pomiędzy czarne oczy nadpływającego krokodyla. Ustawiając muszkę na cel szybko obliczył, że oczy są rozstawione w odległości jakichś dwudziestu dwóch centymetrów. Był to jakiś stary olbrzym.

Strzał rozerwał ciszę wiszącą nad zaroślami. W miejscu trafienia kuli, dokładnie w środek pomiędzy oczyma, w powietrze wleciała czerwona mgiełka. Krokodyl, któremu pocisk rozerwał mózg, obrócił się leniwie na plecy.

Claudia podniosła się z ziemi i spoglądając zza ramienia Seana patrzyła na żółty, gładki brzuch. Krokodyl miał prawie pięć metrów długości od nosa do końca ogona i mimo że był martwy, szczęka zaciskała mu się kurczowo w agonalnych drgawkach. Spod pokrytych łuskami warg wystawały kły długie niczym palce dorosłego człowieka. Gad wolno zanurzył się w głębinę. Tylko przez zieloną wodę prześwitywał jeszcze przez chwilę kremowy brzuch.

Claudii przeszła cała złość. Patrzyła osłupiałym wzrokiem na wodę, nie mogąc pohamować drżenia.

– O Boże. Nie wiedziałam... jakie to okropne. – Przypadła do Seana i przytuliła się mocno do niego. – Nie miałam pojęcia. – Jej ciało było chłodne, szczupłe, silne i wilgotne.

– Co się dzieje? – Riccardo krzyknął zza trzcin. – Sean, wszystko w porządku? Co się stało? Gdzie jest Claudia?!

Na głos ojca dziewczyna odskoczyła od Seana i po raz pierwszy zasłoniła wstydliwie piersi i krocze.

– Wszystko w porządku, Szefie! – odkrzyknął Sean. – Jest bezpieczna.

Claudia porwała spodnie i naciągnęła je pospiesznie skacząc przy tym na jednej nodze. Złapała koszulę i odwracając się od Seana szybko założyła ją na siebie. Kiedy odwróciła się,



wrócił jej gniew.

– Przestraszyłam się – wyjaśniła mu. – Wcale nie chciałam cię tak ścisnąć. Tylko sobie nie wyobrażaj za dużo. Zapięła rozpiorek i podniosła wysoko brodę.

– Schwyciłabym i śmieciarza, gdyby tylko był pod ręką.

– Dobra, kotku, następnym razem pozwolę, żeby cię zjadły, czy to będzie lew czy krokodyl.

– Nie powinieneś narzekać – powiedziała przez ramię, maszerując ścieżką pod górę. – Miałaś niezły widok i zauważyłam, że zrobiłaś sobie z tego prawdziwą ucztę, pułkownika.

– Rzeczywiście. Ciało masz niczego sobie. Może trochę miejscami za chude, ale ujdzie.

Uśmiechnął się wesoło, gdy zobaczył, jak jej kark czerwieni się z gniewu.

Zaniepokojony Riccardo zbiegł do nich i z ulgą porwał Claudię w ramiona.

– Co się stało, tesoro! Wszystko w porządku?

– Usiłowała nakarmić krokodyla – Sean wyjaśnił Riccardowi. – Wyruszamy dokładnie za pół minuty. Ten strzał musiał zaalarmować wszystkie podejrzane typy w odległości piętnastu kilometrów.

Przynajmniej zmyłam z twarzy tę obrzydliwą maź, powiedziała sobie Claudia, kiedy wyruszyli w drogę. Jej wilgotne ubranie było czyste i chłodne i Claudia czuła się odświeżona po kąpieli.

„Nic się nie stało”, pomyślała. „Poza tym, że mnie podejrzwał”. Zresztą nawet to jej już tak bardzo nie martwiło. Spojrzenie Seana prześlizgujące się po jej nagim ciele nie było wcale nieprzyjemne. Była nawet zadowolona, że mogła go nieco podręczyć.

„Możesz sobie teraz umierać z tęsknoty”, pomyślała patrząc na jego plecy. „Nic lepszego w życiu już nie zobaczysz”.

Po przejściu dwóch kilometrów ubranie na niej wyschło i nie miała już siły na żadne emocje. Całe jej życie skupiło się na podnoszeniu jednej nogi, stawianiu jej na ziemi i podnoszeniu następnej.

Upał był nieznośny, a zwiększył się jeszcze, gdy dotarli do krawędzi skarpy doliny Zambezi i zaczęli schodzić na dół do rzeki. Nawet powietrze zdawało się widoczne. Nad ziemią unosiły się srebrzyste fale, drżące niczym zasłony z kryształowych paciorków, które zmieniały kształt i wielkość przedmiotów, pobudzając je do życia, rozdmuchując, nadając im monstrualne kształty lub całkowicie je chowając za kaskadami gorąca.

Dalej powietrze przybierało niebieską barwę i kiedy Claudia obejrzała się za siebie, zobaczyła, że skarpa wyglądała jak rozmyta bładoniebieską, nierealną mgiełką. Niebo miało inny odcień błękitu: głęboki i nasycony, a ciężkie, srebrzystooolowiane chmury stały nad ziemią równo ucięte od dołu niczym żagle na okręcie. Uwięzione w obłokach powietrze spływało na ziemię niczym rozgrzany syrop. Grupka ludzi przygnieciona upałem szła zmęczonym krokiem.

Z lasu wyleciały chmury małych czarnych muszek i z brzęczeniem kłębiły się

w kącikach oczu i ust, wdzierały do nozdrzy i uszu, żeby spijać pot z wyczerpanych ciał. Natarczywość owadów szybko stała się nieznośną torturą.

Z każdym kilometrem otwierał się coraz to nowy widok na dolinę i wreszcie dojrzeli ciemną wstążkę nadrzeczej roślinności, która znaczyła bieg Zambezi. Matatu biegł przed nimi niczym energiczny krasnal, podążając tropem, którego nie wypatrzyłoby żadne ludzkie oko, nie zmęczony i obojętny na upał, tak że Sean musiał go wzywać za każdym razem, gdy robili przerwę w marszu.

– Nie ma nawet śladu zwierzyny – zauważył Riccardo, rozglądając się wokół przez lornetkę. – Od czasu gdy przekroczyliśmy granicę, nie widzieliśmy nawet królika.

Riccardo odezwał się pierwszy raz od wielu godzin i Sean poczuł lekką ulgę. Zaczynał już się poważnie martwić o swojego klienta. Odpowiedział mu ochoczo.

– Kiedyś był to raj dla myśliwych. Polowałem tutaj, zanim wycofali się Portugalczycy. Stada bawołów liczyły po dziesięć tysięcy sztuk.

– Co się z nimi stało?

– Frelimo nakarmili nimi armię. Zaoferowali mi nawet kontrakt na tę rzeź i nie mogli zrozumieć, kiedy im odmówiłem. W końcu sami się z nimi rozprawili.

– Jak to zrobili?

– Z helikopterów. Latali nisko nad stadami i strzelali do nich z karabinów maszynowych. W ciągu trzech miesięcy zabili prawie pięćdziesiąt tysięcy zwierząt. Niebo było aż czarne od sępów i smród padliny było czuć na trzydzieści kilometrów. Kiedy wybili bawoły, wzięli się za antylopy i zebry.

– Co to za okrutna i dzika ziemia – powiedziała cicho Claudia.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że nie apróbujesz tego? – spytał Sean. – Zrobili to czarni, nie biali. Nie ma w tym nic złego. – Spojrzał na zegarek. – Czas ruszać.

Podał rękę starszemu mężczyźnie, żeby pomóc mu wstać, ale Riccardo odsunął ją. Kiedy ruszyli, Sean zajął miejsce za Riccardem, pozwalając Claudii iść bezpośrednio za Matatu, podczas gdy on sam starał się rozerwać jej ojca i odwrócić jego uwagę od zmęczenia.

Sean opowiadał wesoło anegdoty z czasów wojny. Pokazał mu miejsce, w którym znajdował się obóz partyzantów, i opisał akcję Skautów Ballantyne. Riccardo był do tego stopnia zainteresowany, że zaczął zadawać pytania.

– Ten towarzysz China wygląda na niezłego dowódcę – skomentował. – Dowiedziałeś się, co się z nim stało po ucieczce?

– Wiem, że działał do samego końca wojny. Naprawdę twardy zawodnik. Jego ludzie musieli transportować amunicję w plecakach do Rodezji, a radziecka mina przeciwczołgowa T5 waży ponad trzydzieści kilo. Słyszałem jedną dobrą historię. China przytaszczył taką minę na własnych plecach i ułożył ją na drodze Mount Darwin przeciwko jednemu z patroli wojskowych, które przejeżdżały tamtędy w wozach opancerzonych. Na nieszczęście w tym samym czasie miejscowi Murzyni wynajęli autokar, żeby pojechać na mecz piłki nożnej.

Autokar wjechał na minę. W wozie było sześćdziesiąt pięć osób. Dwadzieścia trzy przeżyły eksplozję. Towarzysz China był tak rozwścieczony, że zebrał rodziny ofiar i osoby, które przeżyły, i kazał im zapłacić po dziesięć dolarów, żeby pokryć koszty następnej miny.

Riccardo aż zatrzymał się pękając ze śmiechu, a Claudia odwróciła się do nich z wściekłą miną.

– Jak możecie się z tego śmiać? To najbardziej oburzająca historia, jaką słyszałam.

– No nie wiem – odparł spokojnie Sean. – Nie uważam, że dziesięć dolarów to taka oburzająca cena. Moim zdaniem China okazał wyjątkową wyrozumiałość.

Dziewczyna podniosła wysoko podbródek i przyśpieszyła kroku, żeby nadążyć za Matatu. Riccardo nadal chichotał.

– Co się stało po wojnie z tym facetem? Sean wzruszył ramionami.

– Przez krótki czas był w rządzie w Harare, ale potem zniknął w czasie jednej z politycznych czystek. Może go zlikwidowano. Starzy rewolucjoniści są zawsze podejrzani, kiedy reżim, dla którego walczyli, dorywa się do władzy. Nikt nie lubi mieć u swojego boku wyćwiczonego zabójcy i człowieka, który pomagał w obaleniu poprzedniego rządu.

Sean zarządził postój godzinę przed zachodem słońca. Podczas gdy Job przygotowywał herbatę i kolację na małym ogniu, wziął na stronę Matatu i przez chwilę rozmawiał z nim ściszym głosem. Tropiciel patrzył Seanowi w oczy kiwając ze zrozumieniem głową, a potem pobiegł w stronę, z której właśnie przyszli.

Riccardo spojrział na Seana pytającym wzrokiem, gdy ten przysiadł się do nich.

– Posłałem Matatu, żeby wrócił po naszych śladach. Chcę się upewnić, że nikt za nami nie podąża. Cały czas martwię się tym strzałem. Mógł zwabić te podejrzane typy, których spotkaliśmy przy granicy.

Riccardo skinął głową i zapytał:

– Sean, mógłbyś mi dać aspirynę?

Sean otworzył boczną kieszeń plecaka, wyjął z niej opakowanie anadynu i wytrząsnął trzy tabletki na rękę.

– Ból głowy? – spytał podając je Riccardowi. Starszy mężczyzna skinął głową, połknął lekarstwo i popił je gorącą herbatą.

– To ten kurz i upał – wyjaśnił, ale Sean i Claudia przyglądali mu się bardzo uważnie. Riccardo zaczerwienił się.

– Nie gapcie się tak na mnie. Wszystko ze mną w porządku.

– Jasne – zgodził się gładko Sean. – Zjemy i poszukamy miejsca na nocleg. – Podeszedł do ogniska i przykucnął obok Joba. Przez chwilę rozmawiali szeptem.

– Tatusiu. – Claudia przysunęła się bliżej ojca i dotknęła jego ramienia. – Powiedz mi, jak się czujesz, ale szczerze.

– Nie martw się o mnie, tesoro.

– To jeszcze się nie zaczęło, prawda?

- Nie – odpowiedział szybko.
- Doktor Andrews mówił, że możesz mieć bóle głowy.
- To tylko słońce.
- Kocham cię, tatusiu.
- Wiem, kochanie. Ja ciebie też kocham.
- Ocean i góra? – zapytała.
- Gwiazdy i księżyc – odpowiedział i otoczył ją ramieniem. Przytuliła się mocno do niego.

Gdy tylko zjedli, Job zgasił ognisko, a Sean poprowadził ich dalej. W miękkiej ziemi trop Tukuteli nie był trudny do znalezienia i na tym odcinku nie potrzebowali Matatu. Po zapadnięciu zmroku zatrzymali się na noc.

– Jutro po południu dotrzemy do mokradeł – obiecał im Sean, gdy wyciągnęli się w śpiworach.

Claudia leżała nieruchomo nie mogąc zasnąć i myśląc o ojcu. Riccardo chrapał lekko przez sen, leżąc na plecach z rozłożonymi ramionami. Kiedy podniosła się na łokciu, żeby w świetle księżyca spojrzeć na ojca, usłyszała, że oddech Seana zmienił rytm. Jej cichy ruch obudził go. Sean spał lekko jak kot i Claudia poczuła przed nim lęk.

W końcu znużenie i troska o ojca zamknęły jej oczy. Dziewczyna zapadła w głęboki sen. Spała tak mocno, że obudzenie przypominało wolny powrót z jakiegoś odległego miejsca.

– Obudź się, no, wstawaj! – Sean poklepywał ją delikatnie po twarzy i Claudia odtrąciła jego rękę i usiadła tylko na wpół przytomna.

– Co jest? – wymamrotała. – Jezu, przecież jeszcze ciemno. Sean zostawił ją i podszedł do Riccarda.

- Szefie, obudź się. Wstawaj. No, obudź się, człowieku.
- Co jest, do cholery? – głos Riccarda był chrapliwy i zaspany.
- Matatu właśnie wrócił do obozu – powiedział cicho Sean. – Ktoś nas śledzi.

Claudia poczuła ciarki przebiegające po ciele.

– Śledzi? Kto?

– Nie wiemy – odparł Sean.

– Ta sama banda, na którą natknęliśmy się na granicy? – zapytał Riccardo. Jego głos wciąż był rozespany.

– Możliwe – zgodził się Sean.

– Co zrobimy? – zapytała Claudia zła, że w jej stłumionym głosie słychać strach.

– Wymkniemy się im – wyjaśnił jej Sean. – No, podnoś się już. Wszyscy spali w butach, więc teraz musieli jedynie zwinąć śpiwory i już byli gotowi do drogi.

– Matatu was poprowadzi. Będzie też zacierał za wami ślady – powiedział Sean. – Job i ja zostawimy fałszywy trop w kierunku, w którym dotąd szliśmy. Jak tylko zrobi się jasno, rozdzielimy się i wrócimy do was.

– Nie zamierzasz chyba zostawić nas samych? – zapytała wystraszona Claudia i szybko się opanowała.

– Nie, nie będziecie sami. Matatu, Pumula i Dedan pójdą z wami – odpowiedział ze wzgardą Sean.

– A co ze słoniem? – chciał się dowiedzieć Riccardo. Jego głos był teraz pewniejszy siebie. – Przerzywasz polowanie? Chcesz pozwolić mojemu słoniowi wymknąć się?

– Z powodu kilku dupków z parszywymi AK-47? – zachichotał Sean. – Nie bądź śmieszny, Szefie. Zgubimy ich i ruszymy za Tukutelę, zanim się obejrzysz.

Sean i Job poczekali, aż Matatu ustawi swoją grupę i odprowadzi ich na bok. Riccardo i Claudia opanowali już podstawy poruszania się, tak żeby nie zostawiać za sobą śladów, i szli szybko kierowani przez Matatu, który na końcu szeregu pilnował, żeby zatrzeć choćby najmniejszy ślad.

Kiedy zniknęli w gąszczu drzew, Sean i Job, biegnąc po całej polance, dokładnie zdeptali wszelkie odciski butów wokół całego obozu. W końcu także ruszyli dalej, biegnąc jeden za drugim z Seanem na czele szeregu. Nie starali się zostawić za sobą zbyt wyraźnego tropu, żeby nie można było poznać, iż tworzą fałszywy ślad, ale podjęli normalne środki ostrożności, które nie powinny jednak zmylić dobrego tropiciela.

Sean nadał od początku ostre tempo, w jakim zazwyczaj poruszali się Skauci, jakieś dziesięć kilometrów na godzinę. Po pewnym czasie zaczął kierować się bardziej na południe. Matatu poprowadził swoją grupę prosto na północ w stronę rzeki. Sean chciał odciągnąć ścigających ich ludzi w przeciwnym kierunku.

Biegnąc starał się dociec, kim są ich prześladowcy: jakiś oddział wojsk rządowych czy też buntownicy, a może kłusownicy lub po prostu zwykli uzbrojeni bandyci szukający łatwego łupu. Nie miał możliwości sprawdzić swoich podejrzeń, ale wystarczyło mu, że po powrocie do obozu Matatu był zaniepokojony.

– To dobrzy tropiciele, Bwana – powiedział Seanowi. – Musieli się nieźle starać, żeby odszukać pozostawiony przez nas trop, i szybko się do nas zbliżają. Poruszają się w formacji partyzantów z flankierami biegnącymi z przodu.

– Nie udało ci się im dokładniej przyjrzeć? – zapytał Sean i mały Ndorobczyk pokręcił głową.

– Ściemniało się już, a ja chciałem jak najszybciej cię ostrzec. Oni naprawdę szybko się zbliżają.

– Nawet najlepszy tropiciel nie będzie w stanie podążać za nami w ciemności. Mamy przed sobą resztę nocy na to, żeby ich zgubić.

Biegnąc przez ciemny las pomyślał ponuro, że jest to szczególne odwrócenie ról: teraz oni, myśliwi, byli ścigani równie zajadle, jak tropiony przez nich słoń.

Z początku zastanawiał się, czy nie przerwać polowania i nie zawrócić do granicy. Martwił się porządnie o Riccarda, a taki? przestroga Matatu, że ich prześladowcy są

wyszkoleni i niebezpieczni Szybko jednak odsunął od siebie ten pomysł; dawno już przekroczyli granicę, zza której nie było powrotu.

– Żadnego zawracania – powiedział na głos i uśmiechnął się, gdy przyznał się przed sobą co do powodu tej decyzji: dwa kły kości słoniowej i pół miliona dolarów. Tak naprawdę to nie był całkiem pewien, co jest dla niego bardziej pociągające. W jego wyobraźni kły rozrastały się do niesamowitych rozmiarów. Reprezentowały starą Afrykę niczym symbol czegoś wielkiego i wspaniałego, co na jego oczach odchodziło w przeszłość. Pragnął ich bardziej niż cegokolwiek innego na świecie, może z wyjątkiem pół miliona dolarów. Znowu uśmiechnął się sam do siebie.

Kiedy wstała poranna zorza, Job i Sean biegli prosto na południe. Od czasu rozstania z resztą grupy pokonali trzydzieści kilometrów.

– Job, najwyższy czas, żebyś zniknął – mruknął Sean nie zwalniając kroku. Tropiący ich ludzie nie mogli poznać, że znowu doszło do rozdzielenia grupy.

– Przed nami jest niezłe miejsce – zasugerował Job, który biegł po śladach Seana.

– Zrób to – polecił mu Sean. Kiedy wbiegli pod nisko zwisające gałęzie, Murzyn schwycił się jednej z nich i podciągnął do góry. Sean nie obejrzał się za siebie ani nie zmienił kroku. Job przerzucał się teraz z gałęzi na gałąź szukając jakiegoś odpowiedniego miejsca, by zeskoczyć na ziemię.

Sean przez dwadzieścia minut biegł dalej kierując się teraz na południowy zachód, w stronę szczytu niskiego wzgórza, które rysowało się przed nim w świetle poranka. Wspiął się na szczyt i jak wcześniej wywnioskował z ukształtowania terenu, po drugiej stronie zobaczył w dolince nieduży strumyk. Napił się trochę wody na brzegu strumyka i nachlapał naokoło, jakby się kąpał.

Tropiciel miał dojść do wniosku, że tropiony wykorzystał to miejsce do zgubienia śladu, by skierować się w dół lub w górę rzeki przed wyjściem na brzeg. Ścigający ludzie powinni wysłać zwiadowców wzdłuż brzegów w obu kierunkach. Chwytną się nisko zwisających gałęzi Sean skierował się w dół biegu rzeki, żeby wzmocnić te podejrzenia. Następnie, nie opuszczając strumienia, cofnął się do miejsca, w którym wszedł do wody. Na brzegu starannie wytarł stopy, założył buty, które wcześniej zawiesił na sznurówkach na szyi, i wrócił po swoim śladzie.

Szedł teraz tyłem, stawiając nogi dokładnie w tym samym miejscu, gdzie widniał już odcisk jego buta. Na szczycie wzgórza posłużył się tym samym trikiem co Job. Złapał się gałęzi, podciągnął na niej i opuścił kilka kroków dalej na płaski kawałek skały. Następnie zaczął się wycofywać, bardzo starannie zacierając za sobą ślady.

„Nawet Matatu nie rozwikłałby tej zagadki”, pomyślał z satysfakcją, biegnąc prosto na północ.

Dwie godziny później dołączył do Joba w uprzednio umówionym miejscu. Wczesnym popołudniem znaleźli pozostałą część grupy, która czekała na nich osiem kilometrów od

miejsca, w którym się rozstali.

– Sean, dobrze cię znowu widzieć. Już martwiliśmy się o was – przywitał go Riccardo, gdy uścisnęli sobie ręce. Nawet Claudia uśmiechnęła się, kiedy obok niej klapnął ciężko na ziemię i zawołał:

– Królestwo za kubek herbaty!

Popijając gorący napój przyniesiony mu przez Matatu słuchał sprawozdania małego tropiciela. Murzyn przykucnął obok niego i mówił szybko podekscytowanym falsetem.

– Matatu wrócił i obserwował opuszczony przez nas obóz – Sean przetłumaczył pozostałym. – Nie zbliżył się zbyt, ale widział ścigających nas ludzi. Naliczył ich dwunastu. Przeszukali cały obóz i dali się złapać na zostawioną przez nas przynętę.

– Więc pozbyliśmy się ich ostatecznie? – spytał Riccardo.

– Na to wygląda – zgodził się Sean. – Jeśli przyłożymy się teraz, to mamy szansę dotrzeć do początku mokradeł jeszcze dziś wieczór albo jutro rano. Następnie będziemy poruszali się wzdłuż brzegu, aż znajdziemy ślad słonia. Straciliśmy jednak sporo czasu i musimy narzucić sobie ostre tempo, jeśli nie chcemy, żeby Tukutela nam uciekł. Jak samopoczucie, Szeffie?

– Nigdy nie czułem się lepiej – odparł Riccardo. – Możemy ruszać.

Zanim jednak wyruszyli, Sean przejrzał dokładnie ich plecaki. Spożyli sporą część zapasów i Sean rozdzielił na nowo pozostałą żywność. Dokładając Jobowi i sobie po jakiejś pięć kilo, zdołał zmniejszyć wagę plecaka Riccardo do dziesięciu kilo, a Claudii do pięciu. Dziewczyna niosła teraz jedynie śpiwór i rzeczy osobiste.

Oboje dobrze zareagowali na mniejszy ciężar, ale Sean znowu szedł za Riccardem starając się zabawić go rozmową i obserwując uważnie.

Claudia cały czas utrzymywała dobre tempo. Sean czuł, że nie musi się o nią martwić. Przy prawie pustym plecaku jej krok stał się jeszcze bardziej sprężysty. Sean z przyjemnością przyglądał się jej długim, silnym nogom i małym, twardym poślądkom, które w dzinsach poruszały się na boki niczym policzki wiewiórki ziemnej gryzącej orzech.

Znajdowali się teraz na dnie doliny. Mijali olbrzymie baobaby o poskręcanych pniach, grubej korze przypominającej skórę prehistorycznego gada i nagich gałęziach, z których zwisały długie strąki. Patrząc na potężne drzewa nietrudno było się domyślić, czemu Zulusi uważali, że bogowie zasadzili baobaby korzeniami do góry.

Lekka, nieruchoma mgła przed nimi znaczyła początek moczarów. Ziemia pod nogami była piaszczysta i stopy grzęzły w niej głęboko.

– Tylko pomyśl o tym, Szeffie – Sean usiłował odwrócić uwagę Riccardo od zmęczenia. – Jesteś pewnie ostatnim mężczyzną, który poluje na słonia w tradycyjny sposób, to jest podążając jego tropem. Właśnie w ten sposób powinno wyglądać polowanie. Żadne tam gonienie zwierzęcia land roverem, by oddać strzał przez okno. Tak polował Sealous i „Karamojo” Bell, i „Samaki” Salmon.

Sean spostrzegł, że Riccardo aż zarumienił się na porównanie go z wielkimi mistrzami

polowania, myśliwymi z zupełnie innej epoki, kiedy w Afryce żyło jeszcze mnóstwo słońi. W czasach gdy obowiązywała zupełnie odmienna moralność, „Samaki” Salmon upolował cztery tysiące słońi. W dzisiejszych czasach zostałby uznany za wyjątkowo bezlitosnego przestępcę, ale w swoim czasie był podziwiany jako bohater i powszechnie szanowany. Nawet sam Edward, książę Walii, był jego klientem na polowaniu.

Sean wiedział, że Riccardo interesuje się opowieściami o dawnych mistrzach polowania, i kontynuował temat.

– Szefie, jeśli chcesz polować jak „Karamojo” Bell, to musisz podążać za słońiem. Bell potrafił schodzić dwadzieścia cztery pary butów rocznie i co kilka tygodni musiał zmieniać tropicieli, którzy zwyczajnie nie mogli dotrzymać mu kroku.

– To był złoty wiek myślistwa. – Riccardo przyśpieszył nieco kroku, myśląc o swoich poprzednikach. – Sean, ty i ja powinniśmy żyć w tamtych czasach. Naszym problemem jest to, że za późno się urodziliśmy.

– Prawdziwy myśliwy powinien zachodzić słońia na śmierć. To jedyny szacowny sposób polowania i właśnie teraz to robimy. Szefie, ciesz się każdym krokiem, gdyż podążasz śladami wielkiego Bella.

Niestety, efekt zachęty nie był długotrwały. Po godzinie marszu Riccardo znowu powłóczył nogami i Sean spostrzegł, że jego krok jest coraz mniej pewny. W pewnej chwili potknął się i byłby upadł, gdyby Sean go nie podtrzymał.

– Chyba wszyscy potrzebujemy pięciu minut odpoczynku i kubka herbaty. – Sean posadził Riccarda w cieniu.

Kiedy Job podał im kubki, Riccardo spytał cicho:

– Sean, możesz mi dać jeszcze kilka aspiryn?

– Szefie, na pewno dobrze się czujesz? – zapytał z troską, podając mu tabletki.

– To tylko ten cholerny ból głowy, nic więcej – odparł Riccardo, ale nie spojrzał mu w oczy.

Sean odwrócił się do Claudii, ale i ona unikała jego spojrzenia.

– Czy wiecie może coś, o czym ja nie mam pojęcia? – zapytał Sean. – Oboje wyglądacie, jakbyście coś zbroili. – Nie czekając na odpowiedź wstał i podszedł do Joba, który nad małym ogniem piekł placki kukurydziane na wieczorny obiad.

– Aspiryna powinna ci pomóc, tatusiu – zauważyła szeptem Claudia.

– Jasne, aspiryna jest najlepszym lekarstwem na raka, który dotarł już do mózgu – zgodził się Riccardo, ale kiedy zobaczył jej żalodne spojrzenie, szybko dodał: – Przepraszam. Nie wiem, czemu to powiedziałem. Rozczulanie się nad sobą nie leży w moim zwyczaju.

– Czy dobrze się czujesz, tatusiu?

– Mogę znieść ból głowy, ale od czasu do czasu widzę wszystko podwójnie i to mnie martwi – przyznał Riccardo. – Cholera, jeszcze kilka dni temu czułem się wyśmienicie. To wszystko przyszło tak nagle.



– To z wysiłku – zasugerowała Claudia. – Na pewno zmęczenie wywołało ten stan. Uważam, że powinniśmy zawrócić.

– Nie – odpowiedział tonem ucinającym dalszą dyskusję. – Nawet nie chcę o tym słyszeć.  
– Claudia pochyliła lekko głowę zgadzając się z jego poleceniem.

– Jesteśmy już blisko mokradeł. Może moglibyśmy nieco odpocząć? – zaproponowała.

– Nie chcę odpoczywać – sprzeciwił się ojciec. – Coraz lepiej zdaję sobie sprawę, jak mało czasu mi zostało, i nie chcę marnować ani minuty.

Sean wrócił do nich.

– Jesteście gotowi do drogi?

Claudia spojrzała na zegarek. Nie odpoczywali nawet pół godziny. Czują, że to za mało, i już miała zaprotestować, gdy ojciec podniósł się z ziemi.

– Jasne, że jesteśmy – powiedział i Claudia zobaczyła, że nawet ten krótki odpoczynek pomógł ojcu.

Maszerowali jednak zaledwie kilka minut, gdy Riccardo stwierdził pogodnym tonem:

– Te hamburgery, które Job przygotował na kolację, pachną wspaniale. Już czuję, jak mi leci ślinka do ust.

– Te hamburgery to placki kukurydziane – zachichotał Sean. – Przykro mi, że cię rozczarowałem, Szefie.

– Nie nabierzesz mnie – odparł ze śmiechem Riccardo. – Czuję wyraźnie smażoną cebulę i polędwicę.

– Tato. – Claudia obejrzała się na ojca i zmarszczyła brwi. Riccardo przestał się śmiać i wyglądał na zmieszanego.

„Mogą wystąpić halucynacje”, ostrzegł ją doktor Andrews. „Riccardo może mieć przywidzenia albo czuć najróżniejsze zapachy. Oczywiście, nie mogę ci powiedzieć dokładnie, jak choroba będzie się rozwijała. Mogą przyjść niespodziewane okresy znacznego pogorszenia, po których nastąpi znaczna poprawa. Claudio, musisz zawsze pamiętać, że dla ojca urojenia będą bardzo realne i będą się przeplatać z zupełnie jasnym myśleniem”.

Tego wieczoru Sean nie zarządził postoju na herbatę.

– Musimy postarać się nadrobić stracony czas – powiedział. Kolację składającą się z placków kukurydzianych i pasków suszonego mięsa zjedli w czasie marszu.

– Jeden hamburger ze smażoną cebulą i dodatkami dla Szefa – zażartował Sean. Claudia natychmiast posłała mu wściekle spojrzenie, ale Riccardo jedynie roześmiał się niewyraźnie i zjadł podany mu, mało apetyczny, posiłek.

Nie musieli obecnie trzymać się tropu słonia, więc Sean prowadził grupę jeszcze długo po zachodzie słońca. Zostawiali za sobą kilometr za kilometrem, a nad ich głowami skrzyło się rozgwieżdżone południowe niebo. Zbliżała się północ, gdy zatrzymali się na nocleg i mogli schować się do spiworów.

Sean pozwolił im spać do samego świtu, kiedy było dosyć światła, żeby podjąć marsz. Po

obudzeniu się stwierdzili, że krajobraz wokół nich się zmienił. W nocy weszli na obszar zajęty przez wielką rzekę Zambezi. Znajdowali się teraz na rozległej równinie zatapianej za każdym razem, gdy w czasie pory deszczowej rzeka występowała z brzegów. Równina była teraz sucha i niemal zupełnie pozbawiona drzew; jedynie kilka martwych ciernistych akacji, zatopionych przez powódź, wyciągało ku bezchmurnemu niebu gałęzie, stojąc na pustej równinie niczym samotni wartownicy.

Pod stopami maszerujących ludzi wyschnięty muł pękał na nieduże kostki, których brzegi zawijały się ku górze. Kępki bagiennej, brązowej trawy były martwe po długiej suszy. Delikatny wietrzyk zmienił kierunek i przyniósł ze sobą zapach schowanych za horyzontem mokradeł: stęchły smród mułu i gnijącej roślinności.

Nad równiną unosił się migotliwy miraż, przez który nie można było dojrzeć horyzontu; ziemia i niebo złączyły się w jedną wodnistą substancję. Za nimi ciemna linia lasu ciągnęła się niczym olbrzymi wąż, który zdawał się pełznąć przed siebie w upale uwięzionym pod mlecznym niebem. Tumany kurzu wirowały i wznosiły się nad ziemią, kiwając się na boki niczym niesamowici tancerze.

Na rozległej, otwartej równinie Sean czuł się wyjątkowo odkryty i wystawiony na strzał. Nie można było wykluczyć możliwości, że gdzieś w pobliżu kręci się oddział Frelimo szukający partyzantów Renamo, a grupa ludzi była widoczna z daleka, jak pchły na białym prześcieradle. Sean najchętniej przyśpieszyłby kroku, ale wystarczyło jedno spojrzenie na Riccarda, żeby poznać, iż wkrótce będą musieli zatrzymać się na odpoczynek.

Idący przed nimi Matatu wydał okrzyk, który zaalarmował wszystkich. Sean wiedział, co on oznacza. Minawszy Claudię, podbiegł do przodu i zatrzymał się przy Matatu.

– Nieźle! – Poklepał tropiciela po ramieniu i przyklęknął na kolanie, żeby przyjrzeć się ziemi.

– Co to jest? – Riccardo wydawał się zaniepokojony, ale Sean odwrócił się ku niemu z uśmiechem na twarzy.

– To on. Tukutela. Przecieliśmy jego trop dokładnie w miejscu, w którym Matatu powiedział, że go znajdziemy. – Dotknął palcem śladu olbrzymich stóp, których ciężar rozgniół wyschnięty muł na drobny pył. Trop był tak wyraźny, że już na pierwszy rzut oka można było rozróżnić okrągłe przednie stopy zwierzęcia od bardziej owalnych tylnych nóg. Na górze każdego odcisku widać było delikatne ślady palców i paznokci.

– Kieruje się prosto ku bagnom. – Sean wstał. Osłonił oczy przed słonecznym blaskiem, żeby spojrzeć w stronę, w którą udawał się słoń. Niedaleko przed nimi, na horyzoncie rozciągała się linia drzew, a z drugiej strony sięgała ku nim wstążka wyższego terenu.

– Można powiedzieć, że mamy szczęście – zauważył Sean. – Jeszcze kilka lat temu żyło tu tyle bawołów i innych zwierząt, że trop Tukuteli nie przetrwałby nawet kilku godzin, zanim zostałby zdeptany. Teraz, kiedy rząd Frelimo przetworzył je na zapasy dla armii, jest jedynym zwierzęciem w promieniu wielu kilometrów.

– Jak daleko za nim jesteśmy?

– Trochę nadrobiliśmy stracony czas. – Sean opuścił rękę i odwrócił się do Riccarda. – Niestety nie za dużo i jeśli jakieś podejrzone typki dorwą nas na tym terenie... Na szczęście ślad Tukuteli biegnie prosto ku drzewom przed nami, co zapewni nam świetną osłonę. – Dał znak Matatu, żeby podjął tropienie zwierzęcia.

Dalej rozległa równina była pokryta wieloma starymi kopcami termitów, niektóre wielkości dużych domków. Trop słonia skręcał pomiędzy nimi, kierując się ku lasowi, w którym mogli już rozpoznać pojedyncze drzewa. Ciągący się od jego krawędzi pas wyższego gruntu tworzył naturalną groblę biegnącą przez równinę ku mokradłom. Las składał się z palm orzechowych, palm o pniach przypominających butelki i palm ilala o gałęziach przypominających wachlarze, pomiędzy którymi rosły dzikie figi, a wzdłuż wysokiej ścieżki masywne baobaby o korze koloru słoniowej skóry.

Sean z ulgą wszedł za tropem słonia pomiędzy drzewa. Tukutela zatrzymał się w tym miejscu na odpoczynek i wykopał soczyste korzenie kilku palm ilala. Nie opodal drzew znaleźli wysoką, żółtą stertę słoniowych odchodów.

– Słoń odpoczywał tutaj – wyjaśnił im Matatu, zniżając głos do szeptu. – Jest już stary i łatwo się męczy. Spał w tym miejscu, zobaczcie, jak suwał nogami w czasie snu, a kiedy się obudził, posypał ciało piaskiem. O, w tym miejscu zbierał piach trąbą i posypywał sobie nim grzbiet.

– Jak długo zbierał siły? – zapytał Sean i zastanawiając się nad odpowiedzią Matatu, pochylił lekko głowę na bok.

– Odpoczywał tu jeszcze wczoraj po południu, gdy słońce było w tym miejscu. – Matatu wskazał dziesięć stopni nad zachodnim horyzontem. – Kiedy ruszył w dalszą drogę, szedł już wolniej. Teraz, gdy jest niedaleko mokradeł, czuje się bezpieczniejszy. Zbliżyliśmy się do niego znacznie.

Sean wyolbrzymił nieco opinię Matatu, gdy przekazał ją Riccardowi i Claudii. Chciał dodać im nieco otuchy.

– Teraz naprawdę szybko się do niego zbliżamy – przybrał pogodny i pewien siebie ton. – Może nawet uda nam się go dopaść, zanim przedrze się głębiej na mokradła. Nie możemy jednak tracić czasu.

Trop prowadził wzdłuż przesmyku. Tukutela pożywiał się często idąc w stronę bagien szczytem wysokiej ścieżki, gdzie rosło więcej roślinności. Dokładnie na wprost nich rósł kolejny olbrzymi baobab o szarej, pofałdowanej korze niczym skóra na bokach słonia.

Sean przeszedł teraz na swoją pozycję za Matatu. Chciał przestrzec tropiciela, żeby nie nadawał zbyt ostrego tempa, ale zanim zdążył się odezwać, dobiegł go stłumiony okrzyk i Sean obrócił się gwałtownie na pięcie.

Twarz Riccarda była spuchnięta i czerwona od nabiegłej krwi, a zamglone oczy zdawały się wyskakiwać z oczodołów. Przez chwilę Sean bał się, że to jakiś atak, ale ręka mężczyzny

wskazywała przed siebie, trzęsąc się silnie od emocji.

– Tam jest – krzyknął grubym, ochrypłym i nienaturalnym głosem. – Na litość boską, nie widzicie go?!

Sean obrócił się i spojrzął we wskazanym kierunku.

– Co takiego, człowieku?

Spojrzał przed siebie i nie zobaczył, jak Riccardo obraca się do Pumuli i zrywa mu rigby z ramienia. Usłyszał jednak metaliczny odgłos zamykanej komory strzelby.

– Szefie, co robisz? – Sięgnął, żeby go powstrzymać, ale Riccardo silnie go odepchnął. Nie był na to przygotowany, potknął się i niemal upadł na ziemię.

Riccardo podbiegł kilka kroków do przodu, zatrzymał się i podniósł broń do góry.

– Szefie, nie strzelaj. – Sean rzucił się do przodu, żeby go powstrzymać, ale Riccardo pociągnął już za spust. Lufa strzelby podskoczyła do góry, a kolba kopnęła go w ramię, odrzucając krok do tyłu.

– Oszalałeś? – Zanim Sean zdołał go schwycić, Riccardo wystrzelił ponownie i ciężki pocisk wyrwał strzęp przepelnionej żywicą kory z pnia baobabu. Echa strzałów przetaczały się nad równiną.

– Szefie. – Sean dopadł go i schwycił za strzelbę, podrywając lufę ku górze, gdy Riccardo po raz trzeci pociągnął za spust. Sean wyrwał mu broń z ręki.

– Rany boskie, człowieku, co ty wyrabiasz? Uszy ludzi były zatkane od ryczących wystrzałów i wściekły głos Seana wydawał się zduszony i pusty.

– Tukutela – odpowiedział Riccardo. – Nie widzisz go? Dlaczego mnie powstrzymałeś? – Twarz miał nabiegłą krwią, a jego ciało drżało jak w wysokiej gorączce. Sięgnął po broń, ale Sean cofnął rękę.

– Opanuj się – huknął na niego Sean i rzucił pustą strzelbę Jobowi. – Uważaj, żeby znowu jej nie dostał! – zawołał odwracając się do Riccarda. – Zupełnie ci odbiło, czy co? – Złapał go za ramię. – Odgłos strzałów rozejdzie się na wiele kilometrów.

– Zostaw mnie! – Riccardo wyrywał się z uścisku. – Nie widzisz go?

Sean potrząsnął nim gwałtownie.

– Uspokój się, do cholery. Strzelałeś do drzewa! Jesteś pełnym wariatem!

– Daj mi strzelbę – prosił Riccardo. Sean znowu nim potrząsnął i obrócił szorstko w stronę baobabu.

– Spójrz tylko, ty cholerny kretynie! To jest twój słoń! – Pchnął go w stronę drzewa. – Przyjrzyj mu się!

Claudia podbiegła do nich i starała się powstrzymać Seana.

– Zostaw go w spokoju! Nie widzisz, że jest chory?

– On zupełnie oszalał! – Sean odepchnął ją mocno. – Zaalarmował wszystkich łobuzów z Frelimo i Renamo w promieniu stu kilometrów...

– Zostaw go. – Claudia rzuciła się na niego z pięściami. Sean puścił jej ojca i cofnął się

o krok.

– W porządku, kotku, jest twój.

Claudia podbiegła do ojca i mocno go objęła.

– Wszystko w porządku, tatusiu! Wszystko będzie w porządku! Riccardo patrzył nic nie rozumiejąc na głębokie rany w korze drzewa, z których wypływała żywica.

– Myślałem, że to... – Potrząsnął głową. – Dlaczego to zrobiłem? Nie wiem... Myślałem, że to słoń.

– Tak, tatusiu. – Claudia tuliła go do siebie. – Nie przejmuj się tym.

Job i reszta grupy stali w milczeniu. Ze zmartwieniem przyglądali się dziwnemu zachowaniu Riccarda, którego nie byli w stanie pojąć. Sean obrócił się z wyraźną niechęcią. Potrzebował kilku sekund, żeby się opanować i wreszcie spytał Matatu:

– Myślisz, że jesteśmy dostatecznie blisko Tukuteli, żeby mógł usłyszeć strzały?

– Bagna są blisko, a każdy odgłos niesie się nad płaskim terenem jak nad wodą. – Matatu wzruszył ramionami. – Może słoń słyszał, kto to może wiedzieć?

Sean spojrzął w stronę, z której przyszli. Z grzbietu ścieżki widać było równinę Zambezi aż po zasłonięty przez kurz horyzont.

– Job, jaka jest szansa, że strzały słyszały dupki, które za nami podążały?

– Sean, dowiemy się z obrotu rzeczy. To zależy od tego, jak blisko nas są.

Sean otrząsnął się z gniewu w ten sam sposób, w jaki spaniel otrząsa się z wody.

– Odpocznijmy tutaj. Mambo jest chory. Zrób herbatę. Zastanowimy się, co robić dalej – polecił Sean.

Podszedł do Claudii, która wciąż trzymała ojca w objęciach. Teraz zasłoniła go własnym ciałem przed Seanem.

– Szefie, przepraszam, że się tak na ciebie wkurzyłem – powiedział spokojnie. – Porządnie mnie wystraszyłeś.

– Nic nie rozumiem – wymamrotał Riccardo. – Mógłbym przysiąc, że to on. Widziałem go tak wyraźnie.

– Robimy postój na herbatę – odpowiedział mu Sean. – Myślę, że to od słońca. W taki upał może człowiekowi wypalić mózg.

– Za kilka minut będzie w porządku – powiedziała pewnym tonem Claudia. Sean chłodno skinął głową.

– Posadźmy go w cieniu.

Riccardo oparł się o pień baobabu i zamknął oczy. Był blady. Wyglądał na zaszokowanego własnym postępkiem; na brodzie i górnej wardze było widać kilka kropelek potu. Claudia przykucnęła przy ojcu i otarła je końcem chustki, ale kiedy spojrzała na Seana, ten skinął na nią głową. Dziewczyna wstała i poszła za nim.

– Widzę, że to cię wcale nie zdziwiło – rzucił oskarżycielskim tonem, gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem głosu. Nie odpowiedziała mu nic, więc mówił dalej. – Co z ciebie za

córka? Wiedziałaś, że ojciec źle się czuje, i pozwoliłaś mu na tę wyprawę.

Jej usta mocno drżały, a kiedy Sean spojrzął jej w oczy, zobaczył, że są pełne łez. Nie spodziewał się tego po niej. Czuł, jak wściekłość powoli go opuszcza. Musiał się wysilić, żeby nadać swojemu głosowi stanowcze brzmienie.

– Trochę za późno, żeby się teraz rozczulać, kotku. Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby odtransportować go do domu.

– Ojciec nie jedzie do domu – powiedziała tak cicho, że ledwie dosłyszał jej słowa. Lśniące łzy wisiały na jej rzęsach. Sean patrzył na nie w milczeniu. Claudia przełknęła ślinę i mówiła dalej. – Sean, on nie jest chory. On umiera. To rak. Został rozpoznany przez lekarza, zanim ojciec tu przyleciał. Doktor przewidywał, że to może zaatakować jego mózg.

Gniew Seana zniknął jak zdmuchnięty.

– Nie – szepnął. – Nie Szef.

– Jak myślisz, dlaczego zgodziłam się, żeby poszedł na to polowanie, i postanowiłam, że będę mu towarzyszyć? Wiedziałam dobrze, że to jego ostatnie polowanie – i chcę być z nim do samego końca.

Stali w milczeniu patrząc na siebie. Wreszcie Claudia powiedziała:

– Troszczysz się o niego. Naprawdę ci na nim zależy. Nie spodziewałam się tego po tobie.

– Jest moim przyjacielem – odparł Sean zdziwiony głębią swojego smutku.

– Nie podejrzewałam, że jesteś zdolny do takich uczuć – dodała cicho. – Chyba pomyliłam się co do ciebie.

– Może oboje pomyliliśmy się co do siebie – stwierdził Sean i Claudia skinęła głową.

– Może i tak – zgodziła się. – W każdym razie dziękuję ci. Dziękuję ci za to, że troszczysz się o mojego ojca.

Zrobiła ruch, jakby chciała się odwrócić, lecz Sean ją powstrzymał.

– Nie podjęliśmy jeszcze decyzji – powiedział. – Co mamy dalej robić.

– Oczywiście idziemy naprzód – odparła. – Aż do samego końca. Obiecałam mu to.

– Masz charakter – stwierdził Sean.

– Jeśli tak, to mam go po nim – odrzekła i wróciła do ojca.

Kubek herbaty oraz kilka tabletek aspiryny ożywiły Riccarda. Znowu mówił i zachowywał się zupełnie racjonalnie. Nikt nie wspominał o jego szaleńczym zachowaniu, chociaż na wszystkich zrobiło silne wrażenie.

– Szefie, musimy ruszać w drogę – powiedział Sean. – Tukutela oddala się od nas z każdą minutą, gdy my siedzimy.

Szli wzdłuż wysokiego wzniesienia. Teraz zapach mokradeł był coraz silniejszy, przywiewany zmiennym wiatrem.

– To jeden z powodów, dla których słoni tak lubi moczary – wyjaśnił Sean. – Wiatr tutaj jest bardzo zmienny i trudno jest go podejść.

Pomiędzy drzewami przed nimi była przerwa. Sean zatrzymał się i wszyscy patrzyli przez nią na rozciągający się dalej teren.

– Oto i one – oznajmił Sean. – Wielkie mokradła Zambezi.

Ścieżka, na której stali, ciągnęła się przez otwartą równinę niczym olbrzymi wąż morski i znikła w miejscu, gdzie równina przechodziła w ciągnące się po horyzont papirusy i zarośla.

Sean podniósł do oczu lornetkę i przyjrzał się moczarom. Wydawało się, że przed nimi są jedynie trzciny, ale Sean leciał nad bagnami i wiedział, że są tu także płytkie laguny otwartej wody i wąskie kanały pomiędzy zaroślami. Dalej, tuż przed horyzontem widać było szereg małych wysepek, ciemne plamy porośniętej gęstą roślinnością ziemi, nad którą wystawały cienkie pnie wysokich palm z kłębiastymi koronami.

Ostatni sezon był wyjątkowo suchy, więc poziom wody był bardzo niski, w wielu miejscach sięgający zapewne do pasa, ale kanały musiały być znacznie głębsze, wypełnione czarnym mułem. Czekala ich ciężka droga; każdy ich krok będzie powstrzymywany poza mułem i wodą przez trzciny i inne wodne rośliny, które czepiając się nóg będą paraliżować marsz.

Dla ludzi każdy kilometr na moczarach znaczył tyle, co pięć na suchym lądzie, podczas gdy słoń znajdował się w swoim żywiole. Słonie uwielbiają błoto i wodę, która podtrzymuje ich wielkie cielska. Stopy zwierzęcia rozszerzając się przy każdym kroku, gdy przenosi na nie ciężar, zostawiają w mule szerokie otwory, z których łatwo wyciąga nogi, gdyż te kurczą się lekko, gdy podnosi je ku górze.

Tukutela mógł żywić się trzciniami, miękkimi roślinami wodnymi i trawą bagienną, a gęsto zarośnięte wysepki oferowały mu szerokie urozmaicenie pożywienia. Chlupot wody i bulgotanie mułu, a także wiatr nieustannie zmieniający kierunek ostrzegą słonia o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Ze wszystkich terenów, jakie przemierzał Tukutela, moczary były najtrudniejsze do polowania.

– Szefie, to będzie niedzielna przechadzka po parku. – Sean zniżył lornetkę. – Możesz myśleć o kłach, jakbyś już je miał i powiesił u siebie w domu nad kominkiem.

Ślad słonia prowadził do krawędzi ścieżki i brzegu papirusów, gdzie pochłaniało go zielone morze trzcin.

– Nikt nie może podążać za śladem przez te moczary. – Riccardo stał w miejscu, gdzie kończyła się sucha ziemia i zaczynało błoto. – Nikt tam nie znajdzie Tukuteli – powtórzył, patrząc na ścianę trzcin, która sięgała mu nad głowę. – Z pewnością nikt tego nie dokona.

– Masz rację, nikt go tam nie znajdzie – zgodził się z nim Sean. – Nikt poza Matatu.

Stali wśród szczątków wioski, która została zbudowana nad samymi moczarami. Jej poprzedni mieszkańcy musieli być rybakami z jednego z licznych małych plemion, które żyją nad brzegami Zambezi i utrzymują się z rybołówstwa. Z wioski pozostały jedynie szkielety konstrukcji, na których suszono złowione ryby, wszystkie domki zostały doszczętnie spalone.

Job, który przeszukiwał obrzeża wioski, zagwizdał na Seana. Kiedy ten zbliżył się do niego, zobaczył, że Job przygląda się jakiemś przedmiotowi leżącemu w niskiej trawie. Na pierwszy rzut oka przedmiot przypominał kupę szmat, ale przyjrząwszy się lepiej Sean dojrzał wystające spod materiału kości. Szkielet był nadal częściowo pokryty wysuszoną skórą i ciałem.

– Jak długo? – zapytał Sean.

– Jakies pół roku.

– Jak zginął?

Job przykucnął przy szkielecie. Kiedy obrócił czaszkę, oderwała się od kręgosłupa niczym dojrzały owoc. Wziął ją w ręce i głowa trupa uśmiechnęła się do niego pustymi oczodołami.

– Kula z tyłu głowy – stwierdził Job. – Dziura wylotowa z tej strony. – Otwór wyglądał niczym trzecie oko pośrodku czoła. Odłożył czaszkę na ziemię i wszedł dalej w trawę.

– Tu jest następny! – zawołał.

– To pewnie Renamo tu byli – zawyrokował Sean. – Szukali rekrutów lub suszonych ryb albo jednego i drugiego.

– A może to było Frelimo, które szukało partyzantów Renamo i postanowiło przepytąć mieszkańców z AK-47 przystawionym do głowy.

– Biedni dranie – powiedział Sean. – Zawsze obrywają z obu stron. Założę się, że wokół wioski leży ich dużo więcej. To ci, którym udało się uciec z płonących domów.

Wrócili do zrujnowanych zabudowań i Sean wpadł na pewien pomysł.

– Jeśli byli rybakami, to powinni mieć gdzie swoje czółno. Pewnie je schowali. Przydałoby nam się jedno. Rozejrzyj się wśród papirusów, a potem zobacz w lesie za wioską.

Sean podszedł do siedzących na ziemi Riccarda i Claudii. Zbliżając się do nich posłał dziewczynie pytające spojrzenie, na co skinęła głową i uśmiechnęła się optymistycznie do niego.

– Tatuś czuje się bardzo dobrze. Co to za miejsce? Sean wyjaśnił jej swoje podejrzenia co do losu wioski.

– Dlaczego ktoś miałby zabijać niewinnych ludzi? – Claudia była zaszokowana.

– Teraz w Afryce, poza karabinem w ręku i chęcią pociągnięcia za spust, nie trzeba mieć specjalnych powodów, żeby kogoś zabić.

– Ale czym oni mogli komukolwiek zaszkodzić? – nie dawała za wygraną.

Sean wzruszył ramionami.

– Ukrywali buntowników, nie chcieli udzielić informacji, schowali żywność, odmawiali użyczenia swoich kobiet; mogli popełnić którekolwiek z tych przestępstw albo żadne.

W mgiełce unoszącej się nad moczarami słońce wyglądało niczym olbrzymia kula ognia i wisiało tak nisko nad papirusami, że Sean mógł patrzeć na nie prosto bez mrużenia oczu.

– Będzie już ciemno, zanim zbierzemy się w drogę – powiedział. – Przenocujemy tutaj



i wyruszymy jutro o pierwszym brzasku. Jedyne pozytywne fakty to to, że kiedy Tukutela dostał się już na mokradła, będzie się poruszał znacznie wolniej. Podejrzewam, że jest teraz kilka kilometrów przed nami. – Mówiąc to przypomniał sobie o strzałach oddanych przez Riccarda. Jeśli słoń je usłyszał, to nadal będzie uciekał. Sean nie widział jednak powodu, żeby mówić o tym Riccardowi. Starszy mężczyzna i tak wyglądał na wymęczonego i roztrzęsionego. Od czasu wypadku z baobabem niemal wcale się nie odzywał.

„To tylko szkielet starego Szefa, którego znałem. Jedyne, co mogę jeszcze dla niego zrobić, to dostać mu tego słońia”. Współczucie Seana było szczere. Usiadł obok przyjaciela i starał się wyciągnąć go na rozmowę, opisując mu czekającą ich wyprawę i sposób, w jaki będą polowali na słońia wśród papirusów.

Polowanie było jedyną rzeczą, jaka jeszcze interesowała Riccarda. Pierwszy raz tego dnia ożywił się nieco, a raz nawet się roześmiał.

Claudia posłała Seanowi wdzięczny uśmiech, a następnie wstała i powiedziała:

– Mam pilną sprawę do załatwienia.

– Dokąd idziesz? – zapytał natychmiast Sean.

– Do pokoju małych dziewczynek – odparła – i z pewnością nie jesteś zaproszony.

– Nie oddalaj się za daleko i żadnego pływania tym razem – przestrzegł ją. – Jutro będziesz miała aż nadto wody.

– Słyszę cię i jestem posłuszna, o wielki, biały Bwana. – Uśmiechnęła się sarkastycznie i wyszła poza obrzeże spalonej wioski. Sean przyglądał się jej troskliwym wzrokiem. Miał już przestrzec ją jeszcze raz, gdy dobiegł go krzyk z gąszczy papirusów.

Zerwał się na równe nogi.

– Co jest, Job?! – odrzyknął i podszedł do brzegu wody.

Z gęstych trzciny dobiegły go kolejne zawołania i plusk wody, a po chwili zobaczył Joba z Matatu ciągnących jakiś duży ciemny, pełen wody przedmiot.

– Pierwszy uśmiech losu. – Sean uśmiechnął się do Riccarda i poklepał go po ramieniu.

Było to tradycyjne mokorro, długie na jakieś pięć metrów czółno zrobione z jednego pnia drzewa *kigelia africana*. Dłubanka była dostatecznie szeroka, żeby mógł w niej usiąść dorosły człowiek. Kierowana była przez jedną osobę, która stała na końcu łódki i popychała ją długą żerdzią.

Job wylał wodę z wnętrza czółna, po czym razem z Seanem obejrzel je dokładnie. Kadłub nosił ślady napraw i w kilku miejscach był popękany, ale wydawał się mocny i wytrzymały.

– Przeszukaj wioskę – polecił Sean. – Muszą mieć gdzieś materiał uszczelniający. Jeśli go znajdziesz, to poleć Pumuli i Dedanowi, żeby wycięli kilka żerdzi.

W tej chwili dobiegł ich krzyk Claudii. Obaj obrócili się w stronę, skąd dobiegło wołanie. Dziewczyna znowu krzyknęła, a jej głos zdawał się dziwnie zduszony Sean rzucił się biegiem w tamtą stronę, łapiąc po drodze strzelbę, którą oparł o spaloną chatę.

– Claudia! – zawołał. – Gdzie jesteś? – Z lasu odpowiedziało mu jedynie echo: – Gdzie jesteś?...jesteś?

Kiedy Claudia wstała i zapięła pasek, stwierdziła, że udało się jej przesunąć go o dwie dziurki dalej niż zazwyczaj. Spojrzała z aprobującym uśmiechem na swój brzuch. Teraz był nie tylko płaski, ale wręcz wklęsły. Długi marsz i małe racje żywnościowe pozwoliły jej zrzucić ostatnie gramy tłuszczu.

„Dziwne, jak w wieku wyjątkowego dostatku musimy się tak głodzić”. Uśmiechnęła się ponownie. „Po powrocie do domu muszę szybko nadrobić te kilka straconych kilogramów. Sporo spaghetti i czerwonego wina”.

Ruszyła w stronę wioski, ale po chwili zorientowała się, że w poszukiwaniu ustronnego miejsca oddaliła się dalej, niż zamierzała, i że na jej drodze wyrasta gęsty zagajnik ciernistych krzaków. Skręciła w bok, żeby go ominąć, i wyszła na szeroką ścieżkę prowadzącą przez las prosto do mokradeł. Z ulgą ruszyła nią szybszym krokiem.

Nie wiedziała, że wyszła na jedną ze ścieżek hipopotamów, którą wielkie ssaki wykorzystywały w czasie nocnych wędrówek po lesie. Z drogi tej jednak nikt nie korzystał od wielu miesięcy. Zamieszkujące tę okolicę hipopotamy zostały zdziesiątkowane wraz z innymi zwierzętami. Spieszyła się, żeby jak najszybciej wrócić do ojca, i czuła się trochę nieswojo w nieznanym lesie. Szła coraz szybciej powstrzymując się siłą woli, żeby nie zacząć biec.

Przed nią w poprzek drogi rozpościerała się szeroka mata uschniętych papirusów. Została tu najwidoczniej umieszczona przez mieszkańców wioski i mimo że Claudia nie miała pojęcia, jakiemu celowi mogła służyć, nie stanowiła dla niej żadnej przeszkody, więc weszła na nią z rozbiegu.

Dół został wykopany, by łatwo schwytać hipopotama. Dziura w ziemi była głęboka na trzy metry, o kształcie lejka, który miał za zadanie uwięzić ciężkie zwierzę pomiędzy zwężającymi się ścianami. Otwór został przykryty rusztowaniem z gałęzi, które nie powinno załamać się pod człowiekiem czy zwierzęciem podobnej wielkości. Na wierzchu konstrukcji budowniczo wie rozłożyli liście papirusa.

Na nieszczęście pułapka została zbudowana wiele miesięcy temu. Zarówno gałęzie jak i liście zdążyły już przegnić. Kiedy Claudia na nie wstąpiła, załamały się i dziewczyna zdążyła wydać jeden okrzyk, zanim runęła w dół objając się na stromej ścianie. Dno dołu było wypełnione kilkucentymetrową warstwą stęchłej wody, która przedostała się przez liście. Dziewczyna upadła na ziemię z jedną nogą podwinętą pod siebie i przetoczyła się na plecy w błocie.

Siła uderzenia pozbawiła ją oddechu, a w kolanie odezwał się okropny ból. Przez kilka minut nie miała siły odpowiedzieć na stłumione zawołania, jakie ją dochodziły z lasu. Usiadła przyciskając zranione kolano do piersi i oddychając ciężko. Wreszcie udało jej się odpowiedzieć na wołania.

– Tutaj! Tu jestem!

– Wszystko w porządku? – W otworze pojawiła się głowa Seana.

– Chyba tak! – Spróbowała wstać, ale ból przeszył jej nogę i opadła na ziemię. – Moje kolano – jęknęła.

– Poczekaj. Już schodzę. – Głowa zniknęła. Usłyszała nad sobą głosy. Job, Matatu i jej ojciec. Następnie na dół spadła nylonowa linka. Sean opuścił się po niej zręcznie i zeskoczył w błoto obok dziewczyny.

– Tak mi przykro – powiedziała głosem pełnym skruchy. – Chyba znowu zrobiłam jakieś głupstwo.

– Nie przepraszaj – Sean uśmiechnął się do niej. – Nie jestem do tego przyzwyczajony. Zresztą tym razem nie jest to twoja wina. Pozwól, że obejrzę twoją nogę.

Ukucnął obok niej.

– Spróbuj poruszyć stopą. Świetnie! Możesz zgiąć kolano? Bardzo dobrze! Przynajmniej nie złamałaś żadnej kości. To już coś. Zaraz cię wydostaniemy z tej dziury. – Zawiązał pętlę na końcu linki i przełożył ją przez głowę i ramiona dziewczyny, a następnie umocował pod pachami.

– Dobra, Job! – zawołał. – Ciągnij do góry. Tylko ostrożnie, człowieku.

Gdy tylko wydostali się na powierzchnię, Sean uważniej obejrzał jej kolano.

Podciągnął nogawkę i zaklął:

– Cholera!

Jako dowódca oddziału Skautów Sean znał się doskonale na wszelkiego rodzaju urazach, jakich może doznać spadochroniarz: złamanych kościach, pękniętych chrząstkach i naderwanych ścięgnach w kolanie i kostce. Kolano Claudii zdążyło już porządnie spuchnąć, a skórę zabarwił czerwony siniak.

– To może trochę boleć – ostrzegł Claudię i delikatnie obrócił jej nogę.

– Auuu! – jęknęła. – To boli!

– W porządku – skinął głową. – To wiązadło kolanowe. Nie sądzę, żebyś je naderwała, gdyż wtedy ból byłby znacznie większy. Prawdopodobnie tylko je naciągnęłaś.

– Co to oznacza? – zapytała.

– Trzy dni – odparł Sean. – Przez następne trzy dni nie staniesz na tej nodze.

Objął ją ramieniem.

– Spróbuj wstać – poprosił, a kiedy skinęła głową, pomógł jej się podnieść. Stojąc na zdrowej nodze oparła się o niego.

– Postaraj się postawić ją na ziemi – zaproponował. Natychmiast zawyla z bólu.

– Nie, nie mogę na niej stanąć.

Sean schyliwszy się, wziął ją na ręce, jakby była małym dzieckiem i zaniósł ją do wioski. Claudia była zdziwiona jego siłą i mimo że kolano silnie pulsowało, rozluźniła się w jego objęciach. Doznawała bardzo przyjemnego uczucia. Ojciec nosił ją w ten sposób, gdy była małą dziewczynką. Z trudem powstrzymywała się, żeby nie oprzeć głowy na ramieniu Seana.

Kiedy doszli do wioski, Sean posadził Claudię na ziemi, a Matatu pobiegł, żeby przynieść jego plecak. Wypadek córki odwrócił uwagę Riccarda od własnych problemów. W przyptywie troskliwości zameczał ją wyrzutami, które normalnie by ją rozgniewały. Teraz jednak przyjmowała je z wdzięcznością, bo ojciec się nieco ożywił.

Sean owinał jej kolano elastycznym bandażem i dał tabletkę działającą przeciwzapalnie, którą popiła gorącą herbatą.

– To wszystko, co możemy obecnie zrobić – powiedział i usiadł na ziemi obok dziewczyny. – Jedynie czas może cię wyleczyć.

– Dlaczego powiedziałeś trzy dni?

– Zazwyczaj tyle to trwa. Widziałem już setki podobnych urazów, tyle że zazwyczaj były to nogi bardziej owłosione i nigdy tak zgrabne.

– Ale komplement. – Uniosła brew. – Pułkowniku, staje się pan cikliwy.

– Oczywiście to należy do obowiązków lekarza i jest zupełnie nieszczerze – zapewnił ją z szelmowskim uśmiechem. – Niestety, kotku, stoi przed nami pytanie, co, do diabła, z tobą zrobimy?

– Zostawcie mnie tutaj – odparła bez zastanowienia.

– Oszalałaś? – zapytał, a Riccardo poparł go skinięciem głowy.

– To w ogóle nie wchodzi w rachubę.

– Spójrzcie na to w ten sposób – argumentowała na spokojnie. – Nie mogę się ruszać przez trzy dni i w tym czasie twój słoń dawno już ucieknie gdzieś daleko, tatusiu. – Podniosła rękę, żeby powstrzymać ich sprzeciw. – Nie możemy wrócić, bo nie mogę chodzić. Tak czy inaczej musielibyśmy tu siedzieć.

– Nie możemy cię zostawić tu samej, nie bądź niemądra.

– Nie – zgodziła się z nim. – Ale możecie zostawić kogoś, żeby się mną opiekował, gdy wy pójdziecie za Tukutelą.

– Nie. – Riccardo pokręcił głową.

– Sean – zwróciła się bezpośrednio do niego. – Przekonaj go, że to jedyne sensowne rozwiązanie.

Patrzył jej w oczy. Podziw, jaki w nich dostrzegła, wzbudził w niej bardzo ciepłe uczucia.

– Cholera jasna – powiedział cicho. – Ona ma rację.

– Sean, powiedz ojcu, że to tylko kilka dni. Oboje wiemy, ile ten słoń znaczy dla ojca. Chciałabym ci go podarować, tatusiu, jako mój... – Omal nie powiedziała „ostatni prezent”, ale powstrzymała się – jako mój specjalny prezent.

– Tesoro, nie mogę tego przyjąć. – Głos ojca był szorstki, ale jednocześnie dziwnie ochryply i Riccardo schylił głowę, żeby ukryć swoje wzruszenie.

– Sean, przekonaj go – nalegała Claudia chwytając mocno jego przedramię. – Powiedz mu, że będę tu równie bezpieczna pod opieką Joba, jak na moczarach z wami.

– Szefie, to nie jest bez sensu – odparł Sean. – Zresztą, to nie moja sprawa. Musicie to

załatwić pomiędzy sobą.

– Sean, zostawisz nas na chwilę samych? – zapytała Claudia i nie czekając na jego odpowiedź zwróciła się do ojca. – Tatusiu, usiądź obok mnie. – Poklepała lekko ziemię ręką.

Sean wstał i odszedł na bok, zostawiając ich wśród narastających ciemności, po czym przysiadł się do Joba. Milczeli przez dłuższą chwilę pijąc herbatę i paląc na zmianę jedno z ostatnich cygar.

Minęła godzina. Było już zupełnie ciemno, gdy Riccardo podszedł do nich obu. Stał nad nimi, a gdy się odezwał, jego głos był ochryply i pełen smutku.

– W porządku, Sean – powiedział. – Claudia przekonała mnie, żeby zrobić, jak ona chce. Czy moglibyśmy wyruszyć jutro z samego rana? Aha, Job, czy zostałbyś w obozie i zaopiekował się moją córką?

– Będę się nią opiekował, sir – zapewnił Job. – Niech pan zastrzeli tego słonia. Będziemy tu czekać na pana.

Przy świetle księżyca przenieśli się ze spalonej wioski i rozłożyli się obozem kilkaset metrów dalej, w głębi lasu.

Dla Claudii zbudowano nieduży szałas, w którym umieszczono posłanie ze świeżo ściętej trawy. Sean zostawił podręczną apteczkę oraz większość zapasów żywności. Do pilnowania Claudii zostali wyznaczeni Job i Dedan. Job miał do obrony lekką strzelbę 30/06 z kolbą z włókna szklanego, a Dedan siekiere i nóż do oprawiania zwierząt.

– Job, wyślij Dedana, żeby miał oko na drogę. Każdy patrol Frelimo czy Renamo będzie musiał przejść tamtędy. Jeśli dostrzeżecie pierwsze oznaki kłopotów, natychmiast weźcie Claudię na moczary i ukryjcie ją na jednej z wyseppek. – Sean wydał ostatnie polecenia i podszedł do Riccarda, który rozmawiał z córką. – Szeffie, jesteś gotowy?

Riccardo podniósł się szybko z ziemi i odszedł od Claudii nie oglądając się za siebie.

– Tylko nie wpadnij w nowe tarapaty – przestrzegł ją Sean.

– Tak samo i ty. – Dziewczyna podniosła na niego wzrok. – Sean, opiekuj się ojcem.

Przykucnął przed nią i wyciągnął ku niej rękę w ten sam sposób, jakby żegnał się z mężczyzną. Starał się powiedzieć coś dowcipnego, ale nic mu nie przychodziło do głowy.

– A więc wszystko w porządku? – zapytał w końcu.

– Wszystko w porządku – zgodziła się. Sean wstał i podszedł do brzegu mokradeł, gdzie Matatu, Pumula i Riccardo czekali już na niego obok łódki.

Matatu zajął miejsce na dziobie wąskiego czółna, Sean i Riccardo siedzieli pośrodku, a Pumula stał na rufie popychając łódź długą żerdzią w kierunku wskazywanym mu przez Matatu.

W chwilę po tym, jak odbili od brzegu, otoczyła ich gęsta palisada papirusów. Nie widzieli nic poza ścianą zarośli i kawałkiem żółtego od wschodzącego słońca nieba. Przy każdym posunięciu do przodu ostre końce liści papirusów celowały prosto w ich twarze, stanowiąc zagrożenie dla oczu, a cienkie pajęczyny utkane przez bagienne pająki przylepiały

się do skóry, lepkie i trudne do zerwania. Nad mokradłami wisiał jeszcze nocny chłód i kiedy wypłynęli na otwartą lagunę, nad powierzchnią wody unosiła się ciężka mgła. Niedaleko przed nimi z poświstem zerwało się do lotu stado dzikich kaczek.

Z czterema osobami na pokładzie dłubanka była mocno przeciążona. Nad powierzchnię wystawały nie więcej niż dwa centymetry burty. Gdy tylko któryś z nich wykonał gwałtowniejszy ruch, woda przedostawała się do środka i musieli ją pospiesznie wylewać kubkiem do herbaty. Nie mieli jednak czasu, żeby się nad tym zastanawiać, gdyż Matatu nieustannie wskazywał nowy kierunek.

W końcu słońce weszło nad papirusy i niemal natychmiast mgła pozwijawszy się w cienkie strużki, uniosła się ku niebu. Lilie wodne otworzyły błękitne kielichy i obróciły je ku słońcu. Dwukrotnie zobaczyli olbrzymie krokodyle, które wypoczywały w wodzie, wystawiając na powierzchnię jedynie oczy. Gdy łódka zbliżała się do nich, wielkie gady zanurzały się głębiej.

Mokradła były pełne ptaków. Bąki i nocne czaple kryły się wśród trzcin, podczas gdy małe jacany o czekoladowym upierzeniu biegały pomiędzy liliami na długich nogach, a czaple olbrzymie, wysokie jak człowiek, przeczesywały płytsze obrzeża laguny w poszukiwaniu ryb. Nad łódką unosiły się stada pelikanów i czapli białych, kormoranów i ptaków z rodziny zimorodków, a także kilkanaście rodzajów dzikich kaczek.

Upał szybko się wzmagał. Fale ciepła odbijając się od powierzchni wody padały prosto na ich twarze, tak że po krótkim czasie obaj biali mężczyźni byli dokładnie mokrzy od potu. Miejscami woda była głęboka zaledwie na kilka centymetrów. Wtedy musieli wysiadać z łodzi i ciągnąć ją za sobą do następnego kanału czy laguny. Pod stłamszonymi trzcinami muł był czarny i cuchnący i często sięgał im do kolan.

W płytszych miejscach stopy słonia zostawiły głębokie okrągłe kratery wypełnione wodą. Ślad prowadził coraz głębiej i głębiej w moczary, ale mogli się pocieszyć szybką jazdą, jaką zapewniała im dłubanka popychana długą żerdzią. Sean postanowił zastąpić Pumulę przy żerdzi, ale ten szybko miał dosyć jego niezdarnych ruchów i zabrał mu drag.

Na dnie łódki było dosyć miejsca, żeby jeden mężczyzna mógł się swobodnie wyciągnąć. Tej nocy Riccardo wyspał się porządnie, podczas gdy pozostali przesiedzieli długie godziny po pas w mule, opierając się o kadłub czółna i próbując zasnąć wśród chmar moskitów.

Wczesnym rankiem, kiedy Sean podniósł się z mułu, stwierdził, że jego nogi są gęsto pokryte czarnymi pijawkami. Ohydne robaki wczepiły się mocno w skórę i były napęczniałe od wypitej krwi. Sean musiał poświęcić odrobinę cennej soli, żeby się ich pozbyć. Gdyby chciał je oderwać, pozostałyby małe ranki, do których wpuściły antykoagulator i z których ciekłaby obficie krew, a nawet mogło się wdać zakażenie. Posypanie pijawek odrobiną soli powodowało, że wily się w agonii i odpadały od ciała, zostawiając zasklepioną ranę.

Kiedy Sean zdjął spodnie, zobaczył, że wstrętne robaki wśliznęły się także pomiędzy pośladki i przyczepiły do genitaliów, z których zwisały niczym pęki dorodnych winogron. Aż

zadrzał z odrazy. Riccardo przyglądał mu się z zainteresowaniem rzucając dowcipami, gdy ten trudził się nad pozbyciem pijawek.

– Hej, Sean, nigdy nie podejrzewałem, żebyś miał coś przeciwko fellatio! Sean wbił mocno żerdź w muł i przytrzymał ją, podczas gdy Matatu wspiał się zwinnie niczym małpka na szczyt, żeby rozejrzeć się dokoła. Kiedy zeskoczył na dół, powiedział:

– Widziałem wysepki. Jesteśmy już bardzo blisko. Powinniśmy dotrzeć do nich w południe i jeśli Tukutela nas nie słyszał, to powinien być na jednej z nich.

Sean pamiętał z przelotu nad tym obszarem i dokładnych studiów nad mapą, że wyspy tworzyły łańcuch pomiędzy mokradłami a głównym nurtem Zambezi. Z Seanem, ciągnącym z przodu za linę przywiązaną do dziobu, a Matatu i Pumulą pchającymi z tyłu, przeprowadzili dłubankę przez wszystkie płycizny. Riccardo zaoferował się z pomocą, ale Sean odpowiedział:

– Szeffie, masz darmowy przejazd. Chcę, żebyś porządnie wypoczął i nie miał żadnych wymówek, gdy spieprzysz sprawę z Tukutelą.

W końcu nawet z łódki można było dostrzec czuby wysokich palm wystających nad ścianę papirusów. Nagle woda sięgnęła Seanowi po brodę. Wszyscy musieli wsiąść do łódki. Pumula dowiózł ich do pierwszej z wysepek. Roślinność była tu tak gęsta, że zwisała nad wodę i musieli się porządnie napracować, żeby dotrzeć do brzegu.

Na wyspie ziemia była szara i piaszczysta, wyjąłowiona wieloma zalewami, ale było dobrze czuć stały grunt pod nogami. Sean rozpostarł na słońcu ich ubrania i sprzęt, a w tym czasie Matatu udał się na zwiad wokół wysepki. Zaledwie woda na herbatę zdążyła się zagotować, mały tropiciel wrócił.

– Tak. – Skinął głową do Seana. – Przeszedł tędy wczoraj rankiem, gdy opuszczaliśmy wioskę, ale teraz idzie już bardzo wolno. Ogarnął go spokój rzeki i pożywia się bardzo cicho. Opuścił to miejsce dziś o świcie.

– Dokąd poszedł? – zapytał Sean i Matatu wskazał kierunek.

– Nie opodal jest następna, większa wyspa.

– Chodźmy rzucić na nią okiem.

Sean nalał kubek herbaty Riccardoowi. Zostawił go z Pumulą, podczas gdy on z Matatu przecięli północny brzeg wysepki i przedarli się przez gęste zarośla, doszli do najwyższego drzewa na wyspie, na które się wdrapali.

Sean usadowił się w rozwidleniu dwóch konarów, zerwał kilka liściastych gałązek ograniczających widoczność i rozejrzał się po okolicy.

Znajdował się pięćdziesiąt metrów nad ziemią, więc daleko przed sobą widział zamglony horyzont. Za wyspą rozpościerała się wielka Zambezi. Wody rzeki były zielonkawe i tak rozległe, że drzewa rosnące na przeciwległym brzegu zdawały się jedynie wąskim paskiem rozgraniczającym rzekę od kłębiastych chmur, które nieustannie napływały na błękitne afrykańskie niebo.

Rzeka płynęła tak szybko, że jej powierzchnia była pokryta wirami i przeciwnymi prądami. Prąd unosił całe kępy wyrwanej z mokradeł trawy, które zdawały się tak gęste i duże jak całe wyspy. Sean pomyślał o perspektywie przebycia rzeki w chybotałej łódeczce.

Musieliby przeprować się kilka razy, przewożąc po jednej osobie, więc szybko zrezygnował z pomysłu. Tylko jedna droga stała przed nimi otworem: droga powrotna do domu.

Sean skoncentrował się na łańcuchu wysepek, które stały niczym strażnicy pomiędzy samą rzeką a bagiennymi rozlewiskami. Najbliższa z nich była oddalona o trzysta metrów; prowadzący do niej kanał był zarośnięty trzcinami, wodnymi hiacyntami i liliami. Kielichy kwiatów odbijały się intensywnym niebieskim kolorem od zielonej wody. Nawet na czubku drzewa Sean mógł wyczuć ich silny zapach.

Podniósł do oczu lornetkę, by przyjrzeć się kanałowi i brzegowi wyspy. Nawet tak olbrzymi słoń jak Tukutela łatwo mógł się skryć w tym rozległym krajobrazie.

Nagle Sean zadrżał, gdy dojrzał powolny, ciężki ruch w trzcinach i refleks słońca na wilgotnej skórze. Przez chwilę napięcie rosło, żeby zaraz ulec potężnej fali rozczarowania, gdy rozpoznał szeroki, jakby zniekształcony łeb hipopotama, wynurzającego się z kanału.

W okularach lornetki mógł dostrzec różowe, świńskie oczka i szczecinę wystającą z nieproporcjonalnie małych uszu. Hipopotam zatrzepotał nimi niczym ptak skrzydłami, strząsając kropelki wody, które utworzyły gęstą mgiełkę wokół jego głowy. Przebrnął przez muł przechodząc z jednej płytkiej laguny do następnej i zatrzymał się jedynie na chwilę, by wypuścić z siebie strumień płynnego kału, który wytrysnął mu spod ogona. Siła wyrzutu rozpląszczyła za nim trzciny.

Sean z ulgą zobaczył, że zwierzę przenosi się do następnej laguny i znika pod wodą. Przegniły kadłub dłubanki nie miałby najmniejszej szansy wyjść cało z potężnych, zakrzywionych siekaczy hipopotama.

W końcu spojrzął na Matatu, który siedział na gałęzi za nim. Mały Ndorobczyk potrząsnął przecząco głową.

– Przeniósł się dalej, więc i my musimy ruszać.

Zsunęli się z drzewa i wrócili do Riccarda. Podróż w mokorro i całonocna drzemka zdawały się postawić mężczyznę na nogi. Czekał już na nich niecierpliwie gotów do podjęcia pogoni. Sean miał wrażenie, że wszystko jest jak za najlepszych czasów.

– Znaleźliście coś? – zapytał Riccardo.

– Nie. – Sean pokręcił głową. – Ale Matatu twierdzi, że jesteśmy już blisko. Od tej chwili obowiązuje absolutna cisza.

Podczas gdy ładowali pakunki do łódki, Sean wypił szybko kubek gorącej herbaty i zasypał piaskiem ognisko.

Przepchali czółno do następnej wysepki, gdzie Sean ponownie musiał wspinać się na szczyt drzewa, podczas gdy Matatu przebiegał zarośla, żeby znaleźć trop. Wrócił po



kwadransie, a Sean zszedł do niego z drzewa.

– Poszedł dalej – szepnął Matatu. – Wiatr jest niepomyślny. – Jego spojrzenie było poważne. Matatu wyjął woreczek z popiołem z opaski biodrowej i strzepnął odrobinę popiołu na wiatr, żeby pokazać jego kierunek. – Spójrz, jak wiruje i jaki jest zmienny. Niczym kurwa z plemienia Shangane.

Sean skinał głową. Zanim wsiedli do dłubanki, żeby przenieść się na następną wysepkę, zdjął z siebie koszulę. Teraz mógł czuć każdy powiew wiatru całym ciałem.

Na następnej wysepce przekonali się, że Tukutela wyszedł z wody na ląd. Muł, który pozostawił na trzcinach, był jeszcze wilgotny. Matatu zadrżał z podekscytowania niczym dobry pies myśliwski, który wyczuł zapach ściganej zwierzyny.

Zostawili łódkę na brzegu i ruszyli piechotą, przekradając się przez gęstą roślinność. Sean z ulgą zauważył, że lekka bryza poruszająca korony palm nad ich głowami zagłuszała odgłosy kroków na suchych liściach i gałązkach. Znaleźli miejsce, w którym stary słoń strząsnął orzechy z palmy i wsunął je do gardła, żeby połknąć nie przeżuając. Potem poszedł dalej.

– Uciekł? – zapytał szeptem Sean obawiając się, że byk mógł wyczuć ich obecność, ale Matatu uspokoił go zdecydowanym potrząśnięciem głowy i wskazał na zielone gałązki, które Tukutela odarł z kory i rozrzucił na ziemi. Gałązki nie zdążyły jeszcze wyschnąć. Trop prowadził zygzakiem przez całą wysepkę. Na jej brzegu przekonali się, że słoń wszedł znowu do wody. Sean posłał Pumulę, żeby przeprowadził łódkę wokół brzegów wyspy. Kiedy wrócił, wsadzili Riccarda na pokład i przepchnęli go przez kanał. Brodząc po pas w wodzie powoli i bezszelestnie posuwali dłubankę przed sobą.

Na kolejnej wysepce znaleźli stertę odchodów, miękką i przemieszaną z trzcinami i hiacyntami, które słoń zjadł, ale nie strawił. Obok odkryli kałużę moczu, która zalała trawę niczym małe bajorko. Ziemia była jeszcze wilgotna. Sean wziął garść piachu do ręki i ukształtował z niego kulę. Sterta odchodów zaschła na powierzchni, ale kiedy Matatu wsunął w nią stopę, w środku była wilgotna i ciepła. Mały tropiciel zawołał podnieconym szeptem:

– Blisko, bardzo blisko!

Sean instynktownie sięgnął do pasa po naboje i zamienił dwa pociski tkwiące w komorze strzelby na świeże. Zamknął ją ostrożnie, starając się stłumić metaliczny odgłos. Riccardo rozpoznał ten gest, który widział już tyle razy na wspólnym polowaniu, i uśmiechnął się z radością. Odwiódł kurek rigby i cicho go spuścił. Przekradali się w szeregu przez chaszczki dzikiej roślinności, by na końcu wyspy z rozczarowaniem stwierdzić, że słoń znowu wszedł pomiędzy porastające kanał papirusy.

Stali na brzegu wysepki patrząc na roślinną ścianę, przez którą Tukutela przeprawił się na następną wyspę. Jedna z przygiętych łódek wciąż jeszcze kołysała się, wolno podnosząc się do normalnej pozycji. Stary byk musiał przejść tędy zaledwie kilka minut przed nimi. Stali nieruchomo wyęzając słuch i starając się usłyszeć coś przez szmer wiatru w trzcinach.

W pewnej chwili dobiegł ich głęboki grzmot, niczym odgłos odległej burzy. Był to gardłowy dźwięk, jaki wydaje słoń, kiedy jest spokojny i najedzony. Niskie tony mogły się rozchodzić na dużą odległość, ale Sean wiedział, że byk jest zaledwie kilkaset metrów przed nimi. Ujął Riccarda za ramię i pociągnął za sobą.

– Musimy uważać na wiatr – zaczął wyjaśniać mu szeptem, gdy usłyszeli kolejny dźwięk, odgłos zasysanej trąbą wody, którą po chwili słoń polał sobie grzbiet dla ochłody. Nad wysokimi papirusami wynurzył się na chwilę ciemny koniuszek wzniesionej trąby.

Podniecenie myśliwych było tak silne, że Sean poczuł, jak coś ściska mu gardło, które wyszło doszczętnie, więc jego szept był dziwnie ochrypły:

– Cofamy się!

Dał znak ręką Matatu i wycofali się ostrożnie, krok za krokiem. Sean prowadził Riccarda za ramię. Gdy tylko weszli w gęstszy las, ten zapytał rozzłoszczonym szeptem:

– Co jest, do cholery? Byliśmy już tak blisko.

– Za blisko – odparł Sean. – Nie mieliśmy żadnej szansy na strzał w papirusach. Jeśli wiatr zmieniłby kierunek o kilka stopni, byłoby już po polowaniu. Musimy mu pozwolić wejść na wyspę, zanim ruszymy za nim.

Poprowadził Riccarda szybciej, aż zatrzymali się przy dużej dzikiej fidze o rozłożystych gałęziach.

– Przyjrzyjmy mu się – powiedział. Oparli broń o pień drzewa i Sean pomógł Riccardowi wspiąć się na pierwszy konar, a następnie sam podążył za nim, przechodząc z gałęzi na gałąź.

Blisko szczytu drzewa znaleźli pewną gałąź, na której mogli stanąć. Rozejrzeli się za słońcem.

Dostrzegli go od razu. Grzbiet Tukuteli wystawał ponad trzciny. Był mokry i czarny od wody, a kręgosłup odznaczał się hakowatą linią pod pomarszczoną skórą. Słoń był odwrócony do nich tyłem. Widzieli, jak jego potężne uszy o podartych i postrzępionych brzegach wachlują leniwie ciało. Pod delikatną skórą za nimi rysowały się poskręcane, nabrzmiące żyły.

Na grzbiecie Tukuteli siedziały cztery czaple, usadowione rzędem na kręgosłupie, śnieżnobiałe w słońcu, z żółtymi dziobami. Ptaki rozglądały się na strony niby posadzeni na czatach wartownicy, którzy mieli go ostrzec na pierwszy znak zbliżającego się niebezpieczeństwa.

Dopóki słoń znajdował się w wodzie, nie mogli w żaden sposób zbliżyć się do niego, a odległość jakichś trzystu metrów była zbyt duża, by oddać pewny strzał. Sean i Riccardo siedzieli spokojnie na drzewie i przyglądali się, jak słoń przeprawia się przez kanał.

Kiedy dotarł do głębszego miejsca, zanurzał się całkowicie pod wodę, tak że jedynie długa trąba wystawała nad powierzchnię, wijąc się w powietrzu niczym niesamowity wąż morski. Wyłonił się przy brzegu kolejnej wyspy, cały ociekający wodą.

Stojąc obok siebie na gałęzi, Riccardo i Sean starali się utrwalić w pamięci obraz

majestatycznego zwierzęcia. Nigdy więcej nie spotkają już takiego słonia. Żaden inny człowiek nie będzie miał okazji podziwiać tak wspaniałego okazu. Był ich. Mieli wrażenie, że czekali całe życie na tę chwilę. Żyłka łowiecka zagłuszyła wszelkie inne uczucia i odsunęła na bok wszystkie sprawy ich życia, jako mało istotne i nierealne. Ich uczucie było najbardziej pierwotne z możliwych, wypływające z samej głębi duszy i poruszające ich niczym wspaniała muzyka.

Stary byk podniósł głowę i na chwilę obrócił ją na bok, pozwalając im przyjrzeć się ciemnym kłom. Obaj mężczyźni przestąpili z nogi na nogę poruszeni ich pięknem, jakby to było dzieło Michała Anioła lub ciało przepięknej kobiety. W tym momencie cały wszechświat ograniczył się do tych dwóch poplamionych na czarno zębów. Riccardo i Sean odczuwali dokładnie to samo, co jeszcze bardziej związało ich ze sobą.

– Jest piękny! – szepnął Riccardo.

Sean nie odpowiedział, gdyż nie było nic do dodania.

Patrzyli, jak byk wspina się na niski brzeg wyspy, stoi nieruchomo przez chwilę, wysoki, chudy i lśniący w słońcu od wody, by zaraz przedrzeć się przez pierwszy gąszcz roślin i zniknąć w lesie. Zepchnięte przez gałęzie czaple uniosły się niczym białe kartki na wietrze. Sean dotknął ramienia Riccardo i sam się otrząsnął, jakby obudził się nagle z głębokiego snu.

– Przepłyniemy w kajaku – szepnął. Gdy zeszli na dół, wysłał Pumulę po łódkę.

Siedzieli nisko schyleni na dnie mokorro, tak żeby ich głowy nie wystawały nad trzciny, i płynęli naprzód przez kanał pociągając za kępy papirusów. Udało im się bezszelestnie przebyć kanał i Sean stwierdził, że lekka bryza ustaliła się w jednym kierunku. Czuł na nagich ramionach najdelikatniejszy powiew wiatru.

Kiedy dotarli do brzegu, pomógł Riccardo wysiąść z czółna, które następnie delikatnie wciągnęli na brzeg uważając, żeby nie robić hałasu.

– Sprawdź broń – polecił szeptem i Riccardo otworzył zamek rygby pokazując lśniącą łuskę spoczywającą w komorze. Sean skinął głową i przyjaciel zatrzasnął broń. Ruszyli naprzód.

Podążając ścieżką wydeptaną przez byka w trudnym do przebycia gąszczu, musieli iść jeden za drugim. Matatu prowadził ich po kilka kroków za każdym razem. Następnie czekali znieruchomiali, nasłuchując odgłosów lasu.

Nagle dobiegł ich głośny trzaskający łoskot i zobaczyli, jak konary drzew przed nimi rozchylają się na boki i mocno kołyszą. Riccardo podniósł błyskawicznie strzelbę, ale Sean powstrzymał go chwytając za przedramię i przyginając broń do ziemi.

Stali nieruchomo, patrząc przed siebie, czując, jak ich serca wałą, i słuchali pożywiającego się byka. Jakieś trzydzieści kroków od nich słoń odzierał drzewo z gałązek, wachlując się leniwie uszami, pomrukując z ukontentowania, a oni nie mogli dostrzec nawet skrawka jego ciała.

Trzymając Riccardo za ramię, Sean pociągnął go ostrożnie do przodu. Szli krok za

krokiem przez zielony gąszcz liści, dzikich win i opadających gałęzi. Dziesięć kroków i Sean się zatrzymał. Wypchnął Riccarda do przodu przed siebie, wskazując na coś ponad jego ramieniem.

Przez długie sekundy Riccardo nie mógł rozpoznać żadnych wyraźnych szczegółów w plątaninie roślinności i cieni. Wreszcie słoń znowu poruszył uchem i przez dziurę wśród gałęzi Riccardo dojrzał oko. Było nieduże, lekko niebieskie ze starości, a po pomarszczonych policzkach ciekły łzy, nadając zwierzęciu wyraz wielkiej mądrości i niepomiernego smutku.

Smutek był zaraźliwy i zalał Riccarda ciemną falą, przygniatając jego duszę, przemieniając żądzę myśliwską w olbrzymi żal i współczucie dla życia, które właśnie dobiegało końca. Riccardo nie podniósł strzelby.

Słoń mrugnął okiem. Ocieniające je rzęsy były długie i grube. Oko wejrzało głęboko w duszę Riccarda, przebijając ją na wskroś. Spojrzenie zwierzęcia zdawało się współczuć człowiekowi tak samo szczerze, jak ten żałował słonia. Riccardo nie zdawał sobie sprawy, że choroba w jego mózgu ponownie zmienia i nagina rzeczywistość, wiedział tylko, że smutek jego wzrasta z przeczucia śmierci.

Poczuł, jak Sean lekko klepie go w środek pleców, starając się zamaskować najmniejszy ruch przed słoniem. Było to ponaglenie do oddania strzału, ale Riccardo miał wrażenie, że już opuścił własne ciało i zawisł nad nim, przyglądając się samemu sobie. Patrzył na siebie i zwierzę widząc czyhającą na nich zewsząd śmierć. Nadciągająca tragedia przejęła go do głębi, ograbiając z woli i siły do wykonania najmniejszego gestu.

Sean znowu dał mu znak. Słoń znajdował się od nich o piętnaście kroków, stojąc nieruchomo wśród drzew niczym wielki cień. Sean zdawał sobie sprawę, że spokój Tukuteli jest jego reakcją na przeczucie zbliżającego się zagrożenia. Jeszcze kilka sekund i byk zniknie w lesie.

Sean chciał schwycić Riccarda za ramię i potrząsnąć nim silnie, chciał krzyknąć: „Strzelaj, do cholery, no, strzelaj!” Był jednak bezradny, gdyż najmniejszy ruch natychmiast spłoszyłby słonia.

W pewnej chwili stało się dokładnie to, czego się obawiał. Wyglądało to tak, jakby Tukutela zniknął, rozplątał się w powietrzu niczym chmura dymu. Wydawało się niemożliwe, żeby tak potężne zwierzę mogło poruszać się tak szybko i cicho w gęstym lesie, ale słonia nie było.

Sean schwycił Riccarda za ramię i z całej siły pociągnął go za sobą. Jego twarz wykrzywiała wściekłość, która przepelniała także pierś i utrudniała oddychanie. Chciał wyrzucić swoją złość na tym człowieku. Zaryzykował dla niego życie, a on nawet nie podniósł broni.

Biegł przed siebie, ściskając mocno Riccarda za rękę i ciągnąc go przez gęste zarośla i ciemne krzaki, nie bacząc na jego niewygodę. Był pewien, że Tukutela będzie starał się dotrzeć do następnej wyspy, i miał nadzieję, że uda się go dostać, kiedy będzie się

przeprawiał przez kanał. Zmusi Riccarda do oddania nawet ryzykownego strzału, tak żeby zranił byka. Potem mógł go za niego wykończyć.

Biegący za nim Matatu krzyknął niewyraźnie, jakieś ostrzeżenie czy prośbę o pomoc i Sean zatrzymał się w miejscu, nasłuchując. Stało się coś zupełnie nieprzewidzianego, na co nie był przygotowany.

Usłyszał nagły trzask i szelest, a potem dzikie trąbienie rozwścieczonego słonia, tyle że odgłos ten dochodził z przodu, a nie ze strony, w której zniknął Tukutela. Przez ułamek sekundy Sean nic nie rozumiał i kiedy do jego świadomości doszedł sens tych odgłosów, poczuł, jak po skórze przebiegają mu mrówki.

Tukutela uczynił coś, czego nigdy nie zrobiłby żaden inny słoń. Wcale nie uciekł, tylko zatoczył koło i ustawił się pod wiatr, żeby wyczuć ich zapach. Stojąc nieruchomo Sean czuł, jak ciąg powietrza owiewa mu nagi kark i niczym zdradziecki kochanek niesie jego zapach do wielkiego słonia, pędzącego w ich stronę przez las.

– Matatu! – wrzasnął Sean. – Uciekaj! Uciekaj pod wiatr! – Pchnął Riccarda na pień pobliskiego drzewa tekowego. – Włóż na nie – warknął na niego. Pierwsze gałęzie zwisały nisko i wspięcie się na drzewo nie było trudne. Sean zostawił go i pobiegł ku Matatu.

Sean biegł przez las, przeskakując przez zwalone pnie, ze strzelbą wysoko przed piersią, a las rozbrzmiewał wściekłymi rykami.

Słoń zbliżał się szybko, niczym potężna lawina śnieżna. Tukutela toczył się przez las rozgniatając stojące mu na drodze mniejsze drzewa, szukając nienawistnego zapachu człowieka i podążając za nim, żeby znowu wyrzucić na swoim wrogu gniew zbierany przez całe życie.

Nagle Matatu wyskoczył z lasu. Mały tropiciel był zdecydowany stanąć u boku swojego pana i stawić czoło każdemu niebezpieczeństwu, jakie ich czekało. Nie uciekł jak Pumula pod wiatr, tylko przybiegł prosto do Seana.

Gdy ten go zobaczył, skręcił natychmiast w bok, dając mu znak, żeby podążał za nim. Przebiegł szybko jakieś sto kroków pod wiatr usiłując zgubić ich ślad w powietrzu.

Potem zatrzymał się i przykucnął, a Matatu stanął obok niego. Podstęp udał się, również Pumula zgubił swój zapach na wietrze. Tukutela zatrzymał się nie mogąc natrafić na trop człowieka. W lesie panowała absolutna cisza, tak wszechobejmująca, że Sean słyszał pulsowanie krwi w głowie.

Czuł jednak, że stary byk jest bardzo blisko i teraz stoi nieruchomo z nastawionymi uszami i wyciągniętą trąbą, usiłując odnaleźć stracony trop. Sean pomyślał, że nigdy nie będzie już takiego słonia, który by polował na swoich prześladowców. Ile razy musiano go nękać, zastanawiał się Sean, ile razy człowiek musiał go zranić, że zwierzę podejmuje atak na sam jego widok?

– Tukutelo, Rozzłoszczony Słoni, teraz wiem, czemu cię tak nazwano.

W lesie rozbrzmiał nowy głos, głośny krzyk człowieka i Sean potrzebował chwili, żeby

zorientować się, że jest to głos Riccarda Monterro.

– Tukutelo, jesteście braćmi! – wołał do słonia. – Pochodzimy z zupełnie innych czasów. Nasze przeznaczenie jest jednakie. Nie mogę cię zabić!

Słoń usłyszał go i zaryczał tak głośno, że dźwięk ten ogłuszył ich zupełnie. Zaszarżował w stronę, skąd dochodził go głos. Przebił się przez las kierując się prosto na Riccarda i po przebiegnięciu pięćdziesięciu metrów jego nozdrza wypełnił silny zapach człowieka. Tukutela nieomylnie podążył za nim.

Riccardo Monterro nie starał się nawet wspiąć na drzewo, pod którym zostawił go Sean. Oparł się plecami o pień i zamknął oczy. Ból zaatakował jego głowę tak nagle jak uderzenie młotem i oślepił go, zostawiając mu przed oczami wirujące plamy. Mimo to Riccardo słyszał ryki słonia i te odgłosy nappełniły go rozpaczą.

Upuścił rigby na zasłaną liśćmi ziemię, następnie wyciągnął puste ręce i zrobił niepewny krok na spotkanie słonia, mając jakąś nierealną nadzieję, że uda mu się go uspokoić. Riccardo zawołał:

– Nie chcę cię skrzywdzić, jesteście braćmi! – Las przed nim trząsał się od łoskotu i po chwili rozchylił, gdy Tukutela wypadł z gęstwiny.

Sean wrócił biegiem do miejsca, w którym zostawił przyjaciela, prześlizgując się pod gałęziami i przeskakując przez powalone pnie. Teraz wyraźnie słyszał słonia i głos wołającego do niego człowieka.

– Tutaj! – zawołał Sean. – Hej, Tukutela! Tutaj! Chodź tutaj! – starał się odwrócić uwagę zwierzęcia od Riccarda i ściągnąć ją na siebie, ale wiedział, że nie ma żadnych szans. Tukutela skoncentrował się na jednym przeciwniku i nic nie mogło go już powstrzymać.

Nagle centrum pola widzenia Riccarda rozjaśniło się. Spojrzał przez wąską szczelinę, którą otaczało białe promieniujące światło i wirujące koła ognia. Zobaczył Tukutelę, którego olbrzymia szara głowa wyłoniła się ze ściany zieleni, a potężne kły zawisły nad nim niczym opadające filary.

W tej chwili słoń reprezentował tysiące zwierząt i ptaków zabitych przez Riccarda w ciągu jego życia. Riccardo miał uczucie, że wielkie kły i wzniesiona trąba są symbolami jakiegoś religijnego błogosławieństwa, które miało odpuścić mu grzech rozlanej krwi i zadanej śmierci. Sięgnął ku nim obiema rękami, z wdzięcznością, a nawet radością i przypomniał sobie formułkę, której uczył się jeszcze jako dziecko.

– Wybacz mi, Ojczy, gdyż zgrzeszyłem! – zawołał.

Sean zobaczył głowę słonia wyłaniającą się z gęstwiny. Słoń był odwrócony do niego tyłem i w pędzie położył uszy po sobie. Usłyszał głos Riccarda i mimo że nie mógł zrozumieć słów, zdał sobie sprawę, że ten musi stać bezpośrednio pod kłami i wyciągniętą trąbą Tukuteli.

W jednej chwili przeszedł od sprintu do nieruchomej postawy i poderwał do oka strzelbę. Był to szczególnie trudny kąt do strzału na mózg, gdyż wysoka łopatką zasłaniała kręgosłup

zwierzęcia.

Jego cel nie był większy niż dojrzałe jabłko i na dodatek nie miał żadnych wskazówek, gdzie się znajduje w olbrzymiej czaszce. Musiał zaufać instynktowi. Patrząc przez celownik przez krótką chwilę miał niesamowite wrażenie, że może zajrzeć w głąb niej.

Bez świadomego polecenia palec Seana zacisnął się na spuście, gdy celownik zakrył miejsce, w którym musiał się znajdować centralny ośrodek nerwowy. Kula przebiła porowatą czaszkę i rozcięła nieduży mózg Tukuteli, który nawet nic nie poczuł. Słoń przeszedł od życia do śmierci w ciągu ułamka sekundy. W jednym momencie ugięły się pod nim nogi i zwałił się na piersi z siłą, która poruszyła całą wyspę i strząsnęła martwe liście z gałęzi drzewa tekowego nad nim. Nad potężnym cielskiem unosił się jasny tuman kurzu. Po chwili głowa opadła na ziemię.

Prawy kieł przebił Riccarda Monterro, wchodząc w brzuch kilka centymetrów pod mostkiem i wychodząc przez kręgosłup w miejscu, w którym łączył się z miednicą.

Kość słoniowa, dla której zdobycia Riccardo ryzykował majątek i własne życie, przybiła go do ziemi, nadziewając go niczym harpun wielorybnika. Spojrzał ze zdumieniem na kieł rozrywający jego ciało. Nie czuł żadnego bólu, żadnego wrażenia z dolnej części ciała, która była dziwnie wykręcona przez trąbę, ani żadnego zamętu w głowie.

Na chwilę odzyskał wzrok i wszystko, na co patrzył, zdawało się oświetlone niesamowitymi reflektorami, by po chwili zacząć zasnuwać się mgłą i zapadać w ciemność. Zanim mroki pochłonęły go na zawsze, zobaczył nad sobą twarz Seana Courteneya i usłyszał jego głos, który zdawał się zanikać, jakby Riccardo osuwał się w przepaść.

– Szefie, Szefie – odbiło się echem w jego uszach. Riccardo Monterro zdobył się ostatnim wysiłkiem woli na wypowiedzenie kilku słów:

– Ona cię kocha. Opiekuj się moją córeczką. – W tej chwili ciemności zawładnęły nim na zawsze.

Powodowany pierwszym impulsem Sean chciał wyswobodzić ciało. Szarpał z całej siły za kieł przybijający je do ziemi, ale kość była tak gruba, że nie mógł jej dobrze objąć, a z rany ciekła ciemna krew Riccarda. Krew umazała Seanowi ręce, a na kości słoniowej zostały wyraźne czerwone plamy.

Sean uświadomił sobie bezsens swoich wysiłków i cofnął się o krok. Cały ciężar potężnego łba i ciała Tukuteli spoczywał na kłach. Przebiwszy ciało Riccarda zagłębiły się w miękką, piaszczystą ziemię. Musiałby stracić z pół dnia, żeby wyswobodzić ciało przyjaciela.

Śmierć złączyła człowieka i zwierzę. Nagle Sean zobaczył, jak bardzo to jest słuszne. Zostawi ich tak.

Z lasu wyłonił się Matatu, a zaraz po nim Pumula. Stanęli obok Seana, żeby rzucić okiem na okropny widok.

– Idźcie – polecił Sean. – Zaczekajcie na mnie w czólnie.

– A kość? – zapytał nieśmiało Pumula.

– Idźcie stąd! – powtórzył Sean tonem, który zmusił ich do posłusznego wycofania się.

Oczy Riccarda były wciąż szeroko rozwarte. Sean zamknął je delikatnym dotknięciem dłoni, a następnie rozwinął wełnianą chustę z szyi Riccarda i podwiązał nią szczękę, żeby nie opadła i nie nadała martwemu przyjacielowi idiotycznego wyrazu twarzy. Nawet po śmierci Riccardo Monterro był przystojnym mężczyzną. Sean oparł się o głowę słonia i patrzył na nieboszczyka.

– Szefie, to się stało w odpowiednim czasie. Zanim choroba nie zamieniła cię w roślinę. Odszedłeś, gdy miałeś jeszcze dosyć zapachu i siły. Taki koniec przystoi mężczyźnie twojego pokroju. Cieszę się, że nie umarłeś pomiędzy zaplamionymi prześcieradłami. Mam nadzieję, że ja będę miał tyle samo szczęścia.

Potem położył dłoń na jednym z kłów i go pogłaskał. Pod palcami czuł powierzchnię równie gładką niczym pięknie oszlifowanego kamienia szlachetnego.

– Szefie, zostawię ci je – powiedział. – Te kły będą twoim grobowcem. Bóg jeden wie, jak wiele za nie zapłaciłeś.

Wyprostował się i poszedł po śladach Riccarda do drzewa, pod którym znalazł rigby, leżącą wśród miękkich liści. Przyniósł ją ze sobą i ułożył w zagiętym ramieniu Riccarda.

– Wojownik powinien zostać pochowany wraz z bronią – mruknął Sean, ale czegoś jeszcze mu brakowało. Nie mógł odejść i zostawić tak przyjaciela wystawionego na działanie bezlitosnego nieba. Musi go dobrze zakryć.

Sean przypomniał sobie starą legendę o Tukuteli i o tym, jak grzebał swoje ofiary. Wyjął ostry nóż z pochwy przy pasie i ściął liściastą gałąź z pobliskiego drzewa. Zakrył nią twarz Riccarda.

– Tak – szepnął. – Tak będzie dobrze.

Szybko pracując Sean naściął gałęzi i zakrył nimi ciało Riccarda wraz z głową słonia.

W końcu podniósł z ziemi swoją strzelbę. Włożył ją pod ramię gotowy do drogi.

– Żegnaj, Szefie – powiedział. – Twoje życie było naprawdę dobre aż do samego końca. Zostań w pokoju, przyjacielu. Obrócił się i ruszył pewnym krokiem w stronę łódki.

Trzciny ocierały się z szelestem o burtę czółna, które Pumula popychał do przodu długą żerdzią. Nikt się nie odzywał. Sean siedział pośrodku łódki z brodą opartą na jednej ręce. Czuł się odrętwiały i poza smutkiem oczyszczony ze wszelkich emocji. Tak samo wracali w czasie wojny z wypadów, gdy żołnierze siedzieli obok siebie w milczeniu.

Potem spojrzął na swoją prawą rękę spoczywającą na kolanach i pod paznokciami zobaczył ciemnoczerwone półksiężycy. „Krew Szefa”, pomyślał i włożył dłoń do ciepłej wody. Trzymał ją tak przez chwilę pozwalając delikatnym falom obmyć plamy.

W jego umyśle ponownie rozegrało się całe polowanie, jakby oglądał niemy film nagrany na wideo. Widział dokładnie każdy szczegół od chwili, gdy pierwszy raz zobaczyli starego byka, aż do momentu, kiedy rzucił się do przodu, by znaleźć Riccarda przybitego klami do



ziemi.

Nagle włączył się głos. W jego umyśle słowa Riccarda odbiły się echem, słabe i szybko zamierające.

– Ona cię kocha – powiedział Riccardo, a reszta była już niezrozumiała. „Ona cię kocha”. Pozbawione sensu ostatnie słowa umierającego człowieka, a może majaki chorego mózgu. Riccardo mógł mieć na myśli jedną z wielu kobiet, które wypełniły jego życie.

Sean wyjął dłoń z wody. Była czysta, krew została dokładnie zmyta.

„Ona cię kocha”. Może Riccardo starał się wskazać Seanowi jedną kobietę?

Sean oderwał wzrok od mokrej dłoni i spojrzał przed siebie. Wspomnienie dziewczyny było z nim przez cały ten czas, zawsze ukryte w tajnych zakamarkach świadomości, by wyłaniać się na powierzchnię w najmniej oczekiwanych momentach. Czasami, gdy Sean myślał o olbrzymim słoniu, uśmiechał się do siebie, wspominając któreś z powiedzeń Claudii. Tego ranka, w czasie ostatniej fazy polowania, sięgnął za burtę i zerwał kwiat lilii wodnej. Przytknął kielich do nosa i wdychając głęboko silny zapach, poczuł jedwabisty dotyk płatków na ustach. W tej samej chwili pomyślał o Claudii.

Teraz patrząc prosto przed siebie, odważył się przyznać, z jakim utęsknieniem czekał na chwilę, kiedy znowu ją zobaczy. Miał wrażenie, że dziewczyna jest jedyną osobą, która pomoże mu otrząsnąć się ze smutku po utracie przyjaciela. Przypomnił mu się ton jej głosu i sposób, w jaki pochylała głowę, gdy chciała dać mu ostrą odprawę. Uśmiechnął się na myśl o gniewnych iskiernach, które mógł z taką łatwością rozzarzyć w jej oczach, i o tym, jak zaciskała usta, żeby nie roześmiać się z jego docinków.

W swojej pamięci odnalazł jej charakterystyczny sposób chodzenia, uczucie, jakiego doznał niosąc ją w ramionach do obozu, i gładkość jej skóry, która była doskonalsza od płatków kwiatu.

„Przecież my zupełnie do siebie nie pasujemy”, na jego usta zabłąkał się uśmiech, który rozproszył nieco melancholijny nastrój. „Jeśli Szeff mówił o niej, to trafił kulą w płot”. Jednak potrzeba zobaczenia dziewczyny stała się jeszcze intensywniejsza.

Sean podniósł wzrok na niebo. Słońce już zachodziło. Za godzinę zrobi się zupełnie ciemno. Kiedy rozglądał się po nieboskłonie, zauważył gwiazdę wieczorną, która pojawiła się zupełnie nagle nisko na zachodzie. Jedna po drugiej zapalały się nowe gwiazdy i konstelacje, rozjaśniając czarne niebo, w kolejności określonej przez ich wielkość.

Przyglądał się im i znowu myślał o Claudii. Zastanawiał się, czemu dziewczyna wywoływała w nim tak sprzeczne uczucia. Porównywał ją z innymi znanymi mu kobietami i nagle uświadomił sobie, jak płytkie i blade wydawały mu się teraz poprzednie związki. Nawet jego małżeństwo było nic nie znaczącym epizodem w jego życiu, szalonym impulsem rozrosłym na zwykłym pożądaniu. Nie było zresztą długotrwałe; po pierwszym zaspokojeniu zmysłów związek rozpadł się i z katastrofalnej pomyłki Sean wyciągnął wniosek, żeby nigdy nie popełniać podobnego błędu. Obecnie jedynie z trudem mógł sobie w przybliżeniu

przypomnieć, jak wyglądała kobieta, z którą się kiedyś ożenił.

Powrócił do Claudii i ze zdziwieniem przekonał się, że w swojej wyobraźni widzi ją bardzo dokładnie; mógł niemal policzyć każdy włoszek w długich rzęsach ocieniających piwne oczy i delikatne linie, które tworzyły się wokół jej ust przy śmiechu. Nagle zapragnął być blisko niej i kiedy przyznał się przed sobą do tej słabości, zaczął się o nią martwić.

„Chyba oszalałem, żeby zostawić ją tak samą”, pomyślał. A gdy starał się przebić wzrokiem otaczające go ciemności, napłynęły okropne wyobrażenia złych rzeczy, które mogły się jej przytrafić.

„Przecież jest z nią Job”, starał się opanować. „Powinienem jednak sam zostać i posłać Joba z Szeferem”. Nawet myśląc tak wiedział, że nie było to możliwe.

Czółno zatrzymało się, gdy Pumula oparł się na żerdzi dając znak, że należałoby się zatrzymać na noc.

– Teraz ja powiosłuję – powiedział Sean. – Płyniemy całą noc, aż dotrzemy do wioski – oznajmił.

Podczas gdy Matatu i Pumula leżeli skuleni na dnie czółna, Sean stał na rufie i jednostajnymi ruchami żerdzi posuwał łódź do przodu. Kierował się według Krzyża Południa i innych stałych gwiazd, znajdując kierunek na południe na podstawie przecinających się linii łączących konstelacje.

Łodygi papirusów szeleściły delikatnie ocierając się o kadłub i wkrótce Sean wykonywał automatycznie monotonne czynności, pozwalając swojemu umysłowi zwrócić się ku innym sprawom. W centrum jego rozmyślań zawsze znajdowała się Claudia Monterro.

Zastanawiał się nad jej osieroceniem i jak wielki wpływ, mimo świadomości nieuchronnego końca, wywrze na niej przywieziona przez niego nowina. Układał słowa, którymi powie jej o ojcu i postara się ją pocieszyć. Dziewczyna знаła jego uczucia do Riccarda. Wiedziała o przyjaźni, jaka zawiązała się pomiędzy nimi w czasie wspólnych polowań. Poznała, że łączyło ich coś więcej niż zwykła przyjaźń.

„Tylko ja mogę jej pomóc w tych smutnych chwilach. Znałem go przecież tak dobrze. Postaram się pomóc jej zachować w pamięci wszystko, co było w nim dobre”.

Mimo że powinien obawiać się jej reakcji na okropną wiadomość, z utęsknieniem czekał chwili, kiedy będzie blisko niej, by móc ją pocieszyć i otoczyć opieką.

„Może uda nam się odrzucić te sztuczne postawy wrogości, które oboje przybraliśmy? Zamiast wydobywać na wierzch dzielące różnice, moglibyśmy spróbować znaleźć rzeczy, które nas łączą”. Zauważył, że podświadomie zaczął przyśpieszać i wydłużać pchnięcia żerdzią. Musiał się wręcz przymusić do zwolnienia tempa.

„Nie wytrzymasz w ten sposób całej nocy”, powiedział sobie w myślach, ale pragnienie zobaczenia dziewczyny pozwoliło mu wiosłować długo po tym, jak zmęczenie zaczęło się domagać odpoczynku.

Godzina za godziną pchał łódkę przez moczary, aż wreszcie Pumula obudził się i go

zastąpił. Sean spał lekkim snem i zajął znowu miejsce na rufie, gdy wstający poranek zaróżowił niebo na wschodzie, by niedługo przemienić je w wyblakłą cytrynową żółć. Nad łódką z cichym szumem skrzydeł przeleciało stado dzikich ptaków.

Dwie godziny później Sean kazał Matatu wspiąć się na żerdź. Zanim malutki tropiciel wlaź na sam szczyt, wydał okrzyk radości i wskazał ręką przed siebie. Nastąpiło już jednak wczesne popołudnie, kiedy czółno przebiło się przez ostatnią połąć papirusów i zaryło się w miękkim piasku naprzeciw ruin wioski.

Sean wyskoczył na brzeg i musiał się powstrzymać, żeby nie rzucić się biegiem przez wioskę.

„Job powinien bardziej uważać”, pomyślał ze złością. „Jeśli możemy zbliżyć się zupełnie nie zauważeni...” nie dokończył myśli. Przed nim znajdowały się zarośla, w których zbudowali schronienie dla Claudii, i Sean zatrzymał się nagle w miejscu.

Było zbyt cicho. Jego szósty zmysł przestrzegł go przed niebezpieczeństwem. Coś się nie zgadzało. Upadł gwałtownie na ziemię i przetoczył się w zasłonięte miejsce ze strzelbą przed sobą.

Leżał nieruchomo i nasłuchiwał. Otaczająca go cisza zdawała się przygniatać go do ziemi. Obliznął wargi i naśladował cmokliwy odgłos wydawany przez kuropatwy. Był to jeden z umówionych sygnałów, na który Job powinien odpowiedzieć. Nie doczekał się jednak żadnego odzewu. Podpełznął na brzuchu do przodu i znowu się zatrzymał. W niewysokiej trawie przed nim coś metalicznie błysnęło. Podniósł mały przedmiot i poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła.

Była to łuska od naboju 7,62 mm i z tyłu miała wygrawerowany napis cyrylicą. Takich nabojów używano do radzieckich karabinków AK. Sean podniósł ją do nosa i powąchał spalony proch. Łuska była świeża. Rozejrzawszy się wokół siebie, dostrzegł inne łuski leżące w trawie, świadectwo ostrej strzelaniny.

Poderwał się na nogi i zaczął biec zygzakiem w stronę zarośli, uniemożliwiając potencjalnemu strzelcowi oddanie pewnego strzału.

Gdy dobiegł do brzegu gąszczu krzaków, znowu rzucił się płasko na ziemię. W tej samej chwili spostrzegł trupa leżącego twarzą do ziemi pod ciernistym krzakiem, zaledwie kilka metrów od niego. Były to zwłoki Murzyna. Ciało zostało odarte z ubrania i butów.

– Job! – Krzyk sam wydarł mu się z gardła. Podpełznął bliżej, do samego ciała. W plecach trupa widniała pojedyncza dziura po kuli, a nad raną kłębiły się muchy. Krew zdążyła zakrzepnąć w skorupę. Sean wyczuł smród zgnilizny.

„Nie żyje od co najmniej dwudziestu godzin”, ocenił i podniósł się na kolana. Nie musiał już zachowywać ostrożności. Podniósł ostrożnie głowę trupa. Szyja zdążyła już stężeć od rigor mortis. Sean przyjrzał się twarzy i mruknął z ulgą. Upuścił głowę nieboszczyka na ziemię. Był to jakiś obcy.

– Job! – zawołał. – Claudia! – Był to krzyk rozpaczony. Sean puścił się pędem do szałasów,

w którym zostawił dziewczynę. Kryjówka była pusta. – Job! – Rozejrzył się nieprzytomnym wzrokiem wokoło. – Claudia!

Na skraju polanki leżało kolejne nagie ciało Murzyna. Sean podbiegł do niego. Następny nieznajomy, mały, chudy mężczyzna, którego czubek czaszki został oderwany przez pocisk. Trup zaczynał już gnić, brzuch napęczniał jak czarny, błyszczący balon.

– Dwóch drani mniej – powiedział z goryczą Sean. – Dobra robota, Job.

Matatu podążał za Seanem i teraz sprawdzał szafas. Opuścił go po chwili i zaczął badać grunt, zataczając coraz szersze koła wokół polanki. Sean i Pumula przyglądali mu się w milczeniu, stojąc w jednym miejscu, żeby nie zdeptać śladów.

Po kilku minutach Matatu podbiegł do nich.

– To ta sama shifta, która nas tropiła. Otoczyli szafas i napadli jednocześnie ze wszystkich stron. Job zastrzelił dwóch z banduki, zostało piętnastu. – Podał Seanowi puste łuski. – Wywiązała się bójka, ale i tak ich zabrali ze sobą.

– A panienka? – Sean obawiał się odpowiedzi.

– Ndio – odparł w swahili Matatu. – Tak, ją także zabrali. Nadal kuleje, ale dwóch mężczyzn poprowadziło ją pomiędzy sobą. Cały czas wrywała się im. Job i Dedan zostali pobici i chyba związano im ręce. Ich krok jest niepewny. – Matatu wskazał na ciała. – Zdarli z trupów mundury, buty i zabrali im banduki. Poszli w tamtą stronę. – Wskazał na przesmyk.

– Kiedy? – zapytał Sean.

– Wczoraj, wcześniej. Chyba napadli na obóz o świcie.

Sean skinął ponuro głową, ale w jej środku mu coś krzyczało. „Claudia, Boże, jeśli spadnie ci chociaż włos z głowy, to wypruję im za to flaki”.

– Podejmujemy pościg – polecił. – W drogę!

Pumula pobiegł do czółna po sprzęt i manierki z wodą. Sean mocował się jeszcze z plecakiem, gdy ruszyli biegiem w drogę. Znużenie spowodowane na wpół nie przespaną nocą i wiosłowaniem znikło jak ręką odjął. Pełen złości czuł się silny i niestrudzony.

Po pierwszym kilometrze przyjęli tempo zwiadu Skautów. Trop był wciąż stary i Sean nie musiał się obawiać zasadzki. Polegał całkowicie na Matatu, którego zadaniem było wyszukiwać oznaki ukrytej miny czy innej zasadzki, mającej na celu powstrzymanie pościgu. Biegli w szeregu, w tempie niewiele wolniejszym niż w olimpijskim maratonie.

Przed oczyma Seana tańczył obraz Claudii dodając sił w biegu.

Matatu powiedział, że jest ich piętnastu. Mężczyzn musiało pociągać białe ciało Claudii. Jak dotychczas nie znaleźli żadnych śladów świadczących, że zatrzymali się gdzieś, żeby się z nią zabawić. Sean bez cienia wątpliwości przyjął wyjaśnienia Matatu, że napastnicy napadli na obóz o świcie, zajęli go siłą i pogodzili się z własnymi stratami. Wyglądało na to, że bardziej im zależało na więźniach niż na pomszczeniu własnych ludzi. Poza kilkoma uderzeniami kolbą Job i Dedan wyszli z walki bez poważniejszych ran. Sean martwił się jednak przede wszystkim o Claudię.

Zmusili ją do marszu mimo nadwreżonej nogi. To mogło jedynie pogorszyć stan kolana, a nawet spowodować trwałe kalectwo. Jeśli Claudia będzie opóźniała marsz, mężczyźni staną się niecierpliwi i mogą uciec się do przemocy. Wszystko zależało od tego, jak bardzo był im potrzebny biały więzień, najpewniej jako zakładnik w przetargach z którymś z zachodnich krajów. Ważne także było, kim są: żołnierze Frelimo czy partyzanci Renamo, a może zwykli bandyci. Nie bez znaczenia było również, kto nimi dowodzi i jaki ma posłuch wśród swoich ludzi, ale jakkolwiek na to patrzeć, Sean wiedział dobrze, że Claudia znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Czy napastnicy wiedzieli, że będą ścigani? Musieli odczytać ślady prowadzące do wioski i wiedzieli, że trzech mężczyzn – nie, z Szefem, czterej – oddalili się od reszty grupy. Odpowiedź brzmiała: tak. Prawdopodobnie oczekiwali pościgu i mogło ich to uczynić niebezpiecznie podejrzliwymi.

Sama Claudia nie była najlepszym obrońcą własnego bezpieczeństwa. Bez trudu mógł sobie wyobrazić, jak wyklóca się z nimi domagając się swoich praw i odmawiając wykonywania poleceń. Mimo przejmującej troski, Sean uśmiechnął się na myśl o dziewczynie. Napastnicy pewnie spodziewali się, że pojмали jakieś potulne dziewczątko, ale szybko się przekonają, że mają w swoich rękach prawdziwą tygrysięcę.

Uśmiech pierzchł. Sean był pewien, że Claudia będzie postępowała dokładnie w sposób, który rozzłości napastników i zmniejszy jej szansę przetrwania. Jeśli przywódca grupy nie jest silnym człowiekiem, Claudia doprowadzi go do stanu, w którym będzie musiał udowodnić swoją władzę nad ludźmi. Afrykańskie społeczeństwo jest patriarchalne. Dowódca znienawidzi kobietę, która sprzeciwia się jego woli. Jeśli to ta sama grupa, która zlikwidowała wioskę, to pokazali już, że potrafią być okrutni.

„Kotku, choć raz trzymaj swoją śliczną buzię na kłódkę”, błagał ją w myślach.

Biegący przed nim Matatu zatrzymał się i wskazał na coś ręką. Sean stanął obok niego.

– Tutaj odpoczywali. – Matatu pokazał miejsce, gdzie grupa siedziała w cieniu zagajnika młodych drzewek.

W pyłe ziemi widać było kilka rozgniecionych niedopałków. Matatu wskazał na białe nacięcia na drzewach, z których zostały ścięte gałęzie. Mniejsze gałązki zostały odcięte i porzucone. Listki były już wysuszone, co potwierdzało ocenę Matatu, że napad miał miejsce wczoraj rano.

Sean przez chwilę nie potrafił pojąć, po co naścinano gałęzi. Dopiero Matatu mu wyjaśnił.

– Zbudowali mushela dla panienki. – Sean skinął głową z ulgą. Claudia ze swoją nadwreżoną nogą opóźniała marsz, ale zamiast uwolnić się od kłopotu za pomocą kuli w tył głowy, napastnicy zbudowali dla niej nosze. Była to dobra wiadomość i Sean na nowo ocenił szansę Claudii na przetrwanie. Dziewczyna miała większą wartość dla bandytów, niż Sean przypuszczał.

Największe zagrożenie miało miejsce wieczorem poprzedniego dnia, kiedy grupa rozbiła się obozem na nocleg. Mężczyźni mieli cały dzień, żeby przyjrzeć się dokładnie dziewczynie i dostatecznie silnie rozbudzić własne fantazje i odwagę. Sean wolał nie myśleć, co się mogło z nią stać, jeśli dowódca stracił panowanie nad ludźmi.

– Idziemy, Matatu – warknął Sean. – Marnujemy czas. – Jeśli coś się jej przydarzyło, to i tak było już za późno. Niemniej każda stracona sekunda doprowadzała Seana do szału.

Trop prowadził ścieżką przez las i dalej na południe przez wyschnięte obszary rzeczno-rozlewiska. Był wyraźny, bo piętnastu ludzi i ich jeńcy nie starali się zacierać śladów. Matatu odczytał z pozostawionych znaków, że Job i Dedan zostali zmuszeni do niesienia prowizorycznej lektyki i Sean ucieszył się na wiadomość, że jego ludzie mieli do tego siłę. Rany, jakie odnieśli w czasie napadu, musiały być powierzchowne. Co więcej, mógł mieć pewność, że Job chwyci się każdego sposobu, aby opóźnić marsz.

Dokładnie w chwili, gdy o tym pomyślał, Matatu zawołał na niego i wskazał na ślady pozostawione na miękkiej ziemi w miejscu, gdzie Job upuścił koniec noszy i dramatycznie rozłożył się na ziemi. Podniósł się dopiero wtedy, gdy otoczyła go grupka napastników.

– Dobra robota, Job – mruknął Sean nie zwalniając kroku. – Nie ryzykuj tylko zbyt wiele.  
– Prowadzona przez Joba gra była bardzo delikatna.

Biegając w tempie pościgowym, Sean i jego ludzie szybko zbliżali się do uciekinierów. Mogli mieć nadzieję na dopadnięcie ich przed zapadnięciem zmierzchu.

„To może być ciekawe”, pomyślał Sean. „Jest nas trzech z jedną strzelbą kalibru 577 przeciwko piętnastu twardym draniom uzbrojonym w AK”.

Jak dotąd nie znaleźli żadnych zasadzek. Partyzanci zazwyczaj podkładali miny na drodze, którą mógł pójść pościg, i Sean zastanawiał się, czemu teraz zaniechali tego środka ostrożności. Może to jednak nie byli wyszkoleni bandyci, a może nie mieli ze sobą lekkich plastikowych min. Nie można też było wykluczyć możliwości, że nie podejrzewają pościgu lub, co gorsza, że planują jakieś niespodzianki na później.

„Zajmiemy się tym we właściwym czasie”.

Matatu znowu się zatrzymał.

– Rozpalili tu ognisko wczoraj w nocy. – Wskazał na pozostałości obozowego ogniska i miejsca, gdzie ludzie porzucali się, żeby spożyć obiad. Po obozie kręciło się kilka czarnych mrówek afrykańskich poszukujących resztek jedzenia, Sean zaś dostrzegł więcej niedopałków.

– Przeszukajcie to miejsce – polecił. – Job będzie usiłował zostawić dla nas wiadomość. – Podczas gdy Pumula i Matatu przeczesywali obóz, Sean spojrzął na zegarek: była już szesnasta, biegli od trzech godzin. Mieli jeszcze sporą szansę, żeby dopaść grupę przed zapadnięciem zmroku.

– Tutaj postawili nosze z panienką. – Matatu wskazał na ślady na ziemi. – W tym miejscu stała.

Sean przyglądał się odciskom jej butów, mniejszym, węższym i delikatniejszym niż odciski męskich butów. Chodząc Claudia oszczędzała nadwężoną nogę, pociągając piętą.

– Znalazłeś coś? – zapytał szorstkim tonem Sean. – Czy Job zostawił jakąś wiadomość?

– Nic. – Matatu potrząsnął głową.

– W porządku. Napijemy się teraz – zdecydował i podał im tabletki soli z plecaka. Nie musiał ich przestrzegać, żeby ograniczali się w picciu. Obaj mężczyźni wypili po trzy łyki i zakręcili menażki. Odpoczywali przez pięć minut.

– Ruszamy – polecił Sean.

Godzinę później znaleźli miejsce, w którym napastnicy rozłożyli się obozem na noc. Fakt, że po zjedzeniu obiadu przenieśli się na noc w inne miejsce, świadczył, że są jednak wyszkolonymi żołnierzami.

– Przeszukajcie to miejsce – polecił znowu Sean. Każda informacja zostawiona przez Joba bardzo by im się przydała.

– Nic – powtórzył kilka minut później Matatu i Sean poczuł rozczarowanie.

– Dobrze. Ruszamy – polecił. Już miał się obrócić, gdy przyszła mu do głowy pewna myśl. Rozejrzał się po obozie. – Gdzie spała memsahib! – zapytał.

– Tutaj – pokazał mu Matatu. Ktoś, pewnie Job, naściął trawy i liści na materac dla Claudii. Sean nachylił się nad nim i zaczął przeszukiwać całe miejsce.

Nie znalazł nic. Przerzucił kilka ostatnich liści i rozczarowany zaczął się podnosić. Miał głębokie przeczucie, że dziewczyna musiała coś dla niego zostawić.

– No i po niespodziance – mruknął. W tej samej chwili dostrzegł guzik na wpół zagrzebany w ziemi pod materacem.

Podniósł go i wyprostował się. Był to miedziany guzik od dżinsowych spodni. Na guziku było wygrawerowane: „Ralph Hutton”.

– Spodnie szyte na miarę, to mój kotek. – Schował guzik do kieszeni. – Jednak to mi nic nie mówi, chyba że... – Znowu przykucnął i delikatnie odsunął ziemię z miejsca, w którym leżał guzik. Okazało się, że nie pomylił się: Claudia posłużyła się guzikiem do oznaczenia miejsca, w którym ukryła kawałek tekturki oderwanej z wierzchu paczki portugalskich cygaretek. Kartonik miał zaledwie pięć centymetrów długości, ze dwa szerokości i bardzo mało miejsca na wiadomość, którą Claudia napisała kawałkiem węgla z ogniska.

„15 Renamo”. – Była to ważna wiadomość, potwierdzała bowiem ocenę Matatu i Sean teraz wiedział, z kim mają do czynienia.

„Uwaga”. Zastanowił się nad tym słowem. Uwaga, ale na co? Przypomnił sobie nagle, że w ten sposób przestrzegają się dzieciaki w szkole przed niebezpieczeństwem.

Uśmiechnął się do siebie. Ciekawe, jak Claudia skojarzyła to słowo? Przypomnił sobie, że przecież jest prawnikiem.

„Uwaga. Spodziewają się ciebie”. Claudia i Job musieli podsłuchać rozmowę napastników, kiedy ci rozważali możliwość pościgu.

„Wszystko OK”. Podpisała się jedną literą: „C”.

Patrzył na trzymany w ręku kawałek kartoniku, jakby to był jakiś drogocenny skarb.

– Moja mała ślicznotka – szepnął. – Musisz być najbystrzejszą i najtwardszą... – Pokręcił głową ze zdumienia, czując, jak silne uczucie ściska mu gardło. Pierwszy raz przyznał się przed sobą do uczuć, jakie wobec niej żywił. Szybko wstał z ziemi tłumiąc w sobie pragnienie zobaczenia jej jak najszybciej. Nie było teraz czasu na takie marzenia.

– Renamo – powiedział do Matatu i Pumuli. – Miałeś rację – zwrócił się do Matatu – jest ich piętnastu. Wiedzą, że za nimi podążamy. Powinniśmy spodziewać się zasadzki.

Obaj mężczyźni mieli poważne miny. Sean spojrział na zegarek.

– Możemy ich złapać przed nocą.

Po godzinie biegu natrafili na ślad pierwszej zasadzki, jaką zastawili na nich partyzanci Renamo. Czterej mężczyźni schowali się w miejscu, gdzie ścieżka przez równinę przechodziła w wyżej położony las. Czata została sprytnie umieszczona na skraju wąskiej doliny, z której był dobry ostrzał na otwarty teren. Została opuszczona na krótko przed tym, jak Sean ze swoimi ludźmi zbliżył się do niej.

– Zaczęli wystawiać tylną straż. – Sean nie czuł się najlepiej z powodu ryzyka, na jakie się zdecydował.

Na ziemi było widać wyraźne znaki pozostawione przez podstawę lekkiego karabinu maszynowego RPD, jednej z najprostszych i zarazem najgroźniejszych broni znajdujących się w wyposażeniu partyzantów. Gdyby Sean poprowadził swoich ludzi ku dolince, kiedy broniona jeszcze była przez ludzi z karabinem maszynowym, cały pościg zakończyłby się w ciągu kilku sekund. Nadał zbyt duże tempo i nie podjął niezbędnych środków ostrożności. To obawa o Claudię zmąciła jego zazwyczaj trafny osąd.

Renamo wycofali się bardzo krótko przed pojawieniem się pościgu, co oznaczało, że bardzo dobrze ocenili czas ich przybycia. Margines błędu był zbyt mały, żeby można mówić o przypadku. Załoga obsługująca RPD najpewniej przesunie się teraz do przodu, żeby nie zostać zbyt daleko za główną grupą, i założy zasadzkę w innym miejscu.

– Wystawiamy flanki – rozkazał niechętnie Sean. – Oczekiwać zasadzki. – Zmiana szyku zwolni niemal dwukrotnie pościg i teraz nie mieli już szans dopadnięcia Renamo przed nocą.

Nagle okazało się, że trzech mężczyzn stanowi niewystarczającą siłę. Matatu musiał podążać po tropie, a Sean i Pumula osłaniali jego boki. Mieli tylko jedną broń, wielką i wolno strzelającą strzelbę, a oczekiwało ich kilkunastu wyszkolonych żołnierzy z bronią automatyczną.

„To inne określenie samobójstwa”, powiedział sobie Sean, ale mimo tych przeciwności z trudem powstrzymał się przed przyśpieszeniem kroku.

Biegący w środku Matatu zagwizdał. Sean stracił go na chwilę z oczu i mimo że nie był to sygnał ostrzegawczy, przypadł do ziemi. Uważnie sprawdził teren przed sobą, zanim wstał i podszedł do niego.



Matatu z opaską biodrową podciągniętą do góry przykucnął obok tropu. Miał niewesołą minę. Wskazał palcem na ślad, nie odzywając się ani słowem i Sean natychmiast zorientował się, co go tak zaniepokoiło.

– Skąd oni się wzięli? – Nie było to pytanie, a raczej protest. Ich szansę zmalowały właśnie drastycznie i po raz pierwszy Sean poczuł przytłaczające go przygnębienie.

Oddział Renamo został wzmocniony przez jeszcze większą grupę; ze śladów wyglądało to, jakby spotkali kompanię piechoty.

– Ilu? – zapytał Sean, ale tym razem Matatu nie potrafił mu podać dokładnej liczby. Ślady nachodziły na siebie i były bardzo pomieszane.

Matatu zażył odrobinę tabaki, co robił zawsze, gdy chciał ukryć niepewność. Kichnął i otarł kciukami nabiegłe łzami oczy. Wyciągnął obie dłonie i czterokrotnie otworzył palce.

– Czterdziestu?

Matatu zrobił przepraszającą minę i jeszcze raz otworzył palce.

– Pomiędzy czterdziestu a pięćdziesięciu. – Sean otworzył manierkę i pociągnął z niej łyka. Woda była gorąca jak zupa, ale wypłukał nią dokładnie gardło, zanim przełknął.

– Później ich policzę – obiecał Matatu. – Gdy poznam każdy ślad. Teraz jednak... – splunął na zdeptaną ziemię, zrozpaczony z powodu zawodu, jaki sprawił.

– Jak daleko za nimi jesteśmy? – dopytywał się Sean i Matatu posłużył się palcami niczym wskazówkami zegara. – Trzy godziny – przetłumaczył Sean. – Nie mamy szansy zbliżyć się do nich przed zapadnięciem zmierzchu.

Gdy zrobiło się ciemno, Sean powiedział:

– Zjemy coś teraz i poczekamy na księżyc. – Kiedy księżyc wstał, ciemności rozjaśniła jedynie delikatna srebrna poświata. Niedługo potem został zasłonięty przez chmury i nie było dosyć światła, żeby zobaczyć trop. Sean zastanawiał się, czy nie maszerować na oślep przez całą noc w nadziei, że uda im się wyprzedzić Renamo, a następnie podążać za nimi krok w krok, czekając na okazję odbicia Claudii i Joba.

– To zwykła fantazja – powiedział sobie.

Od kilku dni utrzymywali wyteżone tempo i wszyscy znajdowali się na skraju wycieńczenia. Błądząc w nocy po lesie albo wpadliby na straże Renamo, albo zupełnie by ich zgubili.

– Idziemy spać – zdecydował. W końcu musiał się przyznać do porażki. Skoro partyzanci wiedzieli, że są ścigani, mogli wysłać kilku ludzi, żeby się z nimi rozprawili.

Sean znalazł miejsce na nocleg spory kawałek od tropu, w gęstwinie ciernistych krzaków, których szelest z łatwością obudziłby nawet bardzo zmęczonych ludzi. Wszyscy potrzebowali snu i Sean postanowił nie wystawiać straży polegając na krzakach. Noc była lodowato zimna. Leżeli przytuleni do siebie, ogrzewając się ciepłem ciała towarzysza. Sean zapadał już w drzemkę, gdy rozbudził go szept Matatu:

– Jeden z tych ludzi – zaczął Matatu i zamilkł. Sean otworzył z rezygnacją oczy.

– No powiedz już – polecił sennym głosem.  
– Kiedyś już spotkałem jednego z tych Renamo.  
– Znasz któregoś z nich? – Sean był teraz dokładnie rozbudzony.  
– Tak mi się wydaje, ale to było dawno temu i nie mogę sobie przypomnieć, gdzie to miało miejsce.

Sean zastanawiał się przez chwilę nad tym, co to zdanie naprawdę oznacza. Sam miałby kłopoty z zapamiętaniem twarzy wszystkich osób, które spotkał w ciągu ostatnich, powiedzmy, dziesięciu lat. Matatu był zawiedziony, że nie może natychmiast rozpoznać śladów butów człowieka, które widział dawno temu, w gęszczy innych śladów.

Mimo że Sean widział już wiele razy, jak Matatu dokonuje podobnych „cudów”, tym razem miał pewne wątpliwości.

– Idź spać, mały, głupi gnojku. – Uśmiechnął się w ciemnościach, objął chudą szyję przyjaciela i potrząsnął z uczuciem jego kędzierzawą głową. – Może w nocy przyśni ci się jego imię.

Sean śnił o Claudii. W jego śnie biegła naga przez las. Drzewa były czarne i pozbawione liści, a nagie konary wyginały się ku dziewczynie. Za nią gnało stado wilków. Zwierzęta także były czarne jak noc.

W ciemnościach połyskiwały białe kły i różowe jęzory. Claudia zawołała go po imieniu, a jej skóra była blada i świeciła niczym księżyc. Sean próbował pobiec jej na ratunek, ale nogi grzęzły mu, jakby biegł przez gęsty syrop. Chciał zawołać ją, ale jego język był drętwy niczym kołek i nie potrafił wydać żadnego dźwięku.

Obudziła go potrząsająca nim szorstko dłoń. Sean chciał krzyknąć, ale z gardła wydobył mu się jedynie charkot.

– Obudź się! – Matatu potrząsnął nim. – Jęczałeś i krzyczałeś przez sen. Riccardo cię usłyszy!

Sean usiadł szybko. Czuł, że mięśnie ma przemarznięte od zimna i wciąż był we władzy przerażającego koszmaru. Potrzebował kilku sekund, żeby wrócić do rzeczywistości i przypomnieć sobie, gdzie się znajduje.

– Za stary jesteś na takie wyprawy. – Czuł się upokorzony.

Skaut zawsze spał bezgłośnie i potrafił obudzić się w mgnieniu oka, gdyż inaczej ktoś z łatwością mógłby poderżnąć mu gardło.

– Wkrótce będzie dostatecznie jasno – szepnął Matatu. W lesie słychać już było śpiewy i szczebiotliwe nawoływanie się ptaków. Sean mógł zobaczyć koronkowe gałązki krzaków na tle nieba.

– Ruszamy. – Sean podniósł się z ziemi.

Gdy słońce było jeszcze nisko, a trawa wilgotna od rosy, dotarli do wyschniętego koryta rzeki, w którym Renamo rozbili się na noc obozem. Oddział wyruszył z pierwszym światłem i nie mógł być daleko od nich.

Na piaszczystej glebie dna rzeki Matatu znalazł ślady Claudii.

– Porusza się teraz swobodniej – powiedział Seanowi. – Noga szybko zdrowieje, ale Job i Pumula nadal ją niosą. Tutaj weszła na nosze.

Matatu zostawił delikatne odciski dziewczęcych butów i zainteresował się większymi, męskimi śladami, które dla Seana w niczym nie różniły się od pozostałych poza tym, że ich właściciel nosił buty ze wzorem choinki na podeszwie.

– Znam go – szepnął Matatu. – Pamiętam sposób, w jaki ten człowiek chodzi... – Potrzęsnał ze zdenerwowania głową i odwrócił się.

Posuwali się teraz z zachowaniem największej ostrożności. Trop prowadził przez dolinę ku okalającej ją skarpie i niedługo grupa dotarła do podnóży wzgórza. Ktokolwiek prowadził oddział Renamo, dobrze wiedział, gdzie się kieruje.

Sean oczekiwał, że w każdej chwili mogą natrafić na tylną straż. Obawiał się przy tym, że pierwszym ostrzeżeniem, jakie dostanie, będzie seria z karabinu maszynowego RPD, który potrafił wystrzelić sześćset pocisków na minutę.

Na górzystym terenie każda skała, każde załamanie terenu mogło stanowić doskonały punkt na zasadzkę i trzeba było je dokładnie sprawdzić, zanim mogli się przesunąć dalej. Sean ledwo sobie radził z niecierpliwością, ale zmuszał się do dostosowania tempa do terenu.

Wyszli zza niskiego wzgórza i przez delikatne drzewka msasa dostrzegli wąską dolinę biegnącą do centralnego masywu wznoszącego się wysoko nad poprzedzające go przedwzgórze.

– To będzie tutaj – mruknął Sean. – Tutaj założyli zasadzkę.

Ślad prowadził prosto do przesmyku przecinającego skarpe. Wejścia do przesmyku broniły wysokie, czerwone skały, a jego wnętrze było pozbawione drzew, mimo że boki były gęsto porośnięte krzakami. Była to naturalna pułapka.

Biegący w środku Matatu zagwizdał i Sean, zgięty wpół, żeby nie wychylać się za krawędź skały, podbiegł do niego. Z centrum roztaczał się doskonały widok na wnętrze doliny i Sean dojrzał ruch na tle porośniętego żółtą trawą piargu. Podniósł lornetkę do oczu. Wąziutka linia kropek powiększyła się do szeregu maszerujących ludzi.

Ludzie wspinali się na zbocze jeden za drugim. Większość z nich nosiła panterki i kapelusze pokryte kamuflującymi kolorami, choć kilku mężczyzn miało na sobie drelichy w kolorze khaki. Czoło kolumny zniknęło już w lesie na szczycie skarpy, oddalonym o jakieś pięć kilometrów, ale Sean zdążył jeszcze naliczyć dwunastu mężczyzn.

Nosze znajdowały się w środku, niesione przez czterech mężczyzn: dwóch z przodu i dwóch z tyłu. Sean chciał wypatrzeć Claudię, ale zanim wyregulował ostrość, ludzie z noszami dotarli do linii drzew i zniknęli.

Opuścił lornetkę i wypolerował szkła chusteczką. Pumula nadbiegł z przeciwnej flanki. Obaj z Matatu przykucnęli za skałami i w ponurym milczeniu uważnie przyglądali się terenowi przed sobą. Sean znowu podniósł lornetkę, by obejrzeć strome zbocze porośnięte

gęstymi krzakami. Miejsce świetnie nadawało się na zasadzkę. Renamo mogli dostać Seana w krzyżowy ogień, gdyby próbował przedostać się przez dolinę rozciągającą się u podnóża skarpy.

– Ilu widziałeś? – zapytał Sean nie odejmując lornetki od oczu. – Czy wszyscy weszli do lasu na szczycie doliny?

– Widziałem tylko kilku – mruknął w odpowiedzi Pumula.

– Masesh. – Matatu splunął na ziemię. Miał na myśli sfermentowane piwo jęczmienne, którego rybacy Batonka używali na płyciznach jeziora Kariba jako przynęty na leszcze.

Matatu znowu splunął robiąc przy tym nieszczęśliwą minę.

– Ta dolina jest jak paszcza krokodyla. Chcą, żebyśmy włożyli w nią głowy.

Sean powoli przyglądał się bokom doliny, opuszczając co kilka minut szkła, żeby dać odpocząć oczom, i znowu podnosząc je do góry. Zaczął od samego szczytu. Uważnie śledził drogę w dół, przeglądając ten sam kawałek terenu po kilka razy. Starał się przy tym nie myśleć o noszach i małej figurce, którą jak mu się zdawało, na nich zobaczył. Skoncentrował się na poszukiwaniach. Dziesięć minut później zostały uwieńczone sukcesem.

Dostrzegł pojedynczy odblask słońca, który odbił się od zegarka czy lornetki polowej.

– Tam są. – Schował lornetkę. – Miałeś rację, Matatu. Założyli przynętę i czekają na nas.

Usiadł za głazem i starał się rozważyć sytuację logicznie, ale wspomnienie Claudii mąciło jego myśli. Jedynym sensownym wnioskiem było to, że dalszy pościg stał się niemożliwy. Podniósł wzrok. Pumula i Matatu spoglądali na niego ze ślepym zaufaniem. Przez prawie dwadzieścia lat znajomości nigdy nie widzieli, żeby nie potrafił wybrnąć z sytuacji. Teraz czekali cierpliwie, aż znowu dokona cudu.

Pokładana w nim nadzieja zdenerwowała Seana. Poderwał się z ziemi i cofnął za wzgórze, żeby pomyśleć spokojnie bez tych spojrzeń ufnych oczu. Znalazł dobrze osłonięte miejsce, które zapewniało mu widok na wszystkie strony uniemożliwiając zbliżenie się do niego od tyłu. Usiadł na ziemi ze strzelbą na kolanach i zaczął rozpatrywać wszystkie opcje.

Pierwszą, którą natychmiast odrzucił, był atak na oddział Renamo. Nawet jeśli by nie liczyć śmiesznych sił, jakimi dysponował, musiał pamiętać o znajdujących się w rękach wroga jeńcach. Z kompanią uzbrojonych Skautów też nie ośmieliłby się zaatakować.

„Na co więc mogę liczyć podążając za nimi?”, zapytał siebie w myślach. „Poza zaspokojeniem mojego pragnienia zobaczenia i znalezienia się jak najbliżej Claudii Monterro”.

Wyglądało na to, że największe szansę uwolnienia zakładników dałaby interwencja dyplomatyczna u sprzymierzeńców Renamo, na przykład poprzez rząd południowoafrykański w Pretorii. Jednak Południowoafrykańczycy nie będą mogli zrobić nic, póki nie dowiedzą się o fakcie uprowadzenia obywatelki amerykańskiej.

„Dobrze”, podjął decyzję Sean. „Muszę wysłać wiadomość do ambasady amerykańskiej w Harare”. Uświadomił sobie jednocześnie, że rozwiązywało to kolejny ciężący mu problem.

Był odpowiedzialny za Matatu i Pumulę. Wplątał ich w sytuację wręcz samobójczą. Im bardziej zbliżali się do Renamo, tym bardziej obaj przyjaciele obciążali jego sumienie. Teraz miał świetną wymówkę, żeby odsunąć ich od niebezpieczeństwa.

„Wyślę ich do Chiwewe z wiadomością dla Reemy”. Otworzył plecak i znalazł mały notatnik oprawiony w skórę. Zaczął układać wiadomość.

Reema miała teczki z danymi osobistymi Riccarda i Claudii; wszystkie dane od opisu cech charakterystycznych po numery paszportów. Riccardo był wpływowym człowiekiem w swoim kraju. Sean nie powiadomił Reemy o jego śmierci, ale napisał, że ojciec i córka znaleźli się w rękach partyzantów. Można było polegać na ambasadzie amerykańskiej, że szybko zareaguje i w ciągu kilku godzin skontaktuje się z Pretorią.

Oczywiście, od czasu nałożenia sankcji ekonomicznych na Afrykę Południową, stosunki pomiędzy Waszyngtonem i Pretorią były wyjątkowo złe i amerykańskie wpływy w tym rejonie świata nie miały już takiego znaczenia jak kiedyś. Mimo to Południowoafrykańczycy powinni chętnie udzielić pomocy ze względów czysto humanitarnych.

„W porządku, to załatwia sprawę Pumuli i Matatu”. Sean podpisał list, wyrwał kartkę i złożył ją. Po chwili zastanowienia zapisał jeszcze jedną stronę dokładnymi instrukcjami co do rozporządzenia 500000 dolarów, jakie należały mu się z majątku Riccarda. Reema miała przekazać te polecenia prawnikowi Seana.

Wreszcie przyszedł czas na podjęcie decyzji, co on sam ma dalej robić. Mógł wrócić do Chiwewe z wiadomością i za dwa, trzy dni siedziałby sobie w hotelu Meikles, popijając piwo Castle, planując, jak wydać pół miliona dolarów. Pomysł był rozsądny, ale Sean odrzucił go bez wahania.

„No więc będę podążał za kolumną Renamo czekając na okazję”. Uśmiechnął się do siebie, rozbawiony absurdalnością tego pomysłu. „Jaką okazję?”, zastanowił się. „Mam czekać, aż uda mi się przebić z jedną starą strzelbą przez grupę pięćdziesięciu uzbrojonych partyzantów, wyswobodzić trójkę więźniów i jednym potężnym skokiem przetrząsnąć ich sto sześćdziesiąt kilometrów do granicy, niosąc Claudię na plecach!”

W końcu wstał, założył plecak i podszedł skulony do leżących na ziemi Matatu i Pumuli. Obaj nieustannie obserwowali skarpę. Sean przypadł do ziemi obok Matatu.

– Coś nowego? – zapytał. Matatu potrząsnął głową. Leżeli w milczeniu przez kilka minut i Sean zbierał w sobie odwagę, żeby powiedzieć małemu człowieczkowi, że musi go oddalić od siebie.

Przyglądał się jednocześnie miejscu, w którym Renamo zastawili pułapkę. Matatu zdawał się wyczuwać jakimś zmysłem, że święci się coś niedobrego. Rzucił Seanowi zaniepokojone spojrzenia i kiedy ten zwrócił się do niego, Matatu uśmiechnął się swoim najwdzięczniejszym uśmiechem. Zaczął się kręcić usiłując odsunąć od siebie, cokolwiek złego się szykowało.

– Przypomniałem sobie – powiedział podekscytowanym głosem. – Przypomniałem sobie, kto to jest.

Sean, który myślał o czymś zupełnie innym, podniósł brwi ze zdziwienia.

– Kto? O kim mówisz?

– O przywódcy Renamo – odparł szczęśliwym tonem Matatu. – Powiedziałem ci wczoraj, że znam jego ślady. Teraz przypomniałem sobie, kto to jest.

– No, kto? – zapytał podejrzliwie Sean, nie dowierzając pamięci przyjaciela.

– Pamiętasz, jak zeskoczyliśmy z indeki, żeby zaatakować obóz w rozwidleniu rzek? – Matatu zamrugał do niego oczyma i Sean ostrożnie skinął głową. – Pamiętasz jak zabiliśmy ich w korycie rzeki? – Matatu zachichotał na wspomnienie tamtej przygody. – A pamiętasz tego mężczyznę, którego przyłapaliśmy na paleniu książek? Tego co nie chciał maszerować i musiałeś mu odstrzelić ucho? – Teraz Matatu roześmiał się ze świetnego kawału. – Z jego ucha trysnęła krew i jęczał jak dziewica.

– Towarzysz China?

– China. – Matatu miał kłopoty z wymówieniem imienia. – Tak, to ten.

– Nie! – Sean potrząsnął głową. – To nie China. To niemożliwe!

Teraz Matatu zakrył usta, żeby zdusić śmiech. Uwielbiał, kiedy udawało mu się skonfundować i zadziwić swojego pana. Matatu nie znał lepszego kawału.

– China! – Matatu aż się zaślinił od śmiechu i przyłożył palec wskazujący do ucha. – Buch! – powiedział. Było to takie śmieszne, że aż się zakrztusił. – Towarzysz China.

Sean patrzył i nie widział go, zastanawiając się nad tą nadzwyczajną wiadomością. Jego rozum podpowiadał mu, że musi być błędna, ale wiedział, że Matatu nie popełnia tego typu pomyłek.

– Towarzysz China! – mruknął Sean. – To trochę zmienia sytuację.

Wrócił w myślach do tamtego dnia. Mężczyzna zrobił na nim takie wrażenie, że mimo wielu wydarzeń krwawej wojny z łatwością przypomniał sobie jego postać. Pamiętał jego wyraźne rysy i ciemne, inteligentne oczy, ale cała postać wydawała się wyblakła i przytłoczona przez pewność siebie i świadomość celu, jakie emanowały z tego człowieka. Już wtedy był niebezpieczny. Sean przypuszczał, że w minionym okresie zdobył więcej doświadczenia i będzie jeszcze groźniejszym przeciwnikiem.

Pokręcił głową. Był czas, kiedy Skauci nadali mu przydomek „Szczęściarz Courteney”; teraz wyglądało na to, że szczęście zaczęło go opuszczać. Nie mógł wyobrazić sobie żadnej osoby, którą chciałby mniej spotkać niż towarzysza Chinę.

Matatu wyśmiał się do woli i teraz walczył z czkawką, ściskając nagi brzuch i gardło.

– Wysyłam cię do Chiwewe – powiedział szorstkim tonem Sean. Czkawka oraz śmiech zniknęły jak ucięte nożem. Matatu patrzył z niedowierzaniem i rosnącą rozpaczą. Sean nie mógł znieść tego oskarżycielskiego spojrzenia.

Odwrócił się do Pumuli i zawołał go do siebie.

– Tę wiadomość oddasz szefowi kuchni. Powiedz mu, żeby przekazał ją przez radio do Reemy w Harare. Matatu zaprowadzi cię do obozu. Nie zbaczaj tylko z drogi, jasne?

– Mambo. – Pumula był starym Skautem, wypełniał rozkazy Seana bez szemrania.

– W porządku, idźcie – rozkazał Sean. – Idźcie teraz. – Pumula wyciągnął rękę. Pożegnali się na sposób afrykański, ściskając dłonie, dotykając się kciukami i znowu ściskając dłonie. Pumula wycofał się zgięty. Dopiero gdy znalazł się za wzgórzem, wyprostował się i pobiegł nie oglądając się za siebie.

Sean zmusił się do spojrzenia na Matatu. Malutki tropiciel przykucnął na ziemi starając się zmniejszyć jeszcze bardziej i ująć uwagi Seana.

– Idź! – rozkazał szorstkim głosem Sean. – Zaprowadź Pumulę do Chiwewe.

Matatu zwiesił głowę, drżąc na całym ciele jak zrozpaczony szczeniak.

– Wynos się, do cholery! – huknął na niego Sean. – Zjeżdżaj, zanim skopię ci twój czarny tyłek!

Matatu podniósł głowę i Sean zobaczył czarną rozpacz w jego oczach. Chciał go podnieść i przytulić do siebie.

– Zmykaj stąd, ty mały, głupi gnojku! – zrobił wyjątkowo srogą minę. Matatu cofnął się o kilka kroków, zatrzymał się i spojrzał błagającym wzrokiem. – Idź już! – Sean podniósł rękę w groźnym geście. W końcu mały człowieczek pogodził się z nieuniknionym i ruszył truchtem w dół zbocza. Zanim zniknął w gęstych krzakach u stóp zbocza, zatrzymał się jeszcze na chwilę i ostatni raz spojrzał na Seana, szukając najmniejszej choćby oznaki słabości. Wyglądał przy tym jak symbol przygnębienia.

Sean celowo obrócił się do niego plecami i podniósł lornetkę, żeby przyjrzeć się terenowi. Po kilku sekundach obraz zamglił się. Sean musiał zamrugać oczyma. Mimowolnie obejrzał się przez ramię. Matatu zniknął. Sean poczuł się bardzo dziwnie nie mając go przy sobie. Po kilku minutach podniósł lornetkę i znowu zaczął badać zbocza skarpy. Starał się odsunąć od siebie myśli o Matatu.

Po obu stronach wejścia do wąskiej doliny ciągnęły się jak okiem sięgnąć urwiska z czerwonej skały. Nie były szczególnie wysokie; w niektórych miejscach miały zaledwie kilkaset metrów, ale były wyjątkowo strome, miejscami pionowe, a gdzieniegdzie bardziej miękkie skały erodowały pod warstwami twardszych pokładów, tworząc płytkie, horyzontalne jaskinie i nawisy.

Przy stromych i niedostępnych urwiskach wejście do przesmyku wyglądało bardzo zachęcająco, ale Sean skoncentrował się na skałach. Penetrował je przez lornetkę w obie strony aż po horyzont. Mogło się okazać konieczne przejście kilku kilometrów wzdłuż skarpy, żeby znaleźć łatwiejsze miejsce do wspinaczki, ale oznaczałoby to stratę czasu. Sean wrócił wzrokiem do upatrzonego miejsca.

Jakieś pół kilometra na prawo od doliny wyszukał wejście, które wydawało się łatwiejsze do wspinaczki od innych, ale wiedział, że bez towarzysza i podstawowego sprzętu górskiego będzie miał poważne trudności. Na dodatek będzie obciążony plecakiem i karabinem, a jedyną porą, kiedy mógł zaryzykować wspinaczkę, była noc. Gdyby wszedł na te odsłonięte

skały za dnia, sam by się prosił o kulkę w głowę z AK.

Przez lornetkę wypatrzył skalisty ustęp zwinięty jak schody przeciwpożarowe. Ustęp pozwalał obejść skalny nawis i dalej wiódł w górę do horyzontalnego występu, który ciągnął się na jakieś trzydzieści metrów w obu kierunkach. Z występu biegły dwie możliwe drogi na szczyt. Jedną z nich tworzył bardzo wąski skalny komin, a drugą prosta ściana skalna pokryta serpentynami korzeni potężnego figowca, który rysował się na tle nieba rosnąc na szczycie wzgórza. Korzenie pełzały po skale i przeplatały się jak olbrzymie kłębowisko węży, sięgające ku samej krawędzi skały.

Sean spojrzął na zegarek. Miał jeszcze trzy godziny, zanim ściemni się dostatecznie, żeby mógł podjąć próbę, i nagle poczuł się wyczerpany. Wiedział, że stan ten jest spowodowany nie tylko męczącym pościgiem, ale także emocjonalnym napięciem, jakie wywołało zobaczenie Claudii i Joba w szeregu Renamo. A także odesłaniem Matatu.

Wycofał się ze skalnej krawędzi, zacierając za sobą ślady i poszukał jakiejś kryjówki, w której mógłby bezpiecznie spędzić resztę dnia. Kiedy znalazł bezpieczną szczelinę pomiędzy skałami porośniętymi zaroślami, rozluźnił sznurówki, żeby dać odpocząć nogom i przyciskając do piersi strzelbę wśliznął się do środka. Zjadł powoli placek kukurydziany, przeżuł tabliczkę protein i popił kilkoma łykami wody z manierki.

Wiedział, że obudzi się, kiedy słońce dotknie horyzontu. Zamknął oczy i niemal natychmiast zasnął.

Matatu i Pumula biegli równomiernym truchtem do obozu nad rzeką Chiwewe. Biegli przez całą noc i w południe następnego dnia zatrzymali się, żeby uzupełnić manierki wodą z rozlewiska, w którym dostrzegli trop Tukuteli z samolotu.

Pumula chciał odpocząć, ale Matatu nie trudził się nawet dyskutowaniem z nim. Obrócił się na zachód i ruszył chwiejnym truchtem na swoich chudziutkich nogach. Pumula był zmuszony podążać za nim. Przekroczyli granicę pomiędzy Mozambikiem a Zimbabwe w czasie najciemniejszych godzin nocnych i wczesnym popołudniem następnego dnia dotarli do obozu.

Zamieszanie wzbudzone ich przybyciem było olbrzymie. Zaniepokojony kucharz zapomniał włożyć swoją wielką, białą czapę i fartuch, zanim przybiegł do nich po wiadomości o mambo.

Matatu zostawił Pumuli oddanie listu od Seana i odpowiedzenie na krzyżowy ogień pytań. Schował się w swoim szałasie i natychmiast zasnął zwinięty w kłębek na starym, metalowym łożu, które dostał w prezencie od Seana. Stanowiło jego najcenniejszy skarb. Przespał całe zamieszanie, kiedy kucharz wrzeszczał do mikrofonu radionadajnika VHF, jakby chciał dokrzyczeć się do Reemy w oddalonym o pięćset kilometrów Harare.

Obudził się po pięciu godzinach. W ciemnym obozie panowała cisza. Przytroczył sobie mały skórzany woreczek, wyjął zapas cennej tabaki spod materaca i napełnił nią zawieszony



na szyi wydrażony róg.

Wysunął się bezszelestnie spomiędzy namiotów, gdy oddalił się na bezpieczną odległość, wyprostował się i skierował na wschód.

– Mały, głupi gnojek – powiedział szczęśliwym głosem i ruszył biegiem, żeby zająć należne mu miejsce u boku człowieka, którego kochał bardziej niż własnego ojca.

Seana obudziło chłodne powietrze, jakie nadciągnęło wraz ze zmrokiem. Skały budujące skarpe powoli znikwały w purpurowym, gęstniejącym niczym dym zmierzchu. Sean przeciągnął się i rozejrzał za Matatu. Przypomniawszy sobie, że jest sam, i poczuł silny skurcz w żołądku. Zawiązał buty i wypił jeszcze kilka łyków wody. Kiedy zakręcił korek od menażki, podniósł ją do ucha i potrząsnął. W połowie była jeszcze pełna.

Otworzył zamek strzelby, wysunął dwa naboje i zamienił je na dwa świeże wyjęte z pętelek przy kieszeniach kurtki. Wycisnął dwa centymetry czarnego kremu kamuflującego z tubki i posmarował nim twarz i wierzchy dłoni. Następnie wstał z ziemi i wspinał się na zbocze.

Ostatnie dwadzieścia minut dnia spędził na obserwowaniu wejścia do doliny i szczytu skarpy. Wyglądało na to, że nic się nie zmieniło. Przyjrzał się jeszcze raz wybranej drodze, ucząc się jej na pamięć.

Kiedy wreszcie noc rozpostarła się nad wzgórzami, przemknął bezszelestnie po płaskiej skalnej i podczołgał się do podstawy skarpy. Krzaki okazały się o wiele gęstsze, niż przypuszczał. Stracił trochę czasu, by się przez nie przedrzeć.

Kiedy stanął przy skalnej ścianie, było już zupełnie ciemno. Sean potrafił rozpoznać początek wybranego wejścia po małym krzaku wyrastającym ze szczeliny w skale.

Nigdy nie nosił broni przewieszonej na pasku przez ramię. Gdyby pasek zaczepił się o gałązkę w gęstym buszu, kiedy zaatakował go byk czy ranny lew, mogło się to dla niego niewesoło skończyć. Teraz strzelbę o krótkiej lufie owinał śpiworem i schował ją pod połę plecaka. Wystające z jednej strony kolba, a lufa z drugiej powodowały, że ciężar rozkładał się nierównomiernie na plecach. Sean podszedł do ściany i dotknął jej dłonią, żeby wyczuć powierzchnię. Skała była jeszcze rozgrzana słońcem i gładka niczym mydło.

Przed wojną jedną z pasji Seana była górską wspinaczką. Uwielbiał ryzyko, jakie niesło ze sobą wejście na pionową ścianę i przepaść otwierającą się pod nogami. Wspinał się na góry w Ameryce Południowej i Europie, a także na Drakensberg i Mount Kenya w Afryce. Miał doskonale wycucie równowagi i silne palce oraz ramiona. Gdyby nie wybuch wojny, miał szansę zostania jednym z najlepszych alpinistów na świecie. Nigdy jednak nie próbował wspinaczki w takich warunkach.

Zamiast specjalnych butów ze wzmocnionymi czubami miał na nogach miękkie mokasyny. Brakowało mu lin, osoby, która by go ubezpieczała, haków czy choćby czekana, a do tego musiał się wspinać po ciemku, widząc jedynie kawałek ściany nad sobą. Co gorsza,

drogę poznał przez lornetkę z odległości ponad kilometra. Niczym ślepiec miał wchodzić na ścianę z czerwonego piaskowca, najniebezpieczniejszą ze skał.

Rozpoczął wspinaczkę. Odsunięty lekko od ściany posługiwał się palcami rąk i stóp, przerzucając się z jednego występu na drugi, nie zatrzymując się ani na chwilę, nie szarpiąc i nie siłując z chwytami, tylko pnąc się gładko ku górze niczym kozica.

Z początku występy i naturalne chwytaki były równie solidne niczym haki, ale wyżej ściana stawała się coraz bardziej gładka. Znajdował jedynie załamania i drobne ustępy skalne. Starał się ich nie obciążać i nie zostawać na nich zbyt długo. Uchwyt palców, muśnięcie stopy i już przenosił się na następny. Mimo to czuł, jak miękka skała chrzęści i pęka pod jego rękami; zawsze jednak zdążył umknąć, zanim poddała się naciskowi.

Miejscami nie widział nic nad głową i wspinał się kierowany jedynie instynktem. Sięgał w ciemności i macał czułymi opuszkami palców za jakąś szczeliną w skale, w której mógłby znaleźć oparcie. Nie zatrzymując się ani razu dotarł do półki skalnej trzydzieści metrów nad ziemią.

Występ okazał się węższy, niż się wydawał, gdy oglądał go z daleka; miał jakieś dwadzieścia centymetrów szerokości. Z plecakiem, z którego obu stron wystawała strzelba, Sean nie mógł się obrócić i usiąść na półce.

Musiał stać na niej twarzą do skały z piętami wystającymi poza krawędź, podczas gdy ciężar plecaka i strzelby ściągały go do tyłu. Teraz czuł się jeszcze mniej swobodnie niż w czasie wspinaczki po ścianie. Rozłożył ręce i szukając nierówności w oddalonej o centymetr od jego nosa skale przesuwiał się krok za krokiem do przodu.

Szedł w ten sposób w stronę pionowej szczeliny, którą wypatrzył przez lornetkę. Była to pierwsza z możliwych dróg na szczyt. Sean instynktownie nie ufał korzeniom, gałęziom i kępom trawy. Nigdy nie można było mieć co do nich pewności i jak każdy dobry amator wspinaczki, uważał je za zbyt ryzykowne, żeby powierzać im życie.

Liczył każdy krok do przodu. Kiedy zrobił setny, skalna półka zaczęła niebezpiecznie zwężać się pod jego stopami. Mięśnie ud silnie drżały i piekły od nienaturalnego wysiłku balansowania ciałem obciążonym ciężkim ładunkiem.

Po następnych dwudziestu krokach ściana zaczęła się wywieszać ku niemu, odpychając go do tyłu. Sean wysunął mocniej biodra do przodu, żeby zachować równowagę. Wspiął się na wysokość trzydziestu metrów i upadek musiałby zakończyć się śmiertelnie.

Obciążenie nóg było nieznośne. Zastanowił się, czy się nie cofnąć i nie spróbować wspiąć po gęstych korzeniach figowca, ale wątpił, żeby zdołał to zrobić. Czuł, że musi się zatrzymać i dać przez chwilę odpocząć mięśniom. Wiedział jednak, że to byłby koniec. Przystanek na tej skale znaczył porażkę i śmierć.

Zmusił się do zrobienia następnego kroku i jeszcze jednego. Ściana odepchnęła go tak mocno, że jego plecy były wygięte w pałąk, a nogi zdrętwiały aż po kostki. Czuł, jak trzęsą się przy każdym ruchu i wiedział, że za chwilę się poddadzą. Nagle palce lewej ręki natrafiły

na szczelinę. Ulga, jakiej doznał, przypominała dożylny zastrzyk adrenaliny.

Mięśnie uspokoiły się i mógł zrobić kolejny krok. Palce sprawnie obmacywały pionową szczelinę. Nie była dostatecznie szeroka, żeby zdołał zaklinować w niej ramię, i szybko się zwężała.

Sean wepchnął rękę najgłębiej, jak mógł, i zacisnął dłoń w pięść, klinując ją w szczelinie. Teraz mógł zawisnąć na ręce i pozwolić nogom i mięśniom grzbietowym przez chwilę odpocząć. Oddech rozrywał mu płuca, a strugi potu spływały po ciele, przesiąkając przez koszulę. Pot rozpuszczał krem kamuflujący i zalewał mu oczy piekącą strugą.

Zamrugał powiekami i podniósł głowę do góry. Zdziwił się, że na tle nocnego nieba może dostrzec krawędź zbocza. Dojrzał też szczelinę biegnącą pionowo do góry.

Obrócił głowę i zobaczył, że księżyc oświetlił horyzont na wschodzie i w jego świetle las poniżej nabrał srebrnej poświaty.

Nie mógł dłużej zwlekać. Trzeba było ruszać dalej. Sięgnął wolną ręką nad głowę, wepchnął ją w wąską rysę i silnie zaklinował pięść. Następnie obrócił stopę i wsunął palce do szczeliny metr powyżej skalnej półki. Noga trzymała się pewnie. Podniósł się na niej i zaklinował drugą nogę. Odnalazszy równowagę wspinał się szybko w górę szczeliny noga po nodze i dłoń po dłoni.

Widział zbliżający się szczyt, teraz odległy o jakieś trzydzieści metrów. Po kolejnych kilku krokach przekonał się, że szczelina zaczyna się rozszerzać. Dłonie i stopy nie blokowały się już tak pewnie. W pewnej chwili noga mu się obsunęła, szorując głośno po skale, aż utknęła w występie poniżej.

Sean odwrócił ciało, usiłując wepchnąć ramię nieco głębiej, ale lufa strzelby uderzyła go w twarz uniemożliwiając pełny obrót. Wisiał przez kilka sekund, zanim udało mu się złapać równowagę i mógł sięgnąć nad głowę, żeby znaleźć jakiś występ. Jego ręka natrafiła na gładką skałę i już wiedział, że utknął.

Miał jakieś piętnaście sekund, zanim nogi odmówią posłuszeństwa. Wiedział, co musi zrobić, ale sprzeciwiało się to jego najgłębszym instynktom.

– Zrób to – zasyczał mu własny głos w uszach. – Zrób to albo zginiesz.

Sięgnął do tyłu i otworzył sprzączkę zapinającą pasek od plecaka opinający mu biodra. Następnie wyprostował jedno ramię i sięgnął do tyłu i w dół; pasek naramienny zsunął się z barku, zaczepiając się w zgięciu łokcia. Ciężar plecaka ze strzelbą obrócił jego ciało i Sean musiał się wysilić, żeby utrzymać się na skale.

Wsunął mocno głowę w szczelinę, starając się zablokować ją szczęką i tyłem głowy. Ramiączko plecaka pętało mu rękę za plecami. Zebrał siły, napiął mięśnie karku i puścił drugą rękę. Trzymając się teraz jedynie głową i jedną stopą, wyprostował oba ramiona za plecami. Przez przerażającą chwilę pasek zaczepił się o rękaw kurtki i zaraz zsunął się w dół.

Plecak poleciał w ciemność. Uwolniony od ciężaru Sean zachwiał się, w panice schwycił się krawędzi szczeliny i zdołał uchronić się przed runięciem w przepaść.

Przywarł mocno do ściany i słuchał, jak plecak obija się o skałę przy upadku, stalowa lufa strzelby wydaje odgłos niczym nocny dzwon, budząc echo, które roznosi się okropnym dźwiękiem po okolicznych wzgórzach. Długo po tym, jak plecak znieruchomiał u podnóża skarpy, echo nadal odbijało się od gór.

Sean obrócił się i zdołał zaklinować ramię w szczelinie. Odpoczywał przez chwilę dysząc ciężko, osłabiony panicznym lękiem przed śmiercią. Z wolna jego oddech się wyrównał i strach ustąpił miejsca poczuciu siły. Nagle pojął, jak wspaniale jest żyć.

– Stanałeś nad samą krawędzią – szepnął ochryple. – Znowu tam byłeś. – Im większy lęk, tym większe podniecenie. Nie dziwiło go już to tak bardzo. Upajał się wręcz świadomością, że balansuje na krawędzi oddzielającej życie od śmierci.

Kiedy podekscytowanie zaczęło przemijać, dotarło wreszcie do niego, w jakiej znalazł się sytuacji. Stracił plecak. Strzelba, manierki z wodą, śpiwór, żywność, nie miał nic. Pozostała mu jedynie zawartość kieszeni, mała torebka z artykułami pierwszej potrzeby i nóż myśliwski przyczepiony do pasa.

– Później się będę tym martwił; jak dotrę na szczyt – szepnął do siebie i podjął wspinaczkę. Z jednym ramieniem wepchniętym głęboko w skalną ryse mógł posuwać się do góry centymetr po centymetrze. Każdy z nich opłacał skórą zdartą z nagich kolan i kłykci.

Z wolna szczelina rozszerzała się i w końcu przeszła w szeroki komin, w którym mógł zmieścić całe ciało i podparłszy się jedną nogą, szybciej posuwać do góry. Przy szczycie skała zwietrzała i pokruszyła się. Jedna ściana komina była odłamana; została po niej wąziutka, płaska półka. Sean zdołał przesunąć się na występ i po chwili stał na tej niepewnej podporze.

Krawędź skarpy znajdowała się jakieś trzy metry nad jego głową. Kiedy stanął na palcach i wysunął ręce najdalej, jak mógł, szczyt był nadal poza jego zasięgiem. Ściana komina odłamała się tak równo, że na gładkiej powierzchni skarpy nie została żadna szczelina czy ustęp. Rozsądny amator wspinaczki przesuwał się zawsze z jednego pewnego stanowiska do następnego, nie pozostając nawet przez chwilę bez ubezpieczenia. W sytuacji jak ta wbiłby w ścianę hak, zapewniając sobie asekurację.

– Patrzcie państwo, nie ma haka – powiedział Sean. – Trzeba będzie skoczyć. – Miał tylko jedną szansę. Jeśli nie złapie pewnie krawędzi, to jego następnym przystankiem będzie podnóże góry.

Wparł się mocno stopami w skałę i zgiął nogi. Półka była jednak zbyt wąska, żeby mógł przykucnąć dostatecznie nisko do dobrego wyskoku. Jego twarz wcisnęła się w skałę, a plecy wystawały niebezpiecznie daleko nad przepaść.

Wziął głęboki oddech i z całej siły wybił się w górę, pomagając sobie przy tym ramionami. Był w wyjątkowo niewygodnej pozycji do skoku, ale udało mu się złapać krawędzi obiema rękami. Przez ułamek sekundy dłonie ślizgały się po nagiej skale, lecz zaraz palce zacisnęły się i powstrzymały upadek.

Sean podciągnął się do góry siłą samych ramion. Wysunął głowę nad krawędź i w świetle księżyca zobaczył, że jest to fałszywy szczyt. Kolejna skalna półka przed prawdziwą krawędzią wzgórza.

Występ zamieszkiwała kolonia góralków. Ostry, amoniakalny zapach ich odchodów wypełnił płuca Seana, gdy dyszał ciężko z wysiłku. Góralki to pulchne, pokryte gęstym futerkiem zwierzątka przypominające z wyglądu dzieciinną zabawkę. Mimo że nie większy od królika, jest dalekim kuzynem słonia. Kolonia góralków była ukryta głęboko w norkach i półka wyglądała na opuszczoną. Sean podciągnął się wyżej i oparł łokciem o krawędź skały. Kopnął nogą, zbierając się do wejścia na skałę i nagle zmarł.

Nocna cisza została przerwana przez głośny, wysoki syk przypominający odgłos powietrza uchodzącego z przebitej opony. Spoczywający na wprost jego twarzy przedmiot, który w niepewnym świetle księżyca wziął za skalne zwalisko, zaczął się poruszać.

W jednej chwili uświadomił sobie, że jest to żmija. Tylko jeden gatunek potrafił syczeć tak głośno i osiągać takie rozmiary.

Gad był zwinięty w kłębek, pętle grubego cielska błyszczały delikatnie łuskami. Żmija uniosła łeb, układając szyję w złowieszcze „S”. Od jej oka odbiło się światło księżyca i zdawała się mrugać na niego sardonicznie. Potężny, płaski łeb żmii gaboon, największego i najbardziej jadowitego gada afrykańskiego, miał charakterystyczny kształt łopaty.

Sean mógł spróbować zeskoczyć na skalną półkę, ale miał niewielką szansę utrzymania na niej równowagi i jeśli pośliznąłby się, poleciałby w przepaść. O wiele sensowniej było podjąć walkę.

Wisiał na skale patrząc z obrzydzeniem na przerażającego gada i starając się uregulować oddech. Żmija przyjęła pozycję do ataku, jej głowa była o niecały metr od twarzy Seana; wiedział, że gad może w każdej chwili uderzyć całą siłą dwumetrowego cielska. Mógł go sprowokować najmniejszy ruch.

Sean wisiał na ramionach z każdym mięśniem napiętym do granic możliwości i próbował zdominować zwierzę siłą woli. Sekundy mijały wolno. W pewnym momencie miał wrażenie, że dostrzegł lekkie rozluźnienie w wygiętej w „S” szyi.

W tej samej chwili jego dłoń obsunęła się, paznokcie zaszurały na skale i gad uderzył z siłą opadającego kowalskiego młota.

Sean uchylił głowę na bok jak bokser robiący unik przed ciosem. Zimny, pokryty łuskami nos gada otarł się o jego szczękę. Sean poczuł szarpnięcie za bark tak silne, że oderwało jedną rękę od skały i na wpół go obróciło. Trzymał się teraz półki jedną ręką, wisząc bokiem do skalnej ściany.

Wiedział, że żmija wbiła się kłami w ramię albo w kark, i oczekiwał strumienia piekącego jadu rozplývającego się po ciele. Gad musiał wbić się mocno, gdyż zwiślał na jego ciele, gruby jak salami, wijąc się, chłoszcząc go ogonem i sycząc mu przeraźliwie w ucho. Sean czuł, jak zimne, gładkie, pokryte łuskami cielsko ociera się o jego skórę.

Niemal wrzasnął z obrzydzenia. Tańczący na wszystkie strony, ciężki gad zsuwał go ze skały, a głośne syki ogłuszały Seana. Zaciśnięta na półce dłoń zaczęła się zsuwać, ale perspektywa upadku straciła na znaczeniu w porównaniu z ohydny gadem wbitym w jego szyję.

Po szczęście i boku szyi spłynął mu lodowaty strumyk, ściekając za kurtkę. Z nagłą ulgą Sean zrozumiał, że gad nie trafił na gardło i wbił się w gruby kołnierz kurtki. Zęby jadowe żmii miały prawie pięć centymetrów długości. Były silnie wygięte, przystosowane do wbijania się i wczepiania w ciało ofiary. Rzucił głową, a z zaklinowanych w bawełniany materiał wydrążonych zębów ściekał jad.

Świadomość, że zęby nie trafiły na ciało, podniosła Seana na duchu. Zaciśnął dłoń na skale powstrzymując nieuchronne obsuwanie się w przepaść. Prawą rękę miał wolną, więc schwycił nią żmiję tuż za głową. Jego palce z ledwością zdołały objąć masywne ciało. Sean poczuł potężne mięśnie pod gładkimi łuskami.

Spróbował oderwać gada, ale zęby wbiły się w materiał niczym haczyk w rybę. Syczał coraz bardziej gwałtownie, a jego groteskowe ciało o łaciatej barwie owinęło się wokół przedramienia Seana. Musiał użyć całej siły, trzymając się lewą ręką półki i szarpiąc żmiję prawą. Pociągnął tak mocno, że wyrwał zęby jadowe z otwartej paszczy, ciemna krew zmieszana z jadem spłynęła mu po ciele. Wreszcie cisnął gada w przepaść. Następnie obrócił się i złapał drugą ręką za skałę.

Płakał cicho z przerażenia i wyczerpania. Minęło pół minuty, zanim zebrał siły i podciągnął się na skałę.

Uklęknął na półce i ściągnął z siebie kurtkę. Cały przód był mokry od jadu, a jeden z wyłamanych zębów nadal tkwił w kołnierzu. Sean wyciągnął go ostrożnie uważając, żeby nie zadrapać się ostrym końcem, i wyrzucił go za siebie. Następnie wytarł całe ciało do sucha chusteczką.

Przez chwilę zastanawiał się, czy ma włożyć kurtkę. Jad mógł się przedostać do organizmu przez pory w delikatnej skórze szyi i wytworzyć owrzodzenie albo coś gorszego. Nie mógł jednak wyrzucić kurtki, gdyż byłby wtedy wystawiony na działanie silnego słońca za dnia. Po chwili wahania zwinął ją i wcisnął za pasek. Wypierze kurtkę przy pierwszej sposobności.

Na myśl o wodzie uświadomił sobie, jak bardzo jest spragniony. Wspinaczka odwodniła go, a manierka z wodą spoczywała u podnóża skarpy. Musi znaleźć wodę przed południem, ale teraz najważniejsze było, żeby jak najszybciej zejść z nagiej skały i znaleźć jakąś kryjówkę.

Kiedy wstał, poczuł, jak delikatny, chłodny wiatr osusza jego ciało z potu. Z półki, na której stał, prowadziła łatwa droga na szczyt. Nie musiał się już wspinać. Wszedł ostrożnie pod sam wierzchołek i przez kilka minut leżał na ziemi, wystawiając jedynie głowę ponad krawędź.

Lekkie, mgliste chmury zasłoniły księżyc, więc nie mógł dostrzec zbyt wiele. Krzaki, porastające gęsto ściany doliny, przechodziły na górze w las, który rozpościerał się przed nim, niczym ciemna ściana. Pomiedzy nim a krawędzią skarpy było jakie czterdzieści metrów skalistego terenu, porośniętego jedynie sięgającą kolan trawą. Wystarczyło, żeby przebiegł tę polankę, a byłby bezpieczny.

Poderwał się na nogi i zgięty mocno w pół ruszył biegiem przed siebie. Znajdował się w połowie drogi, gdy osaczył go snop światła.

Zatrzymał się, jak gdyby wpadł na ścianę, i zasłonił instynktownie oczy oślepione padającym mu prosto na twarz promieniem. Następnie rzucił się na ziemię i rozpląszczył na ostrych kamieniach.

Snop światła rzucał długie, czarne cienie za każdym głazem i odbijał się jaskrawym blaskiem od bladej, zimowej trawy. Sean nie podnosił głowy. Wcisnął twarz w ziemię czując się nagi i bezbronny.

Czekał, aż coś się wydarzy, ale zewsząd otaczała go bezbrzeżna cisza. Umilkły nawet nocne ptaki i owady. Kiedy w końcu odezwał się głos wzmocniony i zniekształcony przez megafon, Sean odczuł go jak uderzenie w twarz.

– Dobry wieczór, pułkowniku Courteney. – Mężczyzna mówił znakomitym angielskim z ledwo dostrzegalnym afrykańskim akcentem. – Miał pan wspaniały czas. Dwadzieścia siedem minut i piętnaście sekund od podstawy skarpy na sam szczyt.

Mimo silnej fali upokorzenia, jaka go załała, Sean nie poruszył się. Cały czas bawili się z nim w kotka i myszkę.

– Nie mogę jednak panu przyznać punktów za ciche podejście. Co to było, co zrzucił pan ze skały? Po odgłosie można sądzić, że jakieś stare puszki. – Mężczyzna zachichotał. – A teraz, pułkowniku, jeśli dostatecznie już pan odpoczął, bardzo proszę wstać z rękoma podniesionymi nad głowę. Sean nawet nie drgnął.

– Bardzo pana proszę, sir. Zechce pan nie marnować mojego i swojego czasu.

Sean leżał nieruchomo, zastanawiając się w pośpiechu, czy nie zeskoczyć na półkę za krawędzią.

– No cóż, widzę, że trzeba pana przekonać. – Na chwilę zaległa cisza i potem Sean usłyszał rozkaz wydany szeptem w nie znanym mu dialekcie.

Seria z karabinu maszynowego rozorała trawę trzy kroki przed jego głową. Sean dojrzał ogniste rozbłyski pomiędzy drzewami i rozpoznał charakterystyczny hałas wydawany przez ręczne karabiny maszynowe RPD, który przypominał odgłos rozrywanego ciężkiego płótna. Kule ścięły trawę i wbiły w powietrze tuman żółtego kurzu.

Sean wolno podniósł się z ziemi. Snop światła przesunął się ku jego twarzy, ale nie odwrócił głowy ani nie zamknął powiek.

– Pułkowniku, proszę wyciągnąć ręce nad głowę.

Posłuchał. Jego tors wydawał się bardzo bładny w białym świetle.

– Cieszę się, pułkowniku, że jest pan w doskonałej formie.

Dwie ciemne postacie oderwały się od linii drzew. Trzymając się z dala od światła, mężczyźni okrążyli Seana i stanęli za nim. Kątem oka dostrzegł, że byli ubrani w panterki w barwach ochronnych i że wymierzili w niego lufy karabinów. Zignorował ich, gdy nagle stalowa kolba AK trafiła go w kręgosłup pomiędzy łopatkami. Upadł na kolana.

Głos z megafonu wydał im natychmiast polecenie, żeby więcej go nie bili. Dwaj partyzanci zbliżyli się do Seana z obu stron i podnieśli go z ziemi. Jeden z nich przeszukał go sprawnie, zabierając mu nóż, pas i torebkę z artykułami pierwszej pomocy. Następnie skontrolował zawartość kieszeni i cofnął się o krok, zostawiając Seana na wpół nagiego. Obaj partyzanci nie spuszczali luf karabinków z jego brzucha.

Źródło światła zachwiało się, gdy niosący je człowiek wyszedł z lasu. Sean zobaczył, że jest to przenośna latarnia podłączona do akumulatora dźwiganego przez kogoś innego. Kilka kroków za nimi szedł mężczyzna z megafonem, cały czas trzymając się w cieniu.

Nawet przez oślepiające światło Sean dostrzegł, że jest to wysoki i szczupły mężczyzna, który szedł miękkim, niemal kocim krokiem.

– Minęło wiele czasu, pułkowniku Courteney. – Był dostatecznie blisko, żeby rozmawiać bez pomocy megafonu, i Sean natychmiast rozpoznał jego głos.

– Wiele lat – zgodził się.

– Musi pan mówić głośniejsze. – Mężczyzna zatrzymał się kilka kroków przed swoim jeńcem i żartobliwie przyłożył dłoń zwiniętą w trąbkę do ucha. – Jestem głuchy na jedno ucho – powiedział. Sean uśmiechnął się do niego sardonicznie.

– Lepiej bym zrobił, gdybym rozwalił ci od razu drugie ucho, towarzyszu China.

– Taak – zgodził się China. – Naprawdę musimy pogadać o starych czasach. – Uśmiechnął się i rozluźniony, czarujący i jowialny wyglądał na bardziej przystojnego, niż Sean go zapamiętał. – Niestety, pułkowniku, obawiam się, że przez pana trochę jestem spóźniony. Oczywiście miło mi jest odnowić starą przyjaźń, nie mogę jednak dłużej pozostawać poza dowództwem. Później będziemy mieli jeszcze okazję porozmawiać, ale teraz muszę pana opuścić. Moi ludzie zaopiekują się panem.

Odwrócił się i zniknął w ciemnościach za snopem światła. Sean chciał zawołać za nim: „A moi ludzie i dziewczyna, czy są bezpieczni?”, udało mu się jednak powstrzymać. Przy tym człowieku lepiej było nie okazywać żadnej słabości i nie dawać mu jakiegokolwiek broni, którą mógłby później wykorzystać przeciwko niemu. Zmusił się do milczenia, gdy strażnicy zaczęli go popędzać wprawnymi uderzeniami kolb karabinów.

„Wkrótce dołączymy do głównej kolumny”, pocieszał się Sean. „Będę miał okazję przekonać się na własne oczy, jak czuje się Claudia i Job”.

Wspomnienie dziewczyny było niczym orzeźwiający łyk chłodnej wody.

Grupa konwojująca składała się z dziesięciu mężczyzn pod dowództwem sierżanta.

Łatwo było poznać, że są to specjalnie dobrani żołnierze, silni i wysportowani jak stado



wilków ze snu Seana. Wkrótce natrafili na wydeptaną ścieżkę i żołnierze otoczyli go zmuszając do lekkiego truchtu. Skierowali się na południe.

Żaden ze strażników nie odzywał się ani słowem. Było to dziwne uczucie, gdy biegli w ciszy przerywanej rytmicznym stukotem stóp, płytkimi oddechami i przypadkowym brzęknięciem sprzętu. Sean czuł w ciemnościach wokół siebie gorący zapach ich ciał.

Po godzinie biegu sierżant zarządził odpoczynek i grupa zatrzymała się przy ścieżce. Sean zbliżył się do pierwszego z brzegu partyzanta i wskazał na manierkę z wodą.

Mężczyzna zwrócił się do dowódcy. Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedzieli od początku biegu. Sean zrozumiał, co mówi mężczyzna. Partyzant odezwał się w shangane. Shangani należeli do jednego z plemion zuluskich, pokonanych przez wojska króla Chaki w bitwie nad rzeką Mhlatuze w roku 1818. W przeciwieństwie do władców innych plemion, król Soshangane nie zgodził się na włączenie jego plemienia do imperium Chaki i uciekł z niedobitkami armii na północ, gdzie założył własne królestwo. Plemię Shangane zajmowało obecnie obszary wzdłuż granicy Zimbabwe z Mozambikiem.

Język shangane był spokrewniony z zulu. W swoim obozie na safari Sean zatrudniał wielu mężczyzn z tego plemienia, którzy jak ich zuluscy przodkowie cechowali się szlachetnością i dzielnością. Sean nauczył się także ich języka, który był podobny do sindebele.

Teraz jednak nie pozwolił, aby jego strażnicy zorientowali się, że więzień rozumie, o czym mówią. Zachował obojętną minę, gdy partyzant powiedział:

– Mabunu chce pić.

– Daj mu wody – odparł sierżant. – Wiesz, że inkosi chce go dostać żywego.

Mężczyzna podał Seanowi manierkę. Mimo że woda była ciepła i miała posmak mułu, Sean pił, jakby to był Veuve Clicquot podany w kryształowych kieliszkach.

„Inkosi chce go dostać żywego”, powiedział sierżant. Sean zastanawiał się nad tym oddając butelkę. Słowo inkosi, czyli dowódca, odnosiło się oczywiście do Chiny. China wydał rozkaz, żeby dbano o jeńca. Poczł lekłą ulgę, ale nie miał czasu, żeby się nią cieszyć. Po kilku minutach odpoczynku oddział ruszył biegiem na południe.

Biegli przez całą noc do świtu. Sean oczekiwał, że w każdej chwili natkną się na główną kolumnę z Claudią i Jobem, ale zostawiali za sobą kolejne kilometry nie napotykając ich. Kiedy zrobiło się jasno, zaczął rozglądać się za śladami głównego oddziału. Nie znalazł żadnych i doszedł do wniosku, że obrał inną drogę.

Dowodzący grupą sierżant okazał się doświadczonym żołnierzem. Na flankach przed nimi biegło dwóch żołnierzy sprawdzając drogę w poszukiwaniu zasadzki ze strony Frelimo. Wyglądało jednak, że bardziej niż ataku z lasu partyzanci obawiają się zagrożenia z nieba. Cały czas pozostawali pod osłoną lasu, a kiedy musieli przekroczyć jakąś polanę, oddział się zatrzymywał i przeszukiwał niebo, nasłuchując odgłosów silników, zanim odważył się opuścić schronienie i przebiec sprintem otwartą przestrzeń.

Pierwszego ranka usłyszeli z daleka słaby odgłos silników turbinowych. Na rozkaz sierżanta wszyscy zapadli w schronienie. Po obu stronach jeńca leżeli partyzanci przyciskając mu twarz do ziemi, aż turkot samolotu ucichł w oddali.

Te zabezpieczenia przeciwko atakowi z powietrza zdumiały Seana. Wszystko, co słyszał i czytał na temat sił powietrznych Frelimo, mówiło, że są one słabe i tak nieliczne, że prawie nie liczące się w walce. Frelimo posiadali jedynie przestarzałe typy samolotów, które nie nadawały się do nalotów na cele naziemne, a brak obsługi i części zamiennych potęgował kłopoty armii. Jednak Sean widział na własne oczy, że partyzanci podchodzą do sprawy bardzo ostrożnie.

W południe sierżant zarządził następny postój. Jeden z żołnierzy przygotował posiłek na małym ogniu, który szybko został zasypany. Oddział przebiegł kilka kilometrów dalej, zanim zatrzymali się, żeby spożyć przyrządzony obiad. Sean otrzymał swoją porcję tak jak pozostali. Placki kukurydziane były twarde i słone, a mięso zjełczałe i lekko nadgniłe. Przeciętny biały człowiek dostałby szybko zapalenia jelit po spożyciu takiego posiłku, ale żołądek Seana był przyzwyczajony do afrykańskiego pożywienia. Zjadł swoją porcję bez smaku, ale i bez obaw.

– Dobrze jedzenie – sierżant powiedział Seanowi w shangane, przysiadając się do niego. – Chcesz jeszcze?

Sean zrobił minę, jakby nie rozumiał, i odpowiedział po angielsku:

– Przykro mi, ale nie rozumiem, co mówisz. Sierżant wzruszył ramionami i jadł dalej w milczeniu. Kilka minut później odwrócił się do Seana i zawołał:

– Uważaj, za tobą jest wąż!

Sean ledwie opanował naturalną potrzebę poderwania się na równe nogi. Po chwili uśmiechnął się i powtórzył:

– Przykro mi, ale nie rozumiem, co mówisz.

Sierżant rozluźnił się widocznie. Jeden z partyzantów powiedział:

– On nie rozumie naszego języka. Możemy przy nim mówić.

Partyzanci zostawili Seana samemu sobie i rozmawiali ze sobą przez resztę posiłku. Po skończonym obiedzie dowódca wyjął z plecaka lekkie kajdanki i przykuł rękę jeńca do swojej. Dwóch ludzi stanęło na warcie, a reszta położyła się spać.

Mimo zmęczenia spowodowanego wysiłkiem fizycznym i małą ilością snu, Sean leżał rozbudzony i zastanawiał się nad sytuacją, usiłując dopasować do siebie brakujące fragmenty łamigłówek. Przede wszystkim nadal nie był pewien, czy znajduje się w rękach Renamo. Jak na razie miał tylko krótką wiadomość od Claudii sugerującą, że jest to Renamo. Z drugiej strony towarzysz China był komisarzem w komunistycznej armii ZANLA Roberta Mugabe, podczas gdy Renamo było zdecydowanie antykomunistyczne i prowadziło wojnę dążącą do obalenia marksistowskiego rządu Frelimo. Coś tu się nie zgadzało.

Co więcej, w poprzedniej wojnie China walczył przeciwko rodezyjskiej armii Iana Smitha. Co więc robił po drugiej stronie granicy, zamieszany w walkę zupełnie innego kraju?

Czyżby China był zwykłym najemnikiem? A może szukał jakichś korzyści dla siebie w mozambijskim chaosie? Sean czuł, że powinien poznać odpowiedzi na te pytania.

Jego ostatnią myślą, zanim zmorzył go sen, była Claudia Monterro. Jeśli China chciał go żywego, to najpewniej nie zamierzał też robić krzywdy dziewczynie. Z tą myślą Sean zapadł w głęboki i mroczny sen. Na jego ustach rysował się delikatny uśmiech.

Obudził go ból przemęczonych mięśni i siniaków pozostawionych przez kolby karabinów. Sierżant nie dał mu czasu na oprzytomnienie i zmusił do podjęcia biegu na południe. Sean spostrzegł, że głębokie cienie wieczoru przyniosły ze sobą chłodniejsze powietrze. Po przebiegnięciu kilometra rozgrzał się odpowiednio i poczuł, jak z mięśni znika sztywność. Teraz wydłużył krok z łatwością dotrzymując tempa swojej eskorcie. Jednocześnie cały czas penetrował wzrokiem teren przed sobą mając nadzieję, że zaraz dostrzeże główną kolumnę wylaniającą się z narastających ciemności i zobaczy Joba i Dedana niosących nosze z Claudią.

Biegli przez całą noc. Kiedy zatrzymali się na posiłek, partyzanci pomiędzy kęsami placków kukurydzianych i nieświeżego mięsa zaczęli rozmawiać na jego temat.

– Słyszałem, że w poprzedniej wojnie był lwem i pożerał ludzi – sierżant zwrócił się do swoich ludzi. – To on poprowadził atak na Inhlozane, obóz treningowy na wzgórzach Dziewczęce Piersi.

Wszyscy spojrzeli na Seana z zaciekawieniem i pierwszymi oznakami szacunku.

– Mówią, że to on własnoręcznie odstrzelił ucho generałowi Chinie.

Mężczyźni zachichotali kręcąc głowami na świetny dowcip.

– Ma ciało wojownika – powiedział jeden z nich. Wszyscy zaczęli go oglądać, otwarcie dyskutując jego wygląd, jak gdyby był przedmiotem.

– Dlaczego generał China polecił nam to robić? – zapytał inny żołnierz. Sierżant uśmiechnął się do niego, wydłubując sobie palcem resztki mięsa spomiędzy zębów.

– Musimy tak go zmęczyć, żeby pozbył się dumy i gniewu. – Dowódca wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Generał China chce, żebyśmy go zmienili z lwa w psa, który będzie merdał ogonem i robił, co mu się każe.

– On ma ciało wojownika – powtórzył ten sam mężczyzna. – Teraz musimy się przekonać, czy ma serce wojownika. – Wszyscy się roześmieli.

„A więc to zawody”. Sean zachował obojętny wyraz twarzy. „W porządku, wy dranie, pokażę wam, kto będzie pierwszy machał ogonem”.

W jakiś przewrotny sposób zaczęła go bawić ta sytuacja. Wyzwanie przypadło mu do gustu. Miał przeciwko sobie dziesięciu mężczyzn, z których żaden nie skończył trzydziestu lat. Sean przekroczył już czterdziestkę, ale ten fakt sprawiał, że zawody stały się jeszcze bardziej pasjonujące. Nowa podnieta pozwoliła mu łatwiej znieść ciężar i monotonię następnych dni.

Sean uważał, aby partyzanci nie zorientowali się, że urządził sobie zawody. Wiedział, jak

niebezpiecznie byłoby zrazić ich do siebie czy ich poniżyć. Ich dobra wola i szacunek bardziej mu się przydadzą niż wrogość i nienawiść.

Sean spędził dorosłe życie w towarzystwie czarnych mężczyzn. Poznał ich jako służących i równych sobie, myśliwych i żołnierzy, jako dobrych i lojalnych przyjaciół oraz jako zaciekle i okrutnych wrogów. Znał ich siłę i słabości. Wiedział, jak je wykorzystywać. Rozumiał też zwyczaje plemienne, ich specyficzną etykietę, potrafił im schlebiać czy wyrzucić na nich wrażenie, zyskać ich szacunek i przyjaźń..

Teraz odnosił się do nich z szacunkiem, ale nie na tyle, by odważyli się nim pogardzać. Specjalnie uważał, żeby nie podważać autorytetu dowódcy i nie zmusić go do zachowania, przez które straciłby twarz u swoich podwładnych. Wykorzystywał też ich poczucie humoru i dowcip. Posługując się uniwersalnym językiem znaków i min spowodował, że zaczęli śmiać się wraz z nim. Ze śmiechem przysłała subtelna zmiana w ich nastawieniu do więźnia. Stał się teraz bardziej towarzyszem i więcej nie używano kolb karabinów jako instrumentu perswazji. Co ważniejsze, każdego dnia zdobywał nowe, cenne informacje.

Po drodze dwukrotnie mijali spalone wioski. Pola uprawne zdążyły porosnąć już chwastami, a wiatr unosił czarne popioły.

Sean wskazał na ruiny.

– Renamo? – zapytał i w odpowiedzi zobaczył wściekłe miny żołnierzy.

– Nie! Nie! – powiedział sierżant. – Frelimo! Frelimo! – Następnie poklepał się po piersi.

– Ja Renamo – pochwalił się. Wskazał na swoich ludzi. – Renamo! Renamo!

– Renamo! – potwierdzili z dumą.

– No to wszystko jasne – roześmiał się Sean, – Frelimo. Bang!

Bang! – Wykonał gest, jakby mierzył z broni do Frelimo, i partyzanci roześmieli się zachwyceni, przyłączając się do wymownej pantomimy. Stosunek partyzantów zmienił się jeszcze bardziej na korzyść Seana. Na kolejnym postoju sierżant wręczył mu wyjątkowo dużą porcję zepsutego mięsa. Podczas gdy Sean jadł swój obiad, partyzanci omawiali jego zachowanie tego dnia. Wszyscy zgodzili się, że świetnie daje sobie radę.

– No tak – zapytał sierżant – wiemy, że potrafi biegać i zabijać ludzi, ale czy potrafi zabić henshaw! W języku shangane henshaw oznacza sokoła. W ciągu pięciu dni Sean słyszał wiele razy, jak powtarzają to słowo, za każdym razem spoglądając z niepokojem na niebo. Także i teraz ich twarze spoważniały na wspomnienie drapieżnego ptaka. Ukradkiem rozejrzeli się po niebie.

– Generał China sądzi, że tak – kontynuował sierżant. – Ale kto wie? Kto wie?

Sean był do tego stopnia pewien swojej pozycji w grupie, że postanowił narzucić rozwiązanie próby przez walkę na wyczerpanie.

Kiedy znowu podjęli bieg, zaczął przyspieszać. Zamiast trzymać się swojego miejsca w szeregu biegnących, dwa kroki za prowadzącym sierżantem, Sean zbliżył się do niego tak, że niemal deptał mu po piętach. Jednocześnie oddychał przesadnie głęboko, dysząc dowódcy

w spocony kark. Sierżant instynktownie przyśpieszył kroku i Sean znowu go dogonił, trzymając się tak blisko za nim, że zmuszał go do zwiększenia tempa.

Zirytowany sierżant obejrzał się za siebie, a Sean uśmiechnął się do niego, dysząc mu prosto w twarz. Oczy żołnierza zwęziły się niebezpiecznie, gdy uświadomił sobie, co się dzieje. Zaraz jednak odwzajemnił uśmiech i jeszcze bardziej przyśpieszył kroku przechodząc do normalnego biegu.

– Właśnie tak, przyjacielu – powiedział po angielsku Sean. – A teraz zobaczmy, kto będzie merdał ogonem.

Reszta kolumny szybko została w tyle. Sierżant wydał rozkaz ostrym głosem, żeby dołączyli, i żołnierze zaczęli biec za nimi. Po godzinie zostało ich tylko trzech, a reszta biegnącego przez las oddziału rozciągnęła się w kilometrową linię. Droga przed nimi stawała się coraz bardziej stroma, wspinając się na kolejny wysoki płaskowyż.

Sean zrównał się z wysokim sierżantem. Biegli przez chwilę ramię w ramię, ale kiedy spróbował go wyprzedzić, żołnierz wyrwał do przodu. Stok wzgórze był tak stromy, że ścieżka wiała się do góry serpentynami i na zakręcie sierżant wysunął się do przodu przed Seana. Ten dogonił go i minął na prostej.

Biegli teraz co sił w nogach. Co jakiś czas jeden z nich wychodził na prowadzenie, a trzeci mężczyzna odpadł, zanim jeszcze dotarli do połowy wzgórza. Ścigali się z zacięciem, oblani potem, dysząc ciężko jak parowe lokomotywy.

Nagle Sean zeskoczył ze ścieżki i pobiegł prosto przez zarośla, ścinając zakręt i wybiegając piętnaście metrów przed Shanganem. Sierżant zawołał na niego rozszłoszczony, ale sam ściał kolejny zakręt. Teraz obaj opuścili ścieżkę i biegli prosto pod górę, przeskakując przez głazy i korzenie jak para uciekających byków kudu.

Sean wbiegł na szczyt trzy kroki przed sierżantem, rzucił się na ziemię i przetoczył na plecy, spazmatycznie łapiąc powietrze otwartymi ustami. Sierżant opadł na ziemię obok niego, a jego piersi unosiły się równie ciężko jak jeńca. Po minucie Sean usiadł niepewnie i obaj mężczyźni patrzyli na siebie z podziwem.

Nagle Sean zaczął się śmiać. Był to chrapliwy i bolesny rechot, ale po chwili Shangan przyłączył się do niego, mimo że każdy poryw wesołości rozrywał mu piersi. W miarę jak płuca podjęły normalną pracę, ich śmiech przybierał na sile. Kiedy reszta grupy wdrapała się na wzgórze, znalazła obu mężczyzn siedzących naprzeciw siebie i śmiejących się jak para szaleńców.

Godzinę później ruszyli w dalszą drogę. Sierżant opuścił ścieżkę i skierował się prosto na zachód. W sposobie, w jaki prowadził kolumnę, można było się dopatrzeć wreszcie celu.

Sean zrozumiał, że próba dobiegła końca.

Przed zmrokiem dotarli do pierwszej linii umocnień Renamo. Obóz znajdował się nad brzegiem szerokiej, ale leniwie płynącej rzeki, z której wystawały wypolerowane przez wodę głazy i łachy piachu. Okopy i stanowiska ogniowe były wyłożone pniami drzew oraz

workami z piaskiem i bardzo starannie zakamuflowane od góry. Znajdowały się w nich stanowiska moździerzy i ciężkich karabinów maszynowych wycelowanych na północny brzeg rzeki.

Sean odniósł wrażenie, że umocnienia rozciągają się na dużym obszarze. Domyślił się, że stanowią zewnętrzny obwód zgromadzenia wojskowego w sile batalionu, a może nawet dywizji. Kiedy grupa przeszła przez rzekę i została przepuszczona przez pilnujące umocnień straże, obecność Seana wśród partyzantów wzbudziła powszechne zaciekawienie. Żołnierze powychodzili ze schronów i zebrali się tłumnie wokół grupki strażników, którzy najwyraźniej cieszyli się z szacunku, jaki wzbudzali wśród kolegów ze względu na białego jeńca.

Tłum ciekawskich przeredził się i rozstał, gdy do grupy zbliżył się baryłkowany oficer w okularach. Eskorta Seana zaszutowała mu w teatralny sposób, na co oficer odpowiedział niedbałym dotknięciem końcem pałeczki kasztanowego beretu.

– Pułkownik Courteney – przywitał Seana zrozumiałym angielskim. – Powiadomiono nas o pańskim przybyciu.

Sean z ulgą zauważył, że Renamo uznawali tradycyjne rangi wojskowe przejęte po Portugalczykach. Mężczyzna, który go przywitał, miał insygnia majora na epoletach. W czasie wojny partyzanci zrezygnowali z imperialistycznych tradycji i pozbyli się elitarnych stopni oficerskich.

– Spędzi pan tę noc z nami – powiedział mu major. – Będzie pan moim gościem w kantine.

Było to wyjątkowe traktowanie. Nawet strażnicy Seana byli pod wrażeniem i w jakiś sposób z niego dumni. Sierżant osobiście odprowadził go nad rzekę i nawet wręczył mu kawałek zielonego mydła do wyprania kurtki i szortów.

Kiedy ubranie suszyło się na skale, Sean kąpał się nagi w rzece, a następnie użył resztkę mydła do zmycia z twarzy kremu kamuflującego, brudu i umycia włosów. Nie golił się od czasu opuszczenia obozu Chiwewe dwa tygodnie temu. Jego broda była już gęsta i długa.

Namydlił się pod pachami i w kroczu, opłukał i spojrzał na własne ciało. Nie znalazł na nim nawet grama tłuszczu, a pod opaloną skórą widać było wyraźnie każdy mięsień. Nie był w tak doskonałej kondycji od czasu wojny. Wyglądał jak koń pełnej krwi u szczytu formy, przygotowany przez dobrego trenera na wyścigi.

Sierżant pożyczył mu stalowy grzebień, więc rozczesał włosy. Opadły mu na ramiona, gęste, falujące i lśniące od wody. Założył wilgotne jeszcze ubranie, żeby na nim wyschło. Czuł się wyśmienicie, naładowany niepokojem, jaki przynosi szczyt formy fizycznej.

Mesa oficerska znajdowała się w podziemnym schronie i była pozbawiona wszelkich ozdób czy dekoracji poza prostymi meblami wykonanymi z drewna. Gospodarzami Seana był major, kapitan i dwóch młodych podoficerów.

Ilość jedzenia pozwalała przymknąć oczy na sposób, w jaki zostało podane. Na stole stała parująca misa pełna gulaszu z suszonych ryb i chili, pozostałość portugalskiego kolonializmu:

ognisty peri-peri i wszechobecna kasza kukurydziana.

Był to najlepszy posiłek, jaki Sean jadł od czasu opuszczenia obozu Chiwewe, ale atrakcją obiadu był podany przez majora alkohol; nieograniczona ilość cywilizowanego piwa w puszkach. Widniały na nich napisy „Castle Lager”, a na dole małymi literami wydrukowano:

„Verwaardig in Suid Afrika, Wykonano w Afryce Południowej”. Była to wyraźna wskazówka, jakie państwo Renamo uważa za swojego sojusznika.

Jako gość, Sean zaproponował toast. Wstał i wznosił puszkę piwa.

– Renamo – powiedział. – I lud Mozambiku. Major natychmiast odpowiedział:

– Prezydent Botha i naród południowoafrykański. – Gospodarze wiedzieli, że Sean pochodzi z Południa i traktowali go jak honorowego gościa.

Poczuł się bezpieczny w ich towarzystwie i po raz pierwszy od wielu miesięcy trochę się upił.

W czasie wojny major walczył po stronie Rodezji. Opowiedział Seanowi, że jak Job Bhekani, był podoficerem w Afrykańskich Strzelcach Rodezyjskich, elitarnym czarnym regimencie, który w czasie wojny zadał poważne straty partyzantom ZANLA. Wkrótce w schronie zapanowała atmosfera braterstwa broni. Nie naciskając na majora, Sean zdołał wydobyć z niego okruchy informacji, które oficer wypuszczał tym chętniej, im bardziej ubywało puszek z piwem.

Okazało się, że podejrzenia Seana były słuszne. Ten oddział stanowił północny obwód armii Renamo. Fortyfikacje osłaniające zgrupowanie były głębokie i rozrzucone w celu zmniejszenia strat na wypadek bombardowania z powietrza. Z bazy, w której się znajdowali, oddziały dokonywały wypadów na południe, uderzając na garnizony Frelimo, niszcząc linię kolejową pomiędzy miastem Beira na wybrzeżu a Harare, stolicą Zimbabwe.

Kiedy kończyli pierwszą skrzynkę piwa, Sean i major zaczęli poważną dyskusję na temat znaczenia linii kolejowej. Zimbabwe było krajem śródlądowym. Dwie linie kolejowe stanowiły jedyne główne połączenia z zewnętrznym światem. Druga linia biegła na południu przez Johannesburg do portów Durban i Kapsztad w Afryce Południowej.

Marksistowski rząd Mugabego cierpiał bardzo z powodu uzależnienia od kraju, który dla nich był symbolem zła w Afryce, bastionem kapitalizmu i wolnego rynku, krajem, który przez jedenaście lat wojny wspierał biały reżim Iana Smitha. Mugabe nieustannie zwracał się w swojej historycznej retoryce przeciwko południowemu sąsiadowi, ale ręka apartheidu niezmiennie była zaciśnięta wokół głównej arterii kraju. Instynkt podpowiedział Mugabemu, żeby zwrócić się o pomoc do Mozambiku. W czasie walki o niepodległość Mugabe pomagał prezydentowi Mozambiku, Samorze Machelowi, którego własna walka o uwolnienie z portugalskiego jarzma niedawno zakończyła się zwycięstwem.

Frelimo zapewniło Mugabemu rekrutów, broń i pełne wsparcie dla jego partyzantów. Bez jakichkolwiek zastrzeżeń udostępniono mu bazy, z których mógł podejmować ataki na

Rodezję. Nic dziwnego, że i teraz Mugabe zwrócił się do Mozambiku o pomoc, chcąc skończyć z okropnym poniżeniem, bo cała Afryka i jego przyjaciele z Organizacji Jedności Afryki wytykali go palcami za handel z potworem z Południa. Mugabe nie tylko handlował, ale był całkowicie uzależniony od Afryki Południowej, w kwestii każdego litra benzyny i każdego kilograma artykułów niezbędnych do przetrwania państwa.

Linia kolejowa łącząca Harare z portem Beira w Mozambiku była jedynym rozwiązaniem tej sytuacji. Niestety, urządzenia portowe, jak i cała kolej, popadły w ruinę pod zarządem socjalistycznego państwa. Istniało jednak proste i wypróbowane rozwiązanie: pomoc ze strony państw rozwiniętych. Jak wiedział każdy afrykański marksista, Murzyni mieli pełne prawo do tej pomocy i wszelkie opory mogły łatwo zostać przełamane za pomocą równie prostego i sprawdzonego środka: określenia ich jako rasistowskich. Takie oskarżenie zawsze zapewniało natychmiastowe zniknięcie trudności. Szacunkowa ocena kosztów naprawy portu i doprowadzenia linii kolejowej do stanu używalności wynosiła cztery miliardy dolarów, ale ponieważ w Afryce aktualne koszty zawsze były o sto procent wyższe, suma ośmiu miliardów wydawała się bardziej realistyczna. Nie było to wiele, zważywszy, że Zachód był im po prostu winien te pieniądze. Na pewno nie była to za wysoka cena za przyjemność i prestiż, jaki Mugabe zdobędzie, kiedy zagra potworowi z Południa na nosie.

Istniała jednak drobna przeszkoda: armia Renamo. Partyzanci Renamo kontrolowali większą część linii kolejowej, atakując ją niemal każdego dnia, wysadzając mosty i tunele, zrywając szyny i ostrzeliwując składy pociągów.

Spowodowane przez nich zniszczenia były niczym w porównaniu z faktem, że ich działania dawały Zachodowi wymówkę do wstrzymania pomocy finansowej do czasu, kiedy magistrala będzie w stanie transportować cały import i eksport Zimbabwe.

Wysiłki rządu Frelimo zmierzające do ochrony kolei były tak słabe i niezdarne, że Zimbabwijczycy musieli przyjść im z pomocą. Ponad dziesięć tysięcy żołnierzy Mugabego pilnowało linii, broniąc jej przed atakami Renamo. Sean słyszał opinie twierdzące, że obciążenie gospodarki Zimbabwe, jednej z mniej stabilnych w południowej Afryce, kosztami tych operacji sięga miliona dolarów dziennie.

Zakrawało na ironię, że dawny partyzant Mugabe został zmuszony do przyjęcia roli pasywnego obrońcy. Doświadczał teraz tych samych użądleń, które wcześniej z taką przyjemnością sam zadawał.

Sean i major śmiali się do rozpuku z tego wyśmienitego dowcipu, po czym rozpoczęli drugą skrzynkę piwa. Był to znak, że skończył się czas poważnej dyskusji.

Teraz przeszli do przyjemnych wspomnień z czasów wojny i szybko odkryli, że obaj brali udział w operacji Mavuradonhas, kiedy wojsko rodezyjskie zabiło czterdziestu sześciu partyzantów. Jak wszystkie udane akcje, tak i ta została uznana za „dobry ubój”. Skauci Seana leżeli na czatach u wejścia do wąwozu, jako grupa blokująca, podczas gdy spadochroniarze z ASR zeskoczyli po drugiej stronie obozu i nagonili terrorystów na ich karabiny.



– Wypłoszyliście tyle antylop, co i ciemniaków – wspominał Sean. – Nie wiedziałem, do kogo najpierw strzelać. – Znowu się roześmieli i zaczęli wspominać inne niebezpieczne operacje, pościgi i „dobre uboje”.

Wypili toast za Iana Smitha, a następnie za Skautów Ballantyne i Afrykańskich Strzelców Rodezyjskich. Ponieważ zostało im jeszcze sporo piwa, wzniesli toasty za Ronalda Reagana i Margaret Thatcher. Kiedy skończyła im się lista konserwatywnych przywódców, Sean zasugerował:

– Na pohybel Gorbaczowowi!

Toast został przyjęty z entuzjazmem i zaraz major zaproponował:

– Na pohybel Frelimo i Chissano! – Lista nazwisk lewicowych przywódców była dłuższa niż konserwatystów, ale przy kolejnych puszkach piwa udało im się ich wszystkich potępić, od Neila Kinnocka aż po Teddy’ego Kennedy’ego i Jesse’ego Jacksona.

Kiedy przyszła pora rozstania, objęli się jak dwaj bracia. Sean napełnił sobie wszystkie kieszenie pełnymi puszkami i kiedy wrócił do swoich shangańskich strażników, został przywitany równie entuzjastycznie.

Rankiem sierżant obudził go, gdy na dworze było jeszcze ciemno. Seanowi pękała głowa, a w ustach czuł smak, jakby spała w nich hiena. Była to kara za jego wyśmienitą kondycję fizyczną. Reakcja ciała na alkohol była o wiele silniejsza niż normalnie, a Sean nie miał ze sobą nawet jednej aspiryny.

W połowie poranka zdołał jednak wypocić z siebie resztki piwa. Kierowali się nadal na południowy zachód. Po drodze mijali kolejne fortyfikacje i posterunki straży. Jak zapowiedział major, umocnienia były rozrzucone i zręcznie ukryte. Sean dostrzegł lekką artylerię polową za osłonami z worków z piaskiem, moździerze osadzone na stanowiskach ogniowych i oddziały uzbrojone w ręczne działka bezodrzutowe RPG, które stanowiły podstawowe uzbrojenie partyzantów. Wszyscy żołnierze byli ubrani w panterki w maskujących barwach i nosili płócienne buty na gumowych podeszwach.

Eskorta Seana uzupełniła zapasy z magazynu garnizonowego. Kiedy zatrzymali się na posiłek, Sean zobaczył, że dwukilowe worki z kaszą kukurydzianą nazywają się „Pierwszorzędny Obiad”, zapalki, którymi rozpalili ognisko, „Lwie Zapalki”, a kostki mydła nazywały się „Promień Słońca”. Na wszystkich artykułach widniał u dołu podwójny, dobrze mu znany napis: „Verwaardig in Suid Africa, Wykonano w Afryce Południowej”.

– Zupełnie jakbym wrócił do domu – zachichotał Sean.

Linie obrony Renamo tworzyły koncentryczne kręgi, niczym fale na powierzchni jeziora. Sean szybko się zorientował, że zbliżają się do centrum. Mijali ośrodki treningowe, w których młodzi rekruci, zarówno mężczyźni jak i kobiety, niektórzy z nich zaledwie kilkunastoletni, siedzieli rzędami na ziemi pod słomianymi daszkami niczym dzieci w szkole. Młodzi żołnierze byli tak skupieni na czarnych tablicach, że nawet nie podnosili wzroku na mijający ich truchtem oddział strażników Seana.

Z napisów na czarnych, składanych tablicach dowiedział się, że rekruci uczą się wszystkiego, co ma związek z partyzantką, począwszy od zasad walki aż po teorię polityczną.

Za ośrodkami szkoleniowymi ciągnęły się rzędy niskich kopców, na których stało po kilku żołnierzy. Dopiero kiedy zbliżyli się na kilka metrów do jednego z rzekomych pagórków, Sean zauważył wejścia do schronów.

Ziemianki były porządniejszej konstrukcji i lepiej ukryte niż te, które widzieli tego dnia wcześniej, i Sean był pewien, że są niewidoczne dla zwiadu powietrznego. Sądząc także po bardziej sztywnym zachowaniu się swojej eskorty i oficjalnym stosunku do niego, domyślił się, że zbliżają się do ośrodka dowództwa zgrupowania Renamo.

Był więc zdziwiony, kiedy nagle skręcili w bok i bez żadnych ceremonii zatrzymali się przed jednym z podziemnych bunkrów. Po krótkiej rozmowie sierżant przekazał Seana stojącym przy wejściu wartownikom. Został popchnięty przez nowe strażę ku biegnącym w dół schodom, a potem poprowadzony przez labirynt korytarzy i sal wykopanych pod ziemią. Schron był oświetlany przez nagie żarówki. Z jakiegoś odległego pomieszczenia dochodził szum generatora mocy. Ściany bunkra były osłonięte równo ułożonymi workami z piaskiem, a sufit wzmocniony drewnianymi belkami.

Weszli do pomieszczenia łącznościowego. Na pierwszy rzut oka było widać, że ustawiony tu sprzęt jest bardzo nowoczesny i w świetnym stanie. Jedna ściana była zasłonięta dużą mapą z północnymi i centralnymi mozambijskimi prowincjami, Zambezi i Manici.

Sean zaczął ukradkiem studiować mapę. Zorientował się szybko, że górzysty teren, na którym ukrywała się grupa armii Renamo, to Sierra da Gorongosa i góry Gorongosa, a rzeka, którą mijali wcześniej i która stanowiła linię obrony zgrupowania, nazywa się Pungwe. Główna linia kolejowa biegła pięćdziesiąt, sześćdziesiąt kilometrów dalej na południe. Zanim zdołał podpatrzeć inne interesujące go informacje, został wepchnięty do krótkiego korytarza, na końcu którego znajdowały się zasłonięte materiałem drzwi.

Eskorta poprosiła o pozwolenie na wejście. Dobiegła ich ostra, wydana autorytatywnym tonem odpowiedź. Jeden z żołnierzy pchnął Seana do przodu, więc odsunął zasłonę i wszedł do znajdującego się za nią pomieszczenia.

– Towarzysz China. – Sean uśmiechnął się. – Co za miła niespodzianka.

– Ten tytuł nie jest właściwy, pułkownika Courteney. W przyszłości proszę się do mnie zwracać per generale China lub po prostu „Sir”.

China siedział za biurkiem ustawionym na środku pokoju. Był ubrany w normalny mundur w barwach ochronnych, ale strój był ozdobiony srebrnymi skrzydełkami spadochroniarzy i czterema rzędami kolorowych baretok na piersi. Na szyi miał zawiązaną żółtą jedwabną szarfę, a na kołku za nim wisiał kasztanowaty beret i pas z kaburą. Wystająca z kabury kolba automatycznego pistoletu była wykonana z kości słoniowej. Generał China najwyraźniej traktował bardzo poważnie swoją metamorfozę z komunisty w kapitalistę.

– Jak mnie poinformowano, spisywał się pan bardzo dobrze w ciągu ostatnich kilku dni

i żywi pan przyjazne uczucia do Renamo, naszych sprzymierzeńców i celów. – China odnosił się życzliwie do Seana, co tylko wzmogło jego nieprzyjemne podejrzenia.

– Skąd pan to wie? – zapytał Sean.

– Pułkowniku, mamy tu radionadajniki. Nie jesteśmy zupełnymi barbarzyńcami. – China wskazał na radionadajnik VHF stojący na Jawie pod ścianą. – Na moją sugestię spędził pan przyjemny wieczór z majorem Takawirą.

– Generale, czy może mi pan, do cholery, powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? Porwał pan obywateli dwóch sprzymierzonych i potężnych państw: Afryki Południowej i Stanów Zjednoczonych.

China przerwał mu podnosząc dłoń.

– Pułkowniku, proszę mi oszczędzić pańskiego gniewu. Nasi w Lizbonie i w innych miejscach przyjęli już skargi ze strony amerykańców i Południowoafrykańczyków. Oczywiście zaprzeczyliśmy, przyjmując postawę urażonej niewinności. – Zamilkł i przyglądał się Seanowi. – Bardzo zrećnie z pana strony, że się panu tak szybko powiadomić amerykańską ambasadę, ale z niczego mniej nie oczekiwałbym po panu. Zanim zdążył odpowiedzieć, China podniósł słuchawkę telefonu polowego i powiedział cichym głosem kilka słów po portugalsku, których Sean nie rozumiał. Następnie odwiesił słuchawkę i spojrzął na drzwi. Sean instynktownie poszedł za jego przykładem.

Po chwili zasłona podniosła się i do pomieszczenia weszły trzy osoby. Dwie z nich były czarnymi strażniczkami w mundurach z pistoletami u boku i karabinkami AK w ręku. Pomiędzy nimi stała Claudia Monterro ubrana w wypłowiałą, lecz świeżo wypraną koszulę koloru khaki i luźne szorty, w których Sean widział ją ostatnio, dziewczyna była wychudzona. To było pierwsze, na co Sean zwrócił uwagę. Włosy miała zaczesane do tyłu i związane w warkocz, opalona na kolor lekko podsmażonej grzanki, szczupłej twarzy oczy wydawały się bardzo duże. Sean dopiero aż zauważył, jak delikatny kształt ma jej szczęka i kości policzkowe..! Jej widok sprawił, że serce zatrzymało mu się na chwilę, następnie rozepchnęło się, by zaraz znowu się skurczyć.

– Claudia! – Zawołał. Dziewczyna obróciła głowę w jego stronę, a z twarzy odpłynęła jej krew.

- O Boże – szepnęła. – Tak się bałam... – umilkła. Patrzyli na przez długą chwilę, nie poruszając się z miejsca i czując, jak biją im serca. Claudia wypowiedziała jego imię: – Sean – zabrzmiało to jak jęk. Zrobiła krok ku niemu wyciągając przed siebie ręce w błagalnym geście, a w jej oczach widać było cierpienie, wysiłek i samotność ostatnich dni. Sean był przy niej w dwóch krokach. Claudia przypadła do niego, zamykając oczy i przyciskając twarz do jego ciała. Oplotła go ramionami tak silnie, że na chwilę stracił oddech.

– Kochanie – szepnął do niej i pogładził ją po włosach; gęstych sprężystych pod jego palcami. – Moje kochanie, już wszystko w porządku.

Podniosła twarz do góry, jej wargi drżały silnie, a do opalonych policzków wróciła krew.

Zdawała się cała promieniować, a w jej delikatnych oczach koloru topazu rozbłysły ogniki.

– Nazwałeś mnie swoim kochaniem – szepnęła... Sean schylił głowę i pocałował ją. Jej wargi rozchyliły się. Wnętrze jej ust było gorące i wilgotne. Sean wsunął głęboko język rozkoszując się słodkim smakiem niczym sokiem z młodych owoców.

Siedzący przy biurku generał China powiedział cicho w shangane:

– Bardzo dobrze, zabierzcie ją teraz.

Strażniczki schwyciły Claudię i wyrwały ją z objęć Seana. Dziewczyna jęknęła i próbowała się opierać, ale obie kobiety były silnie zbudowane, więc z łatwością podniosły ją z ziemi i zaniósły ku drzwiom.

– Zostawcie ją! – krzyknął Sean i ruszył za nimi. Jedna ze strażniczek wyjęła z kabury pistolet i wycelowała go w brzuch Seana. Zasłona opadła. Po chwili krzyki Claudii ucichły w oddali. W zapadłej ciszy Sean odwrócił się wolno do siedzącego przy biurku mężczyzny.

– Ty draniu – szepnął z nienawiścią. – Urządziłeś sobie przedstawienie.

– Poszło lepiej, niż mogłem przypuszczać – zgodził się generał China – chociaż już z poprzednich rozmów z miss Monterro na pana temat wywnioskowałem, że bardziej jest zainteresowana panem jako mężczyzną niż zawodowym myśliwym.

– Najchętniej skreśliłbym ci kark. Jeśli coś się jej stanie...

– Niech pan da spokój, pułkowniku. Nie skrzywdzę jej. Jest dla mnie zbyt cenna. Zdaje pan sobie sprawę, że dziewczyna jest elementem przetargowym.

Wściekłość Seana zmaląła i sztywno skinął głową.

– Dobra, China, czego chcesz?

– Właśnie. – Generał China skinął głową. – Czekałem, aż zada pan to pytanie. Proszę usiąść. – Wskazał na stołek stojący przed biurkiem. – Każę tylko, żeby przynieśli nam herbatę, i będziemy mogli porozmawiać.

W czasie gdy czekali na jej przyniesienie, China zajął się pracą, czytając i podpisując leżące na biurku dokumenty. Sean miał okazję, żeby ochłonąć. Kiedy ordynans wszedł z herbatą, China wskazał mu biurko, żeby uprzątnął papiery.

Gdy zostali sami, China wypił łyk herbaty i spojrzał na Seana znad brzegu filiżanki.

– Spytał pan, czego chcę. No cóż, muszę wyznać, że na początku nie chodziło mi o nic bardziej skomplikowanego niż zwykłą zemstę. To pan, pułkowniku, pozbawił mnie dowództwa nad obozem Inhlozane. Zrobił pan jedyną plamę na mojej karierze i spowodował trwałe kalectwo. – Dotknął ucha. – Zgodzi się pan ze mną, że to wystarczający powód do rewanzu.

Sean nie odzywał się. Mimo że nie pił herbaty od wielu dni i był bardzo spragniony, nie dotknął stojącej przed nim filiżanki.

– Oczywiście wiedziałem, że działa pan na terenie koncesji myśliwskiej Chiwewe. W rzeczywistości to ja, jako minister w rządzie Mugabego, należałem do tych, którzy opiniowali pańskie podanie. Pomyślałem wtedy, że dobrze będzie mieć pana blisko granicy.

Sean postarał się rozluźnić. Uświadomił sobie, że więcej może zyskać zgadzając się pozornie na współpracę, niż uparcie się przeciwstawiając. Nie było to łatwe, gdyż nadal czuł smak ust Claudii. Podniósł filiżankę i wypił łyk herbaty.

– Zrobił pan karierę. – Uśmiechnął się. – Towarzysz jednego dnia, generał następnego. Najpierw minister w marksistowskim rządzie, a niedługo później dygnitarz wojskowy Renamo.

China machnął z dezaprobatą ręką.

– Dialektyka marksizmu nigdy mnie nie interesowała. Kiedy teraz na to patrzę, rozumiem, że zaciągnąłem się do armii partyzanckiej z bardzo kapitalistycznych powodów. W tym czasie był to najlepszy sposób na zdobycie pozycji. Czy to ma dla pana jakiś sens, pułkowniku?

– I to bardzo jasny – potwierdził Sean. Tym razem uśmiech był szczery. – To znany fakt, że jedynym sposobem, w jaki komunizm może coś osiągnąć, to pieniądze i zarząd kapitalistów.

– Dobrze pan to ujął. – China skinął głową z uznaniem. – Przekonałem się o tym znacznie później, gdy ZANLA wypędziła Iana Smitha i przejęła rządy w Harare. Przekonałem się, że jako partyzant wzbudzam strach wśród tłustych kotów, które unikały walki, ale za to dopchały się do władzy. Nie tylko nie otrzymałem żadnych należnych mi wynagrodzeń, ale zrozumiałem, że prędzej skończę w więzieniu w Chikarubi. Pozwoliłem więc dojść do głosu moim kapitalistycznym instynktom. Wraz z kilkoma podobnie myślącymi przyjaciółmi zaplanowaliśmy obalenie rządu i nawet udało nam się przekonać starych towarzyszy broni, którzy zajęli wysokie pozycje w zimbabwejskiej armii, że doskonale nadawałbym się na następcę Mugabego.

– Stara afrykańska gra w zamach stanu – zasugerował Sean.

– Jak to miło rozmawiać z kimś, kto potrafi podążać za moim biegiem myśli. – China skinął głową. – Ale przecież jest pan Afrykańczykiem, mimo że o nieco mniej modnym kolorze skóry.

– Czuję się zaszczycony taką oceną – odparł Sean. – Wróćmy jednak do pańskiej altruistycznej chęci postawienia u władzy najlepszego człowieka...

– Właśnie... no cóż, ktoś pochwalił się przed pewną kobietą naszymi zamiarami, a ona powtórzyła wszystko swojemu kochankowi, którym przypadkiem był szef wywiadu Mugabego. Byłem zmuszony przekroczyć granicę w pewnym pośpiechu. Tutaj spotkałem innych towarzyszy, którzy przyłączyli się do Renamo.

– Ale dlaczego Renamo? – zapytał Sean.

– Okazało się, że zgadzam się z ich celami politycznymi. Jestem dobry w swojej robocie i Renamo przyjęło mnie z otwartymi rękami. Widzi pan, pułkowniku, jestem z Shangane. Jak pan wie, nasze plemię mieszka po obu stronach sztucznej linii narzuconej przez mierniczych w czasach kolonializmu, którzy nie zwracali uwagi na zależności demograficzne przy

wytyczaniu granicy.

– Jeśli przyjął pan poglądy kapitalistyczne, jak pan twierdzi, to musi tu chodzić o coś więcej. Może jakaś nagroda czekająca na pana w przyszłości?

– Nie rozczarował mnie pan – odparł China. – Jest pan równie spostrzegawczy i przebiegły jak Afrykańczyk. Oczywiście, że czeka mnie nagroda. Kiedy pomogę Renamo w utworzeniu kapitalistycznego rządu w Mozambiku z Afryką Południową jako jego sprzymierzeńcem, oba kraje wywrą odpowiedni nacisk na Zimbabwe. Nastąpi odpowiednia zmiana rządu w Harare... i Mugabe zostanie zastąpiony przez nowego prezydenta.

– Jednym wielkim skokiem z generała Chiny na prezydenta Chinę – przerwał mu Sean. – Muszę przyznać panu jedną rzecz, generale, myśli pan wielkimi kategoriami.

– Jak to przyjemnie, kiedy ktoś potrafi docenić moje aspiracje.

– Ale dokąd to prowadzi? Mówił pan wcześniej o zemście za swój uszkodzony słuch – co spowodowało, że stał się pan tak wyrozumiały? China zmarszczył brwi i dotknął ucha.

– Prawdę mówiąc, to sprawiłoby mi to prawdziwą satysfakcję. Zaplanowałem już nawet nocny napad na pański obóz nad Chiwewe. Posłałem oddział moich ludzi nad granicę i czekałem tylko na okazję, żeby oderwać się na kilka dni od moich obowiązków w dowództwie i złożyć panu wizytę. Niestety zostałem zmuszony do zmiany planów.

Sean uniósł brwi wyrażając zainteresowanie.

– Bardzo niedawno zaszła drastyczna zmiana w równowadze sił w prowincji centralnej. My, Renamo, wywalczyliśmy sobie dominującą pozycję. W rzeczywistości kontrolowaliśmy cały ten obszar poza większymi miastami. Spowodowaliśmy zmniejszenie produkcji żywności do takiego poziomu, że Frelimo zostali całkowicie uzależnieni od zewnętrznej pomocy. Niemal całkowicie udało nam się sparaliżować system transportowy. Niszczyliśmy do woli drogi i linię kolejową, a nasze siły przemieszczały się bez trudu po całym rejonie, rekrutując ludzi z wiosek. Udało nam się nawet stworzyć własną administrację. Niestety, wszystko to zmieniło się.

– Co się stało?

China nie odpowiedział od razu, ale wstał i podszedł do wiszącej na ścianie mapy.

– Pułkownik Courteney, jako doświadczonemu żołnierzowi, który walczył z partyzantką, nie muszę panu wyjaśniać naszej strategii i robić wykładu na temat używanej przez nas broni. Nie obawiamy się bomb atomowych, ciężkiej artylerii czy nowoczesnych samolotów pościgowych. Kiedy Robert Mugabe zakupił dwa klucze przestarzałych MIG-ów 23 od swoich sowieckich przyjaciół, śmialiśmy się do rozpuku. Rosjanie pozbyli się w ten sposób przestarzałych maszyn, a Mugabe i tak nie ma dostatecznych środków, żeby utrzymać je w powietrzu. Jest bardzo mało rodzajów nowoczesnej broni, których byśmy się obawiali, poza... – China zamilkł na chwilę i obrócił się do Seana. – Ale przecież pan jest ekspertem w tej dziedzinie. Wie pan tyle samo na temat działań wymierzonych w partyzantkę, co każdy z nas. Pułkownik, czego boimy się najbardziej na świecie?

Sean nawet się nie zawahał.

– Helikopterów bojowych – odparł. China usiadł ciężko na krześle.

– Trzy tygodnie temu Rosjanie dostarczyli siłom powietrznym Frelimo klucz hindów. Sean gwizdnął cicho.

– Hindy! – powiedział ze zrozumieniem. – W Afganistanie nazywali je Latającą Śmiercią.

– My nazywamy je henshaw – sokoły.

– W całej Afryce nie ma takich sił powietrznych, które potrafiłyby utrzymać klucz hindów w powietrzu nawet przez kilka dni. Nikt nie dysponuje odpowiednim zapleczem. – Sean potrząsnął głową, ale China nie zgodził się z jego opinią.

– Rosjanie dostarczyli także obsługę techniczną, amunicję, części zamienne i pilotów. Ich celem jest rozbicie sił Renamo w pół roku.

– Czy to im się uda? Czy mają szansę to zrobić?

– Tak – odpowiedział twardo China. – Już im się udało ograniczyć naszą ruchliwość. Bez możliwości przenoszenia się z miejsca na miejsce armia partyzancka jest pokonana. – China zrobił gest obejmujący cały schron. – Chowamy się pod ziemią jak krety, a nie wojownicy. Nasze morale, które jeszcze miesiąc temu było bardzo wysokie, rozpada się na moich oczach. Zamiast patrzeć dumnie przed siebie, moi ludzie kryją się po krzakach i rzucają ukradkowe spojrzenia na niebo.

– To rzeczywiście nie jest przyjemne – zgodził się z nim Sean. – Jestem jednak pewien, że coś już pan wymyślił.

– Zgadza się. – China skinął głową. – Pana.

– Ja przeciwko kluczowi hindów? – Sean zachichotał. – Czuję się zaszczycony, ale proszę na mnie nie liczyć.

– Niestety nie jest to możliwe, pułkowniku. Jak mówią Amerykanie, jest mi pan coś winien. – Dotknął ucha. – Ja także jestem winien panu kogoś: miss Monterro.

– W porządku – mruknął z rezygnacją Sean. – Niech mi pan o tym powie.

– Plan, który wymyśliłem, wymaga jednego wyszkolonego białego oficera, który zna murzyńskich żołnierzy i potrafi mówić ich językiem.

– Z pewnością, generale China, nie powtarza pan teorii generała von Lettowa-Yorbecka, że najlepszy oddział na świecie tworzą murzyńscy żołnierze z białym oficerem na czele. Dlaczego pan sam nie załatwi tej sprawy?

– Znam dobrze własne ograniczenia – odparł China. – Jestem lepszym administratorem niż dowódcą. Zresztą, jak już panu wyjaśniłem, potrzebuję białego. – Podniósł szybko rękę, żeby Sean mu znowu nie przerwał. – Z początku będzie pan pracował z niedużą grupą, dziesięciu ludzi.

– Moja shangańska eskorta – domyślił się Sean. – To dlatego wysłał mnie pan na tę wyprawę z nimi.

– Jest pan bardzo spostrzegawczy. Tak, pańska reputacja jest niezłe ugruntowana. W ciągu kilku dni zdobył pan ich szacunek, a myślę, że nawet lojalność. Wygląda na to, że pójdą z panem nawet na najbardziej niebezpieczną akcję.

– Będę potrzebował więcej ludzi niż dziesięciu Shanganów. Chcę dostać jeszcze dwie osoby.

– Oczywiście pańskich Matabelczyków – zgodził się szybko China. – Oni także należą do mojego planu. Sean miał okazję zapytać o Joba i Dedana.

– Czy są bezpieczni? – zapytał ostrym głosem.

– Zapewniam pana, że są zupełnie bezpieczni i dobrze się mają.

– Nie będę omawiał żadnych dalszych planów, póki nie zobaczę i nie porozmawiam z moimi ludźmi – powiedział stanowczo i oczy Chiny zwęziły się.

– Bardzo proszę, żeby nie przybierał pan wobec mnie tego tonu, pułkowniku. To poważnie utrudni nasze przyszłe stosunki i uczyni je mało przyjemnymi.

– Powiedziałem już panu – odparł z uporem Sean. – Chcę mówić z moimi ludźmi.

Generał China spojrział na zegarek i westchnął dramatycznie.

– Dobrze. – Podniósł słuchawkę telefonu i powiedział do niej kilka słów. Następnie spojrział na Seana. – Obaj będą pracowali z panem, więc może im pan wszystko wyjaśnić. Jest duża szansa, że mając zapewnioną pańską współpracę, zwrócę panu wolność. Oczywiście ta oferta dotyczy także pięknej miss Monterro.

– Jest pan bardzo szlachetny – Sean powiedział ironicznym tonem.

– Niech pan poczeka, aż przedstawię pełne warunki. Może zmieni pan wtedy zdanie. – Generał China odwrócił się do porucznika, który wszedł do pomieszczenia i powiedział do niego w shangane:

– Zabierz tego człowieka do dwóch matabelskich więźniów. Mogą rozmawiać ze sobą przez – znowu rzucił okiem na zegarek – dziesięć minut. Następnie przyprowadź go tutaj.

Eskorta złożona z trzech ludzi poprowadziła Seana podziemnymi korytarzami na zalane słońcem podwórze.

Więzienie składało się z jednej chaty, przykrytej słomianym dachem glinianki. Wokół domku ciągnął się drut kolczasty, a całość była przykryta siatką maskującą. Strażnik otworzył bramę i Sean wszedł do środka. Podeszedł do drzwi chaty.

Nad ogniskiem w jej środku stał trójnożny, czarny garnek. Po jego obu stronach leżały dwa cienkie materace, a poza tym chata była pusta. Na jednym z materacy spał Dedan, podczas gdy Job siedział w kucki na drugim i patrzył na żarzące się węgle.

– Widzę cię, przyjacielu – powiedział cicho w sindebele Sean. Job wolno podniósł się na nogi. Na jego twarzy zaczął rozpromieniać się uśmiech.

– Widzę cię, przyjacielu – powtórzył Job, roześmiał się głośno i objął Seana, poklepując go po ramieniu. Dedan zerwał się z posłania i śmiejąc się radośnie, schwycił Seana rękę i zaczął ją mocno ścisnąć.



– Sean, co cię zatrzymało tak długo? – zapytał Job. – Czy znaleźliście Tukutełę? Gdzie jest Amerykanin? Jak cię złapali?

– Później wam powiem – przerwał mu Sean. – Mamy ważniejsze sprawy do omówienia. Rozmawiałeś już z Chiną? Poznałeś, że to ten sam facet, którego pojaliśmy pod Inhlozane?

– Tak, to ten bez jednego ucha. Jakie mamy z nim szansę?

– Za wcześnie, żeby coś powiedzieć – odparł Sean. – Ale wspominał coś o jakiejś umowie.

– Co? – Job przerwał nagle i obaj obrócili się do drzwi. Z zewnątrz dochodziły ich przenikliwe gwizdki i krzyki.

– Co się dzieje? – zapytał Sean i podszedł do wejścia. Brama w płocie była szeroko otwarta, ale strażnicy właśnie uciekali, zdejmując broń z ramion i rozglądając się po niebie. Biegący porucznik przeraźliwie gwizdał.

– Nalot – powiedział Job stojący za Seanem. – Helikoptery bojowe Frelimo. Mieliśmy już jeden dwa dni temu.

Sean usłyszał warkot silników, jeszcze bardzo słaby i odległy. Przybierał jednak szybko na sile, osiągając wyższe i bardziej przenikliwe dźwięki.

– Job! – Sean schwycił go za ramię. – Czy wiesz, gdzie trzymają Claudię?

– Tam – wskazał Job. – Za ogrodzeniem podobnym do tego.

– Jak daleko?

– Jakies pięćset metrów.

– Brama jest otwarta, a strażę znikły. Dajemy nogę.

– Jesteśmy w środku armii. A co z helikopterami? – zaprotestował Job. – Zresztą dokąd możemy pójść?

– Nie kłóć się ze mną, tylko chodź.

Sean wybiegł przez bramę, a Job i Dedan pobiegli za nim.

– Którędy? – zawołał Sean.

– Tam, za tą kępą drzew.

Biegli we trójkę obok siebie. Żołnierze Renamo pochowali się w bunkrach i lepiankach. Obóz wydawał się prawie całkowicie opustoszały. Sean zobaczył jednak, że stanowiska ogniowe dział przeciwlotniczych są obsadzone przez załogi. Po drodze minęli mały oddział ludzi uzbrojonych w działka bezodrzutowe RPG, którzy biegli w stronę najbliższego kopca. Na wyższym terenie żołnierze mieli lepsze stanowiska do strzału. Niestety rakiety RPG, pozbawione noktowizorów, miały ograniczone zdolności atakowania celów napowietrznych.

Oddział Renamo biegł w takim pośpiechu, że żołnierze zupełnie nie zwrócili uwagi na białą twarz Seana. W przenikliwy świst zbliżających się śmigłowców wplotły się rytmiczne odgłosy strzałów.

Biegł nie rozglądając się na boki. Przed sobą dostrzegł błysk drutu kolczastego. Więzienie kobiece było dobrze zamaskowane krzakami i siatką maskującą, a przy bramie nie

było widać strażniczek.

– Claudia! – zawołał Sean, podbiegając do płotu i chwytając się drutów. – Gdzie jesteś?

– Sean, tutaj! – odrzyknęła. Za ogrodzeniem znajdowały się dwie chaty z zamkniętymi drzwiami i pozbawione okien. Głos Claudii dobiegał z bliższego z budynków. Zaraz potem został zagłuszony przez huk silników, pisk śmigieł i strzały karabinów.

– Podsadźcie mnie – rozkazał Sean i cofnął się kilka kroków od płotu. Ogrodzenie miało ponad dwa metry wysokości. Job i Dedan podbiegli do siatki i ukucnęli na ziemi. Sean rzucił się biegiem na siatkę, podskoczył i opadł na ich złożone w siodółko dłonie. Obaj mężczyźni poderwali się z ziemi i wyrzucili go w powietrze. Sean przeleciał nad drutami kolczastymi, przekoziółkował w powietrzu i opadł na nogi. Przewrócił się na grzbiet, żeby zamortyzować siłę upadku, poderwał z ziemi i wykorzystując rozpęd runął na drzwi.

– Odejdź od drzwi! – ryknął na Claudię i huknął w nie z całej siły ramieniem.

Deski były zbyt solidne, żeby ustąpić pod uderzeniem jego ciała, ale zawiasy puściły i drzwi poleciały na ziemię, wzbijając w powietrze chmurę kurzu z wyschniętego błota.

Claudia przykucnęła przy tylnej ścianie, ale gdy Sean wpadł do środka za wyrwanymi drzwiami, poderwała się z ziemi i rzuciła mu w objęcia. Chwytał ją w ramiona, ale kiedy chciała go pocałować, obrócił ją w stronę wyjścia i wyciągnął na zewnątrz.

– Co się dzieje? – zapytała zduszonym głosem.

– Pryskamy. – Kiedy wybiegli na słońce, Sean zobaczył, że Job i Dedan schwycili siatkę u dołu i z całych sił ciągnęli ją do góry. Pomiędzy dolną krawędzią siatki a ziemią utworzyła się wąska szczelina. Sean schylił się i chwytając siatkę pomiędzy pękami kolców pchnął ją od dołu w ich stronę. Po połączeniu sił ziemia wokół najbliższego z pali zaczęła pękać i kruszyć się, a słup uniósł się w powietrze na kilkanaście centymetrów. Siatka wygięła się do góry.

– Połóż się na brzuchu! – Sean jęknął ciężko do Claudii. – Prześliznij się!

Dziewczyna była szczupła i zwinna jak łasiczka. Przeczółgała się pod kolcami z kilkucentymetrowym zapasem.

– Trzymaj! – Sean zawołał do Joba i obaj mężczyźni po drugiej stronie wyteżyli się jeszcze bardziej. Mięśnie grały pod czarną skórą, a ich twarze wykrzywiły się z wysiłku.

Sean rzucił się na ziemię i wsunął się pod siatkę. W połowie drogi poczuł, jak kolce wbijają mu się w ciało i zatrzymują go.

– Przeciagnij mnie – rozkazał i kiedy Dedan mocował się z drutem, Job pochylił się i złapał Seana mocno za ręce.

– Ciągnij! – jęknął Sean, a Job się napreżył. Sean poczuł, jak ostry drut rozdziera mu ciało, po plecach cieknie krew i już był po drugiej stronie.

Kiedy poderwał się na nogi, Claudia zawołała:

– Twoje plecy! – ale on tylko schwycił ją za rękę i zwrócił się do Joba:

– Którędy teraz? – Wiedział, że przyjaciel rozejrzał się w ciągu tych kilku dni po obozie. Mógł spokojnie polegać na jego zmyśle orientacyjnym.

– Do rzeki – odparł natychmiast Job. – Jeśli uda nam się odpłynąć z prądem od obozu, to mamy szansę.

– Prowadź! – zakomenderował Sean. Tym razem musiał krzyczeć, żeby Job go usłyszał. Wokół nich wzrastał się warkot ręcznych karabinków. Ciężki stukot karabinów maszynowych został zagłuszony grzmotem, który przypominał odgłos wydawany przez Wodospad Wiktorii. Sean wiedział, co to takiego, mimo że nigdy wcześniej nie słyszał tego dźwięku. Był to odgłos wielolufowego działka pokładowego kalibru 12,7 mm typu Gatling zamocowanego na dziobie hinda. Walił z niego potok kul, jakby ktoś odkręcił hydrant ogrodowy.

Sean poczuł, jak Claudia kuli się za nim przerażona ogłuszającym łoskotem. Złapał ją za ramię.

– Chodź! – warknął na nią. – Biegiem! – Dziewczyna wciąż kulała nieznacznie po wypadku, ale Sean pociągnął ją mocno za sobą. Oboje podążyli biegiem za Jobem i Dedanem w stronę rzeki.

Znajdowali się nadal pod osłoną gałęzi drzew, ale Sean zobaczył, że przed nimi rozciąga się szeroka polana. Przez otwarty teren biegł szereg zgiętych wpół żołnierzy. Ośmiu, dziewięciu ludzi gnało w ich stronę z działkami bezodrzutowymi RPG. Twarze partyzantów były zwrócone do góry w poszukiwaniu celu dla ich rakiet.

Grupa była oddalona od nich o dwieście metrów, kiedy nagle ziemia wybuchła. Sean nigdy jeszcze nie przeżył czegoś podobnego. Ziemia zdawała się rozpadać na strzępy, niemal gotować pod gradem pocisków z działka pokładowego, które wzbijały w powietrze gęsty tuman kurzu.

Wszystko, co znajdowało się na drodze strumienia kul, zostało zniszczone, nawet drzewa znikły w wirze drzazg i strąconych liści. Gdy ogień się przesunął, przed nimi stały okaleczone, nagie pnie drzew. Ziemia wyglądała jak świeżo zaorana, a na niej spoczywały resztki oddziału Renamo uzbrojonego w rakiety. Ludzie zostali ścięci i posiekani, jakby dostali się pod ostre kosy kombajnu.

Sean nie puszczał ramienia Claudii. Kiedy pojawił się nad nimi cień śmigłowca, pociągnął ją za sobą w gęstą trawę przy drodze. Gałęzie nad ich głowami musiały zasłonić dwójkę ludzi przed działowym w helikopterze. Także Job i Dedan, ukryci w trawie przy drodze, uniknęli wypatrzenia.

Hind krążył przez chwilę, nie więcej niż kilkanaście metrów nad koronami drzew. Maszyna wyleciała nad puste pole, na którym leżały szczątki partyzantów, i Sean mógł się jej dokładnie przyjrzeć.

To był dla niego szok. Nie przypuszczał, że helikopter może być tak wielki i groteskowo brzydki. Maszyna musiała mieć z piętnaście metrów długości.

Rosjanie nazywali hindy „Sturmowicz”, garbaty. Helikopter przypominał zdeformowanego potwora: niekształtny, wręcz brzydki, z zielonymi i brązowymi plamami

tropikalnego kamuflażu, które nadawały mu wygląd chorego na trąd. Wybrzuszone podwójne sklepienia ze szkła pancernego wyglądały jak złośliwe oczy. Ich spojrzenie było tak silne, że Sean instynktownie rozpląszczył się na ziemi i osłonił Claudię ramieniem.

Pod ciężkim cielskiem maszyny były zawieszane rakiety. Kiedy Sean przyglądał się z przerażeniem hindowi, ten okręcił się wokół własnej osi, schylił tępy dziób i wystrzelił całą ich serię.

Wyleciały z sykiem wśród kłębow białego dymu i przeleciawszy nad rzeką trafiły w przykrywające bunkry kopce. Nad szeregiem fortyfikacji rozbłysły fontanny ognia i pyłu.

Powietrzem wstrząsnął ogłuszający huk, a przenikliwy jęk śmigieł zdawał się rozrywać im bębni w uszach. Claudia zakryła uszy dłońmi i głośno płakała.

– O Boże! O Boże!

Hind obrócił się wolno, szukając nowego celu. Sean znowu wcisnął głowę w ziemię. Helikopter odleciał od nich polując wzdłuż brzegu rzeki. Zdalnie sterowane działko pokładowe znowu otworzyło ogień i potok pocisków zaczął kłaść pokotem wszystko, co znalazło się na jego drodze.

– Ruszamy! – zawołał Sean, usiłując przekrzyczeć hałas. Job i Dedan już biegli. Rozorana kulami ziemia pod ich nogami była miękka i piaszczysta.

Kiedy mijali zwłoki partyzantów, Job schylił się w biegu i schwycił jedną nie zniszczoną wyrzutnię rakiet. Kilka kroków dalej porwał z ziemi plecak z włókna szklanego, który zawierał trzy rakiety do RPG, i popędził w stronę rzeki. Z bolącym kolaniem Claudia nie mogła im dotrzymać kroku. Mimo że Sean ciągnął ją za sobą, zostali prawie trzydzieści metrów za Jobem.

Job i Dedan dobiegli do urwiska. Brzeg rzeki, zbudowany z popękanych, wygładzonych przez wodę ścian skalnych, był wysoki i stromy. Rząd wysokich drzew rozpościerał gałęzie nad płynącą wartkim nurtem zieloną wodą.

Job obejrzał się na biegnących przez otwarty teren Seana i Claudię, popędzając ich wzrokiem. Jego twarz wykrzywiła się, gdy wykrzyknął ostrzeżenie. Szybko cisnął plecak na ziemię, zarzucił krotkę tubę wyrzutni na ramię i wycelował ją w niebo nad głowami uciekających.

Sean nie oglądał się za siebie wiedząc, że nie ma na to czasu. Nie odróżnił wcześniej jęku śmigieł drugiego hinda od ryku pierwszego, ale teraz hałas zwiększył natężenie tak bardzo, że poczuł ból w uszach.

Kilka kroków od nich ciągnął się wąski rów, wyżłobiony przez potoki deszczu. Kanał odpływowy był obecnie wyschnięty, a jego ściany niemal pionowe. Sean poderwał Claudię z ziemi i rzucił się z nią do rowu. Dno znajdowało się prawie dwa metry niżej i siła uderzenia pozbawiła go oddechu. Przy okazji stuknął silnie zębami. W tej samej chwili siekana kulami krawędź rowu rozprysła się nad nimi.

Ziemia, na której leżeli, zatrzęsa się pod nimi jak jakaś żywa istota, jakby byli robakami

przyczepionymi do skóry galopującego konia. Grudy gliny poszarpane przez grad pocisków spadły im na plecy, pozbawiając ich oddechu, wypełniając usta piachem, grzebiąc ich żywcem.

Claudia krzyknęła i spróbowała uwolnić się spod powłoki piachu i wyschniętej ziemi, ale Sean przycisnął ją tylko mocniej.

– Nie ruszaj się – syknął jej w ucho. – Zostań w tej pozycji, głuptasie. – Hind zawrócił i skierował się prosto nad rów, szukając swoich ofiar. Działonowy wycelował grube lufy działka Gatling prosto w dół.

Sean odwrócił lekko głowę, spoglądając w górę kątem oka. Nie widział zbyt wyraźnie przez chmurę pyłu, ale kiedy kurz opadł, zobaczył stępiony dziób hinda wiszący zaledwie piętnaście metrów nad ich głowami. Działowy musiał wypatrzeć ich białe skóry, które czyniły z nich wyjątkowo ważny cel. Teraz jedynie cienka warstwa piachu zasłaniała ich przed wzrokiem napastnika.

– Job, dołóż mu – prosił głośno Sean. – Przywał draniowi.

Stojący nad krawędzią rzeki Job przyklęknął na jedno kolano. RPG-7 było jedną z jego ulubionych broni. Potężny śmigłowiec wisiał nad rowem zaledwie pięćdziesiąt metrów dalej.

Job wycelował broń trzydzieści centymetrów pod kabiną pilota. Nawet z tak bliskiej odległości wołał wziąć zapas, gdyby rakieta zboczyła z kursu. Na chwilę wstrzymał oddech, uspokoił krzyżyk celownika i pociągnął za spust. Gazy spalinowe wyleciały kłębem białego dymu za jego ramieniem i rakieta poszybowała prosto do celu, trafiając obiekt kilka centymetrów wyżej, niż Job wymierzył, prosto w spojenie pancernego szkła kabiny.

Rakieta wybuchła z siłą, która rozerwałaby na strzępy silnik dużej ciężarówki czy kocioł parowy lokomotywy. Na chwilę przód hinda zniknął zasłonięty płomieniami i dymem i Job zawył z radości, skacząc do góry przekonany, że olbrzymi potwór runie zaraz na ziemię.

Zamiast tego maszyna wzniosła się wyżej, jakby pilot chciał uciec od rakiety. Kiedy dym się rozwiął, Job zobaczył z niedowierzaniem, że kadłub nie został nawet zarysowany. Na farbie widać było jedynie czarną smugę, która znaczyła miejsce trafienia.

Dziób helikoptera obrócił się w stronę Joba i ze wszystkich luf wytrysnęły strugi pocisków. Job cisnął działko RPG i rzucił się z brzegu do rzeki, wpadając do wody siedem metrów niżej w chwili, gdy kule odcięły gałęzie z drzewa na wysokości mężczyzny. Kolejne pociski przecięły pień równo niczym piłą mechaniczną i drzewo pochyliwszy się ciężko, runęło ze szczytu skarpy. Nad brzeg wzniosła się fontanna wody.

Hind wycofał się i skierował wzdłuż brzegu. Rakieta nie wyrządziła mu najmniejszej szkody i helikopter wybrał sobie nowy cel.

Sean podniósł się na kolana, kaszląc i z trudem chwytając powietrze.

– Wszystko w porządku? – zapytał ochryplym głosem, ale przez chwilę Claudia nie mogła mu odpowiedzieć. Oczy miała zasypane piachem, a łzy wyślubiły smugi na utyłanych policzkach.

– Musimy schronić się do rzeki. – Sean pociągnął ją z ziemi. Na wpół pchając, a na wpół niosąc wyprowadził ją z rowu.

Podbiegli do krawędzi skarpy i spojrzeli w dół. Ścięte drzewo unosiło się na powierzchni niczym liściasta tratwa.

– Skacz! – rozkazał. Claudia bez wahania wykonała jego polecenie. Rzuciła się przed siebie i poleciała do rzeki na równe nogi. Sean podążył za nią, zanim jeszcze dosięgnęła wody.

Wynurzył się na powierzchnię, zobaczył obok siebie głowę dziewczyny. Pył z jej twarzy został zmyty przez wodę, a lśniące kosmyki włosów zasłoniły oczy.

Popłynęli razem do drzewa. Claudia była dobrą pływaczką. Mimo butów na nogach i ubrania potrafiła szybko płynąć krytym kraulem.

Kiedy osiągnęli cel, Job wyciągnął rękę i wciągnął dziewczynę pomiędzy gałęzie. Dedan trzymał się już pnia, a sekundę później Sean znalazł się obok nich. Schwycili się grubych konarów zasłonięci od góry przez gęste listowie.

– Trafiłem go – poskarżył się Job. – Trafiłem go rakieta prosto w dziób. Zupełnie jakby trafić szarżującego byka z procy. Tylko obrócił się i ruszył na mnie.

Sean otarł wodę z oczu i twarzy wierzchem dłoni.

– Płyty pancerne z tytanu – wyjaśnił spokojnie. – Są zupełnie niewrażliwe na konwencjonalne pociski. Kabina pilota i pomieszczenie silnika są nieduże i dobrze schowane. Jedyne, co można zrobić, gdy nadlatuje takie bydlę, to wziąć nogi za pas.

Odrzucił mokre włosy z twarzy.

– Na szczęście udało ci się go od nas odciągnąć. Już miał nas rozwalić tym swoim wielkim działkiem. – Sean podpłynął do Claudii.

– Krzyczałeś na mnie – poskarżyła się dziewczyna. – Byłeś bardzo nieprzyjemny. I nazwałeś mnie głuptasem.

– Lepiej trochę pocierpieć niż zginąć. – Wyszczerył do niej wesoło zęby. Odwzajemniła uśmiech.

– Czy to może propozycja, sir? Nie miałabym nic przeciwko temu, gdybym musiała pocierpieć jeszcze trochę przez ciebie. – Sean otoczył ją pod wodą ramieniem i przyciągnął do siebie.

– Dobry Boże, brakowało mi twojej impertynencji. Dziewczyna wtuliła się w niego.

– Zdałam sobie sprawę dopiero wtedy, gdy zniknąłeś... – szepnęła.

– Ja też – wyznał Sean. – Wcześniej myślałem, że nie mogę cię znieść. Później uświadomiłem sobie, że nie mogę znieść twojej nieobecności.

– Jak przyjemnie, kiedy tak mówisz. Powiedz mi, co masz na myśli.

– Później – przytulił ją do siebie. – Najpierw musimy spróbować wydostać stąd nasze skóry. – Zostawił ją i wrócił do Joba.

– Widzisz brzeg? Job skinął głową.

– Wygląda na to, że nalot się skończył. Wychodzą z bunkrów. Sean wyjrzał spod gałęzi. Zobaczył żołnierzy poruszających się ostrożnie wzdłuż brzegu.

– Na razie będą zajęci zbieraniem się do kupy. Minie trochę czasu, zanim spostrzegą, że nas nie ma. Miej jednak na nich oko. Przynal się do Dedana, który obserwował przeciwny brzeg.

– Co widzisz?

– Są zajęci wyłącznie sobą. – Dedan wskazał ręką. Grupa sanitariuszy szła wzdłuż brzegu segregując ciała na trupy i rannych. Inni żołnierze byli zajęci naprawianiem zniszczonych umocnień i siatek maskujących. Nikt nie patrzył na rzekę.

W wodzie płyło sporo innych śmieci, poobcinane gałęzie, zniszczony sprzęt, puste beczki po oleju. Nikt nie powinien zwracać uwagi na ich kryjówkę.

– Jeśli uda nam się uniknąć odkrycia do zapadnięcia zmroku, to powinniśmy przepłynąć poza obszar zgrupowania. Trzymaj oczy szeroko otwarte, Dedan.

– Mambo – potwierdził Dedan i skoncentrował się na lustrowaniu brzegu.

Sean podpłynął cicho do Claudii i schwycił się gałęzi za nią. Dziewczyna sięgnęła natychmiast po niego.

– Nie chcę być z dala od ciebie ani przez minutę – szepnęła. – Czy powiedziałeś to wszystko poważnie?

Pocałował ją, a ona oddała mu pocałunek tak zachłannie, że ugryzła go w wargę. Taki ból sprawił mu tylko przyjemność.

Puściła go nagle i zapytała stanowczo:

– Czy mówiłeś to poważnie?

– Nie mogę żyć bez ciebie – odpowiedział Sean.

– Możesz się bardziej postarać.

– Jesteś najwspanialszą kobietą, jaką kiedykolwiek poznałem.

– Nieźle, ale to jeszcze nie to, co chciałabym usłyszeć.

– Kocham cię – przyznał się w końcu.

– Właśnie tak, Sean. Ja też ciebie kocham. – Pocałowała go i zapomnieli o wszystkim, co ich otaczało, łącząc ze sobą usta i ciała.

Sean nie wiedział, jak długo to trwało, aż wreszcie Job im przerwał.

– Znosi nas na brzeg! – zawołał do Seana.

Prąd rzeczny spychał drzewo na łachę, która utworzyła się na zakręcie. Zanurzone konary drzewa zaczęły ocierać się o piach. Kiedy Sean wyprostował nogi, dotknął dna.

– Musimy wypchnąć je na głębszą wodę – polecił Sean. Skryci pod gałęziami zaczęli napierać i spychać drzewo z łachy. Wreszcie prąd porwał wielką kłodę i poniósł ją dalej.

Sean dyszał ciężko, kiedy uwiesił się na konarze wystawiając jedynie głowę na powierzchnię. Claudia podpłynęła do niego i uczepliła się tej samej gałęzi.

– Sean – szepnęła. Wyczuł, że jej nastrój zmienił się. – Nie spytałam cię jeszcze o ojca.

Głównie dlatego, że nie chcę poznać odpowiedzi. – Zamilkła na chwilę i wzięła głęboki oddech. – Mój ojciec...? – zaczęła.

Sean milczał dobierając słowa, którymi mógłby jej to zakomunikować, ale Claudia odezwała się pierwsza.

– Nie wrócił z tobą, prawda?

Sean pokręcił głową i mokre loki opadły mu na twarz.

– Czy znalazł swojego słonia? – zapytała cicho.

– Tak – odpowiedział po prostu Sean.

– Cieszę się – stwierdziła. – Chciałam, żeby to był mój ostatni prezent dla niego.

Puściła się gałęzi i objęła Seana ramionami za szyję, przykładając policzek do jego policzka, żeby nie patrzeć na wyraz jego twarzy, gdy zada kolejne pytanie.

– Sean, czy mój ojciec nie żyje? Musisz mi to powiedzieć, żebym uwierzyła.

Sean przycisnął ją mocno wolnym ramieniem i zebrał siły, żeby jej odpowiedzieć.

– Tak, kochanie. Szef nie żyje, ale zmarł śmiercią godną mężczyzny. Jestem pewien, że tego właśnie by sobie życzył. Tukutela, jego słon, odszedł wraz z nim. Czy mam ci to opowiedzieć?

– Nie! – Pokręciła zdecydowanie głową, trzymając go mocno. – Nie teraz. Może nawet nigdy. Ojciec nie żyje. Część mnie samej i mojego życia umarła wraz z nim.

Sean nie mógł znaleźć słów pocieszenia, więc tylko trzymał ją mocno, gdy zaczęła płakać za ojcem. Płakała po cichu, ale czuł, jak drży na całym ciele. Łzy mieszały się z kropelkami wody na twarzy. Czuł ich słony smak na jej wargach, gdy przycisnął do nich swoje usta. Płynęli wolno niesieni prądem szerokiej, zielonej wody. Ze zbombardowanych brzegów unosił się nad nimi dym i zapach bitwy. Dobiegały ich krzyki i jęki rannych. Sean pozwolił dziewczynie zmagać się z bólem po stracie bliskiej osoby. Z wolna jej ciało uspokoiło się i wreszcie szepnęła do niego:

– Nie wiem, jak bym to zniosła bez twojej pomocy. Byliście do siebie tak podobni. Chyba właśnie dlatego zwróciłam na ciebie uwagę.

– Przyjmuję to za komplement.

– Bo to jest komplement. Ojciec wyrobił we mnie upodobanie do silnych i zdecydowanych mężczyzn.

Obok nich, niemal w zasięgu ręki, płynęły zwłoki. Uwięzione powietrze wzdęło mundur w barwach maskujących i ciało leżało na plecach na powierzchni wody. Nieboszczyk miał młodą twarz, nie wyglądał więcej niż na piętnaście lat. Rzeka niemal całkowicie obmyła rany i tylko wąska różowa strużka ciągnęła się za nim w zielonej wodzie. To wystarczyło.

Sean spostrzegł spiczaste głowy pokryte łuskami niczym stare dęby korą, które szybko płynęły z prądem w ich stronę. Od wstrętnych pysków rozchodziły się drobne fale, gdy dwa wielkie krokodyle ścigały się po zdobycz mocno pracując ogonami.

Jeden z gadów dosięgnął trupa i wychylił się z wody. Uzbrojona w nierówne rzędy



wielkich zębów paszcza otworzyła się i zaraz zatrzasnęła na ramieniu nieboszczyka. Zęby zacisnęły się na ciele miażdżąc kości z potężną siłą. Ohydny odgłos dotarł do drzewa. Claudia z jękiem odwróciła głowę.

Zanim krokodyl zdążył wciągnąć zdobycz pod wodę, drugi gad, jeszcze większy od pierwszego, schwycił za brzuch ofiary i rozpoczęło się przerażające przeciąganie łupu.

Kły krokodyla nie są przystosowane do rozcinania mięsa i kości. Zwierzęta zacisnęły jedynie silnie szczęki i pracując ogonami oraz skręcając się w białej pianie, rozrywały trupa na strzępy. Płynący obok ludzie słyszeli odgłos pękających ścięgien i wyłamywanych stawów.

Zaintrygowana przerażającym odgłosem Claudia obejrzała się. Zwymiotowała na widok wielkiego gada unoszącego się wysoko w wodzie z ramieniem człowieka w paszczy. Kremowożółte łuski na brzuchu nabrzmiały, gdy gad łapczywie przełykał mięso, i krokodyl zanurzył się w wodzie, sięgając po następny kawałek.

Ciągnąc pomiędzy sobą i rozrywając zwłoki, oba krokodyle oddaliły się od drzewa i Sean, przypominając sobie o własnej ranie na plecach, poczuł ulgę, gdyż i jego krew musiała zostawiać ślad w wodzie.

– O Boże, jakie to okropne – szepnęła Claudia. – To wszystko wygląda jak okropny koszmar senny.

– To Afryka. – Sean przycisnął ją do siebie, chcąc jej dodać odwagi. – Jestem jednak z tobą i wszystko będzie w porządku.

– Naprawdę, Sean? Myślisz, że wyjdziemy z tego z życiem?

– Nie ma na to żadnej gwarancji – przyznał szczerze. Claudia chlipnęła jeszcze raz, odchyliła się w jego ramionach i spojrzała mu w oczy.

– Przepraszam – powiedziała. – Zachowuję się jak dziecko. Niemal załamałam się na brzegu, ale obiecuję ci, że to się już nie powtórzy. Przynajmniej znalazłam ciebie. – Uśmiechnęła się do niego z wymuszoną pogodą w oczach, zanurzając się po szyję w wodzie. – Będziemy żyli chwilą tak długo, jak się da.

– Moja dzielna dziewczynka. – Sean posłał jej uśmiech. – Cokolwiek się stanie, będę mógł powiedzieć, że kochałem Claudię Monterro.

– I byłeś przez nią kochany – zapewniła go i znowu pocałowała. Pocałunek był długi i gorący, z posmakiem jej łez. Wyrażał raczej tęsknotę niż pożądanie. Dla obojga z nich była to przysięga i obietnica, coś pewnego i prawdziwego w świecie ciągle zmieniających się niebezpieczeństw.

Sean nie był świadom własnego podniecenia. Dopiero dziewczyna przerwała pocałunek i zażądała zdyszonym szeptem:

– Pragnę cię, teraz. Nie mogę... nie zamierzam czekać. O Boże, Sean, kochanie, teraz żyjemy, ale wieczorem możemy zginąć. Weź mnie teraz.

Sean obejrzał się szybko wokół. Przez liście widział brzeg. Wyglądało na to, że minęli

już fortyfikacje Renamo. Pomiedzy rzędami nadrzecznych drzew nie było widać żadnego ruchu, a cisza afrykańskiego południa była ciężka i uroczysta. Obok nich, niemal w zasięgu ręki, płynął Job i Dedan, ale Sean widział jedynie tyły ich głów, gdyż obaj byli zajęci obserwowaniem nabrzeży.

Spojrzał na Claudię, zajrzał w jej oczy koloru miodu i poczuł, jak bardzo jej pragnie. Wiedział, że nigdy w życiu nie pragnął nikogo i niczego tak bardzo.

– Powiedz to jeszcze raz – poprosił namiętym głosem.

– Kocham cię – powiedziała. Pocałowali się. Tym razem był to twardy, gorący i pełen gorączkowego pożądania pocałunek.

– Szybko – szepnęła mu w usta. – Każda sekunda jest cenna. – Jej ręce pod wodą zaczęły pośpiesznie rozpinąć ich ubrania. Sean musiał przytrzymać się jedną ręką drzewa, żeby nie zniósł ich prąd, ale drugą pomagał jej ochoczo.

Dziewczyna rozpięła mu kurtkę, swoją koszulę i przycisnęła się do niego. Jej piersi były śliskie od chłodnej wody, Sean czuł, jak twarde są sutki, gdy pełne pożądania muskały mu pierś, nabrzmiałe niczym winogrona.

Wyszarpał pasek, który podtrzymywał jej szorty i Claudia podniosła się w wodzie, żeby ułatwić mu rozpięcie rozporka, a następnie wyciągnęła nogi i Sean ściągnął spodnie z jej wilgotnych pośladków. Zawiesił sobie ubranie na ramieniu. Dziewczyna była naga od pasa w dół. W szalonym pośpiechu rozpięła mu spodnie i włożyła do środka obie ręce.

– Och, Sean – jęknęła. – Kochanie. Jest taki wielki i twardy. Szybciej, proszę, włóż go!

W wodzie byli bardzo lekcy i gibcy niczym parzące się wydry. Jej długie nogi oploty go w pasie, kolana podsunęły się pod pachy i Claudia zaczęła go szukać na oślep. Sean wygiął biodra, żeby napotkać jej ciało, niemal mu się udało, lecz członek ześliznął się pomiędzy ich nagie brzuchy.

Claudia jęknęła cicho, sięgnęła w dół i schwyciła go dłońmi. Następnie wyginając grzbiet włożyła sobie koniec członka. Naparli na siebie i nagle jej ciało zeszytniało, a złote oczy otworzyły się szeroko, gdy Sean wsunął się w nią na całą długość. W zimnej wodzie podniecone ciało dziewczyny było wręcz nie do zniesienia gorące i Sean krzyknął bezwiednie.

Job i Dedan obejrzelili się na nich ze zdziwieniem i zaambarasowani szybko odwrócili spojrzenia. Ani Sean, ani Claudia nawet ich nie widzieli.

Po kilku chwilach wszystko się skończyło. Dziewczyna zawisła mu na szyi dysząc ciężko jak po długim biegu.

Sean pierwszy odzyskał głos.

– Przepraszam – powiedział. – To stało się tak szybko. Nie mogłem czekać. Czy ty...?

– Byłam tam na długo przed tobą. – Uśmiechnęła się do niego niepewnie. – To było jak wypadek samochodowy, szybki i niszczący!

Pozostali złączeni ciałami przez długą chwilę, odpoczywając w milczeniu, aż Claudia

poczuła, jak Sean kurczy się w niej i wyslizguje. Rozluźniła nogi i pocałowała go czule.

– Teraz należysz do mnie, a ja do ciebie. Nawet jeśli zginęłabym dzisiaj, to nie ma to już znaczenia. Miałam cię w sobie.

– Spróbujmy pożyć trochę dłużej niż jeden dzień. – Uśmiechnął się do niej delikatnie. – Ubierz się, kochanie. – Podał jej ubranie. – Zobaczę, co się dzieje.

Odplynął od niej i zbliżył się do Joba.

– Co widzisz? – zapytał.

– Chyba minęliśmy już ich linie – odparł Job, taktownie nie patrząc mu w oczy. Sean nie czuł żadnego wstydu z tego powodu, że Job wiedział, co zaszło pomiędzy nim i Claudią. Po miłosnym spełnieniu czuł się pobudzony i pełen sił. Nic nie potrafiło mu odebrać tego uczucia.

– Jak tylko zrobi się dostatecznie ciemno, skierujemy drzewo w stronę brzegu i wyjdziemy na ląd. – Sean spojrział na swojego rolexa. Nie więcej niż dwie godziny do zachodu. – Miej oczy otwarte – polecił Jobowi i podplynął do Dedana, żeby powtórzyć ostrzeżenie.

Patrząc na przesuwający się brzeg ocenił szybkość prądu rzecznoego na jakieś trzy kilometry na godzinę. Nawet po zapadnięciu zmroku nadal będą niebezpiecznie blisko linii Renamo, a rzeka znosiła ich na wschód w stronę morza. Oznaczało to, że będą musieli obejść lub prześliznąć się przez wojska generała Chiny, żeby dotrzeć do granicy z Zimbabwe na zachodzie. Nie było to łatwe zadanie, ale Sean był pełen optymizmu. Wrócił do Claudii.

– Dobrze się przy tobie czuję – powiedział jej.

– W przyszłości postaram się skoncentrować właśnie na tym – zapewniła go. – Co teraz robimy?

– Do zmroku nie mamy nic do roboty poza sterowaniem naszą tratwą.

Przysunęła się do niego bliżej pod wodą i przytuleni do siebie obserwowali brzeg.

Po chwili stwierdziła:

– Zimno mi.

Znajdowali się w wodzie od przeszło dwóch godzin. Sean zauważył, że chociaż woda ma temperaturę niższą zaledwie o kilka stopni od temperatury ich ciał, on także odczuwa chłód.

Dziewczyna zmrużyła oczy i uśmiechnęła się łobuzersko.

– Nie możesz wymyślić czegoś, żeby zapobiec zapaleniu płuc? – zapytała. – A może ja mogę coś zasugerować?

– No cóż – odparł Sean z udanym zamyśleniem. – Nie możemy rozpalić ognia.

– Nie możemy? – zapytała przekornie. – Chcesz się założyć? – Sięgnęła w dół i po kilku sekundach szepnęła: – Zobacz, bez najmniejszego problemu. I zrobiłam to bez zapalek.

– To cud! – zgodził się Sean i rozpiął jej pasek.

– Postarajmy się tym razem, żeby cud trwał trochę dłużej niż dziesięć sekund – poprosiła.

Kiedy słońce zaczęło zachodzić, rzeka wyglądała jak błyszcząca czerwienią olbrzymi

waż.

– Możemy skierować się ku brzegowi – polecił Sean. Zaczęli pchać drzewo pod prąd. Zanurzony głęboko w wodzie pień był ciężki i niewygodny do manewrowania. Z trudem udawało im się go zawrócić. Cała czwórka przyłożyła się do pracy, machając zawzięcie nogami w wodzie i drzewo zaczęło wolno zbliżać się do brzegu.

Słońce schowało się za horyzontem. Woda stała się czarna jak rozlana ropa. Widzieli już wyraźnie ciemne drzewa oświetlone od tyłu poświatą słońca. Brzeg był oddalony o niecałe trzydzieści metrów.

– Dalej popłyniemy sami – zdecydował Sean. – Trzymajcie się blisko mnie. Uważajcie, żebyśmy się nie pogubili w ciemnościach. Wszyscy gotowi?

Zbliżyli się do siebie trzymając się jednej gałęzi. Sean sięgnął po rękę Claudii. Już otwierał usta, żeby wydać rozkaz, kiedy zamknął je szybko i zaczął nasłuchiwać.

Zdziwił się, że nie usłyszał wcześniej tego odgłosu. Może dźwięk zagłuszył wysoki brzeg i rząd drzew, a teraz jego źródło wysunęło się zza krawędzi. Jakkolwiek by było, stał się całkiem wyraźny i łatwy do rozpoznania. Był to odgłos zbliżającej się szybko łodzi motorowej.

– Cholera – szepnął z goryczą Sean i spojrzał w stronę brzegu. Nadal mieli do pokonania trzydzieści metrów, ale teraz mogło to być równie dobrze trzydzieści kilometrów.

Jęk motoru narastał i przycichał tłumiony przez wodę, ale łódź płynęła w dół rzeki od strony linii Renamo. Sean wychylił głowę, żeby spojrzeć przez dziurę w listowiu, i zobaczył w ciemnościach jarzące się światło. Promień omiół na chwilę nocne niebo, odbił się od ciemnych drzew, zaśnił na wodzie i oświetlił przeciwny brzeg.

– Łódź patrolowa Renamo – stwierdził Sean. – Szukają nas. Claudia zacisnęła dłoń na jego ramieniu. Nikt się nie odezwał.

– Spróbujemy się tu schować – zaproponował Sean. – Chociaż nie mam pojęcia, jak mogliby nas nie odkryć. Zanurzamy się, jak tylko światło zbliży się do nas.

Warkot motoru zmienił odgłos, gdy łódź zwolniła i wychyliła się zza zakrętu kilkaset metrów dalej. Motorówka skierowała się prosto na drzewo.

Promień oświetlał na przemian jeden i drugi brzeg. Światło było bardzo silne i musiało pochodzić z lampy podobnej do tej, jaka wyłuskała Seana na skarpie.

Zmieniając pozycję promień oświetlił na ułamek sekundy łódź i jej załogę. Sean rozpoznał w niej pięciometrowy ponton Zodiac z silnikiem Yamaha o mocy pięćdziesięciu pięciu koni mechanicznych. Mimo że nie udało mu się policzyć członków załogi, było ich co najmniej ośmiu lub dziewięciu i mieli zamontowany na dziobie lekki karabin maszynowy. Mężczyzna obsługujący latarnię stał pośrodku pontonu.

Snop światła prześliznął się po ich kryjówce, oślepiając ich na kilka sekund, przesunął się dalej, by zaraz wrócić i zatrzymać się na drzewie. Sean usłyszał, jak ktoś wydał ledwo dosłyszalny rozkaz w shangane i zodiac zmienił kurs, zbliżając się do nich. Promień światła

pozostał skierowany na kryjówkę.

Cała czwórka zanurzyła się pod wodę, tak że nad powierzchnię wystawały jedynie nosy, i schowali się głębiej za gałęziami.

Sternik zmniejszył prędkość, by po chwili zatrzymać się w ogóle. Wielka gumowa łódź dryfowała teraz z prądem na wysokości drzewa, zaledwie sześć metrów od nich. Reflektor przeczesywał dokładnie gęste gałęzie.

– Odwróć twarz – Sean szepnął na ucho Claudii i objął ją ramieniem pod wodą. Nawet ich opalone twarze odbijały wyraźnie promienie. Sam również obrócił głowę do tyłu.

– Nikogo tam nie ma – powiedział ktoś w shangane. Mimo że słowa zostały wypowiedziane normalnym tonem, dotarły do znajdujących się pod wodą ludzi.

– Opłyńcie drzewo! – inny głos wydał komendę. Sean rozpoznał sierżanta ze swojej eskorty. Za pontonem rozciągała się szeroka biała smuga, gdy zaczął opływać drzewo.

Promień światła rzucał czarne cienie przez gałęzie i odbijał się jaskrawo od powierzchni wody. Gdy zodiak pokonywał zakręt, Sean i reszta przesunęli się na drugą stronę. Snop światła spoczął na nich.

Od razu cała czwórka zsunęła się bezszelestnie pod wodę. Kiedy wynurzyli się, starali się nie oddychać zbyt głośno.

Upiorna zabawa w chowanego zdawała się trwać całą wieczność, zanim głos w łodzi znowu powiedział:

– Tam nikogo nie ma. Tracimy tylko czas.

– Krąćcie dalej – odparł sierżant i po kolejnej minucie dodał: – Poślijcie w drzewo serię.

Rozbłyśki z lufy lekkiego karabinu maszynowego rozświetliły noc migoczącymi płomykami. Grad pocisków zasypał drzewo z oszałamiającą siłą. Terkot karabinu wypełnił im uszy, łomocząc o konary, ścinając gałęzie i liście. Kule odrywały kawały kory i zasypywały nią powierzchnię wody. Rykoszetujące pociski wyły w ciemności niczym potępione duchy.

Sean wciągnął Claudię pod wodę, ale nadal słyszał kule pluskające na powierzchni i trafiające pień drzewa nad ich głowami. Zostali pod powierzchnią, aż płuca zaczęły ich palić, jakby zostały napelnione żrącym kwasem i na chwilę wynurzyli się, żeby zaczerpnąć oddechu.

Mężczyzna obsługujący karabin maszynowy strzelał seriami. Niczym sygnalista, każdy dobry strzelec ma własny styl, rozpoznawalny dla innych ludzi. Ten strzelał podwójnymi seriami po pięć pocisków w serii. Taka precyzja wymagała palców czułych niczym u pianisty.

Gdy Sean i Claudia wynurzyli się na powierzchnię, chwytając łąpczywie powietrze, metr od nich wyłonił się Dedan. Snop światła padł prosto na jego głowę. Czarne, kędzierzawe włosy ociekały wodą, oczy na hebanowej twarzy wyglądały niczym kule z kości słoniowej, a usta były szeroko rozwarte, pijąc powietrze.

Kula trafiła go w skroń, tuż nad uchem. Głowa poderwała się odruchowo do tyłu. Dedan krzyknął głosem, który przypominał ryk rannego bawołu, głowa opadła i zanurzył się twarzą

w dół w ciemnej wodzie.

Sean schwycił go za ramię ściągając pod powierzchnię, ale ciało kołysało się bezwładnie na fali, a wywrócone oczy ukazywały jedynie białka.

Ludzie w łódce musieli usłyszeć jego krzyk, gdyż sierżant zawołał do swoich żołnierzy:

– Przygotujcie się do rzucenia granatu! – Następnie zawołał do ludzi ukrytych pod drzewem. – Wychodźcie. Daję wam dziesięć sekund!

– Job, odpowiedz mu – rozkazał z rezygnacją Sean. – Powiedz mu, że już wychodzimy.

Ludzie z plemion Matabele i Shangane potrafili zrozumieć swoje języki i Job krzyknął do nich, żeby nie strzelali.

Claudia utrzymywała głowę Dedana nad wodą. Razem przyciągnęli go między sobą do łodzi. Reflektor oślepił ich białym światłem, ale jakieś ręce wysunęły się po nich i wciągnęły pojedynczo do środka.

Trzęsąc się z zimna usiedli na środku pontonu. Bezwładne ciało Dedana ułożyli na dnie pomiędzy sobą, a Sean oparł jego głowę na swoich kolanach. Murzyn był nieprzytomny, ledwo oddychał i Sean odwrócił mu głowę, żeby obejrzeć ranę.

Przez chwilę nie zorientował się, na co patrzy. Z podłużnego rozcięcia wypływała jakaś biała, lśniąca masa.

Siedząca za nim Claudia zadrżała i szepnęła:

– Sean, to jego, jego... – Nie mogła wymówić tego słowa i Sean dopiero w tej chwili zrozumiał, że patrzy na mózg przyjaciela, nadal zamknięty w białej błonie.

Sierżant wydał rozkaz sternikowi, rozległ się warkot zapuszczanego motoru i zodiac pomknął w górę rzeki. Płynęli na pełnym gazie w stronę linii Renamo.

Sean usiadł na drewnianej podłodze z głową Dedana na kolanach. Nie mógł mu w żaden sposób pomóc poza trzymaniem go za rękę i patrzeniem, jak puls Dedana staje się coraz słabszy i mniej regularny. Wreszcie bicie serca ustało.

– Nie żyje – powiedział cicho Sean. Job nie odezwał się, a Claudia odwróciła głowę w drugą stronę.

Sean trzymał martwego przyjaciela na kolanach przez całą drogę powrotną. Dopiero gdy sternik wyłączył silnik i wprowadził łódź na brzeg, Sean podniósł głowę. Na brzegu paliły się światła i czekały na nich ciemne postacie.

Sierżant wydał rozkaz. Dwóch żołnierzy podniosło zwłoki Dedana i rzuciło je twarzą w błoto. Inny żołnierz schwycił Claudię i poderwał ją na nogi. Wypchnął ją szorstko na brzeg, a kiedy dziewczyna obróciła się do niego z wściekłym protestem, podniósł karabin, zamierzając się kolbą w jej pierś.

Sean był dostatecznie blisko, żeby złapać mężczyznę za ramię i powstrzymać cios.

– Zrób to jeszcze raz, ty synu syfilitycznej hieny – powiedział cicho w języku shangane – a odrąbię ci mtondo tępą siekierą i zmuszę, żebyś je zjadł bez soli.

Żołnierz patrzył na niego szeroko otwartymi oczami, bardziej zdziwiony doskonałym

shangane Seana niż samą groźbą. Stojący na brzegu sierżant ryknął głośnym śmiechem.

– Lepiej rób, jak ci mówi – ostrzegł żołnierza – chyba że jesteś bardzo głodny. Ten facet nie rzuca słów na wiatr. – Uśmiechnął się złowieszczo do Seana. – Więc mówisz w języku shangane jak każdy z nas i cały czas rozumiałeś, o czym rozmawialiśmy! – Potrzęsął ze zdumieniem głową. – Nie dopuszczę, żebyś znowu mnie oszukał!

Przemoczeni, zmarznięci i rozczochrani zostali bezceremonialnie wepchnięci do pokoju generała Chiny i ustawieni przed jego biurkiem. Seanowi wystarczyło jedno spojrzenie na jego twarz, żeby poznać, że generał jest rozwścieczony.

Przez pełną minutę przyglądał się Seanowi nie wstając z krzesła, aż wreszcie powiedział:

– Ta kobieta zostaje przeniesiona do innego obozu, daleko stąd. Nie będzie pan się mógł z nią zobaczyć, dopóki na to nie zezwolę.

Sean starał się zachować obojętny wyraz twarzy, ale Claudia krzyknęła cicho i złapała Seana za ramię, jakby chciała zapobiec ich rozłączeniu. Generał China skinął głową z satysfakcją i mówił dalej spokojnym głosem:

– Ta kobieta nie zasługuje więcej na specjalne traktowanie, jakie jej do tej pory okazałem. Rozkazałem, żeby została zakuta w kajdanki, aby zapobiec dalszym próbom ucieczki. Będzie także pozostawała w odosobnieniu.

Przy ścianie stały dwie strażniczki, China spojrzał na nie i skinął głową. Wyższa z nich, nosząca odznaki sierżanta na rękawie, dała rozkaz krępej kobiecie o żabiej twarzy, która stała obok niej. Strażniczka podeszła do więźniów, w rękach trzymała kajdanki.

Claudia zacisnęła uścisk na ramieniu Seana i cofnęła się przed nią. Kobieta zawahała się, lecz sierżant popędziła ją stanowczym głosem. Strażniczka schwyciła dziewczynę za nadgarstek i bez trudu odciągnęła ją od Seana.

Następnie wprawnym ruchem obróciła ją, pchnęła na wyłożoną workami z piachem ścianę, zapinając kajdanki na jednym nadgarstku i szybko podciągając drugą rękę do góry, żeby zakuć ją także.

Cofnęła się o krok. Wysoka sierżant podeszła bliżej, schwyciła spętane ręce Claudii i podciągnęła je wysoko do góry. Claudia stęknęła z bólu zmuszona do stanięcia na palcach. Sierżant obejrzała kajdanki, które były związane ściśle wokół nadgarstków dziewczyny, ale widocznie nie była tym usatysfakcjonowana. Przesunęła kajdanki o dwa zębki do przodu i dziewczyna znowu załkała.

– To za mocno, wrzynają mi się w ciało.

– Powiedz tej kurwie, żeby je poluźniła – Sean warknął na Chinę, ale ten tylko uśmiechnął się i przyglądał sobie włosy.

– Pułkowniku Courteney, dałem rozkaz, żeby ta kobieta nie mogła uciec. Sierżant Cara wykonuje tylko swój obowiązek.

– W ten sposób przerywa krążenie krwi. Panna Monterro może stracić obie ręce przez gangrenę.

– To byłoby bardzo przykre – zgodził się generał China. – Nie zrobię jednak nic w tej sprawie, chyba że... – zawahał się na chwilę.

– Chyba że co? – zapytał wściekłym głosem Sean.

– Chyba że uzyskam zapewnienie co do pańskiej współpracy, i da mi pan słowo oficera, że nie będzie pan więcej podejmował prób ucieczki.

Sean spojrział na rękę Claudii. Zaczynały już puchnąć i zmieniać kolor na ciemnofioletowy. Stalowe obręcze wrzynały się w ciało, a żyły nad nimi były coraz bardziej obrzmiałe.

– Gangrena to bardzo poważny przypadek, a nasze możliwości amputacji kończyn są raczej prymitywne – zauważył obojętnie China.

– Dobrze – powiedział ciężkim głosem Sean. – Daję panu słowo.

– I pańska współpraca – nalegał China.

– I obiecuję współpracę – zgodził się Sean.

Generał China wydał rozkaz, Sierżant odpięła kajdanki i poluźniła je o dwa oczka. Niemal natychmiast opuchlizna zaczęła ustępować, a kolor skóry szybko wrócił do mocnej opalenizny, gdy do rąk napłynęła krew.

– Zabierzcie ją! – polecił China po angielsku i sierżant skinęła na pomocnicę. Obie schwyły Claudię pod ramiona, po czym zaczęły ją wlec w stronę drzwi.

– Poczekajcie! – zawołał Sean, ale kobiety go zignorowały. Kiedy próbował podążyć za nimi, shangański sierżant schwytał go od tyłu za ramiona pętając je mocnym uściskiem.

– Sean! – krzyknęła Claudia z nutą hysterii w głosie. – Nie pozwól im mnie zabrać! – Strażniczki wypchnęły ją już jednak za drzwi i oddzieliła ich zasłona.

– Sean! – Dobiegł go jej spanikowany głos.

– Kocham cię! – zawołał do niej, wrywając się z objęć sierżanta. – Wszystko będzie w porządku, kochanie. Pamiętaj, że cię kocham. Zrobię wszystko, żeby nas z tego wyciągnąć.

Obietnica nie wydawała się zbyt przekonująca nawet dla niego, a głos Claudii przypominał krzyk rozpacz.

– Sean! – Po chwili dobiegł go bardziej stłumiony krzyk. – Sean! – Za zasłoną zapadła cisza.

Sean dyszał ciężko z emocji, ale zmusił się do uspokojenia i przestał się wrywać. Sierżant rozluźnił uchwyt. Sean go odepchnął i odwrócił się do Chiny.

– Ty draniu! – powiedział. – Ty pieprzony draniu!

– Widzę, że nie jest pan w nastroju do rozmowy – powiedział China i spojrział na zegarek. – Jest już po północy. Myślę, że powinien pan ochłonać. – Spojrział na sierżanta i przeszedł na shangański. – Zabierzcie ich – wskazał na Seana i Joba. – Dajcie im jeść, suche ubranie, koce i niech idą spać. Mają się stawić u mnie o świcie. – Sierżant zasalutował i popchnął ich w stronę wyjścia.

– Mają wykonać dla mnie pewne zadanie – ostrzegł go China. – Uważaj, żeby nic im się



nie stało.

Sean i Job spali obok siebie na klepisku lepianki. Z boku siedział strażnik. Ziemia, na której spali, była twarda i wilgotna, a materace pełne pluskw. Mimo niewygody, łaskotania robaków na skórze i myśli o Claudii, Sean zasnął kamiennym snem.

Sierżant obudził go, zanim jeszcze wstało słońce, rzucając mu na posłanie stertę ubrania.

– Ubierajcie się – polecił.

Sean usiadł i podrapał się w miejscu, gdzie ukąsiła go pluskwa.

– Jak się nazywasz? – Poczul ulgę, że może swobodnie rozmawiać po shangańsku.

– Alphonso Henriques Mabasa – odparł z dumą żołnierz. Sean uśmiechnął się słysząc tę dziwną kombinację. Sierżant miał imię po portugalskim cesarzu i shangańskie nazwisko oznaczającego kogoś, kto uderza pałą.

– Pałka wojenna na wrogów i krótsza pała na twoje żony? – zapytał. Alphonso ryknął śmiechem.

Job usiadł i skrzywił się na ciężki dowcip Seana.

– O piątej rano i to przed śniadaniem! – zaprotestował. Potrząsnął ze smutkiem głową, ale Sean usłyszał, jak Alphonso powtarza dowcip stojącym przed lepianką strażnikom.

– U Shangańczyków możesz bez trudu uzyskać opinię kawalarza – zauważył Job sortując stertę ubrania przyniesioną im przez Alphonsa. Wszystko było używane, ale czyste. Sean znalazł wojskową czapkę i mundur w barwach ochronnych. Zrzucił z siebie szybko kurtkę i szorty, które były już w strzępach. Zostawił sobie tylko wygodne mokasyny ze skóry.

Na śniadanie dostali gulasz z małych suszonych rybek, których rybacy używają jako przynęty, i owsiankę z kukurydzy.

– A herbata? – zapytał Sean, na co Alphonso się roześmiał.

– Myślisz, że to hotel Polana w Maputo?

Słońce właśnie wstawało, kiedy Alphonso odeskortował ich nad brzeg, gdzie generał China i jego sztab oceniali zniszczenia dokonane przez hindy.

– Dwudziestu sześciu ludzi zostało wczoraj zabitych i rannych – China przywitał Seana. – Drugie tyle zdezerterowało w nocy. Morale mojego wojska szybko się obniża. – Mówił po angielsku i było jasne, że nikt ze sztabu go nie rozumie. Mimo wczorajszego ataku China był elegancko ubrany i wyglądał kompetentnie w brązowym berecie i świeżo odprasowanym mundurze. Na piersi miał baretki, a na epoletach generalskie gwiazdki. Z kabury wystawała rękojeść pistoletu, wykonana z kości słoniowej. Oczy ukrył za lustrzanymi okularami przeciwsłonecznymi w złotych oprawkach.

– Jeśli nie uda nam się powstrzymać tych nalotów, to za trzy miesiące będzie po nas, zanim ocali nas pora deszczowa.

Pora deszczowa to czas, kiedy partyzantów chroni wysoka trawa, rozmiękczone drogi i rozlane rzeki uniemożliwiające skuteczny pościg.

– Obserwowałem wczoraj hindy w akcji – powiedział ostrożnie Sean. – Kapitan Job

pożyczył sobie jedno z waszych działek bezodrzutowych RPG-7 i zaliczył trafienie rakietą AP.

China spojrział z zainteresowaniem na Joba.

– Nieźle – pochwalił go. – Żadnemu z moich ludzi nie udało się to jeszcze. Co się stało?

– Nic – odparł Job.

– Wyszedł z tego bez najmniejszego szwanku – potwierdził Sean.

– Cała maszyna jest osłonięta tytanowym pancerzem. – China skinął głową, a potem spojrział nerwowo na niebo, jakby oczekiwał, że w każdej chwili pojawią się na nim garbate potwory. – Nasi przyjaciele z południa zaoferowali nam jeden z nowych systemów wyrzutni rakiet Darter, ale są pewne trudności ze sprowadzeniem dużych wozów po tych drogach przez terytorium kontrolowane przez Frelimo. – Potrząsnął niechętnie głową. – Potrzebujemy broni dostosowanej dla piechoty, którą mogliby używać i nosić ze sobą partyzanci.

– Z tego co wiem, to jest tylko jedna skuteczna broń tego typu. Amerykanie rozwinęli specjalną technikę w Afganistanie. Zaadaptowali rakiety Stinger i zmienili je tak, że potrafią przebić się przez pancerz. Nie znam jednak żadnych szczegółów – dodał w pośpiechu Sean. Wiedział, że nie jest rozsądne pozowanie na eksperta, ale problem go intrygował i dał się ponieść emocjom.

– Ma pan zupełną rację, pułkowniku. Zmodyfikowane stingery są jedyną bronią skuteczną przeciwko hindom. To jest właśnie pańskie zadanie i cena pańskiej wolności. Chcę, żeby zdobył pan dla mnie partię stingerów.

Sean zatrzymał się nad brzegiem rzeki i spojrział na niego ze zdumieniem. Na jego twarzy zaczął pojawiać się uśmiech.

– Jasne – powiedział. – Nie ma sprawy. Czy ma pan jakieś specjalne życzenia co do koloru i zapachu? Może niebieski i zapach kiwi?

Po raz pierwszy tego ranka China uśmiechnął się do niego.

– Stingery już tu są, trzeba je tylko zabrać. Z twarzy Seana zaczął znikać uśmiech.

– Mam nadzieję, że to żart. Wiem, że Savimbi dostali stingery od jankesów, ale Angola leży na drugim końcu kontynentu.

– Te stingery są znacznie bliżej – zapewnił go China. – Czy pamięta pan starą rodezyjską bazę wojskową Grand Reef?

– Powinienem. – Sean skinął głową. – Skauci działali w tej bazie przez ponad rok.

– Oczywiście, pamiętam. – China dotknął zniekształconego ucha pod beretem. – Właśnie stamtąd podjęliście atak na mój obóz w Inhlozane. – Wyraz jego twarzy stał się nagle nieprzejrzysty.

– To było w innej wojnie – przypomniał mu Sean. Rysy twarzy Chiny rozluźniły się.

– Jak już mówiłem, stingery są w Grand Reef.

– Nic nie rozumiem. – Sean potrząsnął głową. – Jankesi nigdy nie daliby stingerów Mugabemu. Jest marksistą, a Stany Zjednoczone nie kochają zbytnio Zimbabwe. To nie ma

sensu.

– Właśnie, że ma – zapewnił go China. – Na typowo afrykański sposób ma to doskonały sens. – Spojrzał na zegarek. – Czas na herbatę. Zdaje się, że prosił pan o nią rano. Bez względu na to, po której stronie walczymy, wojna uzależniła nas wszystkich od herbaty.

China zaprowadził ich do bunkra dowódczego i ordynans przyniósł czajnik z naparem.

– Amerykanie nie lubią Mugabego, ale jeszcze bardziej nie lubią Południowoafrykańczyków – wyjaśnił China. – Mugabe daje schronienie i zapewnia pomoc partyzantom ANC przekraczającym granicę z Afryką Południową.

Sean skinął poważnie głową. Widział zdjęcia przedstawiające masakrę spowodowaną przez minę podłożoną w południowoafrykańskim supermarkecie. Miało to miejsce w ostatni piątek miesiąca, w dniu wypłaty, kiedy sklep był zatłoczony kobietami z dziećmi, zarówno białymi jak i czarnymi.

– Południowoafrykańczycy postanowili ścigać partyzantów do ich baz. Pokazali już, że traktują poważnie tę groźbę, urządzając pościgi przez granice ze wszystkimi sąsiadami. ANC ogłosiło, że zamierza zwiększyć liczbę zamachów na cele cywilne. Mugabe dobrze wie, jakie będą tego konsekwencje, i chce mieć broń, która pozwoliłaby mu bronić się przed południowoafrykańskimi helikopterami bojowymi Puma, które przekroczą granicę w pościgu za ANC.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że jankesi zaopatrzyliby go w stingery – powiedział Sean.

– Nie bezpośrednio – przyznał China. – Brytyjczycy ćwiczą armię Mugabego i byli pośrednikami. Dostali stingery od Amerykanów i w bazie Grand Reef uczą Trzecią Brygadę posługiwać się nimi.

– Skąd, do cholery, wie pan o tym wszystkim?

– Musi pan pamiętać, że byłem ministrem w rządzie Mugabego. Nadal mam dobrych przyjaciół na wysokich stanowiskach. Sean zastanowił się nad tym.

– Ma pan rację – zgodził się. – To wszystko jest typowo afrykańskie. Więc stingery są w Grand Reef.

– Zostały dostarczone przez herculesa Królewskich Sił Lotniczych dwa tygodnie temu. Mają zostać rozmieszczone wzdłuż granicy z RPA na początku przyszłego miesiąca. Pułkownik Courtney, ta broń zostanie wymierzona w pańskich rodaków.

Sean poczuł patriotyczne oburzenie, ale nie dał tego po sobie poznać.

– Trening jest prowadzony przez kapitana i dwóch podoficerów Artylerii Królewskiej, więc rozumie pan już, czemu potrzebuję w moich planach białej twarzy.

– To zaczyna brzmieć złowieszczo – mruknął Sean. – Niech pan mi powie, czego pan dokładnie ode mnie chce.

– Chcę, żeby pan wrócił do Zimbabwe i przyniósł mi te stingery. Sean nie pokazał po sobie żadnych emocji, gdy spytał:

– A w zamian?

– Kiedy dostanę rakiety, zdejmę kajdanki z rąk miss Monterro i przeniosę ją do kwatery, w której będzie mógł ją pan odwiedzać – zamilkł na chwilę i pozwolił sobie na domyślny uśmiech – i spędzać z nią wieczory i noce.

– A co z naszym uwolnieniem?

– Oczywiście – powiedział China. – Wszyscy troje zostaniecie wypuszczeni na wolność, gdy wyświadczy mi pan jeszcze jedną przysługę. Najpierw jednak stingery.

– Co to za przysługa?

China podniósł do góry obie ręce.

– Wszystko w swoim czasie, pułkowniku Courteney. Przede wszystkim rakiety. Kiedy je dostanę, porozmawiamy na temat drugiej części naszej umowy.

Sean zmarszczył brwi patrząc na kubek z herbatą i starając się wynaleźć jakiś korzystny punkt do pertraktacji, ale China przerwał te rozmyślenia.

– Pułkowniku, każda zmarnowana minuta tylko przedłuża – szukał odpowiedniego słowa – niewygodę panny Monterro. Dopóki nie dostanę tych rakiet, będzie nosiła dzień i noc kajdanki, także w czasie snu, jedzenia i wykonywania innych podstawowych czynności. Proponuję, żeby pan jak najszybciej zabrał się do opracowywania planu.

Sean wstał i podszedł do ściennej mapy wiszącej za biurkiem generała Chiny. W zasadzie nie musiał na nią patrzeć; mógł zamknąć oczy i zobaczyć każdą dolinę, wzgórze, każde pofałdowanie terenu wzdłuż granicy pomiędzy Mozambikiem a Zimbabwe. Linia kolejowa przekraczała granicę nieopodal miasteczka Umtali, a dwadzieścia kilometrów dalej po stronie Zimbabwe widniał czerwony znaczek przedstawiający lotnisko i bazę wojskową Grand Reef.

Sean dotknął stylizowanego znaczka palcem. Job podszedł do niego. Patrzyli na mapę w zamyśleniu. Ile razy wyruszali z bazy na akcję, wsiadając do hałaśliwych samolotów transportowych Dakota i uginając się pod ciężarem spadochronów, plecaków i broni. Mogli bez kłopotu wyobrazić sobie pozycję każdego budynku, hangaru, baraku czy umocnień.

– Dwadzieścia kilometrów do granicy – powiedział cicho Job. – Jakies piętnaście minut samochodem, ale nie damy rady przejść tędy na piechotę.

– Generale China, mówił pan o planie. Co pan miał na myśli? Czy może nam pan załatwić jakieś ciężarówki? – zapytał Sean nie oglądając się za siebie.

– Nie tak dawno moi ludzie zdobyli trzy półciężarówki Unimog w oryginalnych kolorach armii zimbabwejskiej wraz z prawdziwymi papierami. Trzymamy je w ukryciu – odpowiedział China i Sean westchnął z ulgą.

– Mój plan polega na tym, że przekroczycie granicę przebrani za zimbabwejskich żołnierzy.

– Założę się, że przez posterunek graniczny przejeżdża bardzo dużo samochodów wojskowych.

– Zgadza się – potwierdził China.

– Będziemy potrzebowali oryginalnych mundurów dla wszystkich ludzi biorących udział

w tej akcji i jakiś mundur dla mnie. – Sean postukał palcem w mapę. – Musimy dostać się do bazy bez jednego wystrzału.

– Mam dla pana mundur brytyjskiego oficera polowego – powiedział China. – Jest autentyczny i dostanie pan do niego dokumenty.

– Jak pan, u diabła, zdołał to zdobyć?

– Trzy miesiące temu zaatakowaliśmy kolumnę wojsk zimbabwejskich w pobliżu Vila de Manica. Brytyjski oficer, który był z nimi jako obserwator, został przypadkowo trafiony. Według dokumentów był to major z jednego z regimentów gwardii, przydzielony wysokiemu komisarzowi wojskowemu w Harare jako attache wojskowy. Mundur został oczyszczony z krwi, a rozdarcia spowodowane odłamkami granatu zręcznie pozszywane. Krawiec, który zajął się jego naprawą, szył ubranie dla mnie. – China wygładził połę munduru, wyglądając na wyjątkowo usatysfakcjonowanego swoim strojem. – Krawiec ten dopasuje mundur na pana, pułkownika. Major brytyjski był mniej więcej pana wzrostu, ale znacznie szerszy w pasie i plecach.

– Regiment gwardii. – Sean uśmiechnął się. – Mam wątpliwości co do mojego akcentu; każdy Anglik rozpozna we mnie południowo-afrykańczyka, jak tylko otworzę usta.

– Będzie je pan musiał otworzyć tylko do stojących przy bramie strażników z Trzeciej Brygady. Zapewniam pana, że nie mają aż tak dobrego wyczucia.

– Dobra – powiedział Sean. – Powiedzmy, że uda nam się dostać do środka, ale jak się stamtąd, do cholery, wydostaniemy? – Cały problem intrygował go i Sean czuł, że zaczyna się świetnie bawić.

– Nie tak szybko, Sean. – Job studiował mapę. – Nie możemy stanąć przy bramie i zażądać, żeby nas wpuścili, nie podając jakiegoś hasła. Jeśli w bazie są stingery, to ochrona będzie zaostrzona do maksimum.

– Zgadza się – potwierdził China. – Mam jednak dla was jeszcze jedną dobrą wiadomość. Mam tam swojego człowieka. To mój kuzyn. Nasza rodzina jest całkiem liczna – powiedział nie bez dumy. – Jest oficerem w służbie łączności, zastępcą dowódcy centrum komunikacyjnego bazy. Będzie mógł sfalszować zezwolenie najwyższego dowództwa Zimbabwe na inspekcję programu stinger przez wojskowego attache. Tak więc strażę przy bramie będą już oczekiwać. Nie będą też zbyt dokładnie sprawdzać waszych dokumentów.

– Jeśli ma pan swojego człowieka w bazie, to powinien wiedzieć, gdzie dokładnie znajdują się stingery – zasugerował Job.

– Jasne. – China skinął głową. – Są w hangarze numer trzy. To drugi od lewej.

– Wiemy, gdzie jest ten hangar – zapewnił go Sean i zmarszczył brwi starając się przewidzieć inne problemy, na jakie mogli się natknąć. – Chciałbym się dowiedzieć, jak są opakowane rakiety, ich rozmiary i ciężar. – China robił pośpieszne notatki w zeszycie. – Muszą też do nich być podręczniki instruktażowe. Na pewno będą się znajdować w kwaterze

kapitana Artylerii Królewskiej. Chcę wiedzieć, gdzie to jest. – Wyliczał każdy punkt na palcach, a Job wnosił własne sugestie.

– Będziemy potrzebowali czegoś do odwrócenia uwagi – zasugerował. – Powinniśmy mieć jakiś drugi oddział, który zaatakowałby bazę z dala od hangaru i placu ćwiczeń. To musi być głośne; dużo pocisków smugowych, rakiet RPG i granatów z białym fosforem.

Zaczynała się zabawa jak za starych; dobrych czasów, kiedy pracowali razem, stymulując się nawzajem. Podniecenie, które udawało się im ukryć pod maską profesjonalizmu, wyraźnie błyszczało im w oczach.

– Cieszę się, że to z Trzecią Brygadą będziemy mieli do czynienia – zauważył mimochodem Job. – To ta banda morderców zakonnic i gwałcicieli dzieci zniszczyła Matabeleland. – Spustoszenia i okrucieństwa, jakie towarzyszyły napadowi brygady na terytoria, na których działali matabelscy polityczni dysydenci, nadal były świeże w ich pamięci. – Dwóch moich braci, mój dziadek... – Job zniżył głos do nienawistnego szeptu. – Żołnierze z Trzeciej Brygady wrzucili ich ciała do starej kopalni Antelope.

– To nie jest osobista zemsta – ostrzegł go Sean. – Job, chcemy dostać tylko te stingery. – Plemienne waśnie w Afryce były równie zaciekle jak vendetta na Korsyce. Job otrząsnął się, żeby pozbyć się złych wspomnień.

– Masz rację, ale kilka skalpów Trzeciej Brygady będzie przy okazji miłym upominkiem.

Sean wyszczerzył zęby w uśmiechu. Mimo własnej przestrogi myśl o uderzeniu na ZANLA sprawiała mu przyjemność nie mniejszą niż przyjacielowi. Ilu dobrych ludzi, kobiet i przyjaciół stracił przez nich w ciągu jedenastu długich lat wojny. Zastanowił się, jak skomplikowane były więzy lojalności i nienawiści tworzące społeczeństwo afrykańskie. Jedynie Afrykańczyk mógł je kiedykolwiek zrozumieć.

– W porządku. – Sean wrócił do rzeczywistości. – Jesteśmy w środku. Mamy stingery, powiedzmy dwa załadowane do pełna unimogi. Znalazłem podręczniki i jesteśmy gotowi do drogi. Udało nam się odwrócić ich uwagę i ściągnąć większość strażników na południową stronę bazy, po drugiej stronie lotniska. Teraz musimy się wydostać. Obawiam się, że nie zechcą nas tak łatwo wypuścić.

– Zaatakujemy bramę – zaproponował Job. – Powiedzmy, pierwszą ciężarówką rozbijemy barykadę.

– Dobrze. – Sean skinął głową. – A co potem? Nie uda nam się opuścić kraju przez punkt graniczny w Umtali. Cała armia zimbabwejska i Frelimo rzucą się za nami w pościg.

Obaj obrócili się do mapy. Sean wyciągnął rękę i powiódł palcem wzdłuż drogi, która rozgałęziała się na północy, zanim dotarła do Umtali, i biegła równolegle do granicy, przecinając wzgórzyste okolice na wschodzie w kierunku Narodowego Parku Inyanga, obszaru wysokich gór zakrytych przez mgły i gęsto zalesionych dolin. Sean zatrzymał palec na jednej z dolin, która wyglądała na mapie jak zielony klin wbity pomiędzy pasmo gór.

– Dolina Honde – odczytał napis. Droga przecinała początek doliny, która biegła dalej do

granicy i płaskowyzę mozambijskich. Było to naturalne wejście na wyżej położone tereny, brama, której partyzanci ZANLA używali do przedzierania się z obozów treningowych w Mozambiku do Zimbabwe. Nie była to łatwa droga, ale Sean i Job poznali wszystkie jej tajemnice, ukryte ścieżki, fałszywe korytarze i tajemne przejścia.

– Droga do misji St Mary – powiedział Sean i obaj spojrzeli na oznaczony na mapie punkt. – Tylko dotąd możemy dojechać ciężarówkami.

– Dalej mamy jedynie sześć kilometrów do granicy – mruknął Job.

– Sześć cholernie ciężkich kilometrów – poprawił go Sean. – I wcale nie będziemy bezpieczni, jak przekroczymy granicę. Będą nas ścigali, dopóki nie dotrzemy na obszar kontrolowany przez Renamo.

Sean obrócił się do generała Chiny.

– Chcę mieć tragarzy czekających na nas w misji St Mary. Jaki obszar dokładnie pan kontroluje?

– Tragarze nie przedstawiają żadnego problemu. – China stanął pomiędzy nimi i wskazał na punkt, który nazywał się Mavonela. – Mogę zarządzić, żeby w tej wiosce czekały na was ciężarówki. Jeśli dotrzecie do Mavoneli, uznam, że wypełnił pan swoje zadanie, pułkowniku.

– Proponuję, żeby nie przenosić wszystkich czterdziestu stingerów jedną kolumną tragarzy – wtrącił się Job. – Będą stanowili zbyt dobry cel dla MIG-ów Mugabego. Jeden ładunek napalmu i po ptakach.

– W dodatku Frelimo może także ściągnąć hindy – dodał Sean. – Masz rację, Job. Jak tylko będzie dostatecznie jasno, żeby mogli nas zaatakować z powietrza, rozpryskujemy się. – Sean miał na myśli starą taktykę partyzantów polegającą na rozdzieleniu oddziału. W ten sposób napastnik miał przed sobą wiele trudnych do wykrycia celów zamiast jednej łatwej do zniszczenia kolumny. – Czy może pan zaaranżować kilka PS zamiast jednego w Mavoneli? – Sean użył terminu Skautów oznaczającego punkt spotkania.

– Tak – zgodził się China. – Rozstawimy transport wzdłuż drogi do Mavoneli. – China przejechał palcem wzdłuż odcinka drogi. – Powiedzmy co kilometr jedna ciężarówka schowana pod siatką kamuflującą. Na ostatnim etapie stingery przewieziemy pod osłoną ciemności.

– W porządku, ustalmy harmonogram – zaproponował Sean. – Spiszmy to wszystko na papierze. Potrzebuję czegoś do pisania.

China otworzył biurko i wyjął z szuflady tani notatnik i długopis. Podczas gdy Sean i Job rozpisywali plan, China posłał po kwatermistrza. Był to niewysoki, pyzaty mężczyzna, który kiedyś prowadził zakład krawiecki dla mężczyzn w Beirze, zanim trudności ekonomiczne, raczej niż skłonności ideologiczne, zmusiły go do opuszczenia miasta i poszukania pracy wśród partyzantów Chiny.

Krawiec przyniósł mundur oficera polowego Gwardzistów Irlandzkich. Okazało się, że do munduru należy czapka, insygnia, pas z kaburą i buty. Nie przerywając tworzenia planu,

Sean wdział na siebie mundur pozwalając krawcowi wziąć miarę. Marynarkę i spodnie trzeba było zwięzić, a buty były o numer za duże.

– Lepiej, że są za duże niż za małe – zdecydował Sean. – Włożę dwie pary skarpet.

Krawiec spiął fałdy na marynarce szpilkami, przykucnął przed Seanem i zaznaczył miejsce, gdzie należało skrócić nogawki o dwa centymetry.

– Świetnie. – Sean przeglądał dokumenty majora, które China położył na biurku. Zdjęcie przedstawiało tłustego blondyna w wieku lat czterdziestu kilku.

– Gavin Duffy – Sean przeczytał na głos nazwisko. – Będzie pan musiał dorobić nowe zdjęcie.

– Zajmie się tym mój oficer od propagandy – powiedział China.

Oficer od propagandy był Mulatem, na wpół Portugalczykiem i na wpół Shangańczykiem. Przyniósł ze sobą aparat fotograficzny Polaroid. Zrobił Seanowi cztery zdjęcia paszportowe i jedno z nich wkleił zręcznie na miejsce fotografii nieżyjącego majora.

– Dobrze. – Sean obrócił się do Chiny. – Teraz chcę zobaczyć ludzi, którzy wezmą udział w misji. Chcę sprawdzić ich rynsztunek. Będzie pan im musiał wytłumaczyć, że od chwili rozpoczęcia akcji przyjmują rozkazy tylko ode mnie.

China uśmiechnął się i wstał zza biurka.

– Proszę za mną, pułkowniku. Sam pana zaprowadzę do pańskiego oddziału.

Wyprowadził ich z bunkra, ale kiedy wyszli na ścieżkę prowadzącą przez las do rzeki, Sean zrównał z nim i kontynuował omawianie planu.

– Będę potrzebował więcej ludzi niż dziesięciu żołnierzy z oddziału sierżanta Alphonsa. Co najmniej jeszcze jeden oddział będzie niezbędny do przeprowadzenia dywersyjnego ataku na bazę. – Sean przerwał, gdy nad obozem rozległy się jęklive dźwięki syreny oznajmiającej nalot. W jednej chwili znaleźli się w samym środku zamieszania i biegnących na swoje posterunki partyzantów.

– Hindy! – wrzasnął China. – Kryć się! – Puścił się pędem ku znajdującej się przy najbliższej kępie drzew ścianie z worków z piachem. Na stanowisku zostało umieszczone sprzężone działko przeciwlotnicze 12,7 mm. Sean pomyślał, że świetnie się nadaje na cel dla nadlatujących helikopterów i rozejrzał się za inną kryjówką.

W wysokiej trawie po drugiej stronie ścieżki wypatrzył nie rzucający się w oczy lej po pocisku i pobiegł w tę stronę. Kiedy wpadł do otworu w ziemi, dobiegł go przeraźliwy ryk zbliżających się hindów i szybko narastający odgłos strzałów z broni maszynowej. Job wskoczył do jamy i przykucnął obok Seana, a po chwili w otworze pojawiła się figurka jakiegoś małego i zwinnego człowieczka, który wpakował się pomiędzy nich.

W pierwszej chwili Sean nie zorientował się, kim jest ten człowiek. Rozpoznał go dopiero po szerokim uśmiechu, który pomarszczył czarną twarz. Mężczyzna przywitał go szczęśliwym głosem.

– Widzę cię, Bwana.



– To ty! Ty mały, głupi gnojku! – Sean patrzył na niego z niedowierzaniem. – Posłałem cię do Chiwewe. Co tu robisz, do jasnej cholery?

– Byłem w Chiwewe, jak kazałeś – zapewnił go Matatu. – Następnie wróciłem, żeby się tobą zaopiekować.

Sean patrzył z podziwem na przyjaciela, zastanawiając się nad jego słowami. Pokręcił z niedowierzaniem głową i uśmiechnął się. W odpowiedzi Matatu obdarzył go swoim najwdzięczniejszym uśmiechem, który podzielił mu twarz na dwie połowy.

– Nikt cię nie widział? – zapytał Sean w swahili. – Przekradłeś się przez linie wojska do dowództwa armii i nikt cię nie widział?

– Nikt nie widzi Matatu, jeśli Matatu nie chce, żeby go zobaczono.

Ziemia trzęsła się pod nimi, a wycie rakiet i terkot karabinów maszynowych zmuszały ich do przysunięcia się do siebie i wykrzykiwania słów na cały głos.

– Jak długo tu jesteś?

– Od wczoraj. – Matatu wyglądał na skruszonego. Wskazał na niebo, gdzie krążyły hindy. – Byłem tu, kiedy zaatakowały te maszyny. Patrzyłem, jak wskoczyliście do rzeki. Podążyłem za wami wzdłuż brzegu, kiedy płynęliście na drzewie jak na łodzi, i chciałem do was dołączyć, ale zobaczyłem krokodyla. Później w nocy shifta, źli ludzie, przyплыnęli łodzią i zabrali was z powrotem. Cały czas podążyłem za wami i czekałem.

– Widziałeś może, gdzie zabrali panienkę? – zapytał niecierpliwie Sean.

– Widziałem, jak wyprowadzali ją w nocy. – Widać było, że Claudia mało obchodzi Matatu. – Czekałem jednak na ciebie.

– Czy możesz się dowiedzieć, dokąd ją zabrali? – dopytywał się Sean.

– Oczywiście. – Uśmiech znikł z twarzy Matatu i pojawił się wyraz lekkiego oburzenia. – Mogę podążyć za nimi wszędzie, gdzie ją zaprowadzili.

Sean rozpiął kieszeń marynarki i wyjął z niej notatnik. Oparty o ścianę leża, z pociskami rozrywającymi się mu nad głową, skomponował pierwszy list miłosny od wielu lat. Wypełniwszy całą stronę zapewnieniami miłości, pocieszeniami i dowcipami, jakie potrafił wymyślić w tej sytuacji, zakończył list: „Bądź silna, to już nie potrwa długo. Pamiętaj zawsze, że cię kocham. Cokolwiek się stanie, kocham cię”.

Wyrwał kartkę z notatnika i złożył ją równo.

– Zanieś jej to. – Podał list Matatu. – Upewnij się, że będzie mogła go przeczytać i wracać do mnie.

Matatu schował kawałek papieru za opaskę biodrową i czekał cierpliwie.

– Widziałeś tę lepiankę, w której spałem zeszłej nocy? – zapytał Sean.

– Widziałem, jak z niej wychodziłeś dziś rano – odparł Matatu.

– Spotkamy się w tym miejscu – powiedział Sean. – Przyjdź do mnie, gdy shifta będą spali. – Sean spojrzał na niebo. Nalot był silny, ale nie trwał długo. Odgłos silników i strzałów ucichał. Nad ich schronieniem unosiły się dymy i kłęby kurzu.

– Idź już! – rozkazał. Matatu poderwał się na równe nogi, żeby spełnić polecenie, ale Sean złapał go jeszcze za ramię. Było chude niczym ręka dziecka. Uścisnął je czule. – Nie daj się złapać, stary przyjacielu – poprosił w swahili.

Matatu potrząsnął głową, roześmiał się z absurdu pomysłu i zniknął niczym dym z lampy dzina.

Czekali jeszcze kilka minut, dając czas Matatu na oddalenie się na bezpieczną odległość. Następnie wydrapali się ze schronienia. Drzewa wokół nich były posiekane i poniszczone przez pociski i rakiety; po drugiej stronie rzeki palił się skład amunicji rozrywany wybuchającymi rakietami RPG i granatami fosforowymi, które wyrzucały gęste chmury dymu w niebo.

Generał China szedł energicznym krokiem ścieżką w ich kierunku. Na ramieniu miał czarną plamę od sadzy i ślady ziemi na kolanach i łokciach. Twarz ścinał mu wściekły grymas.

– Nasza pozycja jest całkowicie odsłonięta – wyrzucił z siebie z gniewem. – Mogą nas napadać do woli, a my nie mamy jak się przed nimi bronić.

– No więc musi pan wycofać swoje siły poza zasięg hindów. – Sean wzruszył ramionami.

– Nie mogę tego zrobić. – China potrząsnął przecząco głową. – To by znaczyło, że nie możemy już kontrolować linii kolejowej. Znaczyłoby to także, że oddajemy główne drogi Frelimo i tym samym ułatwiamy im podjęcie ofensywy.

– No cóż – Sean znowu wzruszył ramionami – jeśli chce pan tu zostać, to musi pan zgodzić się na lanie.

– Niech mi pan dostarczy stingery – syknął China. – Niech pan je zdobędzie, i to szybko!  
– China ruszył przed siebie leśną drogą.

Sean i Job podążyli za nim do kompleksu bunkrów nad brzegiem rzeki. Na małym placu apelowym wielkości kortu tenisowego czekała już na nich kompania partyzantów, czterdziestu ludzi wyznaczonych przez generała. Wyglądali jakby nalot nie zrobił na nich najmniejszego wrażenia. Nie zwracali uwagi na zniszczenia, dym, biegających w pośpiechu sanitariuszy i krzątających się wszędzie ludzi oceniających straty.

Sean rozpoznał sierżanta Alphonsa i jego Shanganów stojących w pierwszym rzędzie. Alphonso wystąpił z szeregu, zaszalutował Chinie, obrócił się na pięcie i wydał żołnierzom rozkaz, żeby spoczęli. Generał China nie lubił najwidoczniej marnować czasu. Zwrócił się do nich podniesionym głosem w języku shangańskim.

– Otrzymaliście specjalne zadanie. W przyszłości będziecie słuchali rozkazów tego białego oficera. – Wskazał na stojącego za nim Seana. – Będziecie ściśle wypełniali te rozkazy. Wszyscy znacie konsekwencje czekające was za nieposłuszeństwo. – Odwrócił się do Seana. – Proszę kontynuować, pułkowniku – powiedział i ruszył w stronę bunkra dowódczego. Sean nieomal zaszalutował mu instynktownie. Udało mu się pohamować.

– Cholera z tobą, China – mruknął pod nosem i skoncentrował się na swoich ludziach.

Znał już dobrze oddział Alphonsa, pozostali partyzanci, wybrani przez Chinę, wydawali się równie dobrzy. Generał dał mu swoich najlepszych ludzi. Sean szedł wolno wzdłuż pierwszego szeregu, oglądając uważnie każdego z nich. Wszyscy byli uzbrojeni w karabinki AKM, nowocześniejszą wersję wysłużonych AK-47. W niektórych miejscach farba zniszczyła się z metalu od permanentnego używania broni, ale każdy karabin aż lśnił od czyszczenia i był w dobrym stanie. Pasy także wyglądały nieźle, a mundury, mimo że wysłużone, porządnie pocerowano i wyczyszczono.

„Zawsze należy oceniać rzemieślnika po stanie jego narzędzi”, pomyślał Sean. To byli wyszkoleni żołnierze, dumni i odważni. Sean spoglądał każdemu z nich w oczy i dostrzegał w nich właśnie te cechy. Ze wszystkich plemion afrykańskich Sean najchętniej pracował z ludźmi z plemion pochodzących od Zulusów: Angoni, Matabele i Shangane. Gdyby sam mógł decydować, wybrałby bezwzględnie właśnie tych ludzi.

Kiedy skończył inspekcję, stanął przed nimi i zwrócił się do nich po shangańsku.

– Wy i ja rozwalimy jaja żrącym gównem Frelimo – powiedział cicho. Stojący w pierwszym rzędzie Alphonso wyszczerzył radośnie zęby niczym wilk.

Dwie strażniczki i eskorta składająca się z pięciu żołnierzy prowadzili Claudię Monterro z rękami skutymi na plecach w ciemnościach, po wyboistej ścieżce. Dziewczyna często się potykała. Kiedy wywróciła się na ziemię, nie mogła amortyzować upadku rękami. Po kilku wywrotkach na kamienistą dróżkę miała zdartą skórę i pokrwawione kolana, a nocna wędrówka stała się koszmarem i torturą.

Wydawało się, że marsz nigdy się nie skończy. Mijała godzina za godziną. Za każdym razem, kiedy się wyłożyła na ziemi, sierżant wyzywała ją w języku, którego Claudia nie rozumiała. Nie mogąc się posłużyć rękami, miała też coraz większe kłopoty ze wstaniem.

Była tak spragniona, że w ustach ślina zmieniała się w jakąś lepkaż, bolały ją nogi, a ręce miała całe zdrętwiałe od trzymania w niewygodnej pozycji. Czasami słyszała jakieś głosy w ciemnościach. Raz czy dwa poczuła zapach dymu i dojrzała blask ogniska lub latarni. Przynajmniej wiedziała, że jest nadal na terytorium Renamo.

Nagle marsz dobiegł końca. Claudia domyśliła się, że nadal są nad rzeką, czuła wilgoć w powietrzu i dostrzegała wysokie nadbrzeżne drzewa na tle rozgwieżdżonego nieba. Wokół siebie czuła zapach ludzi: stęchły zapach popiołów z ognisk i spalonego drzewa, ludzki pot i zapach brudnej bielizny przemieszany ze smrodem odpadków. Strażnicy wprowadzili ją przez bramę w ogrodzeniu z drutu kolczastego na teren więzienia i zawiedli do rzędu schronów.

Strażniczki wzięły ją pod ręce, sprowadziły po kilku stopniach w dół i pchnęły tak mocno w otaczające ich ciemności, że Claudia ponownie wyłożyła się jak długa na ziemi. Usłyszała za sobą odgłos zamykanych i ryglowanych drzwi. Otoczyła ją nieprzenikniona ciemność.

Po krótkim wysiłku udało jej się podnieść z ziemi, ale kiedy spróbowała się wyprostować,

wyrżnęła głową w niski sufit. Wyglądało, że jest zrobiony z nie okorowanych pni drzew. Claudia przesunęła się ostrożnie do tyłu z wyciągniętymi jak najdalej za siebie rękami i natrafiła na drzwi. Zbite z prostych desek, były szorstkie i najeżone drzazgami. Dziewczyna zaparła się o nie plecami z całą siłą, ale nie poruszyły się nawet o milimetr.

Schylona nisko, żeby chronić głowę, okrążyła swoje więzienie. Wykręconymi rękami wyczuwała wszędzie wilgotną ziemię. Komórka okazała się bardzo mała, miała nie więcej niż dwa metry kwadratowe. W rogu ziemianki natrafiła na jedyny mebel. Był to jakiś metalowy przedmiot, który Claudia obmacała stopą i przekonała się, że jest to zwykłe wiadro. Ostry smród wydobywający się z jego wnętrza nie pozostawiał wątpliwości co do jego przeznaczenia. Zakończyła obchód i wróciła do drzwi.

Dreńczę ją pragnienie stawało się torturą nie do zniesienia i Claudia zawołała:

– Proszę, potrzebuję wody. – Z gardła wydobył się chropawy skrzek, usta były wyschnięte i czuła, że pękają jej wargi. – Wody! – zawołała i nagle przypomniała sobie, jak po hiszpańsku nazywa się woda. – Aqua! – Miała nadzieję, że brzmi to podobnie po portugalsku.

Wysiłki nie zdały się na nic. Ściany z ziemi zdawały się tłumić wszelkie dźwięki. Claudia przesunęła się w róg schronu i usiadła ciężko na klepisku. Dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, jak okropnie jest znużona. Niestety kajdanki uniemożliwiały jej ułożenie się na plecach czy boku. Szukała pozycji, w której nie czułaby się zbyt niewygodnie, i wreszcie wbiwszy się plecami w róg pomieszczenia zdołała zasnąć.

Obudził ją chłód i jeszcze coś, z czego nie zdawała sobie sprawy. Przez chwilę miała nadzieję, że jest w domu ojca w Anchorage i zawołała przestraszona:

– Tatusiu! Jesteś tam?

Doszedł ją stęchły smród z wiadra na nieczystości, poczuła zimno przenikające jej członki i przypomniała sobie wszystko. Ogarnęła ją taka rozpacz, że chciała się rozplakać jak dziecko. W tej chwili ponownie usłyszała głos, który ją obudził. Siedziała sparaliżowana czując, jak na czole i karku występuje pot.

Wiedziała, co to takiego. Nie miała normalnych kobiecych fobii wobec pajaków czy węzów, ale było coś, co napełniało ją wręcz nienaturalnym przerażeniem. Teraz siedziała sztywno wyprostowana i słuchała chrobotu i odgłosów poruszającego się po celi zwierzęcia. Był to odgłos żywcem wzięty z jej najmroczniejszych koszmarów nocnych i Claudia wpatrywała się w ciemność, usiłując odpędzić zwierzę siłą woli.

Nagle poczuła je na sobie. Ostre małe pazurki drapały jej skórę. Na nogach czuła zimne łapki. Był to szczur i sądząc po ciężarze musiał być wielki jak królik. Claudia zawyla z przerażenia i poderwała się na równe nogi, kopiąc na oślep ohydne zwierzę. Kiedy zabrakło jej oddechu w piersiach, opadła na ziemię, trzęsąc się cała z niepowstrzymanych spazmów.

– Uspokój się! – powiedziała sobie. – Weź się w garść! – Olbrzymim wysiłkiem woli udało się jej opanować. W ciemnościach panowała absolutna cisza; jej krzyki musiały

wypłoszyć zwierzątko, ale Claudia wciąż nie mogła się zdobyć, żeby usiąść na podłodze. Bała się okropnie, że szczur wróci.

Mimo zmęczenia przestała resztę nocy w kącie. Udało jej się nieco zdrzemnąć, ale gdy zaczynała zapadać w głębszy sen, budziła się nagle z przerażeniem. Powtarzało się to przez resztę nocy i wreszcie po kolejnej nerwowej pobudce zobaczyła, że ciemności ustępują.

Do celi przesączało się światło. Claudia zamrugała powiekami, rozglądając się za jego źródłem. Pomiedzy palami drzewa były liczne szczeliny, w większości zatkane kępami trawy i gliną, ale w dwóch czy trzech miejscach wyschnięta zaprawa wypadła zostawiając małe otwory. Ze szczelin zwisały łodygi długiej trawy.

Rozejrzała się z obawą po pomieszczeniu. Szczur zniknął; najwidoczniej przecisnął się przez jedną ze szczelin.

Podeszła do cuchnącego wiadra i dopiero gdy przy nim stanęła, uświadomiła sobie swoje położenie. Ręce miała spięte na plecach. Wraz ze świadomością jej potrzeba stała się jeszcze pilniejsza.

Palce miała niemal pozbawione czucia, ale w pośpiechu udało się jej schwycić pasek i wolno przesunąć go pomiędzy pętelkami u spodni do tyłu. Kwiląc z bólu z powodu konieczności powstrzymywania się, odpięła klamrę.

Schudła tak bardzo, że gdy tylko rozpięła pasek, spodnie opadły jej do kostek i mogła kciukiem zsunąć majteczki do kolan, Zawsze schludna Claudia doświadczała teraz okropnych męczarni, kiedy nie udało jej się dokładnie podetrzeć. Zaczęła płakać z ponizenia. Dopiero po wielu trudach udało jej się ponownie ubrać. Nadgarstki miała obtarte do krwi i bolały ją ramiona nadwreżone wysiłkiem. Przykucnęła w kącie celi, gdzie dopadł ją ostry smród z wiadra, zdając się przenikać jej całą duszę.

Przez szczelinę w suficie wpadł promień słońca i odciał się jasnym srebrnym krążkiem na ścianie. Claudia przyglądała się, jak promyk porusza się nieskończenie wolno po glinianej ścianie, i zdawało się jej, że przybył tu, by ją rozgrzać i pocieszyć. Stłumiona rozpacz zaczęła się oddalać.

Zanim promyk dotarł do drzwi, usłyszała szelest, gdy wyjęto z nich skobel, i po chwili drzwi zaskrzypiały na zardzewiałych zawiasach. Wysoka sierżant schyliła się, żeby wejść do celi, i Claudia poderwała się na równe nogi.

– Proszę – szepnęła. – Muszę się umyć – powiedziała to w miarę zrozumiałym hiszpańskim, ale strażniczka nie dała żadnego znaku, że zrozumiała. W jednej ręce trzymała metalową miskę z wodą, a w drugiej talerz z plackami kukurydzianymi. Postawiła miskę na ziemi i wysypała placki w grubą warstwę kurzu obok.

Pragnienie, które Claudii udało się na jakiś czas pokonać, wróciło teraz ze zdwojoną siłą. Omal nie zawylała z radości na widok miski. Musiało w niej być jakieś dwa litry czystej wody.

Upadła na kolana jak błagalnica i spojrzała na strażniczkę.

– Proszę – powtórzyła po hiszpańsku. – Muszę użyć rąk, proszę. – Strażniczka

zachichotała i niebezpiecznie przechyliła miskę czubkiem buta. Odrobina wody wylała się przez krawędź i pociekła na ziemię.

– Nie – stęknęła Claudia. – Nie rozlewaj jej.

Pochyliła się najgłębiej jak mogła, próbując dosięgnąć wody wysuniętym językiem. Poczowała upragnioną wilgoć na jego końcu, ale krawędź miski wcinała się jej w twarz.

Znowu podniosła wzrok na strażniczkę.

– Proszę, pomóż mi.

Sierżant roześmiała się głośno i oparła o ścianę, przyglądając z rozbawieniem wysiłkom dziewczyny.

Claudia nachyliła się nad wodą, schwyciła krawędź miski w zęby i uważnie nachyliła do siebie, tak że kilka kropel spłynęło jej po języku do gardła. Zimna woda była tak wspaniale cudowna w smaku, że Claudii nabiegły łzy do oczu. Piła wolno łyk po łyku, aż poziom wody opadł tak bardzo, że nie mogła więcej jej dosięgnąć. Miska nadal była w połowie pełna, a po kilku łykach pragnienie jedynie się zwiększyło.

Nadal trzymając miskę w zębach podniosła ostrożnie głowę do góry i odchyliła ją do tyłu. Ruch okazał się jednak zbyt gwałtowny. Zakrztusiła się, kiedy woda wypełniła jej usta, miska wysliznęła się jej z zębów, woda pociekła po koszuli i rozlała się kałużą na ziemi, szybko wsiąkając w kurz.

Strażniczka ryknęła ze śmiechu. Claudia poczuła, jak do oczu napływają jej łzy rozpacz. Z trudem udało jej się powstrzymać szloch, który ścisnął jej gardło.

Na pożegnanie sierżant złośliwie wdeptała butem placki w ziemię i roześmiawszy się jeszcze raz ostrym, przenikliwym śmiechem, podniosła pustą miskę i wyszła z celi. Claudia słyszała jej chichot za zamykanymi drzwiami.

Mogła oceniać mijanie czasu po kącie padania promieni słonecznych, które przeciskały się przez szpary w suficie. Pierwszy dzień wydawał się ciągnąć w nieskończoność. Mimo bólu, jaki sprawiały jej kajdanki, udało jej się trochę przespać, ale po obudzeniu zajęła się natychmiast rozpatrywaniem swojego położenia i zastanawianiem, jak może zwiększyć szansę przeżycia.

Największym problemem była woda. Odrobina, jaką wypła rano, mogła jej pozwolić przetrwać dzień, ale zdawała sobie sprawę, że zaczyna cierpieć na odwodnienie.

– Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby móc się napić z tej miski – powiedziała sobie i spędziła resztę popołudnia zastanawiając się nad tym problemem. Kiedy wreszcie znalazła rozwiązanie, poderwała się z ziemi z takim pośpiechem, że znowu wyrznęła głową w sufit. Nie zważając na ból obejrzała uważnie długie łodygi trawy zwisające pomiędzy belek. Wybrała jedną z nich, schwyciła ją ostrożnie wargami i wysunawszy ze szczeliny upuściła na ziemię. Następnie uklękła tyłem do niej i pochylając się silnie do tyłu, schwyciła ją palcami. Na szczęście trawa była wysuszona i z łatwością dała się złamać palcami. Claudia podzieliła całą łodyżkę na cztery mniej więcej dwudziestocentymetrowe części i każdą z nich

wbiła pionowo w ziemię. Obróciła się, uklękła przed trawą i wzięła pierwszą z nich do ust. Spróbowała dmuchnąć przez nią, ale łądyżka była mocno zapchana mokrym piaskiem. Claudia odrzuciła ją i wybrała następną.

Kiedy dmuchnęła w cienką rurkę, z drugiego końca wyleciał maleńki koreczek gliny – łądyga była pusta w środku. Claudia przetoczyła się na plecy, usiadła na środku podłogi z rurką z zębach i roześmiała się tryumfalnie. Poryw przemożnej radości zagłuszył i odsunął uczucie rozpacz, które jeszcze niedawno omal nie zniszczyło jej chęci walki.

Podczołgała się w kąt celi i ostrożnie ukryła bezcenną słomkę. Przez resztę dnia wyobrażała sobie, jak jej będzie używać.

Promienie słoneczne nie docierały już do wewnątrz i w lepiance zapanował przygnębiający wieczorny mrok, kiedy usłyszała strażniczkę otwierającą drzwi. Usiadła w kącie i patrzyła, jak schylona sierżant wchodzi do celi, wyrzuca placki kukurydziane na ziemię i stawia obok miskę z wodą.

Kobieta oparła się o framugę drzwi i spojrzała na Claudię oczekując, że spragniona i wygłodniała dziewczyna jak dzika rzuci się na jedzenie. Dziewczyna siedziała nieruchomo w kącie, starając się nie okazywać po sobie żadnych emocji, chociaż gardło jej się zaciskało na myśl o wodzie, a okrutne pragnienie pozbawiało ją rozsądku.

Kiedy nie poruszyła się przez kilka minut, sierżant powiedziała coś ostrym tonem po portugalsku i wskazała wymownie na miskę. Olbrzymim wysiłkiem woli Claudia zmusiła się, żeby nie spojrzeć na wodę. Murzynka wzruszyła ramionami i nastąpiła na placki, rozdeptując je obcasem. Parsknęła jeszcze śmiechem, ale nie był to zbyt tryumfalny odgłos, i wyszła z ziemianki, zamykając za sobą drzwi. Zostawiła jednak miskę na ziemi.

Claudia zmusiła się, żeby nie rzucić się na wodę, i odczekała, aż była całkiem pewna, że strażniczka odeszła i nie podgląda jej przez szparę. Dopiero wtedy podpełzła do kąta, w którym ukryła słomkę, i ujęła ją ostrożnie wargami. Nie podnosząc się z kolan rzuciła się do miski i nachyliła się nad nią.

Pociągnęła pierwszy łyk i czując, jak zimna woda spływa jej do przełyku, zamknęła oczy z rozkoszy. Miała wrażenie, że pije nie wodę, lecz cudowny balsam. Wstępowała w nią nowa siła, rozchodząc się żyłami po całym ciele.

Claudia wypila większą część zawartości miski, rozkładając przyjemność, aż wreszcie w celi zrobiło się zupełnie ciemno. Nie mogła się jednak zmusić do spożycia tłustej mazi wdeptanej w ziemię.

Chwytnąjąc zębami za metalową rączkę miski zaniósła ją do swojego kąca, gdzie mogła rozkoszować się małymi łykami wody przez długie godziny nocy. Czuła się niemal szczęśliwa i trochę na rauszu, jakby wypila szampana, a nie zwykłą wodę z rzeki.

– Mogę wytrzymać wszystko – szepnęła w ciemnościach. – Nie uda im się mnie złamać. Nie dam się. Nie dam.

Nastroj ten nie trwał zbyt długo. Wkrótce po zapadnięciu ciemności Claudia zrozumiała,

jak wielki błąd popełniła zostawiając jedzenie na ziemi.

Poprzedniej nocy miała do czynienia tylko z jednym szczurem, który uciekł na jej krzyk. Teraz zapach jedzenia ściągnął całe ich stado. Wciskały się jeden za drugim przez szpary i przerażonej do nieprzytomności Claudii wydało się, że cała podłoga roi się od małych zwierzątek. Zapach ich ciał, smród ohydny niczym kopyta i rogi gotowane na klej, wypełniał jej nos. Wcisnęła się głębiej w róg celi, trzęsąc się ze strachu, a szczury ocierały się ojej nogi, przebiegały po stopach piszcząc i walcząc o rozgniecione placki.

W końcu nie wytrzymała i poddała się panice. Ogarnięta histerią zaczęła wrzeszczeć na całe gardło i kopać je na oślep; jeden z gryzoni rzucił się na nią i ugryzł w kostkę. Ząbki małego zwierzaka były ostre niczym brzytwa. Claudia jęknęła i wierzgnęła dziko nogą starając się zrzucić napastnika, ale przez kilka sekund jego zakrzywione zęby były wbite głęboko w jej ciało. Jeszcze jeden zamach i szczur poleciał na przeciwległą ścianę.

Musiał uderzyć o miskę z drogocenną wodą, gdyż Claudia usłyszała odgłos metalu odbijającego się od ściany i plusk wody wylewającej się na podłogę. Podpełzła do naczynia, płacząc z rozpacz.

Stado szczurów pożywiało się przez kilka godzin, które dla Claudii były największym horrorem w jej życiu. Wreszcie nie zostało nic więcej do jedzenia, więc wyniosły się tą samą drogą, którą przyszły. Wyczerpana fizycznie i psychicznie dziewczyna opadła na kolana.

– Boże, proszę, niech to się skończy. Już nie mogę.

Przewróciła się na bok i leżała trzęsąc się na całym ciele i chlipiąc cicho. W końcu pochłonęła ją kojąca ciemność mocnego snu.

Obudziło ją ciągnięcie za włosy i dziwny zgrzyt świdrujący jej uszy. Nieprzytomna ze snu potrzebowała kilku sekund, żeby uświadomić sobie, skąd bierze się ten dziwny dźwięk. Zasnęła na boku z policzkiem wciśniętym w brudną ziemię. Leżała nieruchomo znosząc lekkie szarpnięcia za włosy i przenikliwe zgrzytanie. Po chwili ogarnęło ją przerażenie.

Siedzący przy jej głowie szczur gryzł jej włosy, ścinając je ostrymi zębami i zbierając jako materiał do wykoszczenia gniazda. Strach całkowicie sparaliżował Claudię. Nie mogła zrobić najmniejszego ruchu. Jej całe ciało skurczyło się, żołądek zacisnął niczym pięść, a palce wbiły się z całą siłą w dłonie.

Nagle lęk ustąpił. Strach przemienił się w gniew. Jednym zwinnym ruchem poderwała się z ziemi i zaczęła ścigać napastnika.

Biegała za szczurem po całej komórce, podążając za nim po odgłosach stukotu małych łapek o ziemię. Nie kopała już na oślep, ale celowała w źródło dźwięku. Dwukrotnie zwierzątko starało się wspiąć na ścianę i dwa razy Claudia posłużyła się całym ciałem, żeby zrzucić je na ziemię.

Nigdy wcześniej nie doświadczyła jeszcze gniewu, który dałby jej siłę do zabójstwa. Wszystkie zmysły miała maksymalnie wyostrzone, słuch stał się tak czuły, że potrafiła niemal zobaczyć każdy ruch swojej ofiary. Gniew nadał jej ruchom precyzji i niespotykanej siły, tak



że każde kopnięcie było wyjątkowo szybkie. Kiedy jedno z nich trafiło w ciepłe, futrzane zwierzę, pisk bólu i strachu jeszcze bardziej ją podniecił.

Udało jej się wreszcie zapędzić szczura w róg celi. Wtedy z całej siły uderzyła go nogą. Poczula, jak drobne kości łamią się pod jej butem i naskoczyła na niego jeszcze raz i ponownie, płacząc z wysiłku i depcząc zajadle, aż jego ciało stało się zupełnie miękkie i wilgotne.

Kiedy wreszcie cofnęła się i opadła na ziemię w drugim końcu ziemianki, trzęsła się, ale już nie z przerażenia.

„Nigdy jeszcze nie zabiłam”, pomyślała, zdumiona sobą i tajemniczą, dziką stroną swojej natury, której istnienia nigdy nie podejrzewała.

Czekała, czy nadejdzie znajome poczucie winy i wstrętu do siebie. Zamiast tego czuła się silna, jakby przeszła przez jakąś próbę, która uzbroiła ją w siłę do pokonania wszelkich przeciwności i trudów.

– Nie poddam się, nigdy – szepnęła. – Będę walczyła i zabijała, jeśli okaże się to konieczne. Muszę przetrwać.

Rankiem, kiedy strażniczka przysłała po miskę, Claudia spojrzała na nią śmiało i zbliżając twarz na kilka centymetrów do jej twarzy powiedziała zdecydowanym głosem:

– Wynieś to. – Wskazała na leżące u jej stóp zwłoki szczura. Kobieta zawahała się i Claudia syknęła: – Zrób to, natychmiast! – Strażniczka schyliła się. Podniosła zmasakrowane ciało za koniec ogona, rzucając Claudii spojrzenie pełne szacunku.

Niosąc w jednym ręku szczura, a w drugim pustą miskę, wysoka sierżant wyszła z celi. Kiedy wróciła po paru minutach z miską wypełnioną wodą i talerzem pełnym placków, Claudia opanowała pragnienie i zachowała postawę spokojnego autorytetu. Wskazała na wiadro.

– Trzeba to wyczyścić – powiedziała.

Kobieta odpowiedziała coś ostrym tonem po portugalsku.

– Ja to zrobię. – Claudia patrzyła prosto w oczy strażniczce, dopóki ta nie odwróciła wzroku. Wtedy dziewczyna stanęła do niej tyłem i podsunęła jej ręce z kajdankami. – Zdejmij to – rozkazała.

Strażniczka posłusznie odpięła klucz od paska.

Claudia omal nie stęknęła z ulgi, gdy kajdanki uwolniły jej ręce. Krew napłynęła do dłoni i dziewczyna przycisnęła je do piersi masując delikatnie, zagryzając jednocześnie wargi z bólu. Opuchnięte dłonie i poranione nadgarstki napelniały ją przerażeniem.

Strażniczka pchnęła ją w krzyż wydając jakiś rozkaz. Claudia podniosła wiadro za rączkę i odsunawszy kobietę na bok zaczęła wspinać się po schodach. Słońce, ciepło i czyste powietrze zdawały się jej błogosławieństwem.

Rozejrzała się po terenie ogrodzonym drutem kolczastym. Było to najwyraźniej więzienie kobiece, gdyż kilka przygnębionych kobiet siedziało na ziemi, pod rosnącym samotnie na

środku terenu drzewem hebanowym. Więźniarki miały na sobie podarte opaski biodrowe, a ich nagie górne części ciała były tak wychudzone, że przez skórę widać było żebra. Piersi, nawet u młodych kobiet, były puste i zwisały luźno na brzuchy. Claudia zastanawiała się, jakie zbrodnie popełniły te kobiety; a może samo ich istnienie było obrażą dla nieznanym prześladowców.

Jej schron stał w szeregu kilkunastu innych podobnych bunkrów. Było jasne, że zamknięte więzienia są przeznaczone dla ważniejszych lub może bardziej niebezpiecznych więźniów.

Brama była strzeżona przez parę silnych Murzynek, ubranych w mundury w barwach ochronnych i uzbrojonych w karabinki automatyczne AK. Kobiety przyglądały się ciekawie Claudii. Mogła poznać, że rozmawiają na jej temat. Za bramą płynęła szeroka rzeka Pungwe i przez krótką chwilę wyobraziła sobie, że wskakuje do wody, żeby umyć całe ciało i przeprać brudne ubranie, ale w tej samej chwili strażniczka pchnęła ją silnie w plecy w stronę latryn znajdujących się na końcu ogrodzonego terenu.

Kiedy do nich doszły, strażniczka wymownymi gestami kazała Claudii opróżnić wiadro, a sama obróciła się do jednej z wartowniczek, która podeszła do nich z karabinem przewieszonym przez ramię.

Tylna ściana wychodka stanowiła jednocześnie ogrodzenie więzienia. Nie oferowała jednak żadnej drogi ucieczki. Pale były grube jak jej uda i mocno związane linami z kory. Palisada sięgała parę metrów wyżej, niż Claudia mogłaby dosięgnąć.

Dziewczyna porzuciła myśl o ucieczce, zanim ta jeszcze się w pełni rozwinęła, i wylała zawartość wiadra do otworu. Z jego głębi wyleciał rój much, krążąc z natarciwym bzykaniem nad jej głową.

Zatykając nos z obrzydzeniem dziewczyna odwróciła się w stronę drzwi, kiedy zatrzymał ją cichy gwizd. Był to bardzo niski i ponury dźwięk, na który nigdy by nie zwróciła uwagi, gdyby go już wcześniej nie słyszała. Był to jeden z umówionych sygnałów, jakich używał Sean i tropiciele. Sean powiedział jej, że jest to odgłos wydawany przez ptaka bou-bou, i teraz Claudia zamarła na wspomnienie jego słów.

Spojrzała szybko na drzwi do latryny, ale były szczelnie zamknięte. Dobiały ją głosy strażniczki i wartowniczek, które rozmawiały na zewnątrz. Zaciśnęła wargi i z małym powodzeniem spróbowała naśladować gwizd.

W odpowiedzi usłyszała ponowne zawołanie ptaka dochodzące wyraźnie zza tylnej ściany wychodka. Rzuciła wiadro i podbiegła do niej, przytykając oko do jednej z większych szczelin. Omal nie krzyknęła, kiedy w otworze pojawiło się oko, a głos, który tak dobrze pamiętała, szepnął:

– Jambo, memsahib.

– Matatu – westchnęła.

– Mały, głupi gnojek. – Matatu przywitał ją jedynymi słowami, jakie znał po angielsku,

i Claudia musiała się pohamowywać, żeby nie wybuchnąć śmiechem radości i ulgi na tę dziwną argumentację.

– Och, Matatu, kocham cię – szepnęła i w tej samej chwili złożona kartka papieru prześliznęła się przez szparę. Gdy tylko jej palce schwyciły papier, oko zniknęło z otworu.

– Matatu – szepnęła błagalnie, ale malutkiego człowieczka już nie było. Musiała odezwać się zbyt głośno, gdyż usłyszała wołanie strażniczki i szybkie kroki przed drzwiami.

Obróciła się i szybko przykucnęła nad kloaczny otwór. Strażniczka rozejrzała się po małym pomieszczeniu i Claudia wrzasnęła na nią ze złością:

– Wynoś się, nie widzisz, że jestem zajęta. Kobieta instynktownie cofnęła głowę. Claudia zdrzała z emocji, gdy rozwinęła kartkę i poznała charakter pisma. Poraziła ją myśl, że mogą jej odebrać list, zanim zdąży go przeczytać. Złożyła go w pośpiechu i schowała do tylnej kieszeni spodni, skąd będzie mogła łatwo wy dostać, kiedy zostanie sama.

Teraz czekała z utęsknieniem, żeby jak najszybciej znaleźć się w swojej celi. Wysoka Murzynka zepchnęła ją ze schodów, ale w jej zachowaniu nie było już widać poprzedniej złośliwości.

Claudia postawiła wiadro w rogu celi i kiedy strażniczka wskazała na jej rękę, podała je posłusznie do zakucia. Dotyk metalu na poranionej skórze zdawał się jeszcze bardziej bolesny niż poprzednio. Mięśnie i ścięgna ramion same napięły się w wyrazie protestu.

Kiedy Claudia była już bezpiecznie skuta kajdankami, strażniczka zdawała się odzyskać swoje uprzednie poczucie władzy. Wyrzuciła na ziemię zawartość talerza z kukurydzianym obiadem i podniosła nogę, żeby wdeptać jedzenie w ziemię.

Claudia rzuciła się na nią niczym ranna lwica.

– Spróbuj tylko! – syknęła wściekle na Murzynkę, zbliżając twarz do jej twarzy i patrząc jej w oczy z taką siłą, że kobieta cofnęła się o krok.

– Precz stąd! – krzyknęła na nią Claudia. – Allez! Yamoose! – Strażniczka opuściła celę mrużąc coś pod nosem i zamykając za sobą z hałasem drzwi.

Claudię zdumiała własna odwaga. Oparła się o drewniane drzwi wyczerpana tą próbą sił, uświadamiając sobie, jak wielkie ryzyko podjęła – mogła przecież zostać brutalnie pobita, a nawet utracić porcję wody.

To list Seana dał jej taką siłę i odwagę przeciwstawienia się silnej strażniczce. Oparta plecami o drzwi sięgnęła do tylnej kieszeni spodni i dotknęła złożonego papieru, żeby upewnić się, czy jest na swoim miejscu. Nie chciała go jeszcze czytać. Zamierzała przedłużyć przyjemność. Podeszła do kąta i wyjęła słomkę do picia.

Kiedy napiła się wody z miski, zjadła wszystkie placki kukurydziane, podnosząc je delikatnie z ziemi zębami i otrząsając z piasku, który przyczepił się do tłustej powierzchni. Postanowiła nie zostawić ani okruszka; nie chodziło jej tylko o zaspokojenie głodu, ale wiedziała, że w najbliższych dniach będzie potrzebowała wiele sił. Pamiętała także, że jedzenie przyciąga szczury. Dopiero kiedy zjadła wszystko, oddała się przyjemności czytania

listu.

Wyjęła go z kieszeni i ostrożnie rozłożyła zdętwiałymi palcami. Następnie przykucnęła, położyła kartkę w kącie celi, gdzie padał pojedynczy promień światła, i uklękła przed kartką.

Czytała powoli, poruszając wargami, jak osoba ucząca się tej sztuki, wymawiając każde słowo, żeby je dobrze posmakować.

„Bądź silna, to już nie potrwa długo. Pamiętaj zawsze, że cię kocham. Cokolwiek się stanie, kocham cię”.

Może i walczą jak stare baby – powiedział sierżant Alphonso, przyglądając się stercie mundurów zdobytych na zimbabwejskich żołnierzach – ale przynajmniej są ubrani jak wojownicy.

Mundury były pochodzenia brytyjskiego i stanowiły część pomocy wojskowej, jakiej Londyn udzielał Mugabemu po obaleniu rządu Iana Smitha. Ubrania były najwyższej jakości. Alphonso i jego ludzie z widoczną przyjemnością zrzucili swoje tradycyjne mundury w barwach maskujących. Na widok lśniących, czarnych skórzanych butów komandoskich, które miały zastąpić ich wysłużone tenisówki, partyzantom aż pojaśniały oczy.

Kiedy wszyscy już przebrali się w nowe mundury i ustawili na placu apelowym, Sean i Job przeszli wzdłuż szeregów sprawdzając i pouczając partyzantów, jak prawidłowo nosić poszczególne części nowego wyposażenia. Za nimi szedł krawiec, zaznaczając ubiory, które trzeba było poprawić.

– Nie muszą wcale leżeć jak ulał – powiedział Sean. – Nie wybieramy się na paradę. Wystarczy, jeśli ujdą przy pobieżnym przeglądzie. Zresztą nie mamy czasu na takie zabawy.

Kiedy wszyscy partyzanci byli już wyposażeni na akcję, Sean i Job spędzili pozostałą część dnia i noc na sporządzaniu planu ataku na bazę Grand Reef. Najpierw zasiedli przy stole w pokoju łącznościowym dowództwa i przepytywali się ze wszystkich szczegółów dotyczących położenia bazy, które mogły ujść ich uwagi. Przed zapadnięciem zmierzchu byli już pewni, że stworzyli najdokładniejszy obraz całej bazy i przypomnieli sobie wszystkie szczegóły. Sean wiedział jednak z doświadczenia, że analfabeci mają zawsze kłopoty z wyobrażeniem sobie rzeczywistego obiektu na podstawie rysunków, a dyskretny sprawdzian, jaki przeprowadził wśród swoich podwładnych, wykazał, że żaden z dzielnych żołnierzy nie potrafi czytać ani pisać.

Tak więc większą część nocy spędził z Jobem na budowaniu przy świetle reflektora modelu bazy, który ustawili na ubitej ziemi placu apelowego. Job miał spore zdolności artystyczne. Wykonał wierną kopię budynków z miękkiego drzewa baobabu, a różnokolorowymi kamyczkami rzeczonymi wyłożył pas lotniska, drogi i ogrodzenie terenu.

Następnego ranka grupa uderzeniowa została oprowadzona po modelu przez kapitana Joba i sierżanta Alphonsa, a następnie partyzanci usiedli w koło. Sądząc po ożywionych

komentarzach i pytaniach, makietą okazała się sporym sukcesem.

Sean najpierw opisał atak, przesuwając pudełka zapalek przedstawiające unimogi po drózkach z kamyków, zilustrował napaść na tyły bazy, mającą za cel odwrócenie uwagi straży i wreszcie wycofanie się załadowanych rakietami ciężarówek na miejsce spotkania na drodze do Umtali. Kiedy skończył, przekazał pałeczkę sierżantowi Alphonso.

– W porządku, sierżancie, proszę to nam jeszcze raz wyjaśnić. – Siedzący w kółko partyzanci z radością poprawiali pomyłki sierżanta. Kiedy Alphonso skończył, przekazał pałeczkę starszemu kapralowi, żeby i ten powtórzył wykład. Po pięciu powtórkach wszyscy nauczyli się na pamięć poszczególnych części planu. Nawet generał China był pod wrażeniem.

– Teraz zobaczymy, czy potrafi pan wykonać ten plan tak dobrze, jak go pan objaśniał – powiedział Seanowi.

– Niech pan mi tylko dostarczy wozy – odparł Sean.

– Sierżant Alphonso znajdował się w oddziale, który zdobył ciężarówki. Wie, gdzie są ukryte. Major, którego mundur pan będzie nosić, został zabity właśnie w tej akcji.

– Jak dawno temu to było? – zapytał Sean.

– Jakies dwa miesiące temu.

– No to pięknie! – powiedział z goryczą Sean. – Oznacza to, że wozy stały przez cały ten czas w lesie. Dlaczego pan uważa, że nadal tam się znajdują albo że są na chodzie?

– Pułkowniku. – China uśmiechnął się lodowatym uśmiechem, który Sean zdołał już dobrze poznać i znienawidzić. – Ze względu na panią Monterro lepiej, żeby tam były. – Uśmiech szybko zniknął z jego twarzy. – Podczas gdy pańscy ludzie będą pobierali racje i amunicję, chciałbym zamienić z panem kilka słów. Proszę za mną, pułkowniku.

Kiedy znaleźli się w bunkrze dowódczym, China spojrzął na Seana zinnym spojrzeniem.

– Tej nocy otrzymałem drogą radiową wiadomość z bazy Grand Reef. Mój człowiek kontaktuje się ze mną jedynie w wyjątkowych sytuacjach, inaczej ryzyko jest zbyt wysokie. Tym razem jest to rzeczywiście poważna sprawa. Ćwiczenia z systemem stinger zostały zakończone. Baza otrzymała rozkaz przeniesienia rakiet w ciągu najbliższych siedemdziesięciu dwóch godzin. Dokładny czas opuszczenia bazy zależy od możliwości transportowych.

Sean gwizdnął cicho.

– Siedemdziesiąt dwie godziny – w takim razie nie damy rady.

– Pułkowniku, wszystko co mogę panu powiedzieć, to żeby lepiej dał pan radę. W przeciwnym wypadku straci pan dla mnie całą wartość i znowu zacznę myśleć o dawnych czasach. – Dotknął znacząco zniekształconego ucha. – Na szczęście nie wszystkie wiadomości są złe. Mój człowiek spotka się z panem w Umtali i przekaże panu wszystkie informacje na temat budynku, w którym przechowywane są stingery, pokoju ćwiczebnego i podręczników treningowych. Osobiście wprowadzi pana do bazy. Straże dobrze go znają.

Nie będziecie mieli żadnych kłopotów z dostaniem się do środka.

– To już coś – mruknął Sean. – Gdzie go spotkam?

– W Umtali jest nocny klub. Stardust, miejsce gdzie zbierają się wszystkie prostytutki i alfonsi. Mój człowiek będzie czekał tam na pana o ósmej każdego wieczoru. Alphonso zna ten klub i zaprowadzi pana do niego.

– Jak rozpoznam pańskiego agenta?

– Będzie miał na sobie koszulę z krótkimi rękawami i portretem bohatera komiksów, Supermana, na piersi – wyjaśnił China. Sean zamknął oczy, jakby go zabolął brzuch. – Mój agent nazywa się Cuthbert.

Sean potrząsnął głową i szepnął do siebie:

– Chyba muszę śnić. Superman i Cuthbert! – Znowu pokręcił głową, jakby chciał odsunąć od siebie pewne myśli. – A co ze spotkaniem z tragarzami w misji St Mary?

– Wszystko już ustalone – zapewnił go China. – Tragarze przekroczą granicę jutro w nocy i ukryją się w jaskiniach w górach otaczających misję. Tam będą czekali na pańskie przybycie.

Sean skinął głową i zmienił temat.

– Jeśli wyruszymy jeszcze dzisiaj, ile czasu będziemy potrzebować, żeby dotrzeć do unimogów?

– Powinniście dojść jutro w południe.

– Czy mamy coś jeszcze do omówienia? – zapytał Sean.

Kiedy China potrząsnął głową, wstał z krzesła. Zarzucił karabinek AKM na ramię i wolną ręką wziął worek, w którym znajdował się mundur zmarłego majora.

– Do zobaczenia, generale China.

– Do zobaczenia. Będę się opiekował miss Monterro. Nie musi się pan o nią martwić, pułkowniku.

Kolumna partyzantów była objuczona sprzętem. Każdy żołnierz niósł żywność i zapas wody na dwa dni, amunicję, zapasowe magazynki do karabinów RPD, granaty i rakiety do działek RPG-7. Mimo że przy takim obciążeniu nie mogli biec, idący z przodu sierżant Alphonso nadawał ostre tempo. Przed nocą minęli ostatnie linie Renamo i weszli na niechroniony obszar, na którym mogli się natknąć na oddział patrolowy Frelimo. Sean nakazał zmianę formacji. Ustawili się w pojedynczym szeregu z dziesięciometrowymi odstępami pomiędzy sobą, na przedzie szli flankierzy, a tył osłaniała straż, mająca ich przestrzec przed atakiem z zaskoczenia.

Maszerowali przez całą noc z dziesięciominutowymi przerwami na odpoczynek co dwie godziny i do świtu pokonali ponad sześćdziesiąt kilometrów. Rankiem, kiedy oddział odpoczywał na krótkim postoju, Sean przeszedł na czoło kolumny i przykucnął obok Alphonsa i Joba.

– Jak daleko do ciężarówek? – zapytał Sean.

– Pokonaliśmy spory dystans – odparł Alphonso i wskazał przed siebie. – Wozy są ukryte w tej dolinie.

Znajdowali się na stoku górzystego obszaru gęsto porośniętego drzewami. Sean teraz mógł ocenić, czemu generał China wybrał Sierra da Gorongosa na miejsce zgromadzenia swojej armii. W okolicy nie było żadnych dróg. Atakująca armia musiałaby przedzierać się przez szereg naturalnych punktów obrony i fortec.

Dolina, którą wskazał Alphonso, znajdowała się kilka kilometrów przed nimi, a dalej górzysty teren przechodził w łagodną równinę. Ciemny las przecinały szerokie, trawiaste łąki.

Alphonso wskazał na horyzont.

– Dalej ciągnie się linia kolejowa i droga prowadząca do wybrzeża... – Chciał jeszcze coś dodać, gdy Sean schwycił go za ramię i nadstawił ucha.

Minęło kilka sekund, zanim dźwięk zaczął się wyraźnie odcinać od lekkiego szumu drzew na wietrze. Po następnych kilku sekundach stał się szybko narastającym jękiem silników turbinowych i świstem śmigieł.

– Tam! – Job miał tak bystry wzrok, że potrafił wypatrzeć ledwo widoczne plamki na tle ciemnych wzgórz i lasów.

– Hindy. – Sean także je zobaczył i Alphonso ostrzegł krzykiem oddział.

– Kryć się. – Kolumna rozsypała się, zapadając pomiędzy krzaki. Wszyscy patrzyli na nadlatujące helikoptery, które wznosiły się i opadały nad wzgórzami, kierując się w rozciągniętej formacji na północ w stronę linii Renamo.

Sean śledził je przez lornetkę radzieckiej produkcji, którą pobrał z magazynu Chiny. Była to jego pierwsza okazja, żeby przyjrzeć się dokładnie maszynom. W formacji leciały cztery hindy. Sean domyślił się, że trzy takie formacje tworzą klucz dwunastu helikopterów.

– Mój Boże, ależ one są okropne – mruknął do siebie. Wydawało się wręcz niemożliwe, żeby coś tak monstrualnego i ciężkiego mogło pokonać siłę ciężenia. Silniki zostały umiejscowione na szczycie kadłuba pod samymi śmigłami i tworzyły charakterystyczny garb, od którego maszyna wzięła swój przydomek. Wloty powietrza do turbin były usytuowane nad kabiną pilota. Dół kadłuba przypominał brzuch ciężarnego słonia. Dziób był zdeformowany przez wieżyczkę z działkiem Gatling, a z krótkich skrzydeł i obłego kałduna zwisały szeregi rakiet, lufy działek i anteny radarowe.

Za wybrzuszeniami silników znajdowały się dziwne konstrukcje, które zupełnie nie pasowały do linii maszyny.

„Tłumiki wydechowe”. Sean przypomniał sobie artykuł, który przeczytał w jednym z prenumerowanych pism lotniczych. Dzwonne struktury maskowały wyziewy spalin z silników i osłaniały je przed czujnikami na podczerwień, jakich używają atakujące rakiety. Autor artykułu chwalił je za skuteczność, ale mimo że czyniły one maszynę prawie niezniszczalną, ich własny ciężar w połączeniu z wagą tytanowego pancerza znacznie

ograniczał szybkość i zasięg hindów. Sean żałował, że nie poświęcił artykułowi więcej uwagi, gdyż nie mógł sobie przypomnieć żadnych danych z przytoczonych przez autora tabel.

Hindy minęły oddział o ponad dwa kilometry i poleciały dalej na północ.

– Generał China będzie miał poranne przedstawienie – zauważył Job wstając z ziemi, żeby zebrać oddział i podjąć marsz.

Mimo że maszerowali przez całą noc, żołnierze nadal utrzymywali dobre tempo i nawet Sean był pod wrażeniem kompanii Alphonsa.

„Są niemal tak dobrzy jak Skauci”, pomyślał i uśmiechnął się do siebie. „Nikt nie może być aż tak dobry”.

Sean kilka razy zostawał z tyłu, żeby sprawdzić, czy tylne strażę dokładnie zacierają za nimi ślady. Teraz szansę na spotkanie patrolu Frelimo były już bardzo duże. Został kilkaset metrów za główną kolumną i właśnie przykłęknął na ziemi, żeby sprawdzić, czy może odczytać trop kolumny, kiedy poczuł, że nie jest sam. Ktoś go obserwował.

Rzucił się do przodu i przetoczył za zwalony pień drzewa przy ścieżce, ściągając przy tym karabin z ramienia. Leżał nieruchomo z palcem na spuście i przeczesywał wzrokiem krzaki, wśród których dostrzegł jakiś ruch.

Śledzący go człowiek był bliżej, niż podejrzewał. Z kępy wysokiej trawy za nim dobiegł go złośliwy chichot i Sean podniósł głowę, żeby syknąć ze złością na małego mężczyznę.

– Mówiłem ci, żebyś nie skradał się za mną!

Z trawy wyłoniła się głowa Matatu ozdobiona wesołym uśmiechem.

– Starzejesz się, Bwana. Mógłbym ci ukraść buty i skarpety, a ty byś nawet nie zauważył.

– A ja mógłbym ci podziurawić kulami twój czarny tyłek. Znalazłeś panienkę?

Matatu skinął głową i uśmiech zniknął mu z twarzy.

– Gdzie ona jest?

– Pół dnia marszu w górę strumienia, w obozie z wieloma innymi kobietami.

– Czy wszystko u niej w porządku?

Matatu zawahał się, niezdolny okłamać Seana i nie chcąc powiedzieć mu całej prawdy. Wreszcie westchnął i pokręcił przecząco głową.

– Trzymają ją w zamkniętej ziemiance, a na nogach i ramionach ma wiele sińców. Zmuszają ją do pracy przy wiadrach na nieczystości... – Zamilkł widząc minę Seana i zaraz dodał w pośpiechu: – Roześmiała się jednak na mój widok.

– Dałeś jej papier?

– Ndio. Schowała go w ubraniu.

– Nikt cię nie widział?

Odpowiadanie na takie pytania było poniżej godności Matatu. Sean uśmiechnął się.

– Tak, wiem, nikt nie widzi Matatu, jeśli Matatu nie chce, żeby go widziano... – Sean przerwał szybko i obaj spojrzeli w górę.

Z daleka dochodził ich słaby, dobrze mu już znany świst silników turbinowych i śmigieł.



– Hindy wracają do bazy po rozbiciu umocnień Renamo – mruknął Sean. Maszyny leciały poza zasięgiem wzroku, ukryte przez korony drzew, ale dźwięk zbliżał się szybko, kierując się na południe.

„Przy ich ograniczonym zasięgu baza nie może znajdować się daleko”, pomyślał Sean i spojrzął w zamyśleniu na Matatu.

– Matatu, czy mógłbyś się dowiedzieć, dokąd te indeki lecą? W oczach Murzyna na sekundę pojawił się cień wątpliwości, ale zaraz Matatu się uśmiechnął promieniując zachowatością.

– Matatu może podążać za wszystkim: człowiekiem, zwierzęciem czy indeki, gdziekolwiek się uda – chełpił się mały tropiciel.

– To idź! – rozkazał Sean. – Znajdź to miejsce. Będą tam ciężarówki i wielu białych ludzi. Miejsce będzie dobrze strzeżone. Nie daj się złapać.

Matatu rzucił mu urażone spojrzenie i Sean poklepał go z uczuciem po ramieniu.

– Kiedy znajdziesz to miejsce, wróć do obozu generała Chiny nad rzeką Pungwe. Spotkamy się tam.

Matatu poderwał się na równe nogi i podciągnął opaskę biodrową do góry.

– Dopóki się nie spotkamy, idź w pokoju, Bwana.

– Idź w pokoju, Matatu! – zawołał Sean za biegnącym na południe przyjacielem. Patrzył przez chwilę, aż Murzyn znikł w lesie, i sam pobiegł szybko za kolumną Alphonsa.

„Trzymając ją w zamkniętej ziemiance, a na nogach i ramionach ma wiele sińców”. Słowa Matatu odezwały się echem w jego pamięci, napędlając go gniewem i determinacją.

– Trzymaj się, kochanie. Wytrwaj tylko. Przyjdę po ciebie... wkrótce – obiecał dziewczynie i sobie.

Przekroczyli kolejną linię skalistych kopców, chowając się za wysokimi krzakami, żeby nie można było ich dostrzec. Kiedy przystanęli na zboczu, Alphonso wskazał z ukrycia na dolinę pod nimi.

– Właśnie tak przeprowadziliśmy ciężarówki – wyjaśnił.

Sean zobaczył, że wyschnięte koryto rzeki stanowi jedyną drogę, którą mogły przejechać wozy w tym nierównym terenie. I tak musiało to być wyjątkowo trudne zadanie, żeby ominąć wszystkie bariery i pokonać skalne progi, które przecinały piaszczyste dno koryta.

– Gdzie ukryliście wozy? – zapytał Sean nie zniżając lornetki. W odpowiedzi Alphonso zachichotał.

– Jeśli Frelimo są tak głupi, jak podejrzewam, to niedługo ci je pokażę.

Ustawili strażę na szczycie wzgórza, żeby mieć wczesny sygnał o zbliżającym się nieprzyjacielu, a pozostała część oddziału zeszła na dół za Alphonsem. Im niżej schodzili, tym bardziej strome stawało się zbocze, aż w końcu po obu stronach mieli nagie skały. Musieli się ześlizgiwać w dół wąską ścieżką, wydeptaną przez zwierzęta. W dolinie panował okropny upał; nie docierał tu najmniejszy powiew wiatru, a skalne ściany wchłaniały ciepło

promieni słonecznych i oddawało je powietrzu.

– Ciężarówka? – zapytał niecierpliwie Sean. Alphonso wskazał na skały po drugiej stronie koryta rzeki.

– Tam – powiedział i Sean miał już warknąć na niego ze złości, gdy uświadomił sobie, że woda i wiatr musiały przez wieki wyłobić wiele jaskiń w ścianie wąwozu.

– Jaskinie? – zapytał. Alphonso poprowadził go przez grząski piasek sięgający kostek do podnóża skały.

Wejścia do niektórych pieczar znajdowały się u stóp czerwonej skały, inne zawały się lub zostały zarzucone śmieciami przyniesionymi przez letnie powodzie. Alphonso wskazał na jedną z jaskiń i wydał rozkaz ludziom. Żołnierze odstawili broń i rzucili się do usuwania przeszkód przed otworu wejściowego.

Po godzinie wejście było już dostatecznie uprzątnięte, więc Sean wszedł schylony do grotu. W ciemnościach rozpoznał niewyraźne zarysy wozu. Poczekał chwilę, aż oczy przystosują się do półmroku, i rozpoznał inne ciężarówka zaparkowane w rzędzie.

– Jak wam się udało nimi tutaj wjechać? – spytał z zainteresowaniem.

– Na wpół pchając je, a na wpół niosąc – wyjaśnił Alphonso.

– Mam nadzieję, że będziemy mogli je teraz wyprowadzić – mruknął Sean i wskoczył na stopień przy kabinie.

Wszystko było pokryte grubą warstwą czerwonego pyłu, ale kiedy otworzył drzwi po stronie kierowcy, zobaczył z ulgą, że kluczyk nadal tkwi w stacyjce.

Przekręcił go. Żadnej reakcji. Światelka stacyjki nie zapaliły się i żadna ze wskazówek na desce rozdzielczej nawet nie drgnęła.

– Odłączyłem akumulatory – wyjaśnił Alphonso. Sean mruknął coś pod nosem.

– Dobry chłopiec. Skąd wiedziałeś, jak to zrobić?

– Przed wojną pracowałem jako kierowca autobusu w Vila de Manica – odpowiedział Alphonso. Trudno było sobie wyobrazić, że doświadczony partyzant miał kiedyś tak prozaiczne zajęcie.

– W porządku – powiedział Sean. – Pomożesz mi z tym wozem. Jest tu gdzieś pudełko z narzędziami?

Każdy z wozów miał dwie zapasowe opony, ręczną pompkę, pudło z narzędziami, plandekę i pojemny bak. Kiedy Sean podłączył akumulator w pierwszej ciężarówce, był on dostatecznie naładowany, żeby zapalić lampkę kontrolną i podnieść wskazówkę poziomu paliwa do połowy wysokości, ale nie udało się zapalić silnika.

– Znajdź korbę – polecił Sean. Korba była schowana za siedzeniem pasażera. Dwóch silnych Shanganów zakręciło nią z taką werwą, że silnik zapalił, zacharczał i zaczął normalnie pracować. Niebieskie spaliny wypełniły szybko jaskinię, więc Sean czym prędzej zdjął nogę z pedału gazu. Z dwóch opon zeszło powietrze i należało je napompować ręczną pompką. Zajęło się tym kilku partyzantów, podczas gdy reszta uprzątała ostatnie skały i pnie drzew

z wejścia. Ciężarówka miała napęd na wszystkie cztery koła, Sean zjechał zręcznie w dół zbocza, podskakując na wybojach.

Gdy ciężarówka zawisała na wysokim głazie nad brzegiem, z kołami w powietrzu, dwudziestu ludzi zepchnęło ją do koryta rzeki. Unimog wyróżnął w nasyp i Sean wyprowadził wóz na drugą stronę, zostawiając włączony silnik, żeby podładować akumulator. Następnie wrócił do jaskini, żeby jak najszybciej zająć się kolejnym wozem.

Poza rozładowanymi akumulatorami i dętkami do napompowania, ciężarówka nie została uszkodzona. Partyzanci zapalili silnik w drugim wozie i ręcznie przepchnęli go przez koryto rzeki. Minęło południe, kiedy wszystkie trzy wozy zostały ustawione w szeregu na białym nadrzecznym piachu.

– Każ ludziom się przebrać – polecił Sean. – Niech zostawią stare ubrania w grocie.

Wśród śmiechów i żartów partyzanci pościągali z siebie kamuflujące mundury Renamo i włożyli nowe ubrania armii zimbabwejskiej. W tym czasie Sean przejrzał jeszcze raz wszystkie wozy. W schowkach w kabinach znalazł dowody rejestracyjne zapakowane w plastikowe okładki.

– Mam nadzieję, że nie będziemy musieli ich nikomu okazywać – powiedział do Joba. – Pewnie są na liście skradzionych lub zniszczonych dokumentów.

Otworzył także przykrywki wlewów do baków i sprawdził ich zawartość.

– Wystarczy, żebyśmy dotarli do bazy i dojechali do misji St Mary – ocenił. – Nie mamy jednak dużego zapasu.

Sean polecił żołnierzom umyć przednie i boczne szyby, ale karoserie zostawił utyłane błotem i zakurzone. W ten sposób wozy wyglądały jakby wracały z patrolu i, co ważniejsze, brud częściowo zasłaniał oznaki wojskowe i tablice rejestracyjne.

Kiedy wszyscy żołnierze byli już przebrani w nowe mundury i pochowali stare ubrania, Sean i Job, przed wpuszczeniem na ciężarówkę, sprawdzili ekwipunek każdego z nich.

Zbliżała się piąta, gdy byli wreszcie gotowi do drogi. Job i Alphonso mieli uprawnienia do prowadzenia ciężkich pojazdów, również jeden z partyzantów o nazwisku Ferdinand da Costa twierdził, że ma niezbędne doświadczenie w obsłudze unimoga. Sean zajął miejsce obok niego i przeprowadził krótki test.

Job prowadził pierwszy wóz, Alphonso jechał w środku, a Sean ze swoim uczniem zamykali tyły. Okazało się, że Ferdinand da Costa jest niezłym kierowcą, który ma tylko lekkie kłopoty z wyczuciem pedału gazu. Sean wolał jednak przejąć kierownicę w trudniejszych miejscach.

Jechali w szeregu przez grząski piasek, podążając śladami ciężarówka prowadzonej przez Joba, wzdłuż wijącego się koryta rzeki. Po przejechaniu kilometra natrafili na pierwszą przeszkodę.

Czterdziestu ludzi musiało połączyć swoje siły, żeby przepchnąć unimogi przez skalny próg, a i tak musieli wyciąć kilka dziesięciometrowych pali, żeby podważyć wozy zatrzymane

na wyższych skałach.

Potężne silniki wyły na najwyższych obrotach w obłokach niebieskich spalin. Sean musiał podnieść głos, żeby Job go dosłyszał.

– Sami się aż prosimy o wizytę każdego oddziału Frelimo, który znajduje się w promieniu trzydziestu kilometrów. – Sprawdził godzinę na zegarku. – Mamy opóźnienie.

Starali się nadrobić stracony czas na łatwiejszych odcinkach, ale zapadający mrok znalazł ich prawie dwadzieścia kilometrów od głównej drogi, biegnącej ze wschodu na zachód i łączącej posterunek graniczny w Umtali z wybrzeżem.

Noc jeszcze bardziej utrudniała jazdę. Sean nie odważył się zapalić świateł, więc musieli jechać w ciemnościach rozświetlanych blaskiem gwiazd i księżyca w ostatniej kwadrze.

Było już dobrze po północy, kiedy nareszcie mogli opuścić koryto rzeki w miejscu, gdzie niski brzeg umożliwiał wyjechanie na drogę. Sean puścił przodem czterech partyzantów, którzy ostrzegali kierowców przed jamami mrówkojadów i innymi przeszkodami. Jechali prosto na południe i po dwóch godzinach natrafili na zarośniętą drogę, o której Alphonso wspominał Seanowi.

Sean zarządził w tym miejscu postój i rozłożywszy mapę połową na masce wozu, studiował ją z niepokojem w świetle latarki.

– Jesteśmy tu – pokazał mu Alphonso. – Ta droga biegnie do starych kopalń azbestu, które zostały opuszczone przez Portugalczyków w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim, na początku wojny z Frelimo.

– Odpoczniemy tu – zdecydował Sean. – Ściągnijcie wozy z drogi i zamaskujcie je gałęziami. Rankiem możemy spodziewać się patrolu hindów. Żadnych ognisk i nie ma palenia papierosów.

O czwartej po południu obudzili rozespanych partyzantów i zjedli pośpieszny posiłek. Sean rozkazał szybki wyjazd. Żołnierze ściągnęli gałęzie z wozów, a następnie sami wsiedli na ciężarówki. Jedynie czterech mężczyzn biegło przodem przed otwierającą konwój ciężarówką Joba, sprawdzając zarośniętą drogę w poszukiwaniu min schowanych przez Frelimo, wsuwając bagnet w każdą podejrzaną szczelinę, zanim dali znak, że droga wolna.

Słońce już zachodziło, kiedy dojechali do głównej drogi o tłuczniowej nawierzchni, która wiała się wzdłuż skraju lasu i dalej pomiędzy wysokimi kopcami. Sean zatrzymał konwój dostatecznie daleko, żeby nie można było go wypatrzeć z drogi, i wzięwszy Joba poszedł na zwiad. Pod jego nieobecność dowództwo objął Alphonso.

Ze szczytu najwyższego wzgórza obserwowali drogę, aż zrobiło się zupełnie ciemno. W tym czasie minęły ich dwa patrole jadące na wschód. Każdy z nich składał się z trzech czy czterech poobijanych i brudnych unimogów załadowanych żołnierzami i sprzętem wojskowym. Nad kabinami ciężarówek były umocowane lekkie karabiny maszynowe RPD.

Wozy jechały w stumetrowych odstępach i Sean, który obserwował je przez lornetkę, zauważył:

– Przynajmniej wyglądem nie różnimy się od nich.

– Poza swoją białą twarzą – przypomniał mu Job.

– To tylko wrodzony defekt – stwierdził Sean. – Schowam się, jak zajdzie taka potrzeba.

Zeszli ze wzgórza i pobiegli ścieżką do ukrytych w lesie wozów.

– Odtąd jedziesz sam – Sean zapowiedział Ferdinandowi. – Pamiętaj, żeby wcisnąć sprzęgło, zanim zmienisz bieg, zobaczysz, że to pomaga.

Ubrany w mundur brytyjskiego majora, Sean schował się za siedzeniem w kabinie Joba. Miejsca miał tylko tyle, żeby zmieścić swoje ciało, a i tak musiał przekreślić ramiona pod kątem do tułowia i siedzieć wyprostowany na podłodze. Nie była to wygodna pozycja. Sean wiedział, że po kilku godzinach stanie się prawdziwą męczarnią. Nie można go było jednak tu wypatrzeć i mógł się porozumiewać z Jobem.

Konwój podjechał do skrzyżowania bez świateł. Wysłani przodem zwiadowcy dali znak gwizdem, że droga jest pusta, i trzy ciężarówki pognały pędem, wjechały na twardą nawierzchnię drogi i skierowały się na zachód w stronę granicy.

Kiedy tylko znaleźli się na drodze, włączyli światła i zwolnili do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Jednocześnie zwiększyli odstęp między samochodami do stu metrów. Dla przygodnego obserwatora musieli teraz wyglądać jak zwykły patrol wojsk zimbabwejskich.

– Jak na razie wszystko w porządku! – Job zawołał do tyłu, gdzie siedział schowany Sean.

– Która godzina?

– Siedem po ósmej.

– Świetnie, dotrzemy do granicy po dziesiątej, kiedy strażę będą myślały o zejściu ze służby.

Sto kilometrów do punktu granicznego wydało się Seanowi najstraszliwszą udawką. Metalowa podłoga szoferki była porzewiała i wrzynała mu się w pośladki; każdy podskok na nierównej drodze odbijał się na jego kręgosłupie.

– Schowaj się pod brezent! Przed nami granica! – zawołał w końcu Job.

– Nie tak szybko – uspokoił go Sean. Job zwolnił i zapalił górną lampkę w szoferce. Sean narzucił na siebie brezent i schylił się za siedzeniem tak mocno, jak tylko zdołał.

Poczuł, że ciężarówka hamuje, Job wyłączył silnik i otwiera boczne drzwi.

– Życz mi szczęścia – mruknął cicho, wychodząc z kabiny.

Żaden z nich nie wiedział, czego oczekiwać. Formalności graniczne powinny być pobieżne z powodu dużej liczby żołnierzy przejeżdżających tędy do ochrony linii kolejowej. Job był odpowiednio ubrany i miał autentyczną książeczkę wojskową. Dokumenty rejestracyjne wozu także były prawdziwe. Mógł ich wydać jedynie jakiś nieprzewidziany szczegół czy nadmierna czujność straży granicznej.

Jeśli coś by poszło źle, Job miał dać znak gwizdkiem. Oddział powinien przebić się siłą

przez posterunek. Karabiny i wyrzutnie raketowe były załadowane, a za karabinkami maszynowymi RPD na szoferkach siedzieli ludzie Alphonsa.

Mijały minuty. Sean stawał się coraz bardziej nerwowy. W każdej chwili oczekiwał umówionego gwizdka i terkotu karabinów otwierających ogień.

W końcu usłyszał kroki na żwirze i dwóch rozmawiających mężczyzn zbliżających się do ciężarówki. Jednym z nich był Job. Otworzyły się obie pary drzwi szoferki. Sean skurczył się jeszcze bardziej, gdy wóz lekko się zakołysał pod ciężarem wsiadających ludzi.

– Gdzie pana podrzucić? – zapytał obojętnym głosem Job w języku shona, a nie znany Seanowi głos odparł:

– Na obrzeża miasta. Pokażę panu.

Sean obrócił głowę o centymetr i przez szczelinę pomiędzy siedzeniami dostrzegł niebieski kolor munduru celnika. Z przerażeniem uświadomił sobie, że Job podwozi oficera do Umtali.

Ciężarówka podjechała do barierki, celnik odsunął boczne okno i zawołał do żołnierzy stojących przy szlabanie:

– Wszystko w porządku! Otwierajcie!

Ruszyli do przodu. Przez okno Sean dostrzegł koniec wzniesionego szlabanu na tle nieba. Musiał sobie zakryć usta, żeby nie roześmiać się z uczucia nagłej ulgi.

Siedzących z tyłu unimoga żołnierzy także ogarnęła fala radości. Śpiewali przez całą drogę do Umtali. Job gawędził z pasażerem sprzecząc się na temat zalet nocnego klubu Stardust i cen żądanych przez dziewczęta.

– Powiedz Bodo, to barman w Starduście, że jesteś moim kumplem – celnik poradził Jobowi, gdy ten wysadził go na przedmieściach. – Zapłacisz mniej i powie ci, które dziewczyny mają syfa, a które są czyste.

Kiedy ruszyli, Sean wygramolił się zza siedzenia i z ulgą usiadł na fotelu.

– Co to za pomysł? – zapytał ze skargą w głosie. – Omal nie dostałem przez ciebie zawału.

– Znasz lepszy sposób na specjalne traktowanie na granicy – zachichotał Job – niż podwieźć szefa celników? Szkoda, że nie widziałeś, jak strażnicy nam salutowali!

– Gdzie jest ten klub?

– Niedaleko, będziemy tam przed jedenastą.

Jechali w milczeniu. Sean w myślach powtarzał rozkaz, który miał zaraz wydać. Zaczekał, aż Job wjedzie na jedną ze słabo oświetlonych ulic i zgasi silnik. W bocznym lusterku zobaczył, jak dwa unimogi hamują za nimi, gaszą silniki i światła.

– Znowu w domu – roześmiał się Job. – Nieźle.

– Znowu w domu – potwierdził Sean. – I w domu już zostaniesz. Zapadła cisza, kiedy Job obrócił głowę i spojrzał na Seana.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Job, dla ciebie to koniec drogi. Nie jedziesz ze mną do bazy, nie porywasz żadnych stingerów i niech mnie diabli, jeśli wracasz ze mną do Mozambiku.

– Wywalasz mnie? – zapytał Job.

– Właśnie, stary. Nie potrzebuję cię już.

Sean wyjął z kieszeni zwitek zimbabwejskich dolarów, części pieniędzy na wydatki, jakie dostał od Chiny, i podał je Jobowi.

– Pozbądź się tego munduru tak szybko, jak to tylko możliwe. Jeśli złapią cię w nim, to cię zastrzelą. Pojedź następnym pociągami do Harare i spotkaj się z Reemą. Ma dla ciebie jakieś cztery tysiące dolarów jako premię. To ci powinno wystarczyć do czasu, gdy odbiorę dług z majątku Riccarda Monterro. Moi prawnicy to załatwią. Będziesz miał prawo do połowy tej...

Job nie spojrzał nawet na pieniądze.

– Pamiętasz ten dzień na Wzgórzu 31? – zapytał cicho.

– Cholera, Job, nie wciskaj mi tego kitu.

– Wróciłeś po mnie – powiedział Job.

– Bo czasami jestem cholernym głupcem.

– Ja też. – Job się uśmiechnął. – Czasami jestem cholernym głupcem.

– Słuchaj, Job, to już nie jest twoje safari. Nie ma w tym nic dla ciebie. Wycofaj się. Wracaj do wioski, kup sobie kilka młodych żon za pieniądze Szefa. Siedź w słońcu i popijaj piwko.

– Fajnie, że próbowałeś, Sean. Szkoda, że nie wyszło. Idę z tobą.

– Daję ci rozkaz, żebyś się wynosił.

– Odmawiam wykonania rozkazu, więc postaw mnie przed sądem polowym.

Sean roześmiał się i pokręcił głową.

– To moja kobieta, więc mogę dla niej ryzykować życie.

– Opiekuję się tobą od prawie dwudziestu lat i nie zamierzam teraz zrezygnować – odparł Job, otwierając drzwi szoferki. – Chodźmy, znajdziemy tego Cuthberta w koszuli z Supermanem.

Sean zostawił czapkę i marynarkę na siedzeniu wiedząc, że insygnia sławnego regimentu nie pasowałyby do taniego klubu nocnego. Stardust znajdował się na końcu ulicy w starym budynku fabryki, który został przebudowany na dyskotekę z zaciemnionymi wszystkimi oknami. Muzykę usłyszeli z odległości stu kroków hipnotyczne rytmy nowej fali afrykańskiego jazzu.

Wokół wejścia kłębiły się kobiety. W ostrym świetle wysokich lamp ich sukienki przypominały skrzydła motyli. Większość była uczesana w stylu afro lub nosiła poprzeplatane warkoczyki Rastofarian; ostro wymalowane twarze błyszczały od różu i czerwonej szminki, a pomalowane na zielono powieki świeciły się w ciemności niczym oczy iguany.

Młode dziewczęta oblepiły Joba i Seana ocierając się o nich niczym koty.

– Hej, wprowadź mnie do środka! – prosiły jedna przez drugą. – Człowieku, daj pięć dolców, żebym mogła wejść, to zatańczę z tobą i pójdziemy się popieprzyć. Wszystko co chcesz.

– Chodź ze mną, biały. – Dziewczynka o wąłym, dziecięcym ciele odzianym w sukienkę z taniego nylonu, o twarzy czarnej Madonny i znużonych oczach schwyciła Seana za ramię. – Weź mnie ze sobą, a dam ci coś, czego jeszcze nigdy nie miałeś. – Złożyła ręce i chciała schwycić Seana pomiędzy nogami. Sean złapał ją za nadgarstek i powstrzymał.

– Co mi takiego dasz, czego jeszcze nigdy nie miałem, kochanie? AIDS?

Przepchali się przez gąszcz szeleszczących sukienek i obłoki tanich perfum i zapłacili po pięć dolarów za wejście. Bramkarz ostemplował im nadgarstki tuszem, pieczątki służyły za bilety wejściowe. Przemknęli przez czarną zasłonę przy wejściu.

Zalała ich fala głośnej, wręcz bolesnej dla uszu muzyki, pomieszczenie omiatały stroboskopowe światła. Środek sali pulsował od wyginających się ciał ogarniętych jakimś prymitywnym orgazmem.

– Gdzie jest bar? – Sean ryknął Jobowi do ucha.

– Jestem tu pierwszy raz. – Job schwycił go za ramię i zaczęli się przepychać przez zbity tłum, fale muzyki i pulsujące światła.

Otoczające ich twarze trwały w uniesieniu niczym pochłonięte religijną namiętnością, oczy wywrócone, tak że w migającym ultrafioletowym świetle łykały białka, na wzniesionych rękach lśnił pot i spływał strużkami po policzkach.

Udało im się dotrzeć do baru.

– Nie zamawiaj tylko whisky! – krzyknął Job. – I każ im otworzyć piwo przed sobą.

Pili piwo prosto z puszek, przyciśnięci do kontuaru morzem tańczących.

W tłumie widać było kilka białych twarzy, sami mężczyźni, w większości turyści lub doradcy wojskowi. Większość gości klubu stanowili czarni żołnierze w mundurach i Sean z Jobem wtopili się w ich grupy.

– Gdzie jesteś Cuthbert w swojej koszuli Supermana? – Sean odepchnął jedną z bardziej natarczywych kurew barowych i rozejrzał się nad głowami tańczących. – Nigdy go tu nie znajdziemy.

– Spytaj barmana – zasugerował Job.

– Dobry pomysł. – Sean schwycił przechodzącego barmana za koszulę, żeby zwrócić na siebie uwagę, wsadził mu banknot pięciodolarowy do kieszeni koszuli i wykrzyczał pytanie.

Barman uśmiechnął się do niego i odkrzyknął:

– Poczekaj! Znajdę go.

Dziesięć minut później zobaczyli, jak Cuthbert przepycha się przez tłum w ich stronę. Był to szczupły mężczyzna, który nosił koszulę co najmniej o dwa numery na niego za dużą.

– Hej, Cuthbert, nikt ci nie mówił, że wyglądasz jak Sammy Davis Junior? – przywitał go Sean.



– Człowieku, cały czas mi to mówią. – Cuthbert wyglądał na zadowolonego, Sean najwidoczniej podbechtiał jego próżność.

– Masz pozdrowienia od wujka. Możemy gdzieś pogadać? – zapytał Sean, gdy wymienili uściski.

– Najlepsze miejsce to tutaj – odparł Cuthbert. – Nikt nie usłyszy, o czym mówimy. Jezu, weź dla mnie piwo, bo nie mogę nawijać o suchym pysku.

Cuthbert wypił pół puszki jednym haustem i zapytał zadyszany głosem:

– Mielicie być tutaj wczoraj w nocy? Co się z wami stało, człowieku?

– Mieliliśmy opóźnienie.

– Powinniście być tu wczoraj w nocy. Wczoraj wszystko by poszło jak po maśle. Dzisiaj, człowieku, no cóż, dzisiaj wszystko się zmieniło.

– Co się zmieniło? – zapytał Sean, czując jak serce podchodzi mu do gardła.

– Wszystko – odparł Cuthbert. – O piątej przyleciał hercules, żeby zabrać zabawki.

– Odleciał już? – zapytał z niepokojem Sean.

– Nie wiem. Nadal tam był, jak opuszczałem bazę o ósmej. Stoi przed hangarem numer trzy. Może tam jeszcze jest, a może już go nie ma. Nie mam pojęcia.

– Dzięki – mruknął Sean. – Niezła pomoc.

– To jeszcze nie wszystko, człowieku – Cuthbert chyba lubił przynosić złe nowiny.

– No to nadawaj, człowieku.

Cuthbert skończył piwo jednym haustem i podniósł pustą puszkę. Sean zamówił mu następne i czekał, aż Cuthbert je dostanie, żeby zacząć mówić.

– W herculesie przyleciały dwa oddziały komandosów z Piątej Brygady. Ci z Piątej to zimne dranie – powiedział z przyjemnością Cuthbert. – To niezłe typki.

– Cuthbert, za dużo oglądasz „Policjantów z Miami” w telewizji – stwierdził Sean, ale w myślach bardzo się zmartwił. Piąta Brygada była elitarną jednostką w armii zimbabwejskiej, wykształconą przez północnokoreańskich instruktorów na zdolnych morderców. Dwa komanda po stu ludzi w każdym i w dodatku cały garnizon bazy, prawie tysiąc doświadczonych żołnierzy.

– Twój wujek mówił, że nas wprowadzisz do bazy. Masz nas przeprowadzić przez bramę.

– Nie ma mowy, człowieku! – wybuchnął Cuthbert. – Nie z tymi zimnymi draniem z Piątej Brygady w środku.

– Cuthbert, twój wujek będzie niezłe wkurzony. On sam potrafi być zimnym draniem, człowieku, ten wujek China. – Sean naśladował żargon Cuthberta.

Cuthbert wyglądał na wystraszonego.

– Człowieku, załatwiłem wam przepustki – wyjaśnił w pośpiechu. – Nie będziecie mieli żadnych kłopotów z wejściem. Straże was oczekują. Do niczego nie jestem wam potrzebny, naprawdę. Nie ma potrzeby, żebym się odsłaniał. Kapujesz?

– Masz te przepustki ze sobą?

– Jasne. Także hasło. Nie będziecie mieć żadnych kłopotów.

– Chodźmy. – Sean wziął Joba za ramię i zaczęli się przedzierać w stronę wyjścia. – Hercules może odlecieć w każdej chwili.

Cuthbert podążył za nimi uliczką do miejsca, gdzie zaparkowali unimogi.

– Tu macie przepustkę. – Wręczył Seanowi obłożoną w plastik kartę z czerwonym napisem „Bezwzględne pierwszeństwo”.

– Hasło brzmi „pięćdziesiąty siódmy”, a wasza odpowiedź „Samora Machel”. Następnie pokazujecie przepustkę i wpisujecie się do książki. Proste jak drut, człowieku. Jesteście w środku bez problemu.

– Powiem twojemu wujkowi, że nie mogłeś nas odprowadzić.

– Hej, mógłbyś mi odpuścić. Nie ma potrzeby, żebym się wsypał. Bardziej się przydam wujkowi, gdy będę mógł jeszcze nieco pokapować, niż gdy odstrzelą mi tyłek.

– Cuthbert, ty się marnujesz w komunikacji, powinieneś występować w telewizji. – Sean uściśnął mu rękę i patrzył za nim, jak biegiem wraca na dyskotekę.

Z tyłu każdej ciężarówki stały grupki kobiet, żartując z żołnierzami, którzy wychylali się na zewnątrz. Jedna z dziewczyn wdrapywała się już na górę z minispódniczką podwinętą wysoko na szczupłych nogach, podtrzymywana chętnymi rękami partyzantów.

– Sierzancie, wywalcie stąd wszystkie kurwy! – Job rozkazał Alphonsowi. Kobiety odsunęły się pośpiesznie od wozów, a ze środka wyskoczyły trzy dziewczyny, których ubrania wydawały się bardzo niekompletne.

Sean i Job wsiedli do szoferki pierwszego unimoga. Kiedy konwój ruszył, Sean pozapinał mundur i założył na głowę beret, przekrzywiając go łobuzersko nad uchem.

– Co robimy? – zapytał Job.

– Hangar numer trzy dobrze widać z głównej drogi. Przejedziemy się autostradą. Jeśli hercules tam jeszcze stoi, to wchodzimy. Jeśli nie, no cóż, wracamy, skąd przyszliśmy.

– A co z Piątą Brygadą?

– To tylko banda byłych dupków – zawyrokował Sean. – Nie martwiłeś się nimi wcześniej.

– Tylko pytam, żeby nam się czas nie dłużył. – Job posłał mu uśmiech. – Nie powiesz Alphonsowi o nich?

– Czego nie wie, tym się nie musi przejmować – odparł Sean. – Zajmij się prowadzeniem.

Trzy ciężarówki jechały spokojnie przez śpiące miasto Umtali. Ulice były opustoszałe, ale Job stosował się do wszystkich znaków i zatrzymywał na każdym świetle. Wreszcie wyjechali na autostradę.

– Dwanaście po jedenastej – Sean sprawdził czas. W świetle reflektorów odczytał napis na znaku drogowym: – Baza Wojskowa Grand Reef, piętnaście kilometrów.

Poczuł znajomy ucisk w żołądku, przyspieszony puls i zaczerpnął kilka głębszych oddechów. Zawsze tak się czuł przed akcją.

– Jest – powiedział cicho Job, wjeżdżając na wzniesienie.

Lotnisko było dokładnie oświetlone; latarnie jarzyły się pomarańczowym światłem, a niebieskie i zielone przerywane linie znaczyły pasy startowe.

Nawet z odległości trzech kilometrów w białym świetle reflektorów hercules wydawał się olbrzymi. Dwunastometrowy ogon wystawał nad dach trzeciego hangaru.

Sean natychmiast zorientował się, że jest to jeden z przerobionych przez Marshalla dla RAF-u samolotów transportowych Lockheed Hercules C MK3.

Na potężnym srebrnym kadłubie i tylnym stateczniku znajdowały się okrągłe znaki RAF-u.

– Zatrzymaj się – rozkazał Sean. Job włączył migacz i zjechał na pobocze. Wyłączył światła, a pozostałe unimogi poszły za jego przykładem.

W zapadłej ciszy Sean powiedział:

– Więc hercules jeszcze nie odleciał. Wkraczamy do akcji.

– No to jazda – odparł Job.

Sean wyskoczył z szoferki i podszedł do drugiej ciężarówki, z której właśnie wysiadał Alphonso.

– Sierzancie, wiecie, co macie robić. Daję wam czterdzieści pięć minut na to, żeby zająć pozycję. Następnie macie nam zapewnić dziesięć minut ostrzału dla odwrócenia uwagi.

– Według planu miało to być dwadzieścia minut.

– Nastąpiła zmiana – odparł Sean. – Należy się spodziewać silniejszego oporu, niż sądziliśmy na początku. Dziesięć minut i zwiewacie. Kierujcie się prosto na misję St Mary, rezygnujemy ze spotkania na przejściu w Umtali. Uderzcie ich z całej siły i wiejcie. Wszystko jasne?

– Yebho.

– Ruszajcie! – polecił Sean i Alphonso wskoczył do wozu. Przez otwarte okno zasalutował Seanowi wyszczerzając zęby w uśmiechu.

– Złamcie nogę – życzył mu Sean, kiedy unimog zjechał z nasypu i skierował się w dół zbocza w kierunku jasno oświetlonej bazy.

Sean patrzył, jak wóz zjeżdża z autostrady na drogę biegnącą wzdłuż ogrodzenia lotniska. Samochód szybko zniknął wśród drzew. Sean sprawdził czas na swoim roleksie i wrócił do Joba.

Wyciągnął się na siedzeniu pasażera, zsunął czapkę na tył głowy i obserwował przez lornetkę, wystawioną przez otwarte okno, wielki samolot transportowy.

Tyłna kłapa pod kadłubem była opuszczona na płytę lotniska i Sean mógł zajrzeć w mroczny luk bagażowy.

W środku znajdowało się cztery lub pięć osób, a na ziemi pod samolotem stały jeszcze dwie. Kiedy Sean przyglądał się ich pracy, z otwartego hangaru numer trzy wyjechał wózek widłowy. Przód wózka był obładowany czterema długimi drewnianymi skrzyniami. Skrzynki

były zbite z jasnego, nie heblowanego drewna, a na wiekach były wypisane czarną farbą litery i cyfry – zbyt małe, żeby Sean mógł je odczytać z tej odległości. Zresztą nie musiał; wielkość skrzynek i ich kształt nie pozostawiały żadnych wątpliwości co do ich zawartości.

– Ładują stingery – powiedział Sean i Job wyprostował się na fotelu.

Wózek podjechał do herculesa od strony ogona, wspiął się po rampie i zniknął w brzuchu olbrzyma. Po kilku minutach pojawił się w wejściu, zjechał na dół i wrócił do hangaru. Sean spojrzął na zegarek, minęło zaledwie pięć minut od czasu, gdy Alphonso udał się na swoje stanowisko.

– Szybciej – mruknął Sean pod nosem, jakby chciał przyśpieszyć wskazówki zegarka.

Dwukrotnie załadowany wózek zniknął w luku bagażowym samolotu i wracał pusty.

W końcu zjechał na bok i zaparkował na końcu hangaru. Kierowca ubrany w jaskrawopomarańczowy kombinezon zeskoczył z fotela i podszedł do dwóch pomocników stojących na ziemi pod ogonem.

– Ładunek zakończony – szepnął Sean i znowu sprawdził czas. – Ruszamy za siedem minut.

Job odpiął kaburę i wyciągnął pistolet Tokarew kalibru 7,62 mm. Wyjął magazynek i sprawdził jego zawartość, następnie zatrzasnął go w kolbie i schował broń do kabury.

Przez lornetkę Sean zobaczył, jak ludzie pracujący w luku bagażowym schodzą po rampie na płytę lotniska. Trzech z nich było białych, dwóch ubranych w kombinezony lotnicze, a jeden w brytyjskim mundurze. Dwóch pilotów i jeden z wojskowych instruktorów Artylerii Królewskiej, domyślił się Sean.

– Przygotuj się – powiedział i Job zapuścił silnik. – Powinniśmy wyeliminować te reflektory – zauważył Sean. – Nie możemy ładować ciężarówek przy takim oświetleniu, kiedy w bazie jest Piąta Brygada.

Patrzył na zegarek, przechylając tarczę, żeby dostrzec wskazówki w nikłym świetle lampek kontrolnych.

– Dobra, Job. Ruszamy! – powiedział i unimog ruszył z miejsca. W tylnym lusterku Sean zobaczył, że ciężarówka prowadzona przez Ferdinanda podąża za nimi.

Patrząc, jak jadą drogą biegnącą równoległe do pasa startowego, Seana oblegały najróżniejsze wspomnienia. Baza wyglądała dokładnie tak samo, gdy ją opuszczali lata temu. Nie dodano żadnych nowych hangarów czy budynków. Odszukał okna swojego gabinetu w budynku administracyjnym za wieżą kontrolną i kiedy Job skręcił z autostrady na drogę dojazdową do bramy, Sean niemal oczekiwał, że nad łukiem bramy dostrzeże insygnia Skautów Ballantyne, umieszczone pomiędzy insygniami Lekkiej Piechoty Rodezyjskiej i Afrykańskich Strzelców Rodezyjskich.

Job zatrzymał wóz przed oświetloną jaskrawo bramą i dwóch strażników podeszło do ciężarówki. Obaj żołnierze byli uzbrojeni w karabinki AK. Przyjrzeni się uważnie Seanowi i Jobowi.

Job odsunął okno i wymienił hasło z dowódcą straży, a następnie podał przepustki. Mężczyzna zabrał je ze sobą do budynku straży, żeby zrobić adnotację w dzienniku. Po chwili dwóch żołnierzy otworzyło bramę dając znać kierowcy, że może wjeżdżać.

Kiedy mijali strażę, Sean odwzajemnił salut żołnierzy i cicho zwrócił się do Joba:

– Zupełnie jak nam mówił Cuthbert, proste jak drut. Jedź w stronę budynku administracji, ale skręć, jak tylko dojedziesz do wieży kontroli lotów.

Job prowadził wolno, dostosowując się do obowiązującego na terenie bazy ograniczenia szybkości do dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę. Sean odpiął kaburę i wyjął pistolet. Wyciągnął magazynek, wycisnął dwa naboje na dłoń i wepchnął je w odwrotnym porządku. Następnie wsunął magazynek do rękojeści.

– Zawsze to robisz, dlaczego? – zapytał Job.

– Na szczęście – wyjaśnił Sean i spojrzał na Joba.

– Pomaga? – Job był zainteresowany.

– No cóż, nadal żyję, no nie? – Sean uśmiechnął się lekko. Odciągnął zabezpieczenie i wprowadził pocisk do komory, następnie zabezpieczył broń i schował ją do kabury. – Zatrzymaj się za trzecim hangarem – polecił.

Job skręcił, przejechał przez placyk oświetlony zawieszonymi wysoko lampami i zatrzymał wóz w cieniu rzucanym przez hangar. W tym miejscu nie można było dostrzec z wieży kontrolnej ani z budynku administracyjnego.

Kiedy tylko wóz stanął, Sean wyskoczył na ziemię i szybko rozejrzał się wokoło. Drugi unimog zaparkował za nimi i z obu wozów zaczęli wysypywać się uzbrojeni żołnierze w mundurach. Trzema susami Sean dopadł tylnych drzwi w pordzewiałej ścianie hangaru. Były otwarte i wsunął się do środka. Job wśliznął się zaraz za nim.

Hangar był pusty poza małym samolotem zaparkowanym w rogu. Betonowa podłoga, która miała rozmiary połowy boiska do piłki nożnej, była zaplamiona rozlanym olejem. Nad głowami wsporniki dachu wyginały się łukowato. Całe pomieszczenie było jasno oświetlone.

Kierowca wózka i trzech pomocnicy w pomarańczowych kombinezonach szli w stronę tylnych drzwi, gawędząc i paląc papierosy mimo wielkich napisów czerwoną farbą na ścianach, zabraniających palenia tytoniu. Znajdowali się pośrodku hangaru, gdy zobaczyli Seana i uzbrojonego mężczyznę wchodzących przez drzwi. Zatrzymali się zaskoczeni w miejscu.

– Zajmij się nimi – polecił Sean. Kiedy Job sprawnie zbierał mężczyzn w grupkę, Sean spojrzał w stronę, z której nadeszli.

Wzdłuż przeciwległej ściany hangaru ciągnęły się pomieszczenia biurowe ze ścianami z dykty i szklanymi okienkami. Przez oświetlone okno Sean dojrzał głowę i ramiona jednego z pilotów RAF-u. Mężczyzna stał tyłem do niego i gestykułował mówiąc do kogoś, kogo Sean nie widział.

Robotnicy leżeli już na ziemi, a nad każdym z nich stał żołnierz z lufą karabinu AKM

przyciśniętą do pleców jeńca. Wszystko zostało załatwione w absolutnej ciszy.

Z pistoletem w ręku Sean podbiegł do pomieszczenia biurowego i jednym szarpnięciem otworzył drzwi. Jeden z pilotów i kapitan Artylerii Królewskiej siedzieli wyciągnięci w pozbawionych poręczy fotelach. Ściana za nimi była upstrzona zdjęciami nagich dziewczyn, które, jak Sean się domyślił, musiały tu wisieć jeszcze od czasu wojny. Starszy pilot siedział na zawalonym papierami biurku pod oknem. Wszyscy trzej patrzyli na niego ze zdumieniem.

– To napad – powiedział spokojnie. – Nie ruszajcie się z miejsc.

Na podłodze przed kapitanem stała czarna torba ze sporymi zamkami i napisem „Royal Artillery” z boku.

Oficer położył na niej rękę i Sean natychmiast się domyślił, jaka jest jej zawartość. Mężczyzna miał dwadzieścia kilka lat, był dobrze zbudowanym niebieskookim blondynem i wyglądał na pewnego siebie. Na piersi nosił plakietkę z nazwiskiem Carlyle.

Starszy pilot – w randze porucznika, był znacznie starszy od kapitana i otyły. Jego pomocnik, inżynier pokładowy, był łysiejącym mężczyzną w trudnym do określenia wieku, a w jego oczach krył się prawdziwy strach, gdy patrzył na pistolet w ręku napastnika. Sean szybko uznał, że nie musi się ich obawiać, i skoncentrował uwagę na młodym kapitanie. Instynktownie czuł, że mężczyzna może mu przysporzyć kłopotów; miał ramiona rozbudowane jak bokser i wysunął je agresywnie do przodu, patrząc spode łba. Był jeszcze młody i naiwny. Patrząc mu w oczy, Sean przestrzegł go.

– Zapomnij o tym, Carlyle. Bohaterowie wyszli już z mody.

– Jesteś Południowoafrykańczykiem – oskarżył go ze złością Carlyle, rozpoznając akcent Seana. – Po czyjej jesteś stronie?

– Po mojej własnej – odpowiedział Sean. – Jestem swoim własnym pracodawcą. – Zniżył wzrok na czarną torbę. Carlyle przysunął ją bliżej do siebie.

– Kapitanie Carlyle, jest pan winny poważnego zaniedbania w czasie służby – powiedział zimnym tonem Sean i oficer zareagował na oskarżenie z pogardą zawodowego żołnierza.

– Co pan ma na myśli?

– Powinien pan wystawić strażę, kiedy pan ładował rakiety. Pozwolił nam pan tu wejść...

– Zgodnie z zamierzeniem udało mu się odwrócić uwagę Carlyle’a na kilkanaście sekund, jakich potrzebował Job, żeby dotrzeć tu z resztą żołnierzy.

– Wstawać – rozkazał Job i obaj piloci posłusznie podnieśli się z miejsc z podniesionymi rękami. Trzymając ich na muszce, wyprowadził obu mężczyzn z pomieszczenia.

Carlyle nadal siedział na fotelu z torbą pomiędzy nogami.

– Wstawaj! – powtórzył rozkaz Sean.

– Pierdol się, Afrykanerze.

Sean zrobił krok do przodu i złapał za ucho torby. Carlyle schwycił z drugiej strony, żeby ją zatrzymać przy sobie. Sean spuścił lufę pistoletu na jego wystawione knykcie. Skóra na

dłoni kapitana pękła i usłyszał, jak jeden z palców się łamie. Nie docenił własnej siły, nie zamierzał aż tak ukarać mężczyzny, ale zachował zimny wyraz twarzy.

– Zostałeś ostrzeżony – powiedział. – Następnym razem wpakuję ci kulę w łeb.

Carlyle przyciskał zranioną dłoń do piersi, ale jego twarz pociemniała z wściekłości. Patrzył, jak Sean stawia torbę na stole.

– Klucze! – warknął Sean.

– Każ się wypchać! – odparł Carlyle. Jego głos był napięty i chropawy z bólu. Sean spojrział na jego dłoń. Zobaczył, że złamany palec sterczy pod dziwnym kątem i zdążył już spuchnąć niczym fioletowy balon.

Job pojawił się w drzwiach pokoju.

– Wszystko zabezpieczone – powiedział i spojrział na zegarek. – Cztery minuty do dywersji.

– Daj mi nóż – poprosił Sean. Job podał mu ostry majcher.

Rozciął skórę wzdłuż metalowego szkieletu torby i otworzył zawiasy. W środku znajdowało się kilka teczek. Sean wyjął jedną z nich. Była obłożona w czerwoną plastikową okładkę z napisem „Supertajne” na wierzchu. Spojrział na stronę tytułową.

INSTRUKCJA OBSŁUGI RAKIET TYPU ZIEMIA-POWIETRZE „STINGER” MODEL G4X DLA PIECHOTY – Bingo. – Sean przekreślił teczkę tak, żeby i Job mógł przeczytać tytuł. To był poważny błąd. Przez krótką chwilę obaj mieli odwróconą uwagę, nachyleni nad biurkiem i zajęci czytaniem.

Carlyle wyleciał z fotela niczym z procy. Był młody i silny. Zraniona ręka nie osłabiła go. Przemierzył pokój kilkoma skokami, zanim którykolwiek z nich zdążył zareagować. Zanurkował głową naprzód przez okienko w ścianie. Szyba się rozprysła deszczem odłamków i Carlyle zwinął się w locie niczym akrobata.

Sean podbiegł do okna. Po drugiej stronie Carlyle poderwał się na nogi, zaczął biec przez jasno oświetloną płytę lotniska. Job odepchnął przyjaciela i stanął w wybitym oknie; podnosząc karabinek AKM wymierzył w plecy mężczyzny biegnącego sprintem w stronę wieży kontroli lotów.

Sean schwycił za karabin. Pchnął lufę w dół, zanim Job zdążył wystrzelić.

– Co ty, do cholery, wyrabiasz?! – ryknął na niego Job.

– Nie możesz go zabić!

– Dlaczego?

– Bo to Anglik – wyjaśnił. Przez chwilę Job patrzył na niego nic nie rozumiejąc. W tym czasie Carlyle przebiegł płacyk i zanurkował w drzwiach wieży.

– Anglik czy Eskimos, za dziesięć sekund będziemy mieli całą Piątą Brygadę na naszych plecach. – Job z trudem hamował swój gniew. – No i co teraz robimy?

– Ile czasu do dywersji? – zapytał Sean, żeby zyskać na czasie. Nie miał odpowiedzi na pytanie Joba.

– Wciąż cztery minuty – poinformował go Job. – Równie dobrze może to być cztery godziny.

Zaledwie wypowiedział te słowa, gdy rozległ się przenikliwy jęk syren, stawiający na nogi całą bazę. Carlyle musiał dopaść pokoju operacyjnego w wieży. Sean wystawił głowę przez okno i zobaczył strażę wybiegającą z budynku obok bramy. Ciągnęli za sobą pasy najeżone ostrymi szpikulcami, które pocięłyby na strzepy opony każdego samochodu próbującego uciec tą drogą. Sean dostrzegł także lufy ciężkich karabinów maszynowych zniżające się i osłaniające drogi dojazdowe. Droga odwrotu była zamknięta.

– Powinieneś pozwolić mi go uciszyć – powiedział ze złością Job. Jak Sean miał mu to wytłumaczyć? Carlyle był odważnym młodym człowiekiem wypełniającym swój obowiązek i mimo że związki ze starym krajem uległy już zatarciu, w żyłach Seana płynęła ta sama krew; to byłoby coś gorszego niż zwykle morderstwo, gdyby pozwolił Jobowi zastrzelić Carlyle'a. To byłoby niemal tak, jakby zastrzelił brata.

Przed hangarem rozblęły nagle potężne reflektory oświetlające ogrodzenie i pasy startowe. Cała baza tonęła w świetle tak jasnym, jak za dnia.

Jeśli komandosi z Piątej Brygady spali w swoich barakach, kiedy rozbrzmiał alarm, to ile czasu będą potrzebować na wkroczenie do akcji? Sean starał się to pobieżnie obliczyć i zaraz dał spokój, gdy uświadomił sobie z obrzydzeniem, że unika właściwego spojrzenia na własne niezdecydowanie i brak planu. Stracił kontrolę nad wypadkami i wszystko mu się rozsypało w rękach.

Za kilka minut on, Job i dwudziestu Shanganów z jego oddziału zostanie pokonanych. Kilku szczęściarzy zginie na miejscu i uniknie śledztwa prowadzonego przez centralną organizację wywiadowczą Zimbabwe.

„Myśl”, powiedział sobie desperacko czując, że Job patrzy na niego z nadzieją w oczekiwaniu na rozkazy. Jeszcze nigdy nie widział, żeby Sean nie potrafił znaleźć wyjścia z sytuacji. To bezgraniczne zaufanie było irytujące i jeszcze bardziej utrudniło podjęcie sensownej decyzji.

– Co mam powiedzieć ludziom? – nalegał Job.

– Niech... – Przerwał, gdy na południowym końcu bazy, po przeciwnej stronie hangaru rozległy się strzały. Alphonso zachował przytomność umysłu i widząc, że ich plan został odkryty, rozpoczął atak kilka minut wcześniej.

Usłyszeli świst i huk rozrywających się rakiet RPG-7, głuchy łoskot pocisków moździerzowych przelatujących nad ogrodzeniem i wybuchających na terenie bazy. Przy bramie ciężki karabin maszynowy otworzył ogień, wysyłając w ciemności zielone pociski smugowe.

– Jak się stąd wydostaniemy? – zapytał Job.

Sean patrzył na niego tępym wzrokiem. Ogarnęło go zwątpienie i niepewność. Czuł, jak oddaje się panice; nigdy nie podejrzewał, że może zrodzić się w nim takie uczucie.



– Zapomnij o tych pieprzonych stingerach, wydostań nas stąd. – Job schwycił go za rękaw i potrząsnął. – Sean, cholera, oprzytomnij! Powiedz mi, co robić!

„Zapomnij o stingerach!” Słowa te były niczym otrzeźwiający policzek. Zamrugał oczyma i potrząsnął głową. Zapomnij o stingerach i o Claudii Monterro. Jeśli nie zdobędzie rakiet, Claudia zostanie w schronie, w którym znalazł ją Matatu.

Sean wyrzwał przez okno. Przed sobą miał olbrzymi ogon i część kadłuba samolotu, reszta była schowana za rogiem hangaru. Metaliczna powłoka maszyny lśniła ostro w światłach reflektorów.

Zmusił się do zduszenia paniki, która już-już miała go obezwładnić, i poczuł, jak fala strachu ustępuje.

– Światła – powiedział i rozejrzał się szybko wokoło. Dostrzegł skrzynkę z bezpiecznikami na ścianie za drzwiami kanciapy, podbiegł do niej w dwóch susach i otworzył pokrywę.

Hangar został zbudowany w czasie drugiej wojny światowej, kiedy RAF wykorzystywał Rodezję jako jeden z ośrodków szkoleniowych.

Cała elektryka pochodziła z tamtych czasów i w skrzynce Sean znalazł ceramiczne bezpieczniki.

– Daj mi jedną kulę z AK – powiedział. Jego głos znowu miał siłę autorytetu i Job bez wahania wypełnił rozkaz. Wyjął jeden z pocisków z zapasowego magazynka.

Sean odnalazł główny bezpiecznik. Prąd musiał dochodzić z transformatora znajdującego się przy bramie. Gdyby udało mu się teraz przeciążyć obwód, to rozwaliby główny bezpiecznik w transformatorze.

Wykręcił obudowę bezpiecznika i hangar pogrążył się w ciemnościach. Wpadające przez okno światło pozwalało mu jednak widzieć, co robi. Wsadził pocisk AK do ceramicznej obudowy i krzyknął na Joba:

– Cofnij się!

Strach przeminął. Był teraz spokojny i absolutnie pewien siebie. Jego umysł był jasny i wiedział już, co ma robić.

Wepchnął obudowę do otworu. Oślepiająca niebieska eksplozja rozświetliła ciemne pomieszczenie. Sean poleciał do tyłu. Wyrznął w ścianę kanciapy, na wpół ogłuszony, a przed oczyma latały mu refleksy rozbłysku. Potrząsnął głową.

Potrzebował kilku sekund, żeby oprzytomnieć i zorientować się, że reflektory za oknem zgasły. Niebo było rozświetlane jedynie jaskrawymi smugami pocisków i silnymi wybuchami granatów oraz rakiet. Baza utonęła w ciemnościach.

– Zabierz ludzi do herculesa! – krzyknął do Joba. Widział go jako ciemną figurę na tle jaskrawych kół ognia, które wciąż wirowały mu przed oczyma.

– Co takiego? Nic nie rozumiem! – wymamrotał Job.

– Odlatujemy samolotem. – Sean schwycił go za ramię i wypchnął przez drzwi. – Rusz

tyłek. Zabierz Ferdinanda i jego ludzi na pokład.

Job pobiegł. Sean ruszył za nim niepewnym krokiem. Wzrok mu szybko wracał. Skierował się w stronę szarego prostokąta, który musiał być drzwiami do hangaru.

– Co z jeńcami?! – zawołał Job z ciemności hangaru.

– Puść ich wolno! – odkrzyknął i pobiegł do wyjścia.

Mimo że nie miał zezwolenia na pilotowanie herculesa, zetknął się już wcześniej z tego typu samolotem. Miał za sobą co najmniej 200 godzin lotu jako drugi pilot, kiedy latał w południowoafrykańskich siłach powietrznych nad Angolą i Namibią na akcje antyterrorystyczne. Teraz przypominał sobie zdobyte wtedy doświadczenie. Lubił latać tą maszyną i pamiętał słowa pierwszego pilota.

– To jagniątko. Szkoda, że moja żona nie jest tak posłuszna. W drzwiach hangaru nagle się zatrzymał.

– Matatu ma rację, starzejesz się, brachu – skarcił się i zawrócił. Wpadł do ciemnego hangaru, gdzie niemal wyrócił Joba.

– Dokąd idziesz?

– Zapomniałem torby! – krzyknął Sean. – Wsadź ich wszystkich na pokład.

Znalazł skórzaną torbę na biurku, gdzie ją zostawił, wsadził ją sobie pod ramię i szybko dołączył do Joba, który czekał przy rampie samolotu.

– Wszyscy na pokładzie – przywitał Seana. – Powinieneś pozwolić mi zabrać pilota.

– Nie mamy czasu, żeby namówić go do współpracy! – odkrzyknął Sean. – Biedak mało nie narobił w portki ze strachu.

– Chcesz sam pilotować?

– Jasne, chyba że ty chcesz spróbować.

– Słuchaj, Sean, latałeś już kiedyś taką maszyną?

– Zawsze jest czas, żeby nauczyć się czegoś nowego. – Wskazał przed siebie. – Chodź, pomożesz mi odciągnąć kliny.

Podbiegli do kół i odciągnęli spod nich metalowe kliny, następnie Sean wbiegł pierwszy po tylnej klapie i zatrzymał się przy wejściu.

– Tu jest kontrolka rampy. – Wskazał na dźwignię w ścianie. – Przesuniesz ją do górnej pozycji, kiedy włączę pierwszy silnik i zapali się to czerwone światelko. Kiedy rampa będzie podniesiona i zablokowana, zapali się zielona lampka.

Sean zostawił go i pobiegł w stronę kabiny pilota. Shangani kręcili się niepewnie w ciemnościach po całym luku.

– Ferdinand! – krzyknął Sean. – Posadź ich na ławkach i pokaż, jak się mają poprzypinać.

W ciemnościach wymacał drogę do kabiny. Znalazł drewniane skrzynie z raketami załadowane pośrodku luku pomiędzy skrzydłami. Skrzynie były poustawiane na paletach, przymocowane do ścian i poprzykrywane plandekami. Minął je i natrafił na drzwi do kabiny pilotów. Nie były zamknięte. Wszedł do środka i rzucił ciężką torbę na półkę pod metalowym

stolikiem inżyniera pokładowego. Przez okno kabiny zobaczył, że pozorowany atak na południowy koniec bazy nadal był w toku, ale teraz siła ognia z bazy przewyższała ostrzał partyzantów Alphonsa.

– Piąta Brygada się obudziła – mruknął pod nosem i wcisnął się na lewy fotel pierwszego pilota. Zapalił światła na desce rozdzielczej herculesa. Liczba lampek kontrolnych i wskaźników wydawała się przytłaczająca, ale Sean nie zwracał na nie uwagi.

Wystartowanie herculesa było jeszcze prostsze niż jego starego barona. Wcisnął klawisz i przejechał palcem po rzędzie kontrolki obwodów, żeby sprawdzić, czy wszystkie są włączone.

– Do diabła z dokładną kontrolą – zdecydował i włączył rozrusznik pierwszego silnika. Rozrusznik zajęczał. Sean przyglądał się, jak wskazówka mocy silnika przesuwa się wolno do góry.

– Szybciej! – mruknął. Kiedy obroty osiągnęły 10 procent mocy, rozrusznik automatycznie wprowadził paliwo do komory spalania i silnik zaskoczył. Sean podkręcił go do 70 procent mocy, zakładając jednocześnie słuchawki radia pokładowego na głowę.

– Job, słyszysz mnie?

– Słyszę cię wyraźnie.

– Podnoś rampę.

– Już się robi.

Sean czekał niecierpliwie, aż kontrolka rampy zapali się zielonym światełkiem. Kiedy to się stało, puścił hamulce i hercules ruszył wolno naprzód.

Sean prowadził herculesa na jednym silniku i musiał użyć przeciwnielego statecznika, żeby zniwelować siłę ciągu. Jednocześnie włączał jeden po drugim pozostałe trzy silniki, dostosowując ustawienie stateczników do zmieniającej się siły ciągu.

– Brak wiatru – mruknął. – Nie robi różnicy, w którą stronę się skierujemy.

Główny pas startowy lotniska został przedłużony, żeby sprostać wymaganiom nowoczesnych myśliwców odrzutowych, ale hercules był STOL – skrócony start i lądowanie (short take-off and landing). Potrzebował tylko części długości pasa i Sean nakierował maszynę na skrzyżowanie przed wieżą lotniczą.

Jak dotąd nikt nie zwracał uwagi na samolot. Ciężkie karabiny maszynowe przy bramie strzelały w nocne niebo. Słaba kontrola ognia była wciąż głównym problemem afrykańskich wojsk, które poza tym nie ustępowały innym armiom.

Z drugiej strony zebrani przy południowym końcu bazy żołnierze Trzeciej i Piątej Brygady pokazywali, co potrafią dobrze wyszkolone afrykańskie oddziały. Fale pocisków smugowych unosiły się w równych odstępach. Udało się im niemal całkowicie wyeliminować atak grupy Alphonsa. Poza kilkoma przypadkowymi pociskami mózdzierzowymi nie było żadnej odpowiedzi z morza ciemnych krzaków i drzew za ogrodzeniem bazy.

Minęło zaledwie kilkanaście minut, od kiedy Carlyle zaalarmował bazę, ale kontrolerzy

lotów w zaciemnionej wieży zorientowali się już, że jeden z samolotów usiłuje wystartować bez zezwolenia.

Sean rolował samolot z szaleńczą szybkością tak, że maszyna nabierała siły nośnej i podskakiwała, chcąc unieść się w powietrze. Zdawał sobie sprawę, że jeśli najedzie na kępę trawy na betonowym pasie, to może to się skończyć długim poślizgiem na nosie, ale jeśli choć trochę opóźni start, to niemal na pewno zostanie podziurawiony pociskami.

– Job – odezwał się do mikrofonu. – Włączę ci światło w luku, żebyś mógł sprawdzić, czy wszyscy są przypięci. Startujemy za czterdzieści sekund.

Zapalił światło w luku, żeby zapobiec panice wśród partyzantów, i przełączył radio na częstotliwość wieży 118,6.

Okazało się, że wzywają go niecierpliwie.

– Air Force Hercules Victor Sierra Whisky. Podaj swoje zamiary. Powtarzam. Air Force Hercules.

– Tu Air Force Hercules Victor Sierra Whisky – powtórzył Sean. – Proszę o zezwolenie na start w celu uniknięcia wrogiego ostrzału na ziemi.

– Sierra Whisky, powtórz swoją prośbę. Jakie są twoje zamiary?

– Wieża, tu Sierra Whisky. Proszę... – Sean wymamrotał kilka niewyraźnych słów pod nosem jakby miał kłopoty z radiem, zmuszając wieżę do powtórzenia zapytania. Patrzył jednocześnie na wskaźnik temperatury silników. Wskazówki wydawały się nieskończenie wolno poruszać ku zielonemu polu.

– Wieża, mam kłopoty z radiem. – Sean grał na zwłokę. – Powtórzcie zezwolenie na start.

Otworzyły się drzwi za jego plecami. Do kabiny wszedł Job.

– Wszyscy są pozapinani i gotowi do startu! – zawołał od progu.

– Siadaj w fotelu i zapnij pasy – rozkazał Sean nie odwracając głowy. Wskazówki temperatury silnika dotykały już zielonego pola. Główny pas startowy szybko się zbliżał i Sean zwolnił nieco, żeby wykonać zakręt.

– Air Force Hercules. Nie masz zezwolenia na start. Powtarzam, nie dostałeś zezwolenia na start. Przerwij rolowanie i skręć w pierwszą w lewo. Wróć natychmiast na postój. Powtarzam, wracaj na postój.

– Pocałujcie mnie – mruknął Sean, podciągając klapy dziesięć stopni do góry i odkręcając koło trymera.

– Air Force Hercules. Zatrzymaj się natychmiast albo otworzymy do ciebie ogień.

Sean włączył światła startowe i wprowadził potężną maszynę na główny pas. Samolot reagował na każdy jego gest jak malutki dwusilnikowy beechcraft.

– Moja posłuszna ślicznotka – powiedział Sean wiedząc, że podobnie jak kobieta, każdy samolot jest łasy na pochlebstwa. Przesunął do przodu manetkę sterowania silnikiem i w tym samym momencie ciężki karabin maszynowy za wieżą otworzył do nich ogień.

Na szczęście hercules rozwinął już znaczną szybkość, a strzelec nie nauczył się

prowadzić ognia przed celem. Strzelał w miejsce, gdzie samolot znajdował się przed chwilą. Musiał być zdenerwowany, gdy struga pocisków poleciała za wysoko. Pierwsza seria ładunków smugowych minęła ogon herculesa.

– Ten chłopczyk powinien wziąć kilka lekcji strzelania – zauważył spokojnie Job. Sean zawsze się zastanawiał, czy spokój, jaki przyjaciel zachowywał pod obstrzałem, jest tylko na pokaz.

Następna seria poszła niżej i przed nimi, pociski smugowe odbiły się od pasa startowego, tuż przed dziobem samolotu.

– Ale szybko się uczy – przyznał niechętnie Job.

Sean siedział pochylony do przodu przesuwając prawą ręką do góry manetkę sterowania silnikiem, lewą wyczuwając drążek sterowniczy i patrząc na wskazówkę szybkościomierza, która wolno posuwała się naprzód.

– Twój przyjaciel – powiedział Job, wskazując palcem przez boczne okno. Sean szybko się obejrzał.

Wzdłuż pasa startowego jechał pełnym pędem otwarty land rover. Przednie światła wozu zataczały szalone wzory w ciemnościach, gdy samochód podskakiwał na wybojach. Zamierzał przeciąć im drogę. Sean rozpoznał sylwetkę mężczyzny stojącego za kierownicą.

– Nie poddaje się łatwo, co? – stwierdził Sean i skoncentrował się na prowadzeniu herculesa.

Carlyle musiał złapać jeden z wozów straży. Stał teraz na otwartej platformie, trzymając się przymocowanego do wozu karabinu maszynowego RPD, a jego twarz była blada i zacięta w światłach samolotu, gdy zmuszał kierowcę do szybszej jazdy.

– Zdaje się, że wziął to sobie do serca. – Job wychylił się z siedzenia patrząc z zainteresowaniem, jak Carlyle obraca karabin maszynowy celując w kabinę herculesa.

Kierowca dodał gazu, przez chwilę land rover jechał na dwóch kołach, jakieś pięćdziesiąt metrów od samolotu i niemal równoległe do jego dziobu.

– Hej, stary – Job potrząsnął głową. – Ten facet celuje prosto w nas.

Carlyle zapał się za karabinem i Sean dostrzegł pierwsze rozbłyski w ciemności. Kule posiekały szybę z pleksiglasu, która rozkwitła kilkoma srebrnymi otworami. Obaj mężczyźni instynktownie schylili głowy.

– Ten chłopczyk strzela lepiej od poprzedniego – mruknął Job, ocierając palcem kroplę krwi z policzka w miejscu, gdzie drasnął go odłamek szkła.

Sean poczuł, jak drążek sterowniczy budzi się do życia, gdy hercules zbliżył się do szybkości lotu, a skrzydła nabrały siły nośnej.

– Szybciej, kochanie – mruknął. Carlyle wystrzelił drugą serię, lecz w tej samej chwili land rover podskoczył na wyboju i pociski poleciały w niebo. Carlyle złapałszy równowagę, podniósł karabin gotując się ponownie do strzału.

– Ten chłoptaş szybko staje się moim najmniej lubianym bohaterem komiksowym. – Job

przyglądał się, jak Anglik nakierowuje na nich broń. – W porządku, następna seria.

Ciężki karabin maszynowy od strony bramy po drugiej stronie herculesa znowu otworzył ogień. Strumień pocisków kalibru 12,7 mm prześliznął się pod brzuchem samolotu i trafił w land rovera. Kule wyrwały przednie koła. Wóz zaczął koziółkować w chmurze pyłu. Kątem oka Sean dostrzegł, jak Carlyle wylatuje w powietrze.

– Możemy pożegnać ostatniego prawdziwego bohatera – zaintonował poważnym tonem i ściągnął drążek sterowniczy do siebie. Wielki samolot zareagował posłusznie, mierząc dziobem w niebo.

Sean zgasił światła lądowania i lampy w kabinie pilota, żeby naziemni strzelcy nie mogli podążać pociskami smugowymi za wolno wznoszącym się samolotem. Wcisnął przycisk podnoszący koła i opuścił stateczniki. Nabierali szybkości. Sean położył maszynę na skrzydle wchodząc w pierwszy wspinający się do góry zakręt.

Struga pocisków podążała za nimi, wznosząc się wolno i przyśpieszając w pobliżu kadłuba, żeby minąć go w bezpiecznej odległości. Sean wyprowadził herculesa ze skrzydła i położył go na przeciwległe skrzydło oddalając się od lotniska.

– Chcesz, żebym puścił pawia? – spytał Job. Sean zignorował go, sprawdzając kontrolki silnika, czy nie wykazują jakichś uszkodzeń.

Wydawało się niemożliwe, żeby tak olbrzymi cel dostał tylko jedną serię z setek wystrzelonych do niego kul. Wszystkie kontrolki świeciły się jednak normalnie i zareagowały poprawnie, kiedy Sean nastawił szybkość wznoszenia się na sto pięćdziesiąt metrów na minutę. Jedynie przednia szyba została zniszczona i wpadający ze świstem przez dziury strumień powietrza rozwiewał Seanowi gęste włosy. Musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć szum powietrza.

– Job, idź do luku i zobacz, czy ktoś nie został ranny. Sprawdź przy okazji, jakie są uszkodzenia.

Na południu jaśniały światła Umtali, a za nimi Sean rozpoznawał ciemny zarys pasma gór. Pamiętał, że najwyższy szczyt wznosił się na wysokość 2500 metrów nad poziom morza. Wyrównał lot na wysokości trzech tysięcy metrów, zostawiając sobie spory zapas. Następnie sprawdził kierunek lotu.

Nie zastanawiał się wcześniej nad nawigacją, więc teraz miał poważne wątpliwości, czy uda mu się znaleźć linie wojsk Chiny w Sierra da Gorongosa.

– Na pewno nie są zaznaczone na żadnej mapie. – Uśmiechnął się. – Spróbujemy zero trzydzieści na kompasie. – Naprowadził herculesa na nowy kurs.

Czuł, jak adrenalina wciąż krąży w jego żyłach, a ustępujący strach zostawia po sobie silne oszołomienie, przyprawiające go o zawrót głowy. Roześmiał się głośno, choć trochę niepewnie, smakując władających nim silnych uczuć.

Ciemne szczyty gór, przypominające grzbiety wielorybów na powierzchni oceanu, prześliznęły się pod samolotem i zostały z tyłu. Sean wyszukiwał przypadkowe punkciki

światła, schowane w dolinach farmy, misje czy szałas, ale kiedy przeleciał granicę z Mozambikiem, przed nim roztaczał się jedynie nieprzenikniony mrok.

– Nic poza ciemnościami – powiedział na głos i słowa te zabrzmiały wręcz symbolicznie. Wracali na spustoszoną ziemię.

Sean zredukował moc i zaczął łagodnie zsuwać się w dół nad zalesione równiny. Przekroczyli już pasmo gór, a utrzymując dużą wysokość mógłby stać się łatwym celem dla radarów MIG-ów czy szukających ich hindów.

Job wrócił do kabiny i zamknął za sobą drzwi.

– Są jakieś zniszczenia? – zapytał Sean i w odpowiedzi Job zachichotał.

– Podłoga w luku towarowym jest po kostki w pawiach. Tym Shanganom chyba nie bardzo podoba się twój styl latania, gdyż rzygają na wszystkie strony.

– Cudownie. – Sean wsadził rękę do kieszeni z boku fotela i znalazł paczkę holenderskich papierosów, które należały do pilota RAF-u.

– Zobacz, co tu mamy. – Rzucił Jobowi jednego. Zapalili i przez kilka minut zaciągali się z przyjemnością dymem w milczeniu, zanim Job spytał:

– Jak sądzisz, ile mamy czasu, zanim MIG-i nas dopadną? Sean pokręcił głową.

– MIG-i są w Harare i nie sądzę, żeby nas dogoniły, nawet jeśli natychmiast wystartują. Nie, MIG-ami się nie martwię, ale hindy to zupełnie inna sprawa.

Znowu zapadła cisza. Patrzyli na skupiska gwiazd, które zdawały się w zasięgu ręki.

– Sean, odpowiesz mi na jedno osobiste pytanie? – Job przerwał ciszę.

– Jasne.

– Udało ci się wystartować, ale jak, do diabła, zamierzasz nas wysadzić na ziemię?

Sean wydmuchnął kółko dymu, które natychmiast rozwiało się w strumieniu powietrza wpadającego przez dziury w szybie.

– Ciekawe pytanie – zgodził się Sean. – Powiem ci, jak sam będę wiedział. Na razie pomyśl, jak znaleźć zgrupowanie Renamo, a w szczególności obóz Chiny.

Sean wyrównał lot sto pięćdziesiąt metrów nad koronami drzew i, odczytawszy ustawienie manetki sterowania silnikiem z instrukcji wyrytej na desce rozdzielczej, naprowadził herculesa na lot stały.

– Jeszcze dwie godziny, zanim będzie dostatecznie dużo światła, żeby można się zacząć rozglądać za jakimś zastępczym lądowiskiem – powiedział Jobowi. – Do tego czasu możemy zająć się szukaniem rzeki Pungwe.

Godzinę później dostrzegli blask wody na ciemnym dywanie lasu. Kilka sekund później mogli już patrzeć na odbicie gwiazd na powierzchni rzeki pod nimi.

– Wracam, żeby sprawdzić, czy dobrze trafiliśmy – powiedział Sean. Wprowadził samolot w łagodny zakręt patrząc, jak wskazówka żyrokompasu na desce rozdzielczej przed nim obraca się o 180 stopni i wraca do normalnego położenia.

– Światła lądowania – mruknął i włączył potężne reflektory. – Nawet jeśli to jest nasza

rzeka, to i tak do świtu nie będziemy wiedzieć, czy lecimy w górę czy w dół strumienia.

– No więc, co robimy?

– Pokażymy sobie nieco – wyjaśnił Sean i wprowadził herculesa w pierwszy zakręt z niezliczonych ósemek, jakie miał wykonać w ciągu następnej godziny.

Trzymali się cały czas na wysokości stu pięćdziesięciu metrów nad lasem, przekraczając rzekę w tę i we w tę w tym samym miejscu w oczekiwaniu na świt.

– Nie stanowimy zbyt trudnego celu dla hinda – zauważył Job.

– Prześnij krakać – mruknął niechętnie Sean. – Jeśli ci się nudzi, to przejrzyj torbę naszego dzielnego kapitana. Leży pod stolikiem z mapami.

Job przyniósł ciężką torbę, postawił ją obok fotela i usadowił się wygodnie.

– Możesz mi poczytać – powiedział Sean. – Znajdź coś, co by mnie rozerwało i pozwoliło zabić czas.

Job zaczął wyjmować po kolei teczki w czerwonej oprawie z napisem „Ścisłe tajne” i odczytywać spis treści z pierwszej strony.

Pierwsze trzy teczki zawierały instrukcje wyjaśniające sposoby rozmieszczenia systemu stinger SAM we wszelkich możliwych do pomyślenia sytuacjach: od ustawienia rakiet na pokładzie okrętu, do sposobu używania ich przez piechotę w najróżniejszych strefach klimatycznych. Na kolejnych stronach były zawarte tablice oraz wykresy przedstawiające efektywność rakiet w tak różnych warunkach, jak tropikalna dżungla i Arktyka.

– Wszystko, co chciałbyś wiedzieć o stingerach, a nie śmiałyś zapytać – zażartował Job, wyjmując czwartą teczkę z torby, i począł czytać na głos.

ZDALNIE STEROWANY SYSTEM RAKIET STINGER Wybór i zasady atakowania celów Raporty operacyjne Następnie otworzył podręcznik instruktażowy na stronie zawierającej spis treści.

1. Wyspy Falklandzkie 2. Zatoka Perska „Morze Hormuz”

3. Grenada 4. Angola 5. Afganistan. Job podał tytuły wszystkich paragrafów i Sean wykrzyknął:

– Afganistan! Zobacz, czy mają coś na temat hindów. Job ułożył pękata teczkę na kolanach, ustawił lampkę nad głową tak, żeby światło padało mu na czytaną stronę, i szybko przerzucił kartki.

– Jest! Afganistan – przeczytał. – „TYPY HELIKOPTERÓW”.

– Znajdź hindy! – przerwał mu niecierpliwie Sean.

TYPY RADZIECKICH HELIKOPTERÓW WOJSKOWYCH W OZNACZENIU NATO „H”

– O właśnie – znowu wtrącił się Sean. – Poszukaj hinda.

– Hare – czytał Job. – Hoplite. Hound. Hook. Hip. Haze. Havoc... mam! Hind.

– A teraz ogólne uwagi – polecił Sean i Job zaczął czytać na głos.

*Helikopter bojowy przewany przez Rosjan Sturmowicz (lub garbaty), znany w NATO pod*



*nazwą hind, a wśród powstańców afgańskich jako „Latająca Śmierć”, zyskał sobie sławę, która nie jest w pełni zasłużona.*

Sean przerwał mu podekscytowanym głosem.

– Brachu, mam nadzieję, że wiesz, co mówisz. Job podjął czytanie.

1. Ograniczona zdolność manewrowania, wznoszenia się i utrzymywania w powietrzu jako konsekwencja ciężaru pancerza.

2. Ograniczony zasięg lotu do 240 mil morskich przy pełnym obciążeniu, w wyniku ciężaru pancerza.

3. Niska maksymalna szybkość 157 węzłów i szybkość rejsowa 147 węzłów.

4. Bardzo wysokie wymagania pod względem obsługi naziemnej.

– Ciekawe – Sean znowu mu przerwał. – Nawet to maleństwo – poklepał deskę rozdzielczą herculesa – jest szybsze od hinda. Będę o tym pamiętał, jak natkniemy się na któregoś z tych drani.

– Chcesz, żebym czytał dalej? – zapytał Job. – Jeśli tak, to siedź cicho.

– Przyjmij moje przeprosiny, możesz czytać.

*Ocenia się, że w Afganistanie posłużono się kilkuset maszynami tego typu. Helikoptery odniosły duże sukcesy w walce z partyzantami, ale ponad sto pięćdziesiąt sztuk zostało zniszczonych przez partyzantów uzbrojonych w rakiety stinger SAM. Liczby te wskazują, że system stinger SAM jest skuteczną bronią przeciwko helikopterom hind. Poniżej podane są taktyki stosowania systemu.*

Job kontynuował czytanie, podając Seanowi dane na temat typów silników i ich możliwości, rodzajów broni używanych przez hindy i inne statystyki, aż w końcu Sean mu przerwał gwałtownie.

– Poczekaj, Job! – Sean wskazał na wschód. – Świta. Niebo na horyzoncie szarzało, odcinając się coraz wyraźniej od ciemnej linii ziemi.

– Odlóż książkę i zawołaj Ferdinanda. Mam nadzieję, że potrafi rozpoznać, gdzie jesteśmy i wskazać nam drogę do domu.

Ferdinanda poprzedzał silny smród wymiocin, a jego mundur był z przodu poplamiony. Partyzant oparł się o poręcz fotela pilota. Sean odsunął się od niego jak najdalej.

– Ferdinand, rozejrzyj się nieco. – Sean wskazał na podziurawione przez kule okno. – Rozpoznajesz tę okolicę?

Shangan przyglądał się niepewnie rzece i lasom mamrocząc coś niespokojnie pod nosem, gdy nagle wyraz jego twarzy rozpozgodził się.

– Te wzgórza. – Wskazał przez boczne okno. – Tak, poznaję je. Rzeka płynie pomiędzy nimi i tworzy wodospad.

– W którą stronę jest obóz?

– Tam, w tamtą stronę.

– Jak daleko?

– Dwa dni marszu.

– Jakies 120 kilometrów – przetłumaczył Sean. – Nie jesteśmy wcale tak daleko. Dzięki, Ferdinand. – Sean wyszedł z kolejnej ósemki i wyprostował lot nad rzeką.

Nadal utrzymując się nisko nad lasem skierował się na zachód w stronę, którą wskazał Ferdinand. Z tyłu za nim szybko wstające słońce zabarwiło niebo na kolor intensywnie czerwony. Samolot ścigał cienie nocy ślizgające się po ciemnych wzgórzach.

Sean nakierował herculesa na wskazany przez Shangana przesmyk pomiędzy wzgórzami i sprawdził na zegarku godzinę.

– Czas na główne wiadomości afrykańskiej sekcji BBC – oznajmił, kręcąc pokrętłami radia. Nastawił odbiornik na falę 15,400 megaherców.

– Tu BBC. Podajemy skrót najnowszych wiadomości. W Stanach Zjednoczonych gubernator Michael Dukakis zebrał przeważającą liczbę głosów w prawyborach w Nowym Jorku, pokonując tym samym Jesse'ego Jacksona w walce o zdobycie nominacji na kandydata na prezydenta z ramienia partii demokratycznej. Wojska izraelskie zastrzeliły dwóch protestantów w okupowanej strefie Gazy. Stu dwudziestu pasażerów zginęło w katastrofie lotniczej na Filipinach. Partyzanci Renamo uprowadzili samolot transportowy RAF Hercules z zimbabwejskiej bazy wojskowej w pobliżu miasta Umtali. Rzecznik rządu oświadczył, że zarówno prezydent Mugabe, jak i prezydent Chissano wydali rozkaz zniszczenia za wszelką cenę samolotu, na którego pokładzie znajduje się transport nowoczesnej broni przeznaczonej do walki z partyzantami.

Sean wyłączył radio i spojrzał z uśmiechem na Joba.

– Nie sądziłeś, że pojawisz się kiedyś w wiadomościach BBC, co?

– Mogę się obejść bez sławy – odparł skromnie Job. – Zwróciłeś uwagę na to zdanie o zniszczeniu za wszelką cenę?

Hercules zbliżał się szybko do przejścia pomiędzy górami. Zrobiło się dostatecznie jasno, żeby Sean mógł dojrzeć perlistą mgiełkę w dole przesmyku, gdzie rzeka spadała gwałtownie w dół po czarnych skałach.

– Zbliża się! – krzyknął ostrzegawczo Job. – Nisko na pierwszej godzinie!

Przy swoim nadzwyczajnym wzroku Job pierwszy zauważył wroga. Hind czekał na nich schowany na małej polance w lesie, który bronił dostępu do wodospadu.

Kiedy Sean go zobaczył, zrozumiał jasno taktykę, jaką Frelimo posłużyli się, żeby odciąć go od linii Renamo. W nocy, jak tylko domyślili się, w którą stronę leci, wysłali cały klucz hindów.

Helikoptery, działające na granicy własnego zasięgu, przeczekały noc na ziemi dla oszczędzenia paliwa. Schowane w lesie sprawdzały na radarach i nasłuchiwały, czy nie zbliża się poszukiwany hercules.

Musieli zgadnąć, że posłuży się rzeką przy nawigacji. Prawdopodobnie dalej w górę biegu rzeki czekały następne hindy, tworząc pas odgradzający go od linii Renamo. Sean,

który skierował się bardziej na południe, natknął się na jeden z nich.

Hind wyrwał z lasu i ze spuszczonego nisko zdeformowanym dziobem, niczym Minotaur pochylający głowę do ataku, szybko wznosił się pionowo w srebrzystej mgłę śmigieł. Pokryty kamuflującymi zielonymi pasami i plamami wydawał się monstrualnie brzydki i jednocześnie śmiertelnie groźny.

Znajdował się pod nimi, ale wzbijał się szybko w górę i Sean widział, że śmigłowiec powiększa się w miarę, jak obie maszyny zbliżają się do siebie. Pokładowe działko Gatling nakierowywało się już na ofiarę. Jeszcze chwila i zasypie ich śmiercionośnymi pociskami. Sean zareagował bez zastanowienia.

Przesunął wszystkie cztery manetki sterowania silnikami maksymalnie do przodu. Potężne silniki zaryczały, gdy pochylił równocześnie dziób samolotu nurkując prosto na hinda.

Zobaczył rakiety wylatujące z uchwytów pod skrzydłami helikoptera, czarne punkty wznoszące się w otoczce białego dymu. Przypomniał sobie dane, które niedawno podał mu Job. Hind był uzbrojony w dwie rakiety typu AT-2 Swatter i cztery zwykłe rakiety kalibru 57 mm.

Sean przemknął przez barykadę pocisków, które przeleciały w obłokach dymu obok kabiny, i zobaczył helikopter oddalony zaledwie o dwieście metrów, nadal wznoszący się pionowo do góry i wystrzeliwujący kolejne rakiety.

– Trzymaj się! – krzyknął ostrzegawczo do Joba. – Staranuję drania.

Ogarnęła go żądza mordowania, rozpalając mu krew w żyłach i odpędzając strach. Nie czuł nic poza potrzebą zniszczenia wroga.

W ostatniej chwili radziecki pilot domyślił się, co nieprzyjaciel zamierza. Był już tak blisko, że Sean widział rysy twarzy mężczyzny pod hełmem, śmiertelnie bladej, na której zaciśnięte usta rysowały się niczym otwarta rana.

Pilot przewrócił śmigłowiec na bok, niemal kładąc go na plecach, żeby połączona siła śmigieł i grawitacji pozwoliła mu umknąć przed wyciągniętymi skrzydłami potężnego herculesa.

– Mam cię, skurwielu! – ryknął Sean i koniec skrzydła samolotu wyrznął z całą siłą w ogon hinda. Siła uderzenia była tak wielka, że Sean niemal wyleciał z pasów. Hercules zatrzęsł się cały, opadł i straciwszy nagle szybkość, ledwo się utrzymywał na wysokości pięćdziesięciu metrów nad lasem.

– Ruszaj się, kochanie – Sean szepnął do maszyny jak do kochanki.

Zaciskał rękę na drążku sterowniczym, usiłując wyprowadzić samolot z upadku.

Rozwalone skrzydło zwisało smętnie w strzępach podartego metalu, a korony drzew zbliżały się gwałtownie, sięgając w górę niczym setki drapieźników próbujących schwycić ofiarę.

– Leć dla mnie, kochanie – szepnął Sean. Cztery silniki, jęcząc głośno z wysiłku,

utrzymały i wreszcie uniosły lekko samolot.

Wskazówka wysokościomierza podskakiwała nerwowo do góry pokazując, że wznoszą się z szybkością sześćdziesięciu metrów na sekundę.

– Gdzie jest hind?! – Sean wykrzyczał pytanie.

– Musiał się rozbić – odpowiedział Job. Obaj mężczyźni mówili podniesionymi głosami z podniecenia, nagłego strachu i poczucia tryumfu.

– Nie miał prawa znieść takiego uderzenia. – Nagle ton jego głosu zmienił się. – Nie, tam jest, nadal leci. Mój Boże, spójrz tylko na tego drania!

Hind był poważnie uszkodzony, leciał przechylony na bok, z tylnym śmigłem i statecznikami zniszczonymi, niemal całkowicie urwanymi. Pilot dokładał wszelkich wysiłków, żeby utrzymać maszynę w powietrzu, i śmigłowiec rzucał się i zataczał po całym niebie niczym pijany.

– Nie wierzę własnym oczom! Strzela do nas! – wrzasnął Job. Przed dziobem herculesa przeleciała rakietą zostawiając smugę dymu.

– Wyrównuje lot. – Job cały czas obserwował wroga przez boczne okienko. – Zawraca! Leci za nami!

Sean wznosił herculesa cały czas kierując się jednocześnie w stronę przesmyku pomiędzy górami. Skalne ściany zdawały się ocierać o skrzydła, a pod nimi pieniała się spadająca z wysoka woda.

– Wystrzelił rakiety – ostrzegł go Job. Przed dziobem samolotu otworzył się przesmyk i Sean podniósł wysoko okaleczone skrzydło wykonując ostry zakręt.

Potężna maszyna niemal prześliznęła się po skałach, pokonując zakręt w tej samej chwili, gdy rakietą Swatter zaprogramowana na podczerwień nakierowała się na promieniowanie ciepłe, wydobywające się z silnika, i wpadła za nimi w przesmyk. Hercules wszedł w zakręt z taką szybkością, że Sean z trudem utrzymał dziób poziomo. Patrząc przez okno do góry, miał wrażenie, że wystarczyłoby tylko wyciągnąć rękę, żeby dotknąć skalnej ściany. Rakietą podążała cały czas ich śladem, ale w krytycznym momencie samolot zniknął z jej celownika, gdy skała odcięła źródło promieniowania.

Trafiła w ścianę, eksplodowała wyrywając olbrzymie kawały skały i zamykając przesmyk za herkulesem potężną chmurą dymu i pyłu.

Sean wyprostował lot starając się oszczędzać uszkodzone skrzydło.

– Widzisz hinda?

– Nie... – Job przerwał, gdy dojrzał przeraźliwy kształt wroga wylaniający się z chmury dymu. – Tam jest!

Cała tylna część kadłuba hinda była skrzyżowana pod ostrym kątem i brakowało mu połowy statecznika. Maszyną zarzucało i coraz to opadała w dół, widać było, że wymyka się spod kontroli. Pilot musiał być dzielnym człowiekiem, zdecydowanym na utrzymanie śmigłowca w powietrzu do samego końca.

– Znowu do nas strzela! – krzyknął Job widząc rakiety odpadającą z uchwytów pod krótkimi skrzydłami hinda i pędzącą w ich stronę w pióropuszu dymu.

– Rozpada się! – Job patrzył, jak tylne śmigło helikoptera bojowego odpada i wylatuje korkociągiem w górę, podczas gdy reszta maszyny wali się pionowo w dół na drzewa, wybuchając potężnym słupem ognia i dymu.

– Skręcaj w prawo! – zawołał desperacko Job. Mimo że helikopter został unicestwiony, jego straszliwy potomek nadal unosił się w powietrzu, szybko zbliżając się do nich.

Sean wprowadził samolot w ostry zakręt. Rakieta niemal ich zgubiła i poleciała prosto, ale w ostatniej chwili skorygowała kurs, zawróciła i ziejąc kłębam srebrzystego dymu namierzyła się na silnik numer dwa.

Na krótką chwilę oślepił ich wybuch i gęsty dym, który zasłonił całą kabinę i zaraz został rozwiany przez ciąg powietrza. Hercules zatrzęsł się niczym w agonii. Wybuch rakiety poderwał skrzydło, przewracając samolot do lotu poziomego i Sean starał się go utrzymać w tej pozycji.

Z przerażeniem rozejrzał się szukając zniszczeń. Nie mieli drugiego silnika, który został dosłownie wyrwany, zostawiając w skrzydle przeraźliwą dziurę. Był to śmiertelny cios. Rozpadający się samolot pędził jak szalony rzucony niesymetrycznym ciągiem pozostałych silników. Zniszczone skrzydło zginało się pod wpływem pędu powietrza i Sean widział, że zaczyna odpadać.

Przysunął do siebie manetki sterowania silnikami, starając się zmniejszyć nacisk na skrzydło. Rozejrzał się szybko wokół i dostrzegł rzekę. Szeroką, płytką i płynącą spokojnie powyżej wodospadu. Pierwsze promienie słońca rozjaśniały korony drzew nad brzegami. Na białych łąkach piachu widać było krokodyle.

Sean włączył radio pokładowe tak, żeby można go było słyszeć przez głośniki w luku towarowym i powiedział do mikrofonu po shangańsku:

– Trzymajcie się! Spadamy! – Jednocześnie przypiął się mocniej do fotela.

Hercules spadał ciężko w dół, a oba skrzydła były tak zniszczone, że Sean nie wierzył własnym oczom, że nadal się trzymają.

– Zbyt szybko – mruknął do siebie. Samolot opadał niczym zerwana winda. Spadną na nadbrzeżne drzewa. Wparł się nogami w podłogę na wypadek, gdyby następna operacja urwała skrzydło, i opuścił maksymalnie klapy, żeby zmniejszyć szybkość.

Hercules nie tylko nie rozpadł się, ale zareagował z ulgą na dodatkową siłę nośną i zaczął szybować z resztką dawnej elegancji. Przelecieli tak nisko nad lasem, że niemal dotknęli koron drzew. Sean powyłączał pompy paliwowe i zasilanie, żeby zapobiec pożarowi. Podniósł dziób samolotu do góry i patrzył, jak wskazówka szybkościomierza opada gwałtownie w dół. W kabinie rozległo się ostre brzęczenie alarmu ostrzegającego o utracie szybkości, a po chwili włączył się ogłuszający dzwonek przypominający, że koła są wciąż schowane.

Hercules leciał na granicy utraty szybkości. Sean miał kłopoty z drążkiem sterowniczym, ale znajdowali się już nad środkiem rzeki, jakieś sześć metrów nad powierzchnią. Krokodyle ześliznęły się w popłochu z piaszczystej łachy przed nimi i zniknęły pod wodą. Sean walczył z drążkiem przesuwając go ostrożnie do tyłu, osłaniając maszynę do ostatniej chwili.

Poczuł, jak tył samolotu ociera się o powierzchnię wody. Wskazówka szybkościomierza spadła do czterdziestu węzłów. Hercules wreszcie utracił szybkość i opadł niemal pionowo do rzeki. Potężna zielona fala wybuchła przed dziobem zalewając kabinę i strumykami wdzierając się przez dziury do wnętrza.

Sean i Job polecili do przodu wyrwani z foteli, powstrzymywani jedynie pasami, a Hercules wynurzył się i wolno obrócił bokiem pod prąd.

– Wszystko w porządku?! – zawołał Sean. W odpowiedzi Job odpiął pasy i wyskoczył z fotela.

Kiedy Sean podniósł się, poczuł, jak podłoga unosi się pod kątem pod stopami. Przez okno zobaczył, że Hercules płynie z prądem, utrzymywany na powierzchni przez puste baki paliwowe i powietrze uwiecznione w kadłubie.

– Idziemy! – Poprowadził Joba do łuku towarowego, gdzie na pierwszy rzut oka było widać, że skrzynki z rakietami stoją bezpiecznie przymocowane do ścian.

Shangani nie wyszli obronną ręką z upadku, dwóch było rannych, a pozostałych ogarnęła panika. Ranni jęczeli głośno, jeden z nich wiał się na zarzyganej podłodze ze złamaną ręką, z której wystawał ostry koniec kości.

Sean odkręcił koło blokujące na pokrywie łuku i otworzył kopnięciem małe drzwiczki. Natychmiast rozwinął się nylonowy balon, służący do ewakuacji, i niczym długi, żółty jęzor opadł na powierzchnię wody.

Sean wychylił się przez drzwiczki. Prąd znosił ich na kolejną łachę. Oceniał, że woda nie może w tym miejscu sięgać wyżej niż do ramion, gdyż wyraźnie widział żółte dno.

– Ferdinand! – Sean wywołał go z tłumu pchających się Shanganów. – Tędy, wyprowadź ich! – Zobaczył, że Ferdinand zachował przytomność umysłu i szybko wziął się do uspokajania pięściami wystraszonych partyzantów, pchając ich w stronę wyjścia.

– Job, pokaż im, jak się to robi – polecił Sean. – Zbierz ich na dole i pchajcie samolot na tę łachę.

Job założył ramiona na piersi i wyskoczył na balon, po którym zjechał do wody niczym po zjeżdżalni. Wynurzył się szybko na powierzchnię i stanął na nogach. Woda sięgała mu do pach. Natychmiast zaczął brnąć ku kadłubowi, żeby zepchnąć go na mieliznę.

Jeden po drugim partyzanci zjeżdżali do wody i na dole Job objął nad nimi dowództwo. Sean spuścił ostatniego Shangana po balonie i wreszcie sam zjechał do rzeki.

Temperatura wody była tylko o kilka stopni niższa od temperatury ciała. Kiedy Sean wynurzył się na powierzchnię, zobaczył, że wszyscy partyzanci przesuwają wolno kadłub samolotu w stronę brzegu. Przyłączył się do nich i z wolna grunt pod ich nogami zaczął się

podnosić, a woda opadła do pasa.

Hercules zaczął ocierać się brzuchem o dno i po chwili zarył ciężko w piachu. Partyzanci powlekli się na brzeg, gdzie ciężko pokładli się na ziemi. Na ich twarzach rysowało się zmęczenie i przygnębienie wywołane strachem i wysiłkiem.

Sean rozejrzał się wokół, starając się oszacować ich pozycję, by zaplanować dalsze kroki. Samolot osiadł na mieliźnie tak wysoko, że jedynie dno luku mogło być pod wodą. Mógł być spokojny, że rakiety nie zostaną zalane, co niechybnie uszkodziłoby delikatne układy scalone.

Prąd zniósł ich pod stromy brzeg, na którym letnie przypiływy zgromadziły martwe drzewa i gałęzie wyrzucone przez fale na piach.

– Musimy się szybko ruszać – Sean zwrócił się do Joba. – Prawdopodobnie hind zdążył nadać sygnał do reszty klucza i wkrótce przylecą, żeby nas wykończyć.

– Co masz zamiar robić?

– Najpierw rozładujemy stingery – odparł Sean. – Zbierz ludzi.

Kiedy Sean wspiał się na pokład samolotu, przekonał się, że hydrauliczne siłowniki podnoszące klapę towarową działają także na baterie, i opuścił tylną rampę na piach.

Na każdej skrzynce z rakietami była wypisana ołówkiem jej waga: 68 kg.

– Nie są takie ciężkie – zdecydował Sean. – Dwóch ludzi do jednej skrzyni – rozkazał i razem z Jobem zaczęli umieszczać je na ramionach szybko zmieniających się par żołnierzy. Obładowani partyzanci zbiegali po rampie na łachę i wbiegali po stromym brzegu pomiędzy drzewa. Ferdinand pokazywał im, gdzie mają układać skrzynki i przykrywać je gałęziami i wyrzuconym przez wodę drzewem.

Potrzebowali dwudziestu minut, żeby rozładować cały luk. Z każdą minutą Sean robił się coraz bardziej niespokojny. Kiedy wreszcie ostatnia drewniana skrzynka została wyniesiona z samolotu, podbiegł do wyjścia i rozejrzał się po niebie, nadstawiając uszu, czy nie dobiegnie go narastający jęk śmigieł i ryk silników.

– Dobry los może się skończyć w każdej chwili – powiedział do Joba. – Musimy teraz pozbyć się herculesa.

– A jak chcesz to zrobić, zagrzebiemy go, czy co? – zapytał sarkastycznie Job.

W przednią przegrodę samolotu był wbudowany studwudziestotonowy dźwig, służący do wciągania na pokład ładunków. Kierowani wskazówkami Seana, czterej Shangani wyciągnęli linę dźwigu i korzystając z nadmuchiwaney tratwy ratowniczej przewieźli ją na drugi brzeg, gdzie jej koniec przywiązali do dużego drzewa.

W tym samym czasie Sean i Job przeszukali samolot, zabierając każdy sprzęt, jaki mógł im się przydać: od apteczki aż po zapasy kawy i cukru z kuchni. Sean z zadowoleniem stwierdził, że apteczka była dobrze wyposażona i zawierała spory zapas antybiotyków i środków przeciw malarii. Podał apteczkę jednemu z Shanganów, a sam pobiegł na rampę.

Ponton już wracał, a nad samolotem zalegała cisza. Na horyzoncie nie było widać

zagrożenia. Widząc, że fortuna kołem się toczy, Sean wołał o tym nie myśleć.

– Wysadź wszystkich na brzeg! – zawołał do Joba i pobiegł do panelu kontrolnego dźwigu.

Przesunął dźwignię do góry, lina się napięła i ciężki kadłub herculesa, który osiadł mocno na piachu, zadrżał i zakołysał się. Z wolna samolot zaczął przesuwać się do przodu wciągany dźwigiem wśród zgrzytu piasku na głębszą wodę.

Gdy tylko zakołysał się na powierzchni, Sean zamknął tylną rampę, żeby zapobiec zbyt szybkiemu zatopieniu maszyny, i wyprowadził ją na środek rzeki, gdzie prąd płynął najszybciej. Kiedy nurt uniósł herculesa i lina napięła się, Sean wziął nożyce do cięcia metalu z półki przy dźwigu i przeciął ją. Wrak ruszył wolno niesiony prądem w dół rzeki.

Sean odciął z plecionej liny kawałek metrowej długości, a stalowe druty same rozwinęły mu się w rękę. Zwinął trzy oddzielne linki w ciasne pętle i schował je do tylnej kieszeni spodni. Później Job będzie mógł dorobić do nich rękojeści z drzewa. Garota była ulubioną cichą bronią Skautów i Seanowi brakowało tego śmiercionośnego narzędzia, które wyrzucił razem z plecakiem w czasie wspinaczki na szczyt. Skoncentrował się na samolocie.

– Baki są niemal puste – mruknął do siebie patrząc, jak samolot wolno sunie wzdłuż brzegu. – Powinien spokojnie dopłynąć do wodospadu. – Postanowił zostać na razie na pokładzie i przepłynął niesiony prądem następne trzy kilometry.

Żeby nie marnować czasu, poprzecinał nożycami rurki hydrauliczne i przewody paliwowe, które biegły wzdłuż sufitu luku. Z przedziurawionych przewodów wypłynęła mieszanina płynu hydraulicznego i awturu, tworząc na podłodze oleiste kałuże. Usatysfakcjonowany, że zrobił wszystko, aby zmylić pogoń, Sean stanął w bocznych drzwiczkach i wyrwał zawleczkę z granatu zapalającego, który wziął wcześniej od Ferdinanda.

– Dzięki, staruszek – powiedział do maszyny. – Byłaś cudowna. Mogę ci jedynie podziękować, urządzając ci odpowiedni pogrzeb. – Cisnął granat za siebie w głąb luku i wyskoczył głową w przód do wody. Wynurzył się na powierzchnię i zaczął płynąć szybko krytym kraulem, starając się odsunąć od siebie wyobrażenie wielkich krokodyli wygrzewających się na brzegu.

Usłyszał za sobą stłumiony wybuch granatu, ale płynął z całych sił dalej nie oglądając się za siebie. Wreszcie poczuł grunt pod nogami. Hercules był już pół kilometra dalej, płonął jasnym ogniem, ale wciąż utrzymując się na powierzchni. Z czeluści maszyny czarne, tłuste kłęby dymu wzbijały się wysoko w niebo.

Sean przebrnął ostatnie kilka metrów do brzegu i wspiął się nań na czworakach.

Kiedy usiadł dysząc ciężko, dobiegł go znajomy i porządnie znienawidzony odgłos śmigieł i silników turbinowych. Odgłos szybko narastał. Słup czarnego dymu wydobywający się z herculesa musiał być znakiem, który przyciągnął hinda. Pewnie był widoczny na co najmniej pięćdziesiąt kilometrów wokoło.



Sean nabrał garść mułu. Posmarował sobie nim twarz i nagie ręce. Wsunął się pod krzaki porastające nadbrzeże i patrzył, jak helikopter wylania się zza drzew, a potem zatacza szerokie koło sześćdziesiąt metrów nad płonącym wrakiem, niczym wampir czyhający na zdobycz.

Płomienie objęły jeden ze zbiorników z paliwem. Hercules wystrzelił płomieniami, rozlatując się na strzepy, które szybko zasłały powierzchnię rzeki. Jęzory ognia zamieniły się w parę w zetknięciu z wodą.

Hind krążył nad rzeką jeszcze przez pięć minut, najpewniej szukając rozbitków. Nagle wzbił się wysoko, skierował dziób na południe i szybko rozplynął na niebieskim bezmiarze bezchmurnego nieba.

„Ograniczony zasięg lotu, dokładnie jak facet pisał”. Sean wstał z kryjówki. „Teraz wróć do domu, jak przystało na porządnego Ruska, i zgłoś, że cel został zniszczony. Możesz powiedzieć Bobby’emu Mugabe, że nie musi się martwić, że jego cenne stingery wpadną w nieodpowiednie ręce”.

Wyjął z kieszeni paczkę holenderskich papierosów, ale przemoczone kartonowe opakowanie rozpadło mu się w rękach. Wyrzucił je do rzeki.

– Najwyższy czas, żebym skończył z paleniem – westchnął i ruszył wzdłuż brzegu w górę rzeki.

Kiedy dotarł do oddziału, Job zajmował się dwoma rannymi Shanganami.

– Ten ma kilka złamanych żeber i pęknięty obojczyk. – Job skończył bandażować pacjenta i wskazał na drugiego rannego. – Tego zostawiłem dla ciebie.

– Dziękuję za uznanie – mruknął niechętnie Sean oglądając złamane ramię. – Nie wygląda to najpiękniej.

– Ładnie to określiłeś – zgodził się Job. Co najmniej pięć centymetrów kości ramiennej wystawało z pokrytej ciemną krwią rany. Nad skrzepami unosiły się z bzyczeniem metalicznoniebieskie muchy. Sean odgonił je machnięciem ręki.

– Co zrobiłeś do tej pory?

– Dałem mu garść proszków przeciwbólowych z apteczki.

– To powinno oszołomić nawet bawołu. – Sean skinął głową. – Znajdź mi kawałek nylonowej linki i dwóch najsilniejszych Shanganów.

Ramię skurczyło się mocno i Sean musiał je naciągnąć, żeby złożyć złamane końce razem. Zawiązał linkę wokół nadgarstka rannego i dał jej końce partyzantom.

– Kiedy powiem ciągnijcie, to macie ciągnąć z całej siły, jasne? – rozkazał. – Dobra, Job, przytrzymaj go.

Wykonywali już razem taką operację i to nawet często. Job usiadł za rannym, otoczył go rękami i zacisnął uścisk na piersiach.

– Będzie bolało – Sean przestrzegł partyzanta i spojrzał na linę. – Ciągnąć! – Mężczyźni zaparli się z całej siły.

Ranny mężczyzna otworzył szeroko oczy, a na skórę wystąpiły mu gęsto krople potu.

– Mocniej! – Sean warknął na Ferdinanda i ramię zaczęło się wydłużać. Ostre końce złamanej kości znikły w ciele.

Shangan zacisnął z całej siły zęby, zgrzytając nimi, żeby nie krzyknąć z bólu. Ostry dźwięk przypominający pocieranie dwóch kawałków szkła przejął Seana dreszczem.

Kość wskoczyła na swoje miejsce w spuchniętej ranie i Sean usłyszał, jak oba końce układają się z trzaskiem w ciele.

– Dobra! Tak trzymać! – zawołał i sprawnie nałożył po obu stronach złamania łubki z apteczki, przytwierdził je plastrem zaciskając go silnie, choć nie na tyle, żeby odciąć dopływ krwi, i skinął głową Ferdinandowi.

– Puszczajcie, tylko powoli. – Obaj Shangani wolno zmniejszyli napięcie linki. Łubki utrzymały się w miejscu.

– Kolejny przełom w chirurgii – mruknął Job. – To była bardzo elegancka i wyrafinowana operacja, doktorku.

– Możesz chodzić? – zapytał Sean swojego pacjenta. – Czy mamy zanieść cię do obozu?

– Oczywiście, że mogę chodzić. – Żołnierz był oburzony. – Myślisz, że jestem jakąś babą?

– Gdybyś był, to zażądałibyśmy za ciebie najwyższej ceny – uśmiechnął się do niego Sean i wstał z ziemi.

– Przyjrzyjmy się łupowi – zaproponował Jobowi. Mieli pierwszą okazję, żeby obejrzyć zawartość ładunku.

Pod rozłożystymi gałęziami afrykańskiego mahoni ułożono trzydzieści pięć skrzyń. Wraz z Ferdinandem i czterema innymi Shanganami posortowali materiał układając skrzynie w rzędy podług ich zawartości wypisanej ołówkiem na pokrywach.

Trzydzieści trzy z nich, każda o wadze 68 kilogramów, były oznaczone następująco:

SYSTEM ZDALNIE STEROWANYCH RAKIET STINGER 1 x UCHWYT Z ANTENĄ 1 x WYSZUKIWACZ 5 x ZAŁADOWANE WYRZUTNIE – To daje Chinie 165 strzałów, a po strąceniu tego dzisiejszego hindu, zostaje klucz złożony z jedenastu maszyn – wyliczył Job. – Dla mnie wygląda to całkiem nieźle.

– Biorąc pod uwagę, jak niektórzy z tych zuchów strzelają, będzie potrzebował każdej z tych rakiet – zauważył Sean, ale po spojrzeniu na następną skrzynię wyraz pesymizmu ustąpił z jego twarzy. – No, no! Tutaj mamy coś do szkolenia!

Jedna z dwóch pozostałych skrzyń była oznaczona:

SYSTEM ZDALNIE STEROWANYCH RAKIET STINGER ZESTAW TRENINGOWY M 134.

SYMULATOR – To uczyni czyjeś życie znacznie łatwiejszym – zgodził się Job. Zdobyte podręczniki wyjaśniały posługiwanie się systemem ćwiczebnym, który pozwalał instruktorowi monitorować sposób celowania ucznia w czasie symulowanego strzału.

Ktokolwiek miał podjąć się nauki oddziałów Renamo posługiwania się tym sprzętem, będzie miał ogromne ułatwienie.

Dopiero jednak kiedy Sean wziął ostatnie, najmniejsze pudełko, uświadomił sobie, jak cenny łup zdobyli.

Na pokrywie było napisane:

SYSTEM ZDALNIE STEROWANYCH RAKIET STINGER OPROGRAMOWANIE ZMODYFIKOWANE 1 – O kurczę. – Sean aż zagwizdał. – Zdobyliśmy post, nie czy ogrodowy system, ale cholerny post!

– Obejrzyjmy to sobie! – Job był równie podniecony.

Sean zawahał się jak dziecko, które kusi, żeby obejrzeć prezenty przed Gwiazdką. Spojrzał na niebo rozglądając się za hindami i myśląc jednocześnie, jak dziwnie łatwo przejął ten zwyczaj od Shanganów.

– Tak nie możemy wyruszyć przed zapadnięciem zmroku. Mamy do zabicia mnóstwo czasu – zdecydował i wyciągnął bagnet zza pasa Ferdinanda.

Delikatnie podważył wieko skrzyni i zdjął przykrywający zawartość styropian. Dyskietki znajdowały się w specjalnym plastikowym opakowaniu. Przesunął zatrzaski na wieku i otworzył pudełko. Kilkadziesiąt pokolorowanych według specjalnego kodu dyskietek było popakowane w przezroczyste koperty i ułożone w przegródkach. O tym oprogramowaniu czytali w podręcznikach zabranych Carlyle'owi.

– Przynieś instrukcje – polecił Jobowi. Kiedy Job wrócił z torbą, usiedli przed pudełkiem i zaczęli wertować gruby tom zawierający opis działania systemu.

– Mam! System atakowania hindów! Dyskietka koloru czerwonego, numer S.42.A.

W tym systemie rakiety Stinger mogły być zaprogramowane do atakowania różnych celów na podstawie znanych taktyk i częstotliwości charakterystycznych dla danego typu helikoptera. Wystarczyło włożyć odpowiednią dyskietkę do konsoli wyrzutni, żeby rakieta zmieniła technikę ataku.

– „Dyskietka z oprogramowaniem numer S.42.A – Job czytał z podręcznika podążając palcem wzdłuż tekstu – jest przeznaczona do atakowania helikopterów bojowych typu Hind. System posługuje się «dwukolorowym» celownikiem, który w kolejnych fazach reaguje na promieniowanie podczerwone i ultrafioletowe. W pierwszej fazie ataku rakieta nastawia się na emisję w podczerwieni gazów spalinowych z silnika.

Tłumiki helikoptera Hind wydalają gazy spalinowe przez potężnie opancerzone wyloty znajdujące się pod kadłubem. Trafienia rakiet w tę część śmigłowca okazały się nieefektywne.

Modyfikacja oprogramowania S.42.A automatycznie przestawia system naprowadzający stingera na poszukiwanie promieniowania ultrafioletowego, kiedy rakieta zbliży się do celu na odległość stu metrów. Promieniowanie ultrafioletowe wydobywa się z otworów wlotu powietrza do silników turbinowych Isotow TV3-117. Jest to jedyna część helikoptera, która

nie jest osłonięta pancerzem tytanowym i trafienia rakiet w ten punkt zaowocowały stuprocentową eliminacją wrogich maszyn.

W celu osiągnięcia efektywnego przestawienia się systemu na promieniowanie ultrafioletowe, rakietę musi być wystrzelona z pozycji niższej, bezpośrednio przed helikopterem, z odległości nie większej niż 1000 metrów i nie mniejszej niż 150 metrów”.

Job zamknął energicznie podręcznik.

– Bingo! – powiedział. – China dostanie o wiele więcej, niż mógł oczekiwać.

Mieli trzydzieści pięć ciężkich skrzyń i tylko dwudziestu ludzi do ich niesienia, wliczając w to Seana i Joba. Sean ukrył dobrze skrzynie, które zdecydowali się zostawić. Jak tylko dotrą do linii Renamo, pośle oddział, żeby je przynieśli do obozu.

Zabrawszy ze sobą tyle zdobytej broni, ile tylko zdołali udźwignąć, wliczając w to także sprzęt ćwiczebny i oprogramowanie, ruszyli wzdłuż brzegu rzeki Pungwe zaraz po zapadnięciu ciemności. Maszerowali przez całą noc, czekając na kontakt z wysuniętymi posterunkami Renamo.

Rozciągnięta kolumna, której marsz spowalniał ciężki bagaż, zdołała przejść zaledwie dwadzieścia kilometrów do świtu. W ciągu nocy zmieniła się pogoda i silny wschodni wiatr przyniósł ze sobą niskie chmury. Gęsty kapuśniaczek dobrze skrywał ich przed hindami. Sean zdecydował, że mogą maszerować cały dzień.

O zmierzchu odpoczęli kilka godzin. Żołnierze usiłowali skryć się przed deszczem pod drzewami. Wreszcie Sean poderwał ich na nogi i ruszyli po błotnistej ścieżce, ślizgając się w mule i klnąc zawzięcie ciężkie skrzynie. Godzinę po pierwszej zorzy przesiąknięte mundury na ciałach żołnierzy zaczęły silnie parować w promieniach słońca.

Dwie godziny później wpadli w zasadzkę.

Maszerowali wzdłuż brzegu rzeki przez sawannę. Pomiędzy niskimi akacjami o spłaszczonych koronach rosły przypadkowe kępy wysokiej trawy.

Sean usłyszał metaliczny trzask odwodzonego bezpiecznika w karabinie maszynowym i zanim jeszcze zrozumiał, co to za dźwięk, nurkował już na ziemi, wykrzykując jednocześnie ostrzeżenie do Shanganów. W chwili gdy upadł płasko na ziemię, zobaczył rozbłyśki z luf karabinowych tańczące w trawie niczym diabelskie ogniki zaledwie trzydzieści kroków przed nim. Jedna z kul zaświstała mu nad głową, zmuszając go do wtulenia twarzy w piasek.

Przetoczył się w lewo, żeby zmylić strzelca, i strzelając na oślep z AKM jedną ręką niczym z pistoletu, drugą szukał granatu przy pasie.

Miał już go cisnąć, kiedy leżący za nim Ferdinand zawołał coś głośno po portugalsku i strzelanina z przodu zelżała, by po chwili zamilknąć. Z gęstej kępy wysokiej trawy męski głos odpowiedział na wezwanie i zaraz Ferdinand zaczął krzyczeć w języku shangańskim:

– Przerwać ogień! Przerwać ogień! Renamo! Renamo!

Zapadła długa, pełna podejrzeń cisza, w czasie której Sean trzymał granat w pogotowiu. Widział już wielu żołnierzy, którzy zginęli pod kulami, gdy odpowiedzieli na fałszywe

pojednanie.

– Renamo! – zawołał ten sam głos z przodu. – Przyjaciele!

– Dobra! – odkrzyknął Sean po shangańsku. – Wstańcie, Renamo, i pokażcie nam swoje śliczne przyjacielskie twarze.

Ktoś się roześmiał i przed Seanem wyłoniła się z trawy uśmiechnięta, czarna twarz ocieniona czapką w barwach maskujących, by zaraz znowu skryć się w gęstwinie.

Po kilku sekundach, kiedy nie rozległy się żadne strzały, z kryjówki podniósł się jeden mężczyzna i zaraz następny. Shangani Seana także powstali z ziemi i podeszli do przodu, z początku ostrożnie, z bronią wycelowaną w niespodziewanych gości, ale kiedy znaleźli się na otwartym terenie, zaczęli wymieniać uściski wśród ogólnego śmiechu i poklepywania się po plecach. Okazało się, że weszli na sektor pilnowany przez batalion majora Takawiry. Major rozpoznał Seana. Z radością wymienili uściski.

– Pułkownik Courteney! Co za ulga widzieć pana przy życiu! BBC i radio Zimbabwe podały, że pański samolot został zestrzelony i wszyscy pańscy ludzie zginęli.

– Potrzebuję pomocy, majorze – przeszedł do rzeczy Sean. – Zostawiłem dwadzieścia skrzyń z raketami w lesie. Proszę, aby pan posłał po nie stu ludzi. Mój człowiek zaprowadzi ich do kryjówki.

– Wyślę najlepszych żołnierzy. Sam ich wybiorę – zapewnił go Takawira.

– Jak daleko jesteśmy od dowództwa generała Chiny? – zapytał Sean.

– Helikoptery Frelimo zmusiły go do cofnięcia się. Nowe dowództwo znajduje się dziewięć kilometrów stąd, w górę strumienia. Właśnie rozmawiałem z nim przez radio. Generał bardzo się o pana niepokoi.

Więści o zwycięstwie szybko rozeszły się wzdłuż linii Renamo i ich dalsza droga zmieniła się w tryumfalny pochód. Żołnierze w kamuflujących mundurach otaczali ich ze wszystkich stron, wymieniając uściski wśród radosnych zawołań i poklepując Shanganów Seana po plecach. Partyzanci nieśli skrzynie z taką dumą, jakby to była arka przymierza, a oni najwyższymi kapłanami. Wszyscy śpiewali pieśni wojenne Renamo.

Generał China czekał już na nich przed wejściem do swojego nowego schronu, ubrany w świeżo wyprasowany mundur i brązowy beret naciągnięty na jedno ucho.

– Wiedziałem, że mnie pan nie zawiedzie, pułkowniku. – Po raz pierwszy Sean miał wrażenie, że uśmiech Chiny jest szczery.

– Straciliśmy prawie trzydziestu ludzi pod sierżantem Alphonsem – oznajmił szorstko Sean. – Musieliśmy ich zostawić.

– Nie, nie, pułkowniku! – Generał China poklepał go po ramieniu, okazując w ten sposób niespodziewanie dobrą wolę. – Oddział Alphonsa wydostał się bezpiecznie. Stracili tylko trzech ludzi w drodze do misji St Mary. Właśnie skontaktowałem się z nimi przez radio. Najpóźniej jutro wieczorem dotrą do naszych linii. Cała operacja jest jednym wielkim sukcesem, pułkowniku. – Zdjął rękę z ramienia Seana. – Zobaczmy teraz, co pan mi

przyniósł.

Partyzanci położyli skrzynie u jego stóp. „Czarny Cezar przyjmujący łupy wojny”, pomyślał ironicznie Sean.

– Otwórzcie je! – rozkazał promieniejący China. Sean nie podejrzewał, że ten zazwyczaj tak zimny i zamknięty w sobie mężczyzna może zachowywać się jak dziecko. Chichotał z podniecenia i zacierał ręce patrząc, jak kilku młodszych oficerów zabiera się z łomami i bagnetami do otworzenia pierwszej ze skrzyń. Stalowe wzmocnienia nie ułatwiały im pracy.

W końcu China stracił cierpliwość, odepchnął oficerów i wyrwawszy jednemu z nich łom z ręki, sam zabrał się do pracy. Pocił się przy tym porządnie z podekscytowania i wysiłku. Kiedy wreszcie udało mu się otworzyć wieko, sztab nagroził go służalczyymi gratulacjami.

Wyrzutnia rakiet Stinger była w pełni złożona i załadowana. Wyszukiwacz IFF\* był zapakowany oddzielnie w plastikową kopertę. Można go było szybko podłączyć do wyrzutni za pomocą krótkiego kabla z konsolą. Cztery zapasowe tuby z pociskami leżały obok zapakowane w styropian. Po wystrzeleniu rakiety wystarczyło zdjąć zużytą tubę i włożyć na jej miejsce nową.

Śmiechy i okrzyki szybko ucichły. Sztab generała zebrał się bliżej skrzyni, oglądając jej zawartość z ostrożnością, z jaką człowiek zazwyczaj zbliża się do schowanego pod kamieniem gniazda skorpionów, z którego w każdej chwili może wyłonić się uzbrojony w kolec ogon.

Generał China uklęknął na jedno kolano i ostrożnie wyjął ze skrzyni wyrzutnię.

Sztab patrzył w niemym podziwieniu, jak dowódca zakłada broń na ramię. Tuba z pociskiem wystawała mu daleko za plecy, a konsola z anteną niemal całkowicie zasłaniała mu twarz. China przyglądał się małemu ekranowi celownicemu, wyszukując palcem spust.

Wycelował stingera w niebo i sztab oficerów zaczął zachęcać go okrzykami podziwu.

– Teraz Frelimo może sobie przylatywać swoimi henshaw – powiedział z siłą China. – Zniszczymy je co do jednego. – Podekscytowany zaczął wydawać odgłosy naśladujące helikopter i strzały z karabinu maszynowego niczym chłopczyk bawiący się w wojnę, celując wyrzutnię w coraz to nowe wymyślone hindy. – Pu! Pu! – krzyczał. – Szuuu! Siuuu! Boom!

– Pa-bach! – Sean przyłączył się do zabawy z zupełnie poważną miną. Sztab generała był z radości prześcigając się w wykrzykiwaniu odgłosów wybuchających i rozwalających się helikopterów.

[\* IFF (Identification Friend or Foe) – System odróżniania wroga od sojusznika.]

Ktoś zaczął śpiewać, a za nim wszyscy podjęli refren, wybijając rękami i nogami takt hymnu bojowego Renamo.

Po chwili pieśń śpiewało dwustu zebranych żołnierzy. Ich połączone głosy unosiły się i opadały w pięknej afrykańskiej melodii, od której Sean dostał gęsiej skórki na ramionach. Generał China stał pomiędzy żołnierzami z wyrzutnią na ramieniu dyrygując chórem. Jego

głos wznosił się nad pozostałe, zdumiewając swoją czystością i siłą. Śpiewał wspaniałym tenorem, którego nie powstydziliby się niejeden ze sławnych śpiewaków operowych.

Pieśń skończyła się potężnym wyzywającym rykiem „Renamo!” i twarze partyzantów rozjaśnił płomień patriotycznego zapału.

„W tym nastroju trudno będzie ich zwyciężyć”, pomyślał Sean, patrząc jak China przekazuje wyrzutnię jednemu ze swoich oficerów i zmierza w jego kierunku.

– Moje gratulacje, pułkowniku. – China był wyraźnie szczęśliwy i pełen dobrej woli. – Myślę, że ocalił nas pan od klęski. Jestem panu niezmiernie wdzięczny.

– Bardzo mi miło, China. – W głosie Seana odezwała się ironia. – Zamiast mówić mi o wdzięczności, może zechciałby ją pan okazać.

– Oczywiście, proszę mi wybaczyć. – China znakomicie udawał skruchę. – W całym tym zamieszaniu zapomniałem, że pewna osoba czeka na pana z utęsknieniem.

Sean poczuł, jak jego oddech staje się przyspieszony i coś ściska mu pierś.

– Gdzie ona jest?

– W moim bunkrze, pułkowniku. – Generał China wskazał na starannie zamaskowane wejście do schronu, ukrytego pomiędzy drzewami.

Sean przepchnął się przez szeregi podekscytowanych żołnierzy. Kiedy doszedł do wejścia do schronu, z trudem nad sobą panował. Zbiegł w dół biorąc po trzy schodki naraz.

Claudia znajdowała się w pomieszczeniu radiowym. Siedziała na ławce pod ścianą pomiędzy dwoma strażniczkami. Sean wymówił jej imię. Dziewczyna podniosła się wolno z ławki, patrząc na niego z niedowierzaniem i gwałtownie blednąc na twarzy. Kości policzkowe zdawały się grozić przebicciem naciągniętej, niemal przezroczystej skóry, a jej oczy były wielkie i ciemne jak bezksiężycowa noc.

Zbliżając się do niej, Sean zobaczył ślady na jej nadgarstkach, głębokie pręgi pokryte świeżymi strupami i nagła fala gniewu zamąciła jego radość. Schwycił ją w ramiona. Była tak krucha i delikatna, że miał wrażenie, jakby obejmował dziecko. Przez chwilę stała nieruchomo w jego objęciach, by zaraz rzucić mu się na szyję tuląc się do niego całym ciałem. Sean był zdziwiony jej siłą, a kiedy przycisnął jej twarz do ramienia, dziewczynę przeszedł konwulsyjny spazm.

Stali tak nieruchomo, wtuleni w siebie przez długi czas, aż Sean poczuł, jak koszula na piersiach nasiąka od łez.

– Proszę, kochanie, nie płacz.

Delikatnie ujął jej twarz w obie ręce, podniósł do góry i otarł kciukami mokre policzki.

– To dlatego, że jestem taka szczęśliwa – uśmiechnęła się przez łzy. – Jesteś ze mną i nic więcej się nie liczy.

Podniósł jej ręce do ust i ucałował czule liczne zadrapania na nadgarstkach.

– Nie mogą już mnie zranić, nie przy tobie – szepnęła. Sean obrócił głowę, by spojrzeć na dwie umundurowane strażniczki.

– Wasze matki pieprzyły się ze śmierdzącymi, żrącymi gównem hienami – powiedział cicho po shangańsku. Kobiety aż skurczyły się na tę obelgę. – Won! Jazda stąd, zanim wytnę wam cipy i rzucę je sępom na pożarcie.

Strażniczki zaczerwieńczyły się, ale dalej siedziały nieruchomo ze spuszczonej głowami. Sean położył rękę na kolbie pistoletu, wówczas natychmiast zareagowały, podrywając się z ławki i czmychając do wyjścia.

Odwrócił się znowu do Claudii i pocałował ją w usta, pierwszy raz. Pocałunek zdawał się trwać całą wieczność. Kiedy oderwali się od siebie, Claudia szepnęła:

– Gdy zdjęli mi kajdanki i pozwolili się umyć, wiedziałam, że wkrótce wrócisz.

Jej słowa przywiodły ze sobą obraz cierpienia i poniżenia, przez które przeszła, i Sean odparł z zapiekłą nienawiścią:

– Drań jeden. Zrobię wszystko, żeby pocałował tego, co ci zrobił. Obiecuję ci to.

– Nie, Sean. To już nie ma znaczenia. Skończyło się. Jesteśmy znowu razem i tylko to się liczy.

Mieli tylko kilka minut dla siebie, zanim do pomieszczenia wszedł promieniujący China, a za nim cały dumny sztab.

China wprowadził Seana i Claudię do swojego prywatnego gabinetu, nie zwracając najmniejszej uwagi na nieprzyjazny chłód, z jakim spotkała się jego gościnność. Oboje usiedli obok siebie przed biurkiem, trzymając się za ręce i nie odpowiadając na jego grzeczności.

– Przygotowałem dla was kwatery – oznajmił China. – Wyeksmitowałem nawet jednego z moich wyższych oficerów. Dostaniecie jego schron. Mam nadzieję, że będzie wystarczająco wygodny dla waszych potrzeb.

– Nie zabawimy tu długo, generale – odparł Sean. – Najpóźniej jutro rano chcielibyśmy wyruszyć do domu.

– Pułkowniku, chciałbym, żeby czuł się pan moim honorowym i uprzywilejowanym gościem. Z pewnością zasłużył pan na zwolnienie. Niestety, ze względów czysto wojskowych, ten szczęśliwy moment musi być przełożony o kilka dni. Oddziały Frelimo podjęły nową ofensywę.

Chcąc nie chcąc Sean musiał się z nim zgodzić.

– Zgoda, ale do czasu uwolnienia oczekujemy najlepszego traktowania. Pani Monterro potrzebuje nowego ubrania.

– Dopilnuję, żeby przysłano do waszej kwatery najlepsze ubrania, jakimi dysponujemy. Niestety, nie mogę wam obiecać ciuchów od Calvina Kleina czy Gucciego.

– Jeżeli już o tym mówimy, to będziemy także potrzebować odpowiednich służących, którzy praliby nasze rzeczy i zajęli się gotowaniem.

– Pułkowniku, nie zapomniałem o pańskim kolonialnym pochodzeniu – odpowiedział chytrze China. – Jeden z moich ludzi był kucharzem w hotelu President w Johannesburgu i zna się na europejskim goście.



Sean wstał.

– Obejrzymy teraz naszą kwaterę.

– Mój oficer odprowadzi was – zaproponował China. – Jeśli czegokolwiek będziecie potrzebować, to możecie mu o tym powiedzieć. Otrzymał ode mnie wyraźny rozkaz, żeby zapewnić wam wszelkie możliwe wygody. Jak już mówiłem, jesteście moimi honorowymi gośćmi.

– Dostaję przy nim dreszczy – szepnęła Claudia, gdy młody podoficer wyprowadził ich ze schronu. – Nie wiem, kiedy bardziej się go boję: gdy stara się być czarujący, czy kiedy otwarcie grozi.

– To już nie potrwa długo. – Sean otoczył ją ramieniem i wyprowadził po schodkach na świeże powietrze. Miał jednak wrażenie, że słońcu brakuje naturalnego ciepła i mimo pewności siebie, z jaką uspokajał Claudię, nie mógł się pozbyć chłodu na myśl o generale Chinie.

Schron, do którego zaprowadził ich podoficer, znajdował się pomiędzy drzewami nad brzegiem rzeki, nie dalej niż sto metrów od kwatery Chiny. Wejście było zasłonięte siatką maskującą, a ziemianka została niedawno wykopana w twardej, czerwonej glinie.

– Ten schron jest tak nowy, że pewnie jeszcze nie rozwinęły się w nim populacje pcheł, pluskiew i innej dzikiej zwierzyny – zażartował Sean.

Gliniane ściany były wilgotne i chłodne, a przez szczeliny w palach pokrywających dach wpadało świeże powietrze.

Jedynymi meblami był stół i dwa proste drewniane stołki oparte o ścianę oraz stojące po przeciwnej stronie pomieszczenia drewniane łóżko z materacem z wysuszonej trawy przykrytej wyblakłym płótnem. Wyjątkowym luksusem była zawieszona nad nim siatka przeciwko moskitom.

Eskortujący ich podoficer wezwał służbę. Trójka mężczyzn ustawiła się w szeregu przed Seanem i Claudią. Dwóch chłopców obozowych miało się zajmować praniem i prasowaniem, a wszystkiego miał pilnować kucharz.

Kucharz był starszym mężczyzną z plemienia Shangane, z sympatyczną twarzą, siwymi włosami i brodą. Claudii przypominał murzyńskiego świętego Mikołaja. Oboje polubili go od pierwszego spojrzenia.

– Nazywam się Joyful, sir.

– Więc mówisz po angielsku, Joyful?

– Także po portugalsku, afrikaans, shona i...

– Wystarczy. – Sean podniósł rękę, żeby mu przerwać. – Potrafisz gotować?

– Jestem najlepszym kucharzem w całym Mozambiku.

– W dodatku jaki skromny – roześmiała się Claudia.

– Dobrze, Joyful, na dziś wieczór życzymy sobie chateau-briand. – Sean chciał go wypróbować. Kucharzowi wydłużyła się twarz.

– Przepraszam, sir, nie mamy steków.

– No cóż, mówi się trudno – ustąpił Sean. – Zrób nam najlepszy obiad, jaki potrafisz.

– Sir i madam, powiem, kiedy obiad będzie gotów.

– Nie musisz się spieszyć – rzuciła za nim Claudia i opuściła zasłonę, odprawiając tym samym całą służbę.

Stali obok siebie i trzymając się za ręce przyglądali się łóżku. Claudia pierwsza przerwała ciszę.

– Czy myślisz o tym samym co ja?

– Przed czy po obiedzie? – chciał się upewnić Sean.

– Jedno i drugie – odparła i zaprowadziła go do łóżka.

Rozbierali się nawzajem, przedłużając te chwile, żeby mieć jak najwięcej przyjemności z odkrywania własnych ciał.

Mimo że byli już kochankami, Sean pamiętał jedynie zarys jej ciała w wodzie, a Claudia wcale nie widziała go rozebranego. Przyglądała mu się badawczym spojrzeniem, aż wreszcie Sean nie wytrzymał i zapytał:

– Więc jak, uzyskałem aprobatę pani Monterro?

– O kurczę! – szepnęła nadal śmiertelnie poważna. Sean zaniósł ją do łóżka.

Robiło się już ciemno, kiedy Joyful zakasłał dyskretnie za zasłoną.

– Podano do stołu.

Obiad był przygotowany na drewnianym stole, na którym ustawiono zdobytą przez Joyfula lampę naftową.

– O Boże! – zakrzyknęła Claudia, gdy zobaczyła, co Joyful dla nich przygotował. – Nie zdawałam sobie sprawy, jaka jestem głodna.

Na stole stała potrawka z zielonych gołąbków w grzybach oraz parujące żółte ignamy, ciastka cassava i naleśniki z bananów.

– Generał China kazał to panu posłać – powiedział Joyful, stawiając kilka puszek południowoafrykańskiego piwa.

– Joyful, jesteś niesamowity.

Zjedli obiad w milczeniu, uśmiechając się do siebie pełnymi ustami. Wreszcie Claudia jęknęła cicho.

– Nie sędzę, żebym zaszła dalej niż do łóżka.

– Mnie tam pasuje – zgodził się Sean i sięgnął nad stołem, żeby wziąć ją za rękę.

Gęsta siatka na moskity zasłaniała całe łóżko, stwarzając intymną atmosferę, tak ważną dla miłości. Miękkie, złote światło lampy rozkładało delikatne tony i cienie na twarzy Claudii, na wzniesieniach i zagłębieniach jej ciała.

Sean był oczarowany delikatną skórą dziewczyny. Była tak idealnie gładka, że przy dotyku sprawiała wrażenie ciepłego, wymodelowanego wosku. Jego dłoń niestrudzenie głaskała jej plecy, ramiona i brzuch nie mogąc nacieszyć się ich kształtem.

Claudia przeczesała palcami krótką gęstą brodę i wtuliła twarz w sprężyste włosy porastające mu pierś.

– Jesteś tak owłosiony i umięśniony jak jakieś drapieżne zwierzę – szepnęła podniecona.  
– I równie niebezpieczny. Chyba powinnam się ciebie bać.

– A nie boisz się?

– Troszeczkę. Właśnie dlatego jest to takie podniecające.

Claudia była wprost zagłodzona. Przez bladą skórę Sean mógł z łatwością policzyć jej wszystkie żebra. Ramiona zdawały się bardzo małe, wręcz dziecinne. Sean nie mógł patrzeć na świeże rany na nadgarstkach bez ostrego bólu w piersiach. Nawet jej piersi były teraz mniejsze, ale jemu tym bardziej podobał się ich delikatny kształt. Claudia patrzyła, jak ssie ciemny sutek, i zaczęła namiętnie głaskać gęste loki na szyi.

– To jest bardzo przyjemne – mruknęła cicho. – Ale jest jeszcze drugi. – Schwyciła go za włosy i delikatnie naprowadziła na drugą pierś.

W miłosnym uniesieniu Claudia usiadła mu na piersiach i Sean sięgnął wysoko, żeby pogłaskać jej ramiona i szyję.

– W tym świetle wyglądasz jak mała dziewczynka.

– A ja tak bardzo staram się ciebie przekonać, jaka już jestem dorosła – nadała się przekornie i zaraz nachyliła się, żeby pocałować go w usta.

Spali tak mocno wciśnięci we własne ciała, że czuli uderzenia swoich serc i mieszające się oddechy. Kiedy się obudzili, byli znów tak siebie spragnieni, że wszystko zaczęli od nowa.

– On jest taki sprytny – wymamrotała rozespana Claudia. – Popatrz, sam już potrafi znaleźć drogę.

– Chcesz jeszcze spać?

– Zwariowałeś?!

Dużo później zapytała go:

– Czy sądzisz, że udałoby nam się zrobić to jeszcze raz?

– Możemy spróbować.

W końcu jednak przez szczeliny nad ich głowami zaczęły się przeciskać pomarańczowe palce świtu i Claudia westchnęła:

– Nie, nie chcę, żeby to się skończyło. Chcę zatrzymać cię w sobie na zawsze.

Kiedy Joyful przyniósł im do łóżka herbatę, na tacy obok kubków leżało zaproszenie od generała Chiny na obiad w mesie oficerskiej tego wieczoru.

Dla Seana i Claudii obiad w generalskiej mesie nie był w pełni udany, mimo że China przez cały czas starał się ich oczarować.

Podane na stół mięso z bawołu było twarde i nieświeże, a duże ilości piwa sprawiły, że oficerowie sztabowi nieustannie się przekrzykiwali. W ciągu dnia zmieniła się pogoda i nawet po zapadnięciu zmroku powietrze było ciężkie i parne, a bunkier, w którym urządzono

przyjęcie, był zadymiony i przesiąknięty zapachem męskiego potu.

Siedzący na końcu stołu generał China nie pił piwa i zdawał się nie zwracać uwagi na głośnie zachowanie swoich podwładnych, zajęty prawieniem grzeczności Claudii i wciąganiem ją w rozmowę, której dziewczyna z początku unikała.

Nie była przyzwyczajona do typowego dla Afrykanów zachowania przy stole. Patrzyła zafascynowana, jak kolejne czarne ręce sięgają do stojącej na środku stołu misy z kaszą kukurydzianą, lepią w palcach kulki z ciepłej masy i maczają je w potrawce z bawolego mięsa. Po brodach mężczyzn ściekał gęsty sos. Nikt też nie przerywał rozmowy w czasie żucia jedzenia, w wyniku czego stół był dokładnie opluwany kawałkami mięsa, kiedy któryś z partyzantów zaczynał się śmiać, czy głośno coś wykrzykiwał.

Claudia, która wciąż była okrutnie wygłodzona, nie potrafiła się zdobyć na choćby tknięcie obiadu. Z dużą trudnością koncentrowała się na przemowie Chiny.

– Podzieliliśmy cały kraj na trzy strefy wojenne – wyjaśniał generał. – Generał Takawira Dos Alves jest głównodowodzącym strefy północnej. Podlegają mu prowincje Niassa i Cabo Delgado. Na południu wojskami Renamo dowodzi generał Tippoo Tip, a mnie przypadły centralne prowincje Manici i Sofali. Wszyscy trzej kontrolujemy ponad pięćdziesiąt procent powierzchni Mozambiku, a dalsze czterdzieści procent jest strefą zniszczeń, na której musimy utrzymywać politykę spalonej ziemi, żeby uniemożliwić Frelimo produkcję żywności dla własnej armii lub na sprzedaż.

– Więc raporty, jakie otrzymujemy w Stanach na temat okrucieństw Renamo, są jednak prawdziwe. – Chinie udało się w końcu zainteresować Claudię. Jej ton był teraz oskarżycielski. – Pańscy żołnierze napadają i mordują ludność cywilną w tych strefach zniszczeń.

– Nie, miss Monterro. – Uśmiech Chiny był wyjątkowo lodowaty. – Fakt, że musieliśmy przesiedlić ludność z tych stref zniszczeń, jest niezaprzeczalnie prawdziwy, ale wszelkie okrucieństwa, masakry i tortury są już wyłącznie dziełem Frelimo.

– Przecież Frelimo tworzą rząd w Mozambiku, dlaczego mieliby zabijać własny lud? – zaprotestowała Claudia.

– Zgadzam się z panią, miss Monterro, czasami jest bardzo trudno zrozumieć, jak pracuje umysł marksisty. Prawda jest taka, że Frelimo nie potrafią rządzić krajem. Nie potrafią nawet zapewnić podstawowych artykułów codziennego użytku dla ludności nie mieszkającej w miastach, nie wspominając już o takich rzeczach, jak służba zdrowia, edukacja, transport czy komunikacja. W celu odwrócenia uwagi świata od całkowitej klęski ich polityki gospodarczej i braku poparcia ze strony społeczeństwa, urządzają masowe rzezie, za które, dzięki środkom przekazu, mogą obwiniać Renamo i Południową Afrykę. Łatwiej jest zabić człowieka niż go nakarmić i wykształcić, a propaganda skierowana przeciwko Renamo jest warta dla komunisty milion ludzkich istnień.

– Chce pan powiedzieć, że rząd mozambijski urządza masakrę w stylu Czerwonych

Khmerów? – Claudia była wyraźnie zaszokowana. Zbladła, a na jej czole pojawiły się kropelki potu wywołane dymem, krzykami oficerów i przerażającymi wyjaśnieniami Chiny.

– To nie są przypuszczenia, miss Monterro, zwyczajnie stwierdzam fakty.

– Ale, ale przecież świat musi coś zrobić w tej sprawie?

– Miss Monterro, świat nie przejmuje się takimi sprawami. Tylko my, Renamo, możemy obalić marksistowski reżim.

– Frelimo objęli władzę w wyniku wyborów powszechnych – przypomniała Claudia, ale China natychmiast zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie, bardzo niewiele rządów w Afryce zostało naprawdę wybranych. W Mozambiku, Angoli, Tanzanii czy którymkolwiek z afrykańskich państw socjalistycznych nigdy nie było żadnych wyborów. Rządy w Afryce sprawuje się przez zdobycie ich siłą i utrzymanie się u steru za wszelką cenę. Typowy afrykański rząd przejmuje próżnię po wycofujących się siłach kolonialnych i okopuje się za barykadą karabinów bojowych AK-47. Następnie ogłasza jednopartyjny system rządów, który eliminuje wszelką opozycję i wybiera prezydenta – dyktatora na całe życie.

– Generale China, może zechce mi pan powiedzieć – Claudia podniosła głos, żeby przekrzyczeć hałas panujący w mesie – jeśli pewnego dnia pańskie wysiłki odniosą skutek i rządy przejmą generałowie Renamo w miejsce Frelimo, czy zezwoli pan na wolne wybory i prawdziwie demokratyczny system rządów?

Przez chwilę China przyglądał się jej w zdumieniu i wreszcie wybuchnął śmiechem.

– Miss Monterro, pani dziecięca wiara w dobroć ludzkości jest naprawdę ujmująca. Nie po to walczę tak ciężko i długo, żeby po zdobyciu władzy przekazać ją w ręce bandy nieokrzesanych wieśniaków. Nie, miss Monterro, kiedy przejmemy władzę, zostanie ona w odpowiednich rękach. – Wyciągnął ku niej swoje eleganckie dłonie. – W tych – powiedział.

– Więc jest pan równie zły jak ci, których pan zwalcza. – Na policzkach Claudii pojawiły się czerwone plamy. Siedziała naprzeciwko mężczyzny, który kazał zakuć ją w kajdanki i wrzucił do śmierdzącej dziury, jeszcze na dodatek musiała słuchać jego przechwałek. Nienawidziła go w tej chwili bardziej niż kogokolwiek w swoim życiu.

– Zdaje mi się, że w końcu cokolwiek do pani dotarło przez tę zasłonę liberalnych uczuć. W Afryce nie ma dobrych i złych ludzi, są tylko zwycięzcy i zwyciężeni. – China znowu się rozpromienił. – Zapewniam panią, miss Monterro, że nie zaliczam się do tych ostatnich.

China odwrócił się od niej, gdy jeden z oficerów łącznikowych wsunął się przez niskie wejście do schronu i szybko skierował się do miejsca, gdzie siedział generał. Zasalutował z przepaszającą miną i wręczył mu kawałek żółtego papieru. China przeczytał wiadomość z nie zmienioną miną i podniósł wzrok na swoich gości.

– Muszę państwa przeprosić na kilka minut. – Nałożył beret, naciągając go na jedno ucho, wstał i wyszedł za oficerem z bunkra. Gdy tylko zniknął, Claudia nachyliła się do Seana i spytała szeptem:

– Czy moglibyśmy wyjść stąd teraz? Szczerze mówiąc to już nie mogę dłużej tego wytrzymać. Boże, jak ja nienawidzę tego człowieka.

– Obyczaje są tu raczej rozluźnione – mruknął Sean. – Chyba nikt nie weźmie sobie tego do serca, jeśli wyjdziemy bez pożegnania.

Kiedy zbliżyli się do wyjścia, pożegnał ich chór gwizdów i dowcipów. Z ulgą wspięli się na schody.

Na zewnątrz powietrze ochłodziło się i Claudia wdychała je głęboko, z ulgą.

– Nie wiem, co było gorsze: papierosy czy dialektyka tego człowieka. – Odetchnęła pełną pierś. – Nie podejrzewałam, że Afryka może być właśnie taka. Wszystko jest tak pomieszane, nielogiczne, nic z tego, co się dotąd nauczyłam, nie odpowiada rzeczywistości.

– Przynajmniej nie możesz narzekać na nudę – stwierdził Sean.

– Jest to równie ciekawe jak nocna zmara. Chodźmy do łóżka, to jedyna rzecz, jakiej jestem pewna.

Skręcili w stronę swojej kwatery, ale zatrzymał ich głos generała Chiny.

– Chyba nas jeszcze nie opuszczacie? – Z ciemności wyłoniła się jego wysoka, zwinna postać. – Obawiam się, że mam dla was nieprzyjemne wiadomości.

– Nie puści nas pan. Wycofuje się pan z umowy – powiedział martwym głosem Sean. – Wiedziałem, że coś się święci.

– Zapewniam pana, że nie zależy to ode mnie – odrzekł gładko China. – Właśnie otrzymałem raport radiowy od sierżanta Alphonsa. Jak już panu mówiłem, oczekiwałem jego powrotu dziś wieczór. Jego ludzie mieli odprowadzić pana i panią Monterro do granicy. Niestety...

– W porządku, China, co się stało? – warknął Sean. – Co za nowy plan pan uknuł?

Generał China nie zwracał uwagi na oskarżycielski ton Seana.

– Sierżant Alphonso twierdzi, że na zachód od naszych linii skoncentrowane są duże siły wojsk nieprzyjacielskich. Wygląda na to, że Frelimo, zachęceni sukcesem hindów i wsparci przez oddziały zimbabwejskie, zdecydowali się na podjęcie nowej ofensywy. Najpewniej już jesteśmy odcięci od granicy z Zimbabwe. Obszar, który jeszcze niedawno znajdował się pod naszą kontrolą, musiał zostać zajęty przez przednie oddziały wroga. Za kilka godzin będzie tam regularne pole walki. Nawet teraz sierżant Alphonso musi się przedzierać do naszych linii i poniósł pewne straty. Obawiam się, pułkowniku, że nie miałby pan wielkich szans na przeżycie w tych warunkach. Próba dotarcia do granicy byłaby zwykłym samobójstwem. Musi pan pozostać pod moją osobistą ochroną.

– Dobra, czego, u diabła, oczekujesz ode mnie? – zapytał ostrym tonem Sean. – Coś knujesz, mogę to wyraźnie wyczuć. O co chodzi?

– Pański brak zaufania w moją dobrą wolę jest bardzo nieprzyjemny. – China uśmiechnął się chłodno. – Im wcześniej helikoptery zostaną zniszczone, tym szybciej załamię się ofensywa Frelimo i tym szybciej pan i panna Monterro będziecie mogli wrócić do

cywilizowanego świata.

– Słucham – ponaglił go Sean.

– Jest pan jedynym człowiekiem, poza kapitanem Jobem, który zna stingery. Chcę, żeby pan wyszkolił wybrany oddział moich ludzi w obchodzeniu się z tą bronią.

– To wszystko? – Sean patrzył mu w oczy. – Wyszkolimy pańskich ludzi w posługiwaniu się stingerami i wtedy nas pan puści?

– Dokładnie.

– Skąd mam wiedzieć, czy znowu nie zmieni pan zdania?

– Rani pan mój honor, pułkowniku.

– Nie tak bardzo, jakbym tego pragnął.

– No więc zgoda. Wyszkoli pan moich ludzi, a w zamian za to dam panu eskortę do granicy, kiedy tylko nadarzy się pierwsza okazja.

– A jakie mam inne wyjście?

– Cieszę się, że znowu mówi pan rozsądnie, pułkowniku. To z pewnością wszystkim nam ułatwi życie. – Jego głos stał się nagle stanowczy. – Musimy zacząć od razu.

– Będzie pan jednak musiał poczekać, aż pański sztab nieco otrzeźwieje – odparł Sean. – Szkolenie zacznę jutro z samego rana i jeśli Alphonso dotrze do tego czasu do obozu, to zacznę od jego ludzi i oddziału Ferdinanda.

– Jak długo to potrwa? – chciał wiedzieć China. – Od tej chwili każda godzina jest na wagę życia.

– To są zdolni chłopcy i chętni do nauki. Powinienem zrobić coś z nimi w przeciągu tygodnia.

– Nie mogę dać panu tyle czasu.

– Wyszkolę ich tak szybko, jak to tylko będzie możliwe – odparł zirytowany Sean. – Proszę mi wierzyć, generale, wcale mi nie zależy, żeby przedłużać swój pobyt tutaj choćby o minutę więcej, niż jest to konieczne. Życzę panu dobrej nocy. – Wziął Claudię za ramię i poprowadził ją do schronu.

– Och, Sean – szepnęła po drodze. – Mam okropne przeczucie, że wplątaliśmy się w coś, z czego nigdy nie uda nam się wyrwać. – Sean ścisnął ją w odpowiedzi za rękę i zatrzymali się na ścieżce.

– Spójrz w górę – powiedział spokojnie i Claudia podniosła głowę.

– Gwiazdy? – zapytała. – Czy to chciałeś mi pokazać?

– Tak, gwiazdy. – Pokrywały niebo niczym gigantyczny rój świetlików, który wzbił się wysoko w ciemne przestworza.

– Przywracają spokój duszy – wyjaśnił Sean. Claudia westchnęła cicho.

– Tak, masz rację, kochanie. Dzisiaj mamy swoją miłość. Nacieszmy się nią do woli i nie myślmy o tym, co się zdarzy jutro.

Pod gęstą zasłoną otaczającą łóżko czuła się bezpieczna, w ramionach Seana nic jej nie

groziło. Bryłowaty materac z trawy przyjął kształt ich ciał. Claudia nie zważała na to, że szorstkie płótno ociera jej skórę.

– Nawet gdybyśmy się kochali dziesięć tysięcy razy z rzędu, to i tak wciąż bym cię pragnęła – szepnęła prześlizgując się przez krawędź snu.

Obudziło ją napięcie przyciśniętego do niej ciała. Sean natychmiast przyłożył palec do jej ust dając jej znak, żeby była cicho. Leżała zeszywniała w ciemności nie śmiejąc się poruszyć czy nawet odetchnąć i po chwili usłyszała ten dziwny odgłos. Cichutkie skrobanie przy wejściu do schronu, gdy zasłona została odsunięta i do środka wsunęło się jakieś zwierzę.

Jej serce zaczęło walić jak młotem. Zaciśnęła usta, żeby nie wciągnąć głośno powietrza, gdy to coś przesunęło się w stronę łóżka. Stapające po ziemi łapy zwierzęcia nie wydawały niemal żadnych odgłosów poza delikatnym szmerem przydeptywanego piachu. Poczula obcy zapach dzikiego drapieżcy i z trudem powstrzymała się od krzyku.

Sean rzucił się do przodu niczym atakujący wąż; przedarł się przez zasłonę i Claudia usłyszała szamotaninę i zduszony pisk. Spróbowała precyzyjnie się za Seanem, żeby uciec ze schronu, gdy usłyszała głos kochanka.

– Mam cię, ty mały draniu – powiedział groźnie Sean. – Drugi raz nie udało ci się podkraść do mnie bezkarnie. Powiedz mi jeszcze raz, że się starzeję, a skręcę ci kark!

– Zawsze będziesz młody i piękny, Bwana – zachichotał Matatu, wykręcając się jak szczeniak złapany za kark.

– Gdzie byłeś, Matatu? – zapytał Sean. – Co zatrzymało cię tak długo, czy znalazłeś może jakąś młodą, piękną dziewczynę?

Matatu znowu zachichotał wesoło, uwielbiał, kiedy Sean go oskarżał o tak absurdalne sprawy, jak tracenie czasu na dziewczyny.

– Znalazłem miejsce, gdzie siadają henshawy – pochwalił się. – Natrafiłem na nie w ten sam sposób, w jaki podążam za pszczołą do ula, patrzyłem, w którym kierunku lecą wobec słońca, i dotarłem do ich kryjówki.

Sean przyciągnął go bliżej łóżka i ścisnął czule za ramię.

– Powiedz mi – rozkazał. Matatu usiadł przed łóżkiem, podciągnął opaskę biodrową i kilka razy odchrząknął, żeby zaznaczyć, jak ważna jest jego opowieść.

– Po drodze jest okrągłe wzgórze o kształcie głowy tysego mężczyzny – zaczął Matatu. – Po jednej stronie góry biegnie insimbi, linia kolejowa, a po drugiej droga.

Sean oparł się na jednym ramieniu, a drugą ręką objął Claudię w pól i przysunął bliżej siebie. Przytuliła się do niego mocno, słuchając z przyjemnością cienkiego, ćwierkliwego głosu małego Murzyna.

– W dziurach na wzgórzu jest ukrytych wielu askari z banduki. – Sean tworzył w wyobraźni obraz obwarowanego wzgórza, które Matatu mu dokładnie opisywał. Za zewnętrznym obwodem linii obronnej helikoptery stały otoczone ścianami z worków z piachem. Podobnie jak ufortyfikowane czołgi, hindy nie były wrażliwe na żaden ostrzał



i wystarczyło, żeby uniosły się kilka metrów nad ziemię, żeby wprowadzić do akcji swoje przeraźliwe działka pokładowe i rakiety. – Wewnątrz kręgu siedzących na ziemi henshaw stoi wiele samochodów i beczek i wszędzie chodzą biali ludzie w zielonych ubraniach, którzy ciągle wchodzą do henshaw i oglądają je od środka. – Matatu opisywał wózki ze sprzętem naprawczym, cysterny z paliwem i załogi radzieckich techników i mechaników z obsługi naziemnej. Zdobyte książki mówiły, jak duże są wymogi hindów co do konserwacji i części zamiennych. Natomiast wielkie silniki turbinowe izotowa wymagały olbrzymich ilości avgasu.

– Matatu, czy widziałeś te beczki na szynach przy wzgórzu? – zapytał Sean.

– Tak, widziałem je – potwierdził Matatu. – Te wielkie beczki pełne piwa – ludzie, którzy latają henshaw, muszą być bardzo spragnieni. – Wiele lat temu, w czasie jednej z okazjonalnych wizyt w mieście z Seanem, Matatu zobaczył cysternę rozładowującą ładunek piwa przed największym barem w Harare. Murzyn był pod takim wrażeniem, że od tamtego dnia święcie wierzył, iż wszystkie cysterny przewożą jedynie piwo. Seanowi nigdy nie udało się zmienić tej błędnej opinii, Matatu nie wierzył, że niektóre z tych cystern mogą zawierać tak mało szlachetne płyny jak benzyna, i za każdym razem, gdy widział jedną z nich na drodze, oglądał się za nią tęsknym wzrokiem.

Sean uśmiechnął się w ciemnościach na myśl o naiwności malutkiego Murzyna. Paliwo dla helikopterów było więc dowożone z Harare w cysternach i przeładowywane na miejscu w samochody cysterny. Zakrawało niemal na ironię, że z pewnością pochodziło z Afryki Południowej. Jeśli jednak klucz hindów magazynował paliwo w obozie, to podejmował spore ryzyko. Sean zapamiętał sobie ten szczegół.

Matatu siedział przy łóżku prawie przez godzinę, kiedy Sean cierpliwie wydobywał każdy szczegół z jego pamięci.

Matatu zapewniał, że w obozie znajdowało się jedenaście maszyn, co zgadzało się z oceną Seana. Dwunasty śmigłowiec został zniszczony przez herculesa.

Murzyn zapewnił go także, że tylko dziewięć maszyn było zdolnych do lotu. Schowany na pobliskim kopcu Matatu przyglądał się, jak helikoptery wylatują o świcie, wracają, żeby uzupełnić paliwo w ciągu dnia, i przed nocą lądują w bazie. Sean wiedział, że Matatu potrafi liczyć dokładnie jedynie do dwudziestu – dopiero później zaczyna mieć kłopoty. Każda większa liczba była przedstawiana jako „wiele”, czy „bardzo dużo” i wreszcie jako „niczym trawa na równinie Serengeti”.

Sean był więc pewien, że dwa hindy zepsuły się i czekały na części zapasowe. Dziewięć helikopterów wciąż jednak stanowiło potężną siłę i mogło zmienić wynik zbliżającej się bitwy na niekorzyść Renamo. Chyba że wcześniej uda się wyeliminować wszystkie maszyny.

Kiedy Matatu skończył raport, zapytał po prostu:

– Bwana, co teraz mam robić?

Sean zastanawiał się w milczeniu. W zasadzie nie było powodu, dla którego nie miałby

dołączyć Matatu do swojej grupy Shanganów, jako tropiciela. Coś jednak mówiło mu, że lepiej będzie, jeśli ukryje małego Murzyna przed lodowatym wzrokiem Chiny.

– Jesteś moim ukrytym atutem, Matatu – powiedział po angielsku i dodał w swahili. – Chcę, żebyś trzymał się w ukryciu. Niech nikt cię nie widzi poza mną i Jobem.

– Słucham cię, Bwana.

– Przychodź tu każdej nocy, jak dzisiaj. Będę miał dla ciebie jedzenie i powiem ci, co masz robić. Tymczasem porozglądaj się nieco i powiesz mi, co zaobserwowałeś.

Matatu wyszedł tak cicho, że usłyszeli tylko delikatny szelest zasłony przy wyjściu.

– Nic mu się nie stanie? – spytała zatroskana Claudia. – Martwię się o niego. Jest taki miły.

– Z nas wszystkich on ma największe szansę na przetrwanie. – Sean uśmiechnął się z czułością na myśl o przyjacielu.

– Nie chce mi się już spać. – Claudia otarła się o niego całym ciałem jak kocica. Dużo później szepnęła: – Cieszę się, że Matatu nas obudził...

Było jeszcze ciemno, gdy Sean ściągnął koc z Joba. – Czeka nas sporo roboty. – Kiedy Job się ubierał, Sean opisał mu wczorajszą rozmowę z Chiną.

– Chcesz powiedzieć, że jesteśmy teraz instruktorami. – Job roześmiał się miękko. – Wszystko, co wiemy o tych stingerach, to jedynie to, co przeczytaliśmy w podręcznikach.

– Postaramy się to zmienić – odparł Sean. – Im szybciej wyszkolimy tych Shanganów, tym szybciej się stąd wyniesiemy.

– Czy to właśnie powiedział ci China? – Job przyjrzał mu się uważnie.

– Weźmy się na razie za Ferdinanda i jego chłopaków – odpowiedział szorstko Sean, starając się stłumić własne złe przeczucia. – Podzielimy ich na dwuosobowe grupy, jeden do obsługi wyrzutni, a drugi do noszenia zapasowej amunicji. Oczywiście ten drugi facet musi się także nauczyć wszystkiego, na wypadek gdyby załatwili pierwszego.

Wyjął notatnik, przysunął bliżej świeczkę i zaczął pisać przy jej migającym, żółtym świetle.

– Kiedy ma przybyć Alphonso ze swoim oddziałem? – Job wsunął koszulę w spodnie.

– Dzisiaj, o ile w ogóle przybędzie – odparł Sean.

– To najlepsi ludzie w całej tej zbieraninie – mruknął Job.

– Ferdinand także nie jest zły – zauważył Sean i wpisał oba imiona partyzantów na górze strony wyznaczając ich na dowódców sekcji.

– W porządku, potrzebujemy trzydziestu ludzi do obsługi wyrzutni, podawaj mi imiona.

Wzięli się do pracy jak za starych czasów i Sean poczuł, że sprawia mu to przyjemność.

Gdy zrobiło się dostatecznie jasno, zebrali żołnierzy, którzy wrócili w herculesie z napadu na bazę Grand Reef. Oddział liczył osiemnastu ludzi, po odliczeniu dwóch rannych. Sean od razu awansował Ferdinanda na sierżanta. W podziękowaniu otrzymał promienny uśmiech i tak zamaszty salut, że Murzyn omal się przewrócił na ziemię.

Musiał zająć czymś ludzi w czasie, kiedy razem z Jobem będą zapoznawać się bliżej z raketami.

– Sierzancie – zwrócił się do Ferdinanda, tytułując go według nowej szarży. – Widzicie to wzgórze? – Lekko niebieska góra była ledwo widoczna pomiędzy drzewami. – Weźmiecie ludzi i zrobicie z nimi rundę wokół tej góry. Macie wrócić za dwie godziny. Bierzecie ze sobą broń i pełne plecaki.

Patrząc, jak kolumna partyzantów oddala się biegiem w stronę wzgórza, Sean zauważył:

– Jeśli Alphonso i jego chłopcy nie wrócą przed wieczorem, będziemy musieli wybrać nowych ludzi na ich miejsce. Nie powinno być z tym żadnego problemu, China z radością odda nam swoich najlepszych żołnierzy. Jak na razie znajdujemy się na czele listy jego uprzywilejowanych więźniów.

– W porządku, weźmy się lepiej za te podręczniki – zasugerował Job. – Nie miałem okazji zakuwać od czasu studiów i wcale mi się to teraz nie uśmiecha.

Claudia przyłączyła się do nich w bunkrze, pomagając im w sortowaniu grubych podręczników w czerwonych plastikowych okładkach z wyjmowanymi kartkami. Wyszukiwali informacje, które miały zastosowanie w ich obecnej sytuacji, i odrzucali tomy pełne danych technicznych, raportów operacyjnych i instrukcji, nie odpowiadających warunkom terenowym. Po dwóch godzinach pracy ograniczyli potrzebne im dane do jednego cienkiego tomu.

– W porządku. – Sean wstał od stołu. – Znajdźmy odpowiedni teren do ćwiczeń.

Wyszukali miejsce położone kilkaset metrów od schronu w dół biegu rzeki, gdzie stok niskiego pagórka tworzył naturalny amfiteatr. Wysokie nadbrzeżne mahonie rozciągały swoje gałęzie nad wzgórzem zapewniając osłonę przed ewentualnym nalotem hindów. Kiedy mokry od potu oddział Ferdinanda wrócił do obozu, Sean zapędził ich do oczyszczania terenu pod wzniesieniem z krzaków i do kopania płytkich okopów, w których partyzanci mogliby się ukryć w czasie nalotu.

– Dobra – Sean zwrócił się do Claudii i Joba. – Możemy wyjąć aparat szkoleniowy i jedną z wyrzutni. Od tej chwili jest czas nauki i każdy pyta, jeśli czegoś nie rozumie.

Kiedy otworzyli pierwszą skrzynię, Sean przekonał się, że wszystkie baterie są rozładowane. Na szczęście w każdej z nich znajdował się mały przyrząd do ładowania baterii z odpowiednimi podłączeniami i transformatorami.

Ferdinand i kilku ludzi nadzorowanych przez Joba zanieśli wszystkie baterie do centrum łącznościowego w dowództwie i na rozkaz generała Chiny dostali zezwolenie na zajęcie przenośnej 15-kilowatowej prądnicy generującej prąd o napięciu 220 woltów. Sean podłączył baterie w pęczkach po pięć, ale i tak potrzeba było dwudziestu czterech godzin, żeby wszystkie się naładowały.

Następnie zanieśli aparat szkoleniowy i jedną z wyrzutni na stół, który Ferdinand ustawił na terenie ćwiczebnym pod drzewami. Claudia czytała na głos instrukcje z podręcznika,

a Sean i Job tak długo składali wyrzutnię, aż zaznajomili się z nią na pamięć.

Sean z ulgą stwierdził, że poza częścią IFF użytkowanie wyrzutni nie było trudniejsze od konwencjonalnego działka bezdrutowego RPG-7, które znajdowały się w podstawowym wyposażeniu partyzantów i, jak Job zauważył, każdy partyzant w oddziale Chiny potrafił załadować je nawet w zupełnej ciemności w burzliwą noc.

– Jakkolwiek by było, nie potrzebujemy IFF – stwierdził Sean. – Wszystko, co się unosi w powietrzu, poza ptakami, jest wrogiem. – IFF „System odróżniania wroga od sojusznika” pozwalał na odróżnienie nieprzyjacielskiego samolotu od sojuszniczej maszyny na podstawie specjalnego nadajnika znajdującego się na pokładzie, zapobiegając wystrzeleniu rakiety we własny samolot.

Claudia znalazła rozdział poświęcony IFF. Kierowani jej wskazówkami Sean i Job rozbroili system, zmieniając stingery w normalne wyrzutnie, pozwalające zaatakować każdy samolot, na który namierzyło się broń.

Bez systemu IFF wystrzelenie rakiety nie było już skomplikowane. Najpierw należało znaleźć cel na małym ekranie celownika i zwolnić bezpiecznik, znajdujący się nad uchwytem spustu. Po naciśnięciu specjalnego przycisku, znajdującego się z tyłu rękojeści, włączał się aktywator. Rozpoczął pracę nawigacyjny żyrost, a freon ochładzał aktywne czujniki podczerwone. Przy nakierowanym na obiekt celownika promieniowanie podczerwone było wzmacniane i koncentrowało się na umieszczonym w głowicy rakiety detektorze. Kiedy tylko promieniowanie stawało się dostatecznie intensywne, żeby rakieta mogła podążyć za obiektem, wysuwał się żyrostabilizator i pocisk wydawał przenikliwy sygnał.

W celu wystrzelenia rakiety strzelec musiał nacisnąć spust, który włączał silniczek elektryczny wyrzucający pocisk z tuby. Rakieta wylatywała z przodu tuby przez cienką osłonę i napędzana silniczkiem elektrycznym oddalała się na jakieś osiem metrów od strzelca, osłaniając go przed wybuchem gazów spalinowych. Na tej wysokości zapalał się silnik na paliwo stałe, przez wysuwane stateczniki wybuchał płomień gazów spalinowych i rakieta osiągała prędkość czterokrotnie większą od prędkości dźwięku. Kiedy siła inercji przekraczała dwadzieścia osiem razy siłę grawitacyjną, włączał się bezpiecznik i następowało uzbrojenie głowicy. Rakieta była cały czas nakierowywana na cel własnym proporcjonalnym systemem nawigacyjnym i strzelec nie miał już wpływu na jej trajektorię.

Po włożeniu przeznaczonej do atakowania hindów dyskietki do PMP – programowalnego mikroprocesora – system automatycznie przestawiał się na stan „dwukolorowy” w odległości stu metrów od źródła emisji promieniowania podczerwonego. Rakieta zapominała o promieniowaniu podczerwonym, wydobywającym się z tłumików silnika, i nastawiała się na znacznie słabsze promieniowanie ultrafioletowe, emitowane przez wloty powietrza silnika. Pocisk wlatywał do środka maszyny i rozrywał ją na drobne kawałki.

– Nawet Shangańczyk może się nauczyć obsługi tej wyrzutni – stwierdził Job i Sean się uśmiechnął.

– Uważaj, przemawia przez ciebie twój matabelski rasizm.

– To dlatego, że genetycznie jesteśmy na wyższym poziomie rozwoju, nie ma co tego ukrywać.

Oboje spojrzeli oczekująco na Claudię, ale dziewczyna nawet nie podniosła głowy znad podręcznika, kiedy odparła spokojnie:

– Traciecie tylko czas, bigoci. Tym razem nie uda wam się mnie wciągnąć w wasze gierki.

– Bigot – powtórzył z widoczną przyjemnością Job. – Nikt mnie jeszcze nigdy tak nie nazwał. Uwielbiam to słowo.

– Koniec wygłupów – zakomenderował Sean. – Przyjrzyjmy się symulatorowi.

Kiedy podłączyli pierwszą z naładowanych baterii i złożyli sprzęt, Sean zawyrokował:

– Z pomocą tego sprzętu możemy wprowadzić stingery do akcji w ciągu kilku dni zamiast tygodni.

Po włożeniu dyskietki do podstawy monitora symulatora na ekranie celownika wyrzutni pojawiał się wygenerowany przez komputer obraz hinda, którym instruktor mógł manipulować naśladując lot wspinający się, opadanie, zakręcanie czy unoszenie się w powietrzu maszyny. Jednocześnie instruktor mógł sprawdzać reakcje ucznia, który musiał nacelować broń na obraz helikoptera i zaatakować go także wygenerowaną przez komputer rakietą.

Sean i Job bawili się symulatorem niczym dwaj chłopcy, wprawiając obraz hinda w najtrudniejsze ewolucje.

– To zupełnie jak ta gra komputerowa pacman – stwierdził podekscytowany Job. – Potrzebujemy jednak manekina, pseudo-Shangańczyka, na którym moglibyśmy się poćwiczyć.

Znowu obaj mężczyźni spojrzeli na Claudię, która siedziała na stole z założonymi nogami. Dziewczyna podniosła głowę znad podręcznika, gdy poczuła ich wzrok na sobie.

– Manekin? – spytała. – Ja wam dam manekin. Podajcie mi wyrzutnię.

Stanąła w środku placu ćwiczeń z wyrzutnią na ramieniu i spojrzała na umieszczony przy celowniku monitor. Długa tuba wyrzutni przytłaczała jej wątłą postać. Odwróciła czapkę w barwach maskujących daszkiem do tyłu, co nadało jej wygląd malutkiego gracza w baseball.

– Gotowa? – spytał Sean.

– Już! – zawołała i skoncentrowała się na ekranie. Sean i Job wymienili złośliwe uśmiechy.

– Nadlatuje! – zawołał nagle Sean. – Wysoko na dwunastej. Załaduj i naceluj.

Poprowadził obraz hinda do czołowego ataku z szybkością 150 węzłów.

– Załadowane i nacelowane – potwierdziła Claudia i na swoim monitorze mężczyźni zobaczyli, jak obraz celownika jej wyrzutni gładko podąża i nakłada się na obraz zbliżającego się śmigłowca.

– Aktywator włączony – oznajmiła spokojnie Claudia i w sekundę później usłyszeli cichy pisk wyrzutni, który zaraz przeszedł w jednostajne buczenie namolnego komara. – Na celu – mruknęła Claudia. Hind był sześćset metrów od niej, ale błyskawicznie zbliżał się, rosnąc na ekranie. – Ognia! – powiedziała Claudia. Na ekranie Seana i Joba zapaliło się czerwone światełko, sygnalizujące włączenie się silniczka elektrycznego rakiety i zaraz zamieniające się na zielone, gdy zapalił się silnik rakiety. Ułamek sekundy później hind zniknął z ekranu, a na jego miejsce pojawił się migający napis:

CEL ZNISZCZONY! CEL ZNISZCZONY!

Zapadła głęboka cisza. Wreszcie Job odchrząknął nerwowo.

– Czasami zdarzają się szczęśliwe trafy – stwierdził Sean. – Spróbujemy jeszcze raz.

– Już! – zawołała Claudia, koncentrując się na ekranie.

– Nadlatuje! – krzyknął Sean. – Wysoko na szóstej godzinie. Załaduj i naceluj.

Następnego hinda naprowadził od tyłu na wysokości drzew z szybkością bojową. Dziewczyna miała trzy sekundy, żeby zareagować.

– Załadowane i nacelowane. – Claudia wykonała piruet niczym baletnica i naprowadziła broń na cel. – Aktywator włączony. – Kiedy to mówiła, Sean wprowadził helikopter we wspinający lot ślizgowy, tak że maszyna odchyliła się od Claudii w trzech płaszczyznach. Trafienie maszyny było równie trudne jak lecącego wysoko ptaka, który ma wiatr z boku.

Na ekranie symulatora Sean z Jobem patrzyli z niedowierzaniem, jak Claudia obraca się gładko za celem, cały czas utrzymując obraz śmigłowca na celowniku. Po chwili rakiet zabuczała wysokim tonem.

– Na celu. Ognia!

CEL ZNISZCZONY! CEL ZNISZCZONY! – Zamrugał do nich ekran i obaj mężczyźni przestąpili z nogi na nogę. Job mruknął cicho.

– Raz za razem. To nie szczęśliwy traf, stary. Claudia odłożyła wyrzutnię na stół, obróciła czapkę i podparwszy się pod biodra spojrzała na nich z przekorą.

– Zdawało mi się, że mówiłaś, że nie potrafisz strzelać. – Sean był widocznie urażony.

– Czy córka Riccarda Enrica Monterra mogłaby nie wiedzieć, jak się obchodzić z bronią?

– Ale przecież jesteś przeciwna polowaniu na zwierzęta.

– Zgadza się – potwierdziła Claudia. – Nigdy nie zabiłam żadnej żywej istoty. Ale jestem bezlitosna wobec glinianych gołębi. Mój ojciec nauczył mnie jak strzelać.

– Powinienem się domyślić, kiedy powiedziałaś „Już!” – jęknął Sean.

– Jeśli chcecie wiedzieć – powiedziała Claudia oglądając własne paznokcie – to przez trzy lata zajmowałam pierwsze miejsce w kobiecych stanowych zawodach strzeleckich na Alasce i byłam druga na ogólnokrajowych zawodach w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym.

Obaj mężczyźni wymienili zaambarasowane spojrzenia.

– Nie ma co, zrobiła cię na szaro. – Job pokręcił głową. – A ty się nadstawiłeś jak naiwne

dziecko.

– W porządku, miss Alaska – powiedział z przekąsem Sean. – Jesteś tak sprytna, że właśnie załapałaś się na stanowisko instruktora. Od tej chwili zajmujesz się sprzętem. Job i ja podzielimy Shanganów na dwie grupy i zapoznamy ich z podstawami. Następnie będziemy ci ich przysyłać na symulacje. To powinno przyspieszyć całą naukę.

Generał China przerwał im rozmowę wkraczając na teren ćwiczeń. Beret miał przekrzywiony na jedno ucho i poklepując się krótką pałeczką po udzie, wprawnym okiem ocenił ich przygotowania.

– Kiedy będziecie mogli rozpocząć szkolenie? Miałem nadzieję, że już więcej zrobiliście.

Sean zorientował się, że nie ma sensu mu wszystkiego wyjaśniać.

– Lepiej nam pójdzie, jeśli nikt nam nie będzie przeszkadzał.

– Chciałem was ostrzec, że Frelimo rozpoczęli już ofensywę.

Atakują nas dużymi siłami z południa i z zachodu. Najwidoczniej chcą nas wypchnąć z tych gór i od rzeki na jakiś bardziej otwarty teren, gdzie mogliby zastosować ciężką artylerię i lepiej wykorzystać helikoptery.

– Więc dostajecie teraz baty – Sean dogryzł mu z lekko skrywaną złośliwością w głosie.

– Musimy się cofać. – China odpowiedział na docinek lekkim błyskiem w oczach. – Kiedy moi ludzie próbują się zatrzymać i bronić na jakimś naturalnie osłoniętym terenie, Frelimo wzywają hindy. Radzieccy piloci wykorzystują technikę bliskiego wsparcia, którą opanowali w górach Afganistanu. Zwyczajnie rozbijają nasze linie obrony w drobny mak. Nie jest przyjemnie słuchać przez radio głosów swoich podwładnych błagających o pomoc, kiedy ma się związane ręce. Kiedy będę mógł im posłać stingery?

– Za dwa dni – odparł Sean.

– Tak długo? Czy nie można by tego przyspieszyć? – China niecierpliwie uderzył pałeczką w otwartą dłoń. – Chcę, żeby zorganizował mi pan jeden wyszkolony oddział natychmiast. Cokolwiek, żeby tylko można ich powstrzymać.

– Generale China, to byłoby totalne głupstwo – stwierdził Sean. – Z całym należnym szacunkiem. – W jego głosie nie było słyhać żadnego szacunku. – Jeśli rozmieści pan stingery partiami, to sam pan się wystawi radzieckim pilotom.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – Głos Chiny zatrzeszczał jak pękający lód.

– Ci ruscy piloci spotkali się już wcześniej ze stingerami w Afganistanie, może być pan tego pewien. Znają każdy sposób, żeby im umknąć. W tej chwili są święcie przekonani, że nic im nie grozi i nie zachowują żadnych środków ostrożności. Wystarczy jednak, żeby wypuścił pan jedną rakietę, a wszystko się zmieni. W porządku, może uda się wam zestrzelić jednego czy dwa hindy, ale reszta klucza będzie już gotowa na wasze przyjęcie.

Chłodny wyraz twarzy Chiny stajał, gdy generał zastanowił się nad słowami Seana.

– Więc co pan proponuje, pułkowniku?

– Uderzcie na nich wszystkim, czym dysponujecie.

– Kiedy? Gdzie?

– Gdzie tego najmniej oczekują, organizując zmasowany atak na ich lądowisko – najlepiej o świcie.

– Na ich lądowisko? – China potrząsnął zirytowany głową. – Nie wiemy, gdzie się znajduje ich baza.

– Właśnie, że wiemy – sprzeciwił się Sean. – Znalazłem ich bazę. Wyszkołę Alphonsa i Ferdinanda i przygotuję dla nich plan ataku. Niech mi pan da dwa dni, a pańscy ludzie będą gotowi do drogi. China założył ręce na plecach i zastanawiał się przez chwilę, spoglądając na bezchmurne niebo, jakby oczekiwał, że w każdej chwili może ujrzeć nadlatujące śmigłowce.

– Dwa dni – zgodził się w końcu.

– Dwa dni. Kiedy pańskie oddziały będą wyszkolone i gotowe do ataku, wypuści pan mnie i moich ludzi. To jest mój warunek.

– Pomiędzy nami a granicą znajduje się kolumna wojsk Frelimo – przypomniał mu China.

– Zaryzykujemy – odparł krótko Sean. – To jest umowa między nami, czy da mi pan teraz pańskie słowo?

– Dobrze, pułkowniku. Zgadzam się.

– No to w porządku. Kiedy oczekuje pan powrotu oddziału Alphonsa?

– Już dotarli do naszych linii. Alphonso i jego ludzie powinni znaleźć się tutaj za jakąś godzinę, ale będą zupełnie wyczerpani. Byli w akcji przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny.

– Nie są na majówce. – Sean był nieczuły. – Proszę ich przysłać do mnie, jak tylko przybędą.

Oddział Alphonsa w końcu dotarł na plac ćwiczeń, poruszając się zmęczonym krokiem boksera po dziesięciu rundach walki. Kamuflujące mundury mieli całe wypaćkane błotem i kurzem, a twarze partyzantów były szare ze zmęczenia.

Podczas gdy żołnierze pokładli się na ziemi, zasypiając od razu, Alphonso opisał Seanowi w kilku słowach powrót z bazy Grand Reef, jazdę do misji przez wąską dolinę Honde, gdzie zostawili ciężarówkę Unimog, i w nocy przekroczyli pieszo granicę z Mozambikiem.

– Las jest pełen Frelimo, a w powietrzu wszędzie latają henshaw. – Alphonso przerwał i otarł twarz brudną, postrzępioną chustą. – To jakieś czary, ale henshaw mówiły do nas z powietrza. Kpiły z nas w naszym języku. Powiedziały, że to czary pozwalają im odwrócić każdą kulę i rakietę, jaką w nich wystrzelimy.

Sean skinął głową. Rosjanie muszą posługiwać się potężnymi głośnikami, żeby zdemoralizować obrońców Renamo. To kolejna sztuczka, jakiej nauczyli się w Afganistanie.

– Wszędzie nasi ludzie są rozrywani na strzępy przez kule albo uciekają co sił w nogach. Nie możemy walczyć z henshaw.

– Właśnie, że możecie. – Sean złapał go za mundur. – Pokażę wam jak. Pozbieraj swoich



ludzi. Będą mieli czas na spanie, jak rozwalimy do ostatniego tych ruskich drani.

Sean i Job pracowali i walczyli z tymi ludźmi, znali każdego z nich po imieniu. Potrafili dokładnie ocenić, ile każdy z nich jest wart i do czego jest zdolny.

Wiedzieli na pewno, że w oddziałach Alphonsa i Ferdinanda nie ma ani jednego tchórza. Alphonso potrafił wybrać samych najlepszych. Byli jednak tacy, których Job nazywał „wołami”, silni i głupi, nadający się na mięso armatnie. Pozostali różnili się znacznie pod względem inteligencji i zdolności adaptacji. Na czele grupy stał Alphonso i Ferdinand.

Sean i Job podzielili ich na dwie grupy. Skoncentrowali swoje wysiłki na najbardziej obiecujących ludziach w każdej z nich, wybierając tych, którzy cechowali się zdolnością rozpoznawania dwuwymiarowych obrazów i pojmowania wizerunków na ekranie celownika w terminach kształtu i przestrzeni.

Po trzech godzinach pracy wyselekcjonowali dwudziestu partyzantów, którzy mieli szansę szybko opanować podstawową wiedzę na temat rakiet. Ci zostali wyznaczeni do obsługi wyrzutni. Wybrali też dwudziestu ludzi, którzy mogliby ich zastąpić w razie potrzeby.

Pozostali, którzy nie wykazali się niezbędnymi zdolnościami, zostali wyznaczeni do obsługi broni konwencjonalnej w planowanym ataku na bazę. Sean wziął jedną grupę przyszłych operatorów wyrzutni, a Job drugą i rozpoczęli żmudną pracę zaznajamiania żołnierzy z budową broni. Cała nauka polegała na nieustannym powtarzaniu i ćwiczeniu. Każdy uczeń musiał rozebrać, złożyć i pokazać, jak nacelowuje się wyrzutnię na cel. Wykonując każdą czynność, partyzant wyjaśniał dokładnie pozostałym, co robi, a Sean i Job korygowali błędy.

Był już późny wieczór, kiedy Sean przysłał pierwszą piątkę, w tym Alphonsa i Ferdinanda, do Claudii na ćwiczenia na symulatorze.

Alphonso zaliczył trzy kolejne trafienia. Został awansowany na pomocnika i tłumacza Claudii. Przed zapadnięciem nocy wszyscy pozostali czterej partyzanci zaliczyli również po trzy trafienia z rzędu, które dziewczyna uznała za minimum. W tym czasie Sean i Job przygotowali do ćwiczeń strzeleckich kolejnych dziesięciu ludzi, którzy mieli rozpocząć naukę następnego dnia rano. Kiedy zrobiło się zupełnie ciemno, Sean zwolnił oddział i ludzie Alphonsa powlekli się do schronów, na wpół pijani ze zmęczenia i wysiłku, jakiego wymagała nauka.

Ich kucharz ukradł flaczki z bawołu, który został podany poprzedniego wieczoru w mesie oficerskiej. Dzięki dziennemu upałowi podroby były lekko nieświeże, ale zręczny Joyful ukrył niemiły smak pod sporą ilością posiekanej cebuli i sosu peri-peri. Claudia zbladła, gdy podano na stół parującą misę flaczków, ale w końcu głód przemógł jej wstręt.

– Wyrosną ci dzięki temu włosy na piersiach – zażartował Sean.

– To, mój kochany panie, nie jest według mnie szczytem urody.

– No dobrze – uśmiechnął się porozumiewawczo do niej. – Jak będziesz jadła, to będziesz miała bardziej pulchne pośladki.

– Nie lubisz moich pośladek?

– Bardzo je lubię, właśnie dlatego chcę ich jak najwięcej, tak dużo jak to tylko możliwe.

Kiedy Matatu wśliznął się do schronu, Sean nakarmił go potrawą, aż nagi brzuch małego Murzyna napęczniał jak czarna piłka.

– Dobra, ty mały żarłoczny gnojku – powiedział wreszcie Sean. – Czas, żebyś zarobił na swoje utrzymanie.

Zaprowadzili go na opustoszały plac ćwiczeń, gdzie czekał już na nich Job. Job zebrał już odpowiednie materiały do budowy modelu bazy helikopterów. Przy świetle lamp naftowych zaczęli konstruować miniaturowy obóz. W czasie wojny w Rodezji Matatu nieraz już asystował przy wznoszeniu takich makiet i wiedział, czego się od niego oczekuje. Jak wielu ludzi, którzy nie potrafią czytać ani pisać, Matatu miał fotograficzną pamięć.

Przykucnął na ziemi pokazując Seanowi i Jobowi topografię terenu w bazie i naokoło, kształt gór, pomiędzy którymi leżał obóz, oraz, w którym kierunku znajdowała się linia kolejowa i główna droga.

Claudia wykazała się talentem, którego Sean najmniej po niej oczekiwał. Z kawałków białego, miękkiego drzewa baobabu zbudowała jedenaście miniaturowych modeli helikopterów bojowych Hind. Modele były nawet wierne pierwowzorowi i kiedy ustawiła je na stanowiskach startowych w obozie, dodały realizmu całej konstrukcji.

Było już dobrze po północy, gdy Claudia i Sean wsunęli się nadzy do łóżka w schronie. Oboje byli śmiertelnie zmęczeni, ale nawet po obfitej dawce miłości nie mogli zasnąć. Leżeli więc obok siebie w ciemnościach i rozmawiali. Wspomnienie ojca w czasie dnia spowodowało, że Claudia wróciła myślami do dzieciństwa. Słuchając jej opowiadań Sean czuł ulgę, że dziewczyna potrafi swobodnie mówić o ojcu. Przełamała w sobie pierwszy szok i smutek i wspominała go ze spokojną melancholią, która była niemal bezbolesna wobec jej poprzedniego żalu.

Opisała Seanowi, jak w wieku czternastu lat, kiedy zaczęła stawać się kobietą, bezpieczny kokon jej dostatniego życia pękł w czasie burzliwego rozvodu rodziców. Opowiedziała mu także o późniejszych latach, malując obraz dotkliwej samotności, gdy była rozdzielona z ojcem, i przyływy miłości i walki, kiedy mogła się z nim widzieć.

– Sam teraz rozumiesz, czemu wszystko we mnie jest tak strasznie poplątane – powiedziała. – Dlaczego staram się być najlepsza w tym, co robię, i dlaczego zawsze próbuję osłaniać i pomagać tym, którzy nie mieli tyle szczęścia w życiu. Przez połowę czasu staram się zdobyć uznanie ojca, podczas gdy przez drugą połowę próbuję odrzucić jego egoistyczny, materialny sposób patrzenia na życie. – Przytuliła się mocniej do Seana. – Naprawdę nie wiem, jak ci się uda mnie utrzymać.

– Trzymać cię, zwłaszcza w ramionach, zawsze będzie przyjemnością – zapewnił ją Sean.

– Natomiast wskazać ci twoje miejsce przy mnie może być poważnym problemem.

– Właśnie coś takiego powiedziałby ojciec. Zdaje się, mój panie, że czekają nas porządne

awantury.

– Ach, ale pomyśl tylko o słodczy pojednania.

W końcu udało im się złapać kilka godzin snu. Obudzili się zadziwiająco świeży i gotowi do podjęcia szkolenia w miejscu, w którym przerwali je poprzedniego dnia.

W czasie gdy Claudia szkoliła ostatnich partyzantów na symulatorze, Sean i Job przykucnęli przed modelem bazy. Sean wyjaśnił Jobowi swój plan ataku, a ten poddawał mu nowe pomysły i sugestie, aż wreszcie byli pewni całej akcji w najdrobniejszych szczegółach, jak strona, od której mają podejść bazę, sam napad i wycofanie się. Przygotowali też zapasowe warianty na wypadek, gdyby w którymś miejscu oryginalny plan się nie powiódł.

– No dobrze. – Sean wyprostował się. – Sprowadźmy tu chłopaków.

Usadowieni na skalnych półkach wzgórza wznoszącego się nad placem ćwiczeń, Shangani przyglądali się z niekłamanym zainteresowaniem, jak Sean i Job opisują plan napadu na bazę. Sean posłużył się kamykami z rzeki, żeby oznaczyć poszczególne oddziały grupy uderzeniowej, układając je na pozycjach wokół bazy. Kiedy obaj mężczyźni rozpoczęli atak, Claudia poruszała modelami helikopterów. Za każdym razem, gdy któryś z miniaturowych hindów spadał i rozbijał się o ziemię trafiony salwami stingerów, zebrani Shangani wydawali okrzyk radości.

– W porządku, sierżancie Alphonso. – Sean ustawił kamyki na wyjściowej pozycji. – Proszę nam pokazać przebieg ataku.

Powtórzyli całą sekwencję napadu pięć razy. Przywódcy sekcji stawali przed modelem i opisywali partyzantom poszczególne etapy ataku. Pięciokrotnie też partyzanci wiwatowali zniszczenie wszystkich hindów. Kiedy Sean i Job mieli pewność, że wszyscy nauczyli się na pamięć, co mają robić, i zakończyli przepytywanie, Alphonso wstał z miejsca i zwrócił się do Seana wobec całego oddziału.

– Nkosi Kakulu – zaczął. Nigdy wcześniej nie zwracał się jeszcze w ten sposób do Seana. Tytuł ten był zarezerwowany dla najwyższych przywódców plemiennych. Sean był świadom zaszczytu, z jakim się spotkał. Był to dowód, że udało mu się zdobyć szacunek i lojalność tych dumnych, doświadczonych wojowników. – Wielki Wodzu – mówił dalej Alphonso – twoje dzieci są pełne niepokoju. – Wśród żołnierzy rozległ się zgodny pomruk i wielu z nich pokiwało głowami. – We wszystkim, co powiedziałaś nam o bitwie, nie zapewniłaś nas, że będziesz nas prowadzić i wlejesz odwagę w nasze żyły, jak to zrobiłaś w bazie Grand Reef. Powiedz swoim dzieciom, Nkosi Kakulu, że będziesz z nami w tej walce i że będziemy słyszeć twój ryk lwa, gdy henshaw zaczną spadać z nieba w płomieniach, a te pawiany Frelimo rzucą się do ucieczki wrzeszcząc niczym dziewice, gdy pierwszy raz poczują członek. Sean rozłożył ręce.

– Nie jesteście moimi dziećmi – powiedział. – Jesteście prawdziwymi mężczyznami, jak wasi ojcowie. – Dla Shanganów nie było większego komplementu. – Nie potrzebujecie mnie, żeby zrobić to, co należy. Nauczyłem was wszystkiego, co sam wiem. Płomień w waszych

żyłach wybuchnie z tą samą siłą, co pożar na wysuszonym stepie. Bitwa należy do was. Ja muszę odejść, ale zawsze będę dumny, że byliśmy przyjaciółmi i że walczyliśmy razem ramie w ramie jak bracia.

Wśród zebranych rozległ się szmer sprzeciwu i partyzanci zaczęli kręcić głowami mówiąc jeden przez drugiego.

Sean obrócił się i zobaczył, że w czasie gdy przemawiał do żołnierzy, generał China podszedł do ich grupy i stanął z tyłu pomiędzy drzewami, nie spuszczać z niego oka. Za nim stało kilku oficerów i ludzi z osobistej ochrony, wszyscy ubrani w takie same brązowe berety i mundury, ale wydawali się mało znaczący przy swoim dowódcy. China wyszedł na środek i partyzanci uciszyli się.

– Pułkownik Courteney, widzę, że przygotowania dobiegły końca – przywitał Seana.

– Tak, są już gotowi, generale.

– Czy zechciałby pan jeszcze raz przedstawić cały plan? Sean wybrał Alphonsa.

– Opisz plan ataku – polecił mu. Generał China stanął przed modelem bazy, z nieodłączną pałeczką trzymaną za plecami, i przyglądał się uważnie każdej czynności, od czasu do czasu przerywając mówiącemu, żeby zadać pytanie.

– Dlaczego zdecydował się pan użyć tylko połowy rakiet?

– Grupa uderzeniowa musi przedrzeć się przez linie Frelimo nie zauważona. Rakiety są duże i ciężkie. Ich większa liczba bardziej by się rzucała w oczy. Frelimo mogliby się na nie natknąć.

China skinął głową i Sean mówił dalej.

– Musi pan także założyć ewentualne niepowodzenie napadu. Gdyby to się zdarzyło i straciłby pan wszystkie rakiety... – Sean wzruszył ramionami.

– Tak, ma pan rację, lepiej jest zatrzymać połowę rakiet w odwodzie. Nawet jeśli plan ataku się nie powiedzie, to nie zostaniemy bezbronni. Proszę kontynuować.

Alphonso przedstawił każdy etap planu, obrazując za pomocą kolorowych kamyczków, jak załogi z rakietami ustawią się na pozycjach pięćset metrów od ogrodzenia obozu, po dwie załogi na każde stanowisko śmigłowca.

Na sygnał czerwonej racy grupa uderzeniowa zaatakuje bazę od południa, rozwalając cysterny z paliwem, które powinny się znajdować na torach, pociskami RPG-7, ostrzeliwując wnętrze bazy z moździerzy i zabijając Frelimo z karabinów maszynowych.

– Henshaw wystraszą się, jak tylko rozpocznie się strzelanina – wyjaśnił Alphonso. – Będą chciały uciec, ale jest taki moment, kiedy podniosą się z ziemi, że są jeszcze nisko i wiszą nieruchomo w powietrzu jak jastrząb, który zastyga na chwilę nad ziemią, zanim usiądzie. W tej właśnie chwili zabijemy je wszystkie.

Sean i China omówili wszystkie szczegóły planu i generał wydawał się w końcu usatysfakcjonowany.

– Więc kiedy wyruszacie?

– Powtarza pan ciągle „wy” – zarzucił mu Sean. – Ja nie mam z tym nic wspólnego. Sierżant Alphonso poprowadzi atak. Wyruszą dziś wieczór dwie godziny przed zmierzchem, żeby przedrzeć się przez linie Frelimo w nocy, znaleźć się na stanowiskach jutro rano i rozpocząć atak w nocy.

– Bardzo dobrze – zgodził się China. – Przemówię teraz do żołnierzy.

Sean musiał przyznać, że jest znakomitym oratorem. Generał przypomniał żołnierzom o konsekwencjach, jakie ich czekają, jeśli Frelimo zwycięży, i zachęcił ich do dzielnej walki oraz samopoświęcenia. Kiedy skończył przemawiać, ich twarze zdawały się lśnić, a oczy błyszczały patriotycznym zapalem. Generał China podniósł głos.

– Jesteście wojownikami i chcę usłyszeć, jak śpiewacie hymn Renamo.

Las odpowiadał echem na połączone głosy partyzantów i oczy Seana zaszyły mgłą od wezbranych emocji. Dopiero teraz, gdy miał ich opuścić, uświadomił sobie, ile dla niego znaczą ci ludzie.

– Pułkowniku, chciałbym z panem porozmawiać na osobności. – Głos Chiny przedarł się przez jego sentymentalny nastrój. – Proszę ze mną.

Przed odejściem Sean zwrócił się do Claudii i Joba.

– Zróbcie każdemu z nich jeszcze jedną próbę na symulatorze.

Sean ruszył za Chiną w stronę bunkra dowódczego. Nie zwrócił uwagi na fakt, że ochrona osobista generała nie idzie tuż obok niego, ale została na placu ćwiczeń.

Kiedy doszli do schronu, China poprowadził go do swojego biura. Na stole czekała już na nich herbata. Sean nasypał brązowego cukru do kubka i z przyjemnością napił się gorącego płynu.

– O czym pan chciał ze mną rozmawiać? – zapytał.

China stał odwrócony do niego plecami oglądając mapę, na której kolorowymi szpilkami była zaznaczona ofensywa Frelimo. Nie odpowiedział na pytanie, a Sean nie chciał być natrętny. Popijał herbatę i cierpliwie czekał w milczeniu.

Z pokoju łącznościowego wbiegł radiooperator i podał Chinie kartkę z wiadomością. Przeczytawszy ją, generał wykrzyknął coś z wyraźną niechęcią zmieszaną z niepokojem i przesunął na mapie kilka szpilek. Oddziały Frelimo przedarły się na zachodzie przez linie obrony Renamo i szybko się zbliżały do centrum.

– Nie potrafimy ich powstrzymać – powiedział China nie obracając się do Seana. Kolejny posłaniec wpadł do bunkra z wiadomością. Był to jeden z jego osobistych goryli. Szepnął kilka słów swojemu przełożonemu na ucho. Seanowi wydawało się, że dosłyszał słowo „amerykańska”. Z zaciekawieniem nadstawił ucha.

China uśmiechnął się szybko i odprawił mężczyznę skinięciem głowy. Następnie odwrócił się do Seana.

– To się nie powiedzie – powiedział.

– Co się nie powiedzie?

– Atak, jak go pan zaplanował.

– Na wojnie nic nie jest pewne, co pan powinien wiedzieć, generale. Muszę się jednak sprzeciwić. Plan ma jakieś sześćdziesiąt procent szansy na powodzenie. To całkiem sporo.

– Szansę byłyby znacznie większe, może nawet osiągnęłyby osiemdziesiąt procent, gdyby pan osobiście poprowadził atak, pułkowniku Courteney.

– Czuję się zaszczycony pańskim uznaniem. Niestety, są to rozważania czysto teoretyczne. Nie poprowadzę ataku. Wracam do domu.

– Nie, pułkowniku. Właśnie, że poprowadzi pan atak.

– Mieliśmy umowę.

– Umowę? – China omal się nie roześmiał. – Niech pan nie będzie naiwny. Zawieram umowy i zrywam je, gdy zachodzi taka konieczność. Obawiam się, że teraz zaszła taka konieczność.

Sean poderwał się z krzesła. Jego twarz była śmiertelnie blada pod opalenizną.

– Idę. – Mimo oszałamiającej wściekłości zdołał zapanować nad głosem. – Zabieram moich ludzi i idziemy do domu. Natychmiast. Będzie pan musiał mnie zabić, jeśli chce mnie pan zatrzymać.

China dotknął swojego uszkodzonego ucha i uśmiechnął się.

– Zapewniam pana, że ten pomysł ma swoje atrakcyjne strony. Mam jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie.

– Zobaczymy. – Sean kopnął krzesło tak, że poleciało w powietrzu i rozbiło się o ścianę. Obrócił się i ze schyloną głową wybiegł przez niskie drzwi.

– Wróci pan – zapewnił go spokojnym głosem China, ale Sean zdawał się go nie słyszeć. Wyszedł na dwór i ostrym krokiem ruszył w stronę rzeki.

Doszedł do placu ćwiczeń, gdy uświadomił sobie, że coś jest nie w porządku.

Shangani siedzieli sztywno na zboczu wzgórza. Wyglądało na to, że nie ruszyli się z miejsca od chwili, kiedy ich opuścił. Twarz Alphonsa zdawała się wyrzeźbiona w czarnej skale, pozbawiona wyrazu i tępa, niczym tarcza głupoty, jaką Murzyni oddzielają się od sił, przed którymi nie mogą się obronić.

Job leżał na stole na środku placu. Jego mundur był utyłany w kurzu, a czapka leżała na ziemi. Potrząsnął niepewnie głową i z nosa pociekły mu krople krwi.

– Co się stało? – Sean podbiegł do niego. Job patrzył na przyjaciela starając się skoncentrować na nim wzrok. Został brutalnie pobity. Wargi miał opuchnięte, a w ustach pełno krwi, która barwiła mu zęby niczym czerwone wino. Jedna brew była rozcięta i z kącika oka spływała krew na policzek. Krew płynęła mu także z nosa, tworząc różowe bańki, gdy usiłował oddychać. Na czole miał potężne siniaki, a koniec prawego ucha rozerwany.

– Job, co, u diabła...? – Sean złapał go za ramię. – Kto?

– Staralem się ich powstrzymać! – wybełkotał Job, koncentrując wzrok na twarzy Seana.  
– Próbowałem!

– Uspokój się.

Sean chciał go posadzić, ale Job odtrącił rękę przyjaciela.

– Claudia! – powiedział.

Sean poczuł, jak żołądek zaciska mu się ze strachu.

– Claudia! – powtórzył za Jobem i rozejrzał się wokoło. – Job, gdzie ona jest? Co się stało?

– Zabrali ją – odparł Job. – Goryle Chiny. Staralem się ich powstrzymać.

Sean wyszarpnął pistolet z kabury.

– Job, gdzie ona jest? – Zaciskał dłoń na kolbie.

– Nie wiem. – Job otarł twarz dłonią i spojrzał na zakrwawione palce. – Leżałem nieprzytomny, nie wiem jak długo.

– China, ty pieprzony skurwielu, zginiesz za to. – Sean odwrócił się, gotów biec do schronu dowództwa.

– Sean, pomyśl najpierw! – zawołał Job i Sean się zatrzymał. Tyle razy ocalił mu życie tymi dwoma słowami „pomyśl najpierw”.

Wymagało to olbrzymiej siły woli, ale na chwilę zdołał odsunąć od siebie żądę zabijania.

– Job, podręczniki! – zawołał. – Spal je!

Job zamrugał oczyma, po których spływała krew z rozciętej brwi.

– Spal podręczniki! – powtórzył Sean. – To nasze zabezpieczenie. Tylko my wiemy, jak to działa.

Na twarzy Joba pojawił się wyraz zrozumienia.

– I dyskietki – zawołał.

– Właśnie! – zgodził się Sean. – Dyskietki. Daj mi je.

Podczas gdy Job w pośpiechu pakował dyskietki do pudełka, Sean podszedł do siedzącego na ziemi Alphonsa i wyjął mu zza pasa granat zapalający.

Za pomocą granatu i talrepu od pistoletu zmontował prostą bombę-pułapkę we wnętrzu skrzynki z dyskietkami. Przewlókł zaczep talrepu przez zawleczkę granatu i włożył go do środka. Następnie wywiercił bagnetem dziurę w wieczku, przeciągnął przez nią sznurek, którego koniec owinął silnie wokół nadgarstka i zamknął szczelnie wieko.

– Niech teraz China spróbuje mi to zabrać – powiedział z zaciętą miną. Gdyby skrzynia została mu wyrwana z ręki, albo upadła na ziemię, sznurek wyrwałby zawleczkę i granat zniszczyłby dyskietki, zabijając wszystkich znajdujących się w pobliżu. Sean poczekał, aż Job podpali stertę podręczników.

Gdy książki zajęły się od ognia, Sean powiedział:

– Zostań tutaj i przypilnuj, żeby spaliły się na popiół. Następnie ze skrzynką pod pachą ruszył w stronę bunkra dowódczego.

– Powiedziałem, że pan wróci – generał przywitał go z lodowatym, sardonycznym

uśmiechem, który zniknął, gdy zobaczył skrzynkę w rękach Seana i koniec sznurka owinięty wokół jego nadgarstka.

Sean podniósł skrzynkę i podsunął ją Chinie pod nos.

– Tu jest twój cały klucz hindów, China – powiedział, z trudem panując nad głosem. – Bez tego twoje stingery są bezużyteczne. Oczy Chiny uciekły w stronę wejścia do schronu.

– Nawet nie myśl o tym – ostrzegł go Sean. – W skrzynce jest granat zapalający. Talrep jest przymocowany do zawlecзки. Jeśli na przykład upuszczę skrzynkę, gdybym nagle został zastrzelony, albo ktoś mi ją wyrwał z ręki, to granat wybuchnie i rozerwie wszystko na drobne kawałki.

Patrzyli na siebie nienawistnymi spojrzeniami.

– Mamy więc patową sytuację, pułkowniku. – Na twarzy Chiny znowu rozkwitł uśmiech, jeszcze chłodniejszy i bardziej zjadliwy niż kiedykolwiek wcześniej.

– Gdzie jest Claudia Monterro? – zapytał Sean i w odpowiedzi China zawołał ordynansa z pomieszczenia łącznościowego.

– Przyprawdźcie kobietę! – rozkazał. Obaj czekali stojąc naprzeciwko siebie i uważnie obserwując jeden drugiego.

– Powinienem pamiętać o dyskietkach – powiedział China spokojnym głosem. – To był dobry pomysł, pułkowniku. Bardzo dobry. Sam pan widzi, dlaczego nalegałem, żeby pan poprowadził atak.

– Kiedy już jesteśmy przy temacie – odparł Sean – to spaliłem także podręczniki. Tylko troje z nas – Job, Claudia i ja – zna zasadę obsługi stingerów.

– A co z moimi Shanganami, Alphonsem i Ferdinandem? – zapytał wyzywająco China. Sean wyszczerzył do niego zęby niczym uśmiechająca się czaszka.

– Nic z tego, China. Potrafią strzelać z wyrzutni, ale nie mają zielonego pojęcia, jak zaprogramować mikroprocesory. Potrzebujesz nas, China. Bez nas hindy dopadną cię i rozwalą. Nic na to nie będziesz mógł poradzić. Lepiej nie próbuj mnie oszukać, bo cała twoja armia jest w moich rękach.

Z korytarza dobiegły ich odgłosy kroków i obaj mężczyźni spojrzeli w stronę drzwi, gdy Claudia została wepchnięta do pokoju.

Ręce dziewczyny znowu były skrępowane kajdankami na plecach, zgubiła czapkę i jej włosy opadły w nieładzie na twarz i szyję.

– Sean! – zawołała na jego widok, wyszarpując się z rąk dwóch ochroniarzy. Mężczyźni pchnęli ją silnie na ścianę i przytrzymali.

– Powiedz swoim gnojom, żeby ją puścili – warknął Sean. Kiedy mężczyźni spojrzeli na niego ze złością, China powstrzymał ich nowym poleceniem.

– Posadźcie tę kobietę na krześle!

Ludzie z ochrony rzucili Claudię na ciężkie, mahoniowe krzesło i na jego kolejny rozkaz przypięli ją kajdankami do poręczy.



– Pułkowniku, ja mam coś pańskiego, a pan ma coś mojego. Może zawrzemy umowę? – zasugerował China.

– Wypuść nas do domu – odparł natychmiast Sean. – Na granicy oddam wam dyskietki. China pokręcił przecząco głową.

– Niestety, nie mogę się na to zgodzić. Oto moja oferta. Poprowadzi pan atak na bazę hindów. Jeśli atak będzie udany, Alphonso odprowadzi was do granicy.

Sean podniósł skrzynkę i China się uśmiechnął. W odpowiedzi wyjął z pochwy długi nóż. Rękojeść była z kości słoniowej, ostrze miało z piętnaście centymetrów.

Nadał z uśmiechem na ustach wyszukał pojedynczy włos na głowie i wyrwał go. Ujął go pomiędzy kciuk i palec wskazujący i dotknął ostrzem. Połowa włosa spłynęła na podłogę.

– Jest bardzo ostry – powiedział cicho China.

– Jeśli zabijesz ją, nie będziesz już się miał o co targować, – Głos Seana był ochrypły z napięcia. Czuł, że się poci.

– Mam jeszcze to do targowania – odparł China i skinął na strażę przy drzwiach.

Wprowadzili osobę, którą Sean widział pierwszy raz na oczy. Miał wrażenie, że patrzy na zjawę z trupa czaszką. Włosy powypadały całymi kępkami z głowy, zostawiając na czaszce czarne place. Wargi skurczyły się i cofnęły odsłaniając całe zęby, które były wyraźnie za duże w stosunku do pomarszczonej głowy.

Na rozkaz Chiny strażnik zdarł ze zjawy brudną, porwaną koszulę i Sean zorientował się, że stojąca przed nim naga postać musi być kobietą.

Jej ciało przypominało mu ludzkie szkielety, jakie widział na zdjęciach z obozów koncentracyjnych w Dachau i Bergen-Belsen. Był to prawdziwy kościotrup okryty ponaciąganą skórą, puste piersi zwisały przyłączone do żeber, brzuch był tak zapadnięty, że pępek dotykał kręgosłupa. Ramiona i nogi nie miały jednego choćby mięśnia, a łokcie i kolana wydawały się groteskowo nadmuchane.

Sean i Claudia patrzyli na tę żywą zmore z przerażeniem, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

– Przyjrzyjcie się patologicznym zmianom na jej brzuchu – zaproponował China i oboje odrętwiali posłuchali polecenia.

Cały brzuch był pokryty twardymi lśniącymi wrzodami, wielkimi niczym czarne winogrona. Zmiany sięgały głęboko w dół pomiędzy nogi kobiety.

Kiedy Sean i Claudia przyglądali się ze zgrozą chorej, China szybko wyciągnął nóż i dotknął końcem ostrza ręki dziewczyny.

Jęknęła próbując cofnąć dłoń, ale powstrzymały ją kajdanki. Patrzyła z szeroko otwartymi oczami, jak krew ścieka jej z dłoni po palcach na podłogę.

– Dlaczego to zrobiłeś, ty śmierdzący draniu?! – krzyknął Sean. China uśmiechnął się.

– To tylko lekkie zadraśnięcie.

Wyciągnął wolno rękę w stronę kobiety, celując nożem w zapadnięty brzuch.

– Jest w końcowym stadium wycieńczenia, a te wrzody są łatwe do rozpoznania – wyjaśnił zebrany. – Ta kobieta cierpi na chorobę, którą my w Afryce nazywamy „śmiertelną chudością”.

– AIDS – szepnęła Claudia, zawierając w tym jednym słowie całe swoje przerażenie.

Nawet Sean nie mógł się powstrzymać, żeby nie cofnąć się o krok od chorej kobiety.

– Tak, pani Monterro – potwierdził China. – AIDS w końcowym stadium.

Dotknął końcem noża jeden z napęczniałych wrzodów. Kobieta nawet nie zareagowała, gdy z rany trysnęła ropa zmieszana z czarną krwią, spływając na jej włosy łonowe.

– Krew – szepnął China, zbierając ją ostrożnie na ostrzu noża. – Ciepła, żywa krew wypełniona wirusami.

Podsunał Seanowi ostrze pod nos, żeby mógł się lepiej przyjrzeć. Sean cofnął się jeszcze dalej od ociekającego noża.

– Właśnie – zgodził się China. – Coś, czego nawet najodważniejsi mogą się obawiać, najpewniejsza, najokropniejsza i najwstrętniejsza śmierć wszech czasów.

Wolną ręką schwycił nadgarstek Claudii.

– Niech pan spojrzy na tę krew. Słodka, czysta krew pełnej życia, pięknej, młodej kobiety.

Zadrapanie na dłoni było jasnoczerwoną pręgą, ale krew przestała już ściekać.

– Krew do krwi – szepnął China. – Chora krew do zdrowej krwi.

Przysunął zabrudzone ostrze bliżej do ręki Claudii i dziewczyna zdrętwiała na krześle, napinając z całej siły kajdanki, z twarzą bladą jak sama śmierć.

– Krew do krwi – powtórzył China. – Czy pozwolimy im się zmieszać?

Sean nie miał siły odpowiedzieć, ze ściśniętym gardłem pokręcił przecząco głową, patrząc szeroko rozwartymi oczami na nóż.

– Czy mam to zrobić, pułkowniku? – zapytał China. – To zależy teraz od pana. – Przysunął ostrze jeszcze bliżej rany na gładkiej, opalanej skórze ręki. – Jeszcze tylko kilka centymetrów, pułkowniku – szepnął złowieszczo China i nagle Claudia zaczęła krzyczeć; był to przeraźliwy wrzask strachu i wstrętu, ale China nawet nie drgnął. Nie patrzył wcale na jej twarz, a nóż w jego ręku pozostał nieruchomy. – Czy mam to zrobić, pułkowniku? – zapytał.

Zniżył nóż i dotknął nadgarstka płaską stroną ostrza, zostawiając smugę chorej krwi na skórze, zaledwie kilka centymetrów od rany. Wolno zaczął przesuwając nóż w dół.

– Pułkowniku, proszę się szybko zdecydować. Za kilka sekund będzie za późno. – Nóż zostawiał lśniąca smugę niczym jakiś wstrętny ślimak. Nieubłaganie zbliżał się do otwartej rany.

– Zatrzymaj to! – ryknął Sean, który nagle odzyskał głos. – Zatrzymaj to!

China podniósł nóż do góry i spojrzał na niego pytająco.

– Czy to znaczy, że osiągnęliśmy porozumienie?

– Tak, niech cię piekło pochłonie! Zrobię to!

China rzucił nóż w kąt pokoju, otworzył jedną z szuflad w biurku i wyjął butelkę ze środkiem antyseptycznym. Nasączył chusteczkę płynem i bardzo ostrożnie zmył zakażoną krew z ręki Claudii.

Dziewczyna opadła bezwładnie na krzesło. Dyszała ciężko i drżała cała niczym kociak zostawiony na deszczu.

– Puść ją. – Głos Seana przypominał jakiś dziwny chrobot. China pokręcił przecząco głową.

– Najpierw wyjaśnimy sobie pewne punkty naszej umowy.

– Dobrze – warknął na niego Sean. – Pierwszy punkt naszej umowy, to że moja dziewczyna idzie ze mną na akcję. Dostyc już tych ukrytych pułapek.

China zastanawiał się przez chwilę, zanim skinął głową.

– Zgadza się, ale drugi punkt będzie następujący: jeśli zawiedzie mnie pan w jakikolwiek sposób, to Alphonso ją natychmiast zabije.

– Wezwij tu Alphonsa – zażądał Sean. Pot na czole jeszcze mu nie obseczał, a głos był nadal chropowaty i niepewny. – Chcę być przy tym, jak wydajesz mu rozkazy.

Alphonso stanął na baczność przed Chiną i słuchał polecenia w milczeniu.

– Jeśli atak się nie powiedzie, jeśli natkniecie się na Frelimo, zanim dotrzecie do bazy lub jeśli ucieknie choć jeden henshaw...

– Nie, generale – przerwał mu Sean. – Pełne zwycięstwo to trochę za wysokie wymaganie. Bądźmy realistami. Jeśli uda mi się zniszczyć co najmniej sześć hindów, to musi pan uznać, że ze swojej strony dotrzymałem umowy.

China zmarszczył brwi i pokręcił głową.

– Nawet sześć hindów wystarczy, żeby zapewnić Frelimo zwycięstwo. Pozwolę, żeby zniszczył pan wszystkie oprócz dwóch. Jeśli więcej niż dwa śmigłowce uciekną z bazy, pańska misja nie zostanie uznana za sukces i będzie pan musiał ponieść karę. – Zwrócił się znowu do Alphonsa. – Tak więc, sierżancie, będziecie słuchać wszystkich rozkazów pułkownika i przeprowadzicie atak dokładnie tak, jak on go zaplanował. Jeśli jednak wypad się nie powiedzie, jeśli z bazy uciekną więcej niż dwa henshaw, przejmiecie dowództwo. Waszym pierwszym obowiązkiem będzie zabicie dwójki białych ludzi i ich czarnego służącego – macie ich zastrzelić na miejscu.

Alphonso zamrugał sennie oczami. Nie odwrócił głowy, żeby spojrzeć na Seana. Sean zastanawiał się w tej chwili, czy mimo przyjaźni, która się pomiędzy nimi zawiązała, mimo faktu, że Alphonso nazwał go Nkosi Kakulu i Baba i prosił, żeby prowadził misję, czy wykonałby wyrok egzekucji.

Alphonso był Shanganem, wojownikiem z wrodzonym poczuciem lojalności plemiennej i absolutnego posłuszeństwa wobec wodza.

„Tak” – pomyślał Sean. „Pewnie miałyby wyrzuty sumienia, ale zrobiły to bez wahania”.

– W porządku, China – powiedział na głos. – Wszyscy wiemy, na czym stoimy. Niech

pan uwolni panią Monterro.

Strażnik zdjął kajdanki z rąk Claudii i generał pomógł jej wstać.

– Miss Monterro, muszę panią przeprosić za te drobne przykrości, jestem jednak pewien, że rozumie pani ich konieczność.

Claudia stała niepewnie na nogach. Podeszła chwiejnym krokiem do Seana, żeby się do niego przytulić.

– No cóż, życzę panu dobrego polowania. Możemy się już pożegnać. – China zasalutował żartobliwie. – Tak czy inaczej, obawiam się, że nie spotkamy się już więcej.

Sean nie zniżył się do odpowiedzi. Ze skrzynką pod pachą, wolną ręką otaczając Claudię, odwrócił się do drzwi i wyszedł.

Wyruszyli na dwie godziny przed zmrokiem. Kolumna żołnierzy obciążona wyrzutniami i zapasowymi pociskami poruszała się przez las – z trudem: skrzynie były nie tylko ciężkie, ale i długie. Za każdym razem, gdy ścieżka zwązala się i partyzanci musieli przedzierać się przez gąszcz, skrzynie zaczepiały o gałęzie wstrzymując pochód i zmniejszając szansę na szybką reakcję żołnierzy na wypadek zagrożenia.

Z początku Sean starał się utrzymać kolumnę w zwartym szyku, ale znajdowali się jeszcze kilka kilometrów od linii walk, więc szansa zasadzki była nieduża.

Sean wołał jednak nie ryzykować. Rozkazał przednim i tylnym strażom, żeby uważali na drogę, zapewniając tragarzom szansę ucieczki, gdyby kolumna została zaskoczona przez oddział Frelimo. Żeby mieć pewność, że nikt ich nie zaskoczy, Sean wysłał przodem Joba, a sam szedł w środku grupy, gdzie mógł szybko zareagować w razie kłopotów i gdzie był blisko Claudii.

– Gdzie jest Matatu? – zapytała Claudia. – Opuściliśmy obóz nie zostawiając mu żadnej wiadomości. Martwię się o niego.

– Nie musisz się przejmować, że zostanie z tyłu. Matatu jest jak szczeniak, którego nigdy nie można się pozbyć. Podąży za mną, gdziekolwiek się udam. Jestem pewien, że mały drań obserwuje nas zza jakiegoś krzaka.

Jakby dla potwierdzenia jego słów, gdy tylko zapadł zmierzch, mały tropiciel pojawił się niespodziewanie u boku Seana.

– Widzę cię, Bwana – zaszczebiotał Matatu.

– Też cię widzę, mały przyjacielu. – Sean dotknął jego kędzierzawej głowy, jakby głaskał ukochanego psa. – Czekałem, aż się pojawisz i wyszukasz nam bezpieczną drogę przez linie Frelimo. Musisz nas zaprowadzić do miejsca, gdzie sokoły siadają na noc.

Matatu aż napęczniał z dumy.

– Podążaj za mną, Bwana – powiedział Seanowi.

Mając Matatu za przewodnika, Sean mógł zmienić szyk kolumny ustawiając ludzi w długi szereg, któremu łatwiej było się prześliznąć przez linie wroga. Sam zajął miejsce na tyłach oddziału.

Na korzyść Seana działał fakt, że bitwa rozgrywała się na olbrzymim terenie. Ponad sześć tysięcy żołnierzy Frelimo i zimbabwejskich atakowało o połowę mniejsze oddziały Renamo na obszarze mierzącym dziesiątki tysięcy kilometrów kwadratowych. Walki toczyły się na niewielkich odcinkach długiego frontu, którego większa część była opustoszała.

Sean wysłał przodem Joba i Matatu wraz z kilkoma żołnierzami, żeby znaleźli przejście pomiędzy walczącymi wojskami. Pozostała część kolumny podążała za nimi w bezpiecznej odległości, osłaniana przez uzbrojonych w konwencjonalną broń Shangarów.

Maszerowali całą noc, z posłańcami od Joba i Matatu biegającymi pomiędzy strażą przednią a główną grupą, żeby poprowadzić ich nową drogą, gdy trzeba było okrążyć niespodziewaną przeszkodę.

Czasami zimne powietrze przynosiło odgłosy walących z całej siły dział, lżejszych moździerzy i ciężkich karabinów maszynowych. Sean domyślał się, że to wysunięte oddziały Frelimo natykały się na ustępującą linię obrony Renamo. Kilka razy widzieli też race świetlne wzbijające się nad ciemny las, ale nie dobiegły ich ani razu odgłosy silników Isotow i warkot śmigieł. Hindy najwidoczniej ograniczały swoją działalność do pory dziennej, kiedy mogły odróżnić przeciwnika od sojusznika i efektywniej zapewnić bliskie wsparcie.

Na godzinę przed świtem Job wrócił do głównej kolumny i odszukał Seana.

– Dotrzemy do celu dopiero jakąś godzinę po świcie – oznajmił. – Tempo było wolniejsze, niż oczekiwaliśmy. Co masz zamiar zrobić? Zaryzykujemy marsz w dzień? Możemy się natknąć po drodze na hindy – ostrzegł.

Sean rozejrzał się po niebie, zanim odpowiedział. Pierwsze bladeżółte światło świtu gasiło gwiazdy na horyzoncie.

– Korony drzew nie są dostatecznie gęste, żeby ukryć tyłu ludzi i sprzęt przed pilotami hindów – zdecydował. – Musimy iść dalej i znaleźć lepszą kryjówkę. Powiedz Matatu, żeby nadał szybsze tempo.

– A co z hindami?

– Główne walki toczą się za nami i helikoptery będą się kierowały w tamtą stronę. Możemy zaryzykować, ale musimy się prędko poruszać.

W miarę jak przybywało światła, twarze partyzantów coraz częściej zwracały się z obawą ku niebu. Szli teraz szybciej, niemal biegnąc. Mimo że kolumna maszerowała przez całą noc, Shangani nieśli swoje ładunki z zaciekłością i hartem ducha typowym dla Afrykanów. Ciężkie skrzynie i szybki marsz złamałyby pewnie niejednego silnego białego mężczyznę.

Było już dostatecznie jasno, żeby rozróżnić korony drzew na tle różowej zasłony świtu, gdy Sean usłyszał znajomy poświst turbinowych silników zbliżający się ze wschodu. Hindy wyruszyły na swój pierwszy lot bojowy tego dnia. Rozkaz Seana został podany wzdłuż całej kolumny i tragarze natychmiast rzucili się ku rosnącym wzdłuż ścieżki krzakom, a dowódcy sekcji przykucnęli pod drzewami, gotowi dać sygnał rozpoznawczy pilotom hindów zdobytymi przez Seana kolorowymi flagami Frelimo, gdyby maszyny podjęły atak.

Na szczęście alarm był przedwczesny, gdyż para śmigłowców przeleciała jakieś trzy kilometry od kolumny. Sean dojrzał nad drzewami ich sylwetki, niczym potworne komary na tle wschodzącego słońca. Kilka minut później dobiegły ich wyraźne odgłosy działek pokładowych i wybuchy rakiet, którymi helikoptery rozbijały punkt oporu oddziału Renamo, schowanego pomiędzy wzgórzami.

Zebrał oddział i kiedy kolumna ruszyła, ludzie jeszcze bardziej przyśpieszali kroku, mając w pamięci obraz „Latającej Śmierci”. Godzinę później oddział zszedł szybko ścieżką po niemal pionowym zboczu doliny, na której dnie znajdowało się wyschnięte koryto rzeki i jaskinie z ukrytymi unimogami.

Zmęczeni partyzanci z ulgą wdrapali się do pieczar i pokładli skrzynie i plecaki na ziemi.

– Żadnych ogni – rozkazał Sean. – I nie wolno palić.

Partyzanci zjedli racje żywności, które składały się z zimnych, twardych placków kukurydzianych i suszonej ryby. Potem padli na ziemię, zasypiając jak sfera wymęczonych psów po całodniowym polowaniu.

Sean znalazł odosobnione miejsce dla Claudii z tyłu jaskini, za zwalonymi blokami skalnymi. Gdy rozłożył na ziemi koc, usiadła na nim ze skrzyżowanymi nogami i zaczęła przeżuwać placek z rybą, ale zanim zjadła połowę nieapetycznego dania, przechyliła się nagle na bok i zasnęła, zanim jeszcze jej głowa dotknęła ziemi. Sean przykrył ją drugim pledem, gdyż we wnętrzu jaskini było zimno, i wrócił do wejścia.

Alphonso przytwierdził antenę do małego przenośnego radia VHF. Przykucnął przy radionadajniku, słuchając raportów sytuacyjnych składanych generałowi Chinie przez dowódców liniowych.

– Sprawy przybierają zły obrót – powiedział Seanowi z ponurą miną. – Frelimo dotrą do rzeki jutro przed południem. Jeśli generał się nie wycofa, dostanie się do niewoli. – Alphonso umilkł nagle, gdy wśród zakłóceń i trzasków usłyszał skierowany do ich oddziału sygnał.

– Bananowy Las, tu Guziec – powiedział do trzymanego w ręku mikrofonu i podał wcześniej ustalone hasło oznaczające, że osiągnęli pierwszy cel. – Coca cola. – Sean uśmiechnął się słysząc ten komentarz do nowoczesnej Afryki. Bananowy Las potwierdził odbiór i rozłączył się. Następny kontakt mieli ustalony na jutrzejszy świt, kiedy to losy ich misji będzie można opisać w kilku jednoznacznych słowach.

Sean zostawił Alphonsa, który zwijał antenę i pakował radionadajnik do plecaka. Z wejścia do jaskini przyglądał się grupie pięciu ludzi z Jobem na czele, zamiatających gałęziami ślady stóp w korycie rzeki.

Kiedy Job wspiął się do jaskini, Sean go zapytał:

– Straże?

– Na każdym z wierzchołków. – Job wskazał na górujące nad nimi skały.

– W porządku. – Sean wprowadził go do jaskini. – Czas, żeby uzbroić i zaprogramować stingery.

Zajęło im prawie godzinę, żeby zebrać wszystkie wyrzutnie, podłączyć baterie i przeprogramować mikrokomputery z pomocą odpowiednich dyskietek. Wreszcie zostały uzbrojone i zaprogramowane na „dwukolorową” sekwencję ataku na helikopter Hind. Sean i Job oddali stingery dowódcom sekcji.

Sean spojrzął na zegarek, lekko zdziwiony, że jeszcze dokładnie pokazuje czas po tym, jak go nieustannie obtłukiwał przez ostatnie tygodnie.

– Możemy złapać kilka godzin snu – powiedział Jobowi, ale żaden z nich nie położył się na ziemi.

Zamiast tego jednocześnie skierowali się w stronę wejścia do jaskini i usiedli z dala od innych. Oparci plecami o skałę, dotykając się ramionami, patrzyli w zamyśleniu na koryto rzeki, gdzie niskie słońce skrzyło się promieniami na białym piachu.

– Gdybyś posłuchał mojej rady, to pociągałbyś teraz piwko w Harare – mruknął Sean.

– I nigdy nie miałbym szansy załatwić hinda? – Job uśmiechnął się ostrożnie, bo opuchnięte usta były pokryte świeżymi strupami. Kropla krwi pokazała się na dolnej wardze, gdy jeden z nich pękł. Otarł ją końcem chusty, którą nosił na szyi, i mówił dalej. – Polowaliśmy na wszystkie niebezpieczne zwierzęta, Sean, zawsze w najgorszych miejscach. Bawoły w zaroślach jaśminowców, słonie w Kasagasaga. To będzie nasze kolejne trofeum, największe i najwspanialsze.

Sean obrócił się, żeby spojrzeć na przyjaciela. Nie pierwszy raz się zdarzało, że ich uczucia były tak zgodne. Podczas nocnego marszu wściekłość i nienawiść do Chin opuściła Seana, a ich miejsce zajęło uczucie, które Job właśnie opisał: podniecenie zbliżającym się polowaniem. Obaj byli myśliwymi i instynkt walki był tak głęboko zakorzeniony w ich umysłach, że nawet nie starali się go opanować. Rozumieli się doskonale, rozpoznawali i akceptowali więzi, które przez dwadzieścia lat przyjaźni coraz bardziej ich zbliżały. Sean uświadomił sobie nagle, jak rzadko rozmawiali ze sobą o swoich uczuciach.

„Może teraz nadszedł czas, żeby to zrobić”, pomyślał i powiedział na głos:

– Jesteśmy bliźsi sobie niż bracia.

– Tak – odparł po prostu Job. – Łączy nas coś więcej niż braterska miłość.

Milczeli przez chwilę, wcale nie zawstydzeni okazanym uczuciem, a raczej nim przepełnieni i umocnieni.

– Czy mogę cię prosić o przysługę? – spytał Sean. – Jako brata. Job skinął głową, więc Sean kontynuował cichym głosem.

– Czeka nas ciężka walka. Nie chciałbym, żeby Claudia wpadła w ręce Frelimo. Gdyby mnie przy niej zabrakło, nie mógłbym sam temu zapobiec. Właśnie o to chcę cię prosić.

Za oczami Joba przemknął cień.

– Nie lubię myśleć o takiej ewentualności.

– Jeśli mnie nie będzie przy niej, czy zrobisz to za mnie? Job skinął głową.

– Daję ci moje słowo.

– Jeśli będziesz musiał to zrobić, to nie ostrzegaj jej, nic nie mów, zrób to z zaskoczenia.

– Nie będzie wiedziała, co nadchodzi – obiecał Job. – To będzie szybkie.

– Dzięki – odparł Sean i poklepał go po ramieniu. – Teraz musimy odpocząć.

Claudia wciąż spała. Oddychała tak cicho, że Sean się wystraszył. Przysunął twarz do jej ust i poczuł na policzku ciepły oddech. Pocałował ją. Dziewczyna mruknęła przez sen, wyciągnęła rękę, szukając go po omacku i westchnęła z ulgą, gdy wtulił się w jej ramię.

Miał wrażenie, że zamknął oczy tylko na chwilę, kiedy poczuł na sobie czyjąś rękę. Otworzył oczy i zobaczył przycupniętego przed nim Joba.

– Już czas – Job szepnął ledwie poruszając ustami. Sean ostrożnie zdjął z siebie rękę Claudii.

– Śpij spokojnie, kochanie – powiedział i zostawił ją zwiniętą w kłębek na kocu.

Pozostali już czekali na niego przy wejściu do jaskini. Matatu, Alphonso i dowódcy sekcji byli tylko lekko uzbrojeni, żeby móc się poruszać szybko i po cichu.

– Czwartą – powiedział Job. Sean zobaczył, że światło na zewnątrz było już lekko przygaszone, a cienie wydłużone.

Nie było nic więcej do dodania, obaj robili to już dziesiątki razy.

– Trzymaj się – powiedział Job i Sean skinął głową, zarzucając plecak na ramiona.

Z Matatu kręcącym się przy Seanie niczym leśny duszek, wysliznęli się z jaskini, wbiegli pomiędzy drzewa i skierowali na południe, biegnąc truchtem w zwartym szeregu.

Dwukrotnie słyszeli hindy przelatujące w bezpiecznej od nich odległości, a raz musieli skryć się pod drzewami, gdy helikopter przeleciał bezpośrednio nad ich głowami.

Na szczęście maszyna leciała bardzo szybko i wysoko, jakieś 1200 metrów nad ziemią, jak ocenił Sean. Przyglądając się jej przez lornetkę, Sean domyślił się, że wracała do bazy z misji, żeby uzupełnić paliwo i amunicję. Podstawy pod kadłubem dla swatterów były puste, a czuby wyrzutni rakiet były osmalone od gazów spalinowych wystrzelonych pocisków, Hind leciał dokładnie w stronę, w którą prowadził ich Matatu, i zanim zniknął w oddali, Sean zobaczył, jak śmigłowiec zwalnia i schodzi do lądowania.

– Lotnisko nie dalej niż osiem kilometrów – ocenił Sean i spojrzał na Matatu, który czekał na pochwałę.

– Leci jak pszczoła do ula – Matatu wyszczerzył radośnie zęby.

– Masz oczy jak sęp – stwierdził Sean. – Nic nie ujdzie ich uwagi. – Matatu aż zadrzał z radości i zakołysał się na boki. Pochwała Seana była jedyną nagrodą, jakiej oczekiwał.

Pół godziny później wdrapali się na szczyt niskiego, skalistego wzgórza i prześliznęli się na drugą stronę, kryjąc się pod krawędzią. Sean podniósł lornetkę do oczu osłaniając soczewki czapką; promień światła odbity od szkieł mógł łatwo zdradzić ich kryjówkę.

Niemal natychmiast wypatrzył linię kolejową oddaloną od nich o niecałe trzy kilometry; podkłady były zrobione z niebieskiego granitu i w promieniach zniżającego się słońca widać było pojedynczy tor. Wypolerowane kołami szyny matowo błyszcząły.



Sean podążył wzrokiem wzdłuż torów. Kilometr dalej znalazł rozgałęzienie, na które przetoczono dwie cysterny z paliwem. Wagony były częściowo zakryte przez drzewa i krzaki, ale po kilku minutach uniósł się zza nich pióropusz kurzu i na nasyp wspiął się samochód cysterna, zajmując miejsce za pierwszym wagonem. Patrzył, jak ubrani w poplamione kombinezony robotnicy łączą węzem oba pojazdy i przepompowują paliwo.

W tej samej chwili zza wzgórza po drugiej stronie rozjazdu podniósł się szybko helikopter; Sean wiedział już, gdzie dokładnie znajduje się lądowisko.

Ciężki, garbaty hind wzniosł się na jakieś sto metrów w górę, obrócił się i odleciał na północ na kolejną misję. Z wolna ubywało światła i niedługo noc przerwie walki.

Wiedząc, gdzie ma szukać, Sean mógł wypatrzeć inne, świetnie zakamuflowane lądowiska na zboczu wzgórza. Naliczył ich sześć, więc spytał Matatu o pozostałe.

– Są jeszcze dwa – oznajmił protekcyjnym tonem tropiciel i wskazał dwa obłożone workami z piaskiem lądowiska. – Po drugiej stronie wzgórza są jeszcze trzy, ale stąd ich nie widać.

Sean mógł teraz w pełni docenić sens dziennego rekonesansu; dostrzegał spore różnice pomiędzy zbudowanym przez nich modelem, na którym ćwiczyli plan ataku, a rzeczywistym ukształtowaniem terenu bazy.

Zapisał kilka uwag w notesie, oceniając na nowo odległości strzeleckie i stanowiska, z których ostrzał z rakiet był najefektywniejszy. Następnie wezwał do siebie jednego po drugim dowódców sekcji i wskazał im pozycje, które mieli zająć ze swoimi oddziałami po zapadnięciu ciemności.

Matatu dostarczył już wszystkich niezbędnych informacji, dlatego Sean postanowił go odesłać.

– Wrócisz do Joba – polecił. – Jak tylko się ściemni, przyprowadź go i pozostałych żołnierzy do mnie.

Kiedy Matatu zniknął, poświęcił ostatnią godzinę dnia na przyglądanie się, jak śmigłowce wracają znad pola walki na północy. Naliczył jedenaście hindów, co dobrze świadczyło o zdolnościach radzieckich załóg naprawczych, które musiały zreperować dwie zepsute maszyny. Cały klucz helikopterów, poza tym wyeliminowanym przez Seana, osiągnął pełną zdolność operacyjną i siał ogromne spustoszenie wśród obrońców Renamo.

Kiedy kolejne śmigłowce zniżały się do lądowania i osiadały na ziemi, Sean wskazywał dowódcom sekcji charakterystyki lotu maszyn i kazał im zapamiętać dokładne położenie lądowisk.

– Tendela, ten jest twój. – Wskazał lądującą maszynę partyzantowi. – Zobacz, jak na chwilę zawisa w powietrzu. Będiesz strzelać z tamtej kępy drzew na skraju kotliny. Zaznaczyłeś dobrze pozycję?

– Tak, Nkosi Kakulu – potwierdził żołnierz.

Niebo było zalane krwistym kolorem zachodu. Patrząc na znikające za horyzontem

ogromne słońce, Sean zastanawiał się, ile krwi popłynie o świcie.

Zapadający zmierzch nie przyniósł jeszcze całkowitych ciemności, które skryłyby schodzących ze wzgórza ludzi. Wszystkie szczegóły planu zostały już omówione, więc Sean i Alphonso usiedli obok siebie czekając na noc. Seana ogarnęło znajome uczucie. Bez względu na to, ile razy już tak siedział, czekając na akcję, nigdy nie mógł opanować napięcia, które rozciągało mu wnętrze niczym gumę. Czuł nadciągającą falę strachu. Pragnął jej nadejścia niczym narkoman nie mogący się doczekać zastrzyku i jednocześnie lękał się jej całym swoim jestestwem.

– Zapowiada się dobre polowanie – powiedział cicho Alphonso. – To będzie walka dla prawdziwych mężczyzn. Sean skinął głową.

– Tak, przyjacielu, to będzie dobra walka, a jeśli przegramy, będziesz musiał mnie zabić. To też będzie dobra walka.

– Zobaczymy – mruknął Alphonso, a jego oczy odbiły czerwoną poświatę zachodu. – Zobaczymy.

Ostry zarys góry, na której stokach znajdowały się lądowiska hindów, rozmył się w mroku nadciągającej nocy. Na niebie pojawiła się Wenus, rozbłyskując nad wzgórzem zimnym, nieruchomym światłem, jakby gwiazda je dla nich wybrała.

W godzinę po zachodzie z lasu wynurzyli się partyzanci z głównej grupy uderzeniowej. Na czele kolumny szedł Job, prowadzony przez Matatu, a za nim podążała Claudia. Sean przywitał ich i natychmiast zaczął ustawiać żołnierzy w sekcje. Dowódcy przejęli dowodzenie nad grupami uzbrojonymi w rakiety; rozpakowywali i składali stingery, sprawdzając zapasowe pociski.

Sean, Job i Claudia szli od grupy do grupy, kontrolując po raz ostatni gotowość rakiet, upewniając się, że baterie są naładowane i prawidłowo podłączone, że cylindry z freonem mają otwarte zawory i że monitory celownicze działają prawidłowo po włączeniu aktywatorów.

Wreszcie Sean był usatysfakcjonowany i gotowy do rozmieszczenia poszczególnych grup, ale wcześniej wezwał wszystkich dowódców i kazał im jeszcze raz powtórzyć, co mają robić. Kiedy i tu nie dopatrył się żadnego błędu, zaczął wysyłać oddziały na ich pozycje bojowe. Co pięć minut kolejna sekcja schodziła ze wzgórza.

Alphonso, który dowodził grupą odpowiedzialną za uderzenie na wschodnią stronę bazy, miał najdłuższą drogę do przejścia i wyruszył pierwszy.

Kiedy nadszedł czas na Joba, dowodzącego oddziałem raketowym atakującym bazę od zachodu, przyjaciele wymienili szybko uściski dłoni. Nie życzyli sobie powodzenia, gdyż obaj byli przesądni. Zamiast tego Job zapytał ze złośliwą miną:

– Słuchaj, Sean, może wypłaciłbyś mi teraz te cztery tysiące zielonych, co to niby miały być specjalnym wynagrodzeniem?

– Przyjmiesz czek? – Sean uśmiechnął się pod grubą warstwą kamuflującego kremu.

W odpowiedzi Job uderzył go żartobliwie pięścią w ramię i odszedł na bok, żeby Sean mógł porozmawiać z Claudią.

– Nie chcę cię opuszczać – szepnęła i Sean przytulił ją mocno do siebie.

– Trzymaj się blisko Joba – rozkazał.

– Masz wrócić do mnie cały i zdrowy.

– Dobrze.

– Obiecujesz?

– Obiecuję – odpowiedział. Claudia wysunęła się z jego ramion i zniknęła w ciemnościach za Jobem.

Sean patrzył za nią, czując jak silnie drżą mu ręce. Wbił je w kieszenie i zacisnął w pięści.

– Nawet miłość nie potrafi osłabić instynktu walki – stwierdził i spróbował nie myśleć o Claudii. – Nic jej nie grozi przy Jobie.

Grupa uderzeniowa czekała na niego cierpliwie na krawędzi lasu. Dwudziestu czterech ludzi, mięso armatnie, ci którzy nie zdali testu na symulatorze. Podczas gdy załogi z raketami będą strzelać z ukrytych pozycji pięćset metrów od ogrodzenia obozu, jego oddział miał zaatakować od czoła, ściągając na siebie ogień i zmuszając hindy do podniesienia się z ziemi, żeby zapewnić strzelcom ze stingerami dobry cel. Właśnie ta grupa będzie musiała stawić czoło działkom kalibru 12,7 mm i wszystkim innym niebezpieczeństwom, jakimi była najeżona baza.

Było to najniebezpieczniejsze ze wszystkich zadań i właśnie dlatego Sean nie mógł powierzyć dowództwa komukolwiek innemu. Będzie osobiście prowadził tych ludzi do walki.

– Chodźmy, Matatu – szepnęła. Kiedy mieli do czynienia z prawdziwym niebezpieczeństwem, jak zranione zwierzę w leśnym gąszczu, czy atak na pozycje wroga, Matatu zawsze stawał u boku Seana. Nic nie mogło go powstrzymać od towarzyszenia swojemu panu.

W dowód uznania Alphonso sprezentował Seanowi ręczny karabin maszynowy AKM, unowocześnioną wersję karabinku AK-47, który był bardzo ceniony przez partyzantów. Idąc za Matatu Sean poprowadził oddział w dół zbocza, zataczając koło, żeby znaleźć się pomiędzy linią kolejową a obozem, możliwie jak najbliżej rozgałęzienia, na którym stały wagony cysterny.

Mieli całą noc, żeby zająć pozycje, więc szli zachowując maksimum ostrożności. Kiedy zbliżyli się do obozu wroga, jeszcze bardziej zwolnili kroku.

Było już po drugiej, gdy Sean ustawił wszystkich ludzi na wyznaczonych stanowiskach, w dokładnie odmierzonych odstępach, żeby na jego rozkaz żołnierze mogli ruszyć rozciągniętą tyralierą.

Przeprowadził ostatnią inspekcję broni, czołgając się od jednego partyzanta do drugiego, nacelowując 60-milimetrowe moździerze M4, sprawdzając dotykiem sprzęt i upewniając się

nie wiadomo który raz, czy każdy z nich zrozumiał swoje zadanie. Po kilku słowach dodających otuchy i klepnięciu w ramię, czołgał się do następnej pozycji. Wreszcie, mając absolutną pewność, że niczego nie zaniedbał, położył się na ziemi czekając na świt.

To była zawsze najgorsza i zarazem najlepsza część każdego polowania. Leżąc w pełnej ciszy zastanawiał się, ile czasu swojego życia spędził właśnie w ten sposób, czekając na rozpoczęcie polowania czy walki, na pierwsze światło, kiedy cel staje się widoczny na celowniku. Ile razy odmierzał długie godziny nocy, czekając na tę jedną chwilę, gdy w niemal magiczny sposób na tle rozjaśnionego brzaskiem nieba zarysowywała się elegancka sylwetka leoparda spoczywającego na drzewie z przynętą.

Cofnął się pamięcią do innych szalonych przedsięwzięć, przygód pełnych śmiertelnego ryzyka i niemal nieopisanego podniecenia i nagle uświadomił sobie jasno, że jest to najprawdopodobniej ostatnia taka wyprawa w jego życiu. Miał już ponad czterdzieści lat, w jego życie weszła Claudia Monterro, zbliżał się więc czas zmiany. Myśl ta przyniosła ze sobą smutek, ale i pocieszenie.

„Ostatnie polowanie będzie najlepsze ze wszystkich”, pomyślał i raptem w absolutnych ciemnościach charakterystycznych dla godziny przed świtem usłyszał przerażający i ekscytujący, wysoki dźwięk zapuszczanego silnika turbinowego, który zawył w nocy niczym dziki wilk. Klucz hindów zapuszczał silniki, rozgrzewając maszyny do pierwszego lotu.

Sean spojrzął na zegarek. Fosforyzujące wskazówki pokazały godzinę za jedenaste piętą. Zbliżał się wschód słońca. Automatycznie odpiął magazynek łukowy spod karabinu i zamienił go na nowy wyjęty zza pasa. Ten tradycyjny gest dodał mu otuchy, a leżący za nim Matatu rozpoznał go jako przygotowanie do walki i poruszył się niecierpliwie. Nie wiadomo skąd nadleciał poranny wiatr, muskając policzek Seana delikatnie niczym ręką kochanki.

Wyciągnął rękę w kierunku wschodnim i rozczapierzył palce. Teraz mógł rozpoznać zarys każdego z nich na tle szarzejącego nieba. Ludzie z plemienia Matabele nazywali tę porę „czasem rogów”, gdyż pasterze mogli wtedy rozpoznać poroża zwierząt na tle nieba.

„Za dziesięć minut będzie światło do strzelania”, przypomniał sobie Sean wiedząc z doświadczenia, jak trudno jest wytrzymać cierpliwie te ostatnie minuty.

Jeden za drugim hindy zmniejszyły obroty silników zostawiając je na jałowym biegu. W czasie gdy obsługa naziemna uzupełniała paliwo i uzbrajała maszyny w rakiety, załogi wchodziły na pokłady śmigłowców.

Sean musiał tak wymierzyć czas, żeby mieć odpowiednią widoczność. Hindy najpewniej nie włączają reflektorów, a załogi z raketami muszą widzieć dokładnie maszyny w świetle poranka.

Robiło się coraz jaśniej. Sean zamknął oczy i policzył wolno do dziesięciu, zanim je ponownie otworzył. Teraz dostrzegał wyraźnie pociętą linię wzgórza po drugiej stronie i chwytające się na wietrze koronkowe drzewa msasa na tle purpurowego nieba.

– Ognia! – zawołał i klepnął leżącego obok partyzanta obsługującego moździerz. Żołnierz wrzucił pocisk do lufy. Zapalnik na końcu pocisku uderzył w iglicę i z głośnym stuknięciem poszybował w niebo sto pięćdziesiąt metrów nad wzgórzem, rozrywając się w potoku czerwonego światła.

Claudia schodziła za Jobem w dół stoku, trzymając się tak blisko idącego na czele oddziału mężczyzny, że wystarczyłoby tylko wyciągnąć rękę, aby go dotknąć. Job niósł na ramieniu wyrzutnię, a idący za dziewczyną partyzant ugiął się pod ciężarem zapasowych pocisków.

Zejście było niebezpiecznie strome i przy każdym kroku spod stóp wymykały się luźne kamyki. Claudia była dumna, że potrafiła iść równie cicho i pewnie w tym trudnym terenie jak pozostali żołnierze.

Kiedy dotarli do dna kotliny i ruszyli ostrożnie w stronę obozu, była już porządnie spocona, mimo owiewającego ją zimnego, nocnego powietrza. Jeszcze nie tak dawno, kilka tygodni wcześniej, czułaby się niepewnie w podobnych okolicznościach, ale teraz z łatwością orientowała się w kierunkach po gwieździe świecącej jasno nad wzgórzem. Wiedziała też, co zrobić na sygnał Joba, który kazał im stawiać ostrożnie stopy i zacierać za sobą ślady.

Dotarli do gęstego zagajnika, skąd mieli podjąć atak na bazę, i wśliznęli się pomiędzy ciemne drzewa. Claudia pomogła Jobowi przygotować stingery, a później znalazła sobie wygodne miejsce pod jednym z drzew. Job zostawił ją i Shangana, który miał ładować wyrzutnię, i zniknął cicho w ciemnościach niczym polujący leopard. Claudia nie czuła się już tak pewnie po jego odejściu, ale pomyślała, że jeszcze niedawno umarłaby ze strachu. Uświadomiła sobie, jak wiele hartu ducha i zaufania we własne siły musiała zdobyć w ciągu ostatnich tygodni.

„Tatuś będzie dumny ze mnie”, uśmiechnęła się na myśl, że użyła czasu przyszłego, jakby ojciec wciąż żył. „Oczywiście, że żyje” zapewniła samą siebie. „Jest tam gdzieś i cały czas mi się przygląda. Jak inaczej mogłabym aż tyle znieść?” Wspomnienie ojca pokrzepiło ją na duszy, ale kiedy zaczęła o nim myśleć, pomylił jej się z Seanem, tak że stali się w końcu jedną istotą, jakby jej ojciec wrócił do życia pod postacią kochanka. Myśl o ojcu – Seanie pozwoliła jej pokonać uczucie samotności do czasu, gdy Job pojawił się obok niej równie niespodziewanie jak zniknął.

– Wszystkie sekcje są na pozycji – szepnął jej na ucho i przysiadł się obok. – Czeka nas długa noc. Może byś spróbowała się zdrzemnąć.

– I tak bym nie zasnęła – odpowiedziała tak cicho, że Job musiał się nachylić, aby ją usłyszeć. – Opowiedz mi o Seanie. Chciałabym się dowiedzieć o nim wszystkiego, co wiesz.

– Czasami jest bohaterem, a czasami zwykłym draniem. – Job zastanowił się. – Najczęściej jest jednak jednocześnie tymi dwoma.

– Dlaczego więc jesteś z nim tak długo?

– Jest moim przyjacielem – odparł po prostu Job i zaczął jej wolno, z długimi przerwami opowiadać o Seanie, jakiego znał. Nawet nie zauważyli, jak przegadali całą noc.

Claudia słuchała z ciekawością, zachęcając Joba do mówienia i zadając mu mnóstwo pytań:

– Job, Sean był już kiedyś żonaty, prawda? Albo:

– Dlaczego opuścił dom? Słyszałam, że jego rodzina jest niesamowicie bogata. Dlaczego wybrał takie życie?

Godziny mijały i z każdą z nich stawali się sobie coraz bliżsi. Był to pierwszy przyjaciel, jakiego Claudia zdobyła w Afryce. Na koniec Job powiedział swoim pięknym, głębokim głosem:

– Będzie mi go brakowało, chyba bardziej, niż umiem to wyrazić.

– Dlaczego mówisz, jakbyście mieli się rozstać? Przecież to nieprawda. Będzie tak jak dotychczas.

– Nie – zaprzeczył Job. – Nic już nie będzie tak jak dawniej. Teraz odejdziesz z tobą. Nasz czas się skończył, twój się zaczyna.

– Nie chciałam, żebyś miał do mnie o to pretensje. – Położyła rękę na ramieniu Joba.

– Będzie wam obojgu dobrze razem – powiedział Job. – Myślę, że twoja droga z nim będzie równie dobra jak moja. Będę z wami myślami i życzę wam wiele szczęścia.

– Dzięki, Job – szepnęła. – Zawsze będziesz naszym najlepszym przyjacielem.

Job wyciągnął ramię i spojrział na palce.

– Czas rogów – mruknął do siebie. – Już niedługo. – W tej samej chwili, gdy to powiedział, nad wzgórzem rozkwitł jasnoczerwony kwiat rozrywającego się szrapnela.

Z chwilą gdy pocisk eksplodował nad obozem, rozpoczęła się walka. Sean zawsze myślał o tej chwili jako o narodzinach potwora, którym mógł jedynie próbować pokierować, ale który żył własnym życiem i miał własną wolę. Przerazające monstrum porывało wszystkich w swoje ramiona i niosło ku śmierci.

Sean zostawił działka bezodrzutowe RPG-7 w rękach dwóch najlepszych strzelców, ale wszyscy snajperzy zostali przydzieleni do stingerów. Pierwszy strzał był zbyt niski i pocisk trafił w ziemię siedem metrów od cysterny, rozrywając się w żółtym blasku ognia. Sean spostrzegł, jak jeden ze strażników Frelimo wylatuje w powietrze i koziółkując opada na ziemię. Drugi pocisk poszybował za wysoko, przelatując dwa metry nad celem, osiągając najwyższy punkt trajektorii pięćset metrów dalej i spadając w lesie. Tym razem drzewa i krzaki zasłoniły wybuch.

– Jak strzelasz, ty shangański osle! – ryknął Sean podrywając się z ziemi i biegnąc co sił w nogach w stronę strzelca, uświadamiając sobie, jak poważny błąd popełnił nie oddając pierwszych strzałów własnoręcznie.

Straże Frelimo rozbiegły się z krzykiem od cystern, a zza ogrodzenia bazy odezwał się

ciężki karabin maszynowy kalibru 12,7 mm, tnąc niebo setkami pocisków smugowych.

Partyzant obsługujący RPG-7 usiłował załadować działko, ale w panice jego ruchy były nieporadne. Sean zerwał mu wyrzutnię z ramienia. Dwoma sprawnymi ruchami zdjął osłonę głowicy i oczyścił iglicę. Zarzucił działko na ramię i przyklęknął na jedno kolano.

– Cholera, właśnie teraz – mruknął do siebie, czekając aż powiew, który owiewał mu twarz, ucichnie. Pociski RPG-7 były wyjątkowo niecelne na wietrze, którego podmuchy na stateczniki obracały nos pocisku w stronę, skąd wiał.

Wiatr nagle ucichł i Sean naprowadził celownik na cysternę z paliwem. Wagon znajdował się trzysta metrów od niego, co było maksymalną granicą celnego strzału z tej broni. Pociągnął za spust, rakietę pomknęła prosto do celu i bok cysterny rozerwał się w spektakularnym wybuchu avgasu. Niebo nad torami wypełniło się płomieniami jasnego ognia.

Sean warknął na stojącego za nim działowego i mężczyzna podał mu następny pocisk z przytwierdzonym materiałem napędzającym w kartonowym rulonie.

Płonący avgas oświetlił południowy stok tak jasno niczym stojące w zenicie słońce. Sean klęczał na otwartym terenie i strzelec obsługujący karabin maszynowy nakierował na niego ogień.

Ziemia wokół niego zniknęła w chmurze pyłu i latających w powietrzu grud ziemi. Stojący za nim działowy rzucił się na ziemię.

– Podnieś się, ty tchórze! – Sean sprawnie załadował działko, nie starając się nawet ukryć przed śmigającymi wokół kulami.

Podniósł wyrzutnię i nacelował na drugą cysternę. Była oświetlona płomieniami niczym reflektorami na scenie, ale kiedy miał już pociągnąć za spust, zasłonił ją tuman żółtego kurzu. W tej samej chwili seria z karabinu maszynowego przeszła tak blisko głowy Seana, że poczuł ból w uszach, jak gdyby znajdował się w kabinie dekompresyjnej.

Odczekał trzy sekundy i kiedy zasłona kurzu opadła na ziemię, wystrzelił raketę. Druga cysterna rozerwała się, zrzucona z torów wybuchem avgasu.

Płonące paliwo spływało po stoku niczym lawa z miniaturowego Wezuwiusza. Sean rzucił działko strzelcowi.

– Możesz ich palnąć po głowie tym cholerstwem! – ryknął na wystraszonego mężczyznę.  
– Do niczego innego się nie nadajesz!

Załogi z moździerzami wykazywały się większą celnością. Sean sam nacelował im broń i patrzył teraz, jak partyzanci pochylają się nad lufami, wrzucają do nich pociski i szybko odstepują na bok. Deszcz szrapneli wlatywał wysoko w szare niebo i spadał na obóz.

Sean przyglądał się przez chwilę obojętnym, zawodowym wzrokiem efektom strzałów.

– Dobrze – mruknął do siebie. – Całkiem nieźle. – Udało im się zabrać tylko po trzydzieści pocisków do każdego moździerza; każdy nabój ważył prawie dwa kilo. Za kilka minut moździerz umilkną. Oddział musi zaatakować obóz, dopóki wybuchające pociski

zmuszają strzelców Frelimo do ukrycia się. Sean podniósł z ziemi swój AKM i odciągnął bezpiecznik.

– Za mną! – ryknął na całe gardło i wydał kilka ostrych gwizdów. – Jazda!

Shangani poderwali się z ziemi i ruszyli biegiem w dół zbocza, ale było ich tylko dwudziestu, śmiesznie mała grupka biegnących ludzi oświetlonych jasnymi płomieniami. Żołnierz obsługujący CKM nakierował na nich ogień i nad głowami żołnierzy zaczęły śmigać pociski smugowe, gęste niczym chmura komarów.

– O kurwa! – Sean roześmiał się nerwowo. – Co za gówno!

Jeden ze strzelców Frelimo upatrzył go sobie i skoncentrował na nim ogień, ale Sean zbiegał ze wzgórza długimi krokami. Ogień Frelimo szedł górą i lekko z boku. Jedna z serii świsnęła tak blisko, że poczuł, jak powiew szarpie mu mundur. Przyśpieszył jeszcze bardziej kroku i biegnący za nim Matatu zachichotał przenikliwym śmiechem, usiłując dotrzymać tempa swojemu panu.

– Co w tym śmiesznego, ty mały, głupi gnojku?! – wrzasnął wściekle Sean, wybiegając na płaski teren przed cysternami. Strzelcy Frelimo mieli teraz linię strzału zasłoniętą przez gęste kłęby czarnego dymu. Sean szybko obrócił szereg biegnących Shanganów, kierując ich prosto na obóz. Machnął zaciśniętą pięścią w powietrzu, żeby zmusić ich do szybszego kroku.

Kolejne dwieście metrów pokonali ukryci za gęstą, czarną zasłoną dymu, którą poranny wiatr roznosił na boki i trzymał nisko przy ziemi.

Nagle wprost przed Seanem wyłonił się jeden ze strażników Frelimo. Miał na sobie wyblakłe, porwane dżinsy i zwykłe tenisówki na nogach. Zgubił gdzieś swoją broń. Jakiś odłamek rakiety musiał go trafić w oko, które wypłynęło z oczodołu i wisiało na policzku niczym winogrono, kołysząc się na grubych nerwach przy każdym ruchu jego głowy.

Nie zwalniając Sean trafił strażnika w brzuch serią trzech pocisków z AKM. Przeskoczył przez ciało, zanim jeszcze dotknęło ziemi.

Wybiegli z zasłony dymnej w formacji bojowej. Sean rozejrzał się na obie strony i z niedowierzaniem stwierdził, że nie stracili jeszcze żadnego człowieka, dwudziestu Shanganów biegło w rozciągniętym szyku, przedstawiając w kłębach dymu wyjątkowo trudny cel dla zdezorientowanych strzelców Frelimo.

W tej samej chwili kilkanaście kroków przed sobą spostrzegł cienki drut i rząd metalowych dysków na stalowych podstawach. Na każdym dysku była namalowana stylizowana czaszka i skrzyżowane kości. Zanim się zorientował, znaleźli się na polu minowym otaczającym obóz.

Dwie sekundy później jeden z Shanganów biegnących na prawo od Seana nastąpił na minę przeciwpiechotną. Rozbłysk ognia i chmura kurzu zasłoniły jego ciało poniżej pasa. Żołnierz zwałił się na ziemię z oderwanymi przez wybuch nogami.

– Nie zatrzymywać się! – wrzasnął Sean. – Prawie już przeszliśmy! – Strach usadowił mu się na karku niczym czarna bestia i przyginał go ku ziemi, pozbawiając oddechu. Jak każdy



żołnierz bardziej niż śmierci lękał się okaleczenia, a grunt pod jego nogami był usłany małymi minami.

Matatu wyskoczył przed Seana, zmuszając go do zwolnienia kroku.

– Podążaj za mną, Bwana – zawołał ciekim głosem w swahili. – Stąpaj tam, gdzie ja stanąłem. – Sean natychmiast posłuchał, dostosowując krok do kroku małego tropiciela.

Matatu przebiegł ostatnie pięćdziesiąt kroków pola minowego, prowadząc swojego pana. Sean był pewien, że jeszcze nigdy nie widział takiego poświęcenia i szaleńczej odwagi ze strony jakiegokolwiek człowieka. Dwóch kolejnych Shanganów nastąpiło na miny, tracąc nogi w wybuchach. Oddział zostawił ich leżących w kałużach krwi i porwanego mięsa. Partyzanci przeskoczyli przez cienki drut odgradzający pole minowe.

Nawet mimo strachu i podniecenia Sean czuł, jak pieką go oczy. Zawładnęło nim uczucie wdzięczności i miłości do małego Ndorobczyka. Najchętniej porwałby go z ziemi i uściśnął w ramionach, ale zamiast tego tylko mruknął, z trudem łapiąc powietrze w zmęczone płuca:

– Jesteś tak chudy, że żadna mina nie wybuchłaby, nawet gdybyś na nią nastąpił. – Matatu aż zamrugnął oczyma z ukontentowania i znowu biegł u jego boku, gdy zaatakowali otoczone workami z piachem stanowisko ciężkiego karabinu maszynowego, które znalazło się na wprost nich.

Sean strzelał krótkimi seriami z karabinku trzymanego na wysokości biodra, mierząc w głowę strzelca wystającą nad workami.

Frelimo obrócił ciężki karabin w stronę napastnika, mierząc w jego brzuch. Sean był tak blisko, że dostrzegł czerwone płomienie odbite w oczach żołnierza. W chwili gdy Frelimo nacisnął na spust, rzucił się na ziemię, prześlizgując się pod kulami niczym bramkarz łapiący piłkę. Pociski przeleciały mu nad głową, a wystrzały zdawały się rozrywać bębunki w uszach, ale przetoczył się jeszcze kilka razy po ziemi i wpadł na ścianę stanowiska, przywierając do worków z piachem. Był tak blisko, że wystarczyło, aby wyciągnął rękę, żeby dotknąć lufy.

Wyszarpał granat rozrywający zza pasa, wyrwał zawleczkę i wepchnął go do otworu strzelniczego za sobą, jakby wrzucał list do skrzynki.

Uśmiechnął się słysząc, jak żołnierz woła coś w panice po portugalsku.

– Wesolej zabawy! – powiedział Sean i w tej samej chwili granat się rozerwał, wyrzucając przez szczelinę kłęby dymu i ognia.

Natychmiast poderwał się na nogi i przeskoczył ścianę. W środku znajdowało się dwóch ludzi, wijących się na ziemi w kałużach krwi, a kilku innych opuściło stanowisko uciekając w górę zbocza co sił w nogach i drąc się wniebogłosy.

Sean zostawił obu rannych na łaskę Matatu, który sprawnie dobił ich swoim długim nożem, a sam porwał CKM i przeniósł go ku tylnej ścianie stanowiska. Wycelował broń w biegnących Frelimo posyłając za nimi długą, niską serię. Dwóch żołnierzy zważyło się na ziemię. Śmiejący się do siebie Matatu przyciągnął skrzynkę z amunicją do karabinu i pomógł Seanowi załadować broń.

Z nowym pasem zawierającym 250 naboju Sean wystrzelił serię od jednego końca wzgórze do drugiego, rozbijając grupki uciekających Frelimo.

Po raz kolejny ze zdziwieniem stwierdził, że ponad połowa Shanganów przeżyła przejście przez pole minowe i ciężki ostrzał. Wyjąc tryumfalnie rzucili się w pogoń za pierzchającym wrogiem.

Lufa karabinu była tak gorąca, że syczała niczym rozgrzany metal zanurzony w wodzie.

– Ruszamy! – Sean zostawił CKM. Wskoczył na ścianę, gotów podążać za swoimi ludźmi w głąb obozu, żeby zniszczyć instalacje obsługi naziemnej helikopterów.

W chwili gdy stanął na parapecie, oświetlony od tyłu płomieniami z rozbitych cystern, na niebie przed sobą zobaczył potworny kształt hinda. Wśród narastającego ryku silników turbinowych i świstu śmigieł helikopter uniósł się z lądowiska oddalonego o niecałe dwieście metrów. Otoczony chmurą kurzu wyglądał niczym przedpotopowy potwór. Śmigłowiec obrócił się ciężko, aż odbijająca promienie słoneczne oszklona kabina znalazła się na wprost Seana, a wielolufowe działko pokładowe umieszczone w wieżyczce strzelniczej pod dziobem wycelowało w nią niczym palec oskarżyciela.

Sean schwycił Matatu za szyję, zepchnął go na ziemię za ścianą stanowiska ogniowego i sam rzucił się na niego, zakrywając go swoim ciałem. W tej samej chwili ciężkie kule poszarpały worki, zakrywając ich chmurą piachu i żwiru.

Raptowność, z jaką wybuchła walka, zaszokowała Claudię. Jeszcze przez chwilę otaczała ją cisza i spokój ciemności, w której rodził się świt, gdy nagle z przeraźliwym hukiem rozerwały się pociski, niebo rozjaśniło się mknącymi w górę płomieniami i śladami pocisków smugowych, a jej uszy zdawały się pękać od łoskotu wybuchających granatów, min i strzałów z karabinów maszynowych. Potrzebowała kilku długich chwil, żeby oczy przyzwyczyły się do intensywnego światła. Zaczęła śledzić szybko zmieniający się kalejdoskop bitwy. Job wskazał jej miejsce, przez które Sean miał powieść atak, więc z napięciem wypatrywała jego osoby. Małutkie figurki ludzi biegnących po odsłoniętym zboczach były oświetlone płomieniami avgasu, rzucały pokrzywione cienie ścigające żołnierzy. Pole walki przypominało jej kręcące się w panice mrówki. Claudia w przerażeniu patrzyła, jak niektórzy z nich padają na ziemię i leżą nieruchomo w szalejącym wokół chaosie światła, ruchu i odgłosów.

– Gdzie jest Sean? – szepnęła z niepokojem. – Widzisz go?

– Po lewej, na skraju dymu – powiedział Job. Claudia odszukała małą figurkę mężczyzny śmigającą przed Seanem, niczym pies gończy.

– Widzę jego i Matatu.

Przed biegnącą parą ziemia rozkwitła wzbitym w powietrze kurzem i płomieniami. Straciła ich z oczu.

– O Boże, nie! – krzyknęła w przestachu, ale wiatr zaraz rozwiał zasłonę i Claudia

znowu zobaczyła dwóch mężczyzn w potoku pocisków smugowych, które latały wokół nich niczym diabelskie świetliki.

– Boże, proszę, osłaniaj go – pomodliła się i znowu straciła ich z oczu, gdy dopadli pierwszego stanowiska strzeleckiego. – Gdzie on jest? – złapała Joba za ramię i mocno potrząsnęła. – Gdzie on jest, widzisz go?

Nagle Sean pojawił się na parapecie ściany z worków. Nawet z tej odległości wydał jej się heroiczną postacią, gdy balansował na ścianie z karabinem w rękę, otoczony migotliwym światłem płomieni. Krzyknęła głośno z ulgą.

W tej samej chwili dostrzegła, jak Sean się schyla, a niedaleko przed nim z ziemi unosi się potworna sylwetka hinda i obraca się ku niemu, zniżając uzbrojony przód niczym byk pochylający głowę do szarży. Claudię dobiegł huk wystrzałów działka pokładowego. Fontanna piachu i kurzu zakryła wszystko.

– Job! – jęknęła Claudia. – Zabili go! – Chciała go znowu schwycić za ramię, ale Job stracił jej rękę.

Przyklęknął na jedno kolano z wyrzutnią stinger na ramieniu. Jego twarz, oświetlona refleksiem płomieni, była skoncentrowana na ekranie celownika.

– Szybciej! – szepnęła stłumionym głosem Claudia. – Strzelaj!

Rakieta wyleciała z długiej tuby. Gorące powietrze pomieszane z pyłem i żdźbłami trawy owiało jej twarz, gdy kilka metrów dalej włączył się silnik rakiety. Zmrużyła oczy i wstrzymała oddech, patrząc na nią, ozdobioną ogonem białego dymu i ognia, pomykającą w stronę stoku wzgórza, z którego uniósł się helikopter.

Dostrzegła, jak rakieta gwałtownie zmienia trajektorię, po przełączeniu się na celownik ultrafioletowy, i lekko unosi nos do góry, rezygnując z opancerzonych otworów wydechowych i kierując się prosto ku otwartym wlotom powietrza tuż pod śmigłami.

Miała wrażenie, że widzi, jak pocisk wlatuje do helikoptera, ale ograniczony tytanowym pancerzem wybuch okazał się stosunkowo łagodny i na zewnątrz trudno było poznać, jak wielkie spustoszenie uczynił. Hind zakołysał się i przewrócił na plecy, podrywając dziób do góry. Spadał na ziemię wirnikiem do dołu, tak że tylne śmigło zawadziło o skalisty grunt i postawiło maszynę niemal pionowo. Potem stoczył się po wzgórzu, koziółkując raz za razem, otoczony płomieniami wylatującymi z otworów wlotu powietrza, tnąc ziemię potężnym śmigłem, które przy każdym ciosie łamało się na kawałki i rozrzucało szczątki wokoło.

Claudia rozglądała się w desperacji za Seanem. Odetchnęła głęboko z ulgą, gdy rozpoznała jego postać wskakującą na otoczony kłębam dymu parapet i zaraz biegnącą w górę zbocza. Tuż za nim podążał Matatu.

– Podaj ładunek! – rozkazał jej Job.

Z poczuciem winy Claudia sięgnęła po zapasową raketę i pomogła Jobowi załadować wyrzutnię.

Gdy tylko stinger był załadowany, rozejrzała się po obozie za Seanem. Sean zniknął, ale w powietrze zdążyły się wzbić trzy następne hindy, odcinając się od rozjaśnionego światem nieba i oświetlone płomieniami. Wszystkie helikoptery strzelały z działek pokładowych, niektóre wyszukując sobie cele w obozie, gdzie partyzanci walczyli z garnizonem Frelimo, inne tnąc ciemny las porastający otaczające obóz wzgórza, starając się zniszczyć załogi ostrzeliwujące je z rakiet.

Kolejny hind został trafiony. Przewrócił się na grzbiet, wybuchając jasnym płomieniem i waląc z rozpędem w skaliste wzgórze. Po chwili jeszcze jedna maszyna potknęła się w locie i poleciała na drzewa, by stoczyć się po nich na ziemię.

Jednocześnie następne śmigłowce wzbijały się w powietrze, waląc z działek i zalewając wszystko wokół strumieniami pocisków. Job poderwał się na nogi, gdy jeden z nich próbował się wymknąć z pułapki, wzbijając się wprost nad ich głowami. Odchylił się do tyłu, celując wyrzutnią niemal pionowo w górę.

Hind wzbił się na wysokość trzystu metrów, oddalając się od bazy, niemal poza efektywnym zasięgiem stingera i w dodatku pod bardzo trudnym kątem. Rakieta pomknęła jednak po niesamowitej trajektorii, dosięgając maszyny, która aż zakołysała się od ciosu. Przez chwilę zawisła nieruchomo w powietrzu, ale zaraz spadła z jękiem połamanych śmigieł, nurkując w kotłnię i waląc się na las w łoscocie pękających gałęzi i wywracanych drzew.

– Podaj ładunek. – Job nawet nie spojrzał na agonię hinda. Claudia rzuciła się, żeby pomóc mu wpasować pocisk do tuby. Klepnęła go lekko w ramię, gdy skończyła.

– Już! – powiedziała.

Kolejny śmigłowiec wyleciał spomiędzy lasu prosto przed nimi. Radziecki pilot leciał tak nisko, że maszyna zdawała się dotykać ziemi. Jednocześnie rzucał helikopterem, kryjąc go za kępami drzew, robiąc uniki niczym bokser. Potężny pęd powietrza pchanego w dół przez śmigła przyginał wysoką trawę zaledwie kilka metrów pod brzuchem maszyny.

Stojący na otwartym terenie Job obrócił się, żeby nacelować broń, zapał się nogami i odnalazł obraz helikoptera na ekranie.

Hind wyprostował na chwilę lot i w tym samym momencie pociski z działka przeleciały ze świstem obok nich niczym huraganowy wiatr. Stojąca za Jobem Claudia została rzucona siłą podmuchu na ziemię, a jej uszy zdawały się pękać od gwałtownego ryku kul.

Job poleciał na dziewczynę, uderzając ją tak silnie, że straciła oddech. Upadli oboje pomiędzy dwa głązy, które odbiły pozostałe pociski, i hind przeleciał zaledwie kilka metrów nad nimi. Pęd powietrza ze śmigieł uderzył Claudię w twarz, zasłaniając jej oczy zmierzwionymi włosami.

Helikopter odpłynął niczym polujący rekin. Oślepiąca i przyduszona przez Joba Claudia zaczęła się wyrывać, próbując się podnieść na nogi. Nagle spostrzegła, że jej ręce są wilgotne, a jakaś ciepła ciecz spływa na nią i przemacza koszulę.

– Job! – jęknęła zduszonym głosem. – Wstań! Zejdź ze mnie! – Kiedy nic nie

odpowiedział ani się nie poruszył, zrozumiała, że wilgoć, jaką czuje na swoim ciele, jest krwią Joba. Świadomość ta dodała jej sił. Odtoczyła jego ciało na bok, z trudem się spod niego wyczołgując.

Podpełzła do niego szybko na kolanach, żeby zobaczyć, co mu się stało. Jeden z pocisków trafił go w tors. Claudia patrzyła szeroko otwartymi z przerażenia oczami na ranę. Job wyglądał, jakby go poraniło jakieś dzikie, drapieżne zwierzę; prawe ramię było niemal urwane i zarzucone bezwładnie na głowę.

Wpatrywała się w ranę odrętwiałym wzrokiem, próbując wymówić imię przyjaciela. Wyciągnęła rękę i ostrożnie pogłaskała go po twarzy, nie śmiąc dotknąć okaleczonego ciała. Czowała, jakby straciła najbliższą sobie osobę, i już otworzyła usta, żeby ulżyć sobie płaczem. Zamiast tego wydobył się z nich szalony jęk nienawiści. Jej wściekłość była tak silna, że niemal wypchnęła ją z własnego ciała. Miała wrażenie, że patrzy na swoją postać z boku, zdumiona poczynaniami nieznajomej kobiety, która zawładnęła jej ciałem i rzuciła je w poszukiwaniu wyrzutni rakiet. Znalazła ją obok Joba.

Poderwała się na nogi ze stingerem na ramieniu, szukając na niebie hinda. Znajdował się czterysta metrów dalej, lecąc wokół podnóża góry niemal nad koronami drzew, wyszukując pozycje Renamo i niszcząc je z broni pokładowej.

Kiedy zwróciła się w stronę helikoptera, stojąc w pełnym świetle płomieni, pilot musiał ją zauważyć, gdyż obrócił maszynę wokół osi, podnosząc jednocześnie działko pod kabiną w górę.

– Załadowane – powiedziała, a własny głos zabrzmiał niesamowicie w jej uszach, gdy powtarzała litanie zniszczenia.

– Aktywator włączony. – Zobaczyła na ekranie przed sobą obraz hinda. Naprowadziła na niego krzyżyk celownika. Rakieta zajęczała wysokim tonem i zaraz przeszła w jednostajne buczenie.

– Na celu – szepnęła, nie czując strachu, gdy sylwetka śmigłowca skierowała się prosto w jej stronę. Działowy naprowadzał lufę działka na dziewczynę, żeby złapać ją na własnym monitorze.

– Ognia! – powiedziała cicho i pociągnęła za spust. Podstawa wyrzutni kopnęła ją silnie w ramię. Claudia zacisnęła powieki, żeby nie zostać oślepią przez zapalający się silnik rakiety, która pomknęła z szybkością czterokrotnie przewyższającą szybkość dźwięku, kierując się prosto do celu.

Działko pokładowe otworzyło ogień, ale dziewczyna poczuła jedynie falę uderzeniową, gdy kule przemknęły blisko jej głowy. Rakieta zmieniła lot i wpadła w otwartą gardziel wlotów powietrza. Hind znajdował się zaledwie kilka metrów nad ziemią i uderzając o nią przetoczył się na bok. W chwilę przed tym, jak płonące paliwo zakryło maszynę, Claudia dostrzegła spanikowaną twarz pilota uwięzionego w kabinie. Po sekundzie wszystko znikło pochłonięte słupami ognia i dymu.

„To była żywa istota”, pomyślała. „Żywy człowiek, a ja go zabiłam”. Oczekiwała wyrzutów sumienia i uczucia żalu. Jej najgłębszym przekonaniem było, że każde życie, a zwłaszcza ludzkie, jest święte. Jednak wyrzuty sumienia nie pojawiły się, zamiast tego czuła dziwne uniesienie spowodowane zwycięstwem, równie silne jak nienawiść, która przed chwilą nią kierowała.

Rozejrzała się szybko wokoło, szukając nowych celów, czegoś, co jeszcze mogłaby zniszczyć, na czym mogłaby wyrzucić swoją zemstę. Niebo było puste. Na zboczach wzgórza i na pokrytym drzewami dnie kotliny leżały płonące cielska hindów.

„Wszystkie zostały stracone”, pomyślała w uniesieniu. „Mamy je wszystkie”.

Shangani obsługujący stingery wybiegali z lasu i wdrapywali się na wzgórze, żeby pomóc grupie uderzeniowej Seana. Claudia widziała, jak obrońcy Frelimo rzucają broń na ziemię i chowają się w okopach z rękami podniesionymi do góry, poddając się bez walki. Patrzyła obojętnie, gdy pędzący Shangani przebijali bagnietami albo tłukli kolbami karabinów wrogich żołnierzy.

Leżący u jej stóp Job stęknął cicho. W jednej chwili z Claudii uleciała cała wściekłość. Odrzuciła pustą wyrzutnię i przyklękła przy rannym.

– Myślałam, że nie żyjesz! – szepnęła, odwijając z szyi chustę. Dopiero teraz palce zaczęły jej drżeć. – Nie umieraj, Job. Proszę, nie umieraj. – Chusta była brudna od potu i kurzu, jej końce poszarpane, ale Claudia zwinęła ją w kłębek i wepchnęła w rozwartą ranę. Przycisnęła szmatę z całej siły, starając się zatamować upływ krwi. – Sean zaraz tu będzie – powiedziała mu. – Job, nie umieraj. Musisz walczyć. Pomogę ci.

Sean i Matatu przypadli do ziemi za ścianą stanowiska ogniowego, schylając się jak najniżej, gdy deszcz pocisków świstał o centymetry nad ich głowami, wypełniając im oczy i nozdrza kurzem i piachem.

Gdy tylko umilkły strzały, Sean wyskoczył z ukrycia akurat w chwili, gdy trafiony hind wyrzwał śmigłem ogonowym w skalisty grunt i rozleciał się na kawałki, turlając się po wzgórzu.

– Niech mnie diabli, te cholerne stingery naprawdę działają! – roześmiał się, wciąż unoszony na skrzydłach strachu. Siedzący za nim na ziemi Matatu zachichotał radośnie klaszcząc w dłonie.

– Zupełnie jak strzelanie z banduki do siedzących kaczek! – zawołał w swahili i poderwał się na nogi, żeby podążyć za Seanem.

Na widok Seana z pobliskiego rowu wypadło trzech żołnierzy Frelimo. Puścił za nimi serię z biodra, trafiając jednego z nich nisko w plecy. Mężczyzna zwałił się na ziemię, a dwóch pozostałych rzuciło broń i opadło na kolana, trzęsąc się ze strachu i podnosząc ręce wysoko nad głowę. Sean nie zwracał już na nich uwagi i dwaj żołnierze usiedli z ulgą na ziemi.

Minął zewnętrzne linie obrony i wbiegł do obozu, gdzie znajdowały się lądowiska helikopterów oraz warsztaty naprawcze. Warsztaty i zbiorniki z paliwem były osłonięte workami z piachem, a także przykryte siatkami maskującymi. Na bazę wciąż spadały pociski z moździerzy i chmary świszczących szrapneli, wzbijając w powietrze gejzery piachu. Jeden z hindów spadł przy końcu obozu i płonął, wyrzucając w niebo smugi czarnego, tłustego dymu, który wiatr znosił na warsztaty.

W zamieszaniu po całym obozie ganiały wystraszone, pogubione postacie, nie uzbrojeni technicy w wytłuszczonych kombinezonach, którzy na widok Seana padali na kolana z podniesionymi do góry rękami. Pomalowany w barwy ochronne i z wypisaną na twarzy żądzą krwi przedstawiał przerażający widok.

– Na ziemię! – Zrobił wymowny gest lufą karabinu i technicy z ulgą pokładli się płasko, zakładając ręce na głowy.

Nagle rozpoznał przed sobą długie, wygięte śmigła hinda, wystające nad wysoką ścianę z worków z piachem.

„Jeden nawet nie wystartował”, pomyślał biegnąc ku maszynie. W tej samej chwili śmigła zaczęły wolno się obracać, nabierając szybkości. Ktoś próbował wzbić maszynę w powietrze.

Sean wbiegł przez wąskie przejście do kolistego lądowiska. Zwolnił kroku, żeby rozejrzeć się po wnętrzu.

Olbrzymi, pomalowany w kamuflujące barwy hind wznosił się nad Seanem, a śmigła wściekle i coraz szybciej wirowały nad jego głową. Trzech Rosjan z obsługi naziemnej stało przed maszyną. Pomiędzy nimi dostrzegł czerwony emblemat w kształcie strzałki namalowany na dziobie śmigłowca, wskazujący, że piloci należą do specjalnej grupy – „Doskonałej Załogi”. Było to jedno z ważniejszych wyróżnień w radzieckim lotnictwie.

Technicy obrócili twarze w stronę Seana i zdziwieni widokiem jego dzikiej twarzy aż pootwierali szeroko usta. Sean nakierował na nich lufę karabinku. Trzech żołnierzy cofnęło się.

Pokrywa kabiny była nadal otwarta. Właśnie jeden z członków załogi wchodził do środka. Na zewnątrz wystawały jedynie potężne nogi w szarym kombinezonie. Sean wsunął rękę pomiędzy nogi mężczyzny i schwycił go za genitalia. Rosjanin krzyknął cienko, Sean zaś posłużył się trzymaną w garści zawartością, żeby pociągnąć go do tyłu i cisnąć na ścianę lądowiska.

Śmigła jęknęły przenikliwie, gdy włączył się silnik turbinowy. Sean wskoczył na stopień prowadzący do kabiny. Kabina pilota także była otwarta, więc mógł wsunąć do środka lufę AKM.

Siedzący przy sterach pilot był młodym, chudym mężczyzną z krótko obciętymi blond włosami. W pośpiechu nie zdążył nawet założyć helmu. Obrócił głowę, żeby spojrzeć na napastnika. Jego twarz była poznaczona czerwonymi i purpurowymi plamami trądziku,

a jasnoniebieskie oczy niemal przezroczyste. Rozszerzyły się dramatycznie, gdy Sean przystawił mu do nosa lufę karabinku i powiedział:

– Zabawa skończona, Iwan. Wracamy do domu.

Było oczywiste, że ta maszyna nie była przeznaczona do lotów na dzisiejszy dzień i że załoga próbowała ją wznieść w powietrze dopiero, gdy rozpoczął się atak. Minęło zaledwie dziesięć minut od chwili, gdy w obozie rozerwał się pierwszy pocisk z mózdzierza. Nie mieli dosyć czasu, żeby przygotować maszynę do lotu, choć niemal się im to udało.

– Wyłącz silnik – rozkazał Sean i poparł swoje polecenie wpychając pilotowi lufę karabinu w nos z taką siłą, że z jednej dziurki popłynęła krew, a z oczu łzy.

Młody chłopak niechętnie pchnął dźwignię sterującą mieszanką paliwa do pozycji zero i wyłączył kolejne przełączniki. Świst silnika z wolna umilkł.

– Wysiadaj! – polecił Sean i pilot zrozumiał wymowny gest towarzyszący rozkazowi, nawet jeśli nie rozumiał słowa. Odpiął pasy bezpieczeństwa i wolno zszedł na ziemię.

Sean ustawił pod ścianą pilota, pierwszego inżyniera i trzech członków załogi obsługi naziemnej.

– Witamy w kapitalistycznym świecie, towarzysze – przywitał ich i spojrzał na hinda. – Bingo! – uśmiechnął się wciąż silnie pobudzony płynącą w jego żyłach adrenaliną. – Matatu, mamy prawdziwego, sprawnego hinda.

Matatu świetnie się bawił.

– Zabijmy ich teraz – zasugerował wesołym głosem. – Daj mi banduki. Zabiję ich dla ciebie.

Sean tylko raz w życiu widział, jak Matatu strzela z broni, kiedy dla dowcipu dał mu swoją ciężką dwururkę. Odrzut podniósł małego tropiciela z ziemi i rzucił go trzy metry do tyłu.

– Nie trafiłbyś żadnego z nich nawet z tej odległości, ty krwiożerczy mały gnojku. – Sean uśmiechnął się do przyjaciela i ponownie przyjrzał się helikopterowi. Dopiero teraz uświadomił sobie wielkość zdobyczy.

Hind byłby wspaniałym środkiem transportu, gdyby można nim było uciec. Claudia, Job, Matatu i on mogliby szybko i bezpiecznie znaleźć się w domu. Po chwili otrzeźwiał, zdając sobie sprawę z rzeczywistej sytuacji.

Sam nigdy nie pilotował śmigłowca, nie miał nawet najmniejszego pojęcia, jak to się robi. Wiedział tylko, że wymaga to specjalnych umiejętności, które różnią się całkowicie od pilotowania normalnego samolotu.

Spojrzał oceniającym wzrokiem na radzieckiego pilota. Mimo młodego wieku i trądziku na twarzy w oczach mężczyzny kryła się duma i upór. Sean wiedział, że oficerowie lotnictwa są elitą w radzieckich wojskach. Ten niemal na pewno był fanatycznym patriotą.

„Mała szansa, żeby zatrudnić cię jako przewoźnika”, pomyślał i powiedział na głos:

– W porządku, panowie, wychodzimy stąd. – Wskazał na wyjście. Pomaszzerowali



posłusznie pod lufą jego karabinu. Kiedy mijał go radziecki pilot, Sean zatrzymał go i wyciągnął mu z kabury na biodrze pistolet Tokarew.

– Nie będziesz tego potrzebować, Iwan – powiedział i schował broń za pas.

Przy ścianie lądowiska hinda znajdował się ufortyfikowany warsztat wykopany w zboczu wzgórza, osłonięty palami i workami z piaskiem. Sean zaprowadził Rosjan do jego wnętrza i rozejrzał się wokół.

Walka już ucichła, chociaż gdzieś słychać było jeszcze pojedyncze strzały i wybuchy płonącej amunicji. Przez niesione wiatrem smugi dymu Sean zobaczył swoich Shanganów, jak zbierają więźniów i przeszukują ich dokładnie. Wśród partyzantów rozpoznał załogi rakiet. Najwidoczniej zostawili stingery, kiedy wszystkie śmigłowce zostały zestrzelone, i przyłączyli się do grupy uderzeniowej zajmującej bazę.

Jeden z Shanganów dźgał bagnetem więźnia Frelimo w nogi i pośladki, śmiejąc się do rozpuku, gdy mężczyzna wił się na ziemi, krzycząc, kopiąc nogami i próbując uniknąć ostrza. Inni partyzanci wybiegali z okopów z karabinami przewieszonymi przez ramię i rękami pełnymi łupów.

Sean był przyzwyczajony do zachowania afrykańskich żołnierzy, ale teraz ten brak dyscypliny rozzłościł go. Zwołał ich do siebie i tylko dzięki sile jego osobowości i autorytetowi, jaki sobie zdobył wśród partyzantów, posłuchali go natychmiast. Shangan, który torturował Frelimo, zatrzymał się na chwilę, żeby wykończyć rannego kulą w kark, po czym szybko przybiegł do Seana.

– Macie pilnować tych białych jeńców – rozkazał im Sean. – Jeśli coś im się stanie, to generał China osobiście upiecze wasze jaja na wolnym ogniu, a potem zmusi was do ich zjedzenia – ostrzegł.

Nie oglądając się za siebie ruszył przez obóz, przejmując dowództwo i uspokajając szalejących z radości Shanganów. Zobaczył Alphonsa biegnącego w jego stronę.

– Nie możemy obciążać się łupami. Niech ludzie wybiorą sobie, co im się podoba, a następnie poleją magazyny avgasem i powkładają do nich miny zapalające – rozkazał sierżantowi. Potem spojrział na zegarek. – Możemy oczekiwać kontrataku Frelimo w przeciągu godziny. Do tego czasu chcę być daleko stąd.

– Nie! – Alphonso potrząsnął głową. – Generał China przesunął trzy kompanie pomiędzy nas i Frelimo, żeby powstrzymać ich atak. Rozkazał nam utrzymać pozycje do czasu jego przybycia.

Sean zatrzymał się i spojrział na Alphonsa.

– O czym ty, do cholery, mówisz? China jest dwa dni marszu od nas!

Alphonso uśmiechnął się kręcąc głową.

– Generał China będzie tu za godzinę. Podążał za nami z pięcioma kompaniami najlepszych żołnierzy. Od czasu gdy opuściliśmy obóz nad rzeką, nigdy nie był od nas dalej niż o godzinę marszu.

– Skąd to wiesz? – zapytał Sean ostrym tonem i Alphonso znowu wyszczerzył wesoło zęby, poklepując radionadajnik na plecach stojącego obok partyzanta.

– Rozmawiałem z generałem dziesięć minut temu, jak straciliśmy ostatniego radzieckiego henshaw.

– Dlaczego mi nic nie powiedziałaś, ty draniu? – warknął Sean.

– Generał mi zabronił. Teraz jednak kazał powiedzieć, że jest bardzo z pana zadowolony i mówi, że jest pan dla niego jak najlepszy syn. Kiedy tu przybędzie, osobiście pana wynagrodzi.

– W porządku. – Sean zmienił rozkazy. – Jeśli mamy utrzymać obóz, to ustaw ludzi wzdłuż ogrodzenia, wykorzystamy ich ciężkie karabiny maszynowe.

Przerwał, gdy zobaczył partyzanta biegnącego pod górę w ich kierunku.

– Nkosi! – Mężczyzna dyszał ciężko. Seanowi wystarczył rzut oka na jego twarz, żeby domyślić się, że coś jest nie w porządku.

– Kobieta? – zapytał chwytając posłańca za ramię. – Czy to biała kobieta została ranna? Shangan potrząsnął przecząco głową.

– Jest bezpieczna. Posłała mnie do ciebie. To Matabelczyk, kapitan Job, jest ranny.

– Jak ciężko?! – Sean już biegł i wykrzyczał pytanie przez ramię.

– Umiera! – zawołał za nim posłaniec. – Matabelczyk umiera. Sean wiedział, gdzie ma szukać, sam wyznaczył Jobowi pozycję wśród kępy akacji. Zbiegając ze wzgórza widział, jak pierwsze promienie słońca wyłaczają korony drzew. Z pomocą dwóch Shanganów Claudia przeniosła Joba na równy teren pod drzewami. Oparła jego głowę o plecak i obandażowała mu ranę.

Słyszając kroki podniosła głowę i zawołała:

– Och, Sean, dzięki Bogu! – Jej koszula była oblepiona zasychającą krwią, a widząc wyraz oczu Seana szybko dodała: – To nie moja krew. Nic mi się nie stało.

Sean skoncentrował się na Jobie. Jego twarz była nienaturalnie szara, a z czoła spływały strużki potu.

Dotknął jego policzków i przekonał się, że skóra jest zupełnie zimna. W panice zaczął szukać pulsu na nadgarstku i mimo że był słaby i nieregularny, Sean odetchnął z ulgą.

– Stracił dużo krwi – szepnęła Claudia. – Udało mi się jednak powstrzymać krwawienie.

– Jest w szoku – mruknął Sean. – Muszę go obejrzeć.

– Nie podnoś tego bandaża – ostrzegła go szybko Claudia. – Rana jest okropna. Pocisk z działka trafił go w ramię. To tylko porwane ciało i połamane kości. Jego ręka wisi na strzępach mięśni i ścięgien.

– Weź z sobą Matatu – zdecydował szybko Sean. – Pójdziecie do obozu. Znajdź jakąś apteczkę. Rosjanie powinni mieć dobry sprzęt, potrzebuję osocza i kroplówki. Najważniejsze są opatrunki i bandaże. Jeśli znajdziesz jakieś środki antyseptyczne i przeciwbólowe, to też je przynieś.

Claudia podniosła się z ziemi.

– Sean, tak się o ciebie martwiłam! Widziałam...

– Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo. – Nie odrywał wzroku od twarzy Joba. – Teraz idź już i wracaj jak najszybciej. Matatu, pójdiesz z donną, uważaj na nią.

Oboje ruszyli biegiem w stronę obozu. Dopóki nie wrócą ze środkami pierwszej pomocy, Sean był bezradny. Chcąc coś zrobić, namoczył własną chustkę wodą z manierki i zaczął ocierać nią twarz rannemu przyjacielowi. Powieki Joba zatrzepotały i Sean zobaczył, że jest przytomny.

– W porządku, Job. Nic nie mów.

Job zamknął na chwilę oczy. Kiedy je znowu otworzył, spojrzał w dół. Był zbyt słaby, żeby podnieść głowę, ale starał się spojrzeć na swoje ciało, żeby zobaczyć, jak bardzo jest poharatany. To była zawsze pierwsza reakcja rannego żołnierza.

– Czy to krew z płuc? Czy mam obie nogi i ręce...?

– Prawa ręka i ramię – powiedział mu Sean. – Zadrasnął cię pocisk z działka pokładowego hinda. Nieduże zadrapanie. Nic ci nie będzie, masz moje słowo. Słuchaj, stary, czy oszukiwałbym cię?

Na ustach Joba pojawił się słaby uśmiech. Zmrużył wolno jedną powiekę w porozumiewawczym mrugnięciu okiem. Sean czuł się, jakby mu miało pęknąć serce. Okłamał przyjaciela. Wiedział dobrze, że Job nie ma szans.

– Odpocznij teraz – polecił mu pogodnym tonem. – Połóż się i baw się dobrze, jak powiedział biskup do aktorki. Teraz ja się tobą opiekuję. Job zamknął posłusznie oczy.

Claudia odnalazła punkt medyczny po czerwonym krzyżu nad wejściem do schronu. W środku znajdowało się dwóch partyzantów Renamo szukających łupów, ale krzyknęła na nich tak ostro, że wynieśli się w milczeniu jak niepyszni.

Napisy na pudełkach z lekarstwami były pisane cyrylicą i Claudia musiała rozrywać opakowania, żeby przekonać się, co jest w środku. W jednym pudełku znalazła kilkanaście plastikowych torebek z plazmą i podała dwie z nich Matatu. Kroplówki znajdowały się na niższej półce. Nie miała kłopotów z opatrunkami i bandażami, ale nie wiedziała, co zrobić z pudełkami pełnymi maści i pigulek. Odkręciła jedną tubkę i brązowa zawartość o zapachu jodyny pozwoliła jej odgadnąć, że to środek antyseptyczny. Później zauważyła, że niektóre z fiolek mają także francuskie i arabskie napisy, Znała trochę oba języki, co pozwoliło jej odnaleźć antybiotyki i środki przeciwbólowe.

Wyszukała także dwie apteczki polowe przeznaczone dla radzieckich sanitariuszy i zabrała je ze sobą. Wreszcie, oboje porządnie obładowani, wyszli z Matatu ze schronu.

Zanim dotarła do granicy obozu, z dymu przed nią wyłoniła się nienawistna jej postać. Była to ostatnia osoba, jaką spodziewała się tu zastać.

– Miss Monterro! – zawołał generał China. – Co za szczęśliwe spotkanie. Potrzebuję pani

pomocy. – Chinie towarzyszyło kilkunastu oficerów sztabowych.

Claudia otrząsnęła się z początkowego zaskoczenia.

– Spieszę się – odparła szybko, próbując go ominąć. – Job jest ciężko ranny. Muszę do niego wrócić.

– Obawiam się, że moja potrzeba jest większa niż czyjkolwiek. – China wyciągnął w jej stronę rękę.

– Niech pan nie próbuje mnie zatrzymać – warknęła na niego Claudia. – Job musi dostać te lekarstwa albo umrze.

– Jeden z moich ludzi może je zanieść do niego – odparł China. – Idzie pani ze mną, proszę. Niech się pani nie sprzeciwia, gdyż każę panią zanieść, co nie wyglądałoby zbyt elegancko.

Claudia wciąż się sprzeciwiała, gdy jeden z oficerów zabrał jej z rąk lekarstwa i bandaże. Wreszcie dała spokój, wruszając ramionami.

– Matatu, zaprowadź go. – Wskazała na wzgórze. Mały Murzyn skinął głową, a ona ruszyła za Chiną do obozu.

Wybierali drogę pomiędzy płonącymi wrakami i Claudia nagle zadrżała, gdy nieostrożnie nadepnęła na spalone zwłoki jednego z żołnierzy Frelimo.

– Atak pułkownika Courteneya okazał się większym sukcesem, niż mogłem przypuszczać. – Generał China mówił pogodnym tonem, w którym było słyhać zachwyt nad tym, co widział wokoło siebie. – Udało mu się nawet zdobyć jednego nie tkniętego hinda z załogą i obsługą naziemną.

– Mam nadzieję, że nie będzie mnie pan długo zatrzymywał, muszę zaraz do niego wracać.

– Kapitan Job będzie żył lub umrze bez pani, miss Monterro. Potrzebuję pani pomocy jako tłumacza w rozmowie z pilotem.

– Nie znam rosyjskiego – odpowiedziała ostro Claudia.

– Na szczęście pilot mówi po włosku. Nie mam pojęcia, gdzie się nauczył tego języka, ale powtarza „Italiano, Italiano”. – China wziął ją za rękę i sprowadził po schodkach prowadzących do zakamuflowanego schronu.

Claudia rozejrzała się po wnętrzu i odgadła, że jest to warsztat naprawczy. Pod dwiema przeciwległymi ścianami biegły wysokie ławy. Na jednej z nich stała obrabiarka i wiertarka. W szafkach nad ławami znajdowało się dużo narzędzi, wśród których rozpoznała spawarki elektryczne i gazowe. Jej ojciec miał własny warsztat na poddaszu ich domu w Anchorage i Claudia spędziła wiele wieczorów przyglądając mu się przy pracy.

Pięciu radzieckich więźniów siedziało pod tylną ścianą schronu.

– Który z was mówi po włosku? – zapytała.

W odpowiedzi wystąpił szczupły młodzieniec. Miał na sobie szary kombinezon, a jego twarz była poznaczona trądzikiem. Jego bladoniebieskie oczy były nerwowe.

– Ja, signora.

– Gdzie się pan nauczył włoskiego? – zapytała Claudia.

– Moja żona pochodzi z Mediolanu. Poznałem ją, gdy robiła doktorat na uniwersytecie Patrice’a Lumumby w Moskwie. – Mówił po włosku z silnym akcentem, ale Claudia mogła go zrozumieć bez kłopotu.

– Będę tłumaczyła dla generała Chiny – powiedziała – ale muszę pana przestrzec, że jest to dziki i okrutny człowiek. Nie jestem ani jego sprzymierzeńcem, ani przyjacielem. Nie mogę pana ochronić.

– Dziękuję, signora. Rozumiem panią, ale nie potrzebuję żadnej ochrony. Jestem jeńcem wojennym i chroni mnie Konwencja Genewska. Mam swoje prawa. Tak samo moi ludzie.

– Co on mówi? – zapytał China.

– Mówi, że jest jeńcem wojennym i że on i jego ludzie są chronieni przez Konwencję Genewską.

– Proszę mu powiedzieć, że Genewa jest daleko. Tu jest Afryka, a ja nie podpisywałem żadnych umów w Szwajcarii. Tutaj ma tylko takie prawa, jakie ja mu przyznam. Proszę powiedzieć, że będzie dla mnie pilotował helikopter, a jego załoga ma go obsługiwać i utrzymywać w odpowiednich warunkach.

Kiedy Claudia przetłumaczyła, zobaczyła, jak szczęki Rosjanina zaciskają się, a oczy stają się twarde niczym stal. Obrócił głowę i powiedział kilka słów po rosyjsku do swoich ludzi. Natychmiast zaczęli szemrać i kręcić głowami.

– Niech pani powie tej czarnej małpie, że nalegamy na przestrzeganie naszych praw – oznajmił pilot z wyraźną pogardą. Claudia słyszała, że wielu Rosjan jest rasistami. Określenie generała, jakie padło z ust młodego pilota, świadczyło dobitnie, że on również podziela te poglądy. – Odmawiamy latania czy walczenia dla niego. To byłaby zdrada.

Jego odmowa była tak oczywista, że China nie czekał na tłumaczenie.

– Proszę mu powiedzieć – przerwał jej ostro – że nie mam czasu na kłótnie czy subtelne przekonywanie. Pytam jeszcze raz, czy zgodzi się pilotować helikopter, i jeśli odmówi, będę musiał udowodnić, że mówię poważnie.

– Signore, to jest bardzo niebezpieczny człowiek. – Claudia zwróciła się do radzieckiego oficera. – Widziałam na własne oczy, jak popełniał okropne zbrodnie. Sama byłam przez niego torturowana.

– Jestem radzieckim oficerem i jeńcem wojennym. – Pilot wyprostował się, a jego głos stał się jeszcze bardziej stanowczy. – Znam swój obowiązek.

China przyglądał się mu, gdy mówił. Uśmiechnął się lodowato, kiedy Claudia przetłumaczyła.

– Kolejny dzielny człowiek – mruknął pod nosem. – Musimy się tylko przekonać jak dzielny.

Nie oglądając się na swoich oficerów, China wydał im rozkaz w języku shangańskim.

Czekając, aż jego ludzie podtoczą z końca warsztatu butle z gazem acetylenowym, China uśmiechał się spokojnie do radzieckiego oficera. Pilot odpowiadał mu zimnym spojrzeniem, wytrzymując próbę sił.

China pierwszy odwrócił wzrok. Podeszedł do stołu i przyjrzał się narzędziom rozłożonym na blacie. Mruknął aprobująco, gdy wyszukał cienki stalowy pręt i zważył go w dłoni. Pręt miał długość wyciora do strzelby i na obu końcach był nagwintowany, najpewniej linka kontrolna hinda.

– To się świetnie nada – powiedział na głos i wziął ze stołu azbestowe rękawice. Założył je na dłonie i skoncentrował się na palniku. Claudia, która często przyglądała się pracującemu ojcu, szybko zorientowała się, że China potrafi obsługiwać aparat. Zapalił palnik. Sprawnie wyregulował dopływ tlenu i acetyleny z dwóch butli, aż płomień stał się niebieski i zupełnie nieruchomy. Podsunął koniec pręta nad płomień i zaczął go rozgrzewać.

Rosjanie przyglądali się temu z niepokojem. Claudia zobaczyła, jak twarde spojrzenie pilota umyka niespokojnie na bok, a na górnej wardze pojawiła się lśniąca rosa potu.

– Ten człowiek jest wściekłym zwierzęciem – powiedziała cicho Claudia po włosku. – Musi mi pan uwierzyć, że jest zdolny do najokropniejszych rzeczy. Signore, proszę, nie chcę na to patrzeć.

Pilot potrząsnął głową, odrzucając jej prośbę, ale patrzył jednocześnie rozszerzonymi oczami na czerwieniejący koniec pręta.

– Nie dam się zastraszyć brutalnym pogrożkom – odpowiedział. Claudia wyczuła pewne wahanie i załamanie w jego głosie.

Koniec pręta stał się najpierw jarząco-purpurowy, a potem przeszedł w przezroczytobiały. China uśmiechnął się i wyłączył palnik. Pomachał rozpalonym do białości końcem pręta niczym batutą i znowu uśmiechnął się do pilota. Był to pozbawiony wesołości lodowaty uśmiech kobry.

– Jeszcze raz poproszę. Niech pani go spyta, czy będzie dla mnie pilotował maszynę.

– Niet, – Mimo że głos odmawiał mu posłuszeństwa, odmowa pilota była ostateczna. – Objezana, czarna małpa – dodał po rosyjsku.

China stanął przed nim i wolno przesunął koniec pręta zaledwie kilka centymetrów przez oczami Rosjanina.

– Signora, niech pani mu powie, że bez oczu nie mogę latać – wyszeptał pilot.

– Bardzo słusznie. – China skinął głową, gdy Claudia przetłumaczyła. Zostawił pilota i podeszedł do grupy siedzących więźniów, przesuwając im rozpalony koniec tuż przed oczyma i uważnie studiując ich reakcje. Reakcja tłustego mechanika w poplamionym ropą kombinezonie na końcu szeregu najwidoczniej usatysfakcjonowała Chinę. Rosjanin skulił się i cofnął przed żarem, aż jego głowa oparła się o ścianę. Po rumianych policzkach ściekał mu pot i gromadził się na końcu nosa. Powiedział coś piskliwym głosem po rosyjsku, na co pilot odpowiedział mu jednym ostrym słowem.

– Nie podoba ci się to, mój mały biały tłusciuchu, co? – China uśmiechnął się cienko i podsunął pręt bliżej policzka więźnia. Głowa mechanika wbijała się w ścianę, a jego oczy zezowały z przerażeniem na czerwony koniec pręta.

Metal szybko ochładzał się. Ze zmarszczonymi lekko ze złości brwiami China odwrócił się od mechanika, podszedł do stołu i zapalił palnik. Podczas gdy rozgrzewał pręt, mechanik opadł ciężko na ławę. Mężczyzna pocił się obficie i na kombinezonie widać było ciemne plamy.

Pilot powiedział coś do niego miękkim, uspokajającym głosem. Mężczyzna skinął głową i wyprostował się. Spojrzał na swojego przełożonego z wdzięcznością i China, który przyglądał się ukradkiem tej wymianie spojrzeń, uśmiechnął się do siebie.

Kiedy Claudia zobaczyła ten złowieszczy uśmiech, uświadomiła sobie, że China właśnie dokonał wyboru. Miał już upatrzoną ofiarę. Mechanik był najmniej odważny ze wszystkich radzieckich więźniów, a pilot niebacznie odkrył swoje zatroskanie wobec niego.

– Proszę – szepnęła do pilota po włosku. – Pański przyjaciel jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Jeśli chce go pan ocalić, musi się pan zgodzić współpracować z tym człowiekiem.

Pilot spojrzał na nią. Z jego oczu Claudia odczytała, że zaczyna się wahać.

– Proszę, niech pan to zrobi dla mnie. Nie mogę na to patrzeć. – Z rozpaczą zauważyła, że spojrzenie oficera twardnieje, gdy ponownie podjął decyzję. Potrząsnął głową i China dostrzegł ten gest.

Wyłączył palnik i delikatnie dmuchnął na biały koniec pręta. Przedłużał tę chwilę w nieskończoność czując, że wszystkie oczy w schronie są zwrócone na żarzący się metal.

Nagle wydał rozkaz po portugalsku. Dwóch jego ludzi rzuciło się na mechanika, chwytając go pod pachy. Mężczyzna zaczął piszczeć panicznie, ale goryle Chiny zanieśli go na środek pomieszczenia i rzucili twarzą w dół na stół. Jeden z nich wskoczył na blat i usiadł mu na plecach. Rosjanin wrywał się z całych sił, kopiąc nogami, ale dwaj partyzanci silnie przyciskali go do stołu. Sprawnie przywiązali mu kostki do nóg stołu. Mężczyzna leżał nieruchomo, wystawiając opiętą pupę do góry.

Radziecki pilot zaprotestował z wściekłością, robiąc krok do przodu, ale jeden z oficerów Renamo wepchnął mu lufę pistoletu w brzuch i popchnął go na ścianę.

– Pytam pana jeszcze raz – China zwrócił się bezpośrednio do niego. – Czy będzie pan dla mnie latał?

Pilot krzyknął coś po rosyjsku. Było to najpewniej jakieś przekleństwo. Jego twarz była czerwona z wściekłości, a na policzkach i brodzie plamy po trądziku zdawały się wielkie jak guziki.

China skinął na swoich ludzi. Jeden z nich wyciągnął nóż i przeciął bawełniane spodnie na siedzeniu mechanika. Następnie złapał dwa rozcięte końce materiału i jednym szarpnięciem rozerwał je na dwie części tak, że strzępy kombinezonu zwisały mu do kolan.

Pod spodem Rosjanin nosił elastyczne niebieskie majtki. Partyzant Renamo ściągnął mu je szybko w dół.

Claudia patrzyła w niemym przerażeniu na odsłonięte pośladki mężczyzny. Były bardzo białe, tłuste i okrągłe, pokryte gęstymi czarnymi włosami. Spomiędzy nóg zwisały jądra pomarszczone niczym u psa.

Pilot krzyczał cały czas po rosyjsku i Claudia zaczęła nagle prosić Chinę.

– Generale China, niech mnie pan wypuści, proszę. Nie mogę na to patrzeć. – Chciała odwrócić głowę i zamknąć oczy, ale makabryczna fascynacja kazała jej patrzeć przez palce.

China nie zwracał uwagi ani na jej prośby, ani na krzyki Rosjanina. Powiedział coś szybko do oficera siedzącego na plecach więźnia i Renamo schwycił w obie ręce pośladki mechanika i rozciągnął je na boki. Protesty Claudii uwięzły jej w gardle. Patrzyła z otwartymi ustami na pomarszczony brązowy odbyt schowany pomiędzy białymi pośladkami.

China podsunął koniec pręta, zatrzymując go kilka centymetrów od odbytu. Rosjanin poczuł palący żar na swoich narządach i zaczął rzucać się z taką siłą, że potrzeba było jeszcze dwóch oficerów, żeby go utrzymać.

– Tak? – China spojrział pytająco na radzieckiego oficera. Pilot wrzeszczał jak opętany, wykrzykując groźby i oskarżenia, z twarzą wykrzywioną od nienawiści.

– No cóż, przykro mi – powiedział spokojnie China i pchnął pręt pomiędzy nogi mężczyzny z nadgarstkiem ustawionym jak przy ataku szpadą, fleche.

Gdy rozpalony metal dotknął skóry więźnia, Rosjanin wydał z siebie przeraźliwy ryk. Claudia jęknęła cicho.

Metal syczał i dymił, a China wbijał pręt głębiej i głębiej w ciało mechanika, który wybuchał salwami jęku. Claudia zacisnęła z całej siły uszy dłońmi i podbiegła do kąta schronu, wciskając twarz w worki z piachem.

Dym, wstrętny smród palonego ciała i topionego tłuszczu, wypełniał jej nozdrza, gardło i płuca. Smród pokrywał język śliskim mułem, czuła, jak się jej zbiera na wymioty i z całych sił próbowała je powstrzymać, ale żołądek jej się zacisnął i wszystko wyleciało z niej jedną strugą opryskując ziemię pomiędzy nogami.

Wycie rannego z wolna ucichło, przechodząc w straszliwe rżenie. Teraz wszyscy Rosjanie krzyczeli wściekle, tworząc nieopisany harmider w ciasnym schronie.

Kolejna fala smrodu spalonego ciała i rozlanego kału wypełniła jej gardło i Claudia znowu zwymiotowała. Następnie otarła usta wierzchem dłoni i oparła czoło o ścianę. Trzęsła się konwulsyjnie, a po policzkach ściekały jej łzy i pot.

Dziki wrzaski za nią z wolna ucichły. Jedynymi dźwiękami w bunkrze były jęki i rżenie mechanika. Stawały się coraz słabsze i Claudia bez oglądania się mogła powiedzieć, że mężczyzna umiera.

– Pani Monterro. – Głos Chiny był równy i spokojny. – Niech się pani weźmie w garść. Czeka nas jeszcze praca.



– Jesteś zwierzęciem! – wybuchnęła. – Nienawidzę cię! O Boże, jak ja cię nienawidzę!

– Pani uczucia do mnie w najmniejszym stopniu mnie nie interesują – odparł China. – Powie pani pilotowi, że oczekuję od niego pełnej współpracy.

Nowe jęki mechanika odwróciły jej uwagę od słów Chiny. Kiedy odeszła od ściany, zobaczyła, że ludzie Chiny puścili rannego, pozwalając mu opaść na ziemię. China zostawił pręt wbity głęboko w ciało Rosjanina. Mężczyzna wił się na podłodze szarpiąc bezskutecznie za koniec pręta wystający spomiędzy jego pośladków. Rozgrzany metal przywarł jednak silnie do jelit i po ochłodzeniu był jak sklejony z ciałem. Za każdym razem, gdy umierający ciągnął za przebijający go pręt, z przeraźliwej rany wypływały płynne odchody zmieszane z krwią.

– Niech pani mówi do pilota – rozkazał China.

Claudia odwróciła wzrok od mechanika i zwróciła się do pilota.

– Proszę, niech pan zrobi, co on panu każe.

– Nie mogę, mój obowiązek! – odkrzyknął ściśniętym głosem oficer.

– Do cholery z pańskim obowiązkiem! – odkrzyknęła wściekle Claudia. – Pan i pańscy ludzie skończycie jak on! – Wskazała na mężczyznę w agonii, nie spuszczać jednak wzroku.

– To samo robi z panem! – Odwróciła się do pozostałych Rosjan, którzy siedzieli bliżej i osłupiali z przerażenia. – Spójrzcie na niego! – wrzasnęła po angielsku. – Czy tego chcecie?

Nie zrozumieli jej słów, ale gest był wymowny dla wszystkich. Zwrócili oczy na swojego dowódcę.

Radziecki oficer jeszcze przez pełną minutę opierał się jej prośbom. W pewnej chwili na rozkaz Chiny dwóch oficerów Renamo schwyciło kolejnego mężczyznę z obsługi naziemnej i powlokło go do stołu. Pilot podniósł obie ręce w geście rezygnacji.

– Niech pani mu powie, żeby przestał – powiedział znużonym tonem do Claudii. – Zrobimy, co nam każe.

– Dziękuję pani, miss Monterro. – China posłał jej czarujący uśmiech. – Może teraz pani wrócić do pułkownika Courteneya.

– Jak się pan porozumie z pilotem? – zapytała niepewnie Claudia.

– Już rozumię, co do niego mówię. – China obdarzył pilota równie czarującym uśmiechem. – Zapewniam panią, że nauczy się mojego języka w wyjątkowo krótkim czasie. – Znowu spojrzał na Claudię. – Proszę przekazać wyrazy szacunku dla pułkownika Courteneya i spytać go, czy mógłby przyjść do mnie tak szybko, jak to tylko możliwe. Chciałbym się z nim pożegnać, podziękować mu i życzyć bon voyage. – Skłonił przed nią kpiąco głowę. – Tak więc rozstajemy się, pani Monterro. Mam nadzieję, że będzie pani dobrze myślała o nas wszystkich, którzy jesteśmy pani szczerymi przyjaciółmi.

Claudia nie znalazła żadnych słów, żeby mu odpowiedzieć. Obróciła się do drzwi schronu i na miękkich nogach wyszła na zewnątrz.

Schodziła niepewnie po zboczu porażona jeszcze tym, co zostawiła za sobą. Nie

zauważała nawet wokół siebie scen, które w normalnych okolicznościach postawiłyby jej włosy na głowie.

Na dole wzgórza zatrzymała się, próbując otrząsnąć z szoku. Wciągnęła kilka razy głęboko powietrze, powstrzymując szloch rodzący się w jej gardle. Odgarnęła palcami włosy z twarzy i poprawiła kawałek materiału, którego użyła jako opaski. Końcem bluzki otarła łzy z powiek i pot z czoła i ze zdziwieniem zobaczyła, że na materiale została tłusta plama.

– Muszę wyglądać jak nieboskie stworzenie – szepnęła do siebie. Zaciśnęła palce chowając połamane paznokcie. Podniosła wyżej brodę. – Sean nie może mnie zobaczyć w tym stanie – powiedziała sobie z siłą. – Weź się w garść, dziewczyno.

Sean podniósł głowę, gdy zbliżyła się do miejsca, gdzie klęczał nad owiniętym w koc Jobem.

– Co się stało? – zapytał. – Co cię zatrzymało?

– Generał China jest w obozie. Zmusił mnie, żebym z nim poszła.

– Czego chciał? Co się stało?

– Nic, nic ważnego. Powiem ci później. Co z Jobem?

– Dałem mu cały litr plazmy – odpowiedział Sean. Na gałęzi nad Jobem wisiała kroplówka. – Jego puls jest wyraźniejszy. Job jest silny jak byk. Pomóż mi zabandażować ranę.

– Czy jest przytomny?

– Tylko chwilami – odparł Sean.

Pod opatrunkiem zobaczyli tak okropną ranę, że nie odważyli się nic powiedzieć na jej temat, zważając, że Job mógł ich usłyszeć.

Sean posmarował ciało wokół rany pastą jodynową, obłożył czystymi opatrunkami i zabandażował. Krew i brązowa pasta przesiąkały obficie przez biały materiał.

Musieli go podnieść, żeby przesunąć bandaż pod plecami. Claudia trzymała na pół urwane ramię, przyciskając je do piersi, a Sean wprawnymi ruchami zakładał opatrunek. Kiedy skończył, cały tors Joba poza lewym ramieniem był ukryty pod ściśle założonym bandażem.

– Puls znowu zanika. – Sean opuścił nadgarstek przyjaciela. – Zaaplikuję mu jeszcze jedno opakowanie osocza.

Z lasu za obozem dobiegły ich nagle wybuchy moździerzy i strzały z broni maszynowej. Claudia spojrzała zaskoczona w tamtą stronę.

– Co się dzieje?

– Frelimo przeprowadza kontratak. – Sean był zbyt zajęty kroplówką, żeby spojrzeć w tamtą stronę. – China ma ze sobą trzy kompanie, a Frelimo nie będą się tak rwali do walki po tym, jak stracili całe powietrzne wsparcie. Chłopcy Chiny powinni powstrzymać ich bez trudu.

– Sean, skąd China się tu wziął? Sądziłam...

– Tak – przerwał jej Sean. – Ja też myślałem, że został w obozie nad rzeką. Sprytny drań deptał nam cały czas po piętach, żeby jak najszybciej dostać w swoje łapy to, co zdobędziemy. – Ustawił przepływ osocza z kroplówki i przykucnął obok Claudii, przyglądając się jej twarzy.

– W porządku – powiedział. – Co się stało?

– Nic. – Spróbowała uśmiechnąć się do niego.

– Nie wciskaj mi kitu, kochanie – powiedział delikatnie Sean i otoczył ją ramieniem. Claudia nie mogła się powstrzymać i chlipnęła.

– China – szepnęła. – I to po tym, co się stało z Jobem. Kazał mi tłumaczyć dla radzieckiego pilota. O Boże, jak ja nienawidzę tego bydlaka. To prawdziwe zwierzę. Musiałam patrzeć... – głos się jej urwał.

– Coś przykrego – domyślił się Sean i Claudia skinęła głową.

– Zabił jednego z Rosjan w najokropniejszy sposób.

– Nasz China to dzielny chłopczyk. Postaraj się jednak o tym zapomnieć, mamy dość własnych kłopotów. Niech Ruscy sami się martwią o siebie.

– Zmusił ich pilota do prowadzenia dla niego helikoptera. Sean wstał podnosząc ją z ziemi.

– Nie myśl już więcej o Chinie i o Rosjanach. Musimy teraz myśleć, jak się stąd wydostać. – Urwał widząc sierżanta Alphonsa i kilkunastu innych Shanganów idących w ich stronę. Wszyscy byli obładowani łupami.

– Nkosi. – Przystojna twarz Alphonsa była ozdobiona zwycięskim uśmiechem. – Co za walka, co za zwycięstwo!

– Walczyliście jak stado lwów – pochwalił go Sean. – Wygraliśmy tę walkę, ale musisz nam teraz pomóc dostać się do granicy. Kapitan Job jest ciężko ranny.

Uśmiech znikł z twarzy Alphonsa; mimo naturalnej wrogości plemiennej obaj mężczyźni nabrali do siebie szacunku w czasie wspólnej walki.

– Jak ciężko? – zapytał Alphonso, podchodząc do Seana, żeby spojrzeć na rannego.

– W punkcie pierwszej pomocy widziałam nosze z włókna szklanego – przypomniała sobie Claudia. – Moglibyśmy ponieść na nich Joba.

– Do granicy jest dwa dni marszu – mruknął powątpiewającym tonem Alphonso. – Przez terytorium zajęte przez Frelimo.

– Frelimo uciekają jak psy, którym się nadepnie na ogon. – Głos Seana był twardy i zdecydowany. – Poślij dwóch ludzi po nosze.

– Generał China chce cię widzieć. Opuszcza obóz w radzieckim henshaw. Chciał z tobą porozmawiać przed odlotem.

– Dobrze, ale chcę tu widzieć nosze, jak wrócę – ostrzegł go Sean i spojrzął na zegarek. – Ruszamy do granicy za godzinę.

– Nkosi – zgodził się pogodnie Alphonso. – Będziemy gotowi. Sean obrócił się do

Claudii.

– Idę zobaczyć się z Chiną. Spróbuję go przekonać, aby poleciał z nami do granicy helikopterem, ale chyba nie mam zbyt dużych szans. Zostań z Jobem i sprawdź jego puls. Znalazłem jednorazową strzykawkę z adrenaliną w apteczce. Możesz jej użyć, jeśli będzie z nim naprawdę źle.

– Wracaj szybko – szepnęła. – Jestem dzielna tylko wtedy, gdy jesteś przy mnie.

– Matatu będzie z tobą.

Sean szybko wspiął się na wzgórze, mijając po drodze pierwsze szeregi tragarzy Renamo. Najwidoczniej China zamierzał zabrać wszystko, co tylko mogli udźwignąć, w tym także skrzynki z częściami zapasowymi do hinda i beczki z avgasem. Linia tragarzy kierowała się na północ w stronę obozu nad rzeką. Sean nie zwracał na nich większej uwagi. Jego rola się zakończyła. Chciał jak najszybciej wydostać się z tego miejsca i dotrzeć do granicy, skąd mógłby odtransportować Joba do szpitala, a Claudię do jakiegoś bezpiecznego miejsca. Mimo pośpiechu nękała go niepewność, czy China na pewno dotrzyma słowa i pozwoli im odejść. Czy przypadkiem nie był pod tym względem zbyt naiwny?

– Zobaczymy – powiedział sobie ze srogą miną i zawołał jednego z oficerów Renamo, który nadzorował zbierających łupy tragarzy. – Gdzie jest generał China?

Znalazł go, jego sztab i pojmanych Rosjan w bunkrze dowódczym. China odwrócił się od mapy ściennej i uśmiechnął uprzejmie do wchodzącego Seana.

– Pułkowniku Courteney, proszę przyjąć moje gratulacje. Był pan wspaniały. Świetne zwycięstwo.

– Jest mi pan coś dłużny.

– Pan i pańscy ludzie chcecie wrócić do domu – zgodził się China. – Wszystkie długi zostały spłacone. Jesteście wolni.

– Nie. – Sean potrząsnął głową. – Według moich obliczeń teraz pan ma wobec mnie dług. Kapitan Job został ciężko ranny. Jego stan jest krytyczny. Chcę, żeby poleciał pan z nami do granicy z Zimbabwe w zdobytym hindzie.

– Oczywiście żartuje pan. – China roześmiał się spokojnie. – Nie mogę ryzykować tak cennej zdobyczy na nieproduktywną misję. Nie, pułkowniku, wszystkie długi zostały uregulowane. Proszę, niech pan nie stawia wygórowanych żądań. Przy moim słabym słuchu czyni mnie to tylko jeszcze bardziej nerwowym i mogę poczuć pokusę, żeby jeszcze raz rozpatrzyć moją wyjątkową ofertę przywrócenia wam wolności. – Uśmiechnął się i wyciągnął rękę. – Pułkowniku, rozstańmy się jak przyjaciele. Może pan liczyć na pomoc sierżanta Alphonsa i jego ludzi. Jest pan człowiekiem o nieskończonej pomysłowości. Jestem absolutnie pewien, że wymyśli pan sposób, aby zapewnić bezpieczeństwo sobie i swoim ludziom bez mojej pomocy.

Sean zignorował wyciągniętą dłoń. China spojrział na nią i wolno ją opuścił.

– Tak więc rozstajemy się. Ja wracam do mojej małej wojny i, kto wie, może pewnego

dnia do własnego państwa. Pan natomiast wraca w objęcia bardzo bogatej i bardzo pięknej młodej Amerykanki. – Jego uśmiech miał w sobie coś lisiego i wybitnie nieprzyjemnego. – Życzę panu powodzenia i jestem pewien, że pan mi życzy tego samego. – Odwrócił się do mapy, zostawiając Seana skonfundowanego.

Coś było nie w porządku, to nie mogło się skończyć w ten sposób. Sean czuł, że jeszcze coś go czeka, ale generał China zaczął dyktować po portugalsku rozkazy jednemu ze swoich oficerów. Sean stał niezdecydowanie przy drzwiach bunkra.

Odczekał jeszcze kilka sekund. Wreszcie odwrócił się gwałtownie i ze schyloną głową wyszedł z bunkra. Dopiero kiedy zniknął za drzwiami, China podniósł głowę i posłał za nim szyderczy uśmiech. Gdyby Sean mógł go widzieć, miałby odpowiedź na swoje pytanie.

Ludzie Alphonsa nie tracili czasu. Obok Joba stały lekkie nosze z włókna szklanego, jakich używają ratownicy górcy. Potrzebowali jednak czterech mężczyzn do niesienia noszy przez góryste tereny. Czekala ich długa droga do granicy.

„Niecałe sto kilometrów, damy sobie radę”, zapewniał się w myślach Sean. „Dwa dni, jeśli przyłożymy się do tego”. Claudia przywitała go z ulgą.

– Job ma się trochę lepiej. Był przytomny i pytał o ciebie. Mówił coś o wzgórzu. Wzgórze 31?

Na ustach Seana pojawił się uśmiech.

– Właśnie tam się poznaliśmy. Job trochę majaczy. Pomóż mi go położyć na noszach.

Podnieśli ostrożnie rannego i położyli go na rozłożonych noszach. Sean przymocował kroplówkę do specjalnego metalowego wspornika nad głową i owinął przyjaciela szarymi wełnianymi kocami.

– Matatu – powiedział wstając z ziemi. – Zaprowadź nas do domu. – Wskazał pierwszej grupie tragarzy, żeby podnieśli nosze.

„Od wschodu słońca minęły zaledwie dwie godziny, ale wydaje się, jakbyśmy w tym czasie przeżyli całe życie”, pomyślał Sean, oglądając się na obóz na wzgórzu. Nad krawędzią unosiły się jeszcze smugi dymu, a ostatnia kolumna tragarzy Chiny obładowana łupami znikala właśnie w lesie.

Odgłosy bitwy z wolna ucichły i wreszcie zupełnie umilkły. Kontratak Frelimo został odparty i China wycofywał wszystkie swoje siły nad rzekę Pungwe.

Kiedy Sean patrzył na obóz, z lądowiska wolno podniósł się zdobyty hind i zawisł na moment nad wzgórzem; nagle zanurkował w ich stronę. Po chwili dostrzegł wielolufowe działko Gatling wystające spod dziobu maszyny.

Maszyna szybko się do nich zbliżała. Sean za pancerną szybą rozpoznał twarz Chiny. Generał siedział na miejscu technika pokładowego przy kontrolkach działka. Widać było wyraźnie, jak lufy obracają się w ich stronę. Hind znajdował się zaledwie piętnaście metrów nad nimi. Był tak blisko, że przez szybę można było dostrzec białe zęby Chiny wyszczerzone w uśmiechu.

Grupa Seana nie dotarła jeszcze do krawędzi lasu. Wokół nie było żadnego schronienia, nic, za czym mogliby się schować przed pociskami. Sean instynktownie schwycił Claudię i przyciągnął do siebie, starając się zasłonić ją własnym ciałem.

Nad nimi generał China zasalutował ironicznym gestem, helikopter zawrócił ostro na północ i szybko zniknął w oddali. Sean i Claudia stali zdezorientowani w milczeniu, aż wreszcie Sean przerwał nabrzmiałą ciszę.

– Idziemy! – Tragarze podnieśli nosze i ruszyli drobnym truchtem, nucąc cicho tradycyjną pieśń marszową.

Idący przodem Matatu natrafił w ciągu dnia na kilka niedużych oddziałów Frelimo, ale całe wojsko uciekało w popłochu znad rzeki. Po utracie wsparcia powietrznego ofensywa zupełnie się załamała i sytuacja była wszędzie wyjątkowo chaotyczna. Mimo że zostali zmuszeni do okrążenia wroga od północy, Matatu potrafił uniknąć kontaktu z oddziałami Frelimo. Shangani często się zmieniali przy noszach i udało im się utrzymać dobre tempo.

Po zapadnięciu zmroku zatrzymali się na odpoczynek. Alphonso połączył się z dowództwem Renamo, żeby złożyć raport o ich pozycji. Oficer łącznikowy generała Chiny przyjął raport, nie zmieniając rozkazów.

Partyzanci zabrali z radzieckich magazynów puszkowane przysmaki i po posiłku palili mocno perfumowane żółte papierosy z kartonowymi ustnikami.

Job odzyskał przytomność, ale miał silne bóle. W pewnej chwili poskarżył się rozgorączkowanym szeptem:

– Lew rozszarpuje mi ramię.

Sean wstrzyknął ampułkę morfiny do kroplówki. Narkotyk na tyle uspokoił rannego, że nawet zjadł kilka łyżek konserwy mięsnej o słodkawym smaku. Jego pragnienie było jednak znacznie silniejsze od głodu, więc podtrzymując mu głowę, Sean napił go dwoma kubkami ciepłej i niespodziewanie smacznej radzieckiej kawy.

Następnie Sean usiadł obok Claudii czekając, aż wstanie księżyc.

– Znowu będziemy szli przez dolinę Honde – powiedział Jobowi. – Jak tylko dostaniemy się do misji St Mary, wszystko będzie w porządku. Jeden z ojców jest lekarzem. Będę mógł także przekazać wiadomość mojemu bratu, Garry’emu, w Johannesburgu, żeby posłał po nas odrzutowiec do Umtali. Zawieziemy cię do głównego szpitala w Johannesburgu, zanim się zorientujesz. Tam będziesz miał najlepszą opiekę medyczną na świecie.

Kiedy wstał księżyc, ruszyli w dalszą drogę. Była już prawie północ, gdy Sean zarządził postój na noc.

Zrobił szybko materac ze ściętej trawy obok noszy Joba. Kiedy Claudia zasypiała już w jego ramionach, szepnął do niej:

– Jutro wieczorem weźmiemy gorącą kąpiel, a potem położę cię pomiędzy czystymi prześcieradłami.

– Obiecujesz? – westchnęła.

– Masz moje słowo.

Sean z nawyku obudził się godzinę przed świtem i poszedł sprawdzić strażę.

Alphonso zrzucił z siebie koc, wstał z posłania i ruszył za nim. Kiedy obeszli wszystkie posterunki, zatrzymali się na skraju obozu i Alphonso poczęstował Seana radzieckim papierosem. Zapalili, osłaniając żar złożonymi dłońmi.

– Czy to, co mówiłeś mi o Afryce Południowej, to prawda? – zapytał nieoczekiwanie Alphonso.

– Co ci mówiłem?

– No, że ludzie, nawet Murzyni, codziennie jedzą mięso.

Sean uśmiechnął się w ciemnościach, rozbawiony koncepcją raję, jaką wyobrażał sobie partyzant: miejsce, gdzie każdy może codziennie jeść mięso.

– Czasami, gdy mają już dosyć wołowiny, jedzą kurczaki i jagnięta – podrażnił Alphonso.

Alphonso potrząsnął z niedowierzaniem głową. To było wręcz niepojęte, żaden Afrykanin nie mógł się przejeść wołowiną.

– Ile Murzyn może zarobić w Afryce Południowej? – zapytał z zaciekawieniem.

– Jakies pięćset randów miesięcznie, jeśli jest niewykwalifikowanym robotnikiem, ale jest także wielu czarnych milionerów.

W Mozambiku, jeśli ktoś miał szczęście w ogóle znaleźć pracę, nie zarabiał pięciuset randów w ciągu roku. Milion to już było więcej niż Alphonso mógł sobie wyobrazić.

– Pięćset? – Zauroczony potrząsnął głową. – I to w randach, a nie papierowych eskudach czy dolarach zimbabwejskich? – dopytywał się z niedowierzaniem.

– W randach – potwierdził Sean. W porównaniu z innymi afrykańskimi walutami rand miał równie dobrą pozycję jak złote suwereny.

– Czy to prawda, że w sklepach są różne rzeczy, które można kupić za randy? – Alphonso był ciągle podejrzliwy. Najwidoczniej trudno mu było sobie wyobrazić półki obładowane artykułami innymi niż kilka butelek miejscowego nasyczonego kwasem węglowym alkoholu i paczek tanich papierosów.

– Co tylko sobie zamarysz – zapewnił go Sean. – Mydło, cukier, olej, gotowe obiady.

Były to na wpół zapomniane luksusy w umyśle Alphonso.

– I mogę kupić, ile chcę? – zapytał. – Nie ma żadnego racjonowania?

– Tyle, ile możesz za to zapłacić – uspokoił go Sean. – A kiedy masz już pełny brzuch, to możesz sobie kupić buty, garnitur, radio tranzystorowe i przeciwsłoneczne okulary...

– A rower? – przerwał mu Alphonso.

– Tylko najbiedniejsi jeżdżą rowerami. – Sean uśmiechnął się wesoło. – Większość ludzi ma własne samochody.

– Murzyni także mają własne samochody? Alphonso długo zastanawiał się nad tym wszystkim.

– Czy znalazłaby się praca dla takiego człowieka jak ja? – zapytał tak nieśmiałym

głosem, że aż nie pasował do jego normalnej pewności siebie.

– Dla ciebie? – Sean udawał, że rozważa propozycję, i Alphonso czekał cierpliwie. – Dla ciebie? – powtórzył Sean. – Mój brat jest właścicielem kopalni złota. W ciągu roku mógłbyś zostać nadzorcą, a po dwóch latach kierownikiem zmiany. Mogę ci załatwić posadę tego samego dnia, kiedy przyjedziesz do Afryki Południowej.

– Ile może zarabiać nadzorca?

– Tysiąc, dwa tysiące – zapewnił go Sean widząc, że Alphonso jest oszołomiony. Jego obecna pensja wynosiła randa dziennie i była płacona w mozambijskich eskudach.

– Chciałbym być nadzorcą – powiedział rozmarzonym głosem Alphonso.

– Bardziej niż sierżantem Renamo? – zapytał podchwytliwie Sean i Alphonso prychnął pogardliwie. – Oczywiście w Afryce Południowej nie miałbyś prawa do głosowania – przypomniał mu Sean. – Tylko biali mają prawo wyborcze.

– Prawo wyborcze, a co to takiego? – zapytał Alphonso i sam sobie odpowiedział. – Nie mam prawa do głosowania w Mozambiku. W Zambii, Zimbabwie, Angoli czy Tanzanii także nie mają prawa wyborczego. Nikt w Afryce nie ma tego prawa poza jednym wypadkiem, kiedy wybiera się prezydenta na całe życie i jednopartyjny rząd. – Potrząsnął głową śmiejąc się pogardliwie. – Prawo wyborcze? Nie możesz zjeść prawa wyborczego. Nie możesz się ubrać w prawo, czy jeździć na prawie. Za dwa tysiące randów miesięcznie i pełny brzuch możesz sobie zatrzymać swoje prawo wyborcze.

– Jak kiedyś będziesz w Afryce Południowej, to możesz przyjść do mnie i dostaniesz pracę od ręki. – Sean przeciągnął się i spojrzał na niebo. Mógł już dostrzec korony drzew. Świt szybko się zbliżał. Rozgniół butem niedopałek i zaczął się podnosić z ziemi.

– Muszę ci coś powiedzieć – szepnął Alphonso i jego zmieniony ton zaalarmował Seana.

– Tak? – Przykucnął, nachylając się bliżej do partyzanta. Alphonso odchrząknął zaambarasowany.

– Przeszliśmy razem długą drogę – mruknął pod nosem.

– Długi i ciężki szlak – zgodził się Sean. – Ale zbliżamy się do jego końca. Jutro o tej porze... – Nie musiał kończyć, a Alphonso nie odpowiedział od razu.

– Walczyliśmy ramię w ramię – ciągnął dalej Alphonso.

– Jak lwy – potwierdził Sean.

– Nazwałem cię Baba i Nkosi Kakulu.

– Uczyniłeś mi tym wielki honor – powiedział Sean. – A ja cię nazwałem swoim przyjacielem.

Alphonso skinął głową w półmroku.

– Nie mogę ci pozwolić przekroczyć granicy z Zimbabwie – powiedział wreszcie z pewnością siebie i Sean zakołysał się na piętach.

– Dlaczego?

– Pamiętasz Cuthberta? – zapytał Alphonso. Sean potrzebował chwili, żeby skojarzyć



nazwisko.

– Cuthbert, masz na myśli tego faceta z bazy powietrznej Grand Reef. Tego, co nam pomógł dostać się do środka? – Wydawało mu się, że to było tak dawno.

– Siostrzeniec generała Chiny – potwierdził Alphonso. – Właśnie o nim mówię.

– Sammy Davis Junior. – Sean uśmiechnął się. – Mały cwaniaczek. Tak, pamiętam go dobrze.

– Generał China rozmawiał dziś z nim przez radio. Dziś rano w obozie po naszym zwycięstwie. Byłem w drugim pokoju schronu i słyszałem wszystko, co generał powiedział.

Sean czuł, jakby zimny wiatr przeszedł mu po plecach.

– Co China powiedział? – zapytał, obawiając się usłyszeć odpowiedź.

– Kazał Cuthbertowi powiadomić zimbabwejskie dowództwo, że to ty poprowadziłeś atak na bazę Grand Reef i ukradłeś indeki z rakietami. Cuthbert ma ich poinformować, że będziesz przekraczał granicę przez dolinę Honde przy misji St Mary i że mają tam na ciebie czekać.

Sean poczuł, jak wszystko wywraca mu się w środku. Przez dobrą minutę był zbyt zaszokowany perfidną pułapką, jaką zastawił na nich China, żeby się poruszyć z miejsca. Pomysł był isticie diaboliczny. Pozwolić im wierzyć, że są już wolni i bezpieczni, pozwolić im cieszyć się powrotem do domu, kiedy w rzeczywistości oczekiwał ich los bez porównania gorszy, niż gdyby China osobiście skazał ich na śmierć.

Wściekłość dowództwa armii zimbabwejskiej nie będzie znała granic. Sean miał paszport zimbabwejski, który dotąd był bardzo przydatny, ale który teraz czynił z niego zdrajcę i mordercę, nie mogącego liczyć na żadną oficjalną pomoc z zewnątrz. Bez wątpienia zostałyby przekazany niesławnej Centralnej Organizacji Wywiadowczej Zimbabwe i zabrany do jednej z cel śledczych w więzieniu Chikarubi, z którego nigdy by nie wyszedł żywy. Joba, mimo swoich ran, spotkałby podobny los.

Mimo że Claudia miała obywatelstwo amerykańskie, prawdopodobnie oficjalnie uznano ją za zmarłą. Minęły już tygodnie od czasu powiadomienia o jej zaginięciu. Zainteresowanie jej osobą w ambasadzie amerykańskiej w Harare i Pretorii dawno już minęło. Razem z ojcem zostali uznani za zaginionych i nie mogła oczekiwać pomocy. Claudia była równie narażona na tortury jak i Sean.

Pułapka się zamknęła, nie było z niej wyjścia. Za sobą mieli armię Renamo, po obu stronach Frelimo, a przed sobą zimbabwejską COW. Byli zupełnie opuszczeni na tym zdewastowanym terytorium i czekała ich śmierć z rąk wojska lub z głodu.

„Myśl!”, powiedział sobie Sean. „Wymyśl coś!”

Mogli spróbować przekroczyć granicę z Zimbabwe w jakimś innym miejscu, ale COW z pewnością zaalarmuje wszystkie posterunki graniczne. Na wszystkich drogach znajdowały się posterunki wojskowe. Bez dokumentów nie przejdą nawet kilku kilometrów. A co z Jobem? Jak mogli transportować rannego, kiedy każdy patrol policyjny i wojskowy będzie szukać grupy z noszami.

– Musimy iść na południe – powiedział Alphonso. – Musimy przedostać się do Afryki Południowej.

– My? – Sean patrzył na niego szeroko otwartymi oczami. – Chcesz iść z nami?

– Nie mogę wrócić do generała Chiny po tym, jak go zdradziłem – zauważył spokojnie. – Pójdę z wami do Afryki Południowej.

– Czeką nas droga licząca prawie pięćset kilometrów. Musimy iść pomiędzy dwoma walczącymi armiami, Frelimo i rozstawionymi na południu siłami Renamo. A co zrobimy z Jobem?

– Będziemy go nieśli – odparł Alphonso.

– Przez pięćset kilometrów?

– No to go zostawimy. – Alphonso wzruszył ramionami. – To tylko Matabelczyk, zresztą i tak umiera, żadna strata.

Sean powstrzymał przekleństwo, które cisnęło mu się na usta, i zmusił się do milczenia, rozważając propozycję Alphonsa. Z którejkolwiek strony by patrzył, musiał przyznać, że Alphonso ma rację. Droga na północ do wątpliwego rajy Malawi była zagrodzona przez tamę Cabora Bassa i wojska Chiny. Na wschodzie mieli tylko Ocean Indyjski, a na zachodzie zimbabwejską COW.

– W porządku – zgodził się niechętnie Sean. – Jedyna droga prowadzi na południe. Może uda nam się przecisnąć pomiędzy Frelimo a wysuniętymi na południe oddziałami Renamo. Musimy przedostać się przez dobrze strzeżoną linię kolejową i rzekę Limpopo i znaleźć jakieś pożywienie w kraju, który został zdewastowany przez dziesięć lat wojny domowej.

– W Afryce Południowej będziemy mogli codziennie jeść mięso – przypomniał mu pogodnie Alphonso. Sean podniósł się z ziemi.

– Czy twoi ludzie pójdą z nami?

– Zabiję tych, co nie będą chcieli – powiedział obojętnym tonem Alphonso. – Nie możemy im pozwolić wrócić do generała Chiny.

– Racja – zgodził się Sean. – Będziesz informował Chinę, że przekroczyłem granicę z Zimbabwe. Może uda nam się go zwieść w ten sposób przez jakieś cztery, pięć dni. Nie zorientuje się, że skręciliśmy na południe, aż znajdziemy się daleko poza zasięgiem jego łap. Lepiej porozmawiaj od razu ze swoimi ludźmi. Musimy jak najszybciej zawrócić na południe. Wyjaśnij im wszystko, zanim sami się domyślą, że zmieniliśmy plany.

Alphonso wezwał strażę. W szarym świetle wstającego świtu ich twarze były poważne i napięte, gdy usiedli wokół sierżanta i słuchali, jak zachwala im południowoafrykański raj.

– Wszyscy jesteśmy zmęczeni walką i życiem w lesie jak zwierzęta. Czas, żebyśmy nauczyli się żyć jak ludzie, znaleźli żony, które urodziłyby nam synów. – Alphonso przemawiał z zapalem neofity. Zanim skończył, Sean dojrzał błyski nadziei w oczach większości partyzantów i poczuł ulgę. Po raz pierwszy zaczął wierzyć, że przy sporym wysiłku i jeszcze większym szczęściu mają jednak jakąś szansę.

Podszedł do Claudii i Joba, żeby powiedzieć im o zmianie planów. Claudia ocierała twarz Joba mokrą szmatką.

– Ma się znacznie lepiej. Wyspał się porządnie w nocy. – Umilkła widząc minę Seana. Jej dobry nastrój pierzchł, gdy tylko powiedział, co ich czeka.

– To było zbyt piękne, żeby było prawdziwe – szepnęła. – Wiedziałam cały czas, że nie pójdzie tak łatwo. Czułam, że generał China nie jest świętym Mikołajem w przebraniu.

Job leżał nieruchomo na noszach. Sean pomyślał, że przyjaciel znowu stracił przytomność. Wziął go za nadgarstek, żeby sprawdzić puls. Przy dotknięciu Job otworzył oczy.

– Czy możesz zaufać tym Shanganom? – wyszeptał.

– Nie mamy innego wyjścia – zauważył Sean i zaczął szybko mówić. – Musimy...

– Zostaw mnie tutaj – przerwał mu ledwo dosłyszalnym głosem Job. Twarz Seana zastygła ze złości, a jego głos nabrał stanowczości.

– Przestań pieprzyć głupoty – ostrzegł Joba.

– Beze mnie macie jeszcze jakąś szansę – nalegał Job. – Jeśli będziecie mnie wlec na tych noszach...

– Mamy dwunastu silnych Shanganów – tym razem Sean mu przerwał.

– Lepiej, żeby kilka osób miało szansę się prześliznąć, niż żebyśmy zginęli wszyscy. Zostaw mnie tutaj, Sean. Ocal Claudię i siebie.

– Zaczynasz mnie wkurzać. – Sean wstał i zwrócił się do Claudii: – Wyruszamy za dziesięć minut.

Przez cały dzień maszerowali na południe. Sean przekonał się szybko, jaka to ulga nie musieć oglądać się na niebo, czy nie nadlatują hindy, chociaż partyzanci z przyzwyczajenia spoglądali od czasu do czasu w górę. Im bardziej zbliżali się do linii kolejowej, tym wolniejsze było ich tempo. Coraz częściej musieli się ukrywać w gęstych zaroślach i kępach drzewa hebanowego czekając, aż Matatu wróci ze zwiadu i powie im, że droga wolna.

Późnym popołudniem Sean zostawił oddział w porośniętej gęstymi krzakami kotlinie i poszedł razem z Matatu. Nie było ich przez dwie godziny. Kiedy wrócili, słońce zachodziło już za wzgórzami. Sean jak duch pojawił się nagle u boku Claudii.

– Wystraszyłeś mnie – poskarżyła się cicho. – Chodzisz jak kot.

– Linia kolejowa biegnie kilometr przed nami. Wygląda na to, że strażę Frelimo są w kompletnym nieładzie. Jest spory ruch transportów wojskowych. Wygląda to zupełnie chaotycznie. Przejście będzie nieco ryzykowne. Jak tylko wstanie księżyc, pójde jeszcze raz rzucić okiem na linię.

Kiedy czekali na księżyc, Alphonso przymocował antenę do radia i połączył się z kwaterą Chiny.

– „Gołęb odleciał” – podał wcześniej umówione hasło, które oznaczało, że Sean i jego ludzie przekroczyli granicę. Po krótkiej przerwie, kiedy radiooperator przekazywał

wiadomość generałowi, Alphonso otrzymał nowy rozkaz. Shangani mieli wracać do obozu nad rzeką. Sierżant potwierdził przyjęcie rozkazu i rozłączył się.

– Nie będą mnie oczekiwać wcześniej niż za dwa dni. – Alphonso uśmiechnął się składając antenę. – Dopiero wtedy zaczną coś podejrzewać.

Kiedy okrągły księżyc wyłonił się zza drzew, Sean i Matatu wymknęli się z obozu, żeby ponownie sprawdzić linię kolejową.

Kilometr na południe od ich pozycji znaleźli miejsce, w którym tory przecinały wąski strumień. Mimo że w jego korycie było tylko kilka kałuż z wodą, brzegi porastały gęste krzaki zapewniające dobre schronienie. Krzewy były kiedyś wycięte na trzydzieści metrów po obu stronach linii kolejowej, ale od tego czasu zdołały już odrosnąć i sięgały Seanowi do pasa.

– Ci Frelimo to głupie dranie – mruknął Sean. – Mamy teraz świetną zasłonę i możemy pozostać w korycie strumienia.

Tory kolejowe biegły po nasypie, w którym był wykopany przepływ dla wody. Piętnaście metrów od niego znajdował się posterunek straży. Kiedy Sean przyglądał się przez lornetkę budce wartowniczej, wyszedł z niej żołnierz Frelimo z karabinem przewieszonym przez ramię i podszedł do mostka. Wartownik zatrzymał się na jego środku, oparł o barierkę i zapalił papierosa. Chwiejący się żar pozwolił Seanowi stwierdzić, że żołnierz niezbyt pewnie trzymał się na nogach, gdy wracał do budki. Kiedy Frelimo otworzył drzwi, Sean usłyszał cichy kobiecy śmiech dochodzący ze środka.

– Zdaje się, że mają przyjęcie – zachichotał Sean.

– Wino palmowe i małe bara-bara – zgodził się Matatu pożądlivym głosem i przesunął kilka razy kciukiem prawej ręki pomiędzy kółkiem utworzonym z palców lewej dłoni. – Sam bym chciał tak się pobawić.

– Ty nienasycony mały dupku. – Sean wykręcił mu żartobliwie ucho. – Jak dotrzemy do Johannesburga, stawiam ci najgrubszą i największą dziewczuchę, jaka będzie w mieście. – Erotyczny gust Matatu skłaniał się ku temu, co największe. „Jak Szerpa Tensing na Evereście” – często pokpiwał sobie z niego Sean.

Zabawa, jaką urządzili sobie strażnicy, pozwalała oczekiwać, że grupa zbiegów nie będzie miała większych kłopotów z przeprawą. Sean i Matatu wycofali się cicho znad brzegu strumienia i ruszyli w drogę powrotną do reszty oddziału.

Nie było ich przez trzy godziny. Kiedy zbliżali się do obozu, dochodziła już północ. Sean zatrzymał się na brzegu kotliny, żeby oznajmić swoje przybycie umówionym sygnałem: przenikliwym świergotem kozodoja. Nie miał zamiaru ryzykować, że zostanie postrzelony przez któregoś z Shanganów Alphonsa. Odczekał minutę na odpowiedź. Kiedy nie nadeszła, jeszcze raz odgwiżdżał sygnał. W kotlinie panowała niezmacona cisza. Sean poczuł niepokój.

Postanowił obejść obóz od drugiej strony. Niespodziewanie w świetle księżyca Matatu odnalazł nowy trop i przykucał nad nim, marszcząc niespokojnie brwi.

– Kto to? Skąd przyszli? – zapytał szeptem Sean.

– Wielu ludzi, nasi Shangani! – Matatu podniósł głowę i wskazał na północ. – Oni wychodzą, opuszczają obóz.

– Wychodzą? – zdumiał się Sean. – To bez sensu, chyba że...! O Boże! Nie!

Szybko ruszył w stronę obozu. Straże, które zostawił po tej stronie, znikły. Sean poczuł, jak paniczny strach zaczyna ścisnąć mu gardło.

– Claudia! – szepnął, powstrzymując się z całych sił, żeby nie wykrzyknąć jej imienia. Chciał wbiec do obozu i odszukać ją, ale zamiast tego zaczerpnął kilka razy głęboko powietrza i opanował strach.

Odbezpieczył AKM nastawiając go na ogień ciągły i zaczął bezszelestnie czołgać się w stronę środka obozu. Pięciu Shanganów, których zostawił śpiących u wylotu kotliny, zniknęło. Nie było też ich sprzętu ani broni. Sean posuwał się dalej na łokciach i brzuchu. W świetle księżyca przed sobą rozpoznał zarys noszy Joba; obok, dokładnie tak jak ją zostawił, leżała Claudia owinięta w koce. Za nią leżało jeszcze jedno ciało z rozrzuconymi rękami. Sean dostrzegł wilgotną plamę na tyle głowy mężczyzny.

– Krew!

Zapominając o ostrożności, Sean rzucił się do przodu. Przyklęknął przy Claudii i porwał ją w ramiona.

Dziewczyna jęknęła i na wpół przytomna zaczęła się wyrywać, ale po chwili poznała, kto ją trzyma, i uspokoiła się.

– Sean! – mruknęła zaspanym głosem. – Co jest? Co się stało?

– Dzięki Bogu – mruknął z olbrzymią ulgą. – Już myślałem...! Posadził ją ostrożnie i dotknął Joba.

– Job, wszystko w porządku? – Potrząsnął go delikatnie za zdrowe ramię. Job poruszył się i stęknął.

Sean poderwał się na nogi i podszedł do leżącego na ziemi Alphonsa. Dotknął jego szyi. Ciało było ciepłe, a pod palcami wyczuwał równe i silne tętno.

– Claudia! – zawołał. – Przynies mi latarkę.

W świetle latarki obejrzał uważnie ranę na głowie sierżanta.

– Nic wielkiego – stwierdził. Mimo że krwawienie szybko ustało samo, Sean przyłożył opatrunek do rany i obwiązał sierżantowi głowę bandażem. – Dobrze, że przyłożyli mu po głowie, a nie gdzie indziej, boby mu jeszcze zrobili krzywdę. – Uśmiechnął się ponuro z własnego dowcipu.

– Sean, co się stało? – zapytała niespokojnie Claudia. – Spałam mocno i nic nie słyszałam.

– Twoje szczęście. – Sean zawiązał końce bandaża. – Mogłaś zostać potraktowana jak on.

– Ale co się stało, gdzie są pozostali?

– Odeszli – odpowiedział. – Uciekli, zdezerterowali. Najwidoczniej nie podobała im się

podróż albo jej cel. Dali sierżantowi po łbie i wrócili do generała Chiny.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Chcesz powiedzieć, że zostało nas teraz tylko czworo? Wszyscy Shangani oprócz Alphonsa uciekli?

– Zgadza się – potwierdził. Alphonso stęknął cicho i dotknął ręką bandaża. Sean pomógł mu usiąść.

– Sean! – Claudia pociągnęła go za rękaw. – Co zrobimy? – Sean spojrzał na leżącego na noszach Joba. – Co zrobimy z Jobem? Jak mamy go nieść? Jak się stąd teraz wydostaniemy?

– To jest bardzo ciekawe pytanie, kochanie – odparł głosem, przez który przebijało przygnębienie. – Mogę ci tylko powiedzieć, że jutro o tej porze nasz przyjaciel China będzie wiedział dokładnie, gdzie jesteśmy i w którą stronę się kierujemy.

Claudia patrzyła na niego przerażona.

– Co teraz zrobimy? – jęknęła.

– Nie mamy zbyt wielkiego wyboru – odpowiedział. – Tylko jedna droga jest jeszcze przed nami otwarta – będziemy szli dalej na południe.

Postawił Alphonsa na nogi.

– Przecież to niemożliwe – szepnęła niespokojnie. – We dwóch nie dacie rady nieść noszy.

– Masz oczywiście rację. Musimy to urządzić jakoś inaczej.

Przy pomocy Claudii przeniósł Joba z noszy na koc, a następnie zaczął rozkładać je na części. Zanim skończył, z ciemności wyłonił się Matatu i szeptem złożył Seanowi raport.

– Nieźle ich wyszkoliłeś – powiedział Sean, nie oglądając się na Alphonsa. – Twoi Shangani się rozprysnęli, pobiegli każdy w inną stronę. Gdybyśmy nawet mogli za nimi podążyć, to i tak udałoby nam się złapać co najwyżej jednego albo dwóch, ale reszta dotrze do Chiny z ciekawymi nowinami.

Alphonso skłął dezertarów w żywy kamień, a Sean wyjaśnił Claudii i Jobowi swój pomysł.

– Zrobisz z tej siatki nylonowej z noszy siodło z szelkami. Claudia miała wątpliwości.

– Job nie jest na tyle silny, żeby usiąść wyprostowany. Każdy ruch otworzy ranę i znowu zaczniesz krwawić... – Umilkła, gdy Sean posłał jej rozgniewane spojrzenie.

– Masz jakiś lepszy pomysł? – spytał ostrym głosem i Claudia pokręciła przecząco głową.

Sean złożył podwójnie grube płótno i zrobił zaczepy z pasków swojego AKM i AK Alphonsa.

– Dopasujemy to, jak ruszymy – mruknął i spojrzał na Claudię. – Zamiast wynajdywać trudności, może byś mi pomogła i zebrała cały sprzęt, jaki zostawili Shangani. Musimy wybrać niezbędne rzeczy.

Szybko dokonał wyboru, wyrzucając wszystko poza najbardziej niezbędnymi przedmiotami.

– Alphonso i ja będziemy nieść Joba. Do tego możemy jeszcze wziąć naszą broń i koce. Claudia i Matatu, weźmiecie apteczkę, manierki z wodą i po jednym kocu. Wszystko inne zostawiamy.

– A konserwy? – zapytała Claudia.

– Zapomnij o nich – odparł szybko Sean i zaczął rozdzielać pakunki. Zredukował zawartość ich plecaków do minimum wiedząc, że każdy kilogram będzie ważył dziesięć razy tyle po przejściu zaledwie kilku kilometrów. Zmusił nawet Alphonsa do zostawienia karabinku AK i dał mu w zamian pistolet Tokarew, który zabrał radzieckiemu pilotowi. Sam zostawił sobie dwa zapasowe magazynki do AKM, a Alphonso wziął jeszcze dla nich granaty, dwa rozrywające i dwa zapalające.

Resztę sprzętu ułożyli na jednej stercie, przykryli ziemią i gałęziami, żeby nie został przypadkiem odkryty przez któryś z patroli Frelimo.

– W porządku, stary – zwrócił się do Joba. – Czas w drogę. – Spojrzał na zegarek i przekonał się, że jest za parę minut trzecia. Mieli tylko kilka godzin do świtu, w czasie których mogli przekroczyć linię kolejową.

– To może trochę boleć – ostrzegł Joba i razem z Alphonsem podniósł go z ziemi. Job wytrzymał poruszenie ze stoickim spokojem. Stał nieruchomo podtrzymywany przez obu mężczyzn.

Mężczyźni dopasowali nylonowe siodelko zawieszony na pasach przebiegających im przez ramiona. Potem ostrożnie posadzili na nim rannego. Job siedział teraz nie dotykając ziemi nogami, ze zdrową ręką zaplecioną wokół szyi Seana. Alphonso i Sean splekli razem ręce za jego plecami, żeby go podtrzymać od tyłu.

– Gotowy? – spytał Sean i Job chrząknął cicho, starając się zamaskować ból, jaki mu sprawiał ruch.

– Jeśli chcesz powiedzieć, że jest ci niewygodnie... – ostrzegł go Sean – to lepiej poczekaj kilka godzin!

Ruszyli kotlinką w stronę linii kolejowej. Szli powoli, przyzwyczajając się do niewygodnej pozycji, starając się osłaniać Joba przed nierównościami terenu, ale i tak potykali się na kamieniach, a ranny kołysał się na siodelku i obijał o nich. Nie powiedział ani słowa, ale Sean słyszał przy uchu jego urywany oddech, a kiedy ból dźgnął szczególnie silnie, wbijał palce w kark Seana.

Szli wolnym krokiem korytem na w pół wyschniętego strumienia w stronę przepływu pod linią kolejową. Matatu prowadził trzydzieści metrów przed nimi tak, żeby Sean mógł go widzieć w świetle księżyca. W pewnej chwili mały tropiciel dał im znak, żeby się zatrzymali, a po kilku minutach skinął, że mogą iść dalej. Claudia podążała pięćdziesiąt kroków z tyłu, żeby mieć szansę ucieczki, gdyby zostali odkryci.

Z Jobem uwieszonym na ramionach Sean i Alphonso nie mogli zachować bezwzględnej ciszy. W pewnej chwili weszli niebacznie w płytkie, muliste bajoro na dnie strumienia

i w ciszy nocnej odgłosy ich kroków po wodzie narobiły hałasu niczym stado hipopotamów.

Matatu dotarł już do przepływu i dawał im szaleńcze znaki, żeby się pośpieszyli. Ugięci pod ciężarem Joba puścili się biegiem w stronę mostu, gdy na nasypie dały się słyszeć kroki i odgłosy rozmowy.

Zgięci najbardziej jak mogli, biegli co sił w nogach do mostu. Dopadli wreszcie do przepływu i wnieśli Joba do ciemnego, wybetonowanego tunelu. Claudia, która puściła się pędem, była już kilka kroków za nimi. Sean wyciągnął rękę, złapał ją za ramię i wciągnął do zbawiennej ciemności.

Oparli się o ścianę, schyleni nisko z powodu niewysokiego hakowatego sklepienia, starając się opanować oddechy, które rozrywały im piersi po szaleńczym biegu przez błoto i piach.

Kroki na nasypie zbliżały się, aż wreszcie zatrzymały się bezpośrednio nad ich głowami. Głosy, które ich dobiegały, były głosami mężczyzny i kobiety. Garnizon Frelimo albo woził kobiety ze sobą, albo żołnierze zaprzyjaźnili się z kobietami z obozów uchodźców, które rozciągały się wzdłuż linii kolejowej.

Para na mostku wyklócała się o coś ze sobą, głos mężczyzny brzmiał bełkotliwie jak po alkoholu, a w przenikliwym głosie kobiety słychać było przebiegłość, gdy targowała się nieustępliwie. Wreszcie usłyszeli mężczyznę, który mówił zdesperowanym tonem:

– Dolar shumi, dziesięć dolarów. – Głos kobiety natychmiast zmieknął i para dobiła targu.

Po chwili dobiegł ich odgłos kroków na nasypie i kilka kamyków posypało się na dno koryta strumienia.

– Schodzą tutaj! – szepnęła przerażona Claudia i grupa instynktownie cofnęła się w głąb tunelu.

– Ciszka! – szepnął Sean. Schylił się, żeby zdjąć z ramion krzeselko i oprzeć Joba o ścianę.

Kiedy wyjmował zza pasa nóż, w wejściu do tunelu pojawiły się dwie figury, wyraźnie zarysowane na tle rozjaśnionego światłem księżycy nieba.

Para trzymała się w objęciach śmiejąc się cicho. Kobieta na wpół podtrzymywała mężczyznę, który potykał się co krok. Sean wyciągnął nóż trzymając go na wysokości brzucha wartownika, gotów zaatakować ich, gdyby zbliżyli się za bardzo. Na szczęście para nie zapuszczała się w głąb tunelu. Po kilku krokach obrócili się twarzami do siebie, chichocząc i szepcząc.

Wartownik pchnął kobietę na ścianę i oparł obok niej karabin, rozpinając drugą ręką spodnie. Kobieta odchyliła się do tyłu, wprawnym gestem podniosła przód sukienki powyżej pasa. Śmiejąc się głupkowato, wartownik zatoczył się na nią. Kobieta podtrzymała go jedną ręką i naprowadziła, drugą zadzierając wysoko materiał sukienki.

Gdyby Claudia wyciągnęła rękę, mogłaby dotknąć opartej o ścianę pary, ale Frelimo i jego kobieta byli już mocno spleceni ze sobą i niepomni całego świata. Mężczyzna zaczął rytmicznie napierać na kobietę, mobilizując się jednocześnie pijanym głosem, poruszając się



z coraz większą zaciekleścią. Kobieta także go popędzała, cmokając językiem jak jeździec poganiający konia. Żołnierz przeszedł do pełnego galopu.

Nagle cały zeszywniał, odrzucił głowę do tyłu i wydał z siebie odgłos jak ochrypli kogut. Z wolna jego ciało zwiotczało. Kobieta roześmiała się i odepchnęła go od siebie. Wciąż śmiejąc się wygładziła sukienkę i schwyciła swojego pijanego kawalera za rękę. Wyszli niepewnym krokiem na łachę piasku przed tunelem i znikli za zakrętem. Z wolna ich kroki na zwirowanym nasypie ucichły. Sean schował nóż do pochwy przy pasie i szepnął cicho:

– To się dopiero nazywa szybki numer w lesie! Claudia zachichotała nerwowo z ulgą.

– Najwyżej dwie sekundy, to musi być nowy rekord świata – szepnęła. Sean przytulił ją mocniej do siebie.

– Bądźmy także przyjaciółmi – poprosił. – Przepraszam, że zezłościłem się na ciebie w obozie.

– Chyba musiałam mieć chandrę i zasłużyłam sobie na to. Obiecuję ci, że nie usłyszysz ode mnie więcej jęków i narzekań.

– Trzymaj się blisko mnie. – Obrócił się, żeby podtrzymać Joba. Zobaczył, że ranny osunął się miękko po ścianie i siedział na piasku.

Kiedy Sean nachylił się, przypadkiem dotknął palcami ramienia Joba. Bandaż był cały przesiąknięty krwią. Z ust Seana zniknął uśmiech. Rana otworzyła się i znowu krwawiła.

„I tak nic teraz na to nie poradzę” – pomyślał i delikatnie podniósł Joba z ziemi.

– Jak się masz, stary?

– Całkiem nieźle. – Głos Joba był bardzo słaby i urywany.

Sean dotknął Matatu. Mały tropiciel natychmiast posłuchał nie wypowiedzianego rozkazu. Wysunął się z tunelu i szybko zniknął w krzakach na brzegu strumienia.

Kilka minut później dobiegł ich cichy gwizd nocnego ptaka. Droga była wolna. Sean posłał przodem Claudię i odczekał pięć minut, dając jej czas na przejście przez otwarty teren.

– Ruszamy – powiedział, spoglądając na fosforyzujące wskazówki rolexa, gdy podnieśli Joba i ruszyli w stronę wyjścia.

Następne sto kroków wydawały mu się najwolniejsze, jakie zrobił w życiu. W końcu jednak znaleźli się w lesie, gdzie czekała na nich Claudia.

– Udało się! – szepnęła tryumfalnie.

– Jasne, że się udało, pierwszy kilometr to pestka, zostało ich jeszcze tylko czterysta pięćdziesiąt – odpowiedział ponuro, nie zatrzymując się ani na chwilę.

Licząc kroki i sprawdzając czas na zegarku Sean ocenił, że szli w tempie trzech kilometrów na godzinę. Biegący przed nimi Matatu wyszukiwał najłatwiejszą drogę. Sean prawie wcale go nie widział i kierował się jedynie cichymi gwizdami naśladującymi wołanie nocnych ptaków. Od czasu do czasu sprawdzał kierunek marszu po gwiazdnych konstelacjach, wyszukując pomiędzy koronami drzew parę jasnych gwiazd w Krzyżu

Południa.

Kiedy światło wstającego słońca przygasiło gwiazdy, zatrzymali się na postój i Sean pozwolił im napić się po dwa łyki wody z manierki, którą niosła Claudia. Następnie wziął się do oglądania ramienia Joba. Bandaż był dokładnie przesiąknięty krwią, a twarz rannego była szara niczym popiół z wygasłego ogniska. Oczy zapadły się w ciemnych oczodołach, wargi miał wyschnięte i popękane. Przy każdym oddechu z ust wydobywał się cichy świst. Ból i utrata krwi spowodowały straszliwe spustoszenie.

Sean bardzo ostrożnie odwinął bandaż i szybko wymienił spojrzenie z Claudią, która nachyliła się nad rannym. Mięśnie ramienia były zupełnie poszarpane, a opatrunek dosłownie zapadł się w zakrwawioną jamę. Sean wiedział, że przy poruszeniu tamponu rozdarłby mięśnie, do których przywarła gaza, i krwawienie stałoby się jeszcze silniejsze. Nachylił się niżej, żeby powąchać ranę, i Job uśmiechnął się do niego lekko rozchylając usta.

– Pachnie jak tatar? – zapytał słabym głosem.

– Musimy tylko przyprawić czosnkiem. – Sean odwzajemnił uśmiech, ale wyczuł pierwszy odór zgnilizny. Wcisnął połowę tubki pasty jodynowej głęboko do rany, zerwał plastikowe opakowanie ze świeżego opatrunku i przykrył nim ranę.

Claudia przytrzymała gazę palcem, gdy Sean owijał go nowym bandażem wyjętym z apteczki. Potem zwinął pokrwawiony bandaż i schował go do kieszeni. Wypierze go, jak tylko znajdą jakąś wodę.

– Musimy ruszać dalej – ostrzegł Joba. – Trzeba jak najbardziej oddalić się od linii kolejowej. Dasz radę?

Job skinął głową, ale Sean odczytał strach ukryty w jego oczach. Każdy krok był dla niego agonią.

– Dam ci zastrzyk z antybiotyku – chcesz, żebym zrobił ci przy okazji zastrzyk z morfiny? Job potrząsnął głową.

– Zatrzymaj to na czas, gdy będzie naprawdę źle. – Uśmiechnął się ostrożnie i Sean poczuł, jak obca dłoń ścisną go za serce. Nie miał odwagi spojrzeć przyjacielowi w oczy.

– Pokaż nam swoją lepszą stronę – polecił Jobowi i zrobił prawdziwe przedstawienie, ściągając mu spodnie i wbijając jednorazową igłę w jego czarny błyszczący pośladek. Claudia odwróciła wstydliwie wzrok, a Job szepnął:

– W porządku, Claudia, możesz patrzeć. Bylebyś tylko nie macała.

– Jesteś tak samo wstrętny jak Sean – powiedziała z przyganą. – Obaj jesteście zepsuci do szpiku kości.

Posadzili Joba na nylonowym siodełku i ruszyli w dalszą drogę. W połowie poranka na skalistych wzgórzach, po których maszerowali, zaczęły lśnić miraże unosząc się w powietrzu szklistymi taflami. Nad ich głowami krążyły chmary małych muszek owocowych, które z nieubłaganą natarczywością wciskały się do uszu, nosów i oczu. Wraz z upałem przyszło pragnienie, a pot zasychał na koszulach zostawiając na materiale białe plamy soli.

Kiedy w południe zatrzymali się w cieniu rzadkich drzewek tekowych, Sean widział, że wszyscy są u kresu sił, a mieli przed sobą jeszcze najgorszy upał południa. Razem z Alphonsem położyli Joba na materacu ze ściętej trawy i ranny natychmiast zapadł w silny sen czy raczej formę śpiączki, chrapiąc lekko przez rozchylone, opuchnięte usta.

Pasy siodełka przecierały skórę na obu ramionach Seana, gdyż po drodze zamieniali się co godzina z Alphonsem miejscami. Szorstkie szelki z nylonu poraniły także Alphonsa, który rzucał pod nosem przekleństwa, oglądając obtarcia.

– Wcześniej nie cierpiałem Matabelczyków za to, że są złodziejską bandą zapchlonych małp. Teraz mam nowe powody, żeby ich nienawidzić.

Sean rzucił mu tubkę pasty jodynowej.

– Posmaruj swoje najgorsze rany, muti, i wsadź pustą tubkę w jadaczkę – poradził mu. Alphonso odszedł, żeby znaleźć sobie miejsce na legowisko, nie przestając mrużyć pod nosem.

Sean i Claudia znaleźli zagłębienie w ziemi osłonięte ciernistymi krzakami, niedaleko od miejsca, gdzie spoczywał Job. Sean rozpostarł koce na ziemi i z ulgą się na nich położył.

– Jestem wykończony.

– Jak bardzo? – zapytała Claudia klękając przy nim i ciągnąc go pieszczotliwie za ucho.

– Nie tak bardzo – poprawił się Sean i przyciągnął ją do siebie.

Przed zachodem słońca ugotował garnek kaszki kukurydzianej na małym bezdymnym ogniu, a Alphonso założył w tym czasie antenę i nastawił radio na częstotliwość dowództwa Renamo. Na ich fali słyhać było jakieś zamazane i przerywane rozmowy, najpewniej prowadzone przez oddziały Frelimo. W końcu jednak usłyszeli ich sygnał wywoławczy.

– N’gulube! „Guziec”! Odezwij się, N’gulube! Tu „Drzewo Bananowe”!

Alphonso podał hasło i następnie nadał fikcyjny raport, który stwierdzał, że jego oddział jest daleko na północ od linii kolejowej i wraca do obozu nad rzeką. „Drzewo Bananowe” przyjął raport i rozłączył się.

– Dali się nabrać – zawyrokował Sean. – Wygląda na to, że nasi Shangani nie dotarli jeszcze do bazy i nie podnieśli alarmu.

Zjedli posiłek przy ostatnim świetle zachodzącego słońca. Sean szybko przejrzał mapę i zaznaczył na niej w przybliżeniu ich pozycję. Według mapy górzysty teren ciągnął się jeszcze przez jakieś pięćdziesiąt kilometrów. Później przechodził łagodnie w równinę, na której, według mapy, znajdowało się kilka wiosek i pól uprawnych. Dalej ciągnęła się pierwsza naturalna przeszkoda na ich drodze, szeroka rzeka biegnąca z zachodu na wschód.

Zawołał Alphonsa i zapytał go:

– Czy wiesz, gdzie się zaczyna obszar, na którym rozlokowane są południowe dywizje Renamo pod dowództwem generała Tippoo Tipa i gdzie się znajdują ich główne siły?

– Podobnie jak my przenoszą się ciągle z miejsca na miejsce, żeby wprowadzić w błąd Frelimo. Czasami są tutaj, a czasami tutaj przy Rio Save. – Wzruszył ramionami. – Renamo

jest tam, gdzie toczy się walka.

– A Frelimo? Wiesz, gdzie są rozlokowane ich siły?

– Frelimo ścigają Renamo i uciekają jak wystraszone króliki, gdy ich dopadną – roześmiał się głośno z własnego dowcipu. – Dla nas i tak nie ma znaczenia, kto jest kto i gdzie się znajduje. Każdy, kogo spotkamy po drodze, będzie chciał nas zabić.

– Mam cudowny wywiad – mruknął sarkastycznie Sean i włożył mapę do plastikowego portfela.

Skończyli szybko jednodaniowy posiłek i Sean podniósł się z ziemi.

– W porządku, Alphonso. Bierzymy Joba i ruszamy w drogę. Alphonso beknął cicho i uśmiechnął się złośliwie.

– To twój matabelski pies. Jeśli chcesz go zatrzymać, to musisz sam go nieść. Ja mam dosyć.

Sean ukrył zdumienie pod maską obojętności.

– Tracisz tylko czas – powiedział spokojnie. – Podnoś się z ziemi!

Alphonso znowu beknął. Wytrzymał jego wzrok, uśmiechając się pod nosem.

Sean wolno sięgnął po nóż i Alphonso równie spokojnie dotknął kolby pistoletu schowanego za pasem. Patrzyli jeden na drugiego nieruchomym wzrokiem.

– Sean, o co chodzi? – zapytała niespokojnie Claudia. – Co się dzieje? – Nie zrozumiała wymiany zdań w języku shangańskim, ale napięcie było łatwiejsze do wycucia.

– Odmawia niesienia Joba – odpowiedział Sean.

– Przecież nie możesz nieść go sam, prawda – spytała niepewnie Claudia. – Alphonso musi ci pomóc...

– ...albo zabiję go! – dokończył Sean po shangańsku i w odpowiedzi Alphonso roześmiał się głośno. Wstał, otrząsając się jak pies, odwrócił się tyłem do Seana, wziął radionadajnik, karabinek AKM Seana i większość manierek z wodą.

– Ja poniosę to – zachichotał, potrząsając głową, jakby nie mógł się nacieszyć dowcipem.

– Ty możesz sobie ponieść Matabelczyka. – Ruszył na południe w kierunku ich marszu.

Sean zdjął dłoń z rękojeści noża i spojrzał na Joba. Ranny przyglądał mu się spokojnie z materaca z trawy i Sean warknął na niego.

– Jeśli coś powiesz, to skopię ci ten czarny tyłek.

– Nic nie mówiłem. – Job spróbował się uśmiechnąć, ale bardziej to przypominało grymas bólu.

– No i dobrze – odparł wściekłym głosem Sean, podnosząc z ziemi siodełko i pasy.

– Claudia, pomóż mi.

Postawili Joba na nogi i Sean przewiązał mu pasy nylonowe pod nogami i wokół pasa niczym umocowanie spadochronu u skoczka, a następnie przełożył ramiona przez powstałe pętle. Mógł teraz iść, podtrzymując Joba jedną ręką w pasie.

– Jeszcze jedna rzeka, jeszcze tylko jedna rzeka do przejścia – zanucił fałszując okrutnie

i uśmiechnął się do przyjaciela. Ruszyli w drogę. Mimo że Job dotykał nogami ziemi i starał się możliwie jak najbardziej ulżyć Seanowi, był jednak przywiązany pasami przebiegającymi wokół ramion Seana. Byli złączeni ze sobą niczym para w kieracie.

Po przejściu pierwszych stu kroków udało im się wypracować wspólny rytm, ale marsz był bardzo powolny i niepewny, dopasowany do niemrawych półkroków Joba. Nie mieli żadnej możliwości zachowania ciszy czy zacierania śladów, gdyż Sean musiał wybierać najłatwiejszą i przez to najoczywistszą drogę. Trzymali się ścieżek wydeptanych przez zwierzęta, które niczym żyłki na liściu przecinały afrykański step.

Claudia podążała za nimi obciążona apteczką i pozostałymi manierkami z wodą. Trzymała też w jednym ręku liściastą gałąź, którą usiłowała zatrzeć ślady. Jej wysiłki mogły ukryć trop jedynie przed pobieżnym spojrzeniem, ale tropiciel Frelimo potrafiłby podążać za nimi równie pewnie, jak gdyby poruszał się autostradą. Wyniki nie były więc warte wysiłku, ale Sean nie protestował wiedząc, jak ważne jest dla niej przeświadczenie, że pomaga im z całych sił.

Spoglądając na wskazówkę zegarka i licząc kroki ocenił, że ich tempo spadło do jednego kilometra na godzinę. Nie mógł nawet marzyć, że zrobią więcej niż osiem kilometrów dziennie, i zaczął już dzielić czterysta pięćdziesiąt przez osiem, ale dał sobie spokój, zanim otrzymał dokładny wynik.

Matatu i Alphonso zniknęli w liściastym lesie przed nimi i Sean znowu spojrzał na zegarek. Szli w ten sposób zaledwie od trzydziestu minut, a tempo już zaczynało spadać. Job ciążył mu coraz bardziej na plecach, pasy wrzynały mu się okrutnie w ramiona, a przyjaciel zaczynał pociągać nogami i zahaczać o wszystkie przeszkody.

– Będziemy robili przerwy co pół godziny – powiedział przez ramię Jobowi. – Pięć minut odpoczynku.

Kiedy Sean posadził go na ziemi, opierając o pień drzewa, głowa Joba opadła na szorstką korę i ranny zamknął oczy. Oddech rzeził mu w piersiach, a po policzkach spływały strużki potu niczym malutkie czarne perły kropelki odbijały kolor skóry.

Sean przedłużył postój do dziesięciu minut i wreszcie zawołał pogodnie do Joba:

– Na nogi, żołnierzu. Ruszamy w drogę!

Następny trzydziestominutowy odcinek drogi trwał tak długo, że Sean zaczął podejrzewać, że stanął mu zegarek. Musiał przystawić go do ucha i posłuchać tykania sekundnika, żeby to sprawdzić.

Kiedy wreszcie posadził przyjaciela na ziemi, Job skrzywił się boleśnie.

– Przepraszam, Sean, skurcz. Lewa łydka. Sean ukucnął przed nim i wyczuł zgrubiałe węzły mięśni łydki. Masując je ostrożnie poprosił Claudię:

– W apteczce są tabletki solne, w przedniej kieszeni. Job połknął je i Claudia przytknęła mu manierkę do ust. Po dwóch łykach odepchnął ją głową.

– Pij jeszcze – namawiała go Claudia, ale pokręcił przecząco głową.

- Nie marnuj jej – mruknął.
- Lepiej teraz? – Sean klepnął kilka razy łydkę.
- Wystarczy na kilka kilometrów.
- No to ruszamy – powiedział Sean. – Zanim cię znowu złapie.

Claudia nie mogła pojąć, jak obaj mężczyźni mogli iść w ten sposób przez całą noc z pięciominutowymi odpoczynkami co pół godziny, o kilku łykach wody.

„Czteryście kilometrów”, pomyślała. „To nie jest możliwe. Żaden człowiek by tego nie zniósł. To zabije ich obu”.

Niedługo przed świtem z lasu wyłonił się Matatu i powiedział coś szeptem Seanowi.

– Znalazł sadzawkę jakieś trzy, cztery kilometry stąd – wytłumaczył im Sean. – Job, dasz radę?

Słońce już wstało i oświetlało korony drzew. Upał się wzmagał szybko, osiągając temperaturę pieca hutniczego. Kiedy Job zemdlał i zawisł na plecach Seana, napierając całym ciężarem na pasy, znajdowali się ponad kilometr od sadzawki.

Sean położył go na ziemi i usiadł obok. Był tak zmęczony, że przez kilka minut nie miał siły, żeby cokolwiek powiedzieć czy się poruszyć.

– Przynajmniej znalazłeś dobre miejsce, żeby zemdleć – pogratulował Jobowi chrapliwym szeptem. Znajdowali się w kępie wysokich i gęstych krzaków, które zapewniały im odrobinę chłodu i schronienie na resztę dnia.

Zrobili materac dla Joba ze ściętej trawy i przenieśli go w cień. Ranny był tylko na wpół przytomny, jego szept niewyraźny, a spojrzenie lekko błędne. Claudia próbowała go nakarmić, ale Job tylko odwrócił głowę. Kiedy Matatu i Alphonso wrócili znad sadzawki z napełnionymi menażkami, łączywie napił się wody i ponownie zemdlał. Grupa musiała przeczekać upał dnia w cieniu krzaków.

Sean leżał w objęciach Claudii, która przyzwyczaiła się już, że zasypiają spleceni ze sobą. Czowała, że Sean jest u kresu sił. Nigdy by nie podejrzewała, że może być aż tak zmordowany, że nawet jego siła, która według Claudii była niewyczerpana, ma swoje granice.

Kiedy obudziła się po południu, spał obok niej jak zabity i dziewczyna zaczęła z czułością mu się przyglądać. Brodę miał już długą, kręconą i Claudia wypatrzyła w niej dwa siwe włosy. Twarz była wymizerowana, wszystek tłuszcz został dawno spalony, a na skórze pojawiły się linie i zmarszczki, których wcześniej nie zauważyła. Przyglądała im się teraz uważnie, jakby to było nieznane jej pismo klinowe na tabliczkach, których nie może odczytać. „O Boże, jak ja go kocham”, pomyślała, zdumiona głębią swoich uczuć. Był opalony na kolor ciemnego mahoni, a jednak ciało zachowało połysk i jędrność niczym dobra skóra na buty, znoszona, ale polerowana z troską przez wiele lat „jak buty do polo tatusia”. Uśmiechnęła się z porównania, ale po chwili wydało jej się trafne. Często widziała, jak ojciec z czułością nakłada na buty tłuszcz garbarski i poleruje je do połysku gołymi rękami.

– Buty! – szepnęła. – To imię najbardziej do ciebie pasuje – powiedziała śpiącemu Seanowi i przypomniała sobie, jak buty ojca załamywały się i marszczyły w kostkach, kiedy wkładał nogę w strzemię. Niemal równie delikatnie jak jedwab. – Marszczyły się dokładnie jak ty, mój kochany bucie. – Uśmiechnęła się i pocałowała delikatnie w czoło, żeby go nie obudzić.

Uświadomiła sobie nagle, do jakiego stopnia pamięć ojca związała się z człowiekiem, który leżał w jej ramionach niczym dziecko. Obaj mężczyźni zdawali się mieć jedno ciało i mogła skupić całą swoją miłość w jednym miejscu. Przesunęła ostrożnie głowę Seana tak, że oparła się o jej ramię. Mogła teraz zanurzyć palce w jego gęstych lokach. Zaczęła go bardzo wolno kołysać.

Do tej pory Sean zdołał wzbudzić w niej wszystkie możliwe uczucia, od gniewu do pożądania, oprócz czułości. Teraz jej uczucia były już pełne.

– Moje kochanie – szepnęła czule niczym matka. Pierwszy raz czuła, że naprawdę do niej należy.

Cichy jęk zakłócił jej nieśmiałe marzenia i Claudia podniosła głowę, żeby spojrzeć na Joba odpoczywającego pod pobliskim krzakiem. Ranny leżał jednak nieruchomo z zamkniętymi oczami.

Claudia zaczęła myśleć o obu mężczyznach i ich wzajemnym stosunku. Wiedziała dobrze, że nie ma szans dzielenia z nimi ich męskiego uczucia. Powinna czuć zazdrość, ale w jakiś niewytłumaczalny sposób dawało jej to raczej poczucie bezpieczeństwa. Jeśli Sean potrafił być tak pełen poświęcenia i oddany w uczuciach do innego mężczyzny, mogła mieć nadzieję, że wykaże podobną stałość w innym, bardziej intymnym i silniejszym uczuciu do niej.

Job znowu jęknął i zaczął niespokojnie poruszać kończynami. Claudia westchnęła. Ostrożnie zdjęła głowę Seana z ramienia. Wstała z ziemi i podeszła do Joba.

Nad zakrwawionym bandażem unosiła się brzęcząca chmura metalicznozielonych much. Siadały na wilgotnym opatrunku i zanurzały długie trąbki języków w słodkiej cieczy, pocierając przednimi nogami o siebie. Claudia zobaczyła, że zdążyły już złożyć małe białe jajeczka w załamaniach przesiąkniętego krwią bandaża. Z okrzykiem wstrętu odgoniła je kilkoma machnięciami dłoni i zaczęła wyskrobywać wstrętne białe jajeczki z materiału.

Nagle Job otworzył oczy i spojrzał na nią. Claudia zobaczyła, że jest zupełnie przytomny, i posłała mu pogrzipający uśmiech.

– Chciałbyś się napić?

– Nie. – Jego głos był tak wąty, że musiała się nachylić, żeby go zrozumieć. – Musisz go do tego nakłonić – powiedział.

– Kogo? Seana? – zapytała i Job skinął głową.

– Nie pociągnie tak długo. On się zwyczajnie zabija. Bez niego nikt z was nie przeżyje.

Musisz go nakłonić, żeby mnie tu zostawił. – Claudia zaczęła kręcić głową, zanim jeszcze skończył mówić.

– Nie – odpowiedziała zdecydowanie. – Nigdy tego nie zrobi, a ja bym mu na to nie pozwoliła, nawet gdyby chciał. Nie ma mowy, żebyśmy cię zostawili. – Dotknęła delikatnie jego ramienia. – Więc jak, masz ochotę na łyk wody? – Job zamknął oczy, zbyt słaby, żeby się dalej wyklócać. Podobnie jak Sean stracił wszystkie siły w ciągu ostatnich kilku godzin. Claudia usiadła przy nim, odpędzając muchy liściem palmowym, patrząc jak słońce wolno zniża się nad horyzontem.

W chłodzie wieczora Sean poruszył się niespokojnie i usiadł. Od razu był przytomny. Szybkim spojrzeniem zlustrował otoczenie. Sen wzmocnił go widocznie.

– Jak się czuje? – zapytał, a kiedy Claudia potrząsnęła głową, przykucnął obok niej.

– Niedługo będziemy musieli podnieść go i ruszać w drogę.

– Daj mu jeszcze parę minut – poprosiła Claudia. Po chwili dodała rozmarzonym głosem:

– Wiesz, o czym myślałam siedząc tutaj?

– Powiedz mi – poprosił i otoczył ją ramieniem.

– Myślałam o tej sadzawce przed nami. Marzyłam o tym, żeby polać się wodą, uprać ubranie i pozbyć się tego smrodu.

– Słyszałaś o Napoleonie? – zapytał Sean.

– Napoleon? – Claudia zrobiła zdziwioną minę. – A co on ma wspólnego z kąpielą?

– Kiedy wracał z którejś z kampanii, wysyłał przodem gońca z wiadomością dla Józefiny: „Je rentre, ne te lave pas”. „Wracam do domu, nie myj się”. Napoleon lubił swoje kobiety dojrzałe tak jak ser Camembert. Zakochałby się w tobie do szaleństwa, gdyby mógł być teraz przy tobie!

– Jesteś obrzydliwy! – Uderzyła go żartobliwie w ramię i w tej samej chwili Job jęknął.

– Stary. – Sean skoncentrował się na przyjacielu. – Co się dzieje?

– Pamiętasz swoją propozycję? – szepnął Job.

– Morfina? – zapytał Sean i Job skinął głową.

– Tylko nie za dużo, dobrze?

– Już się robi. – Sean sięgnął po apteczkę. Po zastrzyku ranny leżał nieruchomo z zamkniętymi powiekami. Widać było, jak linie bólu wokół jego ust powoli się wygładzają.

– Lepiej? – zapytał Sean. W odpowiedzi Job uśmiechnął się słabo nie otwierając oczu. – Damy ci jeszcze kilka minut – powiedział Sean. – Połączymy się w tym czasie z „Drzewem Bananowym”.

Sean wstał i podszedł do Alphonsa, który umocowywał już antenę.

– N’gulube – mówi „Drzewo Bananowe”. – Odpowiedź na wezwanie Alphonsa była tak wyraźna, że Sean poruszył się niespokojnie.

Sierżant przyciszył radio i naciskając przycisk mikrofonu złożył kolejny fikcyjny raport o tym, jak wraca do obozu nad rzeką.



Przez chwilę panowała cisza przerywana jedynie szumami i trzaskami, a później usłyszeli znowu wyraźny głos.

– Chcę mówić z pułkownikiem Courteneyem! – Nie mogło być wątpliwości co do intonacji i Alphonso spojrział na Seana.

– Generał China – szepnął, podsuwając mikrofon w stronę Seana. Ten jednak odsunął go ręką i zmarszczył brwi, czekając na kolejną wypowiedź.

W nabrzmiałej niepokojem ciszy Claudia zostawiła Joba i podeszła do Seana. Ukucnęła obok niego i otoczyła go ramieniem; oboje patrzyli w oczekiwaniu na radio.

– Dezerterzy – szepnęła Claudia. – China już wie.

– Słuchaj! – uciszył ją Sean. Czekali dalej w milczeniu.

– Rozumiem – rozbrzmiał po chwili głos Chiny. – Nie chce pan odpowiadać. Zakładam jednak, że pan mnie słucha, pułkowniku.

Uwaga wszystkich była zwrócona na radio. Job otworzył oczy. Słyszał wyraźnie każde słowo Chiny i teraz przekreślił ostrożnie głowę. Alphonso zostawił plecak i karabin na kocu, niecałe dziesięć kroków od posłania Joba. Z bocznej kieszeni plecaka wystawała rękojeść tokarewa.

– Nie rozczarował mnie pan, pułkowniku. – Głos Chiny był zdradziecko słodki. – To byłoby zbyt proste i wcale nie satysfakcjonujące, gdybyście tak po prostu wpadli w ramiona komitetu powitalnego, który zaaranżowałem na granicy z Zimbabwe.

Job podniósł się na zdrowym ramieniu. Nie czuł żadnego bólu, tylko ogromną słabość i senność. Morfina już działała. Miał kłopoty z jasnym myśleniem. Skoncentrował się na pistolecie, zastanawiając się, czy Alphonso wprowadził pocisk do komory. Zaczął wolno czołgać się w jego stronę, wbijając pięty w ziemię, podnosząc pośladki i odpychając się do przodu. Robił to niemal bezszelestnie, zresztą wszyscy byli skoncentrowani na głosie z radia.

– Tak więc nasza gra się jeszcze nie skończyła, a może powinienem nazwać ją polowaniem? Jest pan myśliwym. Wielkim, białym myśliwym. Zajmuje się pan ściganiem dzikich zwierząt. Nazywa pan to sportem i szczyci się pan tym, co wy, biali, nazywacie „uczciwym polowaniem”.

Job przebył już połowę drogi. Wciąż nie czuł bólu i odważył się posunąć trochę szybciej. W każdej chwili ktoś mógł odwrócić głowę i zobaczyć go.

– Nigdy nie rozumiałem pasji białych ludzi do takiego polowania. Wydawało mi się zawsze bezsensowne. Moi ludzie wierzą, że jeśli potrzebuje się mięsa, to trzeba zabić je jak najskuteczniej i przy jak najmniejszym wysiłku.

Job dotknął sterty rzeczy rozrzuconych na kocu i sięgnął ręką po pistolet. Jego palce były jednak zdrętwiałe. Kiedy próbował go wyciągnąć, wysliznął mu się z ręki. Na szczęście upadł bezgłośnie na miękki pled. Job zobaczył z ulgą, że nabój został wprowadzony do komory.

Za nim głos Chiny wciąż rozbrzmiewał przez radio.

– Może skorumpował mnie pan, pułkowniku. Może przyzwyczailem się do waszych

dekadenckich europejskich idei, ale po raz pierwszy rozumiem pańską pasję. Może zresztą zwierzyna jest na tyle duża, żeby mnie dostatecznie podniecić. Jestem ciekaw, jak pan się czuje przy tej zmianie ról? Pan jest zwierzyną, a ja jestem myśliwym. Wiem, gdzie pan jest, ale pan nie ma pojęcia, gdzie ja się znajduję. Może jestem bliżej, niż pan się spodziewa? Gdzie jestem, pułkowniku? Musi pan zgadywać. Musi pan uciekać i kryć się. Kiedy się spotkamy i jak?

Job otoczył ostrożnie zdętwiałymi palcami rękojeść pistoletu. Podniósł go zdziwiony wysiłkiem, jakiego to wymagało. Położył kciuk na bezpieczniku, ale ten nie chciał się przesunąć. Poczł, jak ogarnia go panika. Jego ręka była zbyt słaba i zdętwiała, żeby odbezpieczyć pistolet.

– Nie obiecuję panu „uczciwego polowania”, pułkowniku. Będę pana ścigał na mój afrykański sposób, ale będzie to dobry sport. To mogę panu obiecać.

Job wyteżył wszystkie siły i poczuł, jak bezpiecznik zaczyna się przesuwać do przodu.

– Teraz jest godzina 18:00 Zulu. Połączę się z panem na tej samej częstotliwości za dwadzieścia cztery godziny. Oczywiście, o ile wcześniej się nie spotkamy. Do tej pory niech pan obserwuje niebo, pułkowniku. Nie wie pan, z której strony nadleczę. Może być pan jednak pewien, że nadleczę!

W głośniku rozległ się miękki trzask, gdy China wyłączył mikrofon i Sean zgasił radio, żeby oszczędzić baterie. Nikt się nie poruszył, dopóki kolejny metaliczny trzask nie przerwał ciszy. Sean natychmiast rozpoznał odgłos odwodzonego bezpiecznika. Zareagował instynktownie, popychając Claudię na ziemię i odwracając się w stronę źródła dźwięku.

Przez ułamek sekundy stał jak sparaliżowany i zaraz krzyknął:

– Nie! Job, na miłość boską! Nie!! – Rzucił się do przodu jak sprinter wyskakujący na odgłos strzału.

Job leżał na boku patrząc na Seana. Znajdował się poza jego zasięgiem. Sean biegł przez dzielącą ich przestrzeń, mając wrażenie, że porusza się w gęstej smole, która krępuje każdy ruch. Widział, jak Job podnosi pistolet i starał się go powstrzymać siłą spojrzenia. Patrzyli sobie w oczy. Sean chciał go zdominować swoją wolą, ale oczy Joba były smutne i absolutnie zdecydowane.

Widział, jak Job otwiera usta, usłyszał, jak stał stuknęła o zęby, gdy wepchnął lufę głęboko w usta, a potem zacisnął wargi, jak dziecko ssące lizak. Sean wyprężył się, sięgając z rozpaczą ku ręce przyjaciela, chcąc wyrwać krótką czarną lufę z jego ust. Udało mu się dotknąć końcami palców nadgarstka Joba, gdy pistolet wypalił.

Huk wystrzału był zduszony, stłumiony przez ciało i kości czaszki.

Wzrok Seana stał się nagle nienaturalnie ostry. Miał wrażenie, że czas zwolnił bieg jak na filmie.

Głowa Joba zmieniła kształt, nadymając się na oczach Seana niczym gumowa maska, którą w wigilię Wszystkich Świętych nadmuchuje się w Ameryce. Powieki otworzyły się

szeroko. Na chwilę oczy wysunęły się z oczodołów, ukazując białka otaczające czarne źrenice i zaraz zapadając się głęboko.

Rozerwana głowa dalej się przeobrażała, wyciągając się do tyłu, rozciągając skórę na policzkach, rozplaszczając nos, gdy kula wyssała zawartość czaszki przez dziurę wylotową, naprężając szyję tak, że Sean usłyszał, jak pęka kręgosłup.

Job został rzucony do tyłu z ramionami rozrzuconymi na boki, z pistoletem w zaciśniętej dłoni. Sean zdołał go złapać, zanim głowa przyjaciela uderzyła o ziemię.

Schwycił go w ramiona i z całej siły przycisnął do piersi. Ciało Joba było ciężkie i rozpalone gorączką, a jednocześnie miękkie, jakby nie było w nim jednej kości. Zdawało się wypływać z ramion Seana i ten przytulił go jeszcze mocniej do siebie. Czuł, jak mięśnie Joba drgają, a nogi kopią w makabrycznym biegu, więc starał się go uspokoić swoim uściskiem.

– Job – wyszeptał, sięgając do tyłu, żeby zakryć dłońmi okropną ranę, jakby chciał wszystko zatrzymać, wcisnąć rozlaną zawartość mózgu do czaszki. – Ty głupcze – szeptał. – Nie powinieneś tego robić. – Przyłożył policzek do jego policzka i tulił go do siebie jak kochanek. – Dalibyśmy radę. Wyciągnąłbym cię z tego. – Wciąż przyciskając ciało Joba do piersi, zaczął go lekko kołysać szepcząc mu do ucha, przytulając policzek do jego twarzy. – Przeszliśmy razem tak długą drogę, to niesprawiedliwe, żeby teraz ją kończyć.

Claudia podeszła do nich i uklękła obok Seana. Wyciągnęła rękę, żeby go dotknąć, i szukała w myślach jakichś słów pocieszenia, ale nie znalazła, żadnych. Zatrzymała dłoń, zanim go dotknęła. Sean zapomniał o wszystkim, co go otaczało.

Jego ból był tak głęboki, tak straszny, że Claudia nie mogła wręcz na to patrzeć. Wyglądał, jakby za moment miało mu pęknąć z żalu serce. Porażona, nie odrywała oczu od jego twarzy. Jej własne uczucia przestały się liczyć wobec bezmiaru rozpaczony Seana. Bo choć polubiła bardzo Joba, a nawet się z nim zaprzyjaźniła, wszystko to było niczym w porównaniu z uczuciem, które łączyło obu mężczyzn.

Czuła, że ten jeden strzał zniszczył również część Seana. Nie zdziwiła się, kiedy zaczął płakać. Trzymając martwe ciało w ramionach, Sean czuł ostatnie drżenie nerwów i mięśni, które z wolna zamierały owiane tchnieniem śmierci. Martwy chłód przenikał ciało przyjaciela.

Łzy zdawały się dobywać z samej duszy Seana. Paliły powieki i spływały po zapadniętych policzkach, wsiąkając w gęstą brodę.

Nawet Alphonso nie chciał na to patrzeć. Wstał z ziemi i odszedł pomiędzy krzaki. Claudia nie mogła się jednak poruszyć. Klęczała obok Seana, nie starając się powstrzymać łez. Oboje oplakiwali odejście przyjaciela.

Matatu usłyszał wystrzał ze swojej pozycji kilometr dalej, skąd pilnował ich tyłów obserwując, czy nie podąża za nimi patrol.

Przybiegł szybko i przez kilka sekund stał nieruchomo na skraju obozu, zanim zrozumiał, co się stało. Następnie podszedł na palcach do Seana i uklękł obok niego. Podobnie jak

Claudia uszanował jego żal i czekał, aż ten upora się z bólem.

Sean odezwał się w końcu, nie otwierając oczu, nie oglądając się za siebie.

– Matatu – powiedział.

– Ndio, Bwana.

– Znajdź jakieś miejsce na grób. Nie mamy ani czasu, ani narzędzi, żeby wykopać mogiłę, ale Job jest Matabelczykiem i musi być pochowany w pozycji siedzącej z twarzą zwróconą ku słońcu.

– Ndio, Bwana. – Matatu zniknął szybko w ciemniejącym lesie. Sean wreszcie otworzył oczy i położył ostrożnie ciało na szarym kocu. Jego głos był wręcz spokojny.

– Według tradycji powinniśmy pochować go w środku jego wioski. – Otarł łyż wierzchem dłoni i mówił dalej. – Jesteśmy jednak wędrowcami, Job nie miał własnej wioski ani bydła.

Claudia nie miała pewności, czy Sean mówi do niej, ale odważyła się odpowiedzieć:

– Dzikie zwierzęta są jego bydłem, a step jest jego wioską. Będzie mu tu dobrze.

Sean skinął głową, nawet na nią nie patrząc.

– Dziękuję, że rozumiesz.

Nachylił się i zamknął Jobowi powieki. Jego twarz była nie zmieniona poza wybitymi przednimi zębami. Sean otarł kroplę krwi z kącika ust. Teraz Job wyglądał, jakby spał. Sean przetoczył go na bok i zaczął owijać kocem, posługując się pasami od siodełka, żeby utrzymać go w pozycji siedzącej, z kolanami pod brodą.

Matatu wrócił, zanim Sean skończył.

– Znalazłem dobre miejsce – powiedział. Sean skinął głową, nie odwracając wzroku.

Claudia przerwała ciszę.

– Oddał za nas życie – odezwała się miękko. – Żaden człowiek nie był tak wspaniałomyślny. – Zabrzmiało to trywialnie i zupełnie nie odpowiadało nastrojowi chwili. Żałowała, że to powiedziała, ale Sean skinął głową.

– Nigdy nie udało mi się odwdziżyć za wszystko, co dla mnie zrobił – powiedział. – A teraz już nigdy nie będę mógł tego zrobić.

Skończył pracę. Job siedział owinięty w szary koc, z odsłoniętą głową.

Sean wstał i podszedł do własnego plecaka. Wyjął z niego jedyną czystą koszulę, jaką miał, i wrócił do Joba. Ponownie ukląkł przy nim.

– Żegnaj, bracie. Przeszliśmy razem dobrą drogę. Szkoda tylko, że nie dotarliśmy razem do jej końca – rzekł cicho i nachylił się, żeby pocałować Joba w czoło. Zrobił to tak naturalnie, że pocałunek wydawał się zupełnie na miejscu.

Następnie owinał koszulą głowę nieboszczyka, zakrywając okropną ranę, wziął Joba na rękę i wstał z nim z ziemi, opierając jego głowę o ramię.

Matatu zaprowadził ich do opuszczonej nory mrówkojada, ukrytej w lesie pomiędzy krzakami. Potrzebowali kilku minut, żeby poszerzyć otwór i wsunąć do niego ciało Joba. Przy

pomocy Matatu Sean obrócił go tak, żeby twarz nieboszczyka była skierowana w stronę wschodzącego słońca.

Zanim zakopali grób, Sean ukucnął przed nim i wyjął zza pasa granat rozrywający. Matatu i Claudia patrzyli w milczeniu, jak ostrożnie montuje pułapkę z ładunku wybuchowego i kawałka sznurka splecionego z kory. Kiedy wstał z ziemi, Claudia spojrzała na niego pytającym wzrokiem. Odparł krótko:

– Złodzieje grobów.

Matatu pomógł Seanowi obłożyć tors Joba kamieniami, żeby utrzymać go w pozycji siedzącej. Następnie większymi głazami zakryli go całkowicie, budując grobowiec, który mógłby powstrzymać hieny przed dostaniem się do środka. Kiedy skończyli pracę, Sean odwrócił się i odszedł w las, nie oglądając się za siebie. Pożegnał się już z przyjacielem. Po kilku sekundach Claudia podążyła za nim.

Mimo smutku w jakiś dziwny sposób czuła się wzmocniona i oczyszczona tym, co widziała. Uczucie, jakie okazał Sean po stracie przyjaciela, spowodowało, że szanowała i kochała go teraz nieporównanie bardziej. Dla niej jego łyzy były raczej świadectwem siły niż słabości, a obnażenie uczuć czyniło go bardziej męskim. Dzięki tej okropnej tragedii dowiedziała się więcej o Seanie, niż mogłaby się nauczyć w ciągu wielu lat wspólnego życia.

Przez całą noc maszerowali w ostrym tempie na południe. Sean przyśpieszał kroku, jakby chciał zostawić za sobą żal. Claudia nie próbowała go zatrzymywać. Mimo że była teraz szczupła i silna jak chart wyścigowy, musiała niezle wyciągać nogi, żeby za nim nadążyć. Nie narzekała jednak. Do świtu pokonali prawie sześćdziesiąt kilometrów od miejsca, w którym pochowali Joba. Przed nimi rozciągała się aluwialna dolina.

Sean znalazł mały zagajnik wysokich drzew, które mogły im zapewnić cień w upale południa. Kiedy Claudia i Matatu przygotowywali posiłek, przewiesił lornetkę przez plecy, schował mapę do tylnej kieszeni spodni i podszedł do najwyższego drzewa.

Spoglądała z niepokojem, jak wspina się na drzewo, ale nie musiała się obawiać, gdyż Sean był zwinny jak wiewiórka i silny niczym pawian. W miejscach gdzie nie było żadnych gałęzi do wsparcia, wdrapywał się dzięki sile ramion.

Kiedy zbliżył się do szczytu, z gniazda zrobionego z suchych gałęzi wzbił się w powietrze sęp. Ptak krążył niespokojnie nad drzewem w miejscu, gdzie Sean usiadł w rozwidleniu gałęzi, kilka metrów od gniazda.

Znajdowały się w nim dwa duże śnieżnobiałe jajka i Sean mruknął uspokajająco do krążącego mu nad głową ptaka:

– Nie martw się, stara. Nie ukradnę ci ich. – Nie podzielał powszechnej niechęci do tych ptaków. Spełniały one ważną funkcję przy oczyszczaniu stepu z odpadków i padliny i mimo że wyglądały groteskowo na ziemi, w powietrzu mogły uchodzić za wzór elegancji. Starożytni Egipcjanie i inne ludy związane ściśle z naturą czciły te ptaki jako bogów.

Sean uśmiechnął się do niespokojnego ptaka. Był to pierwszy uśmiech, jaki zmiękczył

mu usta od czasu pogrzebu Joba. Potem skoncentrował się na rozpościerającym się przed nim terenie. Równina stanowiła ziemie uprawne i tylko gdzieniegdzie widać było rzadkie kępy drzew porzrzućane pomiędzy polami. Sean wiedział, że przy zagajnikach muszą się znajdować wioski zaznaczone na jego mapie. Podniósł do oczu lornetkę.

Na pierwszy rzut oka było widać, że pola nie były zaorane ani zasiane od wielu lat i zdążyły już porządnie zarosnąć chwastami. Sean rozpoznał wysokie łodygi hibiscus irritans, który wziął nazwę od ostrych włosków porastających liście. Zakończone haczykami czepiały się każdego, kto się o nie niebacznie otarł. Dalej widział pola rycynusu i bawełny zarosnięte przez dzikie ziele konopi indyjskich o czerwonych kwiatach, których własności narkotyczne tak zachwyciły żołnierzy z sił pokojowych Johna Kennedy'ego. Od tego czasu hordy młodych europejskich i amerykańskich chłopców i dziewcząt przybywały do Afryki wyposażone w plecaki, brudne dżinsy, dobre intencje i niezłomną wiarę w piękno, pokój i braterstwo człowieka. Ostatnimi czasy strach przed AIDS poważnie ograniczył napływ turystów i Sean był z tego zadowolony. Uświadomił sobie nagle, że jego myśli błądzą po manowcach, i postanowił wziąć się w garść. Przesunął lornetkę po rozciągających się przed nim zniszczonych polach.

Na horyzoncie dojrzał ruiny wioski. Na niektórych domkach zostały osmalone przez ogień szkielety dachów, ale ich słomiane pokrycie dawno zniknęło; inne domy były zupełnie ich pozbawione. Mimo że uważnie przyglądał się wiosce, nie znalazł żadnego śladu świadczącego o niedawnej obecności człowieka. Ścieżki pomiędzy polami były zarosnięte, nie było widać żadnych zwierząt domowych, nigdzie nie dostrzegł nawet smużki dymu unoszącej się znad ogniska.

„Frelimo lub Renamo nieźle obrobili ten teren”, pomyślał i skierował lornetkę na wschód, w stronę odległych niebieskich gór wnętrza kraju. Wczesnym rankiem powietrze było jeszcze czyste i przejrzyste, więc mógł rozpoznać kilka znaków szczególnych i porównać je z topografią mapy polowej. Po piętnastu minutach udało mu się całkiem precyzyjnie ustalić ich położenie.

Pokonali troszkę większą drogę, niż przypuszczał. Góry ciągnące się po jego prawej stronie nazywały się Chimanimani; tworzyły naturalną granicę pomiędzy Mozambikiem i Zimbabwem, ale ich najbliższe szczyty były oddalone o ponad czterdzieści kilometrów. Mapa miała kilometrową podziałkę, ale Sean, przyzwyczajony do mil, nie czuł się swobodnie w systemie metrycznym.

Kilka kilometrów dalej po lewej stronie powinna się znajdować większa wioska Dombe, niestety nie mógł dostrzec nawet śladu domów. Podejrzewał, że, tak jak mniejsze wioski przed nimi, wieś została dawno temu opuszczona i pochłonięta przez las. Szansa znalezienia żywności nie była więc zbyt duża. Po kilku posiłkach mały zapas kaszy kukurydzianej, którą mogli ze sobą zabrać, był na wyczerpaniu. Jutro będą musieli zająć się wyszukiwaniem żywności, co poważnie zwolni ich tempo. Z drugiej strony, jeśli Dombe była wciąż

zamieszкана, niemal na pewno znajdował się w niej posterunek Renamo lub Frelimo. Sean wolał zachować maksimum ostrożności, unikać kontaktu z ludźmi. Nikt, nawet Alphonso, nie mógł powiedzieć, jaki obszar zajmuje każda ze zwalczających się stron, a obie jednakowo niszczyły zdobyty teren. Granice rozdzielające obie armie były płynne i zmieniały się z dnia na dzień, jeśli nie z godziny na godzinę.

Sean spojrzął na południe. W tym kierunku nie dostrzegał nic, co by wznosiło się nad równinę. Była to część litoralu, która rozciągała się aż do brzegu Oceanu Indyjskiego i nie przecinały jej żadne góry ani doliny. Jedynymi naturalnymi przeszkodami były gęste lasy, rzeki i bagna broniące do nich dostępu.

Największą rzeką była Sabi, lub Rio Save, jak ją nazywali Portugalczycy. Przecinała granicę z Zimbabwe i spływała do oceanu. Była szeroka i głęboka i najpewniej będą potrzebowali jakiejś łódki lub tratwy, żeby ją przebyć.

Ostatnią przeszkodą na ich drodze była wielka, szarozielona, tłusta Limpopo uwieczniona przez Rudyarda Kiplinga. Płynęła trzysta kilometrów na południe od nich. Na jej brzegach schodziły się granice trzech państw: Zimbabwe, Mozambiku i Republiki Południowej Afryki.

Gdyby udało im się dotrzeć do tego miejsca, znaleźliby się na granicy Narodowego Parku Krugera, strzeżonego przez patrole wojska południowoafrykańskiego. Sean przyglądał się mapie z tęsknotą – Afryka Południowa oznaczała bezpieczeństwo, powrót do domu, gdzie nadal rządziło prawo, a ludzie nie chodzili w cieniu śmierci.

Cichy gwizd wyrwał go nagle z rozmyślań. Spojrzął w dół. Matatu stał u podstawy drzewa, dwadzieścia metrów niżej, i dawał mu gwałtowne znaki rękami.

„Słuchaj! – zasygnalizował. – Niebezpieczeństwo!”

Sean poczuł, jak serce zaczyna mu bić coraz szybciej. Matatu nie używał lekkomyślnie sygnału o niebezpieczeństwie. Natężył słuch, ale minęła pełna minuta, zanim coś usłyszał. Jego zmysły, a zwłaszcza wzrok i słuch, były bardzo wyostrzone i czułe, jednak w porównaniu z Matatu był głuchy i ślepy.

Kiedy wreszcie usłyszał i rozpoznał dźwięk, jego puls znowu podskoczył, obrócił się na gałęzi, by spojrzeć na północ, skąd zbliżało się źródło dźwięku.

Poza kilkoma pierzastowarstwowymi chmurami poranne niebo było idealnie czyste. Podniósł do oczu lornetkę i zaczął się rozglądać, szukając nisko nad horyzontem powyżej koron drzew. Narastający dźwięk podpowiedział mu, gdzie patrzeć, i nagle dojrzał w lornetce wyraźny kształt. Poczuł, jak strach mu wykręca wnętrzności.

Niczym olbrzymi insekt garbaty hind leciał nisko nad drzewami. Był oddalony jeszcze o kilka kilometrów, ale szybko się zbliżał, kierując się prosto na drzewo, na którym siedział Sean.

Generał China siedział na fotelu inżyniera pokładowego w wysuniętej kabinie helikoptera i wyglądał przez opancerzoną szybę. Wczesnym rankiem powietrze było krystalicznie przejrzyste i promienie niskiego słońca oświetlały każdy szczegół krajobrazu jaskrawym

złotym światłem.

Mimo że China latał już wiele godzin w zdobyczym śmigłowcu, nie przyzwyczał się do uczucia nadzwyczajnej siły, jaką mu dawała pozycja w wysuniętej kabinie. Ziemia i cała reszta znajdowała się pod nim, spoglądał na małych ludzików wiedząc, że to on decyduje o ich życiu bądź śmierci.

Wyciągnął rękę i schwycił ramię kontrolne działka pokładowego Gatling. Uchwyt przypominający rękojeść pistoletu pasował do jego dłoni; kiedy odbezpieczył broń, zdalnie sterowany monitor celownika rozświetlił się tuż przed nim. Patrząc na cel na ekranie China obracał, przesuwał na boki i w dół drążek kontrolny działka, wiedząc, że wielolufowa broń podąża za każdym jego ruchem.

Naciskając cyngiel palcem wskazującym mógł posłać w dół strumień stalowych pocisków, które zmiotą każdy obrany przez niego cel. Następnie przełączając jeden przycisk na panelu kontrolnym mógł wybrać jedną z broni zastępczych: hinda, rakiety lub pociski.

China nie potrzebował wiele czasu na opanowanie skomplikowanego systemu uzbrojenia śmigłowca, gdyż trening, jaki przeszedł w obozie partyzanckim na Syberii na początku wojny wyzwolenczej w Rodezji, pozwolił mu się zapoznać z najróżniejszymi rodzajami broni. Teraz miał jednak po raz pierwszy w życiu największą siłę ogniową i najbardziej dogodną platformę strzelecką, jaką dysponował kiedykolwiek w życiu.

Wystarczył jeden jego rozkaz, żeby wzniósł się wysoko jak orzeł lub poleciał w dół jak sokół spadający na ofiarę, zawisł wysoko nad górami, czy krążył nisko nad samymi koronami drzew. Władza, jaką zapewniała mu ta maszyna, nie ustępowała potędze bogów.

Z początku miał poważne problemy do pokonania. Okazało się, że nie mógł się dogadać z radziecką załogą ani pilotem. Byli niechętni do współpracy i China nie mógł na nich polegać. Mimo groźby męczeńskiej śmierci, jaka nad nimi wisiała, wiedział dobrze, że skorzystają z pierwszej nadarzającej się okazji, żeby uciec lub zniszczyć jego bezcenny helikopter. Wystarczyło, żeby jeden z ludzi z obsługi naziemnej nie nałożył smaru na którąś z istotnych części maszyny, poluzował nakrętkę, czy przepalił jakiś kabel, żeby zniszczyć śmigłowca, a ani China, ani żaden z jego partyzantów nie miał odpowiedniej wiedzy, która mogłaby zapobiec sabotażowi. W dodatku radziecki pilot od samego początku robił wszystko, żeby utrudnić porozumienie się pomiędzy nimi. Udawał głupiego i celowo przekręcał rozkazy. Bazując na świadomości, że China nie może się bez niego obejść, stawał się coraz bardziej oporny i bezczelny.

China zdołał szybko rozwiązać ten problem. W kilka godzin od zniszczenia klucza hindów i zdobycia śmigłowca wysłał zakodowaną wiadomość do stacji położonej trzysta kilometrów dalej na północ, na granicy Mozambiku z Malawi. Wiadomość została przejęta i odszyfrowana w kwaterze znajdującej się na olbrzymiej plantacji herbaty na stokach góry Mlanje. Jej właściciel był członkiem komitetu Mozambijskiego Ruchu Oporu i zastępcą szefa wywiadu Renamo. Raport Chiny został przesłany teleksem bezpośrednio do kwatery



dyrektora generalnego w Lizbonie i już po sześciu godzinach doświadczony portugalski pilot wojskowych śmigłowców i dwóch inżynierów znajdowali się na pokładzie samolotu TAP lecącego do Afryki. W Nairobi przesiadli się na samolot pasażerskich linii lotniczych Malawi, który leciał prosto do Blantyre, stolicy Malawi. Tam już czekał na nich kierowca w land roverze z plantacji, który miał ich zawieźć na prywatne lotnisko plantatora.

Tej samej nocy prywatny dwusilnikowy samolot Beechcraft przeleciał o północy nad zaporą Cabora Bassa. Lot był zawsze najeżony niebezpieczeństwami, ale pilot wielokrotnie już pokonywał tę trasę. Pojedyncza czerwona raca naprowadziła go na ukryte w lesie lotnisko, które partyzanci Chinycy wycięli w gęstych krzakach, na zachód od góry Gorongosa.

Podwójny szereg partyzantów z pochodniami wykonanymi z nasączonych parafiną szmat oświetlał pojedynczy pas lotniska. Pilot wylądował gładko i nie wyłączając silnika wysadził trzech pasażerów, zawrócił i szybko wzbił się w powietrze, znikając na nocnym niebie.

Jeszcze nie tak dawno tak skomplikowana trasa transportowania ludzi i sprzętu nie była wcale konieczna. Jeszcze rok wcześniej generał China skierowałby prośbę o wsparcie na południe, a nie na północ, a ludzie zostaliby przysłani helikopterem Puma ze znakami południowoafrykańskich sił powietrznych.

W tamtych dniach, kiedy marksistowski prezydent Frelimo, Samora Machel, zapewniał schronienie partyzantom Afrykańskiego Kongresu Narodowego i pozwalał im przygotowywać zamachy bombowe i samochody pułapki, które miały rozrywać ludność cywilną RPA, Południowoafrykańczycy odpłacali mu udzielając pełnego wsparcia Renamo.

Jednak, ku pełnemu zaskoczeniu dowództwa Renamo, Samora Machel i P.W. Botha, prezydent RPA, podpisali porozumienie w małym miasteczku granicznym Nkomati. Porozumienie ograniczało drastycznie pomoc Afryki Południowej dla Renamo w zamian za wydalenie oddziałów terrorystycznych ANC z Mozambiku.

Obie strony nie zamierzały jednak trzymać się postanowień traktatu i wzajemnie się oszukiwały. Machel pozamykał bazy ANC w Maputo, ale pozwolił im przygotowywać swoje operacje bez oficjalnego wsparcia rządu Frelimo. Południowoafrykańczycy zredukowali pomoc dla Renamo, ale helikoptery Puma nadal przekraczały granicę.

Później sytuacja znowu się zmieniła, kiedy Samora Machel zginął w szczątkach osobistego samolotu, przestarzałego tupolewa, który wycofany został z lotów w Związku Radzieckim i подарowany mu. Instrumenty pokładowe tupolewa nie działały prawidłowo, a w noc wypadku dwaj radzieccy piloci byli tak pijani, że zapomnieli wypełnić plan lotu. Znajdowali się dwieście kilometrów na południe od trasy lotu, kiedy rozbili się o graniczną górę, uderzając w nią po stronie Mozambiku, ale po kilku koziołkach w powietrzu spadając na stronę południowoafrykańską.

Mimo zapisu czarnej skrzynki tupolewa, w której na taśmie zostały nagrane rozmowy pilotów domagających się nowych butelek wódki i bogatych w szczegóły anatomiczne

dyskusji o tym, co zrobią ze stewardesą po wylądowaniu, rząd radziecki i Frelimo stwierdzili jednogłośnie, że to Południowoafrykańczycy doprowadzili Machelę do zguby. Porozumienie z Nkomati zmarło razem z prezydentem Machelem i śmigłowce Puma znowu zaopatrywały partyzantów Renamo w sprzęt i ludzi.

Z czasem jednak przez granicę zaczęły napływać niepokojące sygnały z Mozambiku. Z początku kilku uciekinierów misjonarzy wyłoniło się z buszu, żeby opisać przerażające zniszczenia, głód i okrucieństwa popełniane przez partyzantów Renamo na obszarze kraju równego powierzchnią Francji.

Kilku ciekawskich dziennikarzy zdołało się przedrzeć na tereny objęte wojną i jednemu czy dwóm udało się powrócić z wieściami o odbywającym się w Mozambiku holokaucie. Niektóre z ocen stwierdzały, że ponad pół miliona cywilów zmarło w wyniku głodu, chorób i mordów.

Przez granicę z Afryką Południową zaczęły napływać dziesiątki tysięcy uciekinierów. Przerażeni, wygłodzeni i chorzy opowiadali przerażające historie. RPA dowiedziała się, że wykarmiła potwora w postaci Renamo.

W tym samym czasie bardziej umiarkowany prezydent Chissano, który objął władzę po Samorze Machelu, zaczął czynić pierwsze pojednawcze gesty. Obaj prezydenci się spotkali i traktat z Nkomati został przywrócony do życia, tym razem z uczciwymi zamiarami. W ciągu jednego dnia cała południowoafrykańska pomoc dla Renamo ustała.

Wszystko to miało miejsce zaledwie przed kilku miesiącami. Generał China wraz z innymi dowódcami Renamo nadal byli rozwścieczeni i rozgoryczeni; zapasy żywności i amunicji kurczyły się każdego dnia bez szansy na uzupełnienie. Wkrótce partyzanci zostaną zmuszeni do grabieży ziemi zniszczonej przez dwanaście lat wojny domowej. Było nieuniknione, że cała wściekłość Renamo zwróci się przeciwko resztkom cywilnej ludności i każdemu cudzoziemcowi, który wpadnie im w ręce. Cały świat był teraz przeciwko nim, a oni byli przeciwko całemu światu.

Siedząc w fotelu hinda China prześledził w myślach ostatnie wypadki. Ze swojego miejsca zdawał się mieć najlepszy wgląd w chaos i zniszczenia obejmujące jego kraj. W całym państwie sytuacja była płynna, a generał wiedział, że w wypadkach podobnego zamieszania istniała szansa przejęcia władzy, jeśli tylko było się dostatecznie sprytnym i bezwzględny.

Ze wszystkich dowódców Renamo China okazał się w ciągu tych lat najbardziej samodzielny i najlepiej zorganizowany. Z każdym zwycięstwem jego władza wzrastała. Jego armia była najsilniejsza ze wszystkich trzech dywizji Renamo. Działający poza krajem komitet centralny skupiał w swoich rękach całą władzę dowódczą nad armią, ale przy każdej porażce, jaką ponosił ruch, wzmacniała się paradoksalnie pozycja generała Chiny. Coraz częściej komitet centralny podporządkowywał się jego życzeniom. Świadczyła o tym

choćby szybkość, z jaką zareagował na jego żądanie przysłania mu portugalskiego pilota i techników. Oczywiście, zniszczenia klucza radzieckich śmigłowców i zdobycie hinda w znaczny sposób wzmocniły jego pozycję i prestiż, a jednocześnie posiadanie tej wspaniałej broni dawało mu przewagę w walce o władzę.

Generał China uśmiechnął się pewnie i odezwał się do mikrofonu wystającego z helmu.

– Pilocie, czy widzi pan już wioskę?

– Jeszcze nie, generale. Mamy jeszcze cztery minuty lotu.

Portugalski pilot miał trzydzieści kilka lat. Był dostatecznie młody, żeby wykazać się śmiałością, i jednocześnie dostatecznie dojrzały, aby zdobyć niezbędne doświadczenie i nauczyć się dyskrecji. Był to przystojny mężczyzna o oliwkowej cerze, z opadającymi na kąciki ust wąsami i ciemnymi, groźnymi oczami drapieżnego ptaka. Od samego początku pilotował hinda z dużą precyzją i pewnością siebie, a z każdym lotem jego umiejętności rosły, gdy zapoznawał się z ograniczeniami, jakie przedstawiał helikopter.

Dwaj portugalscy technicy przejęli kontrolę nad radziecką obsługą naziemną, nadzorując każdy ich ruch. Jedną z zalet hinda było to, że maszynę można było eksploatować w skrajnych warunkach bez konieczności posiadania wyrafinowanych narzędzi. Główny technik zapewnił Chinę, że części zapasowe i narzędzia zabrane z obozu Frelimo powinny pozwolić utrzymać maszynę w powietrzu w nieskończoność. Największy problem był z raketami do systemu swatter i pociskami bojowymi, ale ich niedobór zastępował ponad milion pocisków kalibru 12,7 mm do działka pokładowego, które China zabrał z bazy hindów.

Stu pięćdziesięciu tragarzy musiało nieść amunicję do obozu nad rzeką, a dalszych pięciuset wyniosło z bazy dwudziestopięciolitrowe beczki z avgasem. Renamo do transportowania paliwa posługiwało się głównie kobietami, które od dzieciństwa uczyły się nosić – ciężkie bagaże na głowie. Ta ilość paliwa powinna wystarczyć do utrzymania hinda w powietrzu przez prawie dwieście godzin, a w tym czasie mieli szansę zdobycia cysterny z paliwem z transportu Frelimo albo na linii kolejowej, albo na jednej z dróg bliżej wybrzeża, które nadal były otwarte dla ruchu.

Obecnie głównym problemem generała Chiny było stawienie się na umówione przez radio spotkanie z generałem Tippoo Tipem, dowódcą południowej dywizji wojsk Renamo.

– Generale, widzę wioskę – odezwał się pilot przez interkom.

– Ach tak, też ją widzę – odparł China. – Proszę skręcić w tę stronę.

Kiedy hind się zbliżył, Sean ukrył się przed nim za liściastą gałęzią i przywarł mocniej do pnia. Mimo że zdawał sobie sprawę, jak niebezpieczne jest wystawianie białej twarzy, która odbijała promienie słoneczne, polegał na długiej brodzie i mocnej opaleniznie, gdy przyglądał się helikopterowi.

Wiedział, że ich ocalenie zależy od jego zdolności unikania tego potwora. Przyglądał mu się badawczym wzrokiem, starając się ocenić pole widzenia, jakie pilot i działowy mieli ze

swoich pozycji. Mogło się okazać pożyteczne, jeśli będzie znał pole ostrzału karabinu.

Sean dojrzał, jak lufy działka, znajdującego się na wieżyczce strzelniczej pod dziobem śmigłowca, obracają się z prawa na lewo, zupełnie jakby działowy chciał zademonstrować mu ich działanie. Do głowy by mu nie przyszło, że generał China po prostu bawi się kontrolkami, które dają mu poczucie siły, ale przy okazji poruszenie luf zdradziło ograniczony zasięg działka pokładowego. Mogło zostać obrócone jedynie po trzydziestostopniowym łuku. Później pilot musiał obrócić cały śmigłowiec wokół głównej osi, żeby nakierować broń na cel.

Hind był teraz bardzo blisko. Sean widział wyraźnie każdy szczegół konstrukcji, od czerwonego napisu „Doskonała Załoga” na dziobie aż po główki nitów spajających tytanową powłokę. Starał się wypatrzeć jakiś słaby punkt w maszynie, jakąś szczelinę w masywnej konstrukcji, ale po kilku sekundach, zanim maszyna go minęła, stwierdził, że poza wlotami powietrza do silników turbinowych hind jest absolutnie bez skazy. Wystające nad kabinę pilota wloty powietrza były zasłonięte przez specjalne wypukłe metalowe dyski, które zapobiegały przedostaniu się śmieci i kurzu do silników w czasie, gdy śmigłowiec wisiał nisko nad ziemią i pęd powietrza skierowanego w dół przez obracające się śmigła wzbijał w powietrze chmury pyłu. Jednak pokrywy nie były aż tak szczelne, żeby uniemożliwić pociskowi Stinger przedostanie się do wlotów powietrza, i Sean zobaczył, że wokół nich znajduje się szczelina dostatecznie szeroka, żeby człowiek mógł wcisnąć przez nią głowę. Przy odpowiednim kącie i bardzo bliskiej odległości strzelec wyborowy mógł posłać serię z karabinu maszynowego, która przechodząc przez lukę uszkodziłaby łopatki wirników silnika. Sean wiedział, że nawet drobny odprysk na łopatkę zniszczyłby równowagę całej turbiny i wprowadził silnik w takie wibracje, że rozpadłby się na drobne kawałki po kilku sekundach.

– Musiały to być niezły strzał i potrzeba od cholery szczęścia – mruknął pod nosem patrząc na szczeliny. Nagle światło odbijane przez szybę pancerną kabiny zmieniło kąt padania i Sean mógł zobaczyć jej wnętrze.

Rozpoznał generała Chinę mimo hełmu lotniczego skrywającego mu głowę i osłaniających oczy okularów. Poczuł, jak ogarnia go płomień nienawiści. Ten człowiek był odpowiedzialny za śmierć Joba i ich wszystkie pozostałe nieszczęścia.

– Chcę cię dostać w swoje ręce – mruknął Sean. – Boże, gdybym tylko mógł cię dostać w swoje ręce.

China zdawał się wyczuwać to nienawistne spojrzenie, gdyż odwrócił wzrok i popatrzył w dół przez lustrzane okulary prosto na gałąź, na której siedział Sean. Sean mocniej przytulił się do pnia.

Nagle hind pochylił się, ukazując poplamiony szary brzuch. Pęd powietrza smagnął koronę drzewa, potrząsając konarami i rzucając Seanem na wszystkie strony. Wtedy uświadomił sobie, że to było tylko złudzenie i że China wcale na niego nie patrzył.

Przyglądał się, jak maszyna kieruje się w bok. Po przeleceniu kilku kilometrów odgłos silników zmienił natężenie, przechodząc w wysoki pisk, helikopter zawisł na chwilę nad lasem i szybko osiadł pomiędzy drzewami.

Sean zsunął się na dół. Matatu zgasił małe ognisko na pierwszy odgłos zbliżającego się śmigłowca, ale garnuszek kaszy kukurydzianej zdołał się już ugotować.

– Zjemy po drodze – zdecydował Sean. Claudia jęknęła cicho, ale wstała z ziemi. Czuła, jak każdy mięsień w nogach piecze ze zmęczenia.

– Przykro mi, kochanie. – Sean otoczył ją ramieniem i przytulił do siebie. – China wylądował dwa, trzy kilometry stąd. Prawdopodobnie w wiosce Dombe. Możemy być pewni, że ma tam swoich żołnierzy. Musimy się stąd wynieść.

Zjedli resztki gorącej, kleistej, dobrze posolonej papki po drodze i popili ją kilkoma łykami wody z manierek, która smakowała mułem i algami.

– Od tej pory żyjemy się tym, co znajdziemy – Sean powiedział Claudii – a chłopcy Chiny już depczą nam po piętach.

Hind zawisł jakieś trzydzieści metrów nad drogą przecinającą wieś Dombe.

Była to jedyna droga, a sama wieś składała się z mniej więcej dwudziestu domów, które dawno temu zostały opuszczone. W oknach nie było szyb, a z pobielanych murów podpadał tynk. Termyty poprzęrały belki dachów i blacha falista zwisała smętnie z wałących się konstrukcji. Budynki znajdujące się przy samej drodze były dawniej sklepami, typowymi dla Afryki dukas, prowadzonymi przez hinduskich handlarzy. Na jednym z nich wisiał pod dziwnym kątem wyblakły napis: „Patel & Patel” wyrysowany pomiędzy czerwonymi znakami coca-coli.

Sama droga miała ubitą nawierzchnię zasłaną najróżniejszymi śmieciami i odpadkami, a w wyjeżdżonych koleinach wyrastały chwasty.

– Lądujemy – rozkazał China i helikopter zniżył się nad drogę, wzbijając w powietrze tuman suchych liści, skrawków papieru, zużytych plastikowych toreb i innego śmiecia.

Na werandzie budynku z napisem „Patel & Patel” stali uzbrojeni ludzie. Żołnierze, pięćdziesięciu lub więcej, ubrani w mundury w kamuflujących barwach lub cywilne ubrania, znajdowali się także pomiędzy budynkami.

Pilot posadził maszynę na drodze i z wolna zmniejszył obroty silnika, śmigła obracały się coraz wolniej, a silnik wydawał niski poświst. Generał China otworzył pancerną pokrywę kabiny, wyskoczył na ziemię i podszedł do grupy ludzi stojących na ganku przed sklepem.

– Tippoo Tip! – zawołał otwierając szeroko ramiona w braterskim przywitaniu. – Jak dobrze cię znowu widzieć. – Musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć wizz silnika.

Generał Tippoo Tip zszedł po schodkach, żeby go przywitać, rozwierając ramiona równie szeroko jak China. Objęli się z czułą nieszczerością, jaka może cechować dwóch zawziętych rywali, którzy dobrze wiedzą, że pewnego dnia będą musieli zabić przeciwnika.

– Mój stary przyjacielu – powiedział China, trzymając generała w ramionach

i przyglądając mu się z miłością w oczach.

Tippoo Tip nie było prawdziwym nazwiskiem generała, przyjął je jako nom de guerre po jednym ze sławnych arabskich handlarzy niewolników i kości słoniowej z poprzedniego wieku. „Jednak imię i wiążące się z nim skojarzenia idealnie do niego pasują”, pomyślał China przyglądając się rywalowi. Przed nim stał pewny siebie, zuchwały mężczyzna, którego można podziwiać, ale należy traktować z największą ostrożnością.

Tippoo Tip był niskim mężczyzną, sięgającym Chinie do ramienia, ale wyjątkowo masywnej budowy. Jego pierś była potężna jak u goryla, a zwisające silne ramiona, które sięgały niemal kolan, czyniły go jeszcze bardziej podobnym do tego zwierzęcia. Głowę miał tak olbrzymią, że przywodziła na myśl jeden z gigantycznych rodezyjskich głazów z granitu stojących na ostrym czubku wysokiej skały. Generał miał dokładnie ogoloną głowę, ale twarz i piersi zasłaniała mu gęsta, falująca, czarna broda. Czoło i nos były szerokie, płaskie, a usta grube i pełne.

Na czole miał zawiązaną opaskę z kolorowego materiału, a kamizelkę ze skóry kudu rozpiętą z przodu. Klatkę piersiową pokrywał mu gęsty materac czarnych włosów, a nagie ramiona były grube i silnie umięśnione.

Tippoo Tip uśmiechnął się do Chiny, ukazując perłowobiałe zęby, kontrastujące z pożółkłymi białkami oczu pokrytymi siecią żyłek.

– Twoja wizyta uprzyjemniła mój dzień zapachem kwiatów mimozy – powiedział w języku shangańskim, ale jego spojrzenie przesliznęło się po Chinie i przeniosło na wielki helikopter. Zazdrość Tippoo Tipa była tak oczywista, że China niemal mógł jej posmakować.

Hind zmieniał znacząco delikatną równowagę, jaka istniała w stosunkach dwu najważniejszych ze wszystkich wojowników Renamo. Tippoo Tip nie mógł oderwać oczu od helikoptera. Było jasne, że chciałby się dokładniej przyjrzeć maszynie, ale China wziął go za ramię i poprowadził w stronę werandy. Pilot nie wyłączył hinda i kiedy tylko China i jego gospodarz wyszli z kręgu wolno obracających się śmigieł, zwiększył obroty silnika. Wielka maszyna podniosła się z ziemi i zawróciła w powietrzu.

Tippoo Tip wykręcił się z objęć Chiny i osłaniając oczy dłonią przyglądał się odlatującemu śmigłowcowi. W jego oczach płonęło pożądanie, jakby patrzył na rozbierającą się przed nim piękną dziewczynę. China pozwolił mu wdychać do nieosiągalnego hinda, dopóki ten nie zniknął na horyzoncie. Specjalnie kazał pilotowi odlecieć, gdyż zbyt dobrze znał i rozumiał swojego rywala. Wiedział, że jeśli maszyna zostałaaby w wiosce, pokusa mogłaby być zbyt silna, żeby Tippoo Tip jej się oparł. Zdrada była czymś zupełnie naturalnym dla obu mężczyzn. W tej rozgrywce hind był jokerem Chiny.

Tippoo Tip otrząsnął się i roześmiał bez widocznego powodu.

– Powiedziano mi, że zniszczyłeś cały klucz hindów i zdobyłeś jedną maszynę dla siebie, a ja odpowiedziałem: „China jest prawdziwym lwem i moim bratem”.

– Chodź, bracie – przyjął komplement China. – Na słońcu jest gorąco.

W cieniu werandy stały dwa stołki i kiedy usiedli, dwie młode dziewczęta Tippoo Tipa przyniosły im gliniane dzbanki z piwem, gęstym i orzeźwiająco cierpkim. Dziewczęta miały po kilkanaście lat i były bardzo ładne. Tippoo Tip lubił kobiety, zawsze się nimi otaczał. „To jedna z jego słabości”, pomyślał China, uśmiechając się do siebie z wyższością. On sam mógł się równie dobrze nacieszyć chłopcem co dziewczyną, ale zawsze była to tylko krótka przerwa w obowiązkach, a nie ważna część jego życia. Młode kobiety nie zwróciły jego większej uwagi, skoncentrował się na swoim gospodarzu.

Ochroniarze Tippoo Tipa zeszli z werandy. Generał skinął na dziewczęta, żeby się również oddaliły.

– A co u ciebie, mój bracie? – zapytał China. – Jak toczą się walki? Słyszałem, że złapałeś Frelimo za głowę i wepchnąłeś mu ją pomiędzy nogi, żeby przyjrzał się swoim korzeniom. Czy to prawda?

Oczywiście, nie była to prawda. Jako dowódca południowych oddziałów Renamo, generał Tippoo Tip znajdował się bliżej stolicy i portu Maputo, centrum władzy Frelimo. W niego najbardziej uderzyło wycofanie pomocy wojskowej Afryki Południowej. Jego wojska brały na siebie większość kontrataków i ofensyw Frelimo. China dobrze wiedział, że w ostatnich miesiącach Tippoo Tip przegrał wiele walk i stracił wielu ludzi oraz terytorium na południu. Tippoo Tip jednak zachichotał i skinął głową na pochwałę.

– Zjedliśmy wszystko, co Frelimo posłało przeciwko nam. Przełknęliśmy ich bez jednego pierdnięcia.

Przekomarzali się i docinali sobie popijając piwo, uśmiechając się i śmiejąc wesoło, ale cały czas obserwując się uważnie, jak dwa lwy obchodzące upolowaną zwierzynę, gotowi w każdej chwili do ataku czy do obrony. Wreszcie China powiedział:

– Miło mi słyszeć, że wszystko u ciebie w porządku. Przyleciałem tu, żeby zobaczyć, czy mój hind mógłby ci w czymś pomóc przeciwko Frelimo. – Rozłożył ręce w wyrażającym dezaprobatę geście. – Widzę jednak, że nie potrzebujesz mojego wsparcia.

Był to manewr godny Machiavellego. China przyglądał się, jak jego cios przeszedł przez gardę Tippoo Tipa. Dobrze wiedział, że popełniłby poważny taktyczny błąd, gdyby poprosił tego człowieka o pomoc. Tippoo Tip potrafił wyczuć każdą słabość jak hiena. Zamiast tego China podstawił przynętę w postaci hinda, pomachał mu nią przed nosem i jednym ruchem ręki ukrył w kieszeni.

Tippoo Tip zamrugał oczami i nie przestając się uśmiechać szukał celnej odpowiedzi. On także nienawidził przyznawać się do porażki czy okazywać słabości przed kimś, kto potrafiłby ją bezlitośnie wykorzystać. Nie mógł jednak oprzeć się pragnieniu, jakie wzbudziła w nim cudowna broń.

– Pomoc brata jest zawsze mile widziana – sprzeciwił się miłym tonem – zwłaszcza jeśli ten brat lata po niebie własnym henshaw. – I zaraz szybko dodał: – A może mógłbym ci zaoferować jakąś usługę za twoją pomoc?

„Sprytny drań”, pomyślał China, podziwiając styl przeciwnika. „Wie, że nie przybyłem tu ze współczucia. Zorientował się, że czegoś potrzebuję”. Obaj mężczyźni wycofali się na afrykański sposób, kryjąc za zasłoną grzeczności i trywialnych pogawędek, krążąc wokół głównego tematu.

– Zastawiłem niezłą pułapkę na Frelimo – pochwalił się Tippoo Tip. – Wyprowadziłem moje wojska z lasów Save. – Prawda była taka, że został zmuszony do opuszczenia niewiarygodnie bogatych lasów po długich walkach, kiedy Frelimo podjęło najbardziej zdeterminowane ataki od początku kampanii.

– To bardzo sprytne z twojej strony – zgodził się China głosem, w którym pobrzmiwał ostry niczym brzytwa sarkazm. – To rzeczywiście pułapka zostawić lasy Frelimo i jacy z nich głupcy, że dali się na to nabrać.

Lasy Save były największym bogactwem naturalnym kraju: wysokie na dwadzieścia metrów leadwoods, nazywane także drzewami kości słoniowej ze względu na gładkość drzewa; wspaniałe rodezyjskie mahonie, których pnie często mierzyły po dwa metry w obwodzie; i najrzadsze i najcenniejsze ze wszystkich tamboti, czyli afrykańskie drzewo sandałowe o bogatym wzorze i pięknym zapachu.

Prawdopodobnie nigdzie więcej na kontynencie nie było już tak wspaniałych lasów pełnych drogiego drzewa. Z całą pewnością było to ostatnie bogactwo tego zniszczonego przez wojnę kraju. Najpierw zostały wybite olbrzymie stada słoni, później nosorożców i bawołów, które wystrzelano z powietrza z karabinów maszynowych. Rosjanie i Północnokoreańczycy oczyścili ciepłe rzeki na wschodnim wybrzeżu Mozambiku z krewetek i ryb, a zagraniczni poszukiwacze przygód, za zgodą Frelimo, zdziesiątkowali krokodyle na jeziorze Cabora Bassa. Jedynie lasy pozostały nie naruszone.

Ze wszystkich nowo powstałych państw afrykańskich Mozambik najbardziej potrzebował dopływu twardej waluty. W kraju od ponad dziesięciu lat toczyła się zacięta wojna domowa, która zrujnowała doszczętnie całą gospodarkę. Drzewo było ostatnim towarem, za który rząd mógł uzyskać pieniądze.

– Frelimo wysłali do lasów bataliony robotników, jakieś dwadzieścia, może trzydzieści tysięcy niewolników – powiedział Tippoo Tip.

– Tak wiele? – zapytał z zainteresowaniem China. – Gdzie znaleźli tylu ludzi?

– Zebrali ostatnich rolników, napadli na obozy uchodźców, zgarnęli wszystkich bezrobotnych z ulic Maputo. Rząd nazywa to „Demokratycznym Programem Pełnego Zatrudnienia”. Kobiety i mężczyźni pracują od świtu do nocy za dziesięć eskudów dziennie, a jeden posiłek, jaki dostają, kosztuje piętnaście eskudów. – Tippoo Tip odrzucił głowę i roześmiał się z podziwu. – Czasami ci Frelimo nie są tacy głupi – stwierdził z rozbawieniem. – Robotnicy płacą pięć eskudów dziennie za przywilej ścinania drzew dla rządu, bardzo sensowny układ.

– I ty pozwoliłeś Frelimo na to? – zapytał China. Nie chodziło mu oczywiście o niedolę



robotników. Dwudziestometrowy pień drzewa sandałowego był wart jakieś pięćdziesiąt tysięcy amerykańskich dolarów, a lasy ciągnęły się przez setki tysięcy akrów.

– Oczywiście, że im na to pozwoliłem – przyznał Tippoo Tip. – Nie mogą wywieźć drzewa, dopóki drogi i linia kolejowa nie zostaną odbudowane. Na razie składują pnie wzdłuż linii kolejowej. Moi ludzie liczą każdy nowy pień. – Tippoo Tip wyjął z bocznej kieszeni skórzanej kamizelki notatnik w plastikowych okładkach i pokazał Chinie liczby, które zapisał na ostatniej stronie.

China zachował obojętny wyraz twarzy, ale jego oczy rozbłysły za okularami w złotych oprawkach, gdy przeczytał łączną sumę zebranego drzewa i jego wartość. Taka ilość dolarów pozwoliłaby na uzbrojenie obu armii na następne pięć lat, można było za nią kupić nowych sprzymierzeńców lub wynieść jednego z nich na fotel prezydenta i utrzymać go tam przez całe życie.

– Zbliża się czas, gdy będę mógł znowu zająć lasy Save i zebrać żniwo, jakie Frelimo dla mnie przygotowali.

– A jak chcesz eksportować drzewo? Pień tamboti waży jakieś sto ton, kto je od ciebie kupi?

Tippoo Tip klasnął w ręce i zawołał jednego ze swoich adiutantów, który przykucnął w cieniu budynku po drugiej stronie ulicy. Partyzant poderwał się z ziemi i podbiegł do swojego przełożonego. Uklęknął na ziemi i rozpostarł mapę połową na betonowej podłodze werandy pomiędzy ich stołkami, przyciskając jej rogi kawałkami pokruszonego betonu. Tippoo Tip i China nachylili się nad mapą.

– Tu są lasy. – Tippoo Tip zakreslił palcem granice olbrzymiego obszaru pomiędzy Rio Save i Limpopo, na południe od ich pozycji. – Frelimo zbierają drzewo tu, tu i tu.

– Słucham – zachęcił go China.

– Składowisko wysunięte najbardziej na południe znajduje się zaledwie pięćdziesiąt kilometrów od Limpopo, pięćdziesiąt kilometrów od granicy z Afryką Południową.

– Południowoafrykańczycy wyparli się nas, podpisali układ z Chissano i Frelimo – zauważył China.

– Układy i traktaty są tylko kawałkami papieru. – Tippoo Tip odsunął argument machnięciem ręki. – Mówimy o połowie miliarda amerykańskich dolarów. Dogadałem się już z naszymi niewiernymi sojusznikami, że jeśli dostarczę im drzewo, to zapewnią transport do ich granicy i zapłatę na konto w Zurychu lub Lizbonie. – Zamilkł na chwilę. – Frelimo ścięli i ułożyli już dla mnie drzewo. Teraz muszę je tylko zabrać i dostarczyć kupcom.

– A mój helikopter miałby ci pomóc w zbieraniu drzewa? – zasugerował China.

– Pomóc, tak, chociaż mogę osiągnąć to samo moimi własnymi siłami.

– Może i tak, ale połączona operacja będzie szybsza i pewniejsza – odparował China. – Razem dzielimy walkę i łupy. Z moim henshaw i posiłkami z północy możemy przegonić Frelimo z lasu w ciągu tygodnia.

Tippoo Tip udawał, że rozpatruje propozycję. Wreszcie skinął głową i zapytał ostrożnie:

– Oczywiście wynagrodzę cię za pomoc częścią zapłaty, jaką otrzymam za drzewo.

– Część nie jest słowem, za którym bym przepadał – westchnął China. – Wolę dobre, socjalistyczne słowo: równy. Proponuję równy podział.

Tippoo Tip wyglądał na urażonego i rozłożył ręce w geście protestu.

– Bądź rozsądny, mój bracie.

Przez następną godzinę targowali się i wyklócali, z wolna zbliżając się do umowy, która miała podzielić pomiędzy nich dwóch ostatnie bogactwo kraju i zdecydować o losach dziesiątków tysięcy robotników w batalionach pracy.

– Moi zwiadowcy donoszą, że robotnicy pracujący przy ścinie są już prawie nieprzydatni do pracy – zauważył w pewnej chwili Tippoo Tip. – Frelimo tak ich głodził, że prawie wszyscy są chorzy i wycieńczeni. Codziennie umierają setki ludzi, więc ścinanie drzew nie przebiega nawet w połowie tak sprawnie jak dwa miesiące temu. Frelimo nie mają żadnych nowych sił do zastąpienia robotników i całe przedsięwzięcie zaczyna z wolna podupadać. Nie zyskamy wiele czekając dłużej. Powinniśmy zaatakować natychmiast, przed nastaniem pory deszczowej.

China spojrzął na elektroniczny zegarek na rękę, symbol jego pozycji równie widoczny jak srebrna gwiazdka na epoletach. Hind powinien wrócić za pół godziny, musi zakończyć negocjacje i dobić targu. W ciągu kilku minut porozumieli się co do szczegółów połączonej operacji i China zauważył obojętnym tonem:

– Mam jeszcze jedną sprawę do ciebie. – Ton jego słów zaalarmował Tippoo Tipa. Pochylił się do przodu na stołku, kładąc obie ręce, równie szerokie i potężne jak łapy niedźwiedzia, na kolanach. – Ścigam małą grupę białych uciekinierów. Wygląda na to, że starają się dotrzeć do granicy z Afryką Południową. – China szybko opisał mu grupę Seana i dodał na zakończenie: – Chciałbym, żebyś powiadomił wszystkie swoje posterunki stąd do Limpopo, żeby rozglądali się za tymi ludźmi.

– Biała mężczyzna i biała kobieta. To brzmi interesująco, mój bracie – powiedział w zamyśleniu Tippoo Tip.

– Najważniejszy jest mężczyzna. Kobieta jest Amerykanką i może mieć pewną wartość jako jeńiec, ale poza tym niewiele znaczy.

– Dla mnie kobieta ma zawsze jakąś wartość – sprzeciwił się Tippoo Tip. – Zwłaszcza jeśli jest biała i młoda. Czasami lubię zmianę ciała. Ubijmy jeszcze jeden interes, bracie. Tym razem też się podzielimy po połowie. Jeśli pomogę ci ich złapać, zatrzymasz sobie białego mężczyznę, ale mnie oddasz kobietę. Zgoda?

China zastanawiał się nad tym przez chwilę i wreszcie skinął głową.

– Dobrze, możesz ją sobie wziąć, ale chcę dostać mężczyznę żywego i całego.

– Właśnie tak chcę dostać kobietę – zachichotał Tippoo Tip. – Więc znowu osiągnęliśmy porozumienie. – Wyciągnął rękę i China ją uściśnął. Patrząc sobie w oczy obaj wiedzieli, że

ten gest nie ma najmniejszego znaczenia, że ich ugoda będzie trwać jedynie tak długo, jak im to będzie odpowiadać, i zostanie zerwana bez najmniejszego ostrzeżenia, kiedy tylko zmienią się warunki.

– Powiedz mi teraz o tej kobiecie – poprosił Tippoo Tip. – Gdzie ją ostatnio widziano i co zamierzasz zrobić, żeby ją pojmać?

China znowu nachylił się nad rozpostartą przed nimi mapą. Tippoo Tip dostrzegł żywy blask w jego oczach i lekkie napięcie w głosie, gdy wyjaśniał, jak Sean i jego grupa uniknęli zasadzki, którą zgotował im na granicy, oraz jak shangańscy dezernerzy poinformowali go o intencjach Seana.

– Wiemy, że ostatnio byli tutaj. – China wskazał na punkt na północ od linii kolejowej. – To jednak było trzy dni temu. Teraz najpewniej znajdują się gdzieś tutaj. – Rozpostarł dłoń i przesunął nią po mapie. – Jeden z nich jest ciężko ranny, więc prawdopodobnie nie dotarli jeszcze tak daleko na południe. Ustawiłem ponad trzystu żołnierzy na południe od linii kolejowej, którzy teraz szukają ich śladu, ale chciałbym, żebyś zablokował im drogę od przodu. Ilu ludzi mógłbyś poświęcić?

Tippoo Tip wzruszył ramionami.

– Już umieściłem trzy kompanie wzdłuż Rio Save, żeby pilnowali wycinki lasu. Dalej na północ mam jeszcze pięć kompanii. Jeśli ci biali chcą dotrzeć do Limpopo, to będą musieli przejść pomiędzy moimi liniami i strażami Frelimo. Poinformuję przez radio dowódców kompanii, żeby mieli na nich oko.

Głos generała Chiny stał się władczy i ostry.

– Twoi ludzie muszą zabezpieczyć każdą drogę, każde przejście przez rzekę. Muszą utworzyć barierę, przez którą nawet mysz się nie prześlizgnie, a moi ludzie napędzą białych od północy. Ostrzeż jednak swoich dowódców kompanii, że ten biały jest żołnierzem, i to dobrym. Dowodził Skautami Ballantyne pod koniec wojny.

– Courteney – przerwał mu Tippoo Tip. – Pamiętam go dobrze. – Zachichotał złośliwie. – Ależ oczywiście, to Courteney poprowadził atak na twoją bazę. Nic dziwnego, że tak bardzo chcesz go dostać w swoje ręce. Courteney napadł cię wiele lat temu. Masz dobrą pamięć, mój bracie.

– Tak – zgodził się China, dotykając urwanego ucha. – To było wiele lat temu, ale zemsta jest daniem, które najlepiej smakuje na zimno.

Obaj podnieśli głowy, kiedy z północy dobiegł ich ostry świst śmigieł. China spojrział na zegarek. Pilot przyleciał dokładnie na czas. Czuł, że może ufać temu młodemu Portugalczykowi. Wstał ze stołka.

– Będziemy utrzymywać kontakt radiowy na fali 118,4 megaherców – powiedział do generała Tippoo Tip. – Trzy razy dziennie, o szóstej rano, w południe i o szóstej wieczorem. – Tippoo Tip nie patrzył jednak na niego, tylko na zniżający się nad wioską kształt hinda, który przypominał potwora z filmu science fiction.

Generał China zajął swoje miejsce w kabinie pilota i zamknął za sobą pancerną pokrywę. Podniósł na pożegnanie prawy kciuk i stojący na werandzie generał Tippoo Tip zasalutował w odpowiedzi. Hind podniósł się z ziemi, zawisł na chwilę nad wioską i skierował dziób na północ.

– Generale, jeden z patroli wzywał pana przez radio – powiedział pilot przez mikrofon. – Używają kodu „Dwunasty Czerwony”.

– Dziękuję, niech pan przełączy na częstotliwość patrolu – polecił China i patrzył, jak na elektronicznym wyświetlaczu radia przesuwają się cyfry częstotliwości. – „Dwunasty Czerwony”, tu „Drzewo Bananowe”, czy mnie słyszysz? – odezwał się do mikrofonu.

„Dwunasty Czerwony” był kodem wywoławczym jednego z doborowych patroli, które szukały tropu wzdłuż linii kolejowej. Patrząc na rozłożoną na kolanach mapę generał China próbował odgadnąć pozycję sekcji tropicieli. Dowódca sekcji odpowiedział natychmiast na wezwanie.

– „Drzewo Bananowe”, tu „Dwunasty Czerwony”. Nawiązaliśmy kontakt.

China poczuł, jak poczucie zwycięstwa rozpiera mu piersi, ale nie dało się tego słyszeć w jego głosie.

– Podajcie swoją pozycję – rozkazał i dowódca sekcji podał mu współrzędne, które China zaznaczył na mapie.

Patrol znajdował się jakieś pięćdziesiąt kilometrów na północ od wioski.

– Pilocie, czy słyszał pan nowe współrzędne? – zapytał. – Niech pan zawiezie mnie tam tak szybko, jak to tylko możliwe. – Kiedy ryk silnika zwiększył natężenie, China zawołał do mikrofonu: – „Dwunasty Czerwony”, wystrzelcie czerwoną racę, jak tylko nas zobaczycie!

Siedem minut później czerwona raca wyleciała z lasu niemal prosto przed dziobem hinda. Pilot zwolnił i helikopter zawisł nad drzewami.

Patrol Renamo oczyścił maczetami kawałek terenu na lądowisko, pilot naprowadził hinda nad czyste kółko i posadził maszynę na ziemi w tumanie kurzu i liści. China przekonał się z satysfakcją, że partyzanci rozłożyli się wokół miejsca lądowania, chroniąc generała wycelowanymi na zewnątrz karabinami maszynowymi. Byli to doskonali wojownicy. China wyskoczył lekko z kabiny i dowódca sekcji podbiegł schylony, żeby mu zasalutować. Był to doświadczony weteran, obwieszony bronią, manierkami z wodą i pasami amunicji.

– Przeszli tędy wczoraj wieczorem – powiedział generałowi.

– Jesteś tego pewien? – zapytał ostro China.

– Biały mężczyzna i biała kobieta. – Partyzant skinął głową. – Zakopali coś tutaj. – Wskazał głową do tyłu. – Nie dotykaliśmy tego, ale myślę, że to grób.

– Pokaż – rozkazał China i ruszył za partyzantem w gęste krzaki. Dowódca sekcji zatrzymał się przed stosem kamieni.

– Tak, to grób – powiedział pewnym tonem China. – Otwórzcie go.

Dowódca sekcji krzyknął na dwóch ludzi. Partyzanci odłożyli broń i rzucili się do grobu.

Kopniakami zrzucili leżące z wierzchu mniejsze kamienie i zaczęli staczać większe na ziemię.

– Szybciej! – zawołał China. – Pośpieszcie się! – Głazy zaczęły latać na strony, uderzając jeden o drugi.

– Jest ciało! – zawołał dowódca sekcji, gdy spod kamieni ukazała się owinięta w koszulę głowa Joba. Partyzant zbliżył się i zdarł koszulę.

– To Matabelczyk. – China natychmiast rozpoznał rysy Joba. – Nie sądziłem, że doniosą go aż tutaj. Wykopcie go całego i rzućcie hienom na pożarcie – rozkazał.

Dwóch partyzantów schyliło się i schwyciło trupa za owinięte kocem ramiona, China przyglądał się temu z zainteresowaniem. Ćwiartowanie zwłok wroga należało do rytuału wojennego plemienia Nguni, wyrwanie wnętrzości z ciała pozwalało duszy zabitego opuścić powłokę cielesną, co zapobiegało prześladowaniu zabójcy. China czuł jednak nienawistną satysfakcję, gdy przyglądał się, jak partyzanci wydobywają z grobu Matabelczyka. Wiedział, jak bardzo zrani tym Seana Courteneya i już się cieszył na myśl o tym, jak opíše mu to w najdrobniejszych szczegółach w czasie następnego połączenia radiowego.

W tej samej chwili jego wzrok padł na krótki sznurek z kory drzewa, który oplatał ramiona nieboszczyka. Przez chwilę patrzył na niego ze zdziwieniem. Zobaczył, jak sznurek się napina, usłyszał trzask wrywanej zawleczonej granatu i zrozumiał, co to takiego. Z ostrzegawczym krzykiem rzucił się na ziemię.

Wybuch ogłuszył go, trzasnął w głowę falą uderzeniową i China poczuł, jak coś silnie uderza go w policzek. Przewrócił się na plecy i usiadł, przez chwilę sądząc, że stracił wzrok; po chwili gwiazdy i wirujące koła ognia zbladły. Z ulgą stwierdził, że znowu widzi.

Z policzka ciekła mu krew i spływała po brodzie na mundur. Zdarł chustkę z szyi i przytknął do głębokiego rozcięcia, jakie odłamek granatu zostawił na jego twarzy.

Wstał niepewnie na nogi i spojrzał na grób. Granat rozerwał brzuch jednego z partyzantów wypatroszając go jak rybę. Mężczyzna klęczał na ziemi, usiłując wepchnąć wnętrzości do brzucha, ale mokre ubranie lepilo mu się do rąk. Drugi zginął na miejscu. Dowódca oddziału podbiegł do Chiny i chciał obejrzeć ranę na policzku, ale ten odepchnął rękę.

– Ty biały sukinsynu. – Jego głos ział nienawiścią. – Drogo mi za to zapłacisz, pułkowniku Courteney. Przysięgam ci to.

Ranny partyzant nadal zmagał się z wnętrzościami, ale wylewały mu się przez palce. Wydawał z siebie bełkotliwy bulgot, który jeszcze bardziej rozżłościł Chinę.

– Wyciągnijcie go stamtąd! – wrzasnął. – Zabierzcie go i zastrzelcie!

Kilku partyzantów wyciągnęło rannego, ale China nie był usatysfakcjonowany. Trząsł się jeszcze z szoku i wściekłości, szukając czegoś wzrokiem, na czym mógłby wyładować gniew.

– Hej, wy! – Wskazał drżącą ręką. – Przynieście maczety. – Dwóch partyzantów rzuciło się biegiem po broń. – Wyjmijcie tego matabelskiego psa z tej dziury! Właśnie. A teraz posiekajcie go na mięso dla hien. Tak. Na małe kawałki. Nie zatrzymujcie się! Na mięso

siekane! Chcę, żeby zostało z niego mięso siekane!

Przez cały ranek Matatu prowadził ich na południe przez opuszczone pola i wioski. Wysokie trawy i chwasty dobrze ich skrywały, a tropiciel unikał ścieżek i omijał z dala wypalone chaty.

Claudia miała kłopoty z utrzymaniem ostrego tempa. Wczorajszego wieczoru zatrzymywali się tylko na krótkie postoje i dziewczyna była wyraźnie zmęczona. Nie czuła bólu. Nawet małe, ostre, różowo zakończone kolce, które zostawiały czerwone pręgi na jej odsłoniętych ramionach, nie przysparzały jej bólu. Każdy krok, jaki robiła, był czysto mechaniczny i mimo że starała się nadażyć za mężczyznami, czuła się jak nakręcana zabawka, która się zatrzymuje. Z wolna Sean wysunął się przed nią, a ona nie miała sił, żeby go dogonić. Sean obejrzał się przez ramię i widząc, z jakim trudem wyciąga nogi, zwolnił i zaczekał na nią.

– Przepraszam – stęknęła i Sean spojrział na niebo.

– Nie możemy się zatrzymać – odpowiedział. Claudia zebrała resztę sił, żeby iść za nim.

Niedługo po południu usłyszeli hinda. Odgłos silników był bardzo stłumiony i szybko się oddalał w kierunku północnym.

Sean wyciągnął ramię, żeby podtrzymać dziewczynę, kiedy nagle się zachwiała.

– Dobrze się spisujesz – powiedział jej delikatnie. – Przykro mi, ale musimy jak najbardziej oddalić się od wioski. China nigdy nie będzie podejrzewał, że zaszliśmy aż tak daleko na południe. Skierował się na północ. Możemy teraz odpocząć.

Zaprowadził ją do kępy ciemnych akacji, które tworzyły naturalne schronienie. Claudia dyszała ciężko ze zmęczenia i położyła się na ziemi, gdy Sean przykucnął obok niej. Zdjął jej buty i skarpety.

– Twoje nogi porządnie stwardniały – powiedział masując jej stopy. – Nawet śladu otarcia. Jesteś równie twarda jak Skaut i masz jeszcze więcej odwagi.

Claudia nie miała nawet siły uśmiechnąć się na ten komplement. Sean naciągnął jej skarpetę na rękę, wystawił palec przez dziurę na palcach i pokiwał nim jak kukielką.

– W porządku. Potrafi dobrze chodzić. – Skarpeta na jego rękę mówiła głosem Miss Piggie. – Gdybyś jednak, stary, mógł widzieć, jaka jest w łóżku.

Claudia zachichotała słabo. Sean uśmiechnął się do niej czule.

– Teraz lepiej – pochwalił ją. – Idź spać. Claudia obserwowała go jednak przez kilka minut, jak ceruje jej skarpetę.

– Która z twoich kochanek nauczyła cię szyć? – mruknęła sennie.

– Byłem prawiczkiem, zanim cię poznałem. Śpij już.

– Nienawidzę jej, kimkolwiek była – powiedziała Claudia i zamknęła oczy. Zdawało jej się, że otworzyła je ponownie dosłownie po chwili, ale światło przeszło w miękkie cienie wieczoru i nie czuć było południowego upału. Usiadła na ziemi.

Sean gotował coś na małym ogniu rozpalonym na suchych gałązkach. Spojrzał na nią przez ramię.

– Głodna? – zapytał.

– Umieram z głodu.

– Obiad. – Przyniósł jej metalowy kubek.

– Co to jest? – spytała podejrzliwie Claudia i spojrzała na małą stertę spieczonych czarnych kiełbasek, każda długości jej małego palca.

– Nie pytaj – powiedział Sean. – Jedz.

Podniosła ostrożnie jedną z kiełbasek i powąchała. Była gorąca od ognia.

– Jedz! – powtórzył Sean i żeby dać jej przykład, włożył jedną do ust, przeżuł i połknął.

– Wyśmienite – zawyrokował. – No, spróbuj.

Claudia ugryzła kiełbasę, która zatrzęszczała jej w zębach i rozlała się w ustach wypełniając je płynem o konsystencji musztardy, który smakował jak szpinak. Z trudem przełknęła całość.

– Jeszcze jedną.

– Nie, dziękuję.

– Są pełne protein. Jedz.

– Nie mogę.

– Nie zajdziesz daleko o pustym żołądku. Otwórz usta. – Sean karmił na przemian ją i siebie.

Kiedy kubek był pusty, Claudia znowu zapytała:

– Powiesz mi teraz, co to było? – Ale on tylko się uśmiechnął, pokręcił głową i podszedł do Alphonsa, który przykucnął przy ognisku i zjadał swoją porcję.

– Podłącz radio – polecił mu Sean. – Posłuchamy, co China ma nam do powiedzenia.

Kiedy Alphonso był zajęty zakładaniem anteny, Matatu bezszelestnie wśliznął się do obozu. W rękach niósł duży kawał świeżo urwanej kory, której końce były porośnięte wyschniętą trawą. Zamienił z Seanem kilka słów i Sean spowaźniał.

– Co się dzieje? – zapytała z troską Claudia.

– Matatu widział sporo znaków przed nami. Wygląda na to, że jest tam pełno patroli. Nie może odgadnąć, czy to Frelimo, czy Renamo.

Claudia poczuła się niepewnie, przysunęła się bliżej do siedzącego na ziemi Seana i oparła o jego ramię. Oboje słuchali radia, w którym także było więcej transmisji, większość z nich po shangańsku lub po portugalsku.

– Coś się szykuje – mruknął Alphonso. – Przesuwają patrole na południe, żeby zastawić pułapkę.

– Renamo? – zapytał Sean i Alphonso potwierdził skinieniem głowy.

– Wygląda na to, że to ludzie generała Tippoo Tipa.

– Co on mówi? – spytała Claudia, ale Sean nie chciał jej jeszcze bardziej wystraszyć.

– Rutynowe transmisje – skłamał, więc trochę się odprężyła. Spojrzała na Matatu, który właśnie wysypywał zawartość płata kory na żarzące się węgle. Kiedy zobaczyła, co gotuje, zeszywniała ze wstrętu.

– To najbardziej ohydne...! – Nie dokończyła. Patrzyła z przerażającym zafascynowaniem jak wielkie, włochate gąsienice wiją się na węglach. Ich długie włoski kurczyły się pod wpływem żaru w malutkich obłoczkach dymu. Z wolna gąsienice przestały się poruszać i zwinęły w małe czarne kiełbaski.

Claudia wydała zduszony okrzyk i schwyciła silnie Seana za ramię, gdy je rozpoznała.

– To nie są...! – stęknęła. – Ja nie...! Nie dałeś mi tego! Och, nie! Nie wierzę!

– Bardzo pożywne – zapewnił ją Sean. Matatu widząc kierunek jej spojrzenia wziął jedną z gąsienic z ognia i przekładając ją z ręki do ręki podał jej z wielkodusznym uśmiechem.

– Chyba zwymiotuję – powiedziała słabym głosem Claudia i odwróciła głowę. – Nie wierzę, że jadłam coś takiego.

Nagle radio zatrzeszczało i dał się słyszeć bardzo stłumiony głos mówiący w języku, którego Claudia nie знаła. Zaciekawienie Seana spowodowało, że zapomniała o mdłościach i zapytała:

– Co to za język?

– Afrikaans – odparł krótko. – Cicho! Słuchaj! – Głos jednak szybko zanikł.

– Afrikaans? – zapytała Claudia. – Południowoafrykański holenderski?

– Tak. – Sean skinął głową. – To był chyba maksymalny zasięg. Niemal na pewno wojskowa transmisja, pewnie jakiś patrol graniczny nad Limpopo. – Sean porozmawiał przez chwilę z Alphonsem i zwrócił się do Claudii. – Alphonso też tak uważa. Południowoafrykański patrol. Alphonso mówi, że czasami chwytają ich transmisje jeszcze dalej na północ. – Sean spojrzał na zegarek. – Wygląda na to, że generał China nie zaszczyci nas dzisiaj rozmową. Lepiej się pakujemy i ruszajmy w drogę. – Sean już zaczął się podnosić z ziemi, kiedy radio znowu ożyło. Tym razem głos był tak wyraźny, że słyszeli każdy oddech Chiny.

– Dobry wieczór, pułkowniku Courteney. Proszę mi wybaczyć to opóźnienie, ale miałem kilka pilnych spraw do załatwienia. Może pan się włączyć, pułkowniku.

W ciszy, która zapadła, Sean nie zrobił żadnego ruchu w stronę mikrofonu i po chwili generał China roześmiał się.

– Wciąż brakuje panu słów, pułkowniku. Nic nie szkodzi. Jestem pewien, że mnie pan słucha, więc pozwolę sobie pogratulować panu drogi, jaką pan pokonał. To naprawdę spory sukces, biorąc pod uwagę, że pani Monterro musi bardzo opóźnić marsz.

– Arogancki drań – szepnęła z goryczą Claudia. – To najgorszy bandyta, a w dodatku męska szowinistyczna świnia.

– Przyznam szczerze, pułkowniku Courteney, że zaskoczył mnie pan. Musieliśmy przesunąć nasz kordon powitalny dalej na południe.



Znowu zapadła krótka cisza i nagle głos Chiny zabrzmiał złościwością.

– Pułkowniku, znaleźliśmy miejsce, gdzie pogrzebał pan Matabelczyka. – Claudia poczuła, jak Sean sztywnieje. Cisza trwała, dopóki China znowu się nie odezwał. – Wykopaliliśmy ciało i po stopniu zepsucia mogliśmy ocenić, jak długo spoczywał w ziemi. – Sean zaczął lekko drżeć, a China mówił dalej przyjaznym tonem. – Matabelczyk potrafi cuchnąć jak zdechła hiena, a pana przyjaciela nie był wyjątkiem. Niech pan mi powie, pułkowniku, czy to pan wpakował mu kulę w głowę? To była bardzo rozsądna rzecz. I tak by nie doszedł do końca tej trasy.

– Świnia! Pieprzona świnia! – wyrwało się Seanowi.

– Ach, przy okazji, pańska pułapka nie wypaliła. Bardzo amatorska robota. – China roześmiał się swobodnie. – I niech się pan nie martwi o Matabelczyka. Ułatwiłem robotę hienom. Kazałem dwóm moim ludziom z maczetami, żeby się nim zajęli. Posiekali go na kawałki, pułkowniku, na matabelski gulasz!

Sean rzucił się po mikrofon i przyciągnął go do siebie.

– Ty zdeprawowany, pieprzony zwierzaku! – wrzasnął do mikrofonu. – Ty śmierdzący wampirze! Módl się, żebym nie dostał cię w swoje ręce!

Sean umilkł dysząc ciężko po tym wybuchu.

– Dziękuję, pułkowniku. – W głosie Chiny słychać było pogodną nutę. – Już mi się nudził ten monolog. Jak to miło znowu z panem porozmawiać, brakowało mi pana.

Sean z trudem powstrzymał się od odpowiedzi i zamiast tego wyłączył radio.

– Zbierajcie się. – Jego głos wciąż drżał z wściekłości. – China szybko nas zlokalizuje po tym małym wybuchu. Musimy szybko się stąd wynosić.

– Znowu musimy uciekać, jakby nam deptali po piętach? – spytała z rezygnacją Claudia, ale wstała posłusznie z ziemi.

Marsz był jednak wolniejszy niż poprzedniej nocy. Przed północą Matatu dwukrotnie kazał im czekać ostrzeżony swoim szóstym zmysłem o czyhającym przed nimi niebezpieczeństwie. Podkraść się do przodu i znalazł zastawioną na nich pułapkę. Dwukrotnie byli zmuszeni do zbiegnięcia z drogi i ostrożnego okrążenia czekających na nich partyzantów.

– To ludzie generała Tippoo Tipa – szepnął Alphonso. – Musi pomagać Chinie. Na każdej ścieżce będą czekać na nas jego ludzie.

Po północy dopisało im szczęście. Matatu natrafił na ścieżkę biegnącą niemal prosto na południe i odkrył, że trochę wcześniej spory oddział ludzi przeszedł tędy w tym samym co oni kierunku.

– Wykorzystamy ich trop do ukrycia naszych śladów. – Sean postanowił skorzystać z nadarzającej się okazji i ustawił Matatu na czele grupy, z Claudią podążającą za nim, podczas gdy on sam i Alphonso szli na końcu, następując na małe odciski nóg prowadzącej pary i zacierając je własnymi śladami.

Szli teraz szybciej po ścieżce, dopóki Matatu nie usłyszał odgłosów, jakie w ciszy nocnej

robił idący przed nimi patrol Renamo. Musieli zwolnić kroku, żeby zachować bezpieczną odległość.

Utrzymywanie ściśle określonego odstępu, który stanowił o tym, czy zostaną odkryci, czy też będą mogli podążać nie zauważeni za oddziałem partyzantów, było bardzo trudne i musieli całkowicie polegać na wzroku i słuchu Matatu. Poruszali się jednak teraz dwa razy szybciej niż normalnie.

Krótko przed świtem patrol Renamo zatrzymał się. Musieli schować się w ciemnościach, nasłuchując, jak partyzanci zastawiają na nich pułapkę po obu stronach ścieżki. Kiedy oddział ukrył się w gąszczu przy dróżce, Matatu poprowadził ich drogą okrężną przez las i wkrótce wyszli na ścieżkę za pułapką. Ruszyli dalej na południe.

– Według mojej oceny zrobiliśmy tej nocy jakieś czterdzieści kilometrów – powiedział z zaciętą satysfakcją Sean, gdy gwiazdy na wschodzie zbladły przy pierwszym świetle wstającego świtu. – Nie możemy jednak ryzykować marszu za dnia, wszędzie aż się roi od Renamo. Matatu, znajdź nam jakąś kryjówkę na dzień.

W nocy dotarli do podmokłego terenu, który odgradzał ich od Rio Save. Matatu wprowadził ich pomiędzy wysoką bagienną trawę. Brnęli po kolana w wodzie przez strzegące rzeki moczary, wybierając drogę pomiędzy płytkimi lagunami, nad którymi unosiły się chmary moskitów. Woda zakrywała ich ślady, a idący z tyłu Sean dokładnie poprawiał i wyprostowywał rozsunięte na boki trzciny.

Po przejściu kilkuset metrów Matatu wyszukał małą wysepkę, wystającą na kilka centymetrów z wody. Kiedy na nią wstąpili, w trzcinach dał się słyszeć trzask i łoskot, gdy jakieś ciężkie ciało rzuciło się do ucieczki.

Claudia krzyknęła wystraszona, pewna, że wpadli w pułapkę Renamo. Matatu jednak wyszarpnął zza pasa długi nóż i z przenikliwym okrzykiem bojowym zanurkował w trawie. W zamieszaniu, jakie nastąpiło, dostrzegła, że tropiciel zмага się z dwukrotnie większym od niego zwierzęciem pokrytym łuskami.

Sean rzucił mu się na pomoc. Szybko zatłukli i zadźgali na śmierć zwierzę, które następnie wyciągnęli na ląd. Claudia aż wzdrygnęła się z odrazy na widok potężnego szarego jaszczura, długiego na dwa i pół metra, z żółtym nakrapianym brzuchem i potężnym ogonem, który jeszcze drgał i przesunął się na boki.

Wydając z siebie radosne okrzyki Matatu natychmiast zabrał się do zdzierania łuskowatej skóry.

– Co to jest?

– Najdelikatniejszy z przysmaków Matatu, legwan. – Sean otarł ostrze noża o rękę i pomógł Matatu zdejmować twardą skórę i kroić mięso.

Mięso z ogona było białe jak filety z soli, ale Claudia skrzywiła się okropnie, gdy Sean zaoferował jej pasek mięsa.

– Ty i Matatu zjedlibyście nawet własne dzieci – rzuciła z odrazą.

– I słyszę to od osoby, która regularnie zajada się pieczonymi gąsienicami!

– Sean, nie mogę. Nie przełknę tego. Nie na surowo.

– Nie mamy żadnego drzewa, żeby rozpalić ognisko. Zresztą jadłaś japońskie sashimi, no nie? Sama mi mówiłaś, że ci smakowało.

– To była surowa ryba, a nie jaszczurka!

– Też mi różnica, pomyśl o tym jako o afrykańskim sashimi – poradził jej. Kiedy w końcu ustąpiła i spróbowała mały kawałek białego mięsa, przekonała się, że jest wyjątkowo smaczne. Poczowała, jak głód przeważa nad wstrętem.

Mieli także pod dostatkiem wody. Kiedy wypełnili sobie do pełna brzuchy słodkim mięsem i wodą, pokładli się w cieniu na kocach. Claudia czuła się bezpieczna, widząc kołyszące się nad głową trawy, które zasłaniały ją przed ostrym słońcem. Patrzyła przez nie na jasne niebo. W końcu naszło ją zmęczenie i zasnęła.

Obudziła się nagle około południa. Leżała nieruchomo w objęciach Seana, słuchając odgłosu przelatującego gdzieś w pobliżu hinda.

– China przeszukuje brzeg rzeki przed nami – szepnął jej do ucha Sean. Odgłos silników turbinowych narastał i opadał, gdy helikopter zawracał i oddalał się od nich. Claudia czuła, jak mięśnie jej brzucha, zaciskając się ze strachu, uciskają żołądek, gdy maszyna zbliżyła się jeszcze bardziej, przeleciała na południe od ich kryjówek i z wolna oddaliła się znad bagien.

– Odleciał – powiedział Sean przytulając ją do siebie. – Prześpij się jeszcze.

Obudziła się ponownie, owładnięta dziwnym lękiem, ale kiedy spróbowała się poruszyć, stwierdziła, że ktoś ją przyciska mocno do ziemi, a czyjaś ręka zakrywa jej boleśnie usta. Przekręciła lekko głowę i zobaczyła z bardzo bliska twarz Seana.

– Cicho! – szepnął jej do ucha. – Ani słowa!

Kiedy skinęła głową, zdjął rękę z jej ust i przetoczył się na brzuch, żeby wyjrzeć przez zaslonę gęstych trzcina. Poszła za jego przykładem i wyjrzała na płytką lagunę otaczającą wysepkę.

Z początku nie dostrzegła niczego i dopiero po chwili usłyszała śpiew. Był to słodki dziewczęcy sopran, a cichutka piosenka była shangańską pieśnią miłosną. Dźwięki piosenki mieszały się odgłosami lekkich kroków na wodzie. Śpiewająca zbliżała się do wysepki. Claudia instynktownie przysunęła się bliżej do Seana wstrzymując oddech.

Nagle dziewczynka znalazła się bezpośrednio przed Claudią i ta mogła jej się przyjrzeć przez szparę w trzcinach. Była to szczupła, delikatna dziewczynka w wieku kilkunastu lat. Sądząc po dużych i pełnych piersiach osiągnęła już wiek dojrzewania, mimo że jej twarz zachowała jeszcze słodkie dziewczęce rysy. Miała na sobie tylko opaskę biodrową podciągniętą wysoko nad nogami długimi i chudymi niczym u żrebaka. Jej skóra błyszczała w słońcu jak czarna melasa. Dziewczyna wydawała się dzika i niezależna niczym duszek lasu i Claudia była nią zauroczona.

W prawym ręku Murzynka trzymała cienką włócznię do połowu ryb z licznymi

haczykami na ostrzu. Brodząc ostrożnie przez wodę trzymała tę broń gotową do ciosu.

Nagle piosenka zamarła na jej ustach, dziewczyna znieruchomiała na chwilę i zaraz rzuciła się do przodu z gracją baletnicy. Włócznia śmignęła w jej rękę. Po chwili z cichym okrzykiem radości dziewczyna wyjęła z wody długiego, śliskiego zębacza. Ryba wiła się na końcu włóczni, otwierając i zamykając ozdobiony wąsami pysk. Dziewczynka uderzyła ją kilka razy w spłaszczony łeb i wrzuciła do uwieszanej przy pasie plecionej torby.

Obmyła drobne ręce o różowych dłoniach z lepkiego szlamu, podniosła dzidę i znowu zaczęła rozglądać się za rybami. Z każdym krokiem zbliżała się do miejsca, gdzie grupa Seana ukryła się w trzcinach. Sean ścisnął Claudię za rękę ostrzegając ją, żeby się nie poruszyła, ale dziewczyna była już tak blisko, że jeszcze kilka kroków i nastąpiłyby na nich.

Nagle podniosła wzrok i napotkała oczy Claudii. Przez krótką chwilę obie kobiety patrzyły na siebie, ale zaraz Murzynka obróciła się i rzuciła do ucieczki. W tej samej chwili Sean poderwał się z ziemi i puścił za nią, a z drugiej strony Alphonso i Matatu przyłączyli się do pościgu.

Dziewczyna była już w połowie laguny, kiedy mężczyźni ją dopadli; spróbowała im się wywinąć i zawrócić, ale w którąkolwiek stronę skręciła, czekał już na nią prześladowca gotowy przeciąć jej drogę. Wreszcie nie miała dokąd uciekać. Stała, ciężko dysząc z przerażenia i rozglądając się w panice na wszystkie strony, ale nie wypuściła z rąk włóczni, którą teraz groźnie uniosła przed sobą. Mimo całej odwagi nie miała większych szans niż kotka ścigana przez trzy wilczury.

Matatu zamarkował atak z boku. Kiedy zwróciła włócznię przeciwko niemu, Sean wytrącił dzidę z jej rąk i złapał od tyłu. Zaniósł ją kopiającą i wyrywającą się z całych sił na wyspę i rzucił na ziemię. Dziewczyna straciła w czasie walki torbę i opaskę biodrową. Klęczała naga na ziemi, drżąc na całym ciele i patrząc ze strachem na otaczających ją mężczyzn.

Sean odezwał się do niej uspokajającym głosem, ale dziewczyna była zbyt wystraszona, żeby odpowiedzieć. Następnie Alphonso spróbował się z nią porozumieć. Kiedy dziewczyna usłyszała rodzinny język, uspokoiła się nieco. Po kilku pytaniach zaczęła odpowiadać zdyszczanym i niepewnym głosem.

– Co ona mówi? – Claudia nie mogła powstrzymać ciekawości.

– Mieszka tutaj na mokradłach, żeby ukryć się przed żołnierzami – przetłumaczył jej Sean. – Renamo zabili jej ojca, a Frelimo zabrali matkę i resztę rodziny do pracy przy ścinaniu drzew. Ona jedna zdołała uciec.

Wypytywali dziewczynę przez następną godzinę. Jak daleko znajdowała się rzeka? Czy było jakieś przejście? Ilu żołnierzy było nad rzeką? Gdzie Frelimo ścinali drzewa? Przy każdym kolejnym pytaniu dziewczynka uspokajała się coraz bardziej. Wyglądało na to, że wyczuła sympatię, jaką wzbudziła w Claudii, gdyż spoglądała na nią z dziecinną ufnością.

– Ja trochę mówię po angielsku, proszę pani – szepnęła w końcu i Claudia zdumiała się.

– Gdzie się nauczyłaś?

– W misji, zanim przyszedli żołnierze i ją spalili i pozabijali zakonnice.

– Bardzo ładnie mówisz po angielsku. – Claudia uśmiechnęła się do niej. – Jak masz na imię?

– Miriam, proszę pani.

– Nie zaprzyjaźniaj się z nią za bardzo – ostrzegł ją Sean.

– Ona jest taka cudowna.

Sean chciał już coś odpowiedzieć, kiedy zastanowił się nad tym i rozmyślił. Zamiast tego spojrzął na zachodzące słońce i mruknął:

– Cholera, przegapiliśmy transmisję Chiny. Przyszykuj się do drogi. Pora ruszać.

Potrzebowali tylko kilku minut, żeby się spakować. Stojąc z założonym plecakiem, gotowa do drogi, Claudia zapytała:

– A co z dziewczynką?

– Zostawimy ją tutaj – odparł szybko Sean, ale coś w jego głosie ją zaalarmowało. Ruszyła za Seanem, który zszedł już do wody, znowu się zatrzymała i obejrzała do tyłu. Dziewczynka przykucnęła na ziemi, patrząc nieszczęsnym wzrokiem za Claudią, a za nią stał Matatu ze swoim długim nożem w ręku.

Nagle olśnienie oblało Claudię falą zimnego gniewu.

– Sean! – Jej głos drżał, kiedy go zawołała. – Co chcesz zrobić z tym dzieckiem?

– Nie zaprzętaj tym sobie głowy – odburknął Sean.

– Matatu! – Claudia czuła, że zaczyna drzeć jak w gorączce. – Co zamierzasz zrobić? – Matatu wyszczerzył do niej zęby w uśmiechu. – Czy ty chcesz...? – Przeciągnęła dłonią po gardle i Matatu pokiwał głową, pokazując jej nóż.

– Ndio – potwierdził. – Kufa. – Claudia poznała już to słowo z języka swahili. Matatu używał go zawsze, kiedy jej ojciec zabił jakieś zwierzę i mały tropiciel musiał je dobić podrzynając mu gardło. Nagle Claudia aż zaczęła trząść się ze złości. Rzuciła się na Seana.

– Chcesz ją zamordować! – Jej głos był piskliwy z gniewu.

– Poczekaj, Claudio, posłuchaj. Nie możemy jej tu zostawić. Jeśli ją złapią... to by było samobójstwo.

– Ty draniu! – wydarła się na niego. – Jesteś tak samo zły jak każdy z plugawych Renamo czy sam China!

– Tu chodzi o nasze życie, nie rozumiesz tego? Musimy przeżyć!

– Nie wierzę własnym uszom!

– To jest twarda, okrutna ziemia. Jeśli chcemy przetrwać, to musimy żyć podług obowiązujących tu reguł. Nie możemy sobie pozwolić na głupie współczucie.

Claudia chciała rzucić się na niego z pięściami, zacisnęła nawet dłonie, ale powstrzymała się. Jej głos był jednak nadal ostry.

– Współczucie i świadomość to jedyne, co nas oddziela od zwierząt. – Wzięła głęboki

oddech. – Jeśli cenisz to, co jest między nami, to nie powiesz już ani słowa i nie będziesz próbował usprawiedliwiać tego, co chciałeś zrobić temu dziecku.

– Wolisz, żeby nas złapał generał China? – zapytał. – To dziecko, jak ją nazywasz, nie zawaha się powiedzieć mu o nas i podać kierunek marszu.

– Dosyć, Sean! Ostrzegam cię, każde twoje słowo nieodwracalnie niszczy nasz związek.

– Więc w porządku! – Sean schwycił ją za ręce i przyciągnął do siebie. – Co mamy z nią zrobić? Chcesz, żebyśmy ją wypuścili, żeby mogła donieść o nas pierwszemu patrolowi Renamo? Jeśli chcesz, to zrobię to.

Claudia stała zeszytniała, otoczona jego ramionami i mimo że z jego głosu znikła złość, był wciąż zimny i zdecydowany.

– Weźmiemy ją ze sobą. Sean opuścił ręce.

– Ze sobą?

– Właśnie tak. Jeśli nie możemy jej zostawić, to jest to jedyne rozwiązanie.

Sean patrzył na nią ze zdziwieniem, a Claudia mówiła dalej:

– Powiedziałeś, że zgodzisz się na to, co powiem. Obiecałeś mi.

Sean otworzył usta, zaraz zamknął je z powrotem i spojrzał na siedzącą na ziemi dziewczynkę. Musiała zrozumieć coś z ich kłótni i wiedziała, że jej życie jest w niebezpieczeństwie, a Claudia jest jej obrońcą. Kiedy Sean zobaczył spojrzenie dziecka, nagle poczuł wstyd i wstręt do samego siebie. Było to zupełnie nowe uczucie. W czasie wojny Skauci nie zostawiali nigdy żadnych świadków. Pomyślał, że Claudia zmiękczyła go i zaraz uśmiechnął się i pokręcił głową – raczej po prostu robiła go bardziej ludzkim.

– W porządku – powiedział z uśmiechem na ustach. – Dziewczyna idzie z nami pod warunkiem, że mi wybaczysz.

Ich pocałunek był krótki i chłodny. Claudia nie otworzyła ust. Sean wiedział, że potrzebuje czasu, żeby pozbyć się złości do niego. Odwróciła się i pomogła dziewczynce wstać z ziemi. Miriam przytuliła się do niej z wdzięcznością.

– Przynieś jej opaskę – Claudia poleciła Matatu. – I odłóż nóż. Dziewczyna idzie z nami.

Matatu aż wywrócił oczy z dezaprobaty, ale poszedł po skromne ubranie dziewczyny.

Kiedy Miriam zakładała na siebie opaskę, Alphonso oparł się na karabinie i przyglądał się jej z ciekawością. Było jasne, że jemu przynajmniej nie przeszkadza obecność dziewczyny. Claudii nie przypadło do gustu to nagłe zainteresowanie jej podopieczną, otworzyła swój plecak, wyjęła z niego jedyną czystą koszulę w barwach kamuflujących, jaką wzięła na zmianę z magazynu generała Chiny.

Koszula sięgała Miriam do połowy ud i zupełnie usatysfakcjonowała pojęcie Claudii o skromności. Mała Murzynka była zachwycona, strach sprzed kilku minut zniknął i teraz kręciła się podziwiając swój wspianały strój.

– Dziękuję, donna, bardzo dziękuję. Pani dobra.

– W porządku – przerwał im Sean. – Koniec pokazu mody, ruszamy. – Alphonso wziął

Miriam za ramię.

Kiedy dziewczyna zorientowała się, że chcą ją zabrać ze sobą, wyrwała się Alphonsowi z rąk i zaczęła gorąco protestować.

– Niech to szlag! – wybuchnął Sean. – No to mamy niezły kłopot!

– Co się stało? – zapytała Claudia.

– Nie jest sama. Jest z nią jeszcze rodzinka.

– Mówiłeś, że straciła rodziców!

– Zgadza się, ale ma brata i siostrę ukrytych na moczarach. To dwoje dzieciaków tak małych, że nie dadzą same sobie rady. Cholera! Niech to jasna cholera! – klął zawzięcie Sean.

– No i co teraz zrobimy?

– Znajdziemy te dzieci i zabierzemy ze sobą – powiedziała po prostu Claudia.

– Dwoje szczeniaków! Oszalałaś! Nie prowadzimy przedszkola.

– Musisz zaczynać od początku? – Claudia odwróciła się do niego plecami i wzięła Miriam za rękę. – Wszystko w porządku. Możesz mi zaufać. Zajmiemy się wami.

Dziewczynka uspokoiła się i spojrzała na Claudię ufnym wzrokiem, w którym można było odczytać podziw.

– Gdzie są dzieci? Zabierzemy je ze sobą.

– Chodź, donna. Pokażę ci. – Miriam poprowadziła ją za rękę pomiędzy trzciny.

Robiło się już ciemno, kiedy w końcu dotarli do małej wysepki, gdzie Miriam ukryła dzieci w zaroślach papirusu. Kiedy rozchyliła grube zielone łodygi, dwie pary wielkich ciemnych oczu spojrzały na nich jak małe sówki w gnieździe.

– Chłopiec. – Claudia podniosła go z ziemi. Chłopak miał jakieś pięć, sześć lat, był bardzo chudy i cały drżał z przerażenia. – I dziewczynka. – Dziewczynka była jeszcze młodsza. Claudia aż krzyknęła, kiedy jej dotknęła.

– Ona ma dużą gorączkę, to dziecko jest chore! – Dziecko było zbyt słabe, żeby wstać o własnych siłach i leżało zwinięte w kłębek jak zdychający kotek, popiskując cicho.

– Malaria – stwierdził Sean, kucając przy dziecku. – Jest ciężko chora.

– Mamy chlorochininę w apteczce. – Claudia szybko sięgnęła do plecaka.

– To jest szaleństwo! – wybuchnął Sean. – Nie możemy obciążać się tą bandą. To jakiś koszmar!

– Och, zamknij się! – krzyknęła na niego. – Ile tabletek mam jej dać? Tu jest napisane, że w wypadku dzieci poniżej sześciu lat należy skonsultować się z lekarzem. Śliczne dzięki, dam jej dwie tabletki.

Podając lekarstwo dziecku, Claudia zapytała Miriam:

– Jak się nazywają? Jak mają na imię?

Odpowiedź była tak długa i skomplikowana, że Claudia wyglądała na zniechęconą. Szybko jednak poradziła sobie z kłopotem.

– Nigdy tego nie wymówię – powiedziała zdecydowanie. – Nazwiemy je Mickey

i Minnie.

– Walt Disney zaskarży cię o naruszenie praw autorskich – ostrzegł ją Sean, ale Claudia zupełnie zignorowała jego docinki i owinęła Minnie we własny koc.

– Będziesz musiał ją ponieść – powiedziała mu tonem, jakby to się samo przez się rozumiało.

– Jeśli gówniara mnie obsika, to skręcę jej kark – burknął rozżłoszczony Sean.

– A Alphonso poniesie Mickey’ a.

Sean czuł, że w Claudii obudził się instynkt macierzyński. Jego niechęć do dodatkowych kłopotów, jakie stwarzała nowa sytuacja, znikła, kiedy przekonał się, jak bardzo Claudia ożywiła się pod wpływem nowych obowiązków. Otrząsnęła się z letargu i odzyskała siły, po raz pierwszy od śmierci Joba była znowu zaradna, a nawet złośliwa.

Sean podniósł prawie nic nie ważące ciało chorego dziecka i przywiązał sobie końcami koca na plecach. Wysoka gorączka dziewczynki rozgrzała szybko koc, czuł się, jakby miał na plecach termofor. Dziecko, które od niemowlęctwa było zawsze noszone w ten sposób, natychmiast się uspokoiło i zasnęło.

– Wciąż nie wierzę, że to musiało spotkać właśnie mnie – zrzędził Sean. – W moim wieku zostać cholerną niańką. – Ruszył jednak zdecydowanie przez moczary.

Zanim minęła północ, Miriam udowodniła, jak bardzo może być pożyteczna. Jej pomoc okazała się większą zaletą niż kłopoty związane z dwojgiem dzieci. Dziewczyna знаła na pamięć każdy zakątek mokradeł. Szła teraz na czele grupy obok Matatu, prowadząc ich przez labirynt wysepek i otwartych lagun, wyszukując tylko jej znane przejścia, które pozwoliły im zaoszczędzić godziny poszukiwań i błędzenia.

Krótko po północy, kiedy Orion stał dokładnie nad ich głowami, Miriam wyprowadziła ich na brzeg Rio Save i wskazała bród, przez który mogli przejść na drugą stronę.

Sean zarządził odpoczynek. Obie kobiety zajęły się dziećmi, karmiąc je paskami mięsa z legwana. Chlorochinina zaczęła już działać i dziewczynce spadła temperatura. Po posiłku mężczyźni ukryli się w kępie trzciny i przyglądali się drugiemu brzegowi ponad ciemną wodą, w której odbijały się tysiące gwiazd.

– To jest najniebezpieczniejszy moment – szepnął Sean. – China patrolował cały dzień brzegi rzeki i wróci tu z pierwszym światłem. Nie możemy tracić czasu. Musimy się przepawić i oddalić stąd, zanim wstanie świt.

– Będą czekać na nas po drugiej stronie – ostrzegł go Alphonso. – Wiedzą, że możemy tędy przechodzić.

– Racja – zgodził się Sean. – Są tam, ale my wiemy, że oni tam są. Zostawimy kobiety tutaj i sami przepawimy się przez rzekę, żeby oczyścić drugi brzeg. Nie możemy posłużyć się karabinami, musimy to załatwić nożami i drutem. Czeka nas mokra robota. – Sean użył starego zwrotu, jakim Skauci określali ciche zabójstwo. – Sebenza enamanzi. Podwójnie mokra robota – dodał, mając na myśli przepawę przez rzekę.



Miał w kieszeni cienki drut półtorametrowej długości, który wyciął z liny dźwigu herculesa. Job wyrzeźbił dwie nieduże rączki i przymocował je do końców stalowej linki. Sean nosił cienki drut zwinięty w kłębek w kieszonce na granaty przy pasie. Teraz wyjął go i rozwinął. Trzymając drewniane rączki w kształcie dużych guzików pomiędzy palcami, napiął mocno garotę i mruknął z zadowolenia, czując napięcie w bardzo wytrzymałej linie. Następnie zwinął drut i założył go sobie na nadgarstek jak bransoletę.

Trzej mężczyźni rozebrali się do naga, gdyż ociekające wodą mokre ubranie mogło zaalarmować wartowników lub zapewnić przeciwnikowi dogodny chwyt w walce wręcz. Każdy z nich miał nóż zawieszony na krótkim sznurku przewiązanym wokół szyi.

Sean wrócił do miejsca, gdzie Claudia czekała z dziećmi wśród trzciny. Kiedy ją pocałował, jej usta znowu były miękkie i ciepłe i dziewczyna przytuliła się do niego mocno.

– Wybaczyłaś mi? – zapytał. W odpowiedzi Claudia pocałowała go jeszcze raz.

– Wracaj szybko – szepnęła.

Trzej mężczyźni ześlizgnęli się bezszelestnie do wody i trzymając się blisko siebie, płynęli po piasku na drugą stronę pozwalając, żeby prąd zniósł ich od brodu.

Dopłynęli do brzegu w miejscu porośniętym papirusami i wczłgali się po cichu na brzeg. Nagie ciało Seana błyszczało w świetle księżyca, więc przetoczył się kilka razy po nadrzecznym mule, aż oblepił go dokładnie, następnie zebrał garstkę mułu i nasmarował nią sobie twarz.

– Gotowi? – zapytał szeptem, wyciągając nóż z pochwy zawieszanej na szyi.

– Idziemy!

Ruszyli w kierunku prostopadłym do rzeki, zataczając koło w stronę brodu. Bagna kończyły się na północnym brzegu rzeki. Ta strona była sucha, las rozciągał się niemal do samej rzeki. Mężczyźni trzymali się blisko drzew, żeby pozostać w ich cieniu. Kiedy zbliżyli się do brodu, musieli zachować większą ostrożność. Rozciągnęli się w tyralierę, z Seanem pośrodku, a Alphonso i Matatu po bokach.

Sean poczuł zapach Renamo, zanim ich jeszcze zobaczył. Był to smród tanich papierosów i stęchłego potu, który przesiąknął przez nie praną bieliznę. Stał nieruchomo jak skała wyęzając wzrok, usiłując coś dostrzec w ciemnościach.

Niedaleko przed nim ktoś cicho zakaszłał i oczyścił gardło chrząknięciem. Już wiedział, gdzie znajduje się pierwszy z wartowników. Schylił się, aż dotknął ręką ziemi i odgarniając spod stóp gałązki i suche liście posuwał się krok za krokiem do przodu. W końcu dostrzegł zarys głowy partyzanta na tle rozgwieżdżonego nieba. Renamo siedział przy karabinie maszynowym RPD na trójnogu i spoglądał na rzekę.

Sean czekał cierpliwie, licząc minuty, pięć, dziesięć, a każda z nich zdawała się ciągnąć w nieskończoność. W pewnej chwili ktoś po jego lewej stronie ziewnął głośno i przeciągnął się. W tej samej chwili trzeci mężczyzna nakazał mu groźnym szeptem być cicho.

Było ich trzech. Sean zapamiętał dokładnie ich pozycje i wycofał się równie cicho, jak

przyszedł.

Na skraju lasu czekał już na niego Alphonso, a po kilku minutach dołączył do nich Matatu.

– Trzech – szepnął Alphonso.

– Tak, trzech – zgodził się Sean.

– Czterech – sprzeciwił się Matatu. – Jeszcze jeden siedzi ukryty tuż pod brzegiem. – Matatu nigdy niczego nie przeoczył i Sean bez wahania zaakceptował jego ocenę.

Tylko czterech Renamo zaczęło się na nich. Poczował ulgę. Oczekiwał, że będzie to większy oddział, ale widocznie China rozproszył swoje siły, żeby zablokować każde przejście, każdą ścieżkę i bród.

– Tylko cicho – ostrzegł ich Sean. – Jeden strzał i będziemy mieli całą armię tańczącą taniec wojenny wokół nas. Matatu, bierzesz tego, którego znalazłeś nad brzegiem. Alphonso, tego w trzcinach, który się odezwał. Ja wezmę dwóch w środku.

Zdjął linkę z ręki i rozwinął ją, ponownie napinając i próbując w rękach, żeby lepiej wyczuć.

– Poczekajcie ze swoimi, aż usłyszycie, że mój świsnął. – Sean dotknął lekko ramienia każdego z nich w rytualnym geście dodawania sobie odwagi. Rozdzielili się i szybko zniknęli w ciemnościach, wracając nad rzekę.

Mężczyzna obsługujący karabin maszynowy siedział w dokładnie takiej samej pozycji, jak Sean go zostawił, ale kiedy zbliżył się do niego, ciąg chmur zasłonił księżyc i musiał odczekać kilka minut, aż znowu się przejaśni. Każda sekunda zwłoki zwiększała szansę, że zostaną odkryci, i Sean chciał już zbliżyć się do wroga, posługując się jedynie zmysłem dotyku, ale opanował się. Kiedy chmury odsłoniły księżyc, poczuł ulgę, że zdecydował się zaczekać. Mężczyzna zdjął z głowy czapkę i drapał się po głowie; podniesiona ręka uniemożliwiłaby Seanowi czysty manewr. Wywiązałaby się walka, krzyki i strzały i zaalarmowałyby wszystkich Renamo w promieniu wielu kilometrów.

Sean poczekał, aż wartownik skończy się drapać i założy czapkę. Kiedy mężczyzna opuścił rękę, Sean sięgnął szybko do przodu i owinał linkę wokół szyi wartownika jednym płynnym ruchem. Kontynuując ruch rzucił się z całej siły do tyłu, wbijając przeciwnikowi kolano w plecy. Stalowa linka przecięła ciało i tchawicę, jakby to był miękki ser. Sean poczuł, jak pętla ugrzęzła na chwilę, gdy natrafiła na kręgosłup, ale przeciągnął ją obiema rękami niczym piłę, pomagając sobie kolanem.

Cienka linka znalazła przejście pomiędzy kręgami i przecięła skórę z tyłu szyi. Głowa partyzanta potoczyła się do przodu i spadła mu na kolana. Powietrze z płuc wydostało się przez otwartą tchawicę z cichym poświstem. Właśnie na ten dźwięk czekał Matatu i Alphonso. Sean wiedział, że w tej chwili zajmują się swoimi ofiarami, ale wokół panowała idealna cisza, dopóki zabity przez Seana mężczyzna nie pochylił się do przodu i przecięta tętnica nie zaczęła tryskać krwią z regularnym sykiem, który przypominał dźwięk dojenia

krowy.

Odgłos zaalarmował czwartego partyzanta; jedyne, który został przy życiu. Mężczyzna zawołał napiętym szeptem:

– Co jest, Alves? Co robisz?

Sean łatwo znalazł drogę do niego, a skradając się miał już w ręku nóż. Wbił go od dołu tak, że ostrze weszło pod żebra pod ostrym kątem. Schwycił go lewą ręką, ściskając z całej siły za gardło, żeby mężczyzna nie mógł krzyknąć. Obracał ostrze drugą ręką, powiększając ranę, aż nóż wbił się głęboko w ciało.

Po półminucie było po wszystkim. Ciałem leżącym u jego stóp wstrząsały śmiertelne drgawki, puścił więc trupa i wyprostował się. Matatu stał już obok niego z nożem w ręku. Ostrze i ręka Matatu lśniły w świetle księżyca. Mały tropiciel wykonał swoje zadanie i przybiegł pomóc Seanowi, ale nie było to konieczne.

Czekali przez pełną minutę, nasłuchując nagłego alarmu, niepewni, czy w trzcinach nie krył się jeszcze jeden wartownik, którego nawet Matatu przeoczył. Poza rechotem żab i brzęczeniem moskitów nie było słychać żadnych innych odgłosów.

– Przeszukajcie ich – rozkazał Sean. – Zabierzcie wszystko, co nam może się przydać.

Wybrali jeden z karabinów, całą amunicję, kilka granatów, zapasowe ubranie i całe jedzenie. Szybko pozbiali przydatne im rzeczy.

– Dobra – zdecydował Sean. – Resztę wrzućcie do rzeki.

Zaciągnęli ciała w dół nadbrzeżnej skarpy i zepchnęli zwłoki do wody, następnie wrzucili ciężki karabin maszynowy i resztę sprzętu w głęboką toń za trzcinami.

Sean spojrział na zegarek.

– Nie mamy już czasu, musimy przeprowadzić kobiety przez rzekę. Claudia, Miriam i dzieci czekały na nich ukryte w zaroślach, tam gdzie je zostawili.

– Co się stało? Nic nie słyszałam. – Claudia przytuliła się z ulgą do mokrej piersi Seana.

– Nic takiego – powiedział Sean, biorąc śpiące dziecko i sadowiąc je sobie na ramionach.

Kiedy weszli głębiej w rzekę, gdzie woda sięgała Claudii do podbródka, musieli utworzyć pomost ze splecionych rąk, pomagając sobie utrzymać się w silnym prądzie. Bez pomocy mężczyzn rzeka porwałaby kobiety. Przejście było tak trudne, że wszyscy wdrapali się wyczerpani na drugi brzeg i pokładli na ziemi.

Sean nie pozwolił im jednak odpoczywać dłużej niż kilka minut potrzebnych, żeby osuszyć Minnie i ubrać ją w jeden z kaftanów, jaki zabrali martwym wartownikom, podniósł ich z ziemi, ustawił w szereg i zmusił do marszu przez ciemny las. – Musimy oddalić się od rzeki przed świtem. Jak tylko zrobi się jasno, China zacznie znowu patrolować brzegi.

Generał China wypatrzył grupę stojących nad brzegiem ludzi z wysokości sześćdziesięciu metrów. Kiedy helikopter skręcił ku nim, potężny pęd powietrza wywołany śmigłami pomarszczył powierzchnię wody małymi, ciemnymi falami.

Portugalski pilot posadził maszynę na skraju lasu na południowym brzegu, China

wyskoczył i pomaszerował w stronę rzeki. Mimo że na jego twarzy nie rysowały się żadne uczucia, w środku aż kipiał z gniewu, od którego błyszczały mu oczy. Wyjął okulary przeciwsłoneczne z kieszonki na piersi i ukrył oczy za nimi.

Kółko mężczyzn rozstało się przed nim z szacunkiem, China przeszedł pomiędzy nimi i spojrzał na leżącą w błocie na ziemi ludzką głowę. Została obmyta przez wodę i widać było ślady, gdzie dobrały się do niej przybrzeżne kraby. Odsłonięte ciało zbiałało, a oczy zaszyły mgłą, ale równe cięcie, którym kończyła się szyja, stanowiło znak równie łatwy do odczytania jak podpis.

– To robota białego mężczyzny – powiedział spokojnie China. – Jego Skauci nazywali to „mokrą robotą”, zawsze można ich było poznać po używaniu stalowej linki. Kiedy to się stało?

– Tej nocy. – Tippoo Tip szarpał ze zdenerwowania własną brodę. Nikt nie przeżył ataku i nie miał na kim wyrzucić swojej wściekłości.

– Pozwoliłeś im przekroczyć rzekę – oskarżył go chłodnym głosem China. – Obiecałeś, że nie uda im się przedostać przez twoje linie.

– Te psy – warknął Tippoo Tip. – Te bezużyteczne świnię!

– To twoi ludzie – zauważył China. – A podwładni są tacy, jak ich dowódca. To twoja wina, generale.

Zostało to powiedziane przed jego własnymi partyzantami i Tippoo Tip aż zawył z poniżenia. Dał słowo i zawiódł. Potoczył wściekłym spojrzeniem po swoich żołnierzach, ale ci przezornie pospuszczali głowy. Tippoo Tip nie mógł się na nich wyładować.

Nagle zamachnął się i z całej siły kopnął leżącą na ziemi głowę. Stalowy czub buta wbił się w napuchnięty nos.

– Pies! – zawył Tippoo Tip i ponownie kopnął głowę, która potoczyła się w dół zbocza. Tippoo Tip podążył za nią, wrzeszcząc wściekle, wykrzykując oskarżenia i kopiąc ją tak zawzięcie, że głowa poleciała łukiem do rzeki.

Wrócił do Chiny dysząc z wściekłości.

– Bardzo dobrze – pochwalił go ironicznie China. – Bardzo dzielnie, szkoda, że nie możesz zrobić tego samego z białym mężczyzną.

– Każde przejście przez rzekę jest strzeżone – zaczął Tippoo Tip i umilkł, gdy dojrzał zaszytą ranę na policzku Chiny; uśmiechnął się złośliwie. – Jesteś ranny. Co za nieszczęście. Ale to nie jest wina białego mężczyzny? Oczywiście, że nie. Jesteś zbyt sprytny, generale China, żeby pozwolić mu się zranić, poza twoim uchem, oczywiście.

Tym razem China wybuchnął gniewem.

– Gdybym tylko miał tutaj swoich ludzi. Twoje głupie psy nie potrafią nawet się podtrzeć.

– Jeden z twoich ludzi jest zdrajcą! – ryknął na niego Tippoo Tip. – Uciekł z białym mężczyzną, wśród moich ludzi nie ma zdrajców. Mam wszystkich w swoich rękach. –

Pokazał Chinie swoje potężne dłonie, machając mu nimi przed nosem. China na chwilę zamknął oczy i wziął głęboki oddech. Uświadomił sobie, że są na krawędzi zerwania, jeszcze kilka słów i nie będzie mógł liczyć na pomoc tej owłosionej małpy. Pewnego dnia go zabije, ale teraz potrzebuje jego wsparcia.

Teraz najważniejsze dla Chin było, żeby dostać w swoje ręce białego mężczyznę, żywego, jeśli możliwe, martwego, jeśli nie da się inaczej. Bez pomocy Tippoo Tipa nie miał szans złapać Seana Courteneya. Jego gniew musi poczekać na lepszy czas i okoliczności.

– Generale Tippoo Tip – jego ton był pojednawczy, niemal pokorny – proszę mi wybaczyć. Pozwoliłem, żeby mój zły nastrój stanął przed rozsądkiem. Wiem, że zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy. Obaj jesteśmy ofiarami niekompetencji naszych ludzi. Chcę, żebyś wybaczył mi moje złe maniery.

Tippoo Tip został zbity z pantafelki dokładnie, jak China zamierzał. Gniewne słowa zamarały mu na ustach.

– Nawet jeśli tym głupcom nie udało ich się zatrzymać, wiemy przynajmniej, gdzie biali są. Mamy wyraźny ślad i cały dzień przed sobą, żeby za nimi podążyć. Skończmy z tym jak najszybciej. Potem ja i mój helikopter będziemy na twoje usługi przy ważniejszym zadaniu, które nas czeka.

China widział, że dobrał właściwe słowa. Wściekłość Tippoo Tipa ustąpiła. Na jej miejsce pojawił się cwany uśmiešek.

– Już wezwałem swoich najlepszych tropicieli – powiedział pojednawczym tonem. – Za godzinę pięćdziesięciu ludzi podąży ich tropem; mężczyźni, którzy mogą biec tak szybko jak elandy. Białe mężczyźni będą w twoich rękach przed zachodem słońca. Tym razem nie popełnię błędu.

– Gdzie są tropiciele? – zapytał China.

– Już wezwałem ich przez radio.

– Poślę helikopter, żeby ich przywiózł.

– To nam zaoszczędzi czasu.

Patrzyli, jak hind wzbija się w powietrze i odlatuje na północ, trzymając się nisko nad ciemnymi wodami Rio Save. Kiedy zniknął za drzewami, obaj generałowie obrócili się i spojrzeli na południe.

– Nie kontrolujesz już terytorium na południe od rzeki – zauważył China. – Dalej ciągną się lasy, które tak sprytnie oddałeś Frelimo. – Wskazał na ciemny las, który odcinał się linią od horyzontu.

– Rzeka jest moją linią graniczną – przyznał niechętnie Tippoo Tip. – Jednak najbliższe wojska Frelimo są wiele kilometrów na południe od nas. Moje patrole przemierzają ten teren bez żadnych przeszkód. Ludzie, których wysyłam za białym mężczyzną, złapią go o wiele wcześniej, zanim dotrze do obszaru zajętego przez Frelimo. – Tippoo Tip umilkł i wskazał na brzeg rzeki. – Oto i oni. – Długi podwójny szereg uzbrojonych po zęby partyzantów biegł po

ścieżce w ich stronę. – Pięćdziesięciu moich najlepszych ludzi. Będziesz jadł dziś na obiad białe kurczaki. Nie musisz się więcej przejmować, przyjacielu. Masz ich już na talerzu.

Dwa pełne plutony zatrzymały się na brzegu, czekając na tropicieli. China był wytrawnym znawcą, kiedy chodziło o wartość żołnierzy. Przeszedł pomiędzy partyzantami i wyczuł w nich entuzjazm i podekscytowanie ukryte pod maską dyscypliny i zawodowstwa, które cechują najlepszych wojowników. Tym razem musiał przyznać rację generałowi Tippoo Tip. To byli twardzi żołnierze, na których można było polegać. China skinął na dowódców obu plutonów.

– Wiecie, kogo ścigacie? – zapytał i obaj oficerowie skinęli głowami. – Biały mężczyzna jest niebezpieczny jak ranny leopard, ale chcę go dostać żywego. Rozumiecie?

– Tak jest, generale!

– Macie ze sobą radio. Chcę, żebyście co godzina składali raport o swoich postępach na ustalonej częstotliwości.

– Tak jest.

– Kiedy tylko zobaczycie uciekinierów, powiadomcie mnie. Przylecę tam henshaw. Chcę być przy jego śmierci.

Obaj oficerowie spojrzeli w stronę drugiego brzegu, a po chwili generał China, mimo uszkodzonego ucha, także usłyszał ostry świst śmigieł helikoptera zbliżającego się od północy.

– Jeśli dobrze się spiszecie, zostaniecie wynagrodzeni. Jeśli zawiedziecie mnie, pożałujecie tego. Bardzo tego pożałujecie – obiecał im China.

Gdy tylko śmigłowiec wylądował na ziemi, z małej tylnej kabiny wyskoczyło dwóch tropicieli. Tippoo Tip krzyknął na nich, wskazując im ślad zostawiony przez grupę Seana.

Patrząc na tropicieli China był coraz spokojniejszy o rezultat pościgu. Ci dwaj byli naprawdę dobrzy. Pobiegli najpierw do przodu i szybko wrócili do początku tropu, kucając nad nim, szepcząc do siebie, dotykając zamazanych śladów stóp cienkimi witkami dzikiej wierzby. Byli tak pochłonięci odczytywaniem śladów jak para ogarów. Kiedy wstali z ziemi, ich postawa od razu zmieniła się. Teraz byli już zdecydowani co do kierunku tropu. Obrócili się w stronę rysującego się na południu lasu i ruszyli biegiem.

Oba plutony zakamuflowanych Renamo ustawiły się w formację bojową i ruszyły szybkim krokiem za tropicielami.

– Biała kobieta nie może utrzymać takiego tempa – powiedział z dumą Tippoo Tip. – Dopadniemy ich, zanim dotrą do linii Frelimo. Wpadną w nasze ręce jeszcze przed nocą. Tym razem nam nie uciekną. – Odwrócił się do Chiny. – Czemu nie podążymy za nimi w helikopterze?

China zawahał się na chwilę. Nie chciał mu wyjaśniać problemów związanych z eksploatacją maszyny. Lepiej było, żeby Tippoo Tip wierzył w niezawodność hinda. China nie miał zamiaru mówić mu o kłopotach związanych z dostarczaniem paliwa i fakcie, że

portugalski pilot ostrzegł go, że silniki pracują już zbyt długo bez konserwacji. Pilot spostrzegł pewne nieprawidłowości w pracy prawego silnika i lekką utratę mocy.

– Zaczekamy tutaj – powiedział China. – Kiedy twoi ludzie schwytają białego mężczyznę, wezwą nas przez radio. Wtedy polecę za nimi.

China założył swoje okulary i podszedł do hinda. Pilot czekał już na niego, oparty nonszalancko o bok maszyny pod kabiną.

– Jak się spisuje silnik? – Zapytał China po portugalsku.

– Zaczyna szarpać i przerywać. Trzeba będzie nad nim popracować.

– Paliwo?

– Główne baki pełne w jednej czwartej. Nadal jednak mamy zapasowe.

– Jutro rano oddział tragarzy przyniesie paliwo do naszej najbliższej bazy. Technicy mogą popracować nad silnikiem dziś w nocy, ale do zmierzchu muszę trzymać maszynę w pogotowiu. Będę potrzebował jej, jak tropiciele znajdą uciekinierów.

Pilot wzruszył ramionami.

– Mogę nią latać, jeśli decyduje się pan zaryzykować z tym silnikiem – powiedział Chinie.

– Niech pan słucha radia – rozkazał mu China. – Przy odrobinie szczęścia będzie po wszystkim za kilka godzin.

Sean widział, że Claudia nie wytrzyma długo narzuconego przez mężczyznę tempa. Biegła przed nim i mógł dokładnie przyjrzeć się zmianom, jakie zaszły w niej na skutek niedostatku jedzenia i wysiłku fizycznego. Była teraz tak szczupła, że koszula powiewała na jej bokach, a cierniste krzaki i ostra trawa spowodowały, że nogawki spodni zwisały w strzępach od połowy uda; poniżej jej chude nogi zdawały się nienaturalnie wydłużone, ale zachowały swój elegancki kształt. Jednak ciernie i trawa poczyniły ogromne spustoszenie na odsłoniętej skórze ramion i nóg. Claudia wyglądała, jakby została podrapana przez dzikiego kota; niektóre z zadrapań zdążyły się już zagoić, ale z kilku sączyła się krew.

Długie włosy zlepiły się od brudu i potu w potargany węzeł, który obijał się przy każdym kroku pomiędzy łopatkami, a jej plecy były tak chude, że widział wyraźnie każdy wyrostek kręgosłupa. Pot przesiąknął przez koszulę tworząc ciemną plamę. Sean przyglądał się, jak ciężki wysiłek wyrobił Claudii pośladki, które przypominały dwie kauczukowe piłki rysujące się wyraźnie pod wypłowiałymi od słońca bawełnianymi spodniami; przez małe trójkątne rozdarcie mrugała na niego przy każdym kroku biała skóra pośladków. Nogi Claudii zaczynały z wolna odmawiać posłuszeństwa, każdy krok był coraz mniej pewny, a osłabione kostki wyginały się na boki.

Będą musieli niedługo odpocząć. Claudia ani razu nie poskarżyła się na zmęczenie i Sean z uśmiechem przypomniał sobie arogancką dziewczuchę, która wysiadła z boeinga na lotnisku w Harare wieki temu, jak mu się w tej chwili zdawało. Teraz była to zupełnie inna kobieta,

twarda, zdeterminowana i tak odporna jak stal damasceńska. Był pewny, że nie okaże słabości, że będzie biegła, aż padnie na ziemię. Poklepał ją lekko w plecy.

– Możesz odpocząć. Dziesięć minut.

Kiedy zatrzymała się, zataczała się lekko na odmawiających posłuszeństwa nogach i Sean musiał ją podtrzymać ramieniem.

– Jesteś cudowna, wiesz o tym? – Posadził ją na ziemi, opierając plecami o cienki pień drzewa. Otworzył manierkę i podał Claudii.

– Podaj mi Minnie. Musi wziąć chlorochininę. – Głos dziewczyny był ochryply z wyczerpania. Sean zdjął dziecko z pleców i posadził je na jej kolanach.

– Pamiętaj, dziesięć minut, nie więcej.

Alphonso wykorzystał przerwę, żeby podłączyć radio. Po jednej jego stronie przykucnął Mickey, a po drugiej Miriam. Patrzyli zafascynowani, jak dostraja radio i przeszukuje fale. W głośnikach słyhać było trzaski i szumy przerywane słabymi strzępami rozmowy w afrikaans. Nagle odezwał się wyraźnie i głośno męski głos mówiący w języku shangańskim.

– Bardzo blisko – powiedział mężczyzna i odpowiedź nadeszła niemal natychmiast.

– Przyspieszcie. Nie pozwólcie im uciec. Powiadomcie mnie, jak tylko ich złapiecie. – Ten głos był tak znajomy, że nie potrzebowali odpowiedzi drugiego rozmówcy, żeby go rozpoznać.

– Tak jest, generale China. Transmisja się zakończyła. Sean i Alphonso wymienili niespokojne spojrzenia.

– Bardzo blisko – powiedział sierżant. – Nie możemy im uciec.

– Ty możesz się wydostać – odparł Sean. – Sam.

Alphonso zawahał się i spojrzał z ukosa na Miriam. Shangańska dziewczyna odwzajemniła spojrzenie pełnym ufności wzrokiem. Alphonso zakaszlał i podrapał się po głowie.

– Zostanę – mruknął. Sean roześmiał się złośliwie i powiedział po angielsku:

– No to witamy w naszych szeregach, brachu. Ta mała dziewucha nie potrzebowała wiele czasu, żeby złapać cię na haczyk. Te przekłete baby przyniosą nam jeszcze zgubę, zapamiętaj moje słowa.

Alphonso zmarszczył brwi, nie rozumiejąc ani słowa z tej całej przemowy i Sean przeszedł na shangański.

– Spakuj radio. Jeśli chcesz walczyć z nami, to lepiej znajdziemy nadające się do tego miejsce. Te cholerne gównojady będą tu niedługo.

Sean spojrzał na Matatu, który natychmiast poderwał się na nogi.

– To China mówił przez radio – powiedział mu w swahili.

– Syczy jak kobra. – Matatu skinął głową.

– Jego ludzie są na naszym tropie, chwalili się, że zbliżają się do nas. Czy nie przychodzi



ci do głowy jakaś sztuczka, żeby im się wywinąć?

– Ogień? – zasugerował Matatu bez przekonania i Sean pokręcił głową.

– Wiatr wieje w naszą stronę, upieklibyśmy się, gdybyśmy podpalili las.

Matatu zwiesił głowę.

– Jeśli zatrzymamy kobiety i dzieci, to nie ma żadnych sztuczek – zawyrokował. – Poruszamy się wolno i zostawiamy za sobą ślady, którymi nawet ślepiec może podążać w bezksiężycową noc. – Potrząsnął smutno posiwiałą głową. – Jedyne, co możemy zrobić, to walczyć z nimi, a później umrzeć, Bwana.

– Wróc po naszych śladach, Matatu, i zobacz, jak blisko są Renamo. Będziemy szli dalej, aż znajdziemy jakieś dobre miejsce do walki. – Dotknął ramienia małego mężczyzny i pozwolił mu odejść. Przez chwilę patrzył za nim, aż ten zniknął pomiędzy drzewami. Zanim się odwrócił do Claudii, przybrał pogodniejszą minę i postarał się dodać swojemu głosowi optymizmu. – Jak się ma nasza pacjentka? – zapytał. – Wygląda całkiem nieźle.

– Chlorochinina działa cuda. – Claudia kołysała dziecko na kolanach, jakby chciała przykładem poprzeć swoje słowa. Minnie wsadziła palec do ust i spojrzała nieśmiało na Seana. Poczuli, jak ten ostrożny uśmiech dziecka szarpie go niespodziewanie za serce.

Claudia roześmiała się.

– Żadna kobieta nie oprze się twojemu urokowi. Masz kolejną wielbicielkę.

– Typowa kobietka, tak naprawdę to myśli tylko o tym, żeby jechać dalej za darmo. – Pogłaskał czule kędzierzawą główkę dziewczynki. – W porządku, mała, twój konik gotowy do drogi.

Minnie wyciągnęła ku niemu z zaufaniem rączki. Sean wsadził ją sobie na plecy i obwiązał kocem.

Claudia wstała sztywno z ziemi i na chwilę oparła się o niego.

– Wiesz co? Wcale nie jesteś taki szorstki, za jakiego chciałbyś uchodzić.

– Dałaś się nabrać, co?

– Chciałabym cię zobaczyć z twoim własnym dzieckiem na rękach – szepnęła mu do ucha.

– Teraz to mi naprawdę napędziłaś strachu. Lepiej ruszajmy w drogę, zanim wpadniesz na jakiś kolejny szalony pomysł.

Jednak myśl o dziecku nie odstępowała go, gdy biegli przez las: gdyby tak miał syna z Claudią.

Nigdy wcześniej nawet o tym nie myślał i nagle, jakby dla uzupełnienia tego pomysłu, mała rączka sięgnęła mu nad ramieniem i dotknęła jego brody delikatnie niczym przelatujący motyl. Minnie odwzajemniła gest, który on sam uczynił kilka minut wcześniej i przez chwilę gardło Seana ścisnęło się tak mocno, że nie mógł oddychać. Ujął w swoją dłoń jej rączkę, która była delikatna i krucha niczym skrzydło ptaszka. Naszedł go ogromny żal. Smutek, że nigdy nie będzie miał syna ani córki. W zasadzie już teraz było po wszystkim. Nie mieli szans

uciec prześladowcom. Nie mieli gdzie uciekać, mogli tylko liczyć, że znajdą jakieś dobre miejsce do ostatniej walki.

Później nie będzie już ani ucieczki, ani przyszłości, ani żadnego dziecka.

Sean był tak pogrążony w niewesołych myślach, że zanim się zorientował, wybiegł na otwarty teren. Claudia zatrzymała się gwałtownie, że omal na nią nie wpadł. Stanął obok i oboje przyglądali się rozciągającemu się przed nimi terenowi z niepewnym zdziwieniem.

Las zniknął. Jak daleko sięgał wzrokiem, Sean widział ziemię огоłoconą z wielkich drzew, jakby zostały porwane przez jakiś niesamowity huragan. Zostały jedynie niskie pniaki, z których spływała żywica czerwona niczym krew. Ziemia była porwana tam, upadły potężne pnie. Zwały białych trocin znaczyły miejsce, odcinano gałęzie i cięto pnie. Pomiedzy przyzrami konarów i suchych gałęzi widać było głębokie koleiny, którymi ciągnięto cenne kłody. Miriam zatrzymała się obok Seana.

– Właśnie tu zmuszono moją rodzinę do pracy – powiedział cicho. – Frelimo przyszli i zabrali ich do ścinania drzew. Skuli łańcuchami i zmusili do pracy, aż na rękach ciało im odchodziło od kości. Bili ich jak woły i kazali pracować, dopóki nie padli na ziemię i nie mogli się podnieść.

– Ilu ludzi tu pracuje? – zapytał Sean. – Tyle drzew zniszczono.

– Każde drzewo to życie jednego mężczyzny lub kobiety - szepnęła Miriam. – Zabrali wszystkich, tysiące tysięcy ludzi. Wskazała na horyzont. – Pracują teraz dalej na południu i nie zostawia tu ani jednego drzewa.

Sean czuł, jak jego zdumienie przechodzi w żarliwy gniew. Było to zniszczenie na skalę, która obrażała prawa natury i znaczenie ludzkiego życia. Nie chodziło tylko o to, że jedno drzewo rosło przez trzysta lat, zanim osiągnęło pełną dojrzałość, a ścięto je siekierami w ciągu kilku godzin. Chodziło o coś znacznie ważniejszego. Te lasy były domem i źródłem niezliczonych form życia: owadów, ptaków, ssaków, gadów i samego człowieka. W tym spustoszeniu wszystko było skazane na zagładę.

Ta zbrodnia nie kończyła się jednak tutaj. Czując, że jego los jest przesądzony, że zostało mu jeszcze tylko kilka godzin życia, Seana naszedł melancholijny i proroczy nastrój. Uświadomił sobie, że zniszczenie lasu jest tylko symbolem losu, jaki czeka cały kontynent. Za kilka dziesięcioleci Afryka zostanie rozdarta i zniszczona przez ludzkie zwyrodnienie. Ograniczenia, jakie przez wieki nakładał kolonializm, zostały odrzucone. Ograniczenia te pewnie były więzami ludzi, ale po ich zerwaniu tubylcza ludność Afryki rzuciła się na ślepo do samobójczego niszczenia wszystkiego i wszystkich.

Sean poczuł, jak trzęsie się z bezsilnej złości na bezmierną głupotę i jednocześnie ogarniają go mdłości na rozgrywającą się na jego oczach tragedię.

„Jeśli muszę umrzeć”, pomyślał, „to niech lepiej to się stanie, zanim zobaczę, jak wszystko, co kochałem, ziemia, zwierzęta, ludzie, zostaje doszczętnie zniszczone”.

Z ręką na chudym ramieniu Claudii i małą czarną dziewczynką przywiązaną do pleców

obrócił się w stronę, z której przyszli. W tej samej chwili z lasu wybiegł Matatu.

Biegł w ich stronę naglony niepokojem, który niczym strach przed śmiercią rysował się na jego pomarszczonej twarzy.

– Bwana, są bardzo blisko. Prowadzi ich dwóch tropicieli. Przyglądałem się ich pracy, nie uda nam się ich zgubić. Są dobrzy.

– Ilu jest z nimi żołnierzy? – Sean z trudem odpędził od siebie nastrój rezygnacji.

– Tyłu, ile trawy na równinie Serengeti – odpowiedział Matatu. – Biegną niczym zgraja dzikich psów na polowaniu i są twardzi i groźni. Nawet nas trzech nie da sobie z nimi rady.

Sean rozejrzał się wokoło. Rozciągający się przed nimi teren tworzył naturalne pole ostrzału, pozbawione schronień poza sięgającymi kolan pniakami. Otwarty teren ciągnął się przez jakieś dwieście metrów do miejsca, gdzie zwalono na stertę konary o wyschniętych brązowych liściach i przeplatających się gęsto gałęziach tworzących naturalną barykadę.

– Tam się okopimy – zdecydował Sean i wskazał Alphonsovi miejsce. Przebiegli szybko otwarty teren, biorąc kobiety w środek. Miriam ciągnęła za rękę swojego młodszego braciszka. Alphonso biegł kilka kroków za nimi, osłaniając ich własnym ciałem. Wielki Shangan był obciążony radiem, plecakami z amunicją i zapasami, które zabrali wartownikom znad rzeki, ale kiedy tylko Mickey się męczył szybkim biegiem, brał go na ręce. Przyciągana więzami plemiennymi i fizycznym podobieństwem trójka Shanganów, mężczyzna, kobieta i dziecko, w krótkim czasie utworzyła własną, odrębną grupę. Sean wiedział, że może polegać na Alphonso, że zajmie się swoimi ludźmi i skoncentrował się na Claudii, Matatu i Minnie.

Alphonso nie potrzebował żadnych wskazówek. Podobnie jak Sean miał wyćwiczone oko do wyszukiwania dogodnego do obrony terenu i bezbłędnie skierował się w stronę zwalonych gałęzi, które tworzyły wysoką redutę i z których miał najlepsze pole ostrzału.

Mężczyźni szybko zabrali się do pracy, wzmacniając swoje stanowiska dodatkowymi gałęziami, układając broń i zapasową amunicję, czyniąc wszystkie możliwe przygotowania do odparcia pierwszego uderzenia.

Claudia i Miriam zabrały dzieci do tyłu, gdzie zagłębienie w ziemi i dwa wyjątkowo duże pniaki dawały im pewną osłonę przed kulami. Sean szybko ukończył przygotowania i podbiegł do Claudii.

– Jak tylko rozpocznie się strzelanina, masz wziąć Miriam i dzieciaki i uciekać – powiedział im. – Kierujcie się na południe. – Przerwał, kiedy zobaczył, że Claudia kręci głową, a jej szczęki są mocno zaciśnięte.

– Dostyc już się nabiegałam – powiedziała. – Zostaję z tobą. – Położyła mu rękę na ramieniu. – Nie kłóć się. Szkoda na to czasu.

– Claudia!

– Proszę, nie – uprzedziła go. – Nie mamy wiele czasu.

Miała oczywiście rację. Nie miało najmniejszego sensu, żeby uciekała dalej sama z dwojgiem dzieci pod jej opieką i pięćdziesięcioma Renamo depczącymi jej po piętach. Sean

skinął głową.

– W porządku – nie sprzeciwiał się dłużej, tylko wyjął zza pasa tokarewa, załadował go i zabezpieczył. – Weź to.

– Po co? – Patrzyła na broń z odrazą.

– Chyba wiesz, po co.

– Tak samo jak Job? Skinął głową.

– Tak będzie lepiej, niż dostać się w ręce Chiny. Pokręciła przecząco głową.

– Nie mogę – szepnęła. – Jeśli nie będzie innego wyjścia, zrobisz to dla mnie?

– Spróbuj – odpowiedział. – Nie sądzę jednak, żebym miał dosyć siły. Weź, tak na wszelki wypadek.

Niechętnie przyjęła pistolet i schowała go za pas.

– Pocałuj mnie – poprosiła. Gwizd Matatu przerwał ich czułości.

– Kocham cię – Sean szepnął jej do ucha.

– Ja też cię kocham... – odparła – na zawsze.

Zostawił ją i pobiegł schylony do sterty drzewa. Przykucnął obok Matatu i przez szparę pomiędzy gałęziami obserwował linię lasu.

Przez kilka minut nic nie zauważył, ale nagle jakiś cień prześliznął się pomiędzy potężnymi pniami drzew. Sean podniósł z ziemi AKM i przycisnął kolbę do policzka.

W ociążałym od upału popołudniu każda chwila wydłużała się w nieskończoność. Wszędzie panowała idealna cisza. Nie słychać było śpiewu ptaków, nie widać było ruchu żadnego stworzenia, aż wreszcie na skraju lasu rozległ się stłumiony krzyk ptaka i ludzka postać oderwała się od drzew, przebiegła schylona przez otwarty teren i szybko zanurkowała za grubym pniakiem. Gdy tylko partyzant przypadł do ziemi, następna postać wybiegła pomiędzy drzew sto metrów dalej po lewej stronie i pędem puściła się w stronę innego pniaka. Chwilę potem po prawej stronie pokazał się trzeci mężczyzna.

– Tylko trzech – mruknął Sean. Renamo nie zamierzali więcej się odsłaniać, a tych trzech było dobrych. Posuwali się do przodu krótkimi skokami, nigdy po dwóch ludzi naraz, szeroko rozstawieni i ostrożni jak stary leopord skradający się do przynęty.

„Co za szkoda”, pomyślał Sean. „Dostaniemy tylko jednego. Miałem nadzieję, że będzie ich więcej”. Skoncentrował się na zbliżających się zwiadowcach, starając się wybrać najgroźniejszego z nich.

Chyba ten w środku – zdecydował i jakby dla potwierdzenia jego opinii zobaczył rękę mężczyzny kiwającą na pozostałych dwóch partyzantów, dającą im znak, żeby ruszyli do przodu. Mężczyzna koordynował ich działanie i Sean wiedział już, że jest ich dowódcą.

Niech się zbliży – powiedział sobie w myślach. Karabinek AKM nie był bronią snajperską, nie ufał jego celności na odległość stu metrów. Czekał więc niecierpliwie, przyglądając się partyzantowi przez celownik karabinu.

Renamo wyskoczył zza pnia i biegł schylony do przodu. Był to młody,

dwudziestokilkuletni mężczyzna z pasami z amunicją przewieszonymi przez piersi i włosami uczesany w rastafariański styl, w które wplótł kamuflujące wstążki. Jego rysy były bardziej arabskie niż murzyńskie, miał oliwkową cerę i był całkiem przystojny poza tym, że jedno oko lekko zezowało, co nadawało twarzy cwany wyraz.

Był dostatecznie blisko, żeby zobaczyć jego oczy i Sean uznał, że to wystarczy. Naprowadził karabin na pień, za którym schował się partyzant, wziął głęboki oddech, wypuścił go do połowy i lekko ścisnął cyngiel.

Renamo wyskoczył zza pnia i pojawił się w celowniku. Sean trafił go nisko, specjalnie powstrzymując się od śmiertelnego strzału. Wiedział dobrze, jak wielkie spustoszenie potrafi uczynić pocisk 7,62 mm wbijający się w brzuch z prędkością tysiąca metrów na sekundę, i pamiętał z własnego doświadczenia, jak szybko potrafi doprowadzić do szału jeden z własnych ludzi leżący na otwartym terenie, z rozwalonymi wnętrznościami, wołający o wodę i pomoc. Skauci nazywali takich rannych „ćwierkającymi”. Dobry ćwierkający potrafił sprowokować atak równie pewnie, jak odpowiednio ustawiony ciężki karabin maszynowy.

Sean usłyszał, jak kula trafia mężczyznę w brzuch z głuchym odgłosem, przypominającym stukot melona upuszczonego na podłogę i partyzant poleciał na ziemię pomiędzy gałęzie.

Natychmiast na skraju lasu rozpętał się huraganowy ogień, ale po lecących wysoko pociskach Sean poznał, że partyzanci nie wypatrzyli go. Ostrzał szybko umilkł, Renamo oszczędzali amunicję, co było najlepszym świadectwem ich dyscypliny i wyszkolenia. Drugorzędne oddziały afrykańskie zaczynały strzelać na początku starcia i pruły z karabinów maszynowych, dopóki nie zabrakło im pocisków.

Ci chłopcy znają się na robocie. Sean potwierdził ocenę Matatu. Nie zatrzymamy ich długo. Dwaj partyzanci leżeli nadal na polu, a z jego środka dochodziły pierwsze jęki bólu rannego w brzuch mężczyzny.

– Zaśpiewaj nam – zachęcał go Sean. – Niech twoi kumple dowiedzą się, jak to boli. – Cały czas jednak przyglądał się brzegowi lasu, starając się przewidzieć, jaki ruch zrobią teraz napastnicy.

Spróbują nas teraz okrążyć i wziąć w dwa ognie, domyślił się Sean. Z której jednak flanki ruszą, prawej, czy lewej? Odpowiedź przyszła po kilku sekundach, gdy dojrzał niewyraźny ruch w lesie. Ktoś się przesuwał na prawą stronę.

– Alphonso! – zawołał cicho Sean. – Próbują nas zająć od prawej strony. Zostań tutaj i trzymaj centrum.

Sean wycofywał się, aż znalazł się pod osłoną wysokich, suchych krzaków. Następnie poderwał się z ziemi i schylony pobiegł na prawą flankę.

Czteryście metrów dalej przypadł do ziemi i na kolanach i łokciach posunął się w stronę następnej osłony. Ukrył się za wysokim pniakiem i opanowując przyśpieszony oddech,

przyglądał się ścianie lasu. Nastawił karabin na ogień ciągły i położył palec na bezpieczniku.

Okazało się, że doskonale przewidział następny ruch, gdyż partyzanci wybiegli z lasu zaledwie sto metrów od niego. Była to grupa ośmiu żołnierzy biegnących w zwartym szyku, którzy starali się jednym skokiem dobiec do przyzmy drzewa. Sean pozwolił im przebiec prawie połowę dystansu.

– Tak jest lepiej. Powinienem dostać paru drani z tego towarzystwa – powiedział sobie. Miał ich pod ogniem flankowym i jego seria pójdzie od czoła, trafiając po kolei biegnących z tyłu. Wybrał dowódcę sekcji, który biegł kilka kroków z przodu. Naprowadził lunetkę karabinu przed niego tak, żeby partyzant wpadł w strumień pocisków. Celował na wysokości kolan, gdyż AKM podrywał ostro przy ogniu ciągłym. Pociągnął za spust.

Prowadzący oddział partyzant przewrócił się, jakby się potknął o drut, a dwóch biegnących za nim mężczyzn wpadło w tę samą linię ognia. Sean widział wyraźnie, jak trafiają ich kule. Jeden z nich dostał w ramię i z munduru wzbil się obłoczek kurzu jak przy trzepaniu.

Drugi oberwał w głowę, prosto w skroń. Kiedy poleciał na ziemię, czapka wzbila się w powietrze jak ranny gołąb.

– Trzech. – Sean zmienił magazynek, zadowolony z rezultatu. Zanim puścił serię, był pewien, że trafi jednego i miał nadzieję na dwóch.

Atak się załamał. Reszta oddziału rzuciła się do ucieczki w stronę lasu. Sean posłał za nimi krótką serię, zanim dopadli linii drzew i mimo że jeden z biegnących pochylił ramię i poderwał się jak do lotu, biegł jednak dalej i szybko zniknął w lesie.

W tej samej chwili rozległy się strzały w centrum. Sean poderwał się z ziemi i pobiegł co sił w nogach do Alphonsa.

Kiedy biegł mocno schylony, ktoś otworzył do niego ogień zza drzew. Poczuł, jak kule śmigają mu nad głową z charakterystycznym poświstem, od którego napłynęła mu do żył adrenalina. Schylił jeszcze bardziej głowę, ale nie przerwał biegu. Fala podekscytowania zalała rodzący się w nim strach.

W środku pola bitwy toczyła się zacięta strzelanina. Renamo próbowali zdobyć otwarty teren i niemal im się to udało, kiedy Sean rzucił się na ziemię obok Alphonsa i wsparł go ogniem ze swojego karabinu. Atak osłabł i szybko się załamał zaledwie metry od stert drzewa, za którym leżeli. Renamo uciekali, kryjąc się za pieńkami drzew, a kule z karabinków AK wyrzucały chmury pyłu pomiędzy nimi.

– Dwóch! – Alphonso krzyknął do Seana. – Trafiłem dwóch z nich.

Matatu pociągnął go za rękaw i wskazał coś na lewej flance. Sean dostrzegł jedynie zarys drugiej grupy Renamo przebiegającej przez otwarty teren i chowającej się za stertami drzewa. Atak na prawej flance i w centrum miały jedynie za zadanie odwrócenie ich uwagi. Teraz kilkunastu Renamo zajęło ich tyły i w przeciągu kilku minut będą otoczeni.

– Alphonso, dostali się na nasze tyły! – zawołał Sean.

– I tak nie mogliśmy ich powstrzymać! – odkrzyknął Shangan. – Jest ich zbyt wielu, a nas zbyt mało.

– Cofnę się, żeby osłaniać nas od tyłu. Będę z kobietami.

– Nie zaatakują więcej – powiedział pewnym tonem Alphonso. – Teraz, kiedy nas otoczyli, zaczekają na henshaw.

Seria z karabinu maszynowego trafiła w stertę drzewa i obaj mężczyźni instynktownie schylili głowy.

– Strzelają, żeby nas utrzymać na miejscu! – zawołał Alphonso. – Nie muszą już poświęcać więcej ludzi.

– Ile czasu mamy, zanim przyleci helikopter? – Sean chciał, żeby Alphonso potwierdził jego ocenę.

– Nie więcej niż godzinę – odparł nieodwołalnie Alphonso. – Później szybko będzie po wszystkim.

Alphonso miał rację. Nie mogli się bronić przeciwko hindowi.

– Zostawiam cię tu – powtórzył Sean i wyczołgał się do zagłębienia, w którym ukryły się kobiety z dziećmi.

Na kolanach Claudii siedziała Minnie. Claudia spojrzała pytającym wzrokiem na Seana, gdy wśliznął się do kryjówki.

– Przedostali się na nasze tyły – wyjaśnił jej krótko Sean. – Jesteśmy otoczeni. – Wyrzucił puste magazynki na ziemię przed nią. – W plecaku Alphonsa są pudełka z ładną amunicją. Wiesz, jak napełnić magazynki.

To powinno ją zająć. Następną godziną była najtrudniejsza ze wszystkich. Sean podkrał się do tylnej krawędzi zagłębienia i ostrożnie wystawił głowę.

Dojrzał jakiś ruch pomiędzy wyschniętymi liśćmi pięćdziesiąt kroków dalej i posłał w tamtą stronę serię z karabinu. Natychmiast odpowiedziano ogniem z trzech, czterech pozycji. Kule świstały im nisko nad głowami i siedząca za Seanem Minnie zaczęła głośno płakać ze strachu. Minuty wlokły się wolno, przerywane co jakiś czas krótkimi seriami ze strony pozycji Renamo.

Claudia podczołgała się do Seana i położyła napełnione magazynki obok jego łokcia.

– Ile zostało pudełek? – zapytał Sean.

– Dziesięć – odparła, przytulając się mocniej do niego.

W zasadzie nie miało już znaczenia, że w plecaku Alphonsa zostało tylko dwieście sztuk amunicji. Sean spojrzał na niebo oczekując, że w każdej chwili usłyszy turkot silników hinda.

Claudia musiała odczytać jego myśli i chwyciła jego dłoń. Leżąc w upalnym słońcu trzymali się za ręce i czekali. Nie było nic do powiedzenia, nic do zrobienia. Żadnej szansy, choćby najmniejszej. Pozostało im jedynie czekać na nieuniknione.

Matatu dotknął nogi Seana. Nie musiał nic mówić. Sean podniósł głowę natężając słuch i wychwycił znajomy odgłos. Był wyższy i bardziej równomierny niż południowy wiatr, który

szeleścił wierzchołkami drzew.

Claudia ścisnęła mocniej jego dłoń, wbijając paznokcie w skórę. Ona także usłyszała ten dźwięk.

– Pocałuj mnie – szepnęła. – Ostatni raz. Sean odłożył karabin i przetoczył się na bok, żeby wziąć ją w ramiona. Przytulili się do siebie z całej siły.

– Jeśli muszę umrzeć – szepnęła Claudia – to cieszę się, że to będzie w ten sposób. – Sean poczuł, jak wciska mu pistolet do ręki. – Żegnaj, kochanie – powiedziała.

Wiedział, że musi to zrobić, ale nie miał pojęcia, skąd weźmie do tego siły.

Świst silników hinda narastał, przechodząc w przenikliwy jęk.

Odbezpieczył tokarewa i podniósł go do góry. Oczy Claudii były mocno zaciśnięte, lekko odwróciła głowę. Na ucho spadał wąski kosmyk włosów i Sean widział wyraźnie tętnicę pulsującą pod kremową skórą na skroni. Była to najtrudniejsza rzecz, jaką musiał zrobić, w życiu, ale przyłożył lufę pistoletu do jej głowy.

Blisko krawędzi kryjówki rozerwał się z hukiem pocisk i Sean instynktownie pociągnął Claudię w dół. Przez chwilę myślał, że to hind otworzył ogień, ale było to niemożliwe, helikopter był jeszcze zbyt daleko.

Kolejne eksplozje następowały szybko jedna po drugiej, Sean zniżył pistolet i puścił Claudię. Przetoczył się do krawędzi zagłębienia i zobaczył ciężki ogień zaporowy, który rozbijał pozycje Renamo. Ogień moździerzowy, rozpoznał charakterystyczne wybuchy pocisków moździerzowych kalibru 7,62 mm i dostrzegł przemykające pomiędzy drzewami obłoczki dymu pocisków z bezodrzutowych działek. Łoskot wybuchów i strzały z karabinów zagłuszyły warkot śmigieł zbliżającego się hinda. Nagle cała sytuacja uległa zmianie.

Znajdowali się w samym środku bitwy. Sean zobaczył figurki ludzi biegnące pomiędzy stertami drzewa i pniakami i strzelające z karabinków.

– Frelimo! – Matatu szarpał Seana za rękaw, krzycząc z podekscytowania. – Frelimo!

Dopiero teraz zrozumiał, co się stało. Ich wymiana ognia z partyzantami Renamo ściągnęła większy oddział Frelimo, który znajdował się w pobliżu, najpewniej szykując się do większej ofensywy wzdłuż Rio Save.

Teraz pięćdziesięciu Renamo zostało zaatakowanych przez przeważające siły Frelimo. Sądząc po sile ognia, w lesie kryła się grupa Frelimo w sile batalionu, kilkuset wyszkolonych żołnierzy.

Zobaczył, jak mała garstka Renamo, która odcięła im tyły, porzuca swoje pozycje pomiędzy pryzmami drzewa i ucieka w popłochu, ścigana wybuchami pocisków moździerzowych. Sean porwał AKM i posłał za nimi długą serię. Jeden z biegnących wywalił się na ziemię i potoczył w krzaki.

Z lewej strony Sean zobaczył biegnącą linię piechoty Frelimo. Żołnierze byli ubrani we wschodniemieckie mundury, brązowozielone plamy były łatwe do odróżnienia od pasiastych mundurów Renamo.



Renamo czy Frelimo byli dla nich tak samo niebezpieczni. Sean przyciągnął do siebie Claudię.

– Nie ruszaj się. Frelimo najpewniej nie wiedzą, że tu jesteśmy. Może tylko pogonią za Renamo nas nie zauważą. Mamy szansę.

Minnie płakała głośno wystraszona przeraźliwym hukiem. Sean zawołał do Miriam:

– Uspokój ją! Niech przestanie płakać.

Shangańska dziewczyna przytuliła do siebie dziecko i zakryła jej ręką usta i nos, płacz ustał jak ucięty nożem.

Sean wychylił się ostrożnie ponad krawędź dołu i zobaczył, że linia Frelimo wciąż się rozwija w ich stronę. Żołnierze biegle schyleni i strzelali z biodra. Za kilka sekund wpadną na ich kryjówkę. Sean podniósł AKM. Ich szansę stawały się bardzo nikłe, teraz mogli zginąć z rąk Frelimo zamiast Renamo.

Kiedy wycelował AKM w brzuch najbliższego żołnierza, jego cel nagle zniknął za wysoką zasłoną kurzu, gdy z nieba nad nimi połała się struga pocisków. Szereg Frelimo rozpadł się na oczach Seana, rozpędzony skoncentrowanym ogniem działka pokładowego hinda. Niesiony wiatrem kurz przesłonił dół w ziemi, skrywając ich na kilka sekund przed wiszącym nisko nad nimi śmigłowcem.

Na polu bitwy zapanował kompletny chaos, oba wojska były pomieszane w lesie, pociski moździerzowe i rakiety rozrywały się pomiędzy drzewami, a nad polem latał hind, wywołując jeszcze większe zamieszanie salwami z działka pokładowego i raketami.

Sean klepnął Matatu w ramię.

– Przyrowadź Alphonsa – polecił mu i mały Ndorobczyk natychmiast zniknął w kurzu.

Po kilku minutach wynurzył się z tumanów pyłu razem z wielkim Shanganem.

– Alphonso, przygotuj się do skoku – rozkazał mu Sean. – Frelimo i Renamo dają sobie nieźle popalić. Spróbujemy się wyśliznąć, zanim hind nas zauważy. – Przerwał nagle i wciągnął głęboko powietrze, by zaraz szybko poderwać się na nogi i obejrzeć.

Wszystko wokół nich robiło się brudnoszare, a poprzez hałas bitwy i jęk silników Isotowa Sean dosłyszał słabe trzaski palącego się lasu.

– Ogień! – zawołał. – Wiatr niesie go w naszą stronę!

Jedna z eksplodujących rakiet zapaliła stertę suchego drzewa i wiatr już nawiewał nad ich kryjówkę kłęby gryzącego w oczy dymu. Wszyscy zaczęli kasłać i krztusić się.

– Teraz nie mamy wyboru – albo uciekniemy, albo się upieczemy.

Trzask płonących gałęzi i ryk ognia zagłuszały już odgłosy walki. W okropnej wrzawie słyhać było przeraźliwe wrzaski rannych, których dosięgnął ogień.

– Ruszamy! – Sean zarzucił sobie Minnie na plecy. Dziecko otoczyło go rączkami za szyję i przywarło do niego z całej siły. Pomógł Claudi i podnieść się z ziemi. Alphonso posadził już sobie na ramionach Mickeya, którego nogi zwisały nad pękatym plecakiem z radiem. Miriam schwyciła potężnego Shangana za rękę, w której trzymał karabin.

Gęste jak krem kłęby toczyły się nisko nad ziemią. Biegli z wiatrem blisko siebie, żeby się nie pogubić. Dym wypełniał im płuca i zasłaniał niebo, odcinając ich od walczących z tyłu wojsk i krążącego wyżej helikoptera. Ogień szybko postępował za uciekającymi, zmuszając ich do przyśpieszenia kroku i jednocześnie z każdą sekundą bardziej się do nich zbliżając.

Sean czuł okropny żar na plecach, a w pewnej chwili Minnie pisnęła, gdy iskra trafiła ją w szyję. Dusząca się od dymu Claudia potknęła się i upadła na kolana, ale Sean poderwawszy ją na nogi, pociągnął za sobą.

Czuł, że się dusi, każdy oddech palił mu płuca. Nie mogli dalej uciekać. Jęzory ognia lizały im plecy, a latające w powietrzu iskry odbijały się od ich skóry. Dziewczynka na plecach Seana jęknęła z bólu i zaczęła oganiać się rączkami jak przed atakującymi osami. Dziecko straciło równowagę i byłoby poleciało na ziemię, gdyby Sean nie złapał go w ostatniej chwili i nie wsadził sobie pod pachę.

Nagle znowu znaleźli się na otwartym terenie. Otaczały ich jedynie martwe pniaki drzew, które wystawały niczym nagrobki z gęstego szarego dymu. Piaszczysta ziemia pod ich stopami była zaorana przez załogi drwali.

– Kłąć się! – Sean pchnął Claudię na ziemię i położył Minnie w jej ramionach.

Dziecko wrywało się z całych sił.

– Trzymaj ją! – krzyknął i zerwał z siebie koszulę. – Połóż się płasko, twarzą do ziemi – rozkazał i Claudia posłusznie przetoczyła się na brzuch, trzymając Minnie pod sobą. Sean okrył im głowy swoją koszulą, żeby osłonić je przed dymem i iskrami. Odkręcił zakrętkę z manierki i wylał jej zawartość na koszulę, polewając im włosy i ubranie.

Minnie wciąż płakała i wrywała się, ale Claudia trzymała ją mocno. Sean przyklęknął obok nich i rękami zaczął nagarniać na nie piach, chowając je pod ziemią, jak w czasie zabawy na plaży. Bliżej ziemi dym był rzadszy i łatwiej było oddychać. Alphonso zobaczył, co robi Sean, i poszedł za jego przykładem, kryjąc w piachu Miriam i jej braciszka.

Przez chmury dymu szybowały rozżarzone do białości iskry i osiadały na nagim torsie Seana. Paliły niczym ukąszenia jadowitych mrówek. Sean czuł, jak włosy na brodzie zaczynają mu się kurczyć od żaru, a w oczach wyschła wszelka wilgoć. Opróżnił szybko zawartość plecaka na ziemię, naciągnął go na głowę, wylał zawartość drugiej manierki na tors i rzucił się na ziemię, przykrywając się piaskiem i leżąc nieruchomo.

Powietrze przy samej ziemi nadawało się na tyle do oddychania, żeby utrzymać go przy przytomności, ale w głowie mu wszystko wirowało i czuł tylko wielki zamęt, gdy nadeszła fala ognia. Czuł, jak płócienny materiał na jego głowie zaczyna się tlić, a cienka warstwa piachu parzyła go niczym garnek wyjęty z piekarnika. Ryk płomieni osiągnął crescendo, a suche gałęzie trzaskały wokół jak wystrzały karabinów. Ogień pochłaniał wszystkie sterty drzewa, ale wzbudzany wiatrem żar pędził go dalej na południe.

Pożar przemknął po nich, ryk osłabł i na chwilę chmury dymu otworzyły się i dopuściły kilka łyków świeżego powietrza. Żar wokół nich był ciągle tak wielki, że Sean nie odważył

się zrzucić z siebie ochronnej warstwy piachu.

Gorąco z wolna opadało i chłodniejsze powiewy stawały się coraz częstsze. Sean usiadł i zdjął plecak z głowy. Skóra paliła go wszędzie, jak polana kwasem. Na całym ciele miał czerwone oparzenia od iskier, które szybko zamieniały się w bąble.

Podpełznął do sterty ziemi, pod którą leżała Claudia i Minnie, i zsunął piasek z ich głów. Koszula osłoniła im usta i nosy. Kiedy usiadły na ziemi i otrząsnęły z siebie piasek, Sean przekonał się, że w porównaniu z nim i Alphonsem kobiety wyszły z tego obronną ręką. Ogień gnał już daleko przed nimi, ale powietrze było tak zadymione, że nie widzieli nieba nad sobą.

Sean pomógł Claudii podnieść się z ziemi.

– Musimy oddalić się jak najbardziej, zanim dym opadnie – wystękał ochryplym głosem. Gardło paliło go, jakby połknął garść tłuczonego szkła. Po poparzonych, pokrytych sadzą policzkach ciekły mu łzy.

Trzymając się blisko siebie, brnęli w tumanach wirującego dymu przez wypalony teren niczym grupa pokrytych sadzą zjaw. Ziemia była rozpalona niczym wulkaniczna lawa i paliła ich w stopy przez podeszwy. Musieli nieść dzieci i unikać stert dopalających się popiołów.

Dwukrotnie usłyszeli hinda nad głowami, ale mimo że spoglądali w górę zaczerwienionymi, łzawiącymi oczyma, nie dostrzegli nawet skrawka maszyny przez gęstą powłokę niebieskawego dymu. Nie słyszeli też za sobą odgłosów pościgu ani Renamo, ani Frelimo. Walczące oddziały zostały rozproszone i przegnane płomieniami.

– Ten mały drań ma stopy z azbestu – mruknął Sean przyglądając się, jak Matatu biegnie przed nimi przez wznoszący się z ziemi rzadki dym. Niesiona przez Seana Minnie pojękiwała cichutko z bólu, jaki sprawiały jej poparzenia. Na pierwszym postoju Sean dał jej pół aspiryny i łyk wody z ostatniej pełnej manierki.

Tego wieczoru zachód słońca pomalował niebo ognistą czerwienią i ponurą purpurą. W ciemności przytulili się do siebie, zbyt zmęczeni, żeby wystawić posterunki, a ich sen był przerywany wybuchami rozrywającego płuca kaszlu.

O świcie wiatr zmienił kierunek na południowy, jednak dym wciąż wisiał nad ziemią niczym gęsta rzeczna mgła, ograniczając widoczność do zaledwie kilkuset metrów.

Sean i Claudia najpierw zajęli się dziećmi, smarując ich poparzenia żółtą maścią jodynową. Mickey znosił szczypanie jodyny ze stoicyzmem prawdziwego shangańskiego wojownika, ale Minnie zaczęła płakać i Sean musiał wziąć ją na kolana i dmuchać na zaognione miejsca.

Kiedy dzieci były już opatrzone, kobiety zajęły się mężczyznami. Poparzenia na piersiach i plecach Seana były powierzchowne, ale Claudia posmarowała je z czułością mówiącą o jej wdzięczności i miłości.

Żadne z nich nie wspominało o chwili, kiedy Sean podniósł pistolet do jej skroni. Prawdopodobnie nigdy już nie wspomną tego momentu, ale oboje będą go pamiętać do końca

życia. Zawsze będzie to pomiędzy nimi: dla Seana najbardziej przerażający moment w jego życiu, gorszy nawet niż śmierć Joba; dla Claudii dowód jego przywiązania do niej. Wiedziała, że Sean znalazłby odwagę, żeby to zrobić, i wiedziała także, że kosztowałoby go to więcej niż poświęcenie własnego życia. Nie mogła żądać większego dowodu miłości.

Dzieci potrzebowały wody, były poważnie odwodnione przez żar i dym. Sean oddał im połowę z tej, jaka im została, a resztę podzielił pomiędzy kobiety. Mężczyźni zaledwie umoczyli wargi w ostatnich kroplach.

– Matatu – szepnął Sean szorstkim i bolesnym głosem – jeśli przed nocą nie znajdziesz wody, to jesteśmy tak samo martwi, jakby rozerwały nas pociski z działka henshaw.

Szli ciężko przez spalony las i dopiero późnym popołudniem Matatu znalazł płytką sadzawkę otoczoną dymiącymi pniakami wypalonych drzew. W środku sadzawki, pokrytej grubą warstwą popiołu i zwęglonych ciał małych zwierząt, węży, szczurów, a nawet małej cywety, które schowały się tu przed ogniem, znajdowała się kałuża brudnej wody.

Sean przefiltrował ją przez koszulę. Pili ją, jakby to był słodki nektar, pomrukując z radości, gdy chłodny płyn spływał po ich wyschniętych i podrażnionych dymem przełykach. Kiedy napili się tak, że brzuchy zdawały im się pękać, polewali sobie wzajemnie głowy wodą, pozwalając jej przesiąkać przez ubranie i śmiejąc się słabo z tej przyjemności.

Dwa kilometry od sadzawki rozciągała się linia, gdzie wiatr zmienił kierunek, zatrzymał ogień i pchnął płomień w odwrotną stronę. Zostawili za sobą zdewastowaną ziemię, pokrytą czarnym popiołem i dymiącymi pniami drzew, i rozbili obóz pomiędzy suchymi gałęziami, gdzie załogi drwali dokonali niemal równie wielkiego spustoszenia jak pożar.

Po raz pierwszy od czasu pożaru Alphonso włączył radio i wszyscy zebrali się wokół niego, żeby posłuchać pogrózek Chiny. Przeszedł ich lekki prąd, gdy z głośników popłynął znany głos. China mówił w języku shangańskim, a w tle słychać było warkot silników helikoptera. Transmisja była krótka i enigmatyczna, odpowiedzi podwładnych równie zwięzłe i poważne.

– Jak myślisz, co China zamierza? – Sean zapytał Alphonsa i Shangan wzruszył ramionami.

– Wygląda na to, że przesuwają wojska na nową pozycję. – W głosie Alphonsa nie słychać było przekonania.

– Myślisz, że zrezygnował? – spytał Sean. – Może zgubił nasz ślad w pożarze, ale nie sądzę, żeby dał sobie spokój.

– Nie – zgodził się Alphonso. – Znam go dobrze. Nie zrezygnował. Będzie nas ścigał do samego końca. Generał China potrafi nienawidzić. Nie puści nas.

– Jesteśmy na terytorium zajęтым przez Frelimo. Myślisz, że i tutaj podążą za nami?

Alphonso znowu wzruszył ramionami.

– Ma henshaw, nie musi się martwić o Frelimo. Myślę, że podążą za nami, gdziekolwiek się udamy.

Generał China nawiązał ostatnie połączenie i z jego słów wynikało, że organizuje uzupełnienie paliwa w śmigłowcu. Mówił teraz po portugalsku i odpowiedź od technika naziemnego przysłała w tym samym języku. Alphonso przetłumaczył rozmowę.

– Przybyli tragarze. Mamy teraz zapas dwóch tysięcy litrów. Głos Chiny.

– A co z zapasową pompą?

– Mam ją tutaj, generale – odparł technik. – Mogę ją wymienić tej nocy.

– Musimy znaleźć się w powietrzu jutro o świcie.

– Maszyna będzie gotowa do tego czasu. Gwarantuję to panu, generale.

– Dobrze, ląduję za kilka minut. Chcę, żeby się pan natychmiast zabrał do pracy – rozkazał China i rozłączył się.

Słuchali jeszcze przez dziesięć minut, aż zrobiło się zupełnie ciemno, ale nie było więcej transmisji i Alphonso sięgnął, żeby wyłączyć radio. Powodowany impulsem Sean powstrzymał jego rękę i zmienił częstotliwość. Niemal natychmiast usłyszeli południowoafrykańską transmisję wojskową. Głos był teraz znacznie silniejszy, byli już blisko Limpopo. Dla Seana dźwięk ojczystego języka był pocieszeniem i jednocześnie obietnicą.

Po kilku minutach westchnął i wyłączył radio.

– Alphonso, pierwszy obejmujesz wartę. Ruszaj! – rozkazał.

Kiedy zmniejszyło się ryzyko lotów patrolowych hinda, Sean postanowił kontynuować marsz za dnia. Z każdym kilometrem na południe znajdowali teraz coraz więcej znaków pracy drwali.

Trzeciego dnia po pożarze Matatu poprowadził ich okrężną drogą. Mijane pniaki były niedawno ścięte i wciąż ściekała z nich żywica. Liście na odciętych gałęziach jeszcze nie wyschły. Były wciąż zielone i świeże. Matatu nakazał im zachować ciszę i kiedy maszerowali pomiędzy stertami gałęzi i zwałami trocin, usłyszeli w oddali przenikliwy jęk pił mechanicznych i ponure pieśni robocze drwali.

Las wokół nich rozbrzmiewał odgłosami ludzkiej pracy, a na miękkiej ziemi widniały ślady tysięcy nagich stóp i koleiny, którymi ciągnięto zwalone pnie. Matatu potrafił jednak tak zręcznie wymijać grupy robotników, że dopiero czwartego dnia natknęli się na ludzi.

Sean i Matatu zostawili grupę ukrytą pod stertą świeżo ściętych gałęzi i sami podkradli się do krawędzi naturalnej polanki. Sean przyglądał się przez lornetkę oddziałom robotników po drugiej stronie polany. Setki czarnych mężczyzn i kobiet, czasami nawet dzieci, pracowało pod nadzorem żołnierzy Frelimo.

Strażnicy nosili przewieszane przez plecy karabiny AK, ale cały czas posługiwali się długimi batami ze skóry hipopotamów, okrutnymi sjambokami, którymi okładali nagie grzbiety i nogi robotników. Uderzenia batów i krzyki bólu docierały do miejsca, gdzie leżał Sean i Matatu, pięćset metrów od końca polany.

Brygady ładowały oczyszczone z gałęzi pnie na stosy o kształcie piramid, połowa ludzi

ciągnęła za grube liny, a reszta pchała pień od dołu. Strażnicy popędzali okrzykami robotników, zmuszając ich do większego wysiłku i ci odpowiadali melancholijnym, chóralnym śpiewem i mocniejszymi pociągnięciami grubych lin.

Kiedy Sean przyglądał się przez lornetkę ich pracy, jeden z potężnych pni był właśnie wciągany na sam szczyt piramidy. Zanim jednak został na niej ułożony, jedna z lin pękła, pień zachybotał się i zaczął z trzaskiem obsuwać się po stercie drzewa, odbijając się od pozostałych kłód. Krzycząc z przerażenia brygada robotników rzuciła się do ucieczki, ale słabsi nie byli dostatecznie szybcy i pień przetoczył się po nich. Sean słyszał wyraźnie ich okropne jęki i trzask łamanych kości.

To było za wiele nawet jak na jego wyrobiony żołnierski żołądek. Dotknął ramienia Matatu. Wyczołgali się ostrożnie do kryjówki, w której pozostawili resztę grupy.

Tego wieczoru prześlizgnęli się w niedalekiej odległości od obozu pracy, olbrzymiego pola pokrytego prymitywnymi chatami, które na odległość śmierdziały dymem z ognisk, otwartymi latrynami i ludzkim nieszczęściem.

– W Afryce najtańszym towarem w obecnych czasach są Murzyni – Sean powiedział Claudii.

– Gdybym o tym powiedziała ludziom w kraju, toby po prostu w to nie uwierzyli. To wszystko jest tak sprzeczne z naszymi doświadczeniami – odparła.

O tej porze dnia obóz zdawał się zupełnie wymarły. Wszyscy zdolni do pracy byli przy ścinie drzew i w otwartych szałasach leżeli jedynie chorzy i umierający. Sean posłał Matatu do obozu, żeby się rozejrzał i poszukał czegoś do jedzenia. Tropiciel znalazł jedną z kuchni polowych i umykając uwagi kucharzy ukradł z niej pół worka surowej kaszy kukurydzianej, z którą wrócił do Seana.

Tej nocy zjedli po kilka garści kaszy i usiedli blisko radia, słuchając głosu Chin, który porozumiewał się ze swoimi podwładnymi.

Kiedy generał zakończył transmisję, Sean przełączył odbiornik na południowoafrykańską częstotliwość wojskową i słuchał tej fali przez godzinę, zapoznając się z głosami rozmówców i nazwami różnych jednostek rozlokowanych wzdłuż granicy. W końcu udało mu się zidentyfikować dowództwo, które używało hasła rozpoznawczego „Kudu”. Antylopy kudu o długich, kręconych rogach były jednymi z najpiękniejszych zwierząt stepu.

Czekał cierpliwie na przerwę w rozmowach, wreszcie włączył mikrofon i odezwał się w języku afrikaans:

– „Kudu”, tu „Mossie”. Wiadomość szturmowa. Czy odbierasz mnie, „Kudu”? Tu „Mossie”.

Wiadomość szturmowa oznaczała bezwzględne pierwszeństwo. Była to procedura komunikacyjna jeszcze z czasu wojny rodezyjskiej. Sean miał nadzieję, że doświadczenie południowoafrykańskiego dowódcy sięgało tamtych czasów. „Mossie” w języku afrikaans oznaczało wróbla i było sygnałem wywoławczym Seana z tamtego okresu.

Zapadła długa cisza wypełniona trzaskami statycznymi i Sean obawiał się, że jego sygnał zgubił się w eterze. Podniósł mikrofon do ust i w tej samej chwili w radiu odezwał się głos.

– Stacja wzywająca „Kudu” – powiedział męski głos pełen podejrzeń. – Podaj jeszcze raz swój sygnał wywoławczy.

– „Kudu”, tu „Mossie”. Powtarzam, „Mossie”. Mike Oscar Sierra Sierra India Echo. Proszę o połączenie mnie z generałem De La Reyem, zastępcą ministra prawa i porządku.

Lothar De La Rey był jego zwierzchnikiem w latach siedemdziesiątych, ale od tego czasu wysoko awansował. „Kudu” musiał znać to nazwisko i nie odrzuci tak łatwo próśby o kontakt.

Było jasne, że „Kudu” musiał myśleć podobnie, ale potrzebował więcej czasu na podjęcie decyzji. A w końcu znowu się odezwał.

– „Mossie”, nie rozłączaj się. Połączymy się z De La Reyem. Niemal godzinę później, długo po zapadnięciu zmroku, „Kudu” znowu się odezwał.

– „Mossie”, tu „Kudu”. De La Rey jest nieosiągalny.

– „Kudu”, to sprawa życia bądź śmierci. Będę się z wami łączył na tej częstotliwości co sześć godzin, dopóki nie znajdziecie De La Reya.

– Dood reg, „Mossie”. Będziemy monitorować tę częstotliwość co sześć godzin. Totsiens.

Zostawili koce, kiedy uciekali przed pożarem, a tej nocy było bardzo zimno. Sean i Claudia leżeli we własnych objęciach i szeptali do siebie.

– Nie rozumiałam nic z tego, co mówiłeś przez radio. Z kim rozmawiałeś?

– Z południowoafrykańską bazą wojskową, najpewniej na granicy, ku której zmierzamy.

– Czy będą nam mogli pomóc? – spytała z nadzieją.

– Nie wiem. Może, jeśli uda mi się skontaktować z kimś, kogo znam. Nie poprosiłem ich o pomoc, ale spróbują mnie połączyć z tą osobą.

– Kto to taki?

– W czasie wojny rodezyjskiej dowodziłem Rodezyjskimi Skautami, ale składałem także raporty wywiadowi południowoafrykańskiemu – wyjaśnił.

– Byłeś szpiegiem? – zapytała Claudia.

– Nie – odparł zbyt szybko Sean. – Południowoafrykańczycy i Rodezyjczycy byli sojusznikami, walczyli po tej samej stronie. Jestem Południowoafrykańczykiem, więc nie byłem ani szpiegiem, ani zdrajcą.

– Więc podwójnym agentem? – zażartowała.

– Możesz to tak nazwać. De La Rey był moim południowoafrykańskim zwierzchnikiem. Po zakończeniu wojny posyłałem mu od czasu do czasu raporty; kiedy udało mi się zebrać jakieś informacje o terrorystycznej działalności ANC lub planowanych sankcjach.

– Ma więc wobec ciebie zobowiązania? – spytała.

– I to duże, zresztą jesteście spowinowaceni. Jest moim kuzynem ze strony babki. – Sean

przerwał, gdy małe ciało wcisnęło się pomiędzy nich. – Popatrz, jakiego mamy gościa! Czy to nie sama Minnie?

Claudia odsunęła się trochę, żeby zrobić miejsce dziecku i Minnie wtuliła się w ciepłą kołyskę ich ciała, kładąc głowę na ramieniu Seana. Sean przytulił ją mocniej do siebie.

– Jest taka sprytna. – Claudia pogłaskała dziewczynkę po głowie. – Uwielbiam ją.

Zapadła długa cisza i Sean pomyślał, że Claudia zasnęła, ale nagle odezwała się cichym, zamyślnym głosem.

– Jeśli uda nam się z tego wydostać, myślisz, że moglibyśmy ją zaadoptować?

Dla Seana w tym prostym pytaniu kryło się wiele pułapek. Zakładało ono wspólne, ustabilizowane życie z domem, dziećmi, obowiązkami – wszystkimi sprawami, których unikał przez całe życie. Powinno go wystraszyć, ale czuł tylko dziwne ciepło rozchodzące się po całym ciele.

Przenośny zasilacz hinda turkotał głośno, doprowadzając prąd do szeregu zawieszonych na słupach lamp oświetlających stojący pośrodku helikopter.

Pokrywy silnika były odsłonięte, a z wlotów powietrza zdjęto osłony. Portugalski technik nadzorował każdą czynność wykonywaną przez radzieckich więźniów. Portugalczyk bardzo szybko poznał się na Chinie i zdawał sobie sprawę, jak niepewna jest jego pozycja. W czasie swojego pobytu w obozie Renamo był już kilka razy świadkiem, w jaki sposób generał rozprawia się z tymi, którzy zawiedli jego oczekiwania lub w czymkolwiek go urazili. Przy pracy czuł na sobie cały czas spojrzenie jego ciemnych, fanatycznych oczu.

Było już po północy, ale China nie udał się jeszcze na spoczynek. Przez cały poprzedni dzień, od świtu do zachodu słońca, latał hindem, wracając do bazy jedynie po uzupełnienie paliwa. Przeciętny człowiek byłby śmiertelnie wyczerpany tak intensywną aktywnością – portugalski pilot poszedł spać do swojego szałasów już kilka godzin wcześniej – ale on zdawał się niestrudzony. Krążył wokół śmigłowca, przyglądając się każdemu ruchowi radzieckich jeńców, zadając pytania, domagając się pośpiechu, cały czas niespokojny, jakby trawiła go jakaś mroczna pasja.

– Musicie być gotowi do lotu o świcie – powtórzył chyba po raz setny tej nocy i poszedł do otwartego namiotu, który przeznaczył na swoją główną kwaterę. Stał przed dużą mapą, studiując rozstawienie swoich wojsk i mruczając coś pod nosem.

Na mapie zaznaczał wszystkie szczegóły, które zauważył z powietrza: rozlokowanie obozów robotników leśnych Frelimo i drogi, które wycięli w lesie. Szybko zorientował się, jak olbrzymi teren został ogołocony z lasu i jak wielka liczba ludzi była zatrudniona w brygadach robotniczych. Widział także bezsens próbowania znalezienia małej grupki ludzi pomiędzy tysiącami robotników. Wszystkie ślady zostawione przez grupkę Seana musiały zostać zatarte przez drwali. China nie odważył się posłać swoich tropicieli do lasu. I tak już stracił prawie czterdziestu ludzi w czasie ataku Frelimo i pożaru.



– Nie, muszę być cierpliwy – powiedział sobie.

Przesunął ręką po mapie.

Wycinka lasu prowadzona przez Frelimo nie dotarła jeszcze do wzgórz strzegących od południa dostępu do Limpopo; pomiędzy tymi wzgórzami a rzeką las przerzedzał się i przechodził w step porośnięty rzadkimi kępami drzew. Otwarty pas był szeroki na jakieś pięćdziesiąt kilometrów i świetnie nadawał się do tropienia uciekinierów. Grupa Seana musiała przebyć ten teren, żeby dostać się do Limpopo i granicy.

Generał China postanowił właśnie tu ich zatrzymać. Przez cały poprzedni dzień transportował żołnierzy, których Tippoo Tip dał mu do dyspozycji. W tylnej kabinie hinda mógł zabrać na jeden raz czternastu żołnierzy w pełnym uzbrojeniu i w ciągu dnia wykonał jedenaście lotów. Helikopter przelatywał wysoko nad lasem obładowany żołnierzami i lądował wzdłuż linii wzgórz. Dowódcy sekcji mieli za zadanie ustawienie punktów obserwacyjnych na każdym wzgórzu i patrolowanie terenu pomiędzy nimi. Teraz prawie stu pięćdziesięciu żołnierzy odcinało Seanowi Courteneyowi dostęp do Limpopo.

Generał patrzył na mapę, jakby to był portret białego mężczyzny. Po raz kolejny musiał doświadczyć zawodu i upokorzenia. Miał już niemal tego człowieka w swoich rękach, otoczonego przez partyzantów Tippoo Tipa, którzy nie zostawili mu żadnej drogi ucieczki, i wtedy natknęli się na ofensywę Frelimo; las pod lecącym nisko hindem zniknął w kłębach dymu, a China musiał słuchać przez radio jęków swoich ludzi, błagających o pomoc, gdy otoczyły ich płomienie.

Tippoo Tip starał się przekonać go, że Sean Courteney musiał zginąć w czasie pożaru lasu, ale generał miał swoje zdanie w tej sprawie. Wysadził tropicieli z hinda na polu czarnych popiołów, jak tylko ostygły dostatecznie, żeby można po nich chodzić. Tropiciele znaleźli miejsce, w którym biały mężczyzna zagrzebał w piachu swoich ludzi, żeby uchronić ich przed ogniem, ślady ich ciał były wyraźnie odcisnięte w miękkiej ziemi. Znaleźli także trop prowadzący na południe w stronę granicy.

Przez resztę dnia po pożarze China patrolował teren z nisko lecącego hinda, ale dym ograniczał widoczność do małego koła bezpośrednio pod brzuchem maszyny.

Porażka jedynie wzmocniła determinację generała. Przebiegłość białego mężczyzny i jego niesamowite szczęście, dzięki któremu wymykał się ze wszystkich zastawionych na niego pułapek, zwiększały nienawiść Chiny i rozpałały w nim żądzę zemsty. W czasie długich godzin, kiedy transportowali żołnierzy, pocieszał się planami zemsty, wyobrażając sobie najbardziej wyrafinowane tortury, jakie zada Seanowi Courteneyowi i jego kobiecie, jak tylko ich dopadnie.

Nie musiał się z tym spieszyć. Będzie mógł przeciągać przyjemność, rozkoszując się ich cierpieniem jak skąpiec zazdrośnie przeliczający swoje pieniądze. Oczywiście zacznie od kobiety, a biały mężczyzna będzie musiał się temu przyglądać. Kiedy już Tippoo Tip się nią nacieszy, oddadzą ją innym mężczyznom. China osobiście wybierze najbardziej

odrażających, z okropnymi rysami twarzy, zdeformowanymi ciałami i chorych na słońowaciznę. Niektórzy z jego ludzi mieli naprawdę niesamowite członki. Pozwoli im bawić się kobietą, a kiedy z nią skończą, przyprowadzi mężczyzn z otwartymi wrzodami, złośliwymi chorobami skóry, pokrytymi strupami i tropikalnymi owrzodzeniami. Na końcu odda ją chorym na AIDS, tym najbardziej przerażającym. To będzie wspaniała zabawa. Zastanawiał się, jak silna jest ta Amerykanka, ilu zdoła przyjąć. Czy najpierw straci rozum, czy ciało? China czuł podekscytowanie na samą myśl o tym i wyobrażał sobie, jak biały mężczyzna będzie się temu wszystkiemu przyglądać.

Kiedy skończą z kobietą, przyjdzie pora na pułkownika Seana Courteneya. China nie zdecydował jeszcze, co to będzie, miał tyle możliwości. Mężczyzna był silny i mógł wytrzymać całe dni, może nawet tygodnie tortur. Na ustach generała pojawił się cienki uśmiech i samo planowanie zemsty na tyle go uspokoiło, że zakrył połę namiotu, okrył się klapami płaszczu i zasnął na krześle.

Obudził się w dziwnym zamieszaniu, nie wiedząc, co się dzieje. Ktoś potrząsał nim gwałtownie. China odrzucił natarczywe ręce i wstał ciężko z krzesła, rozglądając się oszołomionym wzrokiem dookoła. Był już ranek, na tle szarzejącego nieba drzewa rysowały się ciemnymi liniami. Na palach wokół helikoptera nadal paliły się lampy, a stojące na stole radio wzywało go nagłym głosem.

– Mamy kontakt! Generale China, nawiązaliśmy kontakt! – Był to dowódca oddziału, który rozlokował się na wzgórzach wzdłuż Limpopo. Z podekscytowania oficer zapomniał o hasłach wywoławczych.

Rozespany China podszedł do radia i schwycił mikrofon.

– Tu „Drzewo Bananowe”, podaj dokładnie swoją pozycję i kod wywoławczy – warknął China. Ton jego głosu spowodował, że oficer oprzytomniał i przeszedł do właściwej procedury komunikacyjnej.

Uciekinierzy wpadli na partyzantów Renamo niemal dokładnie w miejscu, które generał przewidział. Po krótkiej wymianie ognia schronili się na szczycie niewielkiego kopca, prawie w zasięgu wzroku od Limpopo.

– Kazałem już sprowadzić moździerze – pochwalił się dowódca sekcji. – Rozwalimy ich na tej górze.

– Nie zezwalam – powiedział bardzo wyraźnie China. – Powtarzam, nie zezwalam. Nie otwierać ognia z moździerzy. Nie atakować. Chcę ich dostać żywcem. Otoczcie górę i czekajcie na moje przybycie. – Spojrzał na helikopter. Tytanowe kłapy osłaniające silnik były już umieszczone na swoim miejscu, a portugalski technik nadzorował uzupełnianie paliwa. Przed maszyną stała linia tragarzy, każdy z dwudziestopięciolitrową beczką na głowie, czekając na swoją kolejkę, żeby wlać paliwo do zbiorników.

China krzyknął na Portugalczyka i mechanik szybko podbiegł do niego.

– Musimy natychmiast ruszać – rozkazał China.

– Skończę uzupełnianie paliwa za pół godziny.  
– To za długo. Ile mamy w tej chwili paliwa na pokładzie?  
– Zapasowe baki są pełne, główne w trzech czwartych.  
– To wystarczy, wezwij pilota. Powiedz mu, że natychmiast odlatujemy.  
– Muszę jeszcze założyć pokrywy na wloty powietrza do silników – zaprotestował technik.

– Ile to zajmie?  
– Nie więcej niż pół godziny.  
– Za długo! – krzyknął na niego.

Pilot szedł już od swojego namiotu. Nie obudził się jeszcze w pełni i niezgrabnie zakładał skórzaną kurtkę, a ucha hełmu zwisały mu na szyję.

– Pośpiesz się! – popędził go China. – Włącz silniki!  
– A co z klapami? – nalegał technik.  
– Możemy latać bez nich, to tylko środek ostrożności.  
– Tak, ale...!

– Nie! – China odepchnął go. – Nie mogę czekać! Zapomnij o tych klapach! Wyruszamy natychmiast. Włącz silniki!

Z połami płaszcza płatającymi mu się pomiędzy nogami generał podbiegł do hinda i wskoczył na siedzenie w kabinie.

Sean Courteney leżał płasko na brzuchu pomiędzy dwoma skałami poniżej grani wzgórza i spoglądał w dół na korony drzew. Dalej na południe w niepewnym świetle poranka widać było ciemnozieloną linię drzew. Drzewa porastały brzegi Limpopo.

– Tak blisko – poskarżył się Sean. – Prawie nam się udało.

Zdołali przetrwać do tej pory wbrew wszelkim przeciwnościom, przebyli prawie trzysta kilometrów przez zdewastowany, zniszczony wojną kraj i dwie zwalczające się armie, żeby zostać zatrzymani tuż przed samym celem. Z podnóża góry poleciała seria z karabinu AK, odbiła się rykoszetem od kamieni i poszybowała w niebo.

Matatu leżał pomiędzy skałami obok Seana i nie przestawał się obwiniać.

– Jestem starym głupcem, Bwana. Musisz mnie odesłać i wziąć sobie jakiegoś młodego i sprytnego tropiciela, który nie oślepnął ze starości.

Sean domyślał się, że posterunek obserwacyjny Renamo zauważył ich, kiedy przekraczali jedną z polanek pomiędzy wzgórzami. Nie było żadnego ostrzeżenia, żadnych śladów pościgu, żadnej zasadzki. Zupełnie nieoczekiwanie szereg partyzantów w maskujących mundurach wyskoczył z zagajnika i rzucił się na nich.

Po całonocnym marszu wszyscy byli już zmęczeni, pewnie ich koncentracja była osłabiona, może powinni się trzymać lasu i nie przecinać polanek, ale teraz nie miało już sensu myśleć o tym, co innego mogło się zdarzyć.

Mieli jedynie dosyć czasu, żeby porwać dzieci i ciągnąc kobiety w pośpiechu wdrapać się na stok wzgórza, ścigani mało celnym ogniem karabinowym. „Możliwe, że Renamo specjalnie nie przykładali się do celowania” – pomyślał Sean. Nietrudno było się domyślić, jaki rozkaz otrzymali od generała Chiny: Weźcie ich żywcem!

Gdzie China może być teraz? – zastanawiał się. Jedno było pewne, nie był daleko i zbliżał się do nich tak szybko, jak helikopter na to pozwolił. Spojrzał w stronę Limpopo i poczuł w ustach smak kłęski i rozczarowania.

– Alphonso! – zawołał. – Podłączyłeś radio? – Chciał się raczej czymś zająć, niż liczył na szansę uzyskania kontaktu.

Dwukrotnie w ciągu nocy próbował nawiązać łączność z południowoafrykańską bazą wojskową. Raz nawet usłyszał słaby głos „Kudu” wzywający go, ale baterie były już bardzo słabe. Strzałka wskazująca poziom baterii opadła do czerwonej strefy.

– Jeśli spróbuję podnieść antenę, to te pawiany odstrzelą mi jaja – mruknął Alphonso spomiędzy skał.

– Jesteśmy w zasięgu wzroku od rzeki – odparł szorstko Sean. – Daj mi antenę. – Sean podniósł się na jednym łokciu i cisnął drut anteny najdalej, jak mógł, w dół zbocza. Następnie podczołgał się do radia. Kiedy je włączył, panel kontrolny ledwo się jarzył.

– „Kudu”, tu „Mossie”! – zawołał zdesperowanym głosem. – „Kudu”, czy słyszysz mnie? „Kudu”, tu „Mossie”!

Kula trafiła w skałę nad jego głową, ale Sean ją zignorował.

– „Kudu”, tu „Mossie”!

Obie kobiety, biała i czarna, trzymały dzieci i patrzyły na niego w milczeniu.

– „Kudu”, tu „Mossie”! – Pokręcił gałką i zupełnie niespodziewanie odpowiedział mu głos tak słaby, że ledwo go słyszał.

– „Mossie”, tu „Oubaas”. Ledwo cię słyszę.

– „Oubaas”! O Boże – szepnął. – „Oubaas”! Oubaas, dziadek, było hasłem wywoławczym generała Lothara De La Reya.

– „Oubaas”. Siedzimy po uszy w gównie. Potrzebuję natychmiastowego gorącego wyjęcia. – Sean stwierdził, że jest pod ostrzałem i prosił o przysłanie pomocy. – Jest nas siedmioro: pięciu dorosłych i dwoje dzieci. Nasza pozycja jest następująca... – Przeczytał współrzędne z mapy. – Trzymamy niewysoki wzgórek jakieś dwadzieścia kilometrów na pomoc od Limpopo. – Podniósł głowę i szybko się rozejrzał. – Jakies trzy kilometry na wschód od naszej pozycji wznoszą się dwie wysokie góry. Słyszysz mnie, „Oubaas”?

– Słyszę cię, „Mossie”. – Głos na chwilę zanikł i zaraz nabrał mocy. – Jak brzmi panięskie nazwisko twojej babki?

– Niech cię cholera! – warknął wściekle Sean. Lothar sprawdzał go w takim momencie. – Nazwisko panięskie mojej babki brzmi Centaine De Thiry i jest to także twoja babka, Lothar, ty cholerny draniu!

– W porządku, „Mossie”. Wysyłam pumę po gorące wyjęcie. Możesz się tam utrzymać przez godzinę?

– Trzymaj za nas kciuki, „Oubaas”. Jesteśmy otoczeni przez bandę dzikusów.

– „Mossie”. – Sean musiał przystawić ucho do głośnika, żeby usłyszeć ostatnie słowa. – Daj im popalić, Sean... – Sygnał zanikł i radio zgasło.

– Już lecą po nas! – Sean odwrócił się od radia i posłał uśmiech Claudii. – Wysłali helikopter Puma, żeby nas zabrał. – Nagle jego uśmiech zbladł i twarze wszystkich zwróciły się wolno na północ. Świt przyniósł ze sobą nowy odgłos, nadal słaby i odległy, ale wszyscy go już potrafili rozpoznać. Był to odgłos śmierci.

Patrzyli, jak hind nadlatuje z północy, trzymając się nisko nad koronami drzew, wielki, garbaty potwór pokryty kamuflującymi barwami. Pierwsze promienie słońca odbijały się w od szyb kabiny, nadając im wygląd żarzących się na czerwono ślepiów.

Z lasu rosnącego u podnóża góry wleciała raca sygnalizacyjna i poszybowała w niebo czerwona parabola, wzywając hinda. Śmigłowiec zareagował zmianą kierunku lotu i ruszył prosto w stronę wzgórza, na którym się schronili.

Claudia leżała obok Seana, a on otaczał ją ramieniem.

– To takie niesprawiedliwe – szepnęła. – Zupełnie, jakbyśmy umierali po raz drugi. – Wyjęła pistolet zza pasa i spróbowała mu go wcisnąć w rękę.

– Nie! – zaprotestował. – Nie mogę tego zrobić! Drugi raz nie zdobędę się na to! – Odepchnął broń.

– Więc co? – zapytała i Sean pokazał jej granat rozrywający, który trzymał w prawym ręku.

Claudia spojrzała na czarną, głęboko pociętą powierzchnię granatu, zadrżała i odwróciła wzrok.

– To będzie tak samo szybkie i jeszcze pewniejsze – szepnął uspokajająco. – Odejdziemy razem, w tej samej chwili.

Wiedział, co musi zrobić. Będzie trzymał granat pomiędzy nimi.

Spojrzał do góry na zbliżającego się hinda. Był coraz bliżej. Już czas. Nie ostrzeże jej. Pocałuje ją ostatni raz i...

Nagle jego oczy zwięzły się. Coś zmieniło się w wyglądzie helikoptera. Zbliżał się szybko, rosnąc w oczach i Sean poczuł dreszcz emocji, gdy uświadomił sobie, co uległo zmianie.

– Mamy jeszcze szansę – szepnął do Claudii. – Niewielką, ale zaryzykujemy. Chodź tu, Minnie. Chodź szybko! – zawołał po shangańsku i czarna dziewczynka podbiegła do niego.

– Potrzyj ją – szepnął Sean i podniósł skraj postrzępionej sukienki dziecka do góry. Pod sukienką dziewczynka nosiła niebieskie majtki.

Odciągnął elastyczny koniec majtek i wsunął do nich coś, coś równie okrągłego i czarnego jak jej małe pośladki.

– Zatrzymaj to dla mnie, kochanie – szepnął do dziecka po shangańsku i poprawił jej majtki. – To nasz sekret. Nie wyjmuj tego. Potrzywasz to dla mnie, kwiatuszku?

Minnie patrzyła na niego ciemnymi oczami, w których malowało się uwielbienie, i poważnie skinęła głową. Sean przytulił ją mocno do siebie.

Odgłos silników hinda wbijał im się w uszy, gdy maszyna zniżyła się ku szczytowi wzgórza. Kiedy helikopter był dwieście metrów od nich, Alphonso puścił całą serię z AK w przednią kabinę. Lekkie pociski nie zostawiły nawet śladu na pancерnej szybie. Śmigłowiec zwolnił lot i zawisł nad wzgórzem. Generał China siedział wysoko na fotelu w kabinie bojowej i był tak blisko, że mogli dostrzec jego tryumfalny uśmiech, gdy podniósł do ust mikrofon.

Potężne głośniki umieszczone pod krótkimi skrzydłami przekazały jego mocno zniekształcony głos.

– Dzień dobry, pułkowniku Courteney. Dzielnie się pan wymykał, ale pościg się zakończył. Proszę, niech pan powie swoim ludziom, żeby odłożyli broń.

– Zrób to! – Sean krzyknął do Alphonsa, ale ten zaprotestował i włożył do karabinu świeży magazynek. – Zrób, jak ci mówię! – Głos Seana stał się ostrzejszy. – Mam plan. Zaufaj mi.

Alphonso wahał się przez chwilę. Nagle zaterkotało działko pokładowe, ogłuszając ich i wyrzucając w powietrze huragan piachu i odprysków skały kilka metrów poniżej ich pozycji.

– Niech pan nie wykorzystuje mojej cierpliwości, pułkowniku. Proszę powiedzieć swoim ludziom, żeby wstali z rękami podniesionymi nad głowy.

– Zróbcie, jak mówi! – powtórzył Sean i najpierw Matatu, a potem Alphonso podnieśli się wolno z ziemi z uniesionymi wysoko rękami.

– Proszę im powiedzieć, żeby się obrócili. Chcę się upewnić, że nie szykują żadnych niespodzianek.

Obrócili się do niego i nad ich głowami znowu zabrzmiał głos Chiny.

– Zdejmijcie z siebie ubrania, wszystkie.

Powoli mężczyźni rozebrali się i stanęli nago przed śmigłowcem.

– W porządku, schodźcie w dół zbocza ku polance.

Z podniesionymi rękami zeszli na otwarty teren pod skałami.

– Teraz kobiety.

– Bądź dzielna – Sean szepnął do Claudii. – Mamy jeszcze szansę, i to niezłą.

Claudia powoli podniosła się z ziemi.

– Pani Monterro – głos Chiny odbijał się echem od okolicznych gór. – Czy będzie pani łaskawa zdjąć z siebie ubranie?

Claudia rozpięła porwaną koszulę i ściągnęła ją przez głowę. W porannym słońcu jej piersi były bardzo białe.

– Teraz spodnie – zachęcił ją China. Opuściła je na ziemię i wyzwoliła nogi kopnięciem.

– Bardzo ładnie, a teraz reszta.

Koronkowe majtki Claudii były tak znoszone, że wisiały na niej niczym siatka z pajęczyny, przez którą widać było ciemny trójkąt pomiędzy nogami.

– Nie. – Pokręciła głową. – Nie zrobię tego. – Zasłoniła się z przodu dłońmi. Jej odmowa była zdecydowana.

– W porządku. Pozwolimy pani na razie na tę skromność. Moi ludzie tym bardziej nacieszą się nią później – zachichotał China. – Proszę zejść na dół.

Claudia zeszła w dół zbocza z wysoko podniesioną głową i stanęła pomiędzy Alphonsem i Matatu.

– Teraz ty – China odezwał się po shangańsku i Miriam podniosła się z ziemi. Dziewczyna nie знаła europejskiego wstydu przed nagością. Szybko się rozebrała do naga. Trzymając brata za rękę zeszła do pozostałych.

– A teraz pułkownik Courteney. Najlepsze na samym końcu. Sean podniósł się z ziemi i obojętnie zrzucił z siebie porwane ubranie.

– Bardzo to imponujące, pułkowniku – zakpił China. – Jak na białego człowieka, oczywiście.

Sean patrzył na niego beznamiętnie, ale cały czas starał się oszacować odległość. Pięćdziesiąt pięć metrów, ocenił, za daleko.

– Proszę zejść do nas, żebyśmy mogli mieć pana na oku. Nie chcemy teraz żadnych nieporozumień, prawda, pułkowniku?

Sean wziął Minnie za rękę i sprowadził ją na dół. Przedmiot schowany w jej majteczkach kołysał się na boki i dziewczynka wolną ręką podciągała majtki do góry, żeby jej nie opadły.

Dziesięć, piętnaście, dwadzieścia kroków, liczył Sean zbliżając się do wiszącego nad wzgórzem hinda. Widział wyraźnie źrenice Chiny, trzydzieści pięć metrów, wciąż za daleko. Zatrzymał się obok Claudii. Stali nadzy i bezbronni.

China dał rozkaz po shangańsku. Z lasu u stóp wzgórza wypadli jego ludzie i zaczęli wspinać się na stok wyjąc tryumfalnie. Portugalski pilot zniżył trochę maszynę i zaraz jeszcze bardziej, demonstrując, jak świetnie panuje nad sterami.

Dwadzieścia pięć metrów, dwadzieścia. Sean skoncentrował się na wlotach powietrza do silnika. Były rozmiarów pojemników na śmieci i nie zostały zakryte; głęboko w ich wnętrzu Sean widział mgiełkę turbin obracających się z niesamowitą szybkością.

Hind zatrzymał się w powietrzu i wisiał wprost przed nimi. Generał China obrócił głowę, żeby spojrzeć na tyralierę wdzierających się na górę partyzantów. Przez chwilę jego uwaga była odwrócona i Sean wykorzystał moment.

Schylił się lekko i podniósł do góry spódniczkę Minnie. Tym samym ruchem odciągnął gumkę majtek i zacisnął dłoń na granacie. Wyciągając go wyszarpnął zawleczkę i upuścił ją na ziemię. Usłyszał, jak iglica uderza w zapalnik. Opóźnienie wynosiło pięć sekund. Sean

odliczył do trzech i zamachnął się do tyłu jak gracz w baseball. W tej samej chwili China spojrzał na niego.

Sean skoncentrował się na przednim wlocie i cisnął granat. Czarna kula poszybowała płaskim łukiem. Całą siłą woli próbował ją nakierować na niewielkie kółko wlotu.

Granat trafił w jego wewnętrzne spojenie, odbił się i zakołysał na krawędzi. Potężny pęd powietrza wytworzony przez turbiny wessał go do środka i granat wpadł w gardziel wlotu do silnika.

Uderzając w wirujące łopatki turbiny, granat rozerwał się i potężna energia silnika została skierowana przeciwko maszynie.

W chwili gdy Sean schwycił Claudię i Minnie i rzucił się z nimi na ziemię, silnik helikoptera rozerwał się na strzępy.

Hind przechylił się ciężko, podbijając działko pokładowe i wystrzelona przez Chinę seria poszła prosto w niebo. Helikopter przewalił się na grzbiet. Ze zniszczonego silnika buchnął dym i kawałki podartego metalu.

Maszyna wyrznęła w bok wzgórza, odbiła się wysoko, znowu upadła i potoczyła się, koziółkując po ziemi w stronę zbliżających się partyzantów Renamo. Ludzie rozpiechli się i zaczęli uciekać z krzykiem, ale większość z nich nie zdążyła się usunąć. Zniszczony kadłub śmigłowca przetoczył się po nich.

W końcu ześliznął się na brzuchu ku podnóżu wzgórza niczym olbrzymi tobogan i zatrzymał się na linii lasu. Z podziurawionych zbiorników tryskał fontanną avgas, polewając kadłub i migocząc w promieniach słońca.

Claudia i Sean podnieśli się niepewnie na kolana i patrzyli na to niesamowite zniszczenie.

Po chwili, wręcz niewiarygodnie pomału, pokrywa kabiny uniosła się do góry i generał China wypełznął na ziemię. Paliwo helikoptera tryskało wysoko w górę, niewinnie niczym natrysk ogrodowy, i spadało na niego rześistym deszczem. Avgas przesączał mundur Chiny i spływał strumykami po jego twarzy. China oderwał się od kadłuba i ruszył niepewnym krokiem w dół zbocza.

Nie zrobił dziesięciu chybliwych kroków, gdy hind wybuchł ścianą ognia. Płomienie przeskoczyły kilka metrów i zapaliły mokry mundur Chiny. Avgas zmienił go w jednej chwili w płonąca ludzką pochodnię, kiedy rzucił się biegiem w dół zbocza, buchając żółtymi płomieniami. Słyszeli wyraźnie jego wrzask, który dobiegał na szczyt wzgórza niczym ryk ranionego zwierzęcia.

China nie dobiegł do lasu. Upadł na jego krawędzi i jego płonące ciało znikło w wysokiej brązowej trawie. Wzgórze stało się jego stosem pogrzebowym, ale Sean i Claudia słyszeli jeszcze rżący jęk wydobywający się z ognia.

– Do tyłu! – krzyknął Sean. Jego głos wyrwał wszystkich z niemego odrętwienia. Poderwał Claudię z ziemi i schwycił Minnie w ramiona.

Ścigani świszczącymi w powietrzu pociskami Renamo uciekli ku skałom okalającym



szczyt. Pochowali się pomiędzy skałami, ale wciąż patrzyli na płonący wrak hinda, niepomiernie własnej nagości. Płomienie szybko pożerały trawę na krawędzi lasu.

Kiedy ogień przesunął się, na ziemi została czarna, zwęglona sterta popiołu. Wyglądała jak spalone szmaty, ale kiedy wiatr zaczął wiać w ich stronę, przyniósł ze sobą odór spalonego ciała.

Powiew przyniósł ze sobą także nowy dźwięk i Sean podniósł się ostrożnie i spojrzał w stronę ledwo widocznej na horyzoncie Limpopo.

Helikopter Puma był wciąż jeszcze małym punktem na niebie, ale zbliżał się szybko i dźwięk silników z każdą chwilą narastał.

– Załóż spodnie, kochanie. – Sean przytulił do siebie Claudię. – Zdaje się, że będziemy mieli gości!